

Tom Holt

ŚNIŁO CI SIĘ

Przełożył Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału IN YOUR DREAMS

ISBN 978-83-7648-479-2

Warszawa 2010



Pamięci
JAMESA HALEA
(1946-2003)

Woźnicy słodkiego rydwanu

Rozdział 1

Dwadzieścia pięć po piątej, zimny jesienny piątek. W blasku białych, zielonych, czerwonych i żółtych świateł centralny Londyn warczał i przedzierał się po pracy do domu. W kasie na ostatnim piętrze budynku przy St Mary Axe 70 Benny Shumway zerknął na zegar na przeciwległej ścianie. Pora podliczyć utarg i wyjść.

Wychylił się do przodu, zabrał garść różowych rachunków z tacki na korespondencję przychodzącą i przewertował je pospiesznie, sumując liczby w pamięci z prędkością dla krzemu nieosiągalną: szybki zapisek w Dużej Księdze, następne w Małej Księdze, Jedynej Prawdziwej Księdze i Innej Księdze, wprawne pstryknięcie srebrnym długopisem Parker. Wysoki na metr pięćdziesiąt pięć, brodaty i osłonięty od wiatru okularami o szklach grubych jak pancierz czołgu, Benny Shumway pracował z szybkością, precyzją i pewnością japońskiego fechtmistrza.

Ostatnie zadanie: wpłata do banku. Odrzucił wieko kasety na pieniądze, wyjął gruby plik banknotów pięćdziesięciofuntowych i przewertował je jak nowoorleański szuler tasujący karty. 12 850 funtów. Jako że nie wolno zostawiać pieniędzy w biurze na weekend, wyjął z górnej szuflady biurka książeczkę wpłat, jedną ręką zdjął skuwkę z długopisu Bic, wpisał sumę, datę, numer konta; oderwał dowód wpłaty, schował książeczkę, umieścił dowód wpłaty na równym stosie ułożonych awersem do góry banknotów, nałożył z powrotem skuwkę na długopis.

Na dowodzie wpłaty widniały słowa *BANK UMARŁYCH* wypisane wersalikami Garamond, czcionką dwunastką.

Pogwizdując dawno zapomnianą melodię, Benny Shumway włożył rękę do kieszeni, wyjął autentyczną mosiężną zapalniczkę Zippo i przekręcił kółko kciukiem. Kiedy wykrzesał płomień, podniósł plik banknotów razem z dowodem wpłaty i do krótszego końca przysunął zapalniczkę. Banknoty się zajęły; Benny obrócił nadgarstek, umiejętnie podsycając nowo narodzony ogień, podczas gdy jego druga ręka wyciągnęła się po przedmiot, który wyglądał jak jedna z tych płaskich, szerokich, mosiężnych popielniczek wciskanych turystom w Benares. Kiedy płomienie już-już prawie lizały mu palce, upuścił resztki pieniędzy do popielniczki i patrzył, jak obracają się w biały popiół.

Uczyniwszy to, wciągnął płaszcz, zgasił światła i zbiegł schodami na dół. Był dwie minuty po czasie, ale na szczęście gobliny jeszcze nie zarygłowały drzwi.



Za dwadzieścia szosta Paul Carpenter stał na poboczu drogi i wściekał się na swój samochód.

Tak naprawdę wcale go nie chciał; ale był w zbyt głębokim szoku, żeby odmówić, no i potem już nie dało się tego odkręcić. Awansował z młodszego urzędnika na urzędnika, co oznaczało, że od tej pory przysługiwało mu prawo do samochodu służbowego. A że samochód należał do firmy J. W. Wells & Co. , nie był to pierwszy lepszy volkswagen polo. Co to, to nie: rzeczony volkswagen jeszcze przed kilkoma miesiącami był (a raczej była) uczennicą czarnoksiężnika, poziom trzeci, zatrudnioną w Gebruder Faust GmbH we Frankfurcie, firmie będącej jednym z najstarszych i najbardziej nieprzejednanych konkurentów J. W. Wellsa. Swoje przeniesienie przyjął (czy raczej przyjęła) ze stoickim spokojem (w końcu, jak zauważył Ricky Wurmtoter, członek zarządu odpowiedzialny za zwalczanie szkodników, mogło być gorzej; mogła zostać fordem czy nawet – choć to nadmierne okrucieństwo – roverem metro) i aż do tej pory Paul i Monika żyli we względnej zgodzie.

Aż do tej pory.

Próbował czarów, rzecz jasna. W przypadku awarii silnika magia była jego pierwszą, a zarazem ostatnią deską ratunku. Odkąd pół roku wcześniej dostał pracę w JWW, poznał całkiem sporo podstawowych czarów, co było nieodzowne, jeśli miał porządnie wykonywać obowiązki pracownika najstarszej i najbardziej szanowanej brytyjskiej firmy oferującej usługi czarnoksięskie i taumaturgiczne. Nauczył się, że magia to tylko szumne określenie procesu przemiany rzeczy z takich, jakie są, w takie, jakie być powinny. A volkswagen polo powinien robić „brrrum”, jak się naciska pedał gazu.

– Proszę! – powiedział grzecznie; ale to też nic nie dało. Zaklął pod nosem. Włączyło się radio samochodowe.

– *Ich kann dich horen – powiedziało z wyrzutem. – Dos ist nicht hóflich.*

Paul się zasepił. Miał za sobą ciężki dzień. Już o szóstej rano musiał pojechać na parking pubu w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku hrabstwa Gloucestershire, by przekazać brązową kopertę formatu A4 (ciarki go przechodziły na samą myśl) goblinowi o czerwonych ślepiach i szcurzym łbie, ubranemu w o trzy rozmiary za duży garnitur z Marks & Spencer.

– Mów po naszemu, na litość boską. Wiem, że potrafisz.

Radio samochodowe cmoknęło z niezadowoleniem.

– Ty się powinien postarać. Myślisz, że to lekko być samochodem?

– Przepraszam – wymamrotał Paul. Monika miała śliczny głos, ale często się szarogęsiła. – Możesz mi powiedzieć, co ci się stało?

– *Ja, ja, to oczywiste. Die Zylinderkopfdichtung jest undicht.* Każdy głupi by to wiedział.

Paul westchnął.

– Co jest jakie?

– *Zylinderkopfichtung*. – Monika cmoknęła swoim wirtualnym językiem. – Nie wiem, jak to po waszemu. Ale bardzo niedobrze. Jestem bardzo chora. Musisz wezwać pomoc.

– No jasne – warknął Paul. – Może mi jeszcze powiesz, jak znaleźć warsztat w szczerym polu o szóstej po południu w piątek...

– *Natürlich* – przerwała mu Monika. – W schowku jest informator Związku Automobilowego z 1996 roku. Na stronie 836 znajdziesz lista okolicznych warsztatów. Trzeci od góry jest Gorse Hill Motors, numer telefonu...

Paul wcisnął odpowiednie klawisze w komórce. Bardzo długo nikt nie odbierał i już miał się rozłączyć, kiedy usłyszał:

– Czego?

Odetchnął głęboko.

– Dzień dobry. Czy mogliby mi państwo pomóc? Zepsuł mi się samochód i... hm... tak sobie pomyślałem, że może by państwo przyjechali i go, ten, no, naprawili?

Długa chwila ciszy; po czym głos w telefonie odparł:

– Zaraz, zawołam kogoś.

– Dzięki – powiedział Paul. Głos należał do kobiety albo dziecka; gdyby zeznawał pod przysięgą, raczej wybrałby tę drugą możliwość. Cóż, pomyślał, rodzinny interes na prowincji w Gloucestershire, nic w tym niezwykłego.

– Tak? – odezwał się inny głos.

– Dzień dobry – zaczął Paul. – Czy mogliby mi państwo...

– Do rzeczy – rzucił ten nowy głos; tym razem, nie było co do tego cienia wątpliwości, tym razem na pewno był to głos dziecka, dziewczynki siedmio-, ośmio-, może dziewięcioletniej.

– W czym problem?

– Hm... Cóż, najpierw strasznie charczał, potem buchnęły z niego kłęby niebieskiego dymu, a teraz w ogóle nie chce zapalić.

Niewidoczna siedmiolatka cmoknęła językiem.

– Uszczelka głowicy cylindra – orzekła. – No dobrze, przyjedziemy, zabierzemy go. Gdzie pan jest?

– Hm. Nie jestem pewien. – Oczywiście, Monika powinna to wiedzieć; wyposażona była w system nawigacji satelitarnej, który mówił jej, gdzie jest, z dokładnością do centymetra. Paul niestety zupełnie się na nim nie znał, a przecież nie mógł powiedzieć: „Chwileczkę, proszę spytać o to mój samochód”. Wsadził głowę do środka przez drzwi kierowcy i spojrzał na ekranik w miejscu, gdzie powinna być popielniczka. – No cóż, jeśli ta droga to B5632...

– Nie.

– Aha. – Nie był pewien, skąd ta mała to wie, ale nie zamierzał się kłócić. – W takim razie nie mam pojęcia.

Dziecko się rozłączyło. Paul wzruszył ramionami i usiadł w fotelu kierowcy. Było za zimno, żeby stać na dworze.

– Dzwonisz do warsztatu? – spytała Monika.

Paul skinął głową. Wiedział, że Monika go widzi, choć nie miał pojęcia czym.

– Mają kogoś przysłać – odparł. – Za dwadzieścia minut.

– *Sehr gut.* – Jęknęła cicho. – Boli, ale jestem dzielna. Zagramy w szubienicę?

Paul westchnął ze znużeniem.

– Niech ci będzie.

Z niewiadomego powodu Monika uwielbiała grać w szubienicę, choć ograniczony zasób angielskiego słownictwa jej w tym nie pomagał, a bardzo się denerwowała, kiedy przegrywała. Ostatecznie pomoc drogowa zjawiała się już po osiemnastu minutach, choć wydawało się, że trwało to dużo dłużej.

– Jadą z warsztatu – oznajmiła Monika nagle. Po chwili w lusterku wstecznym rozblęły wielkie białe ślepią. Paul wysiadł.

– To pan się zepsuł? – odezwał się ktoś z ciemności, kiedy wóz stanął obok niego.

– Tak, to... – Paul urwał. Znow odniósł wrażenie, że rozmawia z dzieckiem. Przypomniawsobie, że jest jakiś gaz, od którego ma się taki wysoki i piskliwy głos.

Drzwi samochodu się otworzyły. Dwie drobne postacie wysiadły i podeszły do niego.

Ta po lewej była płci męskiej, miała bardzo krótkie blond włosy, poły koszuli wystające spod zielonego puloweru i może z dziesięć lat. Ta po prawej okazała się dziewięcioletnią dziewczynką z włosami związanymi w koński ogon, ubraną w liliowe dżinsy i tenisówki tego samego koloru. W rękę dźwżyła, bez widocznego wysiłku, skrzynkę z narzędziami, która wyglądała na cięższą od niej.

– Jaki problem? – spytała dziewczynka tonem fachowca.

Minęła chwila, zanim Paul odpowiedział.

– Eee... zaczął charczeć, potem buchnął niebieskim dymem, a teraz w ogóle nie chce zapalić.

Dziewczynka zadarła głowę i spojrzała na niego. Miała czyste błękitne oczy i piegi.

– Kluczyki.

Paul zamrugał.

– Słucham?

– Kluczyki – powtórzyła z irytacją.

– A, kluczyki. W stacyjce.

Skinęła głową.

– W porządku. Pan się odsunie.

Paul wykonał polecenie i najwyraźniej przestał istnieć. Chłopiec wskoczył na fotel kierowcy, przechylił się w bok i pociągnął za dźwignię otwierającą maskę; z tą chwilą jego rozmowa z dziewczynką zaczęła obfitować w szczegóły techniczne, więc Paul się wyłączył.

Owszem, odkąd dostał pracę w JWW, widział dziwniejsze rzeczy. Widział gobliny, takie prawdziwe, z okrągłymi czerwonymi ślepiami i wystającymi kiami, i dowiedział się, że są właścicielami budynku przy St Mary Axe 70. Widział, i to na własne oczy, jak człowieka przemieniono w kserokopiarkę, i odkrył, że zszywacz używany do spinania arkuszy A3 tak naprawdę był starszym wspólnikiem firmy, preistoczoną sto lat wcześniej, w okresie szczególnego nasilenia intryg biurowych; ba, to właśnie Paul uwolnił pana Wellsa seniora od tej klątwy, choć sam nie był do końca pewien, jak to zrobić. Widział ostatnio najprzeróżniejsze niepokojące rzeczy i nauczył się przechodzić nad nimi do porządku dziennego, a może raczej przeskakiwać ruchem konika szachowego. Jednak jednym z czynników, które pomagały mu zachować nędzne resztki równowagi psychicznej, był fakt, że ze wszystkimi tego rodzaju osobliwościami stykał się tylko w pracy i podczas wyjazdów służbowych, a wtedy mógł się na to odpowiednio przygotować. Jeśli dziwne zjawiska zaczęły znienacka atakować go ze wszystkich stron, to już raczej będzie ponad jego siły.

– Miałam rację – powiedziała dziewczynka z westchnieniem, które wróżyło duże wydatki.

– Poszła uszczelka głowicy cylindra. – Cofnęła się o krok i obejrzała samochód takim wzrokiem, jakby chodziło o coś bardzo przykrego, czego należało uniknąć. – Trzeba go będzie rozebrać, przeszlifować głowicę cylindra, założyć nową uszczelkę, nowy pasek klinowy, wymienić części, a jak do tego dorzucić jeszcze koszt odholowania i VAT, wyniesie to pana jakieś cztery stówy. Więcej niż ten rzęch jest wart, moim zdaniem.

Radio samochodowe zaczęło szybko szwargotać po niemiecku. Dziewczynka wsadziła głowę do środka i wyłączyła je, co Paulowi nigdy się nie udało, choć ogromnie się starał.

– Właściwie – powiedział – to nie mój samochód. Własność firmy.

– Aha. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Cóż, decyzja należy do pana. Jak pan chce, zreperujemy go, ale...

Paul naturalnie nie mógł wyjaśnić, dlaczego samochód koniecznie trzeba naprawić.

– Byłbym wdzięczny. Czy to... hmm... długo potrwa?

Jej brak odpowiedzi wskazywał, że tak, długo.

– Pan wskakuje na tył – rzuciła dziewczynka i wskazała pikapa, którym przyjechała. – Podwieziemy do warsztatu.

Na szczęście warsztat był niedaleko, choć „niedaleko” to pojęcie względne, kiedy siedzi się

na odkrytej pacy w towarzystwie łańcuchów, zwojów sznura i przesiąkniętej plandeki. Paul przez całą drogę próbował sam siebie przekonać, że jak już dojadą na miejsce, wszystko będzie w porządku, że będą tam dorośli, którzy zajmą się właściwą naprawą i może nawet podadzą jakieś racjonalne wytłumaczenie. Usiłował nie myśleć o tym, że jego samochód najwyraźniej jest istotą czującą, a ta dziewczynka nie wspomniała nic o znieczuleniu podczas wykonywanych przez nią zabiegów. Nigdy jeszcze nie słyszał, jak volkswagen krzyczy, i wolał nie wiedzieć, jak to brzmi.

Warsztat wyglądał w miarę normalnie, dopóki nie otworzyły się szerokie wrota z ocynkowanej blachy, ukazując troje następnych dzieci w usmarowanych olejem kombinezonach, każde w wieku poniżej dwunastu lat. Na biurku w kanciapie siedział brudny pluszowy miś, a na ścianie wisiał kalendarz Barbie, nie, jak to zwykle bywa, Pirelli. Poza tym było tu jak w każdym małym wiejskim warsztacie samochodowym.

Ruda sześciolatka z włosami związanymi w kucyki odczepiła Monikę od pikapa i wepchnęła ją do warsztatu. Dyskretnie przemilczając, że o tej porze chyba powinna już spać, Paul spytał dziewczynkę, czy jest szansa, by uwinęli się z naprawą jeszcze dzisiaj, bo z samego rana ma ważne spotkanie.

Spojrzała na niego i Paul z niepokojem zauważył w jej oczach coś, co nasunęło mu skojarzenie z goblinami, czy raczej jedną konkretną goblinicą, która nie dość, że z powodów tylko jej znanych szalała na jego punkcie, to jeszcze, traf chciał, była matką członka zarządu firmy.

– Może – powiedziało dziecko i uśmiechnęło się tak szeroko, że Paul pożałował, że w ogóle o to spytał. – Możemy zaproponować serwis ekspresowy – ciągnęła dziewczynka i mrugnęła znacząco.

– Ale musi pan obiecać, że nic nikomu nie powie.

– Zgoda. Byłbym bardzo wdzięczny, bo...

Dziewuszka uśmiechnęła się do niego obleśnie.

– No dobra. Pan wyjdzie. Możesz pan poczekać na zewnątrz, zawołam, jak skończymy.

Najwyraźniej nie chcieli, żeby patrzył, i był jak najbardziej za. Odkąd korzystał z samochodu, który odpowiadał, kiedy się do niego mówiło, na widok oleju robiło mu się słabo. Na placyku przed warsztatem było zimno, ale siąpił tylko drobny kapuśniaczek. Paul znalazł względnie osłonięte miejsce za stertą zużytych opon i tam się skulił. Gdzieś w oddali zahuczała sowa.

– Halo, proszę pana!

Drzwi rozsunęły się i zalało go żółte światło. Podniósł głowę zaskoczony. Nie wiedział, jak długo tam stał, ale był pewien, że nie mogli już skończyć.

– Zrobione – powiedziała szeroko uśmiechnięta rudowłosa dziewczynka, która wyjrzała zza drzwi. – Pan wejdzie.

Dzieciak, którego nie widział wcześniej (niski, jasnowłose, w okularach), przekreślił kluczyk i zapalił silnik. Monika zamruczała; żadnego charkotu, żadnego dymu.

– Super – rzekł Paul z zakłopotaniem. Patrząc na miny dzieci, odnosił wrażenie, że w czasie, kiedy stał na zewnątrz, tutaj zdarzył się jakiś cud. Żałował, że nie zna się na samochodach na tyle, by go należycie docenić. – To ten... ile jestem winien?

Ruda podała mu mocno usmarowaną fakturę. Przynajmniej mieli charakter pisma jak normalne dzieci i napisali „uszczelka” przez „ó”. Cokolwiek obejmował serwis ekspresowy, był kosztowny i Paul niespecjalnie się cieszył na myśl o tym, co pan Shumway rano będzie miał na ten temat do powiedzenia.

– Gotówką – dorzuciła ruda.

– Och! – Paul spojrzał na nią stropiony. – Bardzo mi przykro, nie mam tyle przy sobie. – Wyjął portfel, żeby sprawdzić, czy dobra wróżka nie podrzuciła mu czterocyfrowej niespodzianki. Nie.

– Mogę zapłacić kartą. Albo... – przypomniał sobie – ... czekiem firmowym. – Pan Shumway dał mu wolną rękę w korzystaniu z firmowej książeczki czekowej, z wyraźnym zastrzeżeniem, że użycie jej do niewłaściwych celów zostanie ukarane z bezprzykładnym okrucieństwem. – Inaczej nie mam jak...

– Gotówką – powtórzyła Ruda. Wtedy jej spojrzenie padło na książeczkę czekową JWW, leżącą w otwartym portfelu Paula. *BANK UMARŁYCH*, stało jak wół na okładce. Dziewczynka najwyraźniej umiała czytać do góry nogami. – Czek też może być – powiedziała uprzejmie.

– Hm... – Paula tknęło, że termin „niewłaściwe cele” w rozumieniu pana Shumwaya obejmował wręczanie czeków JWW każdemu spoza Branży. Zważywszy na to, kto prowadził konto firmy, trudno było nie przyznać mu racji. – Może to nie najlepszy pomysł. Gdyby ktoś mnie podrzucił do najbliższego bankomatu...

– Czek – stanowczo powtórzyła dziewczynka – może być. Mamy pieczętę – dodała złowróźnie.

Paul wypisał więc czek. Dziewczynka machnęła ręką na znak, że nie chce karty, po czym wzięła czek w lewą rękę, wyjęła zapalniczkę i...

*

– I nie zgadniesz, co zrobiła potem – powiedział Paul.

Sophie ziewnęła.

– Podpaliła go – odparła, nalewając wodę z czajnika do termoforu.

Paul się zdziwił.

– No właśnie. Skąd... ?

Sophie dostała pracę w JWW tego samego dnia co on; razem odkryli wielką tajemnicę firmy i mniej więcej w tym samym czasie stwierdzili, że, o dziwo, się kochają. Choć jednak Paulowi wciąż zdarzały się poranki, gdy po przebudzeniu uznawał swoje najświeższe wspomnienia za odpryski jakiegoś wyjątkowo pokręconego snu, to Sophie sprawiała wrażenie, jakby doskonale się przystosowała. Dokręciła zakrętkę termoforu i znów ziewnęła.

– Bank Umarłych – powiedziała. – Ty nic nie wiesz, co?

Paul skinął głową.

– To wymysł Chińczyków – wyjaśniła. – Wierzą, że obowiązkiem każdego jest zapewnić utrzymanie przodkom w zaświatach. Dlatego kupują za prawdziwe pieniądze banknoty Banku Umarłych, które następnie spalają i w ten sposób wpłacają na ich konto.

Paul zmarszczył brwi.

– Tak, ale to przecież tylko...

– Kant podatkowy, owszem. Inne firmy trzymają pieniądze w rajach podatkowych, ale JWW idzie krok dalej. – Sophie otworzyła drzwi kuchni. – Jak myślisz, że to dziwne, czekaj, aż zobaczysz, co się stanie, kiedy spróbujesz użyć karty Banku Umarłych w zwykłym bankomacie. No dobrze, idę spać. Dobranoc.

– Dobranoc.

Czuł się lekko zawiedziony. Nie żeby to była najbardziej zapierająca dech w piersiach historia, jaką kiedykolwiek opowiedziano, czy coś w tym stylu, ale... Mimo wszystko, ogólnie biorąc, podobało mu się, że Sophie, w odróżnieniu od niego, potrafi tak obojętnie podchodzić do wszystkiego, co dziwaczne i niepokojące. Dystans (sądził, że tak to można określić), nieodzowny element bycia dojrzałym i wszystkiego, czego jemu nigdy nie udało się osiągnąć. Jednak dopóki ona to miała, on mógł się bez tego obejść. Na tym właśnie polegało partnerstwo, równowaga w przyrodzie. Ona miała swoje mocne punkty, a on...

Wciąż nie mógł pojąć, co Sophie, u licha, w nim widzi. Przypadkiem zobaczył swoje odbicie w oknie kuchennym i nie znalazł tam odpowiedzi: wysokich, chudych, niewydarzonych Anglików jest na pęczki, podaż na ogół przewyższa popyt, podczas gdy piękne, inteligentne, dzielne, zaradne, drobne, chude dziewczyny z wielkimi oczami to prawdziwa rzadkość, zawsze cieszą się dużym wzięciem, nawet jeśli mają niefortunny sposób bycia, do którego można się bardzo szybko przyzwyczaić...

Tak... – pomyślał, nakazując wodzie w czajniku, by się zagotowała. Tak, ale... Odkąd byli razem, zaczęła się zmieniać. To było tak, jakby życie było egzaminem, który miał się odbyć za

dwa semestry, i ona już się do niego uczyła, a on nie. Podczas gdy on wciąż dryfował z dnia na dzień, starał się trzymać z dala od wszelkich co bardziej niepokojących wariantów dziwności i dziękował losowi, ilekroć wracał do domu w niezminionej postaci, ona... Ona traktowała wszystko coraz bardziej poważnie, w godny podziwu, ale i trochę krępujący sposób. W pracy bardzo się starała, w domu przejmowała się takimi sprawami jak odwirowanie prania, kaloryfery i odkładanie pieniędzy na rachunek za prąd. Jasne, ktoś musiał, a Paul oczywiście nie miał do tego głowy, ale mimo wszystko. Przecież to nieuniknione, że lada moment zacznie jej się robić niedobrze na jego widok, a wtedy...

Ze zmarszczonym czołem Paul kazał wrzącej wodzie wlać się do kubka, po czym przypomniał sobie, że zapomniał włożyć saszetkę herbaty. Oczywiście zakładał, że skoro zdobył dziewczynę swoich marzeń, już jest po wszystkim; historia zakończona, żyli długo i szczęśliwie. Znów to myślenie ucznia przed egzaminami – że jak zda, dostanie świstek z wypisanym zawijasami swoim nazwiskiem i oceną, a potem będzie miał maturę z matmy na wieki wieków amen. Nikt mu jej nie odbierze, a on nigdy więcej nie będzie jej musiał zdawać. Ale miłość się na tym nie kończy. Trzeba stale nad nią pracować, bo inaczej można stracić wszystko, ot tak. To nie fair, burknęło dziecko wewnętrzne Paula. Zupełnie nie fair.

Jakoś stracił ochotę na herbatę; wylał wrzątek do zlewu, wytarł kubek i odstawił go. (Ostatnimi czasy żył w środowisku, w którym kubki nie mieszkały już na suszarce. Kiedy to się stało? I jak?). Zegar kuchenny powiedział mu, że pora położyć się spać, bo skoro świt trzeba wstać na Ważne Spotkanie. No cóż.

Skulony na krawędzi swojej strony łóżka (Sophie przejawiała przez sen ambicje terytorialne niespotykane od upadku imperium mongolskiego) Paul zapadł w niespokojny sen, taki, w którym sny wydają się jeszcze straszniejsze, bo człowiek jest święcie przekonany, że nie śpi. Śniło mu się, że jest w wielkiej sali przypominającej oddział szpitalny, tylko że nie było pielęgniarek, kroplówek ani nóg w gipsie; wyglądało to jak sala sypialna w internacie, ale wszyscy ludzie śpiący w łóżkach – setki, może nawet tysiące – byli dorośli. Była tam też Sophie; leżała na boku i spała jak zabita. Wiedział, że coś jest nie tak, ale nie miał kogo o to spytać. Nagle u jego boku stanęła hrabina Judy di Castel'Bianco, odpowiadająca w JWW za kontakty z show-biznesem. Trzymała w ręku podkładkę do pisania i uśmiechała się.

– Wszystko jest w porządku – powiedziała miłym głosem. (Na jawie nie zamienił z nią słowa od rozmowy kwalifikacyjnej). – Nic nie czują, to ich nie boli. A poza tym to konieczne – dodała, być może z odrobiną skruchy. – Zresztą niech pan będzie realistą; to i tak nie trwałoby długo, jest pan zdecydowanie zbyt niedojrzały. To oszczędzi panu bólu. Tak jest najlepiej, kiedyś sam pan przyzna.

Najwyraźniej miało to sens, podobnie jak fakt, że na oddziale (teraz już na pewno był to

szpital) nagle zaroilo się od dzieci, takich jak te w warsztacie. Ubrane w białe kitle, krążyły między łózkami. Niektóre pchały wózki wyładowane jedzeniem i piciem; omletami z serem, mocno pachnącą kawą. Inne oglądały śpiących – unosiły kciukami ich powieki, rozchyłały wargi małymi drewnianymi szpatułkami, sprawdzały tętno i pobierały próbki krwi. Od czasu do czasu znajdowały kogoś, kto nie dawał znaków życia; takich wywoziły na wózkach i na ich miejsce dostarczały następnych.

Kiedy przyszły po Sophie (Tutaj! – zawołała Judy di Castel’Bianco. – Szybko, nie żyje od kilku godzin!), obudził się.



Wywieszka na klamce drzwi gabinetu Ricky’ego Wurmtotera była jak zawsze niepokojąca i całkiem nieprzydatna. Głosiła UWAGA, DRAPIEŻNIKI!

Paul traktował Ricky’ego Wurmtotera, współnika odpowiedzialnego za zwalczanie szkodników, z podejrzliwą ostrożnością od czasu, kiedy w pierwszym dniu pracy został przez niego zaproszony na lunch. Pan Wurmtoter zapewne po prostu chciał być miły; był najmłodszym i najsympatyczniejszym członkiem zarządu, wyglądał i ubierał się jak gwiazdor filmowy, który pragnie pozostać incognito, mówił ze słabym niemieckim akcentem i miał (między innymi) skrzydlatego białego konia, który mógł dostać się z Londynu do Manchesteru w tyle czasu, ile trzeba na ugotowanie jajka. Jego praca polegała głównie na zabijaniu smoków (które, jako że zlatywały się do miejsc gromadzenia majątku, były utrapieniem muzeów, galerii sztuki i banków), wampirów, wilkołaków, mantykor i innych straszliwych stworów (w których istnienie Paul do niedawna – w błogiej nieświadomości – nie wierzył), a co za tym idzie, przeważnie przebywał poza biurem i Paul niewiele miał z nim do czynienia od tamtego pierwszego lunchu.

Nigdy jeszcze nie był w gabinecie pana Wurmtotera i mile zaskoczyło go to, jak normalnie wyglądał, przynajmniej jak na standardy obowiązujące w JWW. Pomijając parę wypchanych głów na ścianie, które, gdyby wpadły w ręce społeczności naukowej, doprowadziłyby do oddania na przemiał dotychczas używane podręczniki i napisania ich od nowa, i szafę pancerną w kącie, było tu tylko zwyczajne biurko, trzy krzesła i świecący pustkami regał na książki.

– A, Paul – rzekł pan Wurmtoter, odwrócił się i uśmiechnął uprzejmie. – Dziękuję, że byłeś łaskaw przyjść. Na pewno znasz Benny’ego Shumwaya.

Paul Benny’ego Shumwaya znał, to nie ulegało wątpliwości. Kasjer jednak, o dziwo, zamiast na niego warknąć, uniósł lewą dłoń i pomachał mu palcami. Paul usiadł przy nim i

usiłował sprawiać wrażenie, że jest zwarty i gotowy.

– Jak z pewnością wiesz – powiedział pan Wurmtofer – w JWW przyjęliśmy zasadę, że praktykanci tacy jak ty powinni spędzić mniej więcej miesiąc w każdym dziale, co nam pozwala poznać wasze mocne punkty, a wam podjąć decyzję, w jakiej dziedzinie chcecie się wyspecjalizować. O ile wiem, ostatnio pracowałeś z Dennisem Tannerem przy odkrywaniu złóż minerałów... a propos, bardzo cię chwali, choć domyślam się, że wpatrywanie się całymi dniami w zdjęcia pustyni już ci uszami wychodzi... i zacząłeś szkolenie z magii i czarów pod kierunkiem Humphreya Wellsa, zanim...

– Pan Wurmtofer się zawahał.

To Paul i Sophie odkryli, że Humphrey Wells zdradził swojego wuja, starszego wspólnika firmy; dziś Humphrey pracował w firmie jako kserokopiarka, bo ksero to najbardziej znienawidzone urządzenie w każdym biurze na świecie.

– A od tamtej pory – ciągnął pan Wurmtofer – robiłeś dla nas wszystkich różne drobiazgi, podczas gdy my dokonywaliśmy restrukturyzacji wymuszonej przez... no wiesz. – Zawiesił głos, chwilę bawił się dużym pazurem, który nosił na łańcuszku na szyi, po czym kontynuował: – Dlatego też czas już, żebyście oboje wznowili normalne szkolenia i byłoby mi miło, gdybyś zechciał trochę popracować w moim dziale.

Znów zamilkł, najwyraźniej czekając na odpowiedź. Paul, który czuł, że nie ma w tej sprawie żadnego wyboru, wymamrotał: „Tak, to doskonale, dziękuję” czy coś w tym stylu.

– Świetnie – przytaknął pan Wurmtofer. – Sęk w tym, że muszę wyjechać w pewnej sprawie z Jackiem... panem Wellsem seniorem... i to trochę potrwa. Pod moją nieobecność Benny będzie miał tu wszystko na oku, więc będziesz z nim pracował. Odpowiada ci to, mam nadzieję?

Jakby mógł zaprzeczyć, kiedy pan Shumway siedział obok niego.

– Oczywiście – wymamrotał.

Pan Wurmtofer się uśmiechnął.

– To fantastycznie. Prawda jest taka, że Benny zna się na szkodnikach jak mało kto, mam rację, Ben?

Pan Shumway skinął głową; wyjątkowa oszczędność ruchów.

– Szczerze mówiąc – ciągnął pan Wurmtofer – gdyby była sprawiedliwość na tym świecie, to on byłby dyrektorem odpowiedzialnym za zwalczanie szkodników, nie ja. Ale...

– Ale się wycofałem – wtrącił pan Shumway – dopóki miałem z czym. – Poruszył się lekko na krześle i spojrzał Paulowi w oczy przez wyjątkowo grube szkła okularów. – Rick nie powiedział ci, że zwalczanie szkodników jest niebezpieczne, w tym sensie, że grozi śmiercią albo straszlivymi obrażeniami. No i w tym fachu trzeba zabijać. Ty wyglądasz mi na takiego, co raczej wolałby tego unikać.

– Cóż – powiedział Paul, kiedy odzyskał mowę – tak, raczej tak. Chyba jeszcze nigdy nie zabiłem niczego umyślnie, nawet pająka. Zwykle staram się je łapać i... – Urwał. Choć nie chciał być oddelegowany na pół roku do działu zabijania smoków, nie chciał też wyjść na żalostnego słabeusza, nawet jeśli nim faktycznie był. – Nie wiem – wyznał. – A co pan sądzi?

Pan Wurmtofer znów się uśmiechał.

– W tym punkcie mamy z Bennym różne zdania. Benny uważa, że umiejętność zwalczania szkodników to coś, z czym się trzeba urodzić, a czego nie da się nauczyć, i że bez starego dobrego instynktu zabójcy do niczego się w tym zawodzie nie dojdzie. Poniekąd go rozumiem, ale sam sądzę, że każdy, kto chce pracować w tym fachu, zapewne jest zbyt szurnięty, żeby mu na to pozwolić, jeśli wiesz, o czym mówię. W końcu nie mówimy tu o usuwaniu gąsienic z drzew czy rozkładaniu pułapek na myszy. Szkodniki, z jakimi będziesz miał do czynienia, to niezwykle inteligentne, czujące istoty żywe; gdyby smoki, harpie i lodowe olbrzymy przyjmowano na studia wyższe, w takim Oksfordzie czy Cambridge ludzie głowy by za drzwi nie wystawiali, bo zaraz coś by im ją odgryzło. Właśnie dlatego brawura... nie obraż się, Ben... w tym fachu nie sprzyja przetrwaniu. Najważniejszy jest zdrowy instynkt samozachowawczy oraz umiejętność przewidywania i oceny zagrożenia, połączone ze zdolnością do tego, by robić swoje, kiedy szpony przecinają powietrze, płomień liżą ci palce u nóg i boisz się tak, że nie możesz tchu złapać... bo wierz mi, choćbyś był nie wiadomo jak odważny, to jak poczujesz gorące tchnienie dwunastotonowego rozwścieczonego smoka, tak właśnie będziesz się bał. Lepszy ktoś, kto od samego początku wie, że będzie przerażony, niż gość, dla którego paniczny strach będzie nieprzyjemną niespodzianką. Rozumiesz, co mam na myśli?

Paulowi nagle zaschło w ustach.

– Eee... – powiedział.

– Sądzę też – ciągnął pan Wurmtofer, zerknął przelotnie na pana Shumwaya i wrócił spojrzeniem na twarz Paula – na podstawie tego, jak poradziłeś sobie z Humphem Wellsem w bardzo trudnej sytuacji, że prawdopodobnie nadajesz się do tej roboty. Oczywiście – dodał jakby nigdy nic – jeśli naprawdę uważasz, że to nie dla ciebie, nie ma sprawy. Pogadam z Judy di Castef Bianco i będziesz mógł odbyć praktykę u niej, a Sophie dołączy do mnie i Benny'ego.

Cholera, pomyślał Paul; i w tej chwili przyszło mu do głowy, że Ricky Wurmtofer prawdopodobnie jest świetny w swoim fachu. Przynajmniej jeśli chodzi o zastawianie pułapek.

– Nie, nie trzeba – usłyszał swój ochrypły głos. – Kiedy zacznę?

*

Benny Shumway odprowadził Paula do jego i Sophie gabinetu. Długo milczał; nagle, przy archiwum, zatrzymał się w pół kroku.

– Zapewne odniosłeś wrażenie, że nie chcę, żebyś ze mną pracował – powiedział wprost. – Mam rację?

– No cóż...

– Czyli mam. – Benny Shumway uśmiechnął się szeroko. – Ale się nie gniewam. Ricky postąpił jak skończony dupiek, wyskakując z tym tekstem, że jak nie ty, to ona. Wie, że nie możecie po prostu powiedzieć JWW, gdzie mogą sobie wsadzić tę parszywą robotę, bo boicie się, co Dennis Tanner zrobiłby wam za złamanie warunków umowy; a potrzebuje kogoś, kto pomoże pilnować interesu, kiedy sam będzie się przez trzy miesiące włóczył po świecie. Nie chce, żeby to była twoja dziewczyna, bo ma niereformowalne poglądy na temat tego, co kobietom wolno w miejscu pracy, a czego nie, więc z braku laku padło na ciebie. Gadanie, że nadajesz się do tej roboty i tak dalej, to mydlenie oczu. – Westchnął. – Cały Ricky. Ze wszystkich samolubnych drani chyba najgorszy jest samolubny drań, który chce, żeby lubili go też inni. Ale mniejsza o to. – Klepnął Paula w plecy, omal nie przetrącając mu kręgosłupa. – Poradzisz sobie. Zwłaszcza – dodał z nutą napięcia w głosie – kiedy cię podszkolę.

– Eee, dzięki – powiedział Paul niepewnie. – W czym?

– Zobaczysz – odparł Benny Shumway z szerokim uśmiechem.

– No dobra, teraz dowiedzmy się czegoś o tobie. Ćwiczysz?

Minęła chwila, zanim Paul zorientował się, o co chodzi w pytaniu.

– No... nie – przyznał.

– Rozumiem. Trenowałeś kiedyś sztuki walki? Judo, karate, taekwondo?

– Nie.

– Bronią władasz? Ćwiczyłeś szermierkę, kenjutsu, strzelectwo? Znasz się na materiałach wybuchowych?

– Hm.

Uśmiech Benny'ego wyglądał jak rozsuwający się zamek błyskawiczny.

– Trucizny? – spytał. – Techniki przetrwania w dziczy?

– Raczej nie.

– To dobrze. – Benny aż promieniał zadowoleniem. – Nie znoszę mądrali, co wszystko wiedzą. A jak ci idzie wykonywanie poleceń? Dajesz sobie z tym radę?

– O tak – powiedział Paul z przekonaniem. – Robię to całe życie.

– Znakomicie – stwierdził Benny. – W takim razie jest szansa, że przetrwasz i nie będę cię musiał wysłać rodzinie w pudełku po zapalkach. Dokończ to, co masz dziś do zrobienia, jutro z samego rana zaczynamy szkolenie. – Nagle, bez ostrzeżenia, podał Paulowi rękę. – Witaj wśród

bohaterów.

– Słucham? – zdziwił się Paul.

– Tak się mówi na tych, co zwalczają szkodniki, zabijają potwory i w ogóle robią to co my.

Jesteśmy prawdziwymi bohaterami.

Paul chwilę myślał o odbiciu, które poprzedniego wieczoru zobaczył w oknie.

– Serio? – powiedział. – To świetnie.

– Jest krasnoludem – wyjaśniła Sophie, kiedy przerzucali ostatnie wydruki z liczników Mortensena (pozornie nic nieznaczące arkusze kalkulacyjne, które należało ułożyć chronologicznie).

– No tak – powiedział Paul. – To znaczy, wysoki nie jest, ale nie posunąłbym się aż do....

– Nie – przerwała mu. – Kra-sno-lu-dem. No wiesz, takim jak te, co żyją w górskich jaskiniach. Kojarzysz? Nieustraszeni wojownicy, doskonali rzemieślnicy, mają hopla na punkcie złota, bogactw i tak dalej. Nie czytasz książek?

– Ale... – zaczął Paul, po czym pomyślał: Nieustraszony wojownik, no tak, to się zgadza; czy doskonały rzemieślnik, trudno powiedzieć, choć jest kasjerem, więc to też by pasowało. – Aha. No tak. Skąd... ?

Sophie łypnęła na niego ze zniecierpliwieniem.

– Cóż, przecież to oczywiste. Chyba czytałeś regulamin organizacji pracy w biurze?

Ach, regulamin, pomyślał Paul.

– Tak – skłamał. Jasne, zamierzał to zrobić, odkąd pewnego ranka przyszli do pracy i znaleźli na wspólnym biurku dwa egzemplarze regulaminu: dwa ogromne, oprawne w cielejącą skórę tomiszczą grubości pustaków, cztery tysiące stron zapisanych małym, odstręczającym drukiem. Dwa dni później Paul ukradkiem zważył swój egzemplarz na wadze w kancelarii. Cztery i pół kilo. Planował lada dzień zabrać się do lektury.

– Tak czy inaczej... – Sophie spojrzała za jego plecy, na przeciwległą ścianę. – To właśnie chcesz robić? Polować na potwory, zabijać smoki i tak dalej?

Paul myślał przez całą pięćdziesięciotysięczną część sekundy, zanim odpowiedział:

– Nie, oczywiście nie. To musi być okropne i niebezpieczne. Ale chyba nie mam wyboru.

Sophie skinęła głową.

– Zawsze mógłbyś odmówić – zauważyła. – To znaczy, postawić się, powiedzieć im prosto w oczy, że tego nie zrobisz.

– Myślisz, że by posłuchali?

– Nie.

– Ani ja.

– Ale to takie... – Patrzyła na niego spode łba, jakby to on był winien, że jest ofiarą. –

Czemu nie mogą znaleźć kogoś innego, kto odwaliby tę durną robotę za nich? Czemu musisz to być ty?

To wcale nie muszę być ja, nie powiedział Paul; mogliby obarczyć tym ciebie. I właśnie dlatego... Zamiast tego powiedział:

– Nie będzie tak źle. Wydaje mi się, że to głównie nudne i męczące... i tak naprawdę wcale nie takie niebezpieczne. W tych czasach już nie latają w zbrojach, wymachując mieczami.

– Nie? Skąd wiesz?

– Nie wiem – przyznał. – Ale to logiczne, no nie? Przecież technologia poszła do przodu, mam rację? Benny Shumway mówił o materiałach wybuchowych i truciznach...

– I innych jakże bezpiecznych rzeczach – powiedziała Sophie.

– A poza tym to niemoralne. Mówisz o eksterminacji zagrożonych gatunków. Wystarczy spojrzeć na tego Ricky'ego Wurmtotera i od razu wiadomo, co to za typ. Pewnie trzyma parasole w stojaku ze smoczej łapy. Co smoki zrobiły ci złego?

– Nic – powiedział Paul. Na razie, dodał w myślach. – Słuchaj, nie masz co na mnie naskakiwać, przecież to ostatnia rzecz, jaką chciałbym robić. Czy raczej – dodał zasepiony – przedostatnia. Ostatnią jest danie panu Tannerowi pretekstu do tego, żeby zrobił mi coś okropnego za złamanie umowy. A może zapomniałaś...

– Nie, nie zapomniałam. Ale cokolwiek by się wydarzyło, na pewno by cię nie zabił. A ty nie mordowałbyś Bogu ducha winnych smoków. Naprawdę uważam, że tym razem powinienes być stanowczy. Wyrazić sprzeciw.

– Sophie...

Tyle mógł powiedzieć; i aż się prosiło, żeby to zrobił – że łatwo jej mówić, że to nie ją wyznaczono na ochotnika do walki z cholernymi smokami, że ona przez trzy najbliższe miesiące będzie sobie poznawać dział rozrywki, co zapewne oznaczało chodzenie na premiery, pętanie się wokół basenów na przyjęciach i spotkania z gwiazdami. A poza tym co by zrobiła, gdyby to ona wyciągnęła krótszą zapałkę? I jak sądziła, dlaczego, do cholery, tak potulnie ustąpił? Co, nie domyśliła się, że inaczej padłoby na nią i wtedy to ona wyleciałaby w powietrze albo została pożarta przez smoki? Ale nic z tego nie powiedział na głos – w ogóle się nie odezwał – czyli wiele się nauczył przez ostatnie pół roku, nawet bez czytania regulaminu organizacji pracy.

– Co? – rzuciła.

– Nic.

Sophie spojrzała na niego wzrokiem, którym można by zeskrobywać pąkle z platformy wiertniczej, i wróciła do sortowania wydruków. Paul zrobił to samo, mgliście świadom, że w ostatniej chwili zapobiegł wybuchowi trzeciej wojny światowej. Nasza pierwsza kłótnia, pomyślał, ale wcale go to nie uszczęśliwiło.

Lunch zwykle jedli na mieście, w małym włoskim barze kanapkowym za rogiem, tym samym, w którym kiedyś kupiła mu wiekopomną bułkę z szynką. Dziś jednak miała spotkać się z Judy di Castel'Bianco, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co będzie u niej robić. Pewnie zajmie jej to całe popołudnie, zobaczymy się dopiero w domu, pomyślał. Może to i dobrze, skoro była w takim nastroju. Przez całą przerwę na lunch i całe popołudnie przerzucał arkusze kalkulacyjne i już miał zrobić sobie fajrant (dwadzieścia pięć po piątej; wszyscy musieli opuścić budynek do wpół do szóstej, z powodu goblinów), kiedy wszedł Ricky Wurmtoter.

Nawet nie zapukał, co samo w sobie było niezwykle. Poza tym wydawał się czymś przejęty, niemal stropiony. Miał walizkę i Paul zauważył, że był bez swojego naszyjnika z pazurem.

– Paul, przepraszam, że przeszkadzam. Mam prośbę.

– Jasne – odparł Paul z niepokojem.

– Czy nie miałbyś nic przeciwko... – Mamroczący Ricky Wurmtoter? Niesłychane! – Słuchaj... – Gdyby to był ktokolwiek inny, Paul pomyślałby, że zachowuje się podejrzanie, prawie jakby miał coś na sumieniu. – Głupio mi o to prosić, ale mógłbyś mi pożyczyć drzwi? No wiesz, te, którymi dostałeś się w miejsce, gdzie Humph Wells uwięził tych dwóch urzędników?

Najbardziej zaskakujące było to, że Ricky Wurmtoter prosił. Odkąd Paul przypadkiem natknął się na przenośne drzwi, cienką plastikową płachtę, która rozłożona na ścianie zmieniała się w drzwi prowadzące w dowolnie wybrane miejsce i czas, czekał tylko, kiedy ktoś na niego nakrzyczy za to, że je sobie przywłaszczył, i zażąda ich natychmiastowego zwrotu. Koniec końców znalazł je w szufladzie biurka – choćby nie wiadomo jak wyteżał wyobraźnię, nie mógłby ich nazwać „swoimi”. Były bez wątpienia rzadkim i cennym elementem wyposażenia, więc się dziwił, że nikt nie zauważył ich braku. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nikt (oprócz Sophie, matki pana Tannera i szefa zarządu firmy) nie wiedział, że drzwi są u niego. Teraz jednak okazało się, że wiedział to też pan Wurmtoter. I w dodatku ładnie o nie prosił.

– Hm – powiedział Paul.

– Oddam, jak tylko przestaną mi być potrzebne – ciągnął pan Wurmtoter... nie do wiary, ale praktycznie błagał. – Bo widzisz, mogą mi bardzo ułatwić wykonanie pewnego zlecenia. Im prędzej się z nim uwinę i tu wrócę, tym wcześniej skończysz praktykę w dziale zwalczania szkodników i przejdiesz do Kazika Susłowicza, Theo van Spee czy kogo tam jeszcze. Co ty na to?

– Jasne. – Paul sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął tekturową tubkę zawierającą przenośne drzwi. Tyle miał spraw na głowie, że nie używał ich od wielu miesięcy, nawet o tym nie pomyślał. Mimo to miał dziwne opory przed ich oddaniem i kiedy Ricky Wurmtoter praktycznie wyrwał mu je z rąk, poczuł, że zatliła się w nim iskierka gniew⁷u, najdelikatniejsza chęć do walki...

– Dzięki – rzekł Ricky Wurmtoter i widać było, że aż nogi się pod nim ugięły z ulgi. – To

naprawdę miło z twojej strony, dobry z ciebie kumpel. – Zanim Paul odzyskał mowę, dodał: – Cóż, nie będę cię dłużej zatrzymywał, lepiej się pospiesz, jeśli nie chcesz się nadziać na ohydną rodzinę Dennisa. Jeszcze raz dzięki, Paul, nie zapomnę ci tego, życie mi ratujesz. I oddam to, obiecuję. – Pan Wurmtofer uśmiechnął się z zakłopotaniem, kichnął potężnie i wybiegł z pokoju.

O rany, pomyślał Paul. Kumpel. Ja. I to kumpel, który ratuje życie – prawdziwy, nie jakaś tania podróba. Z drugiej strony, stwierdził, niniejszym ubył mi niezwykle użyteczny zaczarowany przedmiot, który może się przydać w sytuacji, kiedy (dajmy na to) stoi się twarzą w twarz z ziejącym ogniem, rozwścieczonym smokiem. Najprawdopodobniej to dlatego panu Wurmtoferowi – mojemu kumplowi Ricky'emu Wurmtoferowi – tak bardzo na nim zależało. Mówi się trudno.

Ani słowa o tym Sophie, pomyślał, choć nie był pewien dlaczego. Włożył płaszcz i wyszedł.

Goblinów jako takich nie było, ale dyżur w recepcji miała mama pana Tannera. To znaczy, w holu urzędowała boska kasztanowłosa piękność, którą widział pierwszy raz w życiu. Mrugnęła do niego, kiedy przechodził. Mama pana Tannera była goblinem; jak wszystkie takie istoty, potrafiła na zawołanie przyoblec się w ludzkie kształty i nie kryła, że szaleje za Paulem, o czym on usilnie starał się nie myśleć. Udając, że nic nie zauważył, przemknął obok niej i nie zwolnił kroku, dopóki nie dotarł do przystanku autobusowego.

Nieprawdą jest, że łatwiej dostać się z Buchary do Taszkientu na grzbiecie trzynogiego wielbłąda niż dojechać autobusem z City do Kentish Town. Takie tylko ma się wrażenie, zwłaszcza kiedy człowiekowi się spieszy. Paul dawno się przekonał, że magia nie działa na korki uliczne (co wskazywałoby, o zgrozo, że centrum Londynu z natury rzeczy ma być permanentnie zakorkowane), dlatego przez całą drogę denerwował się i zerkał na zegarek. Wskazówki wręcz zdawały się cofać. Wymyślił sobie, że wróci do domu przed Sophie, posprząta, pozmywa, ugotuje coś na kolację i ogólnie zaimponuje jej tym, jaki to potrafi być troskliwy i odpowiedzialny. Po kolacji naklei na twarz śmiertelnie poważną minę i zasugeruje, że czas na Poważną Rozmowę o Nas, czym niezmiernie ją ucieszy; My to był chyba jej ulubiony temat rozmów i choć Paul na ogół po kilku minutach tracił wątek, to nigdy nie miało znaczenia, pod warunkiem że przytakiwał każdemu jej słowu i patrzył jej w oczy. Taki był jego plan: coś w stylu wyprzedzających przeprosin za to, co już zrobił i co w przyszłości zrobi nie tak, cokolwiek by to miało być. Niestety, jak na złość, wyglądało na to, że sześćdziesiąt tysięcy samochodów postanowiło do tego nie dopuścić, choćby miały to przypłacić życiem.

Kiedy w końcu postawił nogę na chodniku, było pół godziny po jego przewidywanym czasie przybycia. Pędząc z przystanku do domu, szybko przetasował swoje plany. Jeśli mimo wszystko przyjdzie przed nią, priorytetem będzie zmywanie, a zaraz potem szybka potyczka z brudnymi ciuchami walającymi się na podłodze sypialni. Najważniejsze, żeby zaproponował

Poważną Rozmowę. W zasadzie jak już podda ten wniosek pod dyskusję, będzie mógł pójść spać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Ona będzie mówić poważnie za nich oboje.

Gdy wtarabanił się do środka, odetchnął z ulgą. Nie było jej, więc rzecz jasna jeszcze nie wróciła do domu. I wtedy zobaczył kopertę.

Leżała na stole kuchennym i na wierzchu miała napisane „Paul”, jej charakterem pisma; a to bardzo źle wróżyło, bo ilekroć Sophie zostawiała mu wiadomość, że wyskoczyła do sklepu albo wypożyczalni filmów, wykorzystywała do tego celu żółte karteczki samoprzylepne, które naklejała na drzwi lodówki. Koperta na stole, z imieniem „Paul”, nie mogła oznaczać nic dobrego. Czując się tak, jakby jakiś złośliwy dowcipniś rozpruł go i wypchał gazetami, usiadł i otworzył ją.

Paul, z nami koniec. Kiedy wróciłam dziś do domu, uprzytomniłam sobie, że nie ma co tego ciągnąć. Zależy mi na Tobie i wiem, że Tobie zależy na mnie, ale mnie zależy też na nas, a Tobie nie. To nie Twoja wina, po prostu jesteś, jaki jesteś, a ja jestem, jaka jestem, i nijak nie da się tego przeskoczyć. Nawet gdybyśmy spróbowali, skończyłoby się tym, że żadne z nas nie byłoby sobą. Na pewno to dostrzegasz, prawda?

Chcę, żebym przez trzy najbliższe miesiące pracowała w filii w Hollywood – nie wiedziałam, że taką mają, ale teraz już wiem – i kiedy wrócę, przyjdę po resztę moich rzeczy. Wysłałam właścicielowi domu czek z moją połową komornego, więc tym się nie przejmuj. Gdybyś musiał się ze mną skontaktować, zapewne możesz zadzwonić do filii w Ameryce, ale wolalabym, żebyś tego nie robił. Naprawdę nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Przykro mi, Paul. Nie chciałam, żeby tak się to skończyło, ale chyba oboje wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie, więc zamiast zwlekać, lepiej mieć to od razu z głowy. Wydaje mi się, że oboje przez cały ten czas sami siebie oszukiwaliśmy. To nie dlatego, że jesteś złym człowiekiem czy coś zrobiłeś nie tak. Gdybym od początku była ze sobą szczerą, sprawy nie zaszyby tak daleko. Nie zapomnij w czwartek wieczorem wynieść śmieci. Zdaje się, że poszła uszczelka w odkurzaczu.

Mam nadzieję, że wszystko Ci się dobrze ułoży.

Sophie

Rozdział 2

A potem się obudziłem, powiedział sobie, i okazało się, że to był tylko sen.



Ludzi czasem łatwo przeoczyć. Dużo trudniej nie zauważyć pustych miejsc, które po nich zostają. Paulowi przypomniało to lekcje fizyki w szkole. Nigdy nie mógł ogarnąć myślą takich pojęć jak liczby ujemne czy antymateria, teraz rozumiał je doskonale. Gdziekolwiek patrzył, nawet kiedy zamykał oczy, widział tylko brak Sophie, lukę w miejscu, gdzie była kiedyś, gdzie powinna być, gdzie już jej nie było. Luka ta była tak wielka, tak zdominowała pejzaż, że musiała być widoczna z kosmosu, jak Wielki Mur Chiński czy światła na autostradach San Francisco. Może (snuł rozważania, nie żeby go to obchodziło) tym właśnie są duchy; wielkimi pustymi miejscami po ludziach, którzy umarli, złośliwie niedomykanymi przez pragnący własnej zguby ludzki umysł. Przede wszystkim, z jakiegoś zwariowanego powodu, wyczuwalna nieobecność Sophie kojarzyła mu się z tymi idiotycznymi przenośnymi drzwiami, tyle że w odróżnieniu od nich była to luka w naturze, która prowadziła jedynie w przeszłość, i bardzo niebezpiecznie byłoby przez nią przejść. Zrobił sobie mocną herbatę, ale to niewiele pomogło. Myślał, czyby nie pójść do pubu na rogu i zalać się w pestkę, ale rano musiał iść do pracy, żeby uczyć się walczyć z durnymi smokami. Na wszelki wypadek spróbował rzucić czar, lecz tylko głowa go rozboleła od wyjątkowego skupienia, a kiedy otworzył oczy, Sophie i tak nie było. Nic dziwnego: magia naprawia tylko to, co nawaliło. W tym wypadku usterkę najwyraźniej już usunięto.

W telewizji nie było nic oprócz snookera i teleturniejów, a on nie miał nastroju ani na jedno, ani na drugie. Próbował zasnąć, ale puste miejsce obok niego było tak szerokie i głębokie, że bał się, że stoczy się do środka i nigdy nie wygrzebie; usiadł więc w fotelu. Poczytałby książkę, tyle że wszystkie książki na regale należały do Sophie.

O trzeciej nad ranem doszedł do wniosku, że nie przepada za sobą; przykre, zważywszy na to, że był na siebie skazany.

O siódmej ubrał się, ogolił, uczesał. Nie miał chleba, a mleko było w stanie nie do końca płynnym. Magia naprawiłaby ten stan rzeczy, ale mu to wisiało. Poszedł do pracy.

Recepcjonistka uśmiechnęła się, kiedy przechodził obok niej, co pokazywało, jak mało wiedziała o świecie. Nie miał najmniejszej ochoty iść do swojego gabinetu, bo po drugiej stronie

biurka czekało tam na niego puste miejsce, którego raczej wolałby nie oglądać. Chrzanić Ricka Wurmtotera, pomyślał; właśnie kiedy przydałyby mi się przenośne drzwi, musiał je zabrać. Mimo to do gabinetu poszedł i przez kilka minut siedział naprzeciwko pustego miejsca, gdy raptem przypomniał sobie, że miał z samego rana zgłosić się do Benny'ego Shumwaya na pierwszą lekcję bohaterstwa.

– Przepraszam zasp... – zaczął, kiedy otworzył drzwi kasy, ale w środku nie było nikogo. Stał na progu ze zmarszczonym czołem. Pracował w JWW dość długo, by wiedzieć, że nieobecność kasjera (Cholerny świat, pomyślał, czy wszyscy dziś stąd wybyli? Jeszcze trochę, a będę miał cały budynek dla siebie) mogła mieć wiele przyczyn. Mógł to być test na inteligencję, pierwszy etap szkolenia; a może pan Shumway przed dwudziestoma laty zaprzedał duszę Złemu i komornik właśnie przyszedł odebrać należność; pan Shumway mógł też po prostu wyskoczyć naprzeciwko na siku. Tym razem jednak Paul nieszczególnie przejął się tym, że nie wie, co się dzieje. Jedną z zalet tego, że wszystko traci znaczenie, jest to, że od tej pory nic nie ma znaczenia. Usiadł i wyjrzał przez okno. Światło padało pod tak dziwnym kątem, że zamiast budynków naprzeciwko widział własne odbicie. Nie lubił go oglądać. Zbyt dołujący widok.

– Doskonale – usłyszał głos za swymi plecami. – Nareszcie jesteś. Szukam cię po całym budynku.

Pan Shumway nie wydawał się zadowolony, ale akurat w tym nie było nic dziwnego. Oprócz swojego zwykłego znoszonego ciemnografitowego garnituru miał nasunięte na czoło okulary ochronne i osmalone skórzane rękawice. Zdjął je i schował do szuflady biurka.

– No dobrze, jako że mamy pewne opóźnienie i już się poznaliśmy, nie będziemy tracić czasu na gadanie bzdur o sobie. „Beowulf”.

Paul był ciekaw, czy to po krasnoludzku „A psik!”.

– Słucham?

– „Beowulf” – powtórzył pan Shumway. – Ach, czyli nigdy o tym nie słyszałeś. – Otworzył następną szufladę, wyjął książkę z oślimi uszami i rzucił. Ku swojemu bezbrzeżnemu zaskoczeniu, Paul ją złapał. – Przeczytaj uważnie, dużo się można nauczyć. Jeśli cię to ciekawi, jest to staroangielski epos o gościu, który walczy z potworami. Zakładam, że przeczytałeś już rozdziały piąty, dziewiąty i czterdziesty szósty regulaminu organizacji pracy w biurze...

Normalnie Paul by skłamał, ale skoro i tak nic już nie miało znaczenia, czemu nie powiedzieć prawdy?

– Przykro mi, ale nie. Ja właśnie...

– Cholerny świat. – Pan Shumway cmoknął językiem. – Wiem, że uważasz to wszystko za niczym nieuzasadnioną ingerencję w twój czas wolny i że nie chcesz tu być, aleja mam dużo pracy. Jestem realistą, więc nie oczekuję twojej pomocy. Oczekuję jednak, że postarasz się mi w cholere

nie przeszkadzać. Rób, co każe, odrabiaj lekcje i nie marnuj mojego czasu. Jasne?

– Przepraszam. – W Paulu poczucie winy wezbrało jak zawartość zapchanego klozetu. – Po prostu chodzi o to, że...

Nagle pan Shumway uśmiechnął się szeroko, co było niepokojące.

– Wiem. Czujesz się trochę tak, jakbyś dostał kopa w jaja. Pamiętam, że jak miłość mojego życia posłała mnie do wszystkich diabłów, schlałem się jak Świnia i ocknąłem się w szpitalu. Tydzień później mnie wypisali i wziąłem ślub z pielęgniarką. To była moja piąta żona. Miła dziewczyna, miała nos jak korzeń pasternaku. Nie przejmuj się – dodał radośnie. – Może to ci wyjdzie na dobre. Wielkim plusem tego, że kobieta cię rzuca, jest to, że możesz wrócić do lodziarni i wypróbować kilka nowych smaków. Tylko nudziarze i gołębie łączą się w pary na całe życie, a widziałeś kiedyś wesołego gołębia? – Ułożył ołówek idealnie równoległe do krawędzi biurka. – Dość już o tym. Nie ma sensu, żebyś tu siedział, skoro nie masz podstawowych informacji. Zadekuj się w jakimś spokojnym miejscu i przeczytaj rozdziały regulaminu, o których wspomniałem, a kiedy to zrobisz, wrócisz tutaj i zaczniemy. – Zawahał się, kichnął jak z armaty i wytarł nos wielką czerwono-białą chusteczką.

– Rozumiemy się?

– Tak – odparł Paul, lekko skołowany.

– W porządku. To znaczy, że niniejszym możesz wyjść. Zegnam.

Paul był już w połowie drogi do schodów, kiedy usłyszał za plecami wołanie pana Shumwaya:

– Pamiętaj o „Beowulfie”! Przeczytaj *gol*

Kiedy się obejrzał, zobaczył zamykające się drzwi kasy.

A zatem, pomyślał Paul, wlokąc się schodami z powrotem na dół, wygląda na to, że wie już całe biuro; pewnie wiedzieli wcześniej ode mnie. Żaden kłopot, przynajmniej oszczędzi mu to krępujących wyjaśnień. Może nawet wyjdzie mu to na dobre, jak powiedział Shumway. Czy była jakaś aktualna pani Shumway? Jeśli tak, Paul nic o niej nie słyszał, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. W każdym razie na biurku Shumwaya nie było żadnego zdjęcia w ramce. Paul wrócił do swojego gabinetu i zdjął z regału regulamin organizacji pracy w biurze, czując, jak ścięgna mu trzeszczą pod jego ciężarem. W tym momencie olśniło go, że przecież pan Shumway nie kazał mu czytać tych rozdziałów w gabinecie, powiedział tylko, żeby poszedł w jakieś spokojne miejsce. Zapewne to tylko nietrafny dobór słów, ale kto go tam wie, może się nad nim zlitował; może sam też kiedyś dzielił ciasne pomieszczenia z ludźmi, których już nie było, i rozumiał, jakie to uczucie. Cóż, taka była jedna z możliwych interpretacji i w sumie co za różnica, czy Paul będzie czytał grubą, nudną cegłę tutaj, czy gdzie indziej.

Jakoś nie mógł zdobyć się na to, by wyjść z budynku; pamiętał jednak, że w trakcie swoich

wędrówek znalazł na czwartym piętrze pokoik, z którego najwyraźniej nikt nie korzystał – w środku było tylko proste, staroświeckie drewniane biurko i krzesło. W sam raz na kryjówkę. Zakładając, oczywiście, że pokój będzie tam, gdzie był poprzednio.

Był, choć od jego ostatniej wizyty do biurka i krzesła dołączyła stara, odrapana, zielona stalowa szafka na dokumenty i cztery przedpotopowe monitory. Paul usiadł, wysunął szufladę szafki, żeby mieć na czym położyć nogi, i otworzył regulamin organizacji pracy w biurze.

Są książki, których mimo najszczerzej chęci czytać się nie da. Oko ześlizguje się po stronicy jak pilnik po hartowanej stali. Po dwudziestu minutach człowiek stwierdza, że kilka razy przeczytał jeden akapit i nadal nic z tego nie rozumie. Paul westchnął, rzucił tomiszcze na biurko, które zatrzęsło się jak galareta pod tym ciężarem, i wyjął z kieszeni książkę od pana Shumwaya.

„Beowulf” okazał się krztynę bardziej strawny. Treści w nim było niewiele, kartki były mniejsze, na każdej mniej słów i nic o miłości. Paul nie mógł nie czuć się lekko zaniepokojony tym, że dostał taką lekturę obowiązkową; opisy walki z potworem były cokolwiek niejasne i zdawały się wymagać od czytelnika obeznania z fechtunkiem; poza tym bohater, który walczył ze smokiem, ginał, co nie nastrajało zbyt optymistycznie. Może właśnie o to chodziło, może dostał tę książkę, by się dowiedzieć, jak nie należy walczyć ze smokami. Z programem nauczania nie ma dyskusji. Kiedy dobiegł do końca, była już za pięć pierwsza. Przerwa na lunch. Nie wiedzieć czemu czuł, że musi na jakiś czas wyjść z budynku. Schował książkę z powrotem do kieszeni, zostawił regulamin na biurku i poszedł do recepcji.

Recepcjonistka znów uśmiechnęła się do niego, gdy ją mijał; dziwne, stwierdził w duchu, wychodząc na ulicę, bo prawie na pewno nie była to mama pana Tannera (która szczyrzyła się raczej, niż uśmiechała; poznałby ją w każdym przebraniu z odległości dwudziestu pięciu metrów). Zaskakujące też, że nie była jakoś szczególnie ładna. Dziewczyny z recepcji (codziennie inna) nieodmiennie były olśniewająco piękne, z tej prostej przyczyny, że każdą z nich była mama pana Tannera albo jedna z jego ciotek, które nosiły ludzkie kształty jak gwiazdy filmowe ubrania – tylko to, co najlepsze, i nigdy dwa razy to samo. Jednak dziewczyna, która się do niego uśmiechnęła, wyglądała sympatycznie, ale nic ponadto, a jej zęby nie miały tego charakterystycznego połysku kłów wilka z „Czerwonego Kapturka”, po którym Paul nauczył się rozpoznawać goblinice w cywilu. Prawdziwy człowiek w recepcji? Do czego to doszło?

Ważniejsza sprawa: gdzie spędzić cenne pięćdziesiąt pięć minut wolności? Tu miał zagwozdkę. Włoski bar kanapkowy odpadał, rzecz jasna; podobnie pub na rogu, który będzie pękał w szwach od pustych miejsc po Sophie. Zostawał więc tylko Starbucks na końcu ulicy – ponury, przygnębiający lokal, który przypominał lotnisko późną nocą, ale lepsze to niż wałęsać się po okolicy. Paul kupił kawę i ciastko i usiadł przy jedynym wolnym stoliku.

– Można się przysiąść?

Podniósł głowę i po raz trzeci tego dnia znalazł się na muszce tego samego, niczym niesprowokowanego uśmiechu.

– Proszę bardzo – wymamrotał.

Usiadła obok niego, ostrożnie stawiając kubek kawy i ciastko na rozchybotanym blacie.

– Nie pamiętasz mnie, co? – powiedziała.

Pewnie że pamiętam, pomyślał Paul. Jesteś nową recepcjonistką, widziałem cię jakieś trzy minuty temu.

– Hm – mruknął.

– Jestem Melze – przedstawiła się. – Demelza Horrocks. Szkoła podstawowa Laburnum Grove. – Jej uśmiech był całkowicie ludzki; ani jednego ostrego kąta. – Obiecywałeś, że się ze mną ożenisz, jak dorośniemy, ale najwyraźniej wyleciało ci to z głowy.

Zaskoczenie Paula musiało się odbić na jego twarzy, bo dziewczyna się zaśmiała. Nie mógł tego pojąć; po co ktoś miałby tak kłamać? To oczywiste, że ta dziewczyna to nie Melze, bo Melze miała piegi, cztery szczyrby z przodu, nos w kształcie małej gałki u drzwi i może metr dwadzieścia wzrostu... Nagle sobie uprzytomnił, że wcale nie kłamała. Wciąż tam była, w trójkącie między brwiami i podbródkiem, niczym zabytkowy gmach otoczony przez nową zabudowę. W tym wypadku zabudowę wysokiej klasy.

– Zmieniłaś się – stwierdził.

– Dziękuję – odparła. – Ty też. Co robisz w tej norze?

– Tylko tu dostałem pracę – wyznał ze wstydem.

– To tak samo jak ja.

Ja cię kręcę, myślał. Demelza Horrocks.

– Niemożliwe – powiedział. – W szkole dobrze się uczyłaś, dostałaś się na Wiffins i w ogóle. Myślałem, że każdy, kto tam studiuje, zostaje lekarzem albo księgowym.

Uśmiechnęła się.

– Nie całkiem. Jasne, taki miałam cel, ale go nie osiągnęłam. Wyleciałam z uniwerku na drugim roku... kłopoty sercowe. Parę lat pracowałam w barze, aż nagle dotarło do mnie, że nie można bez końca mieć dziewiętnastu lat, a wtedy, jak się okazało, byłam już za stara i zgrzybiała, żeby się do czegośkolwiek nadawać. Dlatego zrobiłam kurs maszynopisania i takich tam, no i jestem tutaj. – Wzruszyła ramionami. – Zmarnowane okazje i tak dalej. Mogłabym być kominiarzem, gdybym tylko zdała właściwe przedmioty na maturze.

Paul tego nie zrozumiał, więc uznał, że to musi być cytat.

– Przykra sprawa – powiedział. – To znaczy – dorzucił – chyba, że jesteś niesamowicie szczęśliwa i zrównoważona, i w ogóle.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie.

– Aha. – Coś mu przyszło do głowy. – Hm, Melze... – powiedział z zakłopotaniem – wiesz cokolwiek o JWW? Bo właśnie...

Zaśmiała się.

– Czy wiem, czym się zajmują? Pewnie! Powiedzieli mi to od razu, na rozmowie kwalifikacyjnej. Niesamowite, ale obiecali, że ja z tym wszystkim nie będę się stykać. Mam tylko odbierać telefony i robić inne zwyczajne, nudne rzeczy.

Paul zmarszczył brwi. Jemu na rozmowie kwalifikacyjnej niczego takiego nie powiedzieli; potrzeba było kilku tygodni i konfrontacji zbrojnej ze stadem czerwonoookich goblinów, by poznał prawdę.

– Nie jest tak źle – stwierdził w myśl zasady, że w takiej chwili trzeba powiedzieć coś pocieszającego. – Bylebyś tylko wychodziła przed wpół do szóstej. Wtedy...

– Wiem – przerwała mu. – Uprzedzali mnie. Nie mogę też zostawiać w biurku rzeczy osobistych, jeśli nie chcę, żeby zostały rozszarpane dziesięciocentymetrowymi szponami. A skoro już o tym mowa, powinieneś zobaczyć damską ubikację na piętrze. Pewnie szefostwo zapomina tam zajrzeć, kiedy w poniedziałek rano sprzątają.

To przypomniało Paulowi coś innego.

– Nie wspomnieli ci może – powiedział tak swobodnie, jak tylko potrafił (mniej więcej tak wyluzowany jak wartownik przed pałacem Buckingham, niestety) – dlaczego szukali recepcjonistki? Bo widzisz, do tej pory to dwa gobliny...

– Matka pana Tannera, owszem. Nie słyszałeś? Podobno jest w ciąży, a gobliny są dość staroświeckie, jeśli chodzi o urlopy macierzyńskie.

– O kurczę! – Miało to jeden plus... nie, dwa, nawet trzy. Pierwszym była radosna myśl o reakcji pana Tannera na widok braciszka albo siostrzyczki. Drugim to, że jeśli mama pana Tannera na jakiś czas wypadnie z obiegu, to Paul wreszcie będzie mógł minąć na ulicy atrakcyjną kobietę i nie wypatrywać u niej błyszczących oczu i drapieżnego uśmiechu. Trzecim... trzecim, czwartym i piątym plusem zaś było to, że od tej chwili dzień w dzień będzie się widział z Melze, a zawsze ją lubił. I to bardzo...

Ożeż cholera, pomyślał. Znowu to samo.

Jadła ciastko. W wieku dziewięciu lat strasznie się brudziła przy jedzeniu i to zostało jej do dziś; okruchy ciastka były rozsiane po jej nosie, brodzie i ustach. Złapał się na tym, że wpatruje się w jej usta, i pospiesznie uciekł z oczami. Bardzo źle się działo, bo (do tej pory) Melze była jedyną dziewczyną mniej więcej w jego wieku, przy której czuł się swobodnie. W dzieciństwie razem broili, czy to pluskając się w zapchanym liśćmi oczku wodnym ze złotymi rybkami jej ojca, czy to łapiąc larwy komarów w siatkę na motyle; wspólnie maltretowali samoloty z drzewa balsy i

zaplątywali sznurki latawców w krzakach, spierali się o rzekome naruszenia reguł w czasie maratonów gry w monopol, psuli sobie nawzajem zabawki. Byli przyjaciółmi, mimo że ona teoretycznie była dziewczyną. To było jak w „E. T.” i podobnych filmach, w których człowiek i obcy zbliżają się do siebie mimo dzielących ich różnic gatunkowych. A teraz... teraz ona to wszystko przekreśliła, takie miał wrażenie, bo przeistoczyła się w piękną, no, może sympatyczną, a przynajmniej nie potwornie zdeformowaną młodą kobietę, jedną z tych niebezpiecznych istot, które łamią człowiekowi serce, a potem zostawiają mu liściki i odchodzą, wypełniając świat czarnymi dziurami...

– No właśnie. – Melze dalej radośnie trajkotała, najwyraźniej nieświadoma tego, jak podłej dopuściła się zdrady. – Ty to na pewno wiesz: czy to prawda, że gobliny mogą się upodobnić do ludzi? To może być... cóż, kłopotliwe, tak mi się wydaje.

– Bardzo. Zwłaszcza że trzeba się ich strzec jak zarazy. Spotkałaś już jakiegoś?

– Coś ty. – Znów się uśmiechnęła, ale tym razem był przygotowany i w porę odwrócił wzrok. – To dopiero mój pierwszy dzień, pamiętasz? Poznałam za to cały zarząd. Ten Ricky Wurmtoter... niezły agregat, co?

Paul nie wiedział, co przez to rozumiała, ale złapał się na tym, że poczuł gwałtowny przypływ zazdrości, bo a nuż to słowo wyrażało pożądanie.

– Wyjechał coś załatwić – rzekł pospiesznie. – Nieprędko wróci. Tak się składa, że go, hm, zastępuję pod jego nieobecność.

– Serio? – Patrzyła na niego oczami jak reflektory nadjeżdżającej ciężarówki. – Ale on przecież jest od zabijania smoków i łowów na wampiry, prawda?

– Tak.

– Fajnie. – Wciąż miał odwrócony wzrok, ale czuł na sobie jej uśmiech. Pewnie mógłby na nim opiekać muffiny. – Tym się zajmujesz?

– Tak – pisnął. – To znaczy... nie cały czas. Właściwie to pomagam w różnych sprawach. Dopóki nie zdecyduję, w czym się chcę wyspecjalizować.

– Niesamowite.

(Ale to nie w porządku, wrzeszczał głosik w jego głowie. Wczoraj o tej porze byleś zakochany w Sophie na śmierć i życie. Prawdę mówiąc – jak to jest z tymi strefami czasowymi, czy w Kalifornii jest osiem godzin wcześniej, czy osiem godzin później? – całkiem możliwe, że tam, gdzie była Sophie, wczoraj jeszcze się nie skończyło, a tu proszę, Paul Carpenter, leming miłości, już nabija sobie kolejne punkty w konkursie skoków na oślepie do morza. Jasne, jak upadasz na dno, najlepiej się od niego odbić, ale to nie znaczy, że masz być bilą we flipperze. To nie w porządku!).

– Cóż – powiedział, nie bacząc na rozterki duchowe – tak naprawdę to robota jak wiele

innych, no, może lepsza od kopania torfu czy układania towaru na półkach. Dawno machnąłbym na to ręką, gdyby nie... – Uderzyła go kolejna nieprzyjemna myśl.

– Melze, kazali ci podpisać kontrakt czy coś takiego? Bo widzisz, jest taka klauzula...

Potrząsnęła głową.

– Mówili mi o tym. To tylko dla pracowników merytorycznych. My, pomoce biurowe, możemy odejść, kiedy zechcemy. Pewnie uważają, że nie zdradzimy konkurencji tajemnic firmy, bo żadnych nie znamy, a gdybyśmy chciały na nich nakablować, że są czarodziejami i tak dalej, albo sprzedać tę informację brukowcom, nikt by nam nie uwierzył, bo przecież jesteśmy tylko głupiutkimi dziewczynami. – Wzruszyła ramionami. – Ale to nic. Myślę, że trochę tu zostanę. Jest dziwnie, jasne, ale bez porównania lepiej niż w norze, w której pracowałam poprzednio. Jedna dziesięciominutowa przerwa na kawę, a w pokoju dla pracowników były karaluchy.

– To... – Paul ugryzł się w język. Miał powiedzieć: „To świetnie, strasznie się cieszę, że będziesz tu pracować”. I czemu nie? Przecież była jego najstarszą przyjaciółką. – To okropne. A tak w ogóle, jak jest w pokoju do parzenia kawy? Nigdy nie ośmieliłem się tam wejść.

– Tak? Dlaczego? Co, w szafce pod zlewem jest mantykora czy coś takiego?

– Gorzej. Było tam pełno dziewczyn. Mantykora mogła go co najwyżej pożreć.

– Nie sądzę – powiedział. – Choć tutaj nigdy nic nie wiadomo. Jeden ze zszywaczy w recepcji okazał się starszym wspólnikiem.

– Słyszałam. – Melze zachichotała, po czym dodała lekko zmienionym tonem: – Zdaje się, że to ty go uratowałeś?

– Tak, ja i... – Pauza. – Ja i jedna koleżanka. Ale jej już nie ma. Wysłali ją do filii w Hollywood.

Paul robił, co mógł, by nie akcentować słów w rodzaju żeńskim, ale Melze oczy rozblęskły jak fretce na widok kulawego szczura.

– A co tam u ciebie? – spytała. – Masz kogoś?

Doskonale pytanie, pomyślał Paul mimo woli.

– Nie – powiedział. – Nie w tej chwili. – Miał nadzieję, że przez te lata straciła swój dar do wykrywania wszystkich jego kłamstw. – A ty?

Pokręciła głową, a on usilnie starał się nie zauważyć tego, jak włosy rozsypały jej się po ramionach.

– Właściwie nie, od czasu tego bydlaka na studiach. Przed nim było wielu. Same porażki. Prawda jest taka, że nie bardzo znam się na... – wręcz słyszał, jak otwiera cudzysłów – ... związkach. Ktoś kiedyś powiedział, że kiedy się zakochuję, jestem jak młody oficer wychodzący z okopu w 1914 roku. Trochę okrutne, ale w gruncie rzeczy prawdziwe. Dziwię się jednak, że ty jeszcze nie jesteś zaobrączkowany.

Ajaj, pomyślał Paul. To był temat, który powinien być zamknięty na siedem spustów i strzeżony przez anioły z płonącymi mieczami i rottweilery. Pora go zmienić.

– Co u twoich rodziców?

– W porządku – odparła Melze z lekkim westchnieniem. – Normalnie i nudno jak zawsze. Tatę awansowali na dyrektora do spraw sprzedaży na cały południowy wschód, co jest miłe z ich strony. Mama nadal robi pluszaki dla Czerwonego Krzyża. A co u twoich staruszków?

Paul uśmiechnął się blado.

– W zeszłym roku wyemigrowali na Florydę. Sprzedali dom, meble i całą resztę. Dzwonią raz czy dwa razy w miesiącu, zwykle o trzeciej nad ranem z powodu różnicy czasu, i mama opowiada mi, jak to nie lubi sąsiadów, bo ich pies rozkopuje rabatki. Nie powiedziałem im o JWW. Nie ma po co, uznaliby, że się wygłupiam.

Melze współczująco cmoknęła językiem.

– Zawsze byli trochę... cóż, zapatrzeni w siebie.

– Jak sroka w gnat. Wołałem twoich rodziców. Przynajmniej cieszyli się na mój widok.

Melze wzruszyła ramionami.

– A co z twoim wujkiem, tym, który na okrągło jeździł do jakichś egzotycznych krajów?

Paul musiał chwilę pomyśleć.

– Wujek Ernie? Od lat nie mam o nim wiadomości. Zakładam, że jeszcze żyje, bo inaczej ktoś by mi coś powiedział, ale straciłem z nim kontakt wieki temu.

– To przykre, kiedy tak się dzieje. W rodzinie tak zżytej jak nasza można się czasem nabawić klaustrofobii, ale przynajmniej jesteśmy ze sobą w kontakcie.

Przez jakiś czas gawędzili o swoich rodzinach, aż w końcu zupełnie zapomniał, z kim rozmawia; ani się obejrzał, a już było za pięć druga i ledwo zdążyli wrócić na czas do biura.

Zostawił ją w recepcji i powędrował do swojego pokoiku, myśląc: A teraz jeszcze do tego dojdą smoki. Inna sprawa, że ze smokami pewnie można nauczyć się sobie radzić, jeśli tylko ma się dość czasu i cierpliwego nauczyciela.

Trudno się dziwić, że po tym wszystkim nie mógł się skupić na regulaminie organizacji pracy w biurze. Nawet będąc w najlepszej formie, miałby kłopoty z takimi fragmentami:

W przypadku dorosłego smoka miejskiego (cl raco vulgaris Robinsonii) na obszarze zabudowanym Regulamin Zwalczenia Szkodników (w Dzielnicach Mieszkaniowych i Handlowych), załącznik 2, ustęp 2 (i) (b) dopuszcza użycie pocisku z wolframu lub zubożonego uranu o kalibrze co najmniej 14, 65 mm i masie nieprzekraczającej 51, 8 grama, z energią wylotową nie mniejszą niż 413, 88 kilogramometrów. Pociski wybuchające są zakazane na mocy Kodeksu z 1964 roku, z

wyjątkiem sytuacji, w których zgodę na ich użycie wyrazi upoważniony przedstawiciel odpowiedniego organu na danym obszarze; zezwolenie może zostać wydane tylko po spełnieniu co najmniej dwu z następujących warunków...

... a ponieważ miał tyle innych rzeczy na głowie, jak dla niego książka ta równie dobrze mogłaby być napisana sanskrytem. Przynajmniej nuda była mu jakimś pocieszeniem; trudno przerazić się czymś tak niewyobrażalnie nużącym. Kilka szczegółów zapadło mu w pamięć: na przykład, że na mocy ustawy o ochronie przyrody i terenów wiejskich z 1979 roku, uzupełnionej rozporządzeniem z 1981 roku, między 1 lutego a 22 listopada obowiązuje zakaz zabijania wampirów metodą przebicia serca osinowym kołkiem, nieobejmujący tylko posiadaczy ważnej licencji wydanej przez Ministerstwo Rolnictwa, a przy samym akcie unicestwienia wampira obecny musi być wykwalifikowany weterynarz, mający dopilnować, by wszystkie czynności przeprowadzono w sposób humanitarny, bez zadawania ofierze nadmiernego cierpienia. A właściciel bądź dzierżawca ziemi uprawnej miał prawo chwycić jednorożce przy użyciu dziewic i innych dozwolonych pułapek, jeśli tylko udowodnił, że niszczyły rosnące zboże bądź drzewostan.

Wpół do szóstej wyraźnie się tego dnia spóźniało. Kiedy zegar na przeciwległej ścianie wreszcie raczył dowlec się do tej godziny, Paul zatrzasnął księgę – będzie musiał dokończyć ją w domu, ale przecież miał tam drugi egzemplarz (należący do Sophie; pamiętasz, kto to?) – i pognął do recepcji; nie żeby miał jakikolwiek powód, by się tam znaleźć, zanim jakaś konkretna osoba pójdzie do domu, ale... Usłyszał, że ktoś go woła, i znieruchomiał. Poznał ten głos, mimo że od rozmowy kwalifikacyjnej zamienił z Judy di Castel’Bianco nie więcej niż kilka słów. Mówiła z, jak mu się zdawało, amerykańskim akcentem nakładającym się na inny, którego nie potrafił zidentyfikować. Kiedy pan Tanner tłumaczył mu, czym zajmują się poszczególni członkowie zarządu firmy, o niej powiedział, że kieruje działem rozrywki. Litery po jej nazwisku w nagłówku papieru firmowego podobno oznaczały, że jest Królową Elfów, cokolwiek to, do licha, znaczyło.

– Panie Carpenter – powtórzyła, wyłaniając się ze swojego gabinetu jak zwiad Floty Gwiezdnej. – Znajdzie pan dla mnie chwilę?

No cóż, pomyślał Paul. A po chwili dodał w duchu: Nieważne, będą jeszcze inne dni.

– Oczywiście – powiedział, siląc się na uprzejmość.

Patrzyła na niego. Miała duże oczy, zauważył, w bardzo jasnym odcieniu niebieskiego, niemal srebrzyste.

– Nie spieszy się panu ani nic takiego? – spytała.

– Hm, nie. Zupełnie.

Judy di Castel’Bianco chwilę milczała i przyglądała mu się w skupieniu jak kot

obserwujący mysz.

– Jeśli obawia się pan, czy zdoła wyjść z budynku po zamknięciu drzwi, oczywiście mam własny klucz.

– To świetnie – rzekł bezradnie. – Cieszę się.

Jeszcze półtorej sekundy uważnej obserwacji, po czym:

– Proszę za mną – powiedziała i zniknęła.

Paul przez chwilę stał jak wrośnięty w ziemię. Wreszcie olśniło go, że pewnie skręciła za róg, a on po prostu tego nie zauważył. Ruszył w tamtą stronę i rzeczywiście – była tam i właśnie otwierała drzwi małej sali konferencyjnej.

Dziś pomieszczenie miało kształt litery L, z dłuższym bokiem pod kątem prostym do ulicy. Judy di Castef Bianco usiadła u szczytu długiego, wypolerowanego stołu z orzecha i wskazała ruchem głowy krzesło po swojej lewej ręce. Kiedy Paul siadał, coś wydało mu się dziwne, ale nie był pewien co.

– Od razu przejdę do rzeczy. – Złożyła swoje niezwykle długie palce w daszek na blacie stołu. – Po pierwsze, z góry zaznaczam, że nasza firma z zasady nie miesza się w prywatne życie pracowników; poza tym, jako członek zarządu, nie jestem od tego, żeby ferować wyroki ani oceniać. Zdaję sobie jednak sprawę, że moja decyzja, by tymczasowo oddelegować panią Pettingell do naszej filii w Los Angeles, może mieć reperkusje dla waszego... – Lekko zmarszczyła brwi. – Waszego związku. – To słowo zabrzmiało jak zapożyczenie z języka obcego. Chyba nie do końca była pewna, czy poprawnie je wymawia.

– Tak się składa, że... – zaczął Paul, ale najwyraźniej go nie słyszała. Patrzyła za jego plecy; odchylenie było niewielkie, góra piętnaście stopni. Wyglądało to tak, jakby go nie widziała, tylko domyślała się, gdzie jest.

– Oczywiście – ciągnęła – jeśli przeniesienie pani Petdngell komplikuje wasze życie prywatne, ja i my jako firma naturalnie wyrażamy głębokie ubolewanie z tego powodu. Jednakże... – Zawahała się. – Jeśli mogę być szczerą, i zaznaczam, że są to tylko moje osobiste przemyślenia; odnoszę wrażenie, że zaistniały stan rzeczy może być korzystny dla wszystkich zainteresowanych, jako że związek – (znów lekkie zająknięcie się przy tym słowie) – o którym mowa, mógł nie do końca leżeć w interesie obu stron. Nie przypisuję sobie jakiegś szczególnie głębokiej wiedzy o tych sprawach, ale proszę, by rozważył pan tę sytuację pod tym kątem.

Judy di Castel' Bianco umilkła i spojrzała na niego, jakby oboje grali w przedstawieniu, a ona właśnie dała mu sygnał do wygłoszenia kwestii. Zachodził w głowę, co też, u licha, ma powiedzieć. Dopiero teraz zauważył, jak niezwykle wysokie i ostre są jej kości policzkowe. Kto to są właściwie te elfy?

– Nic się nie stało – wymamrotał – bo my właśnie, no, tego, tak jakby się rozstaliśmy. To

znaczy, to był raczej jej pomysł niż mój, ale chyba oboje wiedzieliśmy, że, rozumie pani, że nic z tego nie będzie. To znaczy, trochę miałem wrażenie, że...

Na szczęście przerwała mu, zanim ze wstydu zapadł w śpiączkę.

– To fortunnie się składa. Więc najwyraźniej wszystko dobrze się ułożyło. Zapewne łatwiej będzie panu wrócić do równowagi, kiedy nie będzie pan musiał blisko współpracować z panią Pettingell w tym trudnym pierwszym okresie po zakończeniu związku.

Paulowi zajęło chwilę, żeby to sobie przetłumaczyć.

– Oczywiście – rzekł. – Pewnie oboje potrzebujemy trochę od siebie odpocząć – dodał. (Tak powiedziałaaby Sophie). – Czyli, jak sama pani mówiła, właściwie oddała nam pani przysługę. Dlatego... – brnął, choć wiedział, że próbować zaradzić krępującym chwilom ciszy, wypełniając je pierwszymi słowami, jakie człowiekowi przychodzą do głowy, to tak jakby gasić pożar benzyną – ... nie gniewam się, to chcę powiedzieć. Nic się, hm, nie stało.

– W rzeczy samej. – Teraz omijała go wzrokiem z drugiej strony, tylko odrobinę. – Dobrze, że tak pan do tego podchodzi. Ufam, że nie uraziłam pana, poruszając ten temat.

– Och, nie, skądże – zapewnił pospiesznie. – O takich sprawach najlepiej mówić otwarcie i... hm... to bardzo miło z pani strony, że tak się pani mną interesuje, to znaczy, o mnie troszczy. – Ileż ona miała lat? Usta zaciskała tak mocno, że jej wargami można by grawerować szkło, ale cerę miała gładką jak szesnastolatka. – Hm, czy to już wszystko? Może...

– To wszystko – odparła Judy di Castef Bianco. – Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Proszę ze mną. Dopilnuję, by mógł pan bez kłopotu opuścić budynek.

Skrzywił się, bo na te słowa przypomniała mu się jedyna okazja, kiedy został w środku po zaryglowaniu drzwi wejściowych. To było wtedy, gdy ratował Sophie z rąk uzbrojonych goblinów.

– Dzięki – wymamrotał, ale już wyszła.

Gobliny już zaczynały się bawić w najlepsze. Nadział się na nie raz czy dwa od czasu tamtego pierwszego traumatycznego spotkania, ale na ich widok wciąż miał ochotę dać nura za najbliższą sofę. Nie chodziło tu o jakiś jeden konkretny szczegół – czerwone ślepia, świńskie, małpie, psie pyski, szorstką brązowoszarą szczecinę, szpony – bardziej o całość.

Jednak jeśli gobliny przerażały Paula, to było nic w porównaniu z wrażeniem, jakie robiła na nich hrabina Judy. Wyglądało na to, że wcale a wcale jej nie lubiły. Kiedy skręciła z Paulem za róg i weszła w małą ich grupkę zajęętą zabawą w „podaj gaśnicę”, wszystkie jak jeden mąż obróciły się na pięcie i pierzchnęły z wraskiem na wszystkie strony. Mały osobnik o szczurzym pyszczku, na którego wpadli na podeście pierwszego piętra, wycofał się w kąt, zasłaniając łapami ślepia i skomlać. Inny zeskoczył ze schodów, byle tylko zejść jej z drogi, boleśnie upadł na kolano i odczołgał się jak kaleki krab. Hrabina albo tego nie zauważyła, albo tak przywykła do podobnych reakcji, że do głowy jej nie przyszło, by je w jakikolwiek sposób skomentować; nie umknęło

jednak uwagi Paula, że ilekroć zbliżała się do goblina na kilkanaście metrów, jej skóra zdawała się jarzyć słabiutkim niebieskim światłem, które okropnie się kłóciło z kolorem jej szminki.

Ogólnie biorąc, ulżyło mu, kiedy drzwi wejściowe zamknęły się za nim. Uznał, że wypadaloby się czegoś napić.

W pubie na rogu choć raz dla odmiany nie było dużego tłoku i Paul mógł usiąść przy stoliku w kącie. Miał o czym myśleć; prawdę mówiąc, sztuką byłoby o większości tych spraw nie myśleć. Na przykład: dlaczego hrabina czuła się w obowiązku cokolwiek mu wyjaśnić, a nawet go przeprosić? To zupełnie nie w stylu JWW. Nikt nie przeproszał ani nie próbował się tłumaczyć, kiedy Paul się dowiedział, że nie wolno mu odejść z firmy pod karą zostania zmuszonym do robienia strasznych rzeczy sobie i innym. Oczywiście, to i tak byłoby bez znaczenia, gdyby wciąż miał przenośne drzwi – wystarczyłoby wyjąć je z tekturowej tubki, rozłożyć na ścianie i już byłby w Hollywood. Drzwi jednak pożyczył Ricky'emu Wurmtoterowi, więc ta możliwość odpadała; zresztą co by mu to dało? Kto wie, może pan Wurmtoter właśnie po to je zabrał, żeby Paula nie podkusiło, by przez nie przejść i robić zamieszanie, kręcić się po recepcji filii w Hollywood, podczas gdy Sophie będzie się ukrywać na zapleczu. Nie, raczej nie. JWW zna lepsze sposoby na to, by nie pozwolić mu pętać się ludziom pod nogami jak jakiś szkodnik...

Szkodnik. Zwalczenie szkodników. Fuj.

Rano zgłosił się do pana Shumwaya, o ile uda mu się przebrnąć przez lekturę obowiązkową i nie zasnąć. Jeszcze kilka dni temu do głowy by mu nie przyszło, że kiedyś zatęskni do wydruków z liczników Mortensena czy długich popołudni spędzonych na wpatrywaniu się w zdjęcia ponurej australijskiej pustyni w poszukiwaniu ukrytych złóż boksytów. Teraz, jak się wydaje, wstąpił na drogę, na której w pewnym momencie czekać będzie na niego rzeczywiste fizyczne niebezpieczeństwo. W końcu to logiczne, że jeśli robieniem porządku ze smokami, potworami i czym tam jeszcze zajmują się ludzie pokroju Ricky'ego Wurmtotera i Benny'ego Shumwaya, wojowniczy twardziele, którzy słono sobie liczą za swoje usługi, to te skubańce muszą być niebezpieczne – bo przecież kły, pazury i wszelkie tego rodzaju niemile atrakcje stanowią poważne zagrożenie dla zdrowia. Paulowi to się nie podobało wcale a wcale. Do tej pory nawet mu przez myśl nie przeszło, by powiedzieć JWW, gdzie mogą sobie wsadzić tę robotę, i narazić się na to, że padnie ofiarą wybryków chorej wyobraźni pana Tannera, ale...

Ale istnieje pewna różnica między zaklęciem powodującym, że człowiek paraduje po ulicach, mając na sobie tylko warstwę niebieskiej emulsji i oznajmia wszem wobec, że jest duszkiem kwiatowym, a prawdziwą, definitywną śmiercią. Choć Paul chyba jeszcze nie poznał w swoim życiu człowieka, którego bałby się bardziej, był raczej pewien, że pan Tanner nie posunąłby się do tego, by za odejście z firmy zabić go na amen. Tymczasem taki smok, wilkołak, gorgona czy inna mantykora... gdyby doszło do pojedynku między nim a jakąś groźną bestią, w którym nagrodą

za zajęcie drugiego miejsca byłaby śmierć, podejrzewał, że bukmacherzy wyżej ocenialiby szanse zięjącego ogniem, pokrytego łuskami zawodowego zabójcy o ostrych jak brzytwa pazurach, niż synka pani Carpenter, któremu robiło się słabo na widok igły. Owszem, Benny Shumway miał go wyszkolić, ale Paul w głębi ducha czuł, że to nie wystarczy. Choćby nie wiadomo ile pustego dostarczyć Salomonowi, i tak z tego nie należy.

Paul ze zmarszczonym czołem spojrział na dwa milimetry piany na dnie szklanki. Oficjalnie było mu wszystko jedno. Właśnie stracił jedyną dziewczynę, którą kiedykolwiek kochał (poprawka: jedyną dziewczynę ze stu czy ilu tam, które kochał, która jego uczucie odwzajemniła), a tym samym jego życie straciło znaczenie i wartość, i każdy smok, który go od niego uwolni, odda mu przysługę. Oficjalnie. W najgłębszej głębi ducha jednak nie był tego taki pewien. I w dodatku – jeśli nie zginie od razu, tylko zostanie straszliwie pogryziony, poparzony, oślepiiony, uwięziony w wózku inwalidzkim, zdolny porozumiewać się ze światem zewnętrznym, tylko poruszając uszami jak semafor? Niezbyt by mu to odpowiadało.

Rozważał to we wlokącym się autobusie. Odpowiedź przyszła w oślepiającym błysku olśnienia, kiedy brał kąpiel. Była jasna jak słońce i genialnie prosta.

Weźmy takiego pilota kamikaze. Najpierw musi przejść wstępne szkolenie: tak działa samolot, tak się czyta mapę, tak się startuje i ląduje, tak się robi, żeby samolot leciał w lewo lub w prawo, w górę albo w dół. Po wielu miesiącach zajęć i korepetycji delikwent jest gotowy. Zdał egzaminy pisemne i praktyczne, wylatał samodzielnie trzydzieści godzin, spełnił rygorystyczne wymogi, niezbędne, by zostać pilotem myśliwca. Wsiada do kokpitu i nigdy nie wraca. Tymczasem jego gamoniowaty, niezdarny kolega, który oblał nawigację i podskakując na pasie startowym jak gumowa piłka, przyprawił instruktora o przedwczesną siwiznę, wychodzi z wojny bez szwanku, po czym zakłada międzynarodową korporację elektroniczną. Morał: nie zawsze warto się starać.

Z tą pocieszającą myślą Paul zasnął, gdy tylko jego starannie obwiązana ręcznikiem głowa spoczęła na poduszce. I miał sen.

Śniło mu się, że znów jest z dala od cywilizacji, na wsi w Gloucestershire, w ciemności i deszczu. I oto dziwne dzieci, które naprawiały jego wóz. Tu Ruda, wręczająca mu rachunek, tam, na zalanym światłami placu, pomrukująca z zadowoleniem Monika. A tu Paul, tłumaczący, że nie ma przy sobie tyle gotówki, ale...

– Nieważne – mówi Ruda, patrząc na niego z dołu okrągłymi fiołkowymi oczami. – Na koszt firmy. Choć tyle możemy zrobić dla kogoś takiego jak ty.

Chwila ciszy, po czym oprzytomnienie.

– Takiego jak ja – powtarza Paul, teraz już nieufny. – To znaczy?

Ruda się uśmiecha.

– To ty – mówi.
– Aha – odpowiada Paul. – Serio?
– No pewnie – wtrąca dziecko z burzą złocistych włosów i szczerbami na przodzie. –
Wiedzieliśmy to, jak tylko cię zobaczyliśmy. Jesteś Paul Carpenter, prawda? Wybrany.
Hę? – myśli Paul.
– Chyba nie bardzo...
– Momencik! – Ruda wpada z powrotem do warsztatu, podczas gdy pozostałe dzieci...
jakoś dużo się ich zrobiło... wychodzą z cienia i otaczają go kręgiem, wpatrzone w niego, jakby był
odповідzią, którą ktoś niechcący napisał na tablicy zamiast pytania. Po chwili Ruda wraca,
taszczy ogromną księgę oprawną w cielejącą skórę, wielką jak regulamin organizacji pracy w biurze,
jeśli nie większą. – Masz, sam zobacz. – Podsuwa mu księgę otwartą gdzieś w okolicach środka.
– Ja właściwie nie... – zaczyna Paul; ale oto na stronie dokładnie pod jego nosem widnieje
zdjęcie przystojnego, schludnego młodzieńca, a pod spodem słowa...

PAUL CARPENTER

Wybrany

– Aha – mówi, a potem, przekonany, że musi być skończonym kretynem, skoro tego nie
wie, pyta: – Wybrany do czego?
Jedno z pozostałych dzieci, kudłata brunetka w okularach, cmoka językiem.
– Do tego, oczywiście, żeby poprowadzić lud swój do ziemi wybranej, głuptasku. O, patrz,
wszystko o tobie jest w księdze. Strony od 256 do 312 włącznie.
– O rany – mówi Paul. – Mogę zerknąć?
Podają mu księgę; napisana jest normalnym łacińskim alfabetem i widzi w niej swoje
nazwisko, powtarzające się raz po raz, ale reszta jest po francusku, włosku, a może hiszpańsku, i
choć rozpoznaje może jedno słowo na dziesięć, to nie wystarcza, by cokolwiek z tego zrozumiał; i
właśnie kiedy dochodzi do fragmentu w języku tureckim (który najwyraźniej zna), zabierają mu
księgę i zamykają ją z trzaskiem.
– A widzisz? – mówią. – To ty.
– Tak – zmuszony jest przyznać. – To ja. Ale co w związku z tym? Co mam...
Patrzają na niego bykiem.
– Nie powinieneś stroić sobie żartów – mówią. – To niegrzecznie.
Paul zwraca się więc do Moniki, która nadal sobie cicho pomrukuje na biegu jałowym za
ich plecami, i pyta ją, o co im chodzi. A ona na to, że to oczywiste, to znaczy, że jesteś *gepriesener*

Freiheitsbote, nawet taki *Dummkopf* jak ty powinien się domyślić, że...

Ale dalszego ciągu nie słyszy, bo dzieci łapią go i dźwigają z ziemi, po czym obnoszą go na ramionach po placyku i krzyczą, wymachują rękami, włączają alarm przeciwpożarowy i wiwatują jak szalone. To niedorzeczne; fetują go, jakby był Lawrence'em z Arabii i strzelił decydującego gola w finale mundialu, ale jednocześnie zdają się wiedzieć, kim jest naprawdę, więc chyba powinny zdawać sobie sprawę, że mają do czynienia z niedojdą, którego dopiero co rzuciła jedyna dziewczyna...

Paul otworzył oczy. A jednak to nie alarm przeciwpożarowy, tylko uporczywe pikanie budzika. Ten budzik, zawsze odnosił takie wrażenie, nie miał o nim najwyższego mniemania. Tego ranka wyrażał swoją dezaprobatę jeszcze bardziej otwarcie niż zwykle. „Co ty, Mesjasz jesteś czy co? – zdawał się mówić. – Akurat. Śniło ci się.



Na biurku Paula leżała notatka służbowa:

Do: PAC

Od: BS

Dot. : Wyposażenie

Twoje pierwsze zadanie na nowym stanowisku. Kończą nam się zapasy. Sprawdź, co z załączonego wykazu jest w magazynie, i wypisz zamówienia na wszystko, czego potrzebujemy.

BS

Przeczytał notatkę dwa razy, na wszelki wypadek. Mogło być gorzej, pomyślał; jeśli przeciągnę to wystarczająco długo, może nie będę musiał dziś umrzeć. Otworzył teczkę dołączoną do notatki. Prosta sprawa.

Cztery godziny później wiedział już, że kończą im się świece siarkowe, żółte detonatory dwunastowoltowe, amunicja do karabinu maszynowego M2 i gaz cyjanowy, i że pewnie przydałoby się uzupełnić zapasy sprężyn do pułapek na niedźwiedzie, oleju do piły łańcuchowej, ładowarek baterii do krótkofalówek i trutki na smoki Slay More. Sprawdził ceny jednostkowe w katalogu dostawców, pamiętając, by odliczyć pięć procent rabatu hurtowego, a potem wypełnił dwa egzemplarze niebieskiego formularza zamówienia i żółtej kopii dla kasjera. Pomyślał, że

może nie tak źle być bohaterem. Już pora lunchu, a on nie stracił ani nie przelał nawet kropli krwi.

Pora lunchu...

Rano w recepcji nie było nikogo, ale przestąpił próg minutę po dziewiątej, więc bardzo możliwe, że zjawiała się nieco później niż on i... Przyłapał się na tym, co robi. Nie wiedział, jak to się stało, ale w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin „nią” przestała być Sophie, a zaczęła Melze. I znowu to samo. Jeden mały krok leminga, kolejny wielki skok całego rodzaju lemingów.

Mimo wszystko. Paul zerwał się, pochwycił płaszcz i pognał do recepcji jak byk w Pampelunie, który poniewczasie zorientował się, że to już ten moment. Prawie zdążył; ale nagle wyrósł przed nim Benny Shumway i zawołał:

– Hej, ty!

Paul poznał go po głosie i grubości szkieł okularów, inaczej miałby z tym kłopoty. Widział twarz czerwoną jak burak, osmalone kosmyki brody, garnitur obsypany białym pyłem. Ręce Benny też miał czerwone, może nawet w kolorze terakoty. Nie wyglądał rewelacyjnie.

– Apteczka – rzucił. – W kasie, druga szuflada od dołu po lewej stronie biurka. Będę tutaj – dodał i wszedł z powrotem w drzwi, z których się wyłonił. Paul przypomniał sobie jak przez mgłę, że to archiwum.

Nie wiedzieć czemu wbiegł po schodach na górę, zamiast po prostu wejść. W drugiej szufladzie od lewej było białe blaszane pudełko, sądząc z ciężaru – puste. Pochwycił je i pognał z powrotem.

Nigdy jeszcze nie był w archiwum i w innych okolicznościach znalazłby czas na to, by powybałuszać gały. Było to ogromne pomieszczenie, tak rozległe, że wyglądało, jakby miało lustra na wszystkich czterech ścianach i suficie, wypełnione drewnianymi regałami zawalonymi identycznymi dużymi, wypchanymi szarymi kopertami. Skromnie oceniając, musiało być zbliżone wielkością do Opactwa Westminsterskiego; innymi słowy, wielokrotnie większe od całego budynku przy St Mary Axe 70.

Nie było jednak czasu o tym myśleć. Pan Shumway siedział na podłodze, oparty plecami o regał, z głową zwieszoną na pierś. Na wejście Paula podniósł wzrok.

– Masz to? – szepnął.

– Tak – odparł Paul. – Dobrze się pan... ?

– Wszystko gra – warknął pan Shumway. – Dawaj to pudełko.

Jak się okazało po otwarciu, w środku była tylko garść zasuszonych liści, szklana buteleczka z kilkoma fioletowymi fusami na dnie i mała, gruba, sfatygowana książka. O nią panu Shumwayowi chodziło. Pochwycił ją, otworzył na skorowidzu, po czym przewertował kartki od końca, aż znalazł właściwą. Przeczytał na głos kilka słów, wodząc po tekście krótkim palcem pokrytym skorupą brązowego brudu. Potem wrzucił książkę z powrotem do pudełka i westchnął.

– Trochę to potrwa – powiedział ze znużeniem. – Dzięki – dodał.

– Nie ma za co – odparł Paul. – Co się właściwie stało? Wezwać lekarza albo karetkę?

Pan Shumway wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie potrzeba. Mam oparzenia drugiego stopnia większej części twarzy, dwa... nie, przepraszam, kłamię, trzy złamane żebra, wdychałem gorące opary siarki i Bóg wie co jeszcze, zdarłem sobie skórę z obu kolan i chyba naciągnąłem mięsień w lewym barku. Nie chcę, by znęcali się nade mną rzeźnicy, których wy nazywacie lekarzami. Poza tym jestem krasnoludem. Promienie rentgena na nas nie działają, mamy więcej organów wewnętrznych niż wy, małpopochodne, i są gdzie indziej niż u was, a nasze nerki rozpuszczają się w aspirynie. Kiedy dostajemy w kość, leczymy się sami. – Podniósł sfatygowaną książkę. – Według tego.

Paul wbił wzrok w okładkę z oślimi uszami. Z pozoru wyglądała jak okładka normalnej książki w miękkiej oprawie, ale tekst na niej wypisany był nieznanym mu alfabetem; jeśli miałby go do czegoś porównać, to chyba tylko do krwawej bitwy na pięści narysowanej przez L. S. Lowry'ego.

– Runy – wyjaśnił pan Shumway. – To znaczy po prostu „Podręcznik pierwszej pomocy”. Przydatny jak diabli. Lecznicze zaklęcia na wszystkie okazje.

– Lecznicze zaklęcia – powtórzył Paul tonem tłumaczącym te słowa jako „szarlataneria”. Jednak zauważył, że twarz pana Shumwaya jest już mniej osmalona i podrapana, i że broda odrosła mu o co najmniej centymetr. – O kurczę – powiedział.

Pan Shumway uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Zanim zapytasz, od razu mówię: nie. Na was to nie działa, a nawet gdyby, pomaga tylko na stosunkowo ograniczoną liczbę urazów: złamania, poparzenia i tak dalej. Za to potrafimy leczyć katar – dodał z dumą. – I mamy kamienne zęby, więc rzadko bołą.

Paul skinął głową. Znów ta wszechobecna dziwność. Dobrze, że w pocie czoła nauczył się ją ignorować.

– Ale co się stało? – spytał. – Walczył pan z kimś?

– Można tak powiedzieć – mruknął pan Shumway; działo się z nim coś, co wyraźnie sprawiało mu ból. – Żadna sensacja. Ot, smok.

– Ot, smok – powtórzył Paul jak papuga.

Pan Shumway skinął głową.

– Dwunastoletnia samiczka, dwa i pół metra, jakieś sto pięćdziesiąt kilo. Skubana, sprytnie się zadekowała w magazynach Victoria and Albert Museum. Cwane bydlę, trzeba przyznać. Wyrzasnęła skądś worek cementu, wytarzała się w nim i jakby nigdy nic stanęła sobie w kącie. Dopiero po pół roku zorientowali się, że to nie posąg, a i to tylko dlatego, że kichnęła. – Westchnął.

– Próbowałem ją wykurzyć, ale to im się nie spodobało, bo niby mógłbym uszkodzić obrazy i inne takie. Oczywiście nie mogłem jej wysadzić w powietrze ani zastrzelić, a że chcieli ją usunąć już, natychmiast, trucizna odpadała. Czyli musiałem ją załatwić ręcznie, zimną stają, a la święty Jerzy. – Rozprostował plecy i skrzywił się. – Robię się na to za stary – westchnął. – Oczywiście, młody Ricky uwielbia cały ten syf. Ale tu go nie ma, prawda? Pałeta się gdzieś z Gren... to znaczy, pracuje nad tym swoim specjalnym projektem – poprawił się pospiesznie. – A ty sam sobie nie poradzisz, więc zostaję ja. Dobrze, że mam tę książkę, bo jeszcze dziś muszę załatwić uzgodnienia bankowe, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby tydzień leżeć bykiem i robić sobie przeszczepy skóry.

Paul milczał. Nie wiedział, jaki kolor przybrała jego twarz, biały czy zielony; miał nadzieję, że nie było to nazbyt widoczne.

– W każdym razie... – Pan Shumway poruszył barkiem, żeby sprawdzić, czy jest sprawny. Broda odrosła mu już całkowicie.

– Dzięki. Nie miałem ochoty wlec się trzy piętra po schodach. A właściwie dokąd tak się spieszyłeś?

Paul zaczął się lekko wiercić.

– Och, na lunch – powiedział.

– Na lunch. – Pan Shumway wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Innymi słowy, chciałeś zdążyć do recepcji, zanim ucieknie ci ta nowa przepióreczka. Nie zasypiasz gruszek w popiele, trzeba ci to przyznać. Ale dziś będziesz musiał sobie odpuścić. Mamy szkolenie, pamiętasz?

– Szkolenie – powtórzył Paul.

Pan Shumway skinął głową.

– Co znaczy, że przez następny tydzień czy półtora lunch masz z głowy. Wiem, to przykre, okrutne, normalnie tragedia na epicką skalę, ale nic to. Mnie też lunche ominą i nie będę wyplakiwał oczu z tego powodu.

– Och, w porządku – powiedział Paul, zwarty i gotowy.

– To mi nie przeszkadza. I dziękuję, że zrezygnował pan z przerwy na lunch, to bardzo...

– Tylko mi tu przede mną nie pełzaj – rzucił pan Shumway.

– Gdyby Pan Bóg chciał, żebyśmy pełzali przed innymi, dałby nam sto nóg i pancerzyk chitynowy. – Wstał. Pomijając biały pył na ubraniu i (co tu dużo kryć) plamy krwi na rękach, wyglądał najzupełniej normalnie. – Za pięć minut w kasie – powiedział i schował sfatygowaną książkę z powrotem do pudełka. – Oczywiście przeczytałeś wszystko, co kazałem?

– Słucham? A, tak, jasne.

– Bardzo mądrze. – Pan Shumway uśmiechnął się szeroko.

– Bo gdybyś tego nie zrobił, byłoby nieprzyjemnie, ręczę ci. Stary dobry instynkt samozachowawczy zawsze cię ocali.

Rozdział 3

Paul nie będzie mile wspominał następnych dziesięciu dni roboczych. Co rano czekała na niego robota papierkowa; wszystkie sprawy administracyjne i proceduralne, które każdy prawdziwy bohater zrzuca na barki jakiegoś nieszczęsnego frajera. Były wnioski w trzech egzemplarzach o wyłączenie spod przepisów paragrafu 15, protokoły zdarzenia, pisemne powiadomienia o zamiarze użycia broni na obszarze zabudowanym, zamówienia do magazynu, pokwitowania wydatków i rachunki zwrotu kosztów wyjazdów służbowych (panu Wurmtoterowi przysługiwały sześćdziesiąt trzy pensy za każdy kilometr pokonany na jego skrzydlatym rumaku; Benny Shumway na swojego dżipa suzuki rocznik 1987 dostawał tylko dwadzieścia trzy pensy od kilometra, ale i tak jeździł głównie metrem), karty pracy, faktury, wydruki z działu obsługi wiarygodności i różne inne rzeczy, o których nie przeczyta się na kartach sag skandynawskich czy „Morte d'Arthur”. Jednak poranki i tak były lepsze od przerwy na lunch, bo między pierwszą a drugą był albo w kasie, gdzie słuchał wykładów lub reprimend pana Shumwaya, albo w archiwum, które służyło za tor przeszkód, strzelnicę i szranki turniejowe. Doświadczenie to pozwoliło Paulowi dowiedzieć się o sobie rzeczy, które dotąd jakoś mu umknęły; na przykład że od semteksu dostaje wysypki, od strzelania z bazooki boli go głowa, a jego strach przed igłami obejmuje też katzbalgery, półtoraręczne miecze. Jego przebiegły plan, żeby naumyślnie spisywać się we wszystkim tak fatalnie, by pan Shumway postawił na nim krzyżyk i odesłał go do innego działu, okazał się zbędny – nie musiał udawać. Nawet kiedy pan Shumway wrzeszczał na niego tak straszliwie, że z czystego przerażenia dawał z siebie wszystko, i tak nic mu nie wychodziło. Lonty strzelały iskrami i gasły; barrettem M82 nie trafiłby z dwóch kroków we wrota stodoły; ciągle zapominał, w jakich proporcjach rozrabiać SlayMore z wodą, a smoka czy gryfa zraniłby tylko w sytuacji, gdyby jakieś pechowe stworzenie stanęło dokładnie za nim w chwili, gdy miecz wyśliznąłby mu się z ręki. Sęk w tym, że tego właśnie pan Shumway zdawał się po nim spodziewać.

– Nie przejmuj się – wzdychał, kiedy rzucony przez Paula granat ćwiczebny szósty raz z rzędu odbijał się od przeciwległej ściany i lądował u jego stóp. – Kwestia wprawy. Jeszcze parę tygodni i będzie dobrze.

Przerwy na lunch więc przyjemne nie były, ale w porównaniu z popołudniami były jak tygodniowy urlop nad morzem. Po południu bowiem Paul pomagał panu Shumwayowi w rozliczeniach z bankiem.

Najgorzej było za pierwszym razem, kiedy jeszcze niczego się nie domyślał.

– Mam dla ciebie małą robótkę – powiedział wówczas pan Shumway, wsadzając głowę do gabinetu Paula. – Zajmie ci to dosłownie minutkę.

Paul, ma się rozumieć, jak na skończonego cymbała przystało, powiedział: „Tak, dobrze, oczywiście”, zamiast: „Wykluczone” czy „Po moim trupie” – choć jak się okazało, ta ostatnia odpowiedź zabrzmiałaby idiotycznie, bo...

Zaraz za drzwiami kasy były drugie, mniejsze drzwi. Zdobilo je sześć rygli, cztery zamki antywłamaniowe, dwa zamki Yale i łańcuch, na którym można by zakotwiczyć lotniskowiec – co samo w sobie było ciekawe, bo drzwi były takie jak w każdym biurze: z płyty wiórowej, z aluminiową klamką. Paul zauważył je przy trzeciej czy czwartej wizycie, ale w porównaniu z niektórymi innymi elementami wyposażenia, na jakie natknął się pod St Mary Axe 70, wyglądały tak prozaicznie, że mózg staje, więc je zignorował. Tym razem jednak pan Shumway wywijał pękiem kluczy, który musiał ważyć z półtora kilo.

– Ja pójdę przodem – zaszczebiotał radośnie. – Ty weź tę teczkę z biurka i idź za mną.

Teczka była wyświechtana, skórzana, przypominała dziecięcy tornister. Paul ją podniósł; wydawała się pusta.

– Hm – odchrząknął, kiedy pan Shumway odemknął czwarty rygiel – co my właściwie robimy?

– Wskoczmy na chwilę do banku – padła odpowiedź. – Zdeponujemy kilka czeków, wypłacimy trochę drobnych, złożymy kilka formularzy TT. Normalka.

Paul ostrożnie pokiwał głową. Wiedział, że TT oznacza transfer telegraficzny, czyli przesyłanie dużych kwot faksem, przez Internet lub jakoś tak. Nie był pewien, czy chce wiedzieć, dlaczego tę „normalkę” muszą załatwiać we dwóch i dlaczego pan Shumway ma iść przodem.

– Gotów? – Pan Shumway miał już z głowy wszystkie rygle; został jeszcze tylko jeden zamek. – No dobra, na trzy. Raz, dwa, trzy...

Przekreślił klucz w ostatnim zamku przeciwwłamaniowym, złapał za klamkę i pchnął drzwi. Na progu się zawahał. Nie puszczał klamki, jakby chciał się najpierw upewnić, że nic mu nie grozi. Potem zrobił krok naprzód i zniknął.

Mocno niepokojąca historia. Paul wyraźnie widział, jak pan Shumway znika – bez sensu, ale to właśnie widział. Najpierw zniknęła lewa dłoń, potem reszta lewej ręki, ramię, głowa, tors, a na końcu plecy i prawa pięta, i już go nie było. Chrzanić to, pomyślał Paul, nie ma mowy, żeby...

– No, chodźże wreszcie! – zawołał niewidzialny pan Shumway. Paul zamknął oczy i ruszył za nim.

Kiedy otworzył je ponownie, było ciemno. Zdjęty panicznym strachem, zaczął cofać się tam, gdzie, jak pamiętał, były drzwi...

– Nie. – Znowu głos pana Shumwaya, spokojny, ale stanowczy.

– Nie rób tego. Nie wiadomo, gdzie wyjdiesz. To skomplikowane. Potem wytłumaczę. Po prostu idź za moim głosem, dobra?

Paul usiłował coś powiedzieć, ale zamiast słów z jego ust wyszedł cichy, drżący pisk. Wysunął lewą nogę do przodu; to było trochę tak, jakby próbować zejść z ostatniego stopnia ruchomych schodów z zamkniętymi oczami. Wyglądało na to, że nie stało się nic złego. Potem już było troszeczkę łatwiej.

– Nie guzdraj się! – zawołał pan Shumway. Paul starał się, jak mógł, ale od tej pory, ilekroć pan Shumway się odzywał, jego głos wydawał się coraz bardziej odległy. – I żeby nie wiadomo co, nie oglądaj się za siebie – taka była jego następna dobra rada.

– Pospiesz się, jesteśmy prawie na miejscu. I nie bój się, dobrze? To coś, do czego będziesz musiał przywyknąć.

Powoli zaczęło się rozjaśniać. Najpierw pojawiła się słaba szara poświata na obrzeżach, potem blask, który wsączył się w ciemność jak atrament w bibułę. Nie żeby to wiele dało, bo właściwie nie było czego oglądać ani z prawej, ani z lewej strony, ani na górze, ani (co wysoce niepokojące) na dole. Paul był małą rysunkową postacią idącą przez pusty szary ekran...

I ktoś szedł obok niego. Z początku tego nie zauważył, więc nie wiedział, jak długo ma towarzystwo. Dopiero kiedy kątem oka zobaczył ruch...

– I nie odzywaj się do nikogo – szepnęło słabe echo głosu pana Shumwaya. – Ni-ko-go, rozumiesz?

W samą porę, bo Paul już miał na końcu języka pytanie: „To ty, wujku Mike?”. Zawahał się tylko dlatego, że zabrzmiałoby to strasznie głupio, skoro wujek Mike od dziesięciu lat nie żył.

Pewnie, że to ja, ty tłumoku, powiedziało wspomnienie głosu wujka Mike’a w jego głowie. I patrz na mnie, jak do ciebie mówię.

(„Nie oglądaj się za siebie”, ostrzegał pan Shumway).

Co jest, Paul? To ja, Mike. Nie cieszysz się, że mnie widzisz po tylu latach?

Paul nie słyszał tych słów, bo nie było dźwięku. Ktoś wcisnął guzik wyciszenia i nie słyszał ani jego kroków na nieistniejącej podłodze, ani jego oddechu, ani w ogóle niczego. Ale wyraźnie pamiętał, jak wujek Mike mówił te słowa w bliżej nieokreślonej przeszłości.

Nie obejrzał się, bo mu zabroniono; ale wujek Mike poszedł sobie i zjawił się ktoś inny.

Cześć, Paul, koleżko, aleś urósł! No, co się stało? Nie masz dziadziowi nic do powiedzenia?

(Co było okrutne; bo Paul do powiedzenia miał wiele, poczynając od „Przepraszam, że nie byłem na twoim pogrzebie”. Wymówił się migreną, ale to było kłamstwo. Nie cierpiał pogrzebów i tyle).

Nie wygłupiaj się, synu, nie mieliśmy okazji się pożegnać. Nie odchodź, Paul. Proszę.

Paul stwierdził, że gdziekolwiek jest, wolałby być gdzie indziej. „Tędy!” – wołał pan

Shumway, ale Paul nie był pewien, czy słyszy go naprawdę, czy tylko przypomina sobie jego głos. Nie oglądaj się, nakazał sam sobie. Nic nie mów!

I nagle zobaczył pana Shumwaya. Klęczał na nieistniejącej ziemi i sięgał do kieszeni. Wyjął z niej starą, zmiętą, sfatygowaną baseballówkę, rozłożył ją, wsunął rękę do środka i wyciągnął (czemu mnie to nie dziwi? – pomyślał Paul) białego królika. W drugiej dłoni trzymał nóż. Szybkim, wprawnym ruchem...

(Nic nie mów, nakazał sobie Paul; bo miał ochotę krzyknąć na cały głos „nie!”).

... poderznął królikowi gardło; krew chlusnęła na puste miejsce, w którym powinna być ziemia, i zniknęła zupełnie jak pan Shumway, kiedy wszedł w drzwi. Królik przestał rzucać się w drgawkach, krew wciąż ściekała po nadgarstku pana Shumwaya i przelewała mu się przez palce. Teraz jednak tam, gdzie skapywała, pojawiła się ziemia; płaska, szara powierzchnia z drobinek kurzu, jakby to właśnie on wypływał z żył królika.

– To jest życie, rozumiesz – mruknął pan Shumway. – Tam, gdzie wyląduje... – Zawahał się. – Chyba wiesz, gdzie jesteś? Nie odpowiadaj – dodał pospiesznie. – Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, to jest śmierć.

Niech będzie, pomyślał Paul.

– Nic złego się nie stało – ciągnął pan Shumway. – To królik magiczny, nigdy tak naprawdę nie istniał. Ale krew jest prawdziwa, więc swoje zadanie spełnia. Taka ilość powinna wystarczyć do tego, co musimy zrobić. – Upuścił truchło, które zniknęło. – No dobrze, teraz już możesz mówić. Ale tylko do mnie i za nic w świecie nie oglądaj się za siebie. Powiedzają wszystko, bylebyś tylko się do nich odezwał, a nie chcesz tego zrobić. Zaufaj mi.

Bezgranicznie, pomyślał Paul. Miał paskudne przeczucie, że tuż za jego plecami jest spory tłum, ludzie, których znał, głównie krewni, których spodziewał się już nigdy nie zobaczyć ani nie usłyszeć. Usiłował skupić uwagę na panu Shumwayu, drobnej postaci w tanim garniturze, stojącej na malusieńkim kawałku podłoga z kurzu.

– Witajcie. – Ten człowiek pojawił się znikąd, no, niezupełnie znikąd. Tak naprawdę wyrósł z kurzu, jak w jednym z tych krótkich filmików, które puszczają w telewizji, kiedy mają awarię, pokazujących w tysiąckrotnym przyspieszeniu roślinę wyrastającą z nasienia. Był Chińczykiem, z wyglądu mniej więcej siedemdziesięcioletnim, w długim niebieskim jedwabnym szlafroku z obszernymi rękawami. Miał pomarszczoną twarz i uroczy uśmiech.

– Dzień dobry – odpowiedział pan Shumway swobodnym tonem. – Jak tam życie po śmierci?

– Straszna nuda. A co u pana?

– Nie mogę narzekać. Paul – dodał pan Shumway – chodź no tu. To pan Dao, główny kasjer. To Paul Carpenter. – Krótka, nieistotna pauza. – Jest ze mną.

Pan Dao uprzejmie skłonił głowę.

– Oczywiście.

Wtedy pan Shumway się odwrócił. Twarz miał białą jak papier.

– Teraz, kiedy cię znają, nic ci nie grozi. – Wziął od Paula teczkę i otworzył. – Chcielibyśmy zdeponować te czeki – powiedział do pana Dao – i te zlecenia TT. Jeśli mogliby je państwo przesłać jeszcze dziś, bardzo by nam to pomogło.

– Żaden kłopot – zapewnił pan Dao z bladym uśmiechem.

– Dzięki. Aha, a to kwity kasowe. – Ilekroć pan Shumway podawał coś panu Dao, wypuszczał to z ręki, a pan Dao chwycił to chwilę później. Czeki, formularze ani kwity nie spadały na ziemię, najwyraźniej grawitacja była tu nieobowiązkowa. Równie oczywisty był wniosek, że gdyby czegoś dotknęli równocześnie, stałoby się coś nieprzyjemnego.

Pan Shumway oddał Paulowi teczkę i skinął głową chińskiemu dżentelmenowi.

– Siedemnaście tysięcy czterysta sześćdziesiąt pięć funtów szterlingów – powiedział pan Dao. Paul, który trzymał teczkę otwartą, poczuł, że lekko nią szarpnęło, jakby wpadł do niej jakiś niewidoczny ciężar. – Dziewięć tysięcy czterdzieści jeden dolarów amerykańskich. – Kolejne szarpnięcie. – Osiemnaście tysięcy dziewięćset czterdzieści franków szwajcarskich. Siedemdziesiąt dwa tysiące rubli tadżyckich. Dziewięćset sześćdziesiąt bułgarskich lewów. – I tak dalej, od marokańskich dirhamów i haitańskich gourde po franki komoryjskie i koreańskie wony, majątek, o jakim największym chciwcom się nie śniło. Mimo to zupełnie go nie kusiło, by zabrać teczkę i uciec z nią w siłą dal.

– No dobrze – powiedział pan Shumway wreszcie – to wszystko, dzięki. Do zobaczenia jutro o tej samej porze.

– Oczywiście. – Pan Dao uklonił się uprzejmie, po czym zerknął na Paula. – Ale może, jeśli wam się nie spieszy, zostalibyście na herbatę? Pański kolega...

Nagle Paul uprzytomnił sobie, że jest bardzo spragniony. Filizanka herbaty to jest to. Dobrze by mu zrobiła...

– Nie, dzięki – uciął pan Shumway. – Paul! – rzucił, jakby przywoływał psa do nogi.

– Ale...

Pan Dao jednak patrzył w bok, lekko zawstydzony.

– Proszę o wybaczenie – powiedział. – To się więcej nie powtórzy.

Czy na twarzy pana Shumwaya malowało się współczucie?

– Nic się nie stało. Rozumiem. Ale musimy już iść.

– Oczywiście – powiedział pan Dao. Zniknął, a z nim podłozę z kurzu.

Pan Shumway powoli wypuścił powietrze z ust.

– Odwróć się, Paul. Ostrożnie. Wracamy. Idź za mną, nie oglądaj się, milcz. Nie

odpowiadaj na żadne pytania, tylko kiwaj głową.

Nie wiedzieć czemu, powrót z tego miejsca, gdziekolwiek było, trwał chyba dwa razy dłużej niż dotarcie do niego. Przez całą drogę Paul szedł ze wzrokiem utkwionym w potylicy pana Shumwaya, jakby w życiu nie widział nic bardziej fascynującego. Chwilami miał wrażenie, że obaj brną po kolana w czymś gęstym i lepiałym – polewie toffi albo surowym cieście – i pan Shumway z każdym krokiem sunął naprzód coraz wolniej i z coraz większym wysiłkiem. Wspomnienia hulały w głowie Paula jak zawieja śnieżna, a było ich wiele, wszystkie urażone, zawiedzione, rozgniewane, bo właśnie je minął i nawet nie spojrzał im w oczy. Zdał sobie sprawę, że od spotkania z panem Dao ani razu nie zaczerpnął tchu; nie był jednak zmęczony ani nie czuł się źle. Wreszcie pan Shumway stanął, choć Paul nie widział po temu powodu. Właśnie wpadał w panikę, kiedy z ciemności wyłonił się wysoki prostokątny otwór i ostry blask przysłoniętej abażurem stuwatowej żarówki przeszył go jak promień z działka laserowego.

– Ogólnie biorąc – powiedział pan Shumway, zamykając za nimi drzwi i napierając na nie – chyba wolałem, kiedy korzystaliśmy z Nat West. – Sięgnął za plecy i zasunął górną zasuwę.

– Ale nikt nie daje takiego oprocentowania jak Bank Umarłych, poza tym opłaty za prowadzenie konta są u nich o dwa procent niższe. – Odwrócił się, oparł lewą ręką o futrynę drzwi i zamknął resztę zamków.

Paul zdołał dotrzeć aż do biurka, zanim kolana się pod nim ugięły. Oczy miał zalane potem. Nagle zabrakło mu tchu i poczuł dojmujące zimno.

– Panie Shumway...

– Benny – poprawił go pan Shumway, nie odwracając się.

– Myślę, że możesz mi tak mówić po tym... – Wzruszył ramionami. – Ja muszę to robić dzień w dzień, pięć dni w tygodniu. Sam rozumiesz, że smoki i wampiry to dla mnie przyjemna odmiana.

– Benny, ten... człowiek. – Nie było to właściwe słowo, ale jakie słowo byłoby właściwe do opisanego kogoś takiego jak pan Dao? Czy takie w ogóle istniało? Paul miał nadzieję, że nie. – Zaprosił mnie na herbatę. Co by się stało, gdybym... ?

Benny pokręcił głową.

– Nic przyjemnego. To samo, gdybyś się obejrzał albo Im odpowiedział, kiedy do ciebie mówili. – Oczy miał bardzo okrągłe za centymetrowej grubości szklami. – Musisz to sobie zapamiętać. Za tymi drzwiami nie ma nic. W ogóle. Ani ludzi, ani rzeczy, tylko... Sam wiesz, przecież widziałeś. – Powoli podszedł do biurka krokiem pijaka usiłującego utrzymać równowagę i klapnął na krzesło.

– Paul, przepraszam, że cię nie przestrzegłem. Ale gdybym to zrobił, nie poszedłbyś ze mną. A raz na jakiś czas dobrze wiedzieć, że jest tam ktoś żywy oprócz mnie. W zasadzie

wszystko powinno być w porządku, znają mnie, jestem oficjalnym przedstawicielem JWW i bank gwarantuje mi bezpieczeństwo, ale... – Benny westchnął i spuścił głowę. – Ale nigdy nie przestają próbować, rozumiesz? Wymyślają różne chytre sztuczki, jak ta historia z herbatą. Widzisz, jeśli cię dopadną, zyskują odrobinę życia, może parę sekund, a potem wracają do... – Ziewnął. Też jest wykończony, uświadomił sobie Paul. – Czyli właściwie nie można mieć im tego za złe. Ty na ich miejscu byłbyś taki sam. I pewnego dnia będziesz, ale niezdrowo jest o tym myśleć. – Uniósł głowę. – Z tobą wszystko w porządku?

Nie, oczywiście, że nie.

– Tak – powiedział Paul. – Tylko że...

– Co?

– Czy będę musiał pójść tam znowu?

– Nie. Jak ci mówiłem, chciałem mieć towarzystwo. Nie, nie musisz więcej tam wchodzić.

Nie muszę, pomyślał Paul; a potem spojrzał na pana Shumwaya, który nie miał w twarzy kropli krwi i patrzył przed siebie pustymi oczami.

– Nie ma sprawy – powiedział Paul. – Nie mam nic przeciwko.

Reakcją był bardzo słaby uśmiech, bo cokolwiek ponad to wymagałoby więcej sił, niż Benny Shumway miał w tej chwili.

– Dzięki. Z góry uprzedzam, to nie znaczy, że będę dla ciebie miły. Nie oddam ci przerwy na lunch ani nic takiego.

Paul odczuł lekki zawód, bo koniec końców był tylko człowiekiem. Przynajmniej na razie; dzięki Bogu i za to. Szepty, które słyszał za tymi drzwiami, na pewno nie płynęły z ust ludzkich.

– Wiem – powiedział. – To nic.

– Dobrze więc. – Pan Shumway skwitował całe to doświadczenie wzruszeniem ramion, jakby zrzucił z siebie mokry płaszcz.

– W takim razie od jutra ruszamy z nitrogliceryną dla średnio zaawansowanych. – Po raz pierwszy, odkąd weszli w te drzwi, błysnął swoim charakterystycznym drapieżnym uśmiechem. – Żebyś do tego czasu miał o czym myśleć – dodał.

*

Tej nocy Paulowi przyśnił się dość nieprzyjemny sen. Sophie była w nim niesamowicie sławną gwiazdą filmową, a on przez wiele godzin, dni i tygodni stał w kolejce po jej autograf, by, gdy wreszcie przyszła na niego kolej, dowiedzieć się, że umarła we śnie i hrabina Judy di Castef

Bianco zajęła jej miejsce.

*

Następnego dnia było jeszcze gorzej.

W drodze do miejsca, w które szli, gdziekolwiek było, czekało jeszcze więcej Tamtych: zmarłych cioć, wujków, kuzynów, krewnych, o których Paul nigdy nie słyszał, byli dla niego tylko imionami nagryzmołonymi brązowym atramentem na odwrotach fotografii o zawijających się brzegach. Wszyscy czynili mu gorzkie wyrzuty za kompletny brak współczucia. Byłoby jeszcze straszniej, gdyby żywił złudzenia, że ktokolwiek z jego rodziny go lubił.

A kiedy dotarli do celu i pan Shumway wyciągnął swoją starą baseballówkę, wcisnął do niej dużą jedwabną chusteczkę, wytrząsnął pół tuzina mlecznobiałych gołębi i zestrzelił je samopowtarzalnym remingtonem 870, którego wyjął z górnej kieszeni marynarki (to się nazywa magia, musiał przyznać Paul, kiedy szóste białe truchelko smętnie opadało po spirali), z krwawego kurzu u jego stóp nie wyrósł poważny, sędziwy pan Dao. Tym razem ukazała się młoda dziewczyna, tak piękna, że serce się krajało. Uśmiechnęła się, powiedziała, że nazywa się panna Wa i w czym może pomóc? Nawet Benny Shumway potrzebował paru sekund, by ochłonąć. A kiedy po załatwieniu formalności uśmiechnęła się znowu i spytała, czy nie zostaliby na herbatę – bo, jak wyjaśniła, nie piła niczego od 1723 roku, kiedy to w dniu swojego ślubu skołała w ramionach męża...

– Mało brakowało – przyznał Benny, gdy zatrzasnął drzwi i napał na nie. – Bardzo mało.

– Tak – zgodził się Paul.

– Za mało, do jasnej ciasnej – rozwinął temat Benny, przekręcając klucze. – O włos, nawet pół włosa. – Potrząsnął głową i schował pęk kluczy do kieszeni. – Dwa lata tam chodzę i tego jeszcze nigdy nie wypróbowali. Prawdę mówiąc – dodał, spoglądając na Paula spode łba – domyślam się, że zrobili to przez wzgląd na ciebie. Widzisz, oni cię znają. Znąją nas wszystkich. Wyczuwają twoje słabości, jak tylko przestępujesz ten próg.

– Och. – Paul czuł, że twarz mu czerwienieje. – Nie jestem aż tak beznadziejny, co? – wymamrotał.

Benny Shumway chwilę mu się przyglądał, zanim odpowiedział.

– Znąją cię – powtórzył. – Na szczęście nie zatrudniają nikogo z Zachodu, bo zawsze miałem słabość do rudych. I blondynek – dorzucił po krótkim namyśle. – I brunetek. Nie żebym miał coś przeciwko Azjatkom, ale rudowłosym nie potrafię się oprzeć.

– Hm – mruknął Paul.

– Tylko mi tu nie popadaj w zadumę. Mówiłem, oni nas znają, więc jest raczej oczywiste, jakie są twoje poglądy w tej kwestii. I nie masz się czego wstydzić. Ja się nie wstydzę. Jeśli istnieje coś takiego jak reinkarnacja, chcę się odrodzić jako biustonosz Maidenform. Ale dać im to poznać... to zupełnie inna sprawa. Musisz znaleźć sposób, jak sobie z tym radzić.

– Jasne.

– Ja zawsze myślę o goblinach – Benny zwałił się na krzesło.

– Goblinach?

Ten Shumwayowski uśmiech.

– Poznałeś matkę Dennisa Tannera, nie?

Paul musiał przyznać, że to niegłupi pomysł.

– Też tak spróbuję – powiedział. – Dzięki.

– Porada gratis. – Benny spojrział na zegarek. – Cóż, jest piętnaście po piątej i w zasadzie masz dość czasu, by pomóc mi wypełnić te papierzyska. – Przysunął do siebie drucianą tackę na korespondencję. – Ale pewnie jestem ci coś winien, więc spadaj, sam się tym zajmę. Przypadkiem wiem – dorzucił do nikogo w szczególności – że bardzo chciałaby zobaczyć nowy film z Melem Gibsonem. Kino Odeon na Leicester Square, seans dziesięć po szóstej, nic się nie stanie, jak przegapisz reklamy i zwiastuny.

Może, myślał Paul zbiegając po schodach, krasnoludy tak mają. A może było to tak diabelnie oczywiste, że nawet martwi bankowcy mogli to wyczytać z jego twarzy. Tak czy owak, Benny Shumway trafił w dziesiątkę. Od tamtej jakże fortunnej przerwy na lunch Paul nie miał okazji powiedzieć Melze nic oprócz szybkiego „cześć” rzucanego w przelocie, kiedy przechodził przez recepcję, i bardzo mu zależało na tym, by to niedopatrzenie naprawić.

*

Melze orzekła, że film był kiepski. Dwadzieścia minut za długi, stwierdziła, i przeładowany efektami specjalnymi. Paul nie miał zdania; nic z filmu nie pamiętał, bo w trakcie seansu skupiał uwagę na czym innym. Migocący blask ekranu dawał dość światła, by wydobyć z mroku krągłość jej policzka i falistą linię płatka ucha. Zauważył je podczas ostatniego zwiastuna i kiedy oderwał od nich wzrok, na ekranie były już tylko nazwiska asystentów operatora.

– Filmy z nim zwykle mi się podobają – mówiła – choć zakończenia często trochę rozczarowują. Na tym już w połowie zaczęłam się wiercić.

Widział to. Wierciła się bosko. O dziwo, nie zauważył, jak cudownie się wierciła, kiedy siedział za nią w podstawówce Laburnum Grove, ale złożył to na karb tego, że późno dojrzał albo był beznadziejnie głupi. „Święta racja”, miał jej odpowiedzieć, ale zamiast tego kichnął.

– Na zdrowie – rzuciła odruchowo, po czym dodała: – Widzę, że cię wzięło.

A zatem się domyśliła. To była kwestia czasu.

– Słucham?

– Katar. Krąży w biurze od jakiegoś tygodnia – wyjaśniła. – Ja mam szczęście, bo nigdy nie łapię kataru ani grypy. Nie żebym nie próbowała... w mojej poprzedniej pracy dałabym spore pieniądze za porządny wirus grypy, byle tylko móc tydzień posiedzieć w domu. Pochorowali się wszyscy oprócz mnie. Życie bywa niesprawiedliwe.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale oczywiście nie było to istotne. Liczyło się to, że siedziała z nim przy stoliku w Pizza Hut na Strand i wcale jej to nie przeszkadzało. Dziwne, ale nie zamierzał protestować. Jemu ten stan rzeczy odpowiadał.

– Czyli – usłyszał swój głos, dochodzący jakby z oddali – lubisz kino?

– Uwielbiam – odparła bez namysłu, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, jak kretyńskie zadał pytanie. – Prawdę mówiąc, przeszło mi przez myśl, żeby spróbować załatwić sobie przeniesienie. Wiesz, że JWW ma filię w Hollywood?

Poczuł się, jakby jego mózg zmienił się w zmiętą kartkę papieru. Wiedział to doskonale. Jakimś cudem zdołał o tym chwilowo zapomnieć, ale ona mu przypomniała. Jak to miło z jej strony.

– Lepiej tam nie jedź – powiedział, zanim zdał sobie sprawę, co mówi.

– Tak? – Wyglądała na zaintrygowaną, nic ponadto. – Dlaczego?

– Trzęsienia ziemi. – Usiłował nie myśleć o tym, jak strasznie nienawidzi sam siebie za to, że jest pozbawionym wyobraźni bufonem. – To bardzo niebezpieczny obszar z powodu tej, no, aktywności sejsmicznej. Gdzieś czytałem, że pewnego dnia cała ta część Kalifornii wpadnie do wielkiej dziury w ziemi.

Melze zachichotała. Większość młodych kobiet po siedemnastce nie umie chichotać z wdziękiem, lecz ona miała taki dar.

– Rozumiem. Cóż, jeśli mnie przeniosą, będę pamiętała, żeby wziąć spadochron. A mówiąc poważnie, jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Po chwili wahania Paul skinął głową.

– Słyszałem... no, kilka rzeczy – powiedział z zakłopotaniem.

– Naprawdę?

– Od jednej znajomej. – Dlaczego miał aż tak wielkie wyrzuty sumienia tylko z powodu doboru słów? Tak czy owak, czuł się, jakby właśnie wydał rozkaz, by wyprowadzono i

rozstrzelano wszystkie jego najcenniejsze wspomnienia. – Niedawno ją tam wysłali – ciągnął. – Okazuje się, że to żadna atrakcja. Nie robi nic ciekawego, nudzi się.

Zmarszczyła brwi, lecz po chwili się rozpromieniła. W blasku bijącym z jej twarzy można by robić zdjęcia w szybie kopalnianym.

– Ano tak, słyszałam coś o tym. To ta dziewczyna, która z tobą pracowała. Ktoś mi mówił, jak się nazywa....

– Sophie. Sophie Pettingell. – No i stało się. Najgorsza możliwa zdrada, jak wyrzucenie do śmieci ukochanego misia z lat dzieciństwa. – Parę dni temu dostałem e-mail. Píše w nim, że nie może się doczekać, kiedy miną trzy miesiące i będzie mogła wrócić do domu.

Melze patrzyła na niego. Nie musiała pytać: „Czy ona aby nie była twoją dziewczyną?”.

– Cóż, może w takim razie sobie odpuszczę. Zresztą nie wiem, czy wytrzymałabym trzy miesiące za granicą.

Udało mu się; ale mimo to, a może właśnie dlatego, nie byli już przy tym stoliku sami. Obok Paula, na samym skraju jego pola widzenia, było puste miejsce po Sophie, wyczuwalna obecność – przypominająca mu ten płat nicości, na który ściekała krew i z którego nagle wynurzał się martwy urzędnik bankowy. Przyszło mu do głowy, że w obu przypadkach zasada jest ta sama. Pan Dao i panna Wa byli... czym, duchami? Ale przecież duch to tylko trwałe wspomnienie, które można ożywić i przywołać jedynie przy użyciu dawki cudzego życia. Pomyślał o wspomnieniach, które obstały go, kiedy szedł przez pustkę z Bennym Shumwayem. Czy jutro dołączy do nich Sophie?

Bez względu na to, jak bardzo człowiek ma podzielną uwagę, ciężko jest snuć rozważania o śmierci i poczuciu winy, a jednocześnie flirtować. Melze wydawała się odrobinę zawiedziona, kiedy dziesięć minut później Paul stwierdził, że trochę boli go głowa i że lepiej już pójdzie do domu. Pocieszyła go, że to pewnie od kataru i że rano na pewno poczuje się lepiej. Gorący coldrex i dwie tabletki paracetamolu, poradziła. Sprawiała wrażenie, jakby autentycznie się o niego troszczyła. Wściec się można. Jak to jest, że coś takiego może być tak cudowne i tak strasznie dołujące zarazem?

*

– Nie trzeba – oznajmił Benny Shumway o 14. 15 jedenastego dnia. – Mogę pójść do banku sam.

Paul mało nie popłakał się z ulgi, tyle że...

– Nie, naprawdę nie mam nic przeciwko temu – powiedział.

– Właściwie już się do tego przyzwyczaiłem. – Był szczery jak Bill Clinton. – Nie jest tak źle, jak już wiadomo, czego się spodziewać.

Ale Benny pokręcił głową.

– Nie mówię tego przez grzeczność. Wynikła pilna robota i jeden z nas musi się tym zająć.

– Aha.

– No właśnie. – Benny się skrzywił. – Bo gdyby ktoś mnie spytał, czy jesteś gotów samodzielnie robić za bohatera, musiałbym odpowiedzieć, że nie. Ale jeden z nas musi to załatwić, a drugi wyskoczyć do banku. Rozumiesz?

Paul skinął głową.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Benny – myślę, że akurat w tym przypadku powinieś sobie poradzić. Znasz całą teorię, procedury i tak dalej, a to właściwie błahostka. Sądzę, że – dodał całkowicie nieszczerze – będzie to dla ciebie dobre przetarcie. Lepiej zacząć od takiego drobiażdżku niż od razu zostać wrzuconym na głęboką wodę. – Gryzmolił coś na niebieskim formularzu zamówienia na sprzęt z magazynu. – Lepiej pojedź taksówką. Niektóre z tych rzeczy są dość nieporęczne, a żadnej raczej nie wniesiesz do metra.

Paul zerknął mu przez ramię i na widok słów „granat przeciwpancerny 35mm” stwierdził, że on i Benny wreszcie są w jakiejś sprawie zgodni. To miło.

Cały ekwipunek swobodnie zmieścił się w dużej walizce, a poza tym nie trzeba było jechać daleko. Z dokumentacji wynikało, że trzeba usunąć małą, ale dość agresywną wiwerkę, która uwiła sobie gniazdo w bankomacie na końcu Oxford Street od strony Piccadilly Circus. Jak dotąd ograniczała się do pożerania kart, ale klienci byli do tego przyzwyczajeni, więc nie podejrzewali niczego niezwykłego. W teczce Paul znalazł notkę skreśloną ręką Benny’ego: „Sugeruję 50 ml SlayMore zmieszane w proporcji 25:1 z wodą z kranu, wtrysnąć zraszaczem przez otwór na kartę; jeśli to nic nie da, zrób, co uznasz za stosowne, i postaraj się nie wysadzić żadnych budynków”. Była nieco bardziej pomocna niż inne rady Benny’ego, ale tylko nieco.

Na miejscu Paul odkrył, że personel banku otoczył już bankomat pomarańczowymi pacholkami i żółto-białą taśmą; lepszego czaru niewidzialności nie znalazłby nawet w regulaminie organizacji pracy w biurze. Postawił walizkę, wyjął atrapę karty bankomatowej, którą mu wydano, i bardzo ostrożnie wsunął ją do otworu. Jak należało oczekiwać, weszła i już nie wyszła. Smuzka niebieskiego dymu, która po chwili wypłynęła z otworu, była tak nikła, że mógłby nic nie zauważyć, gdyby jej nie wypatrywał.

Pech chciał, że choć wziął zraszacz i butelkę wody Evian, zapomniał SlayMore. Myśl, że miałby wrócić do biura i się tłumaczyć, niezbyt do niego przemawiała. Podobnie jak (ku jego sporemu zaskoczeniu) perspektywa odebrania życia drugiej istocie. Owszem, nigdy by się nie

zdecydował zabić z własnej nieprzymuszonej woli, ale na jego liście priorytetów wykonanie zadania bez totalnej wtopy normalnie górowałoby nad miłosierdziem jak przerośnięty szczyt alpejski. Może sprawiły to wizyty w banku, kiedy zobaczył na własne oczy, jak jest po drugiej stronie; w każdym razie nie chciał tak tego załatwić i uznał, że trzeba znaleźć inne wyjście. Przeczytał dość mądrych artykułów, by wiedzieć, że przemoc zawsze jest problemem, nigdy rozwiązaniem, że miecz to kawałek stali z ofiarą na każdym jego końcu, że pokój zawsze zwycięży, jeśli tylko skłoni się wrogów, by zaczęli ze sobą rozmawiać. Byłaby to doskonała metoda, gdyby znał język wiwern.

Porozumienie – oto klucz. Paul musiał wymyślić, jak przemówić temu małemu szkaradztwu do rozumu, i będzie z górki.

Porozumienie. Podstawą porozumienia jest informacja, a techniki informacji to chyba jedyne, co się w dwudziestym pierwszym wieku udało. Paul miał w portfelu całą kolekcję małych plastikowych prostokątów, które zawierały wszystkie informacje o nim, zakodowane w postaci cyfrowej. Wyciągnął je: Visa, karta ubezpieczenia społecznego, karta z wypożyczalni wideo, karta doładowania konta telefonu komórkowego, karta stałego klienta sklepu Boots – prawdziwa talia tarota mówiącego wszystko o jego przeszłości, terażniejszości i przyszłości – i zaczął wsuwać jedną po drugiej do otworu. Z bankomatu buchały kłęby dymu jak w zły dzień w Watykanie. Kiedy ostatnia karta zniknęła w czarnej dziurze, Paul cofnął się i czekał. Wiwerna miała już pełny obraz Paula Carpentera, jego pozycji społecznej, zobowiązań, sytuacji finansowej, pasji, nawyków. Na tej podstawie zmyślne stworzenie zda sobie sprawę, że Paul nie jest wrogiem, tylko przyjacielem, którego jeszcze nie poznało. Wyjdzie ze swojej kryjówki, wymieni wyrazy szacunku w języku migowym i nikt nie będzie musiał zginąć ani mieć pogryzionych palców.

Czekał. Nic się nie działo. Potem, kiedy już zaczynał się zastanawiać, co poszło nie tak, otwór bankomatu beknął.

Cholera, pomyślał Paul.

Przez dziesięć minut grzebał w nim plastikową linijką, aż ona też została pożarta. Ukląkł przy maszynie i zaczął śpiewać do otworu – muzyka jest czystsza formą komunikacji niż słowa, wieloryby śpiewają do siebie i proszę, w gazetach nie ma nic o krwawych walkach między wielorybami. Potem próbował błagać i grozić.

Rusz głową, nakazał sam sobie, przecież to żalosne. Co zrobiłby Jean-Luc Picard? Przypomniał sobie jednak, że ilekroć Jean-Luc zdany był na łaskę i niełaskę jakiegoś niewidocznego superinteligentnego adwersarza, potwór koniec końców okazywał się zagubioną, przerażoną sierotką, która tak naprawdę chciała tylko wrócić do domu. Nagle myśl o solidnej dawce SlayMore zaczęła wydawać się bardzo sensowna. Niestety, nie miał dość pieniędzy na taksówkę z powrotem do biura, a ta cholerna maszyna pożarła jego kartę.

Co zrobiliby Benny? Cóż, Paul znał odpowiedź na to pytanie, miał ją na karteczce, którą tak lekkomyślnie olał. Co zrobiliby pan Wurmtofer? Albo pan Tanner czy profesor van Spee? Przez jakiś czas rozważał te zagadnienia, po czym olśniło go, że zadaje niewłaściwe pytania. Właściwym pytaniem, rzecz jasna, było: co zrobiliby Paul Carpenter, gdyby miał iloraz inteligencji przynajmniej dwa razy większy od rozmiaru buta?

– Jakies kłopoty? – usłyszał z lewej strony.

Poderwał się na równe nogi – do tej pory kucał, bo tylko tak mógł szeptać do otworu w bankomacie bez obaw, że nadweręży sobie szyję – i zobaczył piękną dziewczynę. Wysoką, smukłą, o naturalnych rudych włosach i ślicznym uśmiechu, który niemal skutecznie maskował charakterystycznie wyszczerzone zęby...

– Ty – warknął Paul. Potem coś mu się przypomniało. – Zdaje się, że miałas być na urlopie macierzyńskim czy coś takiego.

– I jestem – odparła płomiennowłosa bogini. – Właśnie byłam na badaniach. Na Harley Street, zaraz obok. – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Jedyne goblini ginekolog w Europie Zachodniej.

– Jasne. I domyślam się, że ta... skóra, którą masz na sobie, to stary łach, który znalazłaś na dnie szafy.

– Lubię dobrze wyglądać – stwierdziła mama pana Tannera.

– Co w tym złego? Na co wołałbyś patrzeć, na to czy na goblinicę w szóstym miesiącu ciąży?

Paul wzruszył ramionami.

– W każdym razie odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”.

Mama pana Tannera zrobiła krok w stronę bankomatu i pociągnęła nosem.

– Niech zgadnę. Wiwerna, mam rację? I karmiłaś ją plastikiem.

Skinął głową.

– To błąd, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Niestety tak. Bez materiałów wybuchowych wiwernę można usunąć tylko na dwa sposoby: zagazować ją albo zagłodzić. Ja wzięłabym pięćdziesiąt mililitrów SlayMore, zmieszała w proporcji dwadzieścia pięć do jednego z wodą...

– Tak, wiem – przerwał jej Paul. – Ale nie mam tego cholernego SlayMore, jasne? A nie mogę wrócić po to do biura, bo...

– No tak. – Ostentacyjnie nie chichotała. – Cóż, w takim razie pozostaje ci plan C.

– Jaki?

Zmarszczyła nos; pewnie gobliny tak mają.

– Najlepiej podsumować go słowami świętej pamięci Richarda Nixona: „Jak trzymasz ich za jaja, szybko zawładniesz ich sercami i umysłami”. Na szczęście to samica, nie samiec.

– Tak? Skąd wiesz?

– Nieładnie – odparła mama pana Tannera. – Widzę, że ktoś tu nie czyta lektur obowiązkowych. Strona 774 regulaminu organizacji pracy w biurze. Jak powinieneś wiedzieć, a nie wiesz, właśnie trwa sezon lęgowy wiwern. Tutaj mamy niosącą się młodą samiczkę. Pewnie wysiaduje kilka jaj. Nowe, szeleszczące banknoty dziesięciofuntowe Banku Anglii są ich ulubionym materiałem do wyściółki gniazd.

– Och – powiedział Paul i nie wiedzieć czemu się zarumienił. W ustach mamy pana Tannera wszystko, co miało choćby najmniejszy związek z prokreacją, brzmiało nad wyraz sprośnie.

– Co mi to daje? – dodał.

Spojrzała na niego litościwie.

– Siedź cicho i się nie ruszaj. W tym momencie normalnie powiedziałabym, że to wcale nie będzie bolało, ale gdzieś czytałam, że od kłamania się tyje. – Pstryknęła palcami i...

Paul uniknął twardego lądowania na bruku dzięki temu, że w porę zamachał skrzydłami. Niby dobrze, tylko że zaraz naszła go myśl: Skrzydła? Jakie skrzydła? To zakłóciło działanie instynktu, który utrzymywał go w powietrzu. Próbował temu zaradzić, mocniej trzepocząc skrzydłami, ale jedyny skutek był taki, że wleciał całym impetem w mur.

Zabolało, a w dodatku nie rozwiązał kłopotów z grawitacją, które znów zaczynały się robić palące. Gwałtownie wymachiwał skrzydłami, ale dawało to tylko tyle, że wisiał w powietrzu jak kot z kreskówki, który właśnie wybiegł poza krawędź urwiska. Pomocy! – chciał krzyknąć, ale z jego ust wyszło tylko piśnięcie przerażonego kocięcia. Potem, jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, rzucił się na niego potwór, opierzony smok z dziobem sępa i skórzastymi skrzydłami, przecinający powietrze z wysuniętymi szponami...

... który schwycił go za kark i unióś w powietrze, wrzeszcząc *Ile razy ci mówiłam, żebyś bez mojej zgody nie bawił się na dworze* w jakiejś mowie, która nie wymagała słów. W jego głowie zrodziła się myśl: *Instynkt macierzyński*, gdy nagle wielka jak szczyt himalajski mama pana Tannera trzepnęła potwora zwiniętą w rulon gazetą i oboje boleśnie runęli na ziemię.

– Au! – wrzasnął Paul i uprzytomnił sobie, że powiedział to po ludzku; co więcej, że siedzi na potworze, który nagle skurczył się do rozmiarów małego king Charles spaniela.

– Wstań, zanim ją zmiażdżysz – zakomenderowała mama pana Tannera, odciągnęła go na bok i mocno przydepnęła wysokim obcasem szyję wiwerny. No i się skurczyła, a to już coś. – Nie toleruję znęcania się nad zwierzętami.

Paul osunął się na ścianę.

– Coś ty ze mną zrobiła? – wydyszał.

– Zmieniłam cię w młodą wiwernę, oczywiście – odparła mama pana Tannera ze spokojem.

– Wszyscy wiedzą, że wiwerny mamusie w okresie wylęgu nie odróżniają swoich młodych od obcych. Dlatego jak tylko usłyszała młodą wiwernę w tarapatach, wyleciała z gniazda jak fretka spod brudnych gaci. – Uśmiechnęła się do niego promiennie. – I po robocie. Uprzedzam, że będzie lekko wkurzona, jak się obudzi, więc na twoim miejscu zabiłabym ją teraz.

Paul spojrział na nią bykiem.

– Nie – powiedział. – Wykluczone. To, że coś jest uciążliwe, to nie powód, żeby od razu zabijać...

Wiwerna ocknęła się i ugryzła go w nogę.

Potem zrobiło się lekkie zamieszanie, bo Paul usiłował przydeptać jej głowę stopą, na której raczej powinien był stać. Chyba jego upadek na wiwernę sprawił, że puściła jego nogę, choć mama pana Tannera później twierdziła, że to ona powaliła stwora precyzyjnym kopniakiem butem marki Roland Cartier ze stalowym czubem. Kiedy Paul dźwignął się na nogi, panowała cisza.

– A widzisz? – odezwała się mama pana Tannera. – Szybko zmieniłeś śpiewkę.

– Ale... – Paul dopiero teraz spojrział na wiwernę, by sprawdzić, czy nic jej nie jest. Od razu się zorientował, że nie ma pośpiechu.

– Biedna, głupia krowa – skwitowała mama pana Tannera.

– No cóż, tak to właśnie jest w branży zwalczania szkodników.

Paul czekał, by zobaczyć, czy stworzenie się ruszy. Na próżno.

– Nie żyje – wykrztusił. – Prawda?

– No pewnie – odparła mama pana Tannera. – Pół minuty siedziałeś jej na krtani. Te bydlęta może i są agresywne, ale delikatne. Ja zawsze powtarzam, że w siedmiu przypadkach na dziesięć tyłek jest potężniejszym orężem od miecza.

Paulowi drżały kolana, prawdopodobnie nie od bólu pogryzionej kostki.

– Zabiłem ją – jęknął. – Nie chciałem.

Mama pana Tannera wyszczerzyła się do niego radośnie.

– A to pech. No ale sam rozumiesz. Gdzie drwa rąbią i tak dalej. Lepiej rusz tyłek, jeśli chcesz skoczyć do środka i kazać im otworzyć skarbiec.

– Po co?

– Jaja, tłumoku. Jaja wiwerny. Szczerze złoto z diamentową skorupką, warte kupę forsy. Chyba nie chcesz, żeby przylepiły się jakiemuś kasjerzynie do paluchów?

– O nie. – Paul sam był zaskoczony stanowczym tonem swojego głosu. – Zabiłem biedactwo i jeszcze miałbym kraść jej jajka? Może jak się je zostawi w spokoju, wylęgną się z nich...

– A żebyś wiedział. I wtedy w bankomacie będzie pięć wiwern zamiast jednej. – Mama pana Tannera się zawahała. – Właściwie to niegłupi pomysł, bo wtedy wezwą nas, żebyśmy je usunęli. Pięć wiwern, po tysiąku za każdą, mój Dennis będzie wniebowzięty.

Paul westchnął.

– Zrobimy tak – rzekł zimno. – Zabierzemy te jajka i przeniesiemy je gdzieś daleko, gdzie młode będą się mogły bezpiecznie wylęgnać. Można zadzwonić do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami... Co cię tak śmieszy?

W szerokim uśmiechu mamy pana Tannera znać było odrobinę rozrzewnienia.

– Ty – powiedziała. – Tyle masz rozumu, co stado fretek upchanych w beczce, ale przez to jesteś zabawny. To wiwerny, głupku. Jak tylko nauczą się chodzić, poleżą w najbliższe miejsce gromadzenia majątku i zaczną rozrabiać. Są małe i kruche, ale zabijać potrafią. I robią to. Naprawdę, nawet jak na człowieka jesteś dziwny. Co jeszcze twoim zdaniem powinniśmy robić? Dziergać sweterki dla osieroconych wampirów i wystawiać przed drzwi spodek mleka dla bezpieczeństwa zarazków cholery?

Nie było sensu się z nią spierać; poza tym jego postawa zdawała się mieć wysoce niepożądany efekt uboczny w postaci jej rosnącej sympatii do niego, a tego chciał uniknąć za wszelką cenę. Małe wiwerny mają pecha, ale trudno, ich mama właśnie pożarła wszystkie jego karty kredytowe.

– W porządku. Pójdziemy po jajka. Co z nimi będzie?

Mama pana Tannera posmutniała.

– Są własnością banku, więc to on zabierze pieniądze. Ale nam należy się dziesięć procent, co ucieszy mojego Dennisa. Albo moglibyśmy je zatrzymać. Dwa dla ciebie, trzy dla mnie... bylibyśmy bogaci. Bardzo bogaci.

Kolej na Paula, żeby się zawahać. Jeśli młode wiwerny tak czy owak były skazane na zgubę, a skalane ich krwią pieniądze trafią do JWW i banku... Gdyby był bogaty, tyle mógłby... Ale jaki to miałoby sens? Wciąż był związany kontraktem z JWW, pieniądze tego nie zmienią. Do tego dochodził jeszcze jeden mały szkopał – jak potem mógłby ze sobą żyć?

– Nie chcę ich. Możesz je sobie zabrać.

Mama pana Tannera wybałuszyła oczy.

– O w mordę! Dlaczego?

Paul wzruszył ramionami. Sam nie był tego pewien.

– W sumie chyba lepiej, żebyś ty je dostała, nie bank. Załatwiłaś tę wiwernę, więc, jak sądzę... – Zabrakło mu słów.

– Dzięki – powiedziała cicho mama pana Tannera. – Jeszcze nikt nigdy mi nie dał takiego prezentu. Nie żebym potrzebowała tych pieniędzy, ale liczą się intencje.

Paulowi przyszło do głowy, że chyba właśnie zrobił coś bardzo głupiego.

– To nie znaczy... – wyjaśnił pospiesznie.

– Wiem. – Prześliczna dziewczyna, którą mama pana Tannera była w tej chwili, uśmiechnęła się do niego. Ani śladu wyszczerzonych kłów. – Właśnie dlatego to takie... cóż, niezwykle, bo przecież wcale za mną nie szalejesz. Tak czy tak, weźmy te jaja i chodźmy stąd.

Po dwudziestu minutach mieli już jaja wiwerny. Były ciężkie, ale na tyle małe, że zmieściły się w walizce, w której Paul przyniósł ekwipunek do walki ze smokiem. Truchło wiwerny zawinęli w czarny worek na śmieci, który wyblągali u personelu banku. Mama pana Tannera zarzuciła go sobie na plecy, wyjaśniając, że do czegoś jej się przyda. Paul nie chciał wiedzieć nic więcej.

– Cóż – powiedział z zakłopotaniem – dzięki. Powinienem już wracać.

– Próbujesz mnie spławić – odparła mama pana Tannera (trafnie). – Ale ja mam pieniądze na taksówkę, a ty nie.

Uśmiechnął się blado.

– Jak to dobrze się składa – rzekł.

Mama pana Tannera bez trudu znalazła taksówkę. Wystarczyło, że podniosła rękę, i już jakaś podjechała. Jeśli doszukiwać się w tym magii, zapewne była to owa prosta, boleśnie niesprawiedliwa magia, która dba o młode, ładne kobiety, a młodych, ciapowatych mężczyzn zmusza, by radzili sobie sami. Kiedy weszli razem do recepcji – mama pana Tannera trzymała Paula pod ramię, a on był zbyt rozkojarzony, by kazać jej przestać – Melze podniosła głowę znad tego, co robiła, i spojrzała na nich. Poprawka: spojrzała na Paula i łypnęła spode łba na mamę pana Tannera. Paul dopiero po chwili załapał, że Melze nie może wiedzieć, kim jest młoda piękność u jego boku.

O rany, pomyślał.

Wtedy Melze się odwróciła, całą sobą dając do zrozumienia, że Paul dla niej nie istnieje. Czuł silną pokusę, by wszystko wyjaśnić („To nie jest tak, jak myślisz, tak naprawdę to przeokropnie ohydna goblinica. No weź, zmień się w goblinicę, żeby Melze sama zobaczyła... ”), ale mężnieją przewyciężył i ruszył dalej w stronę drzwi przeciwpożarowych. Choć nie patrzył na mamę pana Tannera, domyślał się, że na jej twarzy igra złośliwy uśmieszek.

– Nie wiem, co ty w niej widzisz – powiedziała, kiedy weszli na schody. – Owszem, to jakiś postęp w porównaniu z tym kościstym krówskiem, które cię rzuciło. Mimo to lepiej nie dopuszczaj jej do kremówek i herbatników czekoladowych.

– Przestań – odparł Paul. – Proszę.

– Jak sobie chcesz.

Tak jak Paul na to liczył, w archiwum nie było żywej duszy. Zamknął drzwi, otworzył walizkę i oddał jaja wiwerny mamie pana Tannera. Wciąż były ciepłe, zauważył z pewnym

poczuciem winy.

– Jesteś pewien? – spytała mama pana Tannera, kiedy podał jej pierwsze dwa jaja. – Jeśli zmieniłeś zdanie...

– Nie, naprawdę. – Przede wszystkim chciał się ich pozbyć.

– Weź je i więcej mi ich nie pokazuj.

– Zgoda. – Włożyła je do tekturowego pudełka, które znalazła na podłodze. Chwała Bogu.

– A teraz spływaj – rzuciła. – Może zobaczymy się później.

Paul czmychnął.

Najpierw sprawdził, czy Benny już wrócił z banku. Kasę zastał pustą, a małe drzwi były uchylone. Ostentacyjnie nie zajrzał tam.

Wrócił do własnego gabinetu i odszukał hasło „wiwerna” w indeksie regulaminu organizacji pracy w biurze. Odsyłaczy było dużo, głównie do ustawowych ograniczeń tego, kiedy, gdzie i przy użyciu czego można je zabijać. Prawdę mówiąc, tego popołudnia złamał co najmniej sześć przepisów. Nie żeby się tym zbytnio przejął. Nigdzie nie było powiedziane: „Nie będziesz zabijał wiwern”; ogólne przesłanie brzmiało raczej: „Nie będziesz zabijał wiwern w łatwy sposób”, a to nie to samo.

Właśnie przeglądał komentarz do paragrafu 665 (ix) (2) Aktu (o zwalczaniu) małych smoków z 1997 roku (zakaz strzelania do wiwern z mechanicznej kuszy o szerokości przekraczającej 22, 5 centymetra, obowiązujący we wszystkie niedziele między 15 czerwca a 3 listopada na terenie całego kraju z wyłączeniem Szkocji, Wysp Normandzkich i wyspy Man), kiedy drzwi się otworzyły. Tym razem mama pana Tannera wróciła do swojej gobliniskiej postaci. W sumie, stwierdził Paul, usiłując się nie gapić na sterczące kły długości palca, szczecinę na brodzie i ściekającą z pyska strużkę śliny, taką ją wolę. Mniej onieśmiela.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała.

Rozłożyła łapę i coś spadło na biurko. Czerwony kamień jubilerski mniej więcej wielkości małej bryłki węgla.

– Dziękuję – rzucił Paul odruchowo. – Hm, co to jest?

Szeroki uśmiech.

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Powiedz mimo to.

Wzruszyła ramionami.

– Trzecie oko wiwerny.

Paul wdrygnął się, jednocześnie pozostając w całkowitym bezruchu. To była umiejętność, którą posiadał, odkąd zaczął pracować w JWW.

– Cholernie ciężko je było wydłubać – mówiła dalej goblinica.

– Poszły dwa śrubokręty.

– Aha. Do czego służy?

Szerszy uśmiech.

– Weź je do ręki.

Paul się zawahał. Najwyraźniej mama pana Tannera myślała, że za bardzo się będzie brzydził. I w zasadzie niewiele się pomyliła, ale mimo to podniósł je z biurka.

– No i... ?

– Bardzo dobrze. Teraz na nie spojrzuj.

Spojrzał na oko, skupiając wzrok na ostrych, prostych krawędziach faset.

– Patrzę. Mały czerwony kamień, też mi sensacja... – Coś wyłączyło mu fonię.

To było tak, jakby patrzył na bardzo mały telewizor przez zakurzoną dziurkę od klucza, ale widział biurko, a za nim...

– Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś – powiedziała mama pana Tannera – pokazuje rzeczy, których normalnie byś nie widział. Jak trochę poćwiczysz, może nawet zobaczysz coś użytecznego. A jak nie, po prostu pokaże ci twoją prawdziwą miłość, więc dla ciebie to żadna korzyść. No bo na co ci niewyobrażalnie rzadki kamień, skoro wystarczy, że wyskoczysz na dół, do recepcji? Ale taka jest tradycja: to twój pierwszy smok... widzisz, wiwerny uznaje się za smoki, choć ledwo, ledwo... więc należy ci się jego oko. – Cmoknęła językiem. Paul wciąż wpatrywał się w kamień, jakby wszystko wokół przestało istnieć. – Cóż, w takim razie zostawię cię samego. Naprawdę, gdybym wiedziała, że kręcą cię grube baby...

W którymś momencie musiała zamilknąć i wyjść, bo kiedy Paul wreszcie podniósł wzrok, jej już nie było. Parę razy zamrugał, po czym spojrzał na kamień, tylko żeby się upewnić...

... I zobaczył młodą, chudą brunetkę z wielkimi oczami. Dłubała w nosie skuwką długopisu, a przez okno za jej głową Paul niewyraźnie dostrzegał wielkie białe litery na stoku wzgórza.

Zabawne. Człowiek jest już prawie pewien, że przynajmniej jeden element jego potwornie skomplikowanego życia wreszcie znalazł się na właściwym miejscu, mimo że wszystko poza tym wciąż pozostaje beznadziejnie pochchrzanione, a tu nagle zdarza się coś, co odwraca wszystko o dziewięćdziesiąt pięć stopni...

Jego prawdziwa miłość. Sophie.

Rozdział 4

– Nieźle - rzekł Benny Shumway, oglądając mały czerwony kamień pod światło. – I przyznam, że kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, pomyślałem sobie, że twój tyłek to zapewne najgroźniejsza broń w twoim arsenale. Ale powinieneś być użyć SlayMore, jak radziłem. Proste metody są najskuteczniejsze. – Oddał kamień Paulowi, który wrzucił go do pudełka po zapalkach i schował do kieszeni. – Tak w ogóle kto ci o tym powiedział?

Nie wiedzieć czemu, Paul nie wspomniał w swoim raporcie o mamie pana Tannera.

– Musiałem gdzieś o tym przeczytać – odparł nieprzekonująco. – To prawda, że można tego używać w radiestezji? Bo podobno mam smykałkę do takich rzeczy, więc pomyślałem...

Benny Shumway skinął głową.

– Można, owszem. Wymaga to dużo cierpliwości, samozaparcia i treningu, ale z czasem można dojść w korzystaniu z niego do takiej wprawy, że praktycznie zastępuje laptopa i telefon komórkowy. Mnie osobiście szkoda na to czasu. Mam lepsze zajęcia.

– Aha – powiedział Paul. – No cóż. Co dziś robimy?

Benny chwilę milczał.

– W ramach szkolenia, to masz na myśli? Nic. Skończyło się. Przerobiliśmy wszystko. Jeśli o mnie chodzi, masz już całą wiedzę i wszystkie umiejętności niezbędne do tego, by być prawdziwym, praktycznym bohaterem. – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – I co, ulżyło?

– Nie.

– Tak myślałem. No to powiem prawdę. Teoria jest guzik warta, musisz uczyć się na własnych błędach. O ile dostatecznie długo pożyjesz.

– W porządku – odparł Paul ze zmarszczonym czołem. – Wydawało mi się, że miałem tu być przez trzy miesiące.

– Uznajmy, że to zwolnienie warunkowe. Za mierne zachowanie. Chcesz złożyć zażalenie?

– Nie, skądże. To znaczy, było, hm, ciekawie, ale coś czuję, że to nie dla mnie. Lepiej mi szło wykrywanie boksytów, na pewno. W takim razie co teraz?

Benny się roześmiał.

– Teraz, co cię zapewne ucieszy, opuszczasz ten dział i przechodzisz do następnego. Co, skoro odsłużyłeś już swoje u Dennisa Tannera, prawdopodobnie oznacza Skuteczną u hrabiny Judy albo Praktyczną u Theo van Spee. Nie zazdroszczę – dodał. – Ale na koniec czeka cię inżynieria lądowa u Kazika Susłowicza, a to laba w porównaniu z całą resztą. Zawsze powtarzam, że najlepiej zacząć od tego, co najgorsze, i mieć to z głowy.

– Rozumiem – powiedział Paul. – Ale mnie raczej chodziło o to, co mam zrobić teraz, w tej chwili. Wrócić do siebie i czekać, aż po mnie przyślą, czy poszukać kogoś i powiedzieć, że tu już skończyłem?

Benny wzruszył ramionami. Na ścianie za nim Paul zauważył oprawioną rycinę – trzy białe kotki – której przedtem tam nie było. Zresztą, jak o tym pomyśleć, nie było też ściany; wcześniej znajdowały się tam małe drzwi, które teraz zniknęły.

– Zależy, jak bardzo ci się spieszy – rzekł Benny. – Ja na twoim miejscu zaszyłbym się na dzień czy dwa w jednym z pustych gabinetów na górze, gdzie nikt by mnie nie szukał. Termos kawy, dobra książka i można ukrywać się z tydzień, zanim ktoś zauważy.

Gdyby Paul mógł być pewien, że Benny nie żartuje, kto wie, czy nie dałby się skusić.

– Może pójde i spytam Julie? Ona zwykle się orientuje co i jak.

– Jak mało kto w tym budynku – przytaknął Benny. Ziewnął.

– Cóż, dzięki za pomoc. Nie będę ci wmawiał, że masz dość talentu do zwalczania szkodników, by rozdeptać wołka zbożowego, ale miło było mieć kogoś, kto odwał za mnie robotę papierkową.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To kiedy wraca pan Wurmtofer? – zapytał Paul. Nie żeby go to szczególnie interesowało.

– Lada dzień. Bardziej precyzyjnie nie da się tego określić; robota trwa, ile trwa, a w dodatku Ricky, jak już odwali fuchę, ma zwyczaj robić sobie wolny dzień, a potem się tłumaczyć, że zabłądził na pustyni albo był uwięziony w lochach Władcy Ciemności. Tak naprawdę w tym czasie zwiedza, wyleguje się nad basenem, jeździ na wycieczki autokarowe. Ale jest w zarządzie, więc siedzimy cicho.

Zgodnie z przewidywaniami Paula, Julie doskonale wiedziała, co miał teraz zrobić.

– Hrabina przyjmie cię piętnaście po drugiej – powiedziała. Zegar na przeciwległej ścianie pokazywał za siedem pierwszą.

– Właściwie możesz wyjść wcześniej na lunch – dodała takim tonem, jakby nadawała mu honorowe obywatelstwo miasta.

Paul nie był pewien, czy to dobry pomysł. Tak naprawdę chciał pokręcić się po recepcji i sprawdzić, czy Melze nie zjadłaby z nim lunchu. Gdyby nie wizja, którą zobaczył w tym irytującym małym czerwonym kamieniu...

Skończyło się czymś w rodzaju podświadomego kompromisu. Kręcił się po korytarzu i do 12. 59 hamletyzował, aż wreszcie, tuż przed tym, jak mieli zaryglować drzwi na ulicę, pognął do recepcji. Zdążył w samą porę. Melze właśnie wychodziła.

– Kupę lat! – wykrzyknęła i błysnęła uśmiechem jak reflektor.

– Właśnie szłam do tego baru kanapkowego za rogiem. Idziesz?

Jakie to proste.

– Tak, jasne. – Czyli Benny miał rację, proste metody są najskuteczniejsze.

– No i jak, co tam u ciebie? – zagadnęła, kiedy usiedli naprzeciwko siebie przy starym stoliku z formiki.

Gdyby tylko... – pomyślał Paul. Tak łatwo byłoby dogadać się z Melze. Każda rozmowa z Sophie była pełna szorstkich pauz i chwil bezdennie głębokiej ciszy; trzeba było być alpinistą, by dobrać od początku do końca i nie runąć w przepaść. Zanim ją poznał, był przekonany, że miłość jest wszystkim, że jak już człowiek ją zdobędzie albo nabędzie, ma z górki i w nagrodę za jego męstwo świat winien jest mu szczęście. Teraz jednak jego prawdziwa miłość była w Kalifornii, a on miał przed sobą kogoś, z kim mógłby swobodnie porozmawiać, gdyby tylko...

– Odbębniłem bohaterstwo – odparł z pełnymi ustami. Nie da się elegancko jeść chrupiącej bułki z szynką. – Nie jestem pewien, co teraz. Albo rzucanie uroków, albo mądrość.

Melze się zaśmiała.

– Fajnie było?

Potrząsnął głową.

– Głównie wypełniałem formularze. I usiadłem na smoku. Takim małym. Rozciptałem biedaka. Ale podobno takie jak on robią dużo szkód w sektorze finansowym, więc nie ma się czym przejmować. I musiałem dużo czytać o broni, gazach trujących i wysadzaniu rzeczy w powietrze. Nie moje klimaty.

– A co będziesz musiał robić w ramach rzucania uroków? Wiesz już?

Uśmiechnął się szeroko.

– Mam nadzieję, że znowu skończy się na wypełnianiu papierów. Może to nudne, ale z tym sobie poradzę. Opowiadałem ci, jak kiedyś... ? – Zawahał się. Już miał powiedzieć „jak kiedyś robiliśmy z Sophie inventaryzację skarbcza”. – ... jak kiedyś samochód mi się zepsuł na odludziu i był tam warsztat prowadzony przez same dzieci?

Melze wyglądała na stosownie zaintrygowaną.

– Jak to? Dzieci?

– Normalnie. Chyba żadne nie miało więcej niż dwanaście lat. Mimo to wiedziały, co się zepsuło, i to naprawiły. Miały klucze francuskie, śrubokręty, podnośnik hydrauliczny i co tam jeszcze. Oczywiście – dodał... czyżby się popisywał? Na to wyglądało. – Oczywiście to niezupełnie normalny samochód.

– W jakim sensie?

Paul opowiedział więc o Monice, o tym, jak dyryguje nim po niemiecku i jak to kiedyś była przedstawicielką jednego ze śmiertelnych rywali JWW i została złapana na szpiegowaniu.

– Kto wie, czy nie ma więcej takich jak ona. W końcu po co wyrzucać pieniądze na sprzęt

biurowy, skoro można za darmo zmieniać w niego wrogów? Słyszałaś o kserokopiarce, co?

Nie słyszała, więc jej wszystko opowiedział; a to dało mu sposobność, by opisać swój udział w obaleniu Humphreya Wellsa i ocaleniu starego pana Wellsa, prawowitego starszego wspólnika. Nie wiedzieć czemu, w tej wersji rola Sophie została znacznie okrojona. Melze słuchała zafascynowana.

– Teraz rozumiem, czemu ci się tu podoba – powiedziała.

Paul już miał zaprotestować, wyjaśnić, że nie podoba mu się wcale a wcale, że nie oszedł tylko ze śmiertelnego strachu przed złośliwym poczuciem humoru pana Tannera.

– Cóż – rzekł jednak – bywają dobre momenty.

Westchnęła.

– Tak się zastanawiam... Myślisz, że jest szansa, żeby przyjęli mnie na urzędnika? Przecież jest wakat, nie? Przynajmniej dopóki ta dziewczyna nie wróci ze Stanów. Nie wiem, czy potrafię rzucać czary i w ogóle, ale mogłabym się zająć archiwizacją, sortowaniem, robotą papierkową i takimi tam. – Jak ty, powiedziały jej oczy. Z tobą. Byłoby fajnie.

– Nie wiem – powiedział z zakłopotaniem. – Pewnie spytać nie zaszkodzi.

Zmarszczyła brwi.

– Sama nie wiem. Chyba się nie zgodzą, bo nie umiem czarować.

– Może umiesz. Próbowалаś kiedyś?

– Nawet nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

– Ze mną było tak samo.

– A jak się dowiedziałeś, że umiesz? Nauczyl cię czy to przyszło samo?

Nie odpowiedział od razu. Prawda była taka, że zalał się z rozpacz, wyrzucili go z pubu i ani się obejrzał, a już zmuszał próbującego go aresztować policjanta, by zjadł własną pałkę.

– Trudno powiedzieć – odparł. – Było tak, jakbym przypomniał sobie coś, co zapomniałem dawno temu. To nie tyle przyszło, ile wróciło. Cokolwiek z tego rozumiesz?

– Chyba tak. Za to teraz pewnie możesz rzucać czary, kiedy zechcesz.

– Cóż... – Cóż, pomyślał. Pewnie tak. Ale jakoś nigdy nie mam ochoty tego robić, jeśli nie muszę. Właściwie dlaczego? – Czasami – powiedział. – Ale jestem jeszcze początkujący. Dlatego muszę odbyć staże we wszystkich działach. Tyle, że zwalczanie szkodników niewiele miało wspólnego z magią. Tam najważniejsza była znajomość podstaw chemii i obsługi broni.

Melze patrzyła na niego wymownie.

– Rzuć jakiś czar. No, rzuć.

Coś mu mówiło, że to zły pomysł. Bardzo zły pomysł.

– Hm...

– To nie musi być nic spektakularnego – przekonywała. – Coś błahego, ot tak, żebym

zobaczyła, jak to wygląda. Proszę!

– Nic mi nie przychodzi do głowy. – Grał na zwłokę.

Rozejrzała się.

– Możesz zmienić tę pustą filiżankę w mysz?

– Nie. Ale mogę zrobić tak, żeby się sama umyła, to łatwizna. Zobacz. – Wbił wzrok w filiżankę, odnotował fakt, że jest brudna, a powinna być czysta. I stała się czysta. – Widziałas?

– Super! – Dziewczynie oczy autentycznie błyszczały. – To niesamowite. Zrób to jeszcze raz.

– Nie mogę. Ktoś zauważy.

– Proszę!

To było, jak zawsze mówiła mu matka, magiczne słowo.

– No dobrze. – Wielkodusznie wyczyścił następną filiżankę.

– Niesamowite – powtórzyła.

– No cóż. – Wzruszył ramionami. – Trochę tak. Ale to samo można zrobić ścierką i płynem Fairy.

Melze zdawała się tego nie słyszeć.

– Możesz mnie nauczyć? – zapytała z przejęciem.

Pokręcił głową.

– Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, jak to działa. Po prostu spoglądam na filiżankę i myślę sobie, że w świecie doskonałym nie miałyby brązowych obwódek w środku i resztek zimnej kawy na dnie.

– Aha. – Przechyliła się w stronę sąsiedniego stolika, przeprosiła siedzącego tam mocno zaskoczonego jegomościa i zabrała jego pustą filiżankę. – No już. Patrzę na nią. Tak, widzę, co jest nie w porządku. Ta filiżanka jest strasznie brudna, to wręcz skandal.

Paul zauważył, że stojąca za nią kelnerka odwraca głowę.

– Nie – oznajmiła Melze ze smutkiem. – Nic z tego. Zobacz, nadal brudna.

Uśmiechnął się blado.

– Chyba tak to już jest. Prawdę mówiąc, dużo o tym myślałem i mam teorię... cóż, to zabrzmiało okropnie głupio, ale kluczem jest to, jak postrzegasz świat, wszystko, co jest z nim nie tak. Jeśli zauważasz coś takiego i myślisz sobie, no tak, takie jest życie, można się było tego spodziewać, nic na to nie poradzę, to do czarowania raczej się nie nadajesz. To jest tak jak z tym, co ci mówiłem o świecie doskonałym. Chyba musisz w głębi ducha wierzyć, że gdzieś taki idealny świat istnieje, i jeśli ta wiara jest dość silna, możesz dokonać takiej jakby zamiany: jeden mały fragment naszego starego, nędznego świata rzeczywistego za jeden mały fragment świata doskonałego. – Zawiesił głos i spojrział na nią z nadzieją. – Co o tym sądzisz?

– Masz rację.

– Serio?

– Tak. Trafieś w sedno, mówiąc, że to brzmi okropnie głupio. Bo... – ciągnęła Melze, kiedy po twarzy Paula przebiegł zblakany cień irytacji – ... to by znaczyło, że aby rzucać czary, musiałbyś być... jak się na takich mówi? Musiałbyś być idealistą. Tymczasem, cóż, poznałam członków zarządu i zakładam, że wszyscy są specami od magii, a wybaczyć, nie wyglądają mi na takich, co bujają w obłokach. Bynajmniej. Gdybyś spotkał ich na ulicy, pewnie wziąłbyś ich za prawników.

Miała trochę racji.

– Może i tak – powiedział. – Ale...

– No i weźmy cię. Nie chcę cię urazić, wprost przeciwnie, ale w życiu nie pomyślałabym, że mógłbyś być pacyfistą czy członkiem Greenpeace. Jesteś zbyt...

– Samolubny?

Pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Myślę, że gdybyś znalazł się w sytuacji, w której mógłbyś ocalić wieloryba, zrobiłbyś to, pod warunkiem że nie byłoby przy tym tłumu gapiów. Ale nie w tym rzecz; po prostu jesteś typem człowieka, który nie wierzy, by mógł uratować wieloryba, bo to ani chybi za trudne, a on sam nie jest dość odważny czy bystry. Pewnie myślisz sobie: Jaki jest sens, żebym walczył z kwaśnymi deszczami czy zadłużeniem krajów Trzeciego Świata, skoro nawet nie mam dziewczyny? Mam rację?

Paul nic nie odpowiedział, na co Melze doznała nagłego przyływu skruchy, jakby właśnie nadepnęła kociakowi na ogon.

– Wybaczyć – powiedziała. – Nie chciałam cię dotknąć, chodziło mi tylko o to, że moim zdaniem trzeba mieć ego wielkości Mount Rushmore, żeby być idealistą, bo idealista to ktoś, kto myśli sobie: O, jest problem i właśnie ja mogę go rozwiązać. A ty taki nie jesteś, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Fakt. Nie ma co udawać, jestem tchórzem i samolubem.

To wyraźnie rozzłościło Melze.

– Wcale nie! Wiem, że to nieprawda, bo uratowałeś tego pana Wellsa, którego zmienili w zszywacz. To było bardzo niebezpieczne i nie musiałeś się angażować. Ale sądzę, że zrobiłeś to, bo pomyślałeś, że to musi być straszne, żyć sto lat jako zszywacz, a nie dlatego, że prowadziłeś jakąś idealistyczną krucjatę przeciwko nielegalnym przeistoczeniom. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – powiedział, głównie dlatego, że chciał zmienić temat.

– Tak mi się zdaje. A wracając do tematu, to wszystko, co mogę powiedzieć o rzucaniu

czarów. Pewnie niewiele ci to dało. – Nieważne – odparła z promiennym uśmiechem. – Może po prostu nie mam do tego smykałki. To nic. I nie będę cię więcej napastować o to, żebyś czarował. I naprawdę uważam, że jesteś mądry i w ogóle super, skoro to potrafisz.

Później, z perspektywy czasu, Paul stwierdził, że chyba właśnie w tamtej chwili Kupidyn postanowił przestać się bawić lukiem i strzałami i przerzucił się na zimną stal. W przeszłości bywało, że ludzie mówili mu, że jest całkiem sympatyczny, ale na tym się w zasadzie kończyło. Nawet Sophie nie wyrażała się o nim dobrze. Pochwały i pochlebstwa były w jego życiu tak częste jak bordo i foie gras w więziennej stołówce. Zapewne wymamrotał coś w odpowiedzi, jakieś zaprzeczenie czy nieprzekonujący protest, nie pamiętał. Z miłością już jakoś nauczył się obchodzić. Za to podziw był dla niego tak nowy, obcy i onieśmielający jak fotografia dla Trobriandczyka, i w głębi ducha obawiał się, że może skraść mu duszę.

Paul wtedy zwrócił uwagę, że robi się późno i powinni już wrócić do biura, a Melze lekko posmutniała, bo wspólnie spędzony czas dobiegał końca. Dla kogoś, kto wiedział, że jego krewnym zdarzało się przesuwac zegary godzinę naprzód, by szybciej się go pozbyć, to też było aż nazbyt wyborne. Ogólnie biorąc, kiedy piętnaście po drugiej pukał do drzwi hrabiny Judy, czuł się, jakby właśnie o wiele za szybko wypił pół litra szampana – kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że jest napęczniały jak balon.

– Przypuszczam, że jest pan ciekaw – mówiła hrabina Judy – jak działa magia.

Paul przełknął ślinę tak gwałtownie, że omal nie dostał czkawki.

– Cóż, przeszło mi to parę razy przez myśl, owszem.

Skinęła głową leciuteńko jak pies maskotka za tylną szybą cortiny porzuconej na pustyni.

– Oczywiście, nie pomyślał pan, żeby zapytać. Wołał pan spróbować dojść do tego samodzielnie, od podstaw. Dziwnie okazuje pan zaangażowanie.

I oto nagle znów wpadł w tarapaty, ale już się do tego przyzwyczaił. Przez tak dużą część swojego życia był w błędzie, że stał się on wręcz jego stałym miejscem zamieszkania, dlatego kaganie się przychodziło mu tak łatwo jak kotu przełożenie przez klapkę w drzwiach.

– Przepraszam – powiedział.

Nie zareagowała.

– Mógł pan chociaż przyjść i poprosić o jakąś książkę na ten temat. Jest takich kilka. Ale nie, pan wołał o tym myśleć. I na pewno doszedł pan do jakiegoś wniosku.

Minęło parę sekund, zanim Paul zrozumiał, że to było pytanie.

– No, poniekąd – przyznał. – Ale teraz wiem już prawie na pewno, że jest błędny.

– Proszę pozwolić, że ja to ocenię.

Wyluszczył więc, po raz drugi w ciągu godziny, swój (nieaktualny) pogląd na to, jak działa magia. Kiedy wreszcie się zaciął, hrabina chwilę patrzyła na niego, po czym zaczęła mówić tak,

jakby w ogóle się nie odezwał.

– Magia dzieli się na dwie kategorie. Jest magia praktyczna i magia skuteczna. Pan dotąd liznął trochę magii praktycznej. Ja zajmuję się niemal wyłącznie magią skuteczną.

Pauza. Paul wiedział już, że nie wolno mu ulegać pokusie wypełniania takich chwil ciszy czczą gadaniną.

– Magia praktyczna – podjęła hrabina – to magia, która coś robi. Na przykład czyści brudną filiżankę czy przesuwą górę o metr w lewo. Tymczasem magia skuteczna wytwarza wrażenie. Sprawia, że człowiek zaczyna wierzyć w coś, co może nie być prawdą... tak działa choćby eliksir miłości. Wkrótce przekona się pan, że duża część tego, co uważał pan za magię praktyczną, to tak naprawdę magia skuteczna, z tej prostej przyczyny, że często łatwiej i taniej jest skłonić kogoś, by uwierzył, że coś istnieje, niż to stworzyć; a my koniec końców działamy w tej branży po to, żeby zarobić na życie. Nadąża pan?

Ku jego zaskoczeniu, nadążał. Skinął głową.

– Podam przykład – ciągnęła. – Niech pan sobie wyobrazi, dajmy na to, młodego czarodzieja, dzieciaka, który upija się i spotyka na ulicy policjanta. Zagrożony aresztowaniem, zmusza go, by zjadł własną pałkę. Jest to magia praktyczna czy skuteczna? – spytała, wpatrzona w niego sępiim wzrokiem.

Praktyczna, oczywiście, skoro zmuszała kogoś, by coś zrobił. Odpowiedź była tak oczywista, że gdzieś musiał tkwić haczyk.

– Skuteczna – powiedział Paul.

– Bardzo dobrze. Dlaczego?

– Nie wiem – wyznał.

– To widać – stwierdziła hrabina. – Skuteczna dlatego, że młody, niedouczony i nieprzeszkolony czarodziej nie mógł opanować wyjątkowo trudnej i zawilej sztuki oddziaływania za pomocą telekinezy na ludzkie mięśnie i nerwy. Za wysokie progi. Ja potrafiłabym to zrobić. – Nie wątpię, pomyślał Paul. – Ale sprawiłoby mi to kłopoty, a włożony w to wysiłek nijak miałby się do osiągniętej korzyści. Dlatego młody czarodziej po prostu przekonuje policjanta, że on w tej właśnie chwili najbardziej na świecie marzy o tym, by własną pałką ugryźć z całej siły, aż połamie sobie zęby. A to – dodała niedbale – bardzo łatwe. Tak łatwe, że można tego nauczyć nawet kompletne beztalencia. Słyszał pan o hipnozie.

– Tak.

Skłoniła głowę, jakby w uznaniu faktu, że jednak nie jest skończonym durniem.

– O miłości oczywiście też.

Paul przez chwilę miał wrażenie, że posłużyła się fachowym terminem zaczerpniętym z obcego języka.

– O miłości? – upewnił się.

– Zgadza się. Miłość to magia skuteczna, ale tak pospolita, że nikt jej nie zauważa.

– Aha. – Paul chwilę pomyślał. – Prawdziwa magia czy tylko taka z tekstów piosenek?

– Prawdziwa – odparła hrabina Judy. – Magia skuteczna. Lub, jeśli pan woli, złudzenie optyczne. *Trompe l'ceil*.

– Słucham?

– To francuska nazwa – wyjaśniła cierpliwie – stylu malarstwa, które myli oko, sprawia, że obserwator bierze rzeczy namalowane za rzeczywiste. Miłość to mniej więcej to samo; *trompe le coeur*, jeśli pan woli. – Uśmiechnęła się blado z własnego żartu, który umknął Paulowi jak gepard w pośpiechu. – Zechce pan o tym pomyśleć. Miłość to złudzenie optyczne, które każe człowiekowi wierzyć, że jego sympatia jest najpiękniejsza na świecie. I on w to wierzy, choć jednocześnie wie, że to nieprawda, bo kiedy spojrzy na swoją dziewczynę, a potem przewertuje ostatni numer „Vogue’a” albo, zależnie od tego, jak wysokie ma wymagania, kalendarz Pirelli, szybko stwierdzi, że tak nie jest; inne kobiety mają bardziej idealne usta, bardziej nieskazitelną cerę, bardziej przejrzyste oczy... – Zawiesiła głos. – I, oczywiście, większe cycki. Ale wiara bierze górę nad prawdą i człowiek widzi to, co pragnie widzieć. A to właśnie jest magia. Magia skuteczna.

– Jasne – powiedział Paul po pewnej chwili. – Ale wszyscy potrafią ją stosować.

– W rzeczy samej. Jest wbudowana w maszynę człowieka, bo jest konieczna. Nieodzowna dla przetrwania gatunku. Ludzie muszą kochać, panie Carpenter, bo inaczej by wyginęli. Proszę o tym pomyśleć. Młode ludzi przebywają przez dziewięć miesięcy w łonie matki i pod koniec tego okresu samica jest tak potwornie zdeformowana, że ledwo może się ruszyć; nie radzi sobie sama, nie może polować ani zbierać żywności. Musi mieć kogoś, kto o nią zadba. Potem następuje okres co najmniej piętnastoletni, a często dłuższy, kiedy dziecko nie jest w pełni samodzielne. Obok rzeczy podstawowych, jak pożywienie i ciepło, potrzebuje także troski i opieki dwojga rodziców. Wskutek tego ludzie poświęcają sporą część swojego życia na niewdzięczne zadanie wychowywania młodych. Inne zwierzęta nie przywiązują do tego takiej wagi i dlatego pozostają tylko zwierzętami. Jednak zadanie jest naprawdę niewdzięczne, to jak kara ciężkich robót, a że ludzie są inteligentnymi stworzeniami, to i wiedzą, że tyle jest ciekawszych rzeczy, którymi mogliby się zająć, gdyby tylko nie byli skazani na nudną pracę, podwózki do szkoły i poranne karmienia. Gdyby nie magia, nic by ich nie skłoniło, żeby dobierali się w pary i rozmnażali. Magia jednak ich do tego zmusza, panie Carpenter. Zaczarowani nie widzą rzeczywistości, choć w głębi ducha wiedzą, że tak naprawdę sami dopuszczają się wobec siebie okrutnego oszustwa. – Hrabina wychyliła się lekko do przodu. – Magią tą, rzecz jasna, jest piękno. Jakże zna pan porzekadła o pięknie, panie Carpenter?

– Hm – powiedział Paul. Oczywiście w głowie miał zupełną pustkę. – „Piękna i bestia”?

– Porzekadła, nie filmy animowane.

Przepuścił swoją pamięć przez wyżymaczkę koncentracji.

– Że jest nietrwale – przypomniał sobie. – I leży w oku obserwatora.

– Otóż to. – Jej zimne szare oczy przyznały mu dwa punkty.

– Piękno powstaje w oku obserwatora, bo samo z siebie oczywiście nie istnieje. Owszem, są określone cechy, które tradycyjnie uznaje się za piękne, ale to mylny pogląd. Proszę wymienić trzy.

– Słucham?

– Niech pan wymieni trzy cechy, które decydują o tym, że kobieta jest piękna.

O Boże, pomyślał Paul.

– Cóż – powiedział. – Hm, ładne oczy.

– I... ?

– Ładna, eee, skóra?

– I... ?

Czuł, że policzki mu płoną.

– No cóż, że tak powiem, ładna figura.

– Bardzo dobrze. – Jeszcze jeden punkt, za dobre chęci.

– A teraz niech pan na mnie spojrzysz.

Paul nie miał wielkiego wyboru w tej kwestii, bo hrabina Judy się zmieniła. Czy raczej nie zmieniła się wcale. Wciąż miała twarz w kształcie trójkąta równoramiennego, oczy pozostały szare, podbródek był tak ostry jak zawsze. Nagle jednak po raz pierwszy zauważył, jak niezwykle, jak oszałamiająco jest piękna.

– Kazałam panu spojrzeć na mnie, panie Carpenter, a nie się ślinić. Czy jestem piękna?

O Boże. O Boże.

– Tak – pisał Paul.

– Dziękuję. Dlaczego?

– Słucham?

Westchnęła.

– Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego jestem piękna.

– Ja... – Nie miał pojęcia. – Nie wiem – wyznał.

– Co pan powie. – Znów skinęła głową. – Cóż, rozważmy trzy wymienione przez pana cechy. Zechce pan odświeżyć moją pamięć?

Judy di Castel’Bianco była niezwykle piękna, ale i strasznie denerwująca.

– Ładne oczy – powiedział Paul.

– Ładne oczy – powtórzyła. Jej oczy zajaśniały jak księżyc we mgle. – Takie?

– Tak – wychrypiał Paul.

– Dalej.

– Ładna skóra. – Przez chwilę musiał wyteżać całą siłę woli, żeby jej nie dotknąć, bo miała tak nadzwyczajnie miękką skórę...

– Bardzo dobrze. A trzecia cecha... ?

– Ładna figura – powiedział Paul cichutkim głosem.

Robił, co mógł, by nie patrzeć. Wytrzymał co najmniej sześćdziesiątą część sekundy.

– Wystarczy. – To było tak, jakby hrabina zniknęła i zastąpił ją jej sobowtór, tyle że pospolitej urody i w średnim wieku. – A teraz zobaczmy. Oczy były ładne, bo były...?

– Wielkie – powiedział Paul w rozmarzeniu, wbrew sobie. – I błyszczące.

– A skóra?

– Miękka i gładka.

– A figura?

– Taka kształtna, krągła i, tego...

– Bujna.

– Tak – przyznał Paul i przeszedł go ciarki. – Bujna.

– Rozumiem. Inaczej mówiąc, wyglądałaś tak.

Paul przez chwilę miał wrażenie, że patrzy na goblina. Oczy hrabiny Judy były jak jaja sadzone i świeciły upiornym blaskiem, jak oczne implanty humanoidów Borg ze „Star Treka”. Skóra oblepiała jej kości jak zimny, zbrylony budyń w plastikowej torbie.

A co do reszty postaci – gdyby wytopić z niej tłuszcz i przerobić na olej do lamp, byłoby go dość, by przez tydzień oświetlać duże miasto.

– Nie zmieniałam się, panie Carpenter – powiedziała Judy di Castel’Bianco i nagle wróciła do postaci, w której powitała go w swoim gabinecie. – Rozumie pan, co się stało?

Nie mógł mówić, ale jego szyja działała. Pokręcił głową.

– Fachowe określenie – powiedziała hrabina – brzmi „urok”. Urok to, że tak powiem, wirus informacyjny; oddziałuje na tę część mózgu, która interpretuje sygnały płynące z oczu, a także... – dodała najseksowniejszym głosem, jaki w życiu słyszał – ... z uszu i pozostałych podstawowych zmysłów. Przychodzą te same dane, ale mózg przetwarza je inaczej. To wszystko. Zamiast odkodowywać liczby w systemie dziesiętnym, czyta je w systemie ósemkowym lub dwunastkowym. A ponieważ jest to tak proste, jest to również nadzwyczaj skuteczne. Nawet wykwalifikowany zawodowiec, który wie, czego się spodziewać, i odpowiednio się przygotował, z wielkim trudem się temu oprze. A niczego niepodświadomie laik... cóż. – Uśmiechnęła się ponuro. – Z pewnością rozumie pan, jak wiele może to mieć zastosowań w branży.

Paul spojrział na nią zdumiony, jakby zaczęła mówić sanskrytem.

– W czym?

– W tej wartej wiele miliardów branży, jaką jest kupno i sprzedaż ludzkiego piękna. Proces, w wyniku którego przeciętna czterdziestolatka o ograniczonej inteligencji, nieszczególnie uzdolniona, chorobliwie uzależniona od alkoholu i narkotyków, może stać się obiektem żarliwego uwielbienia milionów mężczyzn... i kobiet... którzy nigdy jej nie spotkali i nigdy nie spotkają. To właśnie urok, panie Carpenter, kreuje gwiazdy kina i muzyki pop, supermodelki i osobowości telewizyjne, kobiety i mężczyzn, których na ulicy nawet pan by nie zauważył, bo wyglądają tak... – wychyliła się dwa stopnie do przodu – ... ale których twarze i ciała są ubezpieczone na kwoty przewyższające wartość tankowca, bo wyglądają o tak.

– Znow odchyliła się do tyłu.

Paul najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się od okrzyku czystego zachwyty. Była tak piękna i wiedział na pewno, że ona jedna jedyna jest mu przeznaczona...

– Spocznij, panie Carpenter – powiedziała i oto miał przed sobą normalną hrabinę Judy... to znaczy tę, o której instynktownie myślał, że jest prawdziwa, co jednak, jak to sobie uświadomił, było założeniem całkowicie bezpodstawnym. – Ufam, że teraz już pan rozumie, dlaczego sławni ludzie, mężczyźni i kobiety, korporacje międzynarodowe, nawet rządy, skłonni są płacić wielkie sumy za to, co mamy do zaoferowania. No jak?

Skinął głową.

Hrabina przez chwilę wpatrywała się w niego; najwyraźniej spełnił jej oczekiwania.

– A to – ciągnęła – tylko jedna, drobna część sztuki magii skutecznej. Inaczej mówiąc, gdyby magia skuteczna była matematyką, to, czego był pan świadkiem, jest nauką liczenia procentów. Czymś łatwym i banalnym. – Odwróciła wzrok. – Przynajmniej dla mnie. Za to dla pana...

– Tak?

Spojrzała na niego.

– Niewykonalnym. Chyba że, rzecz jasna, ma pan dar.

– Aha.

– Ale... – To było tak, jakby grać w tenisa z zawiązanymi oczami. – ... Mam podstawy przypuszczać, że nie jest pan go całkowicie pozbawiony. Weźmy na przykład ten incydent z policjantem.

– Och. To.

– Właśnie. Najwyraźniej robiąc to, wykorzystał pan ukrytą wrodzoną zdolność. Z powodów, które wymieniłam, wydaje się najbardziej prawdopodobne, że zastosował pan magię skuteczną. Istnieje jednak cień możliwości, że posiada pan utajony, acz niezwykle potężny dar do magii praktycznej, i że zmusił pan policjanta, by zjadł własną pałkę, przejmując przy użyciu

telekinezy kontrolę nad jego czynnościami ruchowymi. Moim zadaniem w tej chwili jest ustalić, jak było naprawdę.

– Aha. Hm, dobrze. Będzie bolało?

Jej spojrzenie było tak głębokie, tak odległe, tak nieobecne, że przez chwilę się bał.

– Panie Carpenter – powiedziała wreszcie – prawda, z której niewielu zdaje sobie sprawę, jest taka, że w gruncie rzeczy wszystko boli. – Złożyła dłonie na biurku. – Jeśli człowiek taki jak pan potrafi stosować magię skuteczną, wyjaśnienie może być tylko jedno. Nosi pan to we krwi.

Paulowi to się wcale a wcale nie spodobało.

– Eee...

– Nie w tym sensie – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Jeśli pan woli, można to nazwać kwestią pochodzenia. Rodowodu. Przodków. Widzi pan, magia skuteczna... stosowana rozmyślnie, w sposób kontrolowany... jest monopolem moich poddanych, Magicznego Ludu. A my – dodała, choć właściwie nie było po co – nie jesteśmy ludźmi.

– Aha.

– Ale – kontynuowała hrabina – od czasu do czasu krzyżowaliśmy się z ludźmi i owocem takich związków są osobniki dziedziczące część naszych zdolności. Możliwe, że jest pan potomkiem takiej właśnie hybrydy, a w takim razie może pan posiadać ten dar. – Otworzyła szufladę biurka i wyjęła czystą kartkę formatu A4 i długopis. – Niech pan spisz nazwiska i daty urodzenia swoich przodków do dwunastego pokolenia.

– Słucham?

– Pańskie drzewo genealogiczne – wyjaśniła hrabina Judy głośno i wyraźnie, jakby był cudzoziemcem. – Proszę je sporządzić.

– Ale ja... mogę dojść najwyżej do dziadków. I bez dat urodzenia, bo zawsze zapominam, kto kiedy ma urodziny. A dalej...

Jej spojrzenie było jak papier ścierny szlifujący jego twarz.

– Rozumiem. Trudno, sama to sprawdzę. Do tego czasu... – Wzruszyła ramionami. – Sugeruję, aby wrócił pan do swojego gabinetu i znalazł sobie jakieś zajęcie, dopóki po pana nie przyślę. Żegnam.

Zanim zdał sobie sprawę, że to robi, Paul wstał i ruszył do drzwi. Zatrzymał się. Wymagało to nielicznego wysiłku.

– Ehm – powiedział.

Podniosła głowę, lekko zaskoczona, że jeszcze nie wyszedł.

– Tak?

Głęboki wdech. Nie pomogło.

– Czy mogę, tego, o coś zapytać?

– Naturalnie. – Od razu, bez wahania. – O co chodzi?

– Gobliny. Kiedy zmieniają kształt, czy jest to magia skuteczna? Bo mówiła pani, że...

Potrząsnęła głową.

– Praktyczna. Ich ciała na ułamek sekundy rozpadają się na cząstki elementarne, a potem łączą ponownie w wymagany kształt. To potwornie trudne, ale one potrafią to z natury. Oczywiście nie mają pojęcia, jak to robią.

– Rozumiem – powiedział Paul, myśląc o mamie pana Tannera. – Cóż, to wszystko, dziękuję. Lepiej już...

– Żegnam.

Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem. Minęły całe trzy sekundy, zanim przypomniał sobie, że sam je zamknął.



Znajdź pan sobie jakieś zajęcie, powiedziała hrabina Judy. Kiedy włókł się krętymi korytarzami do swojego gabinetu, próbował wymyślić, co mógłby robić przez najbliższe dwie i pół godziny, zanim będzie miał prawo pójść do domu. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to regulamin organizacji pracy w biurze; może był w nim rozdział o rzucaniu uroków, pięknie i tym wszystkim, o czym głądziła hrabina.

Głądziła... Kiedy był z nią, wszystko to wydawało się najzupełniej logiczne. Gdy jednak nie patrzyły na niego te przenikliwe szare oczy, jakoś nie mógł sobie przypomnieć, co w jej słowach było takiego przekonującego. Trochę dość podejrzanej biologii, coś o gwiazdach kina; ale szybko ulatywało mu to z pamięci, jak te znakomite pomysły na nowe wynalazki, które człowiek ma we śnie i zapomina dziesięć sekund po przebudzeniu.

Rzeczywiście, w regulaminie organizacji pracy był rozdział na ten temat, a dokładnie – sześć rozdziałów o magii skutecznej. Przeczytał całe cztery strony jednego z nich, zanim jego oczy uznały, że wystarczy, i postanowiły się zamknąć. Odchylił się lekko na oparcie krzesła, w którymś momencie poczuł, jak księga wysuwa mu się z palców, i usłyszał, jak spada z hukiem na podłogę. Nieważne, zaraz ją podniesie...

Uprzytomnił sobie, że znów jest w szkole, na placu zabaw podstawówki Laburnum Grove. Minęła chwila, zanim go olśniło, że jest we właściwym miejscu, bo przecież ma dopiero osiem lat. Nagle coś go walnęło w kłykcie i podniósł głowę. On i Melze grali w kasztany.

– Au – poskarżył się. – Nie po rękach.

Przeszyła go wzrokiem.

– Nie ruszaj się – powiedziała. – Nie da się grać, jak ciągle się ruszasz.

– No dobrze – odparł marudnym tonem. – Ale weź trochę uważaj.

– Mięczak. – Spojrzała zmrużonymi oczami wzdłuż nitki.

– Trzy, dwa, jeden... – Jego kasztan roztrzaskał się na kawałki, została tylko jedna żółta bryłka dyndająca żałośnie na nitce.

– Wygrałam! – krzyknęła Melze, wyrzucając ręce w górę. – Pokonałam cię – dodała, na wypadek gdyby były jakieś wątpliwości.

– Kanciara! Wiem, co zrobiłaś. Unurzałaś go w superkleju, dlatego jest taki twardy.

– Wcale nie – odparła beznamiętnie. – No, powiedz to. Obiecałeś, że to powiesz, jak wygram.

– Nie – warknął. – To nie fair, kantowałaś.

– Powiedz to, bo ci łeb rozwałę.

Próbował zabić ją wzrokiem, ale jakoś nie wyszło.

– No, dawaj – naciskała. – Powiedz to.

Odwrócił głowę. Będzie łatwiej, jeśli powie to do odległego krzaka.

– Jestem duszkiem kwiatowym – wymamrotał.

– Głośniej.

– Jestem duszkiem...

– Głośniej!

– JESTEM DUSZKIEM KWIATOWYM! – ryknął Paul i dzieci na całym placu zabaw spojrzały na niego. – Tak może być? – burknął.

Melze była wyraźnie zadowolona z siebie.

– Uhm. I wcale nie kantowałam, więc masz za swoje.

– Pokaż tego twojego durnego kasztana.

Wzruszyła ramionami i zadyndała mu nim przed nosem.

– Masz. Zadowolony?

– Niech ci będzie – powiedział niechętnie. – Zagrajmy jeszcze raz. Zagrajmy! – błagał, gdy kręciła głowę. – No zagrajmy!

– Dobrze.

Paul włożył rękę do kieszeni i wymacał nitkę, do której przywiązany był jego ostatni kasztan. Teraz ją załatwię, obiecał sobie, kiedy kasztan zakołysał się łagodnie przed jego nosem. Był suchy, pomarszczony i śmierdział octem. Paul kichnął, wytarł nos rękawem (i przypomniał sobie, że nigdy, nawet w dzieciństwie, tak nie robił; jedyną znaną mu osobą, która tak robiła, była Sophie) i czekał na nadciągający atak...

Kamień poznania dobra i zła spoczywa ukryty w kasztanie zwątpienia.

Głos był tak donośny i wyraźny, że Paul obejrzał się, by zobaczyć, kto to powiedział. Nie było tam nikogo prócz Melze, która właśnie w tej chwili wzięła zamach i jej ręka przecięła powietrze z przerażającym impetem średniowiecznej maszyny oblężniczej. Kasztany zderzyły się ze sobą; jej rozbryznął się jak szkło.

– A masz! – triumfował.

Wybuchnęła płaczem.

– To nie kasztan, to kamień.

– A żebyś wiedziała. To kamień poznania.

Przyjrzał się, co właściwie ma na końcu trzymanej w ręku nici. Oboje mieli rację. Zamiast kasztana...

– On jest nasz – warknęła Melze przez łyżę. – Należy do nas. Oddawaj.

Kamień obracał się na końcu nici; jaskrawo żółte, niemrugające oko o czarnej źrenicy spoglądało to na Paula, to na Melze.

– Nie – powiedział stanowczo Paul. – Jest nasz. Zdobyliśmy go i go zatrzymamy. – Wcisnął kamień z powrotem do kieszeni, zanim mogła po niego sięgnąć. – Teraz twoja kolej. No, powiedz to. Musisz.

Spojrzała na niego z politowaniem i pogardą.

– Jestem duszkiem kwiatowym – stwierdziła wyniośle. – No dobrze, a teraz oddaj to.

– Nie.

– Oddawaj – powtórzyła Melze. – Bo powiem cioci.

– A powiedz, co mi zależy – odparł, ale wiedział, że kłamie. Melze nie miała mamy ani taty (widać niektórzy ludzie ich nie mieli), miała za to ciocię Judith, a jej nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby się narazić. Pochodziła z tego samego miejsca, w którym rodziły się koszmary, była ogromna, jędzowata i bardzo, ale to bardzo sroga. Z drugiej strony, przypomniał sobie Paul, mało prawdopodobne, by chciała się mieszać do trywialnego sporu dotyczącego gry w kasztany. Ciocia Judith nie przepadała za kasztanami, dziećmi ani w ogóle za niczym.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła Melze.

Zanosilo się na to, że znowu się popłacze. Dziwne, bo Melze nie była taka. Inne dziewczyny miały łzami jak rewolwerowcy w saloonie na Dzikim Zachodzie kulami, zwłaszcza przy nauczycielach, ale Melze tylko chlipała, kiedy była niezadowolona. Ta myśl stropiła Paula. Może nie było idealnie mieć za najlepszego przyjaciela dziewczynę, ale uznał, że to działa w obie strony. Jakoś nie wypadało jej unieszczęśliwiać z powodu byle kasztana.

Tylko że to nie był kasztan. To było oko, a one nie rosną na drzewach. I nie miała do niego prawa; ani ona, ani żaden z jej stronników; i to nie fair, że chcieli je zabrać. Niby była przyjaciółką Paula, ale gdyby była nią naprawdę, nie prosiłaby o nie. Wiedziałyby.

– Ja ciebie też nienawidzę – powiedział. – Jesteśmy kwita.

Jej oczy nagle nabrały twardego, obcego wyrazu, wyrazu osoby wieki starszej niż ona.

– Niech ci będzie. Powiem cioci.

Strach był autentyczny, ale ona się myliła, on miał rację. A skoro miał rację, to chyba nie mogło go spotkać nic złego, bo inaczej jak ten świat mógłby normalnie funkcjonować?

– Nic mnie to nie obchodzi. Mów, komu chcesz, i tak go nie dostaniesz.

Melze otworzyła pojemnik na kanapki i wyciągnęła długi, cienki miecz, srebrzystobiały jak sople. Był dużo dłuższy od pojemnika, ale nie takie dziwactwa Paul już widział, nawet na jawie.

– Nienawidzę cię – powtórzyła (a za nią ustawiali się jej stronnicy; mieli takie same miecze, a także luki i obosieczne topory) i dźgnęła go w twarz...

Paul szarpnął się do tyłu tak gwałtownie, że mało nie zleciał z krzesła.

– Melze? – powiedział na głos, lecz oczywiście w gabinecie nie było nikogo oprócz niego. Na wszelki wypadek się nie ruszał, ale nic się nie wydarzyło.

Kamień poznania dobra i zła spoczywa ukryty w kasztanie zwątpienia.

Kawa, powiedział sobie Paul, to ani chybi przez kawę. Szkoda, że bezkofeinowa jest taka ohydna. Mimo to, jeśli tak działa kofeina, od tej pory koniec z nią. Podniósł księgę, zamknął ją i po chwili wahania wsunął z powrotem na półkę. Jego dziwny sen miał jedną zaletę: pomógł zabić czas. Na zegarku było dziesięć po piątej. Jeszcze dwadzieścia minut i już go tu nie ma. I dobrze; to był długi, męczący dzień. Przyszło mu do głowy, że gdyby skoczył do recepcji (realistycznie biorąc, w siedzibie JWW skakanie dokądkolwiek nie wchodziło w grę; odległości były tak wielkie, że wszędzie raczej się wlokło czy wędrowało), mógłby niby od niechcienia wspomnieć Melze – o ile akurat nie będzie rozmawiała z klientem albo odbierała telefonu – że ma wolny wieczór, więc może poszliby do kina czy coś. Mógłby tak zrobić. Pewnie by powiedziała: „Chętnie”. Nie było powodu, by tak się nie stało.

Zmarszczył brwi. Byłby zadowolony, gdyby się zgodziła, prawda? Nic innego by go bardziej nie ucieszyło. No nie?

No oczywiście. Tylko głupi by się nie cieszył.

Dobrze więc.

Nie ruszył się z miejsca. Nie miało to zupełnie nic wspólnego z jego dziwnym snem (który

był tylko i wyłącznie skutkiem wypitej kawy; ot, czysto chemiczna reakcja, pozbawiona znaczenia). Nie był to obezwładniający, paraliżujący strach, który nauczył się utożsamiać z niebezpieczeństwem rozmowy z dziewczyną. To w ogóle nie było nic takiego. Po prostu...

Jasne, znał się na tych sprawach, oglądał różne programy typu talk-show i czytał różne pisma w poczekalniach. Wiedział, że w każdym związku przychodzi chwila, kiedy mężczyzna staje na rozdrożu i musi zdecydować, czy chce się zaangażować, czy czmychnąć, i że jego naturalnym odruchem jest uciec gdzie pieprz rośnie. Zdawał sobie też sprawę, że jeszcze nie otrząsnął się z traumy porzucenia, więc to naturalne, że boi się wrócić do gry. Było wiele powodów, dla których nie chciał w tej chwili zejść do recepcji. Całe mnóstwo. Na sto, nawet dwieście procent nie miało to nic wspólnego z jego dziwnym snem.

Dwadzieścia pięć po piątej wstał, sięgnął po płaszcz, znieruchomiał. Miał dużo doskonałych powodów, by nie zostawać w biurze po zaryglowaniu drzwi wejściowych, i wszystkie bez wyjątku były goblinami; nie ruszył się jednak z miejsca, wpatrzony w sekundnik zegarka. Według Bennyego Shumwaya pan Wurmtoter miał lada dzień wrócić. Paul nie wiedział dlaczego, ale ta myśl podniosła go na duchu. Nie żeby się łudził, że pan Wurmtoter jest po jego stronie czy coś; Ricky Wurmtoter był członkiem zarządu, a co za tym idzie, stanowił element ogólnej dziwności. Był jednak również bohaterem, co znaczyło, że jego rolą jest walczyć z siłami ciemności i chronić niewinnych przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Ta myśl nieco podniosła Paula na duchu, dopóki nie przypomniał sobie, że sam też już jest bohaterem. Najwyraźniej wymagania nie były zbyt wyśrubowane.

W głębi ducha coś nie dawało mu spokoju, ale nie wiedział co. To było tak, jakby czuć pestkę maliny tkwiącą między dwoma dawno wyrwanymi zębami. Wpół do szóstej. Pchnął drzwi i ruszył korytarzem najszybciej, jak mógł, nie zrywając się do biegu.

Teoretycznie drzwi wyjściowe zamykano o wpół do szóstej, ale faktycznie ryglowano je piętnaście minut później. Teoretycznie gobliny pozostawały ukryte tam, gdzie się ukrywały w ciągu dnia, dopóki tych drzwi nie zaryglowano i pełniący dyżur członek zarządu nie sprawdził, czy wszyscy wyszli. Teoretycznie...

– Ej, ty!

Zabrzmiało to dziwnie – ludzkie słowo wypowiedziane przez coś, co człowiekiem nie było, niby fraza powtórzona przez szpaka. Najlepiej to zignorować, uznał Paul, ale rozległo się znowu.

– Ej, ty! Do ciebie mówię.

Przystanął i obejrzał się. Stał przed archiwum. Drzwi były uchylone. Ciekaw, czemu, u licha, robi coś tak bezdennie głupiego, pchnął je czubkiem palca wskazującego i zajrzał do środka. Nikogo; tylko milion szarych kopert na półkach i stary rower.

– Tak, do ciebie – rzekł rower. – Patrz na mnie, jak do ciebie mówię.

Paul nie był pewien, skąd wie, że mówi to rower, który ani nie patrzył na niego reflektorem, ani nie marszczył kierownicy w skupieniu. Wiedział to i tyle.

– Przepraszam – powiedział Paul. – Mogę w czymś pomóc... ?

– Zamknij się i słuchaj – burknął rower. – Musisz ją wypuścić, rozumiesz? Musisz. Tak się nie robi.

? – pomyślał Paul.

– Przepraszam – powtórzył. – Nie rozumiem. Kogo masz na myśli?

– Wypuść ją. – Rower był stary, zielony, z popękany białym siodełkiem. – Bo jak nie, to, słowo daję, zabijemy cię. Rozumiesz?

– Nie – odparł Paul i czekał na reakcję, ale rower teraz już był tylko rowerem i nie mówił nic. Paul westchnął. – Słuchaj – powiedział, choć był prawie pewien, że i tak nikt go nie słyszy – jeśli mi nie wyjaśnisz, czego chcesz, jak możesz oczekiwać, że to zrobię? Bądź sprawiedliwy. Proszę. – Nic, tylko stary rower z czarnym, brudnym od oleju łańcuchem i kawałkami chromu odłączającymi od trzonów pedałów. – A chrzań się – rzucił Paul z goryczą i wyszedł.

Coś go śledziło. Miał nadzieję, że to tylko gobliny, nie zaczarowany rower – już samo to wymownie świadczyło o tym, jak dziwaczne stało się jego życie. Skręcił za róg i zderzył się z czymś niskim i bardzo krępy.

Ożeż ty, pomyślał, gobliny! Ale okazało się, że to Benny Shumway, który spojrzał bykiem i spytał, co on sobie wyobraża.

– Przepraszam – powiedział Paul. – Właśnie wychodziłem, kiedy zaczął mi wygrażać rower. W archiwum. Wiesz coś o tym?

Benny wzruszył ramionami.

– Nic, co się tam dzieje, już mnie nie zaskoczy. Na twoim miejscu omijałbym archiwum z daleka. Chodź, odprowadzę cię do recepcji. Gobliny pewnie i tak by cię nie zaczepiały, przez wzgląd na matkę pana Tannera, ale nigdy nic nie wiadomo. Czasami bywają niesforne.

– Dzięki – powiedział Paul, uprzedzając sobie, że wystraszył się bardziej, niż mu się zdawało. – To jak – ciągnął, by podtrzymać rozmowę – wiadomo już, kiedy wróci pan Wurmtoter?

– Lada dzień. Chwała Bogu. To straszna mordega odwalać jego robotę i moją. A jak ci się podobało twoje pierwsze popołudnie z czynieniem uroków?

Paul pomyślał nad odpowiedzią.

– Było ciekawie – rzekł. – Ale raczej się nie nadaję. Rzucanie uroków to nie dla mnie, wiesz?

Benny uśmiechnął się szeroko.

– Dlaczego tak mówisz?

– Cóż... – Czy to nie było oczywiste? – Tam liczy się piękno, wdzięk i inne takie rzeczy, o

których nie mam bladego pojęcia.

– Bo jesteś niezdarny, nieśmiały i uszy ci sterczą jak boczne lusterka?

– Tak.

– Słuszna uwaga. Ale musisz zdobyć jakie takie pojęcie, nawet jeśli sam nie będziesz się tym zajmował. Moja rada jest taka: odbębnij staż i poproś o przeniesienie do Kazika Susłowicza. Spodoba ci się w jego dziale, Kazik jest... cóż, prawie normalny. Inżynieria lądowa... trudno o coś bardziej przyziemnego. – Benny zmarszczył brwi. – Choć to złe słowo, zważywszy, że Kazik najlepiej się zna na budowaniu mostów z tęczy i zamków pośród chmur. Ale wszystko i tak wymaga pozwoleń na budowę, kosztorysów, katalogów usterek i planowania robót podwykonawców. Magii w tym niewiele, do tego zmierzam.

Paul się zgodził, że taka praca dużo bardziej by mu odpowiadała.

– I żadnych gadających rowerów – dodał w zamyśleniu.

– Dręczy cię to, co? – zaśmiał się Benny. – Nie przejmuj się. To pewnie jakiś kawał, coś jak pierdząca poduszka czy wór mąki balansujący na drzwiach. I założę się, że nie dla ciebie przeznaczony.

Ostatecznie wpadli na stadko goblinów na korytarzu prowadzącym do drzwi przeciwpożarowych za recepcją; na widok Benny'ego jednak sposepniały i odwróciły się plecami.

– Tak naprawdę nie ma z nimi kłopotu, jeśli tylko im się postawić – powiedział Benny wesoło. – Oczywiście dobrze jest być krasnoludem jak ja. My i gobliny mamy długą wspólną historię, choć pewnie większości z niej wołałyby nie pamiętać. No, idź już. Dziś moja kolej, żeby zamknąć. Do zobaczenia jutro.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Paulowi strasznie ulżyło, że oto jest na normalnej, bezpiecznej ulicy. Właściwie pobyt w biurze już go nie przerażał, przynajmniej nie tak jak na początku. Przystosował się, podobnie jak ludzie, którzy budują wioski na stokach aktywnych wulkanów. Ten wieczór jednak przypomniał mu, jak cienka jest granica między monotonną, codzienną rutyną a czystym koszmarem tego wszystkiego. Czuł się trochę jak agent biura nieruchomości w strefie działań wojennych.

Dopiero kiedy wrócił do domu i zaczął rozmrażać pizzę na kolację, nagle zrozumiał, co go tak dręczyło od chwili, kiedy zerwał się ze swojej popołudniowej drzemki. Rzucił się do regału z książkami i wyjął należący do Sophie egzemplarz regulaminu organizacji pracy w biurze. Na końcu, zaraz przed indeksem, była strona, którą do tej pory za każdym razem przewracał bez czytania. Odszukał ją, przesunął palcem w dół listy nazwisk, aż znalazł autorów przejrzanych wcześniej rozdziałów...

MAGIA SKUTEKZNA – Otto Nijsbakker, hrabina Judith di Castel'Bianco, prof. Kajikawa Yosobie i dr Ernest Carpenter

Ernest Carpenter. Ernie Carpenter. Wujek Ernie.

Myśl logicznie, nakazał sobie Paul. Nie jest to najbardziej niezwykle nazwisko na świecie. Pewnie... nie, to prawie na pewno ktoś inny, ktoś zupełnie obcy. Mimo to... wujek Ernie, którego nie widział ani o którym nic nie słyszał od dzieciństwa. A ściśle – od podstawówki. Czy jego nazwisko przewinęło się niedawno w jakiejś rozmowie? Paul zanotował sobie w pamięci, by spytać o wujka, kiedy następnym razem zadzwonią rodzice, o ile zdoła im wejść w słowo.

Mikrofala piknęła; podano do stołu. Paul przerzucił pizzę na talerz, znalazł czysty widelec i nóż, zaparzył sobie mocną czarną kawę, włączył telewizor i klapnął na sofę. Najwyraźniej trafił na wiadomości, ale nie miał ochoty wstać i szukać po kanałach czegoś innego. Pałaszując pizzę, oglądał relacje z rozmaitych błahych wojen i innych melodramatów. Właśnie gonił po talerzu zbłąkaną oliwkę, kiedy usłyszał:

– ... właśnie otrzymaliśmy wiadomość o wybuchu w londyńskim City. – Trzęsące się ujęcie z ręki, pokazujące czerwoną lunę w tle sylwetek budynków, wóz strażacki, ludzi z sikawkami. – Eksplozja zniszczyła biura na St Mary Axe, wyrządzając znaczne szkody, jak dotąd nie ma informacji o ofiarach. – Paul zerwał się na nogi, upuszczając talerz i rozrzucając wokół kawałki pizzy. Irytujące ujęcie z helikoptera, pokazujące nie wiadomo co; a potem charakterystyczny fronton siedziby JWW. Na ścianie była znajoma mosiężna tabliczka, ale drzwi zniknęły, a wraz z nimi spory kawał muru. – Policja nie wypowiada się na temat przyczyn eksplozji, ale nie wyklucza zamachu terrorystycznego. I ostatnia dziś wiadomość: Larry, lemur katta, który przed dwoma dniami uciekł z londyńskiego zoo, odnalazł się po...

Paul powiedział coś wulgarnego o lemurze Larrym i wyłączył telewizor. Bomba? Niemożliwe. Może piorun czy nawet ogniste tchnienie smoka. Zwyczajne, prozaiczne materiały wybuchowe byłyby poniżej godności konkurentów biznesowych, a inni nie wiedzieli, co to jest JWW, więc po co mieliby wysadzać siedzibę firmy w powietrze? Chyba że to był wypadek. Może gobliny urządziły sobie bitwę na wypełnione wodą balony, tyle że zamiast wody wlały do nich nitroglicerynę z prywatnych zapasów Benny'ego Shumwaya, a może bawiły się w „kto pierwszy stchórzy” z zaworem gazu. Chyba że to rzeczywiście był smok, a dziennikarze tylko się... Wtedy ktoś złapał go od tyłu i wbił szpony w jego szyję.

Rozdział 5

– Nie bój się – syknął przerażający głos. – Nic złego ci się nie stanie.

Kłamca, pomyślał Paul, ale szpony nie naciskały zbyt mocno, by mógł głośno wypowiedzieć swoje myśli. Postanowił jak najszybciej zemdleć. Ogólnie biorąc, skoro już musiał umrzeć, wolał być nieprzytomny.

– Mamo! – odezwał się głos w oddali. – Nie tak mocno! Delikatni są, możesz go uszkodzić.

Nacisk lekko zelżał. Coś wielkiego złapało Paula za ramię i odwróciło jak stronę książki. Kiedy bardzo bolało, zamknął oczy; teraz znów je otworzył. Błąd. Wzdrygnął się.

– Mamo!

– Co „mamo”, co „mamo”? – obruszył się straszny głos. – Powiedz lepiej, co zrobić, żeby toto się nie ruszało.

– Puść go, na litość boską. Pewnie robisz mu krzywdę.

– Aha. Dobrze.

Ta istota, obrzydliwa, przerażająca, paskudna istota była ogromna jak niedźwiedź grizzly czy gigantyczny goryl. Skórę miała białą jak brzuch ryby i szorstką jak papier ścierny, głowę idealnie kulistą, ze szparami zamiast uszu, oczu i ust, spoczywającą na ohydny, workowatym cielsku jak piłka golfowa balansująca na okazałej porcji budyniu. Paul nigdy jeszcze nie widział takiego potwora, ba, nawet o takim nie słyszał. Na własnej skórze odczuł, jak to monstrum jest silne, ale gdzie miało mięśnie, to pozostawało dla niego zagadką. Nawet nie próbował zerknąć przez ramię, żeby zobaczyć właściciela drugiego głosu.

– Mamo!

– Słucham? A, tak. – Potwór sprawiał wrażenie, jakby zbierał się w sobie przed zrobieniem czegoś trudnego. Ale rozluźnił uścisk, co było miłe z jego strony. – No dobrze, mój drogi. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

„Mój drogi”?

– Tak – wymamrotał Paul. – Hm, kim jesteście?

– Widzisz, mamo, mówiłam ci. Rozumieją wszystko, co mówimy.

– Dobrze, niech ci będzie. – Istota zmarszczyła brwi; niezła sztuczka, zważywszy na to, że brwi nie miała. – Cześć. – Jakby się zawahała. Odebrało jej mowę? Nieśmiały potwór; widział kto kiedy takie dziwo? – Nie ma się czego bać, nie zrobię ci krzywdy. Z tobą wszystko w porządku?

– Tak – wydyszał Paul.

– Nie będziesz uciekał ani nic takiego?

Paul potrząsnął głową.

– Słowo honoru – dodał.

– W porządku. – Straszna istota puściła jego gardło. Zatoczył się do tyłu i wylądował w fotelu, tym samym, w którym siedział i oglądał telewizję, zanim w jego życiu zaroilo się od potworów.

– O właśnie – zagruchało monstrum z aprobatą. – Siądź sobie i porozmawiamy. Zgoda?

Nie, pomyślał Paul, za nic w świecie.

– Tak – powiedział, rozpaczliwie utrzymując kontakt wzrokowy z potworem. – Chętnie.

– A widzisz? – rzucił drugi głos z satysfakcją. – Tak naprawdę nie różnią się od ludzi.

Straszna istota nie usiadła, głównie dlatego, że nie miała nic – przynajmniej nic konkretnego – na czym mogłaby usiąść. Zamiast tego jakby zakrzepła na części dywanu.

– Mam nadzieję, że cię nie wystraszyliśmy.

– Nie, skądże – zapewnił Paul.

– To dobrze. Pewnie zastanawiasz się, kim jesteśmy.

Bądź taktowny, nakazał sobie Paul.

– No, trochę – przyznał.

Straszna istota skinęła głową.

– Zdaje się, że nigdy dotąd się nie spotkaliśmy. – Za jej plecami druga okrągła, pozbawiona rysów głowa przytaknęła uprzejmie.

Paul próbował się uśmiechnąć, ale twarz mu zdrętwiała.

– My ciebie oczywiście znamy, ale ty nas nie.

– Przepraszam, ale skąd mnie znacie? Nie jestem sławny ani nic takiego.

Przez chwilę był pewien, że straszna istota go ugryzie, ale to był tylko uśmiech. Zęby, co zauważył mimochodem, miała brązowe.

– Mój drogi, że jesteśmy tu, żeby ci pomóc. Dobrze mówię, bubulku?

– Tak – odparła druga istota, co najwyraźniej miało rozwiać wszelkie wątpliwości.

– To miło – powiedział Paul z niepokojem. – Jak właściwie?

Twarz potwora ułożyła się w coś jakby ciastowaty dąs.

– Obawiam się, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

Jak dla Paula, to było stwierdzenie oczywistego faktu.

– Naprawdę?

Straszna istota znów przytaknęła.

– Niestety, niewiele ci możemy powiedzieć, więc będziesz nam musiał uwierzyć na słowo.

Ale... – Zamyśliła się. – Cóż, przed chwilą widziałeś w tej gadającej skrzynce...

Westchnienie w tle.

– W telegrafii, mamo. Mówią na to telegraf.

– ... Że to miejsce, gdzie pracujesz, wyleciało w powietrze. Pamiętasz?

– Tak – powiedział Paul. Zupełnie o tym zapomniał. Tak to jest, jak człowieka duszą monstra rodem z koszmarów. – Pokazywali to w wiadomościach.

– W czym, mój drogi?

– Przepraszam, w telegrafii. Nadali reportaż.

– Cóż. – Potworna istota jakby zgubiła wątek. – Ten wybuch. Nastąpił w twoim pokoju, tym, w którym cały dzień siedzisz. Jego celem... przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale jego celem byłeś ty.

– Och – powiedział Paul.

Wąskie żółte oczy lekko się zamglily.

– To była... jak się na to mówi? Bomba-pałatka. Ktoś połączył to takie wybuchające coś z uchwytem twojej dużej metalowej skrzynki, w której trzymasz swoje rzeczy, tak żebyś otwierając ją, wyleciał w powietrze. Ale gobliny pewnie weszły do twojego gabinetu, zaczęły się nią bawić i przypadkiem spowodowały wybuch. – Straszna istota spoważniała. – Bardzo mi przykro. To musi być dla ciebie wstrząs.

A żebyś wiedziała, pomyślał Paul.

– No, trochę – przyznał. – Hm, wiesz może, kto to zrobił?

Istota posmutniała jeszcze bardziej.

– Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. Obawiam się, że to któryś z naszych. Tak mi przykro. Ale wiesz, niektórzy z nas bardzo się boją.

– Boją się – powtórzył Paul.

– No właśnie. A kto się boi, może robić różne głupstwa. To przez tę straszną wojnę – ciągnęła z goryczą. – Jeśli nie będziemy uważać, wszystko zrujnuje. Ale oni oczywiście tego nie widzą. W głowie im tylko to, jak pokonać wroga. Jeden wielki absurd.

– Przepraszam – nieśmiało wtrącił Paul – ale o jaką wojnę chodzi?

Straszna istota była wyraźnie zszokowana.

– Nie słyszałeś o wojnie?

– Przykro mi.

– Hm. – Odęła nieistniejące wargi. – Nie powiedzieli ci o wojnie. Ojej.

– Nie ma się czym przejmować – uspokoił ją Paul. – Nic mi nie mówią. Co to za wojna?

– Domowa – odparła z rozpaczą. – My kontra oni. Czy raczej my kontra my, i dlatego właśnie to takie smutne. Chodzi o to – zniżyła głos – że nie idzie nam najlepiej, a ty... cóż, ty, ściśle mówiąc, jesteś bohaterem. Przynajmniej dopóki nie wróci ten drugi bohater, ten blondyn z ładnymi oczami. Czyli to w gruncie rzeczy samoobrona. No, samoobrona przed faktem. Chcieli cię

wykończyć, zanim ty wykończysz ich, to mam na myśli. Rozumiesz?

– Taki atak wyprzedzający?

– Jaki atak, mój drogi?

– Podejrzewasz, że wróg chce cię zaatakować – wyjaśnił Paul – więc atakujesz pierwszy.

Jak w Pearl Harbor.

– Pearl co?

– A ta wojna... – Paul nie ustępował. – Kto z kim walczy? I co to ma ze mną wspólnego?

Nie jestem dla nikogo zagrożeniem, nawet pająka bym nie rozgniółł.

Patrzyła na niego z powagą.

– To chyba niezupełnie prawda. Jesteś Zabójcą Smoków, twoje ręce pachną krwią smoka.

Czuję ten zapach.

– Zabójcą... – Idiotyczne. Istota nawet wymówiła te słowa wielkimi literami. – To był wypadek. Naprawdę. I nie jestem... tym, za kogo mnie masz, jestem asystentem stażystą. – Urwał.

Straszna istota wciąż wpatrywała się w niego. – No co? – powiedział.

– Naprawdę, słowo honoru, to był wypadek. Mama pana Tannera... – Głos zasechł mu w gardle. Ta istota mówiła o zabawie goblinów. Jakies gobliny otworzyły szufladę szafki na dokumenty i wysadziły się w powietrze. Innymi słowy, zginęły. A on znał jednego goblina. Nie żeby była jego przyjaciółką, właściwie to tylko niemiłosiernie uprzykrzała mu życie, ale znał ją i chyba to niemożliwe, by umarła? Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę...

– Dopóki nie wróci ten ładny – odezwała się straszna istota – ty jesteś najwyższym rangą bohaterem w okolicy. A my jesteśmy potworami – stwierdziła smutno. – Co znaczy, że twoim obowiązkiem jest nas zabijać, jeśli ktoś przyjdzie i o to poprosi. No i zabiłeś smoka...

– Usiadłem na nim, na litość boską! – zaprotestował Paul.

Pokręciła głową.

– To bez różnicy. Ale nie przyszłyśmy tu się kłócić, po prostu chcemy cię uprzedzić. Jesteś w niebezpieczeństwie, podobnie jak twoja... – Błada skóra istoty lekko się zaróżowiła. – Twoja kobieta. Jej życie też jest zagrożone.

– Och! – Paul uświadomił sobie, że w pierwszej chwili pomyślał o Melze. – Hm – stropił się. – Która?

Straszna istota wyglądała na wstrząśniętą.

– Słucham, mój drogi?

– O którą, hm, kobietę chodzi? Bo właśnie...

Znał tę minę.

– Och – zachnął się stwór. – Mój błąd. Wydawało mi się, że ludzie łączą się w pary na całe życie. Tak jest w encyklopedii.

– Ach. – Paul lekko oklapł. – Cóż, w zasadzie tak. Ale nie zawsze...

– Rozumiem. – Straszna istota nie miała warg, które mogłaby odąć, ale je odęła. – Mniejsza o to. Nie wiem, o którą kobietę chodzi, ale mam z dobrych źródeł informację, że grozi jej straszliwe niebezpieczeństwo, i uznałyśmy, że trzeba cię uprzedzić. A teraz już sobie pójdziemy

Jakiś czas patrzyły na niego w milczeniu.

– Do widzenia, mój drogi – powiedziała potworna mamusia.

– Uważaj na siebie.

W tej chwili Paul poczuł się tak, jakby spadał, co okazało się prawdą, choć w rzeczywistości nie spadał długo, ot, z fotela na podłogę. Otworzył oczy.

– Oż cholera – powiedział.

Ani śladu żadnych strasznych istot, tylko telewizor mamrotał cicho do siebie. Zegar pokazywał 1. 25 w nocy. A więc to był zły sen. Na stole obok fotela Paul zobaczył pusty talerz po pizzy i kubek po kawie. Kofeina i ser mozzarella – czysta biochemia, nic ponadto.

Tak, ale... Chwilę pomyślał, po czym wstał i poszedł do łazienki. W lustrze zobaczył czerwone ślady szponów na szyi, tak wyraźne, że bardziej już nie można.

Cholerny świat, pomyślał. Jeśli pokażę się w biurze z tymi śladami na szyi, ludzie pomyślą... A potem sobie przypomniał o wybuchu. Pokażę się w biurze? W jakim biurze?

*

Siedem i pół bezsennych godzin później stał na chodniku na wprost dziury, na miejscu której powinna być St Mary Axe 70. Ogólnie biorąc, stwierdził, miał już serdecznie dosyć wszelkiego rodzaju dziur i pustych miejsc.

Ściśle mówiąc, nie była to dziura. W nocy postawiono parkan, który, jak to w Londynie, już był oblepiony czerwonymi, żółtymi i zielonymi plakatami. Były też biało-żółta taśma rozwieszona przez policję, tłumy gapiów i ekipa telewizyjna. Kobieta w stroju bizneswoman mówiła z przejęciem do kamery, podczas gdy dwoje dzieciaków usiłowało ukradkiem wejść jej za plecy i pomachać do obiektywu. Ciekawa rzecz, myślał Paul, gdyby ktoś powiedział mi tydzień temu, że JWW wyleci w powietrze, wyszczerzyłbym się radośnie jak małpa. Koniec z JWW, koniec z umową o zatrudnienie, koniec z robieniem dziwnych i przerażających rzeczy ze strachu przed torturami pana Tannera. Wolność. Teraz jednak, kiedy stał i patrzył na parkan i plakaty, poczuł przypływ gniewu i cichy głos w jego głowie powiedział: „Witaj na wojnie”.

Wojna. A cóż to właściwie za wojna, do cholery?

– Panie Carpenter. – Obrócił się tak szybko, że omal nie przewrócił hrabiny Judy. – Dzwoniłam do pana, ale widać już po tym, jak pan wyszedł.

Wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy widział ją ostatnio, jeśli nie liczyć słabiutkiego zielonego blasku w głębi jej oczu. Zastanawiał się, jak najlepiej sformułować oczywiste pytanie.

– Właściwie – powiedziała – to się szczęśliwie składa. Przypomina pan sobie, o czym wczoraj rozmawialiśmy.

Wczoraj. Do wtedy jeszcze sięgał pamięcią, choć z trudem.

– O magii skutecznej – rzekł, po czym obejrzał się w popłochu, by zobaczyć, czy nikt nie podsłuchuje. Ani media, ani gapie nie byli nimi zainteresowani.

– Otóż to – odparła hrabina Judy. – I oto ma pan przed sobą doskonały przykład jej zastosowania w praktyce.

Zmarszczył brwi.

– Przepraszam, nie rozumiem.

Uniosła brew.

– Proszę ze mną. Bez obaw, nikt nas nie zobaczy.

Przeszła przed samym obiektywem kamery, obok tłumu, nie pod ani nad, tylko przez żółto-białą taśmę i zniknęła w parkanie. No cóż, pomyślał Paul i ruszył za nią. I rzeczywiście, kiedy zbliżył się do ogrodzenia, rozplynęło mu się przed oczami jak kraniec tęczy, i ani się obejrzał, a już stał przed drzwiami biura. Na pierwszy rzut oka wyglądały najzupełniej normalnie.

– Magia skuteczna – wyjaśniła hrabina i pchnęła drzwi. – Prosty urok. Wydaje im się, że widzą parkan i taśmę policyjną, a to zaspokaja ich ciekawość... nie spodziewają się zobaczyć nic więcej. Proszę wejść. Nie ma żadnego zagrożenia.

Drzwi w dotyku wydawały się rzeczywiste. Recepcja wyglądała dokładnie tak jak poprzedniego dnia. Dyżurowała w niej Melze, a jakże, i uśmiechała się do niego.

– Czyli tak naprawdę żadnej bomby nie było? – zapytał.

Hrabina się zachmurzyła.

– Och, bomba była – stwierdziła z nieskrywanym oburzeniem. – I wyrządziła rozległe szkody. Pan Susłowicz prawie całą noc je naprawiał. Ale teraz już wszystko wróciło do normy. – Zatrzymała się przed stanowiskiem recepcjonistki. – Jak rozumiem, wie pan, że bombę podłożono w pańskiej szafce.

Paul skinął głową.

– Ja... – Skąd to właściwie wiedział? W wiadomościach nic o tym nie mówili, powiedziała mu to potworna mamusia. – Naprawdę?

– Tak.

– Och... dlaczego? Czemu ktoś miałby chcieć zabić właśnie mnie?

– Zakłada pan, że to pan był celem zamachu. Ma pan podstawy tak przypuszczać?

Wzruszył ramionami.

– Chyba wyciągam pochopne wnioski. Czyli pani zdaniem...

Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Za wcześniej, by postawić spójną hipotezę. Jednak na pewno ucieszy pana wiadomość, że nic nie zostało uszkodzone.

Minęła chwila, zanim to do niego dotarło.

– Nic?

– Nic.

– Ale... szafka też nie? Co z papierami, które w niej były? Na pewno musiały...

– Nic – powtórzyła hrabina Judy. – Nasza firma nie pozwala, by drobne akty wandalizmu zakłóciły jej funkcjonowanie. Taką mamy zasadę. Dlatego podejmujemy stosowne środki zapobiegawcze. Wszystko jest w takim stanie, w jakim zostawił to pan wczoraj wieczorem.

No to jestem pod wrażeniem, pomyślał Paul. Tworzenie zapasowych kopii plików to jedno, ale żeby skopiować cały budynek i jego zawartość...

– Hm, w takim razie... cieszę się – powiedział słabym głosem. – Żadnych strat, żadnych ofiar, to... – Urwał w pół zdania. Na słowa „żadnych ofiar” cień przebiegł jej po twarzy. – Nie było ofiar, prawda?

Nie odpowiedziała. Odsunęła się od niego i wzięła z recepcji kilka listów.

– Ach, historia pańskiej rodziny. Proszę poczekać w swoim gabinecie, aż to przejrzę. Przyślę po pana. – I wyszła.

Paul dalej stał jak kołek.

– O co chodziło? – spytała Melze.

Zupełnie o niej zapomniał.

– Żebym to ja wiedział – odparł. – Słuchaj, to nie jest sen, co? Naprawdę mówili wczoraj wieczorem w wiadomościach, że ten budynek wyleciał w powietrze?

Melze wzruszyła ramionami.

– Tak mi się wydawało. I nawet sobie pomyślałam, cóż, trzeba będzie znowu rozejrzeć się za pracą, ale o siódmej rano zadzwonił pan Tanner i powiedział, że mam przyjść jak zwykle, no to jestem. – Rozejrzała się wokół i dodała: – Nie widać, żeby coś tu wybuchło. Na moim biurku wszystko jest dokładnie tam, gdzie to wczoraj zostawiłam... wydawałoby się, że coś powinno się chociaż przesunąć. Ale że bomba była w twoim gabinecie? Jak to?

Paul się zawahał.

– Słyszałaś, co mówiła.

– Cóż, to w sumie logiczne. W końcu twój gabinet jest prawie w samym centrum budynku.

– Tak?

– No tak. Nie znam się na wyburzaniu budynków, ale się domyślam, że jeśli chcesz coś zniszczyć, bombę najlepiej podłożyć w samym środku.

– Fakt.

Oczywiście, jemu nie przyszło to do głowy, głównie dlatego że wciąż miał bardzo mgliste pojęcie o rozkładzie siedziby JWW. Wiedział, że jeśli pójdzie tymi i tymi schodami, skręci w prawo, potem w lewo i jeszcze raz w lewo, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć znajdzie się przed drzwiami swojego gabinetu. Jednak o planie całego budynku mówiło mu to tyle co o międzywymiarowych fałdach w hiper przestrzeni. Dawno pogodził się z faktem, że po śmierci zabłądzi we własnej trumnie.

– Czyli wszystko jasne. – Urwał. Melze patrzyła na niego z lekko przekrzywioną głową. Zmarszczyła nos. O w mordę, pomyślał, patrzy na moją szyję... – Na razie – wymamrotał i uciekł.

Przestał przed drzwiami gabinetu chyba całą minutę, zanim wreszcie zebrał się na odwagę, by wejść do środka. Jeśli potwory miały rację i bomba wybuchła, kiedy nazbyt ciekawski goblin zaczął grzebać mu w szafce, z tego by wynikało, że wczoraj wieczorem musiał tam zginąć co najmniej jeden goblin, i to w wyjątkowo efektowny sposób. Paul nigdy nie widział trupa, nie był nawet w pokoju, w którym niedawno ktoś umarł. Śmierć to było coś, co przytrafiało się w odległych szpitalach nadprogramowym krewnym, których ledwo znał. Zdawał sobie sprawę, że członkowie zarządu mają smykałkę do magicznego sprzątnięcia i porządkowania (a może to tylko magia skuteczna sprawiała, że po całonocnych zabawach krewnych pana Tannera cały budynek wyglądał na odpucowany?), ale nie uśmiechało mu się siedzieć na krześle niedawno zroszonym obróconymi w parę szczątkami goblina.

Ale niczego okropnego nie zobaczył, nie wyczuł w powietrzu żadnych słabych, niewywietrzonych zapachów, a winyl krzesła i blat biurka nie lepiły się w dotyku. Siadając, pomyślał o tym, jak mało tak naprawdę wie o goblinach. Czy można bezpiecznie założyć, że wysadzone w powietrze ginęły? Bardzo możliwe, że nie, a w takim razie niepotrzebnie kulił palce u nóg i doznawał skrętu kiszek. Mama pana Tannera odpowie mu na to pytanie, jeśli ją spotka. O ile przeżyła wybuch...

– Panie Carpenter. – Hrabina Judy stała w drzwiach. Nie usłyszał, kiedy przyszła. – Proszę za mną.

Prowadziła go korytarzami, w górę i w dół schodami, których sobie nie przypominał, aż znaleźli się w małym pokoju bez okien na końcu długiego korytarza. Zmysł orientacji podpowiedział mu, że to coś w rodzaju sutereny. Pokój miał nagie ściany i podłogę, i był pusty, jeśli nie liczyć prostego sosnowego stołu i dwóch plastikowych składanych krzeseł.

– Zdążyłam tylko na to zerknąć – powiedziała, unosząc tę samą kartkę, którą pokazała mu wcześniej – ale wygląda na to, że posiada pan wrodzoną umiejętność stosowania magii skutecznej.

– Aha, rozumiem. – Czyli wychodziło na to, że zdał. O radości!

– Jednakowoż – ciągnęła hrabina Judy – wydarzyło się coś, co wymaga pilnej interwencji działu zwalczania szkodników. W tej chwili – dodała ponuro – jest pan jedynym jego przedstawicielem na terenie budynku.

– Serio? – zdziwił się Paul. – A co z Bennym? To znaczy, panem...

Hrabina była śmiertelnie poważna.

– Pan Shumway jest obecnie niedysponowany. – Po chwili wahania dodała: – I stąd właśnie potrzeba pańskiej pilnej interwencji. Pan Shumway został uprowadzony i jest przetrzymywany jako zakładnik najprawdopodobniej przez to samo ugrupowanie terrorystyczne, które podłożyło bombę.

Szlag by to, pomyślał Paul. To była dobra, elastyczna, uniwersalna reakcja obejmująca całą gamę uczuć, włącznie z autentycznym strachem o Benny'ego i jeszcze bardziej autentycznym przerażeniem na myśl o tym, że niniejszym on sam został dyżurnym bohaterem.

– To okropne – powiedział.

– W istocie. Ale niezaskakujące. Wysłałam pana Shumwaya na poszukiwania pana Wurmtotera.

– Aha.

– Pan Wurmtoter powinien był wrócić z misji trzy dni temu. Podejrzewałam, że coś się mogło stać, i wczoraj wieczorem poprosiłam pana Shumwaya, by to sprawdził. Dziś, tuż przed szóstą rano, znalazłam to przed moimi drzwiami. – Wyjęła, Paul nie zauważył skąd, długie, wąskie szare pudełko z tektury. W środku było coś, co trochę przypominało wyściółkę staromodnej sofy.

– Broda pana Shumwaya – wyjaśniła hrabina. – Obawiam się, że może być tylko jedno wytłumaczenie. Pan Shumway wpadł w ręce wroga.

Szlag by to po dwakroć, pomyślał Paul. Szlag szlagowaty ze Szlagiem, wisienką i małą parasolką w czerwone i białe paski.

– Rozumiem. Ale co...

– Dlatego fortunnie się składa – ciągnęła hrabina – że odbył pan szkolenie ze zwalczania szkodników i ma odpowiednie kwalifikacje, by zająć się tym problemem. Oczywiście, może pan swobodnie korzystać ze wszystkich środków, jakie uzna pan za niezbędne. Nie muszę dodawać, że bezpieczny powrót pana Shumwaya jest dla nas sprawą najwyższej wagi.

Tak, ale...

– Hrabino – powiedział Paul nerwowo – ja to wszystko doskonale rozumiem, ale tak naprawdę nie mam żadnego doświadczenia ani niczego takiego, jak dotąd nie zrobiłem nic poza

tym, że wypełniłem mnóstwo papierów i usiadłem na jednym małym smoku. Czy nie mógłby się tym zająć ktoś inny? Na przykład pan Susłowicz czy profesor van Spee? Oni są... cóż, prawdziwymi czarodziejami. Ja jestem tylko pracownikiem biurowym.

Bardzo długo na niego patrzyła i uprzytomnił sobie, że są na świecie gorsze rzeczy od uganiania się za niebezpiecznymi szaleńcami i gdyby sporządzić ich listę, miejsce w czołówce należałoby się znoszeniu spojrzenia hrabiny Judy. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos był zimny i twardy jak serce inspektora skarbowego.

– Nie mamy żadnych pewnych tropów, tylko podejrzenia. Jednak zważywszy na obecną sytuację, trudno dopatrzeć się w tym zbiegu okoliczności.

Jaką sytuację? Wtedy Paul sobie przypomniał: coś o wojnie, my kontra oni, sny i koszmary.

– Ma pani na myśli wojnę? – zaryzykował.

– Otóż to.

Skinął głową, po czym spytał:

– Proszę wybaczyć, ale jaką wojnę?

Uniosła brwi. To już był naprawdę niepokojący widok.

– Wojnę, panie Carpenter. Zbrojny konflikt w łonie Magicznego Ludu. Nie czyta pan notatek służbowych?

Jest czas na kłamstwa i czas na ratowanie twarzy.

– Nie. Wydawało mi się, że tak, ale widać się myliłem. Dlatego proszę mi powiedzieć: co to za wojna?

Ciche westchnienie.

– Nie tyle wojna, ile bunt. Separatystyczna frakcja mojego ludu uznała za stosowne wydać jednostronną deklarację secesji. Sądzymy, że ta sama frakcja odpowiada za zamach bombowy i uprowadzenie pana Shumwaya. Przedstawienie tła konfliktu zajęłoby dużo czasu, więc będzie pan mi musiał uwierzyć na słowo, że separatyści są bezdusznymi, bezwzględными kryminalistami, którzy dla sprawy nie cofną się przed niczym. Stąd konieczność, by odbić pana Shumwaya jak najszybciej.

Paul trochę zmiękł. Jeśli Benny rzeczywiście był w opałach, a on jedyny nadawał się do tego, żeby go uratować, nie było sensu się wykręcać; a skoro Benny'ego uprowadziły te elfy dysydenci, to z definicji były wrogiem i chrzanić tło konfliktu.

– W porządku. Pójdę po niego. – Zamilkł i po chwili dodał: – Hm, ale dokąd?

Ku jego zaskoczeniu hrabina się zaśmiała.

– Coraz bardziej przypomina pan prawdziwego bohatera, panie Carpenter. Bardzo to budujące. Wiedziała, że nie pomyliłam się co do pana.

Cóż, wpadł jak śliwka w kompot.

– Co też pani mówi. Nie jestem pewien...

– Ale to prawda. – Jej oczy były zimne jak stal. – Wiedziałam to już na pańskiej rozmowie kwalifikacyjnej. Jak pan zapewne sobie przypomina, byli tam też inni kandydaci, niektórzy znakomici. Ileż ja się musiałam natrudzić, żeby przekonać do pana niektórych współników... Ale miałam rację. A poza tym odpowiedział pan poprawnie na wszystkie pytania. Nie było innego wyboru.

Hm, nie tak to pamiętam, pomyślał Paul. Ale co tam.

– Dzięki – wymamrotał. – To co mam zrobić?

*

Bohaterstwo, które w gruncie rzeczy polega na zabijaniu dzikiej zwierzyny i odnajdowaniu zaginionych ludzi i rzeczy, to nie to samo co odwaga. Odwaga to rzucenie się w zdradliwy nurt północnej obwodnicy Londynu, samotnie w volkswagenie polo, w godzinach szczytu.

Z niewiadomych powodów hrabina nalegała, by Paul pojechał do High Wycombe samochodem, nie pociągiem czy autobusem. Nie miał pojęcia dlaczego. Może z czystej złośliwości. Kierowcą był marnym i śmiertelnie bał się rond. Samochód też nie pomagał.

– Skup się – warknęła Monika z radia. – Mogłeś jechać, ale teraz za późno... *Dritte Pferdegesschirr*, trzeci bieg, na miłość boską. A teraz zobacz, jesteś na złym pasie. Nie, nie tak, *links, linksfahren...*

Próbował radio wyłączyć normalnie, ale nie poskutkowało; podobnie jak zerwanie panelu i wciskanie herbatników do otworu na kasety.

– Nie teraz – błagał. – Zamknij się, Monika, proszę cię...

Wreszcie wydostał się z ronda w Hillingdon, M40 objęła go swoimi silnymi ramionami i bez wysiłku poniosła ku zachodzącemu słońcu. Na autostradzie Monika jakby się trochę uspokoiła, chwala Bogu.

– Właśnie studiuje plan High Wycombe – oznajmiła rzeczowo. – Znalazłam Grasmere Drive, łatwo trafić. Jedź na Marlow i Maidenhead.

Paul przestał jej słuchać i wrócił do swoich rozterek. Co ja tu robię, na litość boską? Jeśli wysłali tu Benny'ego i dał się złapać, jakie ja mam szanse? Jak owieczka...

– Brak ci pewności siebie – wcięła się Monika. – Myśl pozytywnie. Niezdrowo zamartwiać się możliwością niepowodzenia.

Miara się przebrała. Zdecydowanie.

– Cholerny świat! – warknął. – Czytasz mi w myślach?

– *Natiirlich* – odparła ze spokojem. – Zanim mnie przemienili, byłam wykwalifikowany *Seelritter*... nie wiem, jak to po angielsku. W Niemczech od tego zaczyna się naukę. Szkolenie zawodowe jest u nas bardzo metodyczne – dodała z dumą. – Nie to, co w tym kraju, gdzie trzeba się uczyć na własną... ten... dłoń.

Niestety, herbatniki skończyły mu się już jakiś czas temu.

– W porządku – powiedział. – Mogłabyś z łaski swojej tego nie robić? Zwłaszcza kiedy prowadzę?

– Ja tylko próbuję pomóc – obruszyła się Monika. – Dla mnie to żadna atrakcja czytać takie myśli jak...

– Dzięki – przerwał jej, teraz już bardzo stanowczo. – Słuchaj, to nasze skrzyżowanie?

– *Ja*. Za drogowskazami do centrum, na podwójnym rondzie w lewo...

Odnaleźć Grasmere Drive nie było tak łatwo, jak Monika zapowiadała, i kiedy tam dotarli, panowały już nieprzeniknione ciemności. W świetle reflektorów ukazał się szereg parterowych domków pokrytych tynkiem kamyczkowym, oszalowanych na biało i nieotoczonych żywopłotami. Przed każdym, niczym sfinksy strzegące grobowca faraona, stały audi albo nieskazitelnie czyste wozy terenowe.

– Jesteś pewna, że to tu? – spytał Paul raz jeszcze.

– Oczywiście – odparła Monika ze zniecierpliwieniem. – W High Wycombe jest tylko jedna Grasmere Drive, a ten dom ma numer siedemdziesiąt cztery. Powinieneś wysiąść i zadzwonić do drzwi.

– Tak – westchnął. – Pewnie powinienem.

Czułby się troszeczkę pewniej, stwierdził, gdyby wziął ze sobą jakiś sprzęt. Nie żeby miał choćby mgliste pojęcie o tym, jak którejkolwiek z tych rzeczy używać – Benny niby pokazał mu, jak machać mieczem, ładować pistolet, uzbrajać bomby i tak dalej, ale wiedział, że nie byłby sobie w stanie przypomnieć technicznych szczegółów, gdyby coś się naprawdę wydarzyło – przynajmniej jednak miałby się czego trzymać, tak jak człowiek, który uczy się pływać, trzyma się polistyrenowego pływaka. Żeby przejść ścieżką prowadzącą do domku, który rzekomo jest portalem do Krainy Magicznego Ludu, nie będąc uzbrojonym w nic groźniejszego od jednej szarej teczki, o, to wymaga dużo więcej niż tylko odwagi. Trzeba być prawdziwie dzielnym człowiekiem – mężnym jak but, nieustraszonym jak stołowa noga – by zrobić coś takiego.

Wciąż nie był pewien, czy trafił we właściwe miejsce. Pośrodku trawnika było skupisko wyrzeźbionych z drewna grzybów otaczających oczko wodne, a na ganku wisiała tabliczka „Brookmeade”. Jakby tego jeszcze było mało, dzwonek u drzwi wygrywał melodię „Que Viva España”.

– Dzień dobry – powiedział Paul, kiedy drzwi się otworzyły, ukazując łyszego staruszka w rudawym rozpinanym swetrze, wytartym na łokciach. – Przepraszam bardzo, ale szukam portalu...

Staruszek skinął głową.

– Chwilkę. – Odwrócił się i zawołał przez ramię: – Vee, jakiś facet w sprawie portalu!

Bełkoczący w tle telewizor raptownie umilkł i miejsce staruszka zajęła kobieta z podobnego rocznika, ubrana w liliowy pulower, z wałkami we włosach.

– Do portalu, złociutki? – spytała.

Paul skinął głową.

– To proszę cię bardzo – powiedziała. – Uważaj na stopień.

Paul oczywiście się potknął i o mało jej nie zmiażdżył, po czym ruszył za nią długim korytarzem wyłożonym puszystym dywanem. Brnął naprzód, a za jego plecami ujadał mały pies, pewnie york albo coś podobnego. Gospodyni wpuściła go na oszkloną werandę, pośrodku której znajdowało się drewniane koło od wozu przerobione na stolik.

– Proszę. Jeszcze tylko momencik.

Wyszła i zostawiła Paula samego ze stolikiem, dużym słomianym osłem w sombrero i małym jazgotliwym psem. Minęło trochę czasu, zanim Paul zauważył, że pies ma trzy głowy.

Wybałuszył oczy. Wciąż miał przed sobą małego, jazgotliwego psa w obroży przeciwpchelnej w szkocką kratę, opasującej miejsce, gdzie łączyły się trzy szyje. To monstrum w jednym z pysków trzymało gumową piłeczkę i merdało ogonem. Chryste, pomyślał Paul i trwał w całkowitym bezruchu aż do powrotu gospodyni.

– To pana pierwszy raz? – spytała. Kiedy Paul przytaknął, uśmiechnęła się pocieszająco (co go wcale nie pocieszyło) i powiedziała: – Nie ma się czego obawiać. Musi pan tylko to wypić, usiąść na krześle i zamknąć oczy. Bułka z masłem.

Czymkolwiek „to” było, znajdowało się w kubku z napisem „Najlepszy dziadek na świecie”. Smakowało jak zimna, słodka herbata. Pani domu przyniosła też talerzyk z mieszanką herbatników, ale najwyraźniej one nie były obowiązkowe. Krzesło było jednym z tych takich foteli ogrodowych z płótna i stalowych rurek. Kiedy Paul na nim usiadł, pies najwyraźniej uznał go za intruza; zaczął na niego warczeć, choć nadal merdał ogonem. Jak tylko zamknę oczy, pomyślał Paul, skubaniec zaliże mnie na śmierć...

Ale wtedy oczy zamknęły mu się same z siebie. I w tej chwili sytuacja zmieniła się na gorsze.

Gdyby nie wizyta w Banku Umarłych z Bennym Shumwayem, byłoby mu jeszcze trudniej. Pejzaż wyglądał inaczej – jak okiem sięgnąć, rozciągało się rozległe brązowe wrzosowisko – ale światło i ogólny klimat były takie same, ponure i zimne. Wszystko wokół zdawało się mówić, że istoty oddychające nie są tu mile widziane. Zapewne można było bezpiecznie założyć, że

publicznych szaletów tu nie uświadczysz.

– Lepiej już chodźmy.

Paul zaskoczony poderwał wzrok i zobaczył, że nie jest sam. Obok stała wysoka brunetka w eleganckim kostiumie. Była może pięć lat starsza od niego, przystojna raczej niż ładna, w okularach.

I mówiła z wyraźnym niemieckim akcentem.

– Monika?

– *Natiirlich*. Widzisz mnie taką, jaka byłam, zanim mnie przemieniono. – Zawahała się i widać było po niej, że wahanie nie jest czymś, co przychodzi jej naturalnie. – Musimy się pospieszyć – powiedziała z zakłopotaniem. – Tylko że nie znam drogi.

– Ja... – Chciał powiedzieć, że bardzo, ale to bardzo się cieszy z jej towarzystwa. Nie liczył, iż Monika odbębni za niego wszystkie bohaterskie czyny czy nawet będzie czytać mapę (choć gotów był się założyć, że w jednym i drugim byłaby lepsza od niego), lecz w takim miejscu nie chciał być sam. – Ja też nie – rzekł. – Chodźmy w tamtą stronę.

Nawet nie bardzo wiedział, który kierunek wskazuje.

– Dlaczego? – spytała Monika ze zdumieniem.

– Nie wiem. Ale mamy jedną szansę na cztery i może dopisze nam szczęście.

– To marny powód – stwierdziła Monika. – Ale ty decydujesz. Chodźmy.

Sprawiła wrażenie odważniejszej niż on. Nieulęklej jak ciele marynowane.

– Dobrze. – Ruszył.

– Przecież tam jest zachód – zaprotestowała za jego plecami. – A chciałeś iść na północny wschód.

– Wszystko jedno. – Zadrzał. – Coś mi mówi, że to nie ma większego znaczenia. Miejsce, w które mamy pójść, pewnie znajdzie nas samo. Chyba że – dodał z przejęciem – dopisze nam szczęście.

– To bez sensu – zaoponowała Monika, pokonując truchtem kilka kroków, żeby go dogonić. – W moim kraju nie tak załatwia się takie sprawy. Najpierw zawsze dokładnie studiujemy topografię miejsca, w które idziemy. Masz mapę?

Potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żeby to miejsce zmieściło się na mapie. To chyba nie tego rodzaju... – Znieruchomiał w pół kroku. Właśnie uderzyła go paskudna myśl. – Jak stąd wrócimy?

Patrzyła na niego.

– Nie wiesz?

– Nie. A ty?

– Nigdy nie byłam w takiej sytuacji – wyznała. – Nie wiem, jaka jest przyjęta procedura.

Powinieneś być sprawdzić przed wyjściem z pracy.

Wzruszył ramionami.

– To pewnie i tak bez znaczenia. Wiesz co? – Wyciągnął nogę z kałuży czarnego błota. – Chyba jest tu jeszcze gorzej niż w banku.

Zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Mój ojciec pracuje w Rheinische Stadtbank w Stuttgarcie. Tam wcale tak nie jest.

– Co ty powiesz. – Znow się zatrzymał i rozejrzał dokoła. Wszędzie były tylko puste wrzosowiska, tu i ówdzie czarne sadzawki i skupiska granitowych skał. Paula nagle ogarnęło zmęczenie, jakby dopiero teraz dały o sobie znać skutki pół roku znużenia. Popisów im się zachciało, powiedział sobie w duchu. Magia skuteczna, też coś! Albo mogą mi zrobić coś złego, albo nie, ja w każdym razie nie mam czasu ani sił na takie durne klimaty. – Chrzanić łażenie – zdecydował. – Zaczekajmy tutaj i zobaczymy, co się stanie.

– Ale... – Naraz Monika zamilkła i wbiła wzrok w niski, porośnięty trawą wzgórek. – Tego tu przedtem nie było – powiedziała cicho.

– Fakt – przytaknął Paul. – Mówiłem ci, że wystarczy cierpliwie poczekać. Oho – dodał, kiedy z boku wzgóрка otworzyły się drzwi, z których wysączyło się bładozielone światło. – To pewnie dla nas. Chodź. Nie mamy całego dnia.

– Paul, czekaj! – Jeszcze nigdy nie mówiła do niego po imieniu, no chyba że „Paul” to po niemiecku *scheisskopf*. – Nie możemy tam wejść, to niebezpieczne.

Pokręcił głową.

– Bez obaw. Okaze się, że to loch, grobowiec albo coś takiego, i tyle. A może taka niesamowita komnata z pochodniami i ładnymi meblami. Tak czy siak, na jedno wychodzi. No jak, idziesz czy nie? – Nie oglądając się na nią, przestąpił przez próg i wszedł w zielone światło.

Pomimo swojego nowego, z trudem wywalzonego cynizmu, Paul był pod wrażeniem. Jego oczom ukazało się coś jakby piekło po remoncie przeprowadzonym przez Petera Jacksona i Laurence’a Llewellyna Bowena, z długą listą pozycjonowanych produktów poustawianych wszędzie, gdzie się tylko dało. Zielony ogień ciągnął się przez całą długość przestronnej, ozdobionej malowidłami i złoceniami komnaty w stylu hollywoodzkiego średniowiecza, wyłożonej dębiną, z dachem podpartym słupami i belkami. Wokół paleniska stały wypolerowane stoły i rzeźbione ławy, a ściany przesłaniało mnóstwo barwnych gobelinów przedstawiających groteskową mieszankę kwiatów, dzikiej zwierzyny, scen dworskich i bitew. Choć płomienie w palenisku sięgały mu nad głowę, było zimno jak przy kominku elektrycznym z wyłączonym ogrzewaniem. Paul ziewnął ostentacyjnie i zawołał:

– Halo! Jest tu kto?!

– Nie krzycz tak – syknęła Monika obok niego. – Nie wypada. Lepiej im się nie narażać...

Paul uśmiechnął się szeroko i przeszedł przez salę w stronę wysokiego stołu, który stał w poprzek na drugim jej końcu. Byłby pod jeszcze większym wrażeniem, gdyby nie widział tego wszystkiego wcześniej – oczami duszy, kiedy miał dwanaście lat i w szkole przerabiali Tolkiena. Owszem, nie wyobrażał sobie aż takich szczegółów, jak na przykład te uroczo rzeźbione brosze i trony z małymi, zabawnymi twarzami, potworami i smokami rodem z kreskówek. Miał mgliste pojęcie o tym, jak belki podtrzymują sufit, a ten, kto odpowiadał za wystrój sali, odrobił pracę domową i naczytał się o powłokach, płatwiach, słupach i więzarach. Mimo to w gruncie rzeczy dopuścił się czystego plagiatu i będzie się musiał lepiej postarać, jeśli chciał, by Paul wyzbył się sceptycyzmu.

Jak na zawołanie, drzwi z boku otworzyły się i weszła mała dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia.

– O, jesteś – powiedziała. – Podoba się?

Paul wzruszył ramionami.

– Może być. Złocenia są dość tandetne, a z tym zielonym ogniem coś się wam pokręciło, ale jesteście na dobrym tropie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z kierownikiem.

Poczuł, że Monika zeszywniała obok niego, ale dziewczynka tylko się uśmiechnęła.

– Jesteś pewien?

– Nie – odparł Paul, wpatrzony w wiszący za jej plecami gobelin przedstawiający srebrne jednorożce na łące pełnej złocistych kwiatów. – Ale nie ja decyduję. Moglibyśmy się pospieszyć? Chciałbym zdążyć do domu na „Buffy”, jeśli ci to nie przeszkadza.

Dziewczynka uniosła brew.

– Jesteśmy pod wrażeniem. Spodziewaliśmy się mazgajowatego mięczaka. Jeśli nagle zebrało ci się na odwagę, to może oszczędzić nam wiele czasu.

– To żadna odwaga – odparł Paul. – Po prostu mi się nudzi. Oczywiście, boję się też jak diabli, ale to wszystko nie rzuca mnie na kolana, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Zgaduję, że nie widzę tego, co najstraszniejsze. Mam rację?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Dygnęła teatralnie i wyszła tymi samymi drzwiami, którymi weszła. Przez chwilę właściwie nic się nie działo i Paul usiadł na najbliższej ławie.

Monika była przerażona.

– Nie możesz się tak zachowywać – powiedziała. – Nie wiemy, jakie straszliwe czary mogą tu działać.

Westchnął.

– Nie przejmuj się. To wszystko efekty specjalne, gra na zwłokę, dopóki nie wymyślą, co

dalej. A może już wiedzą, tylko że trochę to potrwa, zanim wszystko przygotują. Tak czy owak, na razie nic złego się nam nie stanie. Usiądź, daj odpocząć kołom. Trochę tu pobędziemy.

Monika po chwili wahania usiadła obok niego.

– Panie Carpenter – odezwała się ze śmiertelną powagą. – Paul. Jest coś, co chciałabym wiedzieć. Ale to sprawa osobista.

Paul podniósł z podłogi zasuszoną pałkę wodną i wsunął ją w zielony ogień. Zgodnie z jego oczekiwaniami, nawet się nie osmalila.

– Proszę bardzo, mów.

– Cóż... – Zasepiła się, czym mgliście mu kogoś przypomniła, nie pamiętał kogo. – Muszę to powiedzieć. Nie zachowujesz się normalnie. To znaczy, jesteś inny niż zwykle. Nic nie rozumiem.

Paul dotknął pałki – była chłodna – i wyrzucił ją.

– Masz rację – rzekł – i ja też tego nie rozumiem. To chyba stało się, kiedy weszliśmy w te drzwi, może trochę wcześniej. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem... – Urwał. – Miałem powiedzieć, że nie jestem już przerażony, ale to nieprawda. Chodzi raczej o... – Wzruszył ramionami. – Chyba słowo, którego szukam, to „zastrachany”. Przepraszam, nie mam pojęcia, jak to jest po niemiecku.

– Nie ma sprawy. Wiem, co to zastrachany. Nie czujesz się gorszy i zagubiony.

Skinął głową.

– Otóż to. To tak jakbym już tu kiedyś był. A nawet coś więcej. Zabrzmi to dziwnie, ale czuję się tu prawie jak w domu. Ale nie w dobrym tego słowa znaczeniu. To jak znajome miejsce, którego się nie lubi. Tak jakby... nie wiem, lotnisko Heathrow czy jakiś wielki urząd państwowy, w którym się kiedyś pracowało. A to dziwne – dodał w zamyśleniu – bo oczywiście nigdy, przenigdy nie byłem w takim miejscu jak to. Nawiasem mówiąc, ogień jest sztuczny. Nie grzeje ani nic. Myślę, że ich błąd polega na tym, że nadali mu zielony kolor... dlatego wygląda nieprzekonująco. Chyba mniej więcej wiedzieli, co spodziewam się zobaczyć, ale tego nie rozumieli. Jakby ktoś, kto nie zna języka, przepisywał słowa z książki.

Monika zadrżała.

– Strasznie zimno. Nie podoba mi się tu.

– Mnie też nie. Nie ma jakiegoś dzwonka, którym można by zadzwonić? To, że każą nam czekać, to tylko taka gra psychologiczna, ale ja już chciałbym przejść do następnego etapu.

– Doskonale – odezwała się dziewczynka, która właśnie wróciła i przyprowadziła kolegów. Faul nie był pewien, czy to te same dzieci, które spotkał w warsztacie na odludziu, czy inne, bardzo do tamtych podobne.

– Słucham? – spytał.

– Dobrze ci idzie – odparli; mówili wszyscy naraz, ale on słyszał tylko jeden głos. – Dużo lepiej, niż oczekiwaliśmy. Uważamy, że jesteś gotowy na dalszy ciąg. Co ty na to?

Monika złapała Paula za ramię, jakby chciała go ostrzec, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Chętnie – rzekł. – A z czym to się wiąże?

– To tajemnica – powiedziały dzieci. Zauważył, że wszystkie ubrane są na błękitno albo liliowo, a na nogach mają identyczne niebiesko-białe tenisówki. – Ale skoro jesteś w porządku gość, damy ci podpowiedź. To tutaj... – Zachichotały. – To dziecinna igraszka. Teraz zabierzemy cię w nieco straszniejsze miejsce. Chcesz tam pójść, czy masz już dosyć? Jeśli wolisz się wycofać, nie ma sprawy. – Na drugim końcu sali szczekał mały pies. Nosił obrożę przeciwpchelną w szkocką kratę i miał trzy głowy. – Możesz wrócić tą samą drogą, którą przyszedłeś, my się nie obrazimy.

Paul chwilę pomyślał. W sumie nie miał po co iść dalej, prawda? I tak daleko już zaszedł, postarał się, a tak w ogóle to nigdy nie chciał być bohaterem. Uratował honor. Tylko że hrabina Judy mówiła, że Benny Shumway jest ich zakładnikiem i tylko on może go stąd wyciągnąć.

Naprawdę? E tam. Przecież był jeszcze profesor van Spee, podobno czarodziej wielkiego kalibru; albo pan Susłowicz, który był olbrzymem; i czy Dennis Tanner nie mógłby tu wparować z armią goblinów? A w ogóle to czemu hrabina Judy nie mogła zająć się tym osobiście? Od czego była Królową Elfów? To, co mu powiedziała, nie miało sensu. Jeśli Benny nie poradził sobie z tymi pokurczami, jakie szanse miał on?

Jednakże było jeszcze tyle spraw dotyczących firmy, których nie rozumiał, bo nikt nie raczył mu ich wytłumaczyć. Może naprawdę tylko on jeden mógł ocalić Benny'ego Shumwaya. A Benny był...

Jego przyjacielem? Gdzie tam. Benny Shumway był tylko dziwacznym kurduplem, który kiedyś podziękował Paulowi za to, że poszedł z nim do banku. Trudno to nazwać dozwonnym długiem wdzięczności.

– Chyba powinniśmy już wrócić – szepnęła Monika.

Ale Paul pokręcił głową. Sam był tym zaskoczony. Miał wrażenie, że jeszcze się waha. Okazuje się, że nie.

– Nie, dzięki – powiedział do dzieci. – Jestem gotów.

Uśmiechnęły się do niego szeroko.

– Doskonale – stwierdziły.

Światła zgasły i niemal natychmiast znów się zapaliły.

Paul jakby dostał obuchem w łeb.

Był w takim nastroju, że pewnie poradziłby sobie z czymś dziwnym i nieznanym, bo na to właśnie się przygotowywał. Tymczasem kiedy światło się zapaliło, zobaczył coś, czego najmniej

się spodziewał. W dodatku coś tak znajomego, tak zwyczajnego, że traktował to wręcz jako ustawienie domyślne swojego umysłu. To już było naprawdę przerażające.

Siedział na łóżku. Swoim łóżku. Kołdra była ciemnoniebieska w czerwone kropki, nigdy jej nie znosił, od tego dnia, kiedy mama przyniosła ją z wyprzedaży w Marks and Spencer, ale uparcie nie łapała jego aluzji na ten temat. Ponad nim zakurzone spitfire'y i messerschmitty dyndały na kawałkach żyłki. Z plakatu na ścianie naprzeciwko załoga statku „Voyager” uśmiechała się bez wyrazu, wpatrzona w punkt nad jego głową. Był w domu.

Rozdział 6

– Oglądałeś „Voyagera”? – powiedziała Monika wreszcie. – *Gott im Himmel*.

To powinno być wiekopomne wydarzenie, od tej pory po wsze czasy świętowane z fajerwerkami i orkiestrą wojskową: pierwszy i jedyny raz, kiedy przyprowadził do tego pokoju dziewczynę, cóż, że tak naprawdę będącą volkswagenem polo. Ale Paul tego nie zauważył. Cała fatalistyczna pewność siebie wyciekła z niego jak olej z brytyjskiego motocykla. Był w domu. Ała.

W głównej sali konferencyjnej JWW stał zaczarowany stół. Jego blat, wypolerowany na lustrzany połysk, fachowo nazywany był „zwierciadłem prawdy”; goblin przebrany za człowieka i wszelkie inne istoty zmiennokształtne ukazywały się w nim w swojej prawdziwej postaci – kły, pazury, żółte ślepka i tak dalej. Może Magiczny Lud dysponuje podobną technologią, pomyślał Paul. Bo ten pokój miał dokładnie takie samo działanie. Zdemaskowali go, dopadli z zaskoczenia, pokazali, że jest durnym chłoptasiem, który udaje dorosłego mężczyznę w o cztery rozmiary za dużym garniturze. Ten pokój oczywiście już nie istniał. Kiedy jego rodzice przenieśli się na Florydę, sprzedali dom; wszystko, czego Paul nie zdołał upchnąć do dwóch walizek i tuzina tekturowych pudeł z supermarketu, poszło do sklepu z rzeczami używanymi albo na śmietnik. Tych plakatów, tej kołdry, tych plastikowych samolotów od dawna nie było. Ale pokój trwał wiecznie, a Paul nigdy go nie opuścił. Był w nim uwięziony na zawsze.

– Nie – rzekł. – To znaczy tak, pilota i część pierwszego sezonu, ale potem sobie odpuściłem. Mama kupiła mi ten plakat na Gwiazdkę. Powiesiłem go, żeby jej nie urazić.

Wzdrygnął się na samą myśl. Jego matka zawsze była strasznie wyczulona na niezamierzone zniewagi. Najdrobniejsza błahostka potrafiła ją dotknąć do żywego, a Paul naturalnie nie mógł znieść myśli, że mógłby ją zranić, więc zawsze musiał być taki ostrożny... Kiedy stał tu teraz, otoczony rzeczami, których nie cierpiał, ale których obecność tolerował przez długie lata, uprzytomnił sobie (po raz pierwszy świadomie), że wyrzuty i żale były psami pasterskimi jego matki, mającymi zagonić go do małej, skromnej zagrody, którą mu zbudowała. Wrażliwość matki i pogarda ojca trzymały go tu jak łańcuchy.

– Przepraszam – powiedział. – Halo?

Natychmiast zmaterializował się chłopczyk w wymiętym mundurku szkolnym, koszuli wywleczonej ze spodni i przekrzywionym, ciasno zawiązanym krawacie, siedzący przy biurku koło okna nad otwartym zeszytem.

– To ty? – szepnęła Monika.

Paul skinął głową.

– Jak miałem dwanaście lat.

– Byłeś... niższy – powiedziała z zakłopotaniem. – Urosłeś.

– Prawie pół metra – odparł Paul. – Miło pomyśleć, że przez te dziesięć lat coś osiągnąłem, nawet jeśli jest to coś, z czym lepiej poradziłoby sobie byle drzewo.

Nie musiała dodawać: „A poza tym nic się nie zmieniłeś”. Cóż, przynajmniej miała odrobinę taktu. *Vorsprung durch Technik* i tak dalej.

– No? – odezwał się Mały Paul, patrząc na niego z dołu z miną, jakiej Paul nigdy nie widział w żadnym lustrze. – Oto więc jesteśmy.

– Tak – powiedział Paul.

– Trochę nam ubyło pewności siebie, co?

– Tak.

Mały Paul wzruszył chudziutkimi ramionami.

– Uprzedzałem, że będzie strasznie, ale nie chciałeś słuchać. Tylko zadzierałeś nosa. Teraz masz za swoje, no nie?

– Tak.

Mały Paul uśmiechnął się złośliwie i wstał.

– Wy, ludzie, przeczytacie parę książek, nauczycie się, z którego końca karabinu wylatuje kula, i już macie się za cholernych Zygfyrdów. Prawdziwego bohatera coś takiego w ogóle by nie ruszyło. Wkurzyłby się co najwyżej, że nie ma tablicy pamiątkowej i przewodnika, który by go oprowadził.

– Nie chcę być bohaterem – wymamrotał Paul. – Przeszedłem szkolenie i tak dalej tylko dlatego, że muszę przepracować trzy miesiące w każdym dziale.

Mały się zaśmiał.

– Nie przejmuj się. – Chyba tylko z powodu różnicy wzrostu nie poklepał Paula po głowie.

– Nie twoja wina, po prostu idziesz tam, gdzie cię wysyłają. Ale przecież to oczywiste jak diabli, nie? Nie nadajesz się do takich spraw. Powinni byli pozwolić ci dalej szukać boksytów. W tym jesteś dobry.

– Tak? – Paul otworzył oczy trochę szerzej. – Naprawdę?

– Naprawdę. Każdy jest w czymś dobry. Na tej samej zasadzie nikt nie może być dobry we wszystkim. Nic się nie stało. Wracaj do biura i zapomnij o sprawie.

To było tak miłe, tak niewiarygodnie wielkoduszne, że Paul mało się nie popłakał. Poczul się jak w latach dzieciństwa; wtedy też ludzie w końcu wszystko mu wybacжали, bez względu na to, jak bezmyślnie i niegrzecznie się zachował, i nigdy nie mógł pojąć, czemu to robią, przecież na to nie zasługiwał.

– Dziękuję. – Nagle przypomniał sobie o dobrych manierach.

– Przepraszam – dodał odruchowo.

– Nie ma za co. Dostałeś nauczkę.

Coś obwąchiwało mu kostki i poczuł zapach psa. Dziesięć do jednego, że to ten mały trzygłowy york w obroży w szkocką kratę. Zawsze bał się psów, nawet tych małych (zwłaszcza tych małych), ale z obecności tego się cieszył, bo oznaczała, że można się stąd wydostać...

– *Herr Carpenter*. Paul. – Głos Moniki. – Nie rozumiem. Co się z tobą dzieje?

Herr Carpenter! Aż nim wstrząsnęło, kiedy zrozumiał, że to jego miała na myśli.

– Przepraszam – rzekł. – Słucham.

– To tylko mały chłopiec – stwierdziła. – Nie ma się czego bać. No co tak patrzysz?

Mały Paul posłał Monice trwające tylko ułamek sekundy spojrzenie, które powinno było zmienić ją w kamień. Kiedy jednak przemówił, znów cedził słowa tym samym, miażdżącym tonem.

– Chcesz iść dalej? Proszę cię bardzo. Ale ostrzegam, to tutaj to lody z brzoskwiniami w porównaniu z tym, co będzie potem. Radzę, żebyś się zastanowił, zanim twoja czterookoła przyjaciółka wpakuje cię w coś, czego będziesz żałował.

Może być coś jeszcze gorszego? Niemożliwe. Paul jednak, ku swojemu zaskoczeniu, już nie był tego taki pewny. Owszem, niegdyś tu mieszkał, i to bardzo długo, a wyrwał się na wolność tylko dzięki temu, że mama i tata uznali, że zasłużyli na własne miejsce pod słońcem, i zabrali ze sobą tylko to, na czym naprawdę im zależało, na przykład mahoniową szyfonierę i porcelanowe pieszki cioci Clary. Paulowi udało się stąd uciec wyłącznie dlatego, że nie był wart zabrania, wiedział to. Ale uciekł.

Nagle pomyślał o Melze. Kiedy zaczął chodzić do szkoły średniej, rodzice go przekonali, że tak naprawdę już nie chce się spotykać ze starymi znajomymi; teraz pozna nowych ludzi, miłych chłopców i dziewczęta, nie takich, jak w tej okolicy... Któregoś dnia był tutaj, pośród tych kropek i pod nieustannie wchodzącymi w korkociąg hurricane'ami, kiedy ktoś zapukał do drzwi domu. Usłyszał wtedy głosy Melze i jej brata Jasona. „Czy Paul wyjdzie na dwór?”. A mama powiedziała: „Przykro mi, Paula nie ma”, i jej ton mówił im, że Paula nie będzie nigdy, ilekroć przyjdą, więc sobie poszli i więcej nie wrócili. Mili chłopcy i dziewczęta ze szkoły średniej widzieli w nim worek treningowy albo nie zauważali go w ogóle (jego wina, bo nie był towarzyski, pewny siebie i czarujący, jak należy), dlatego większość czasu spędzał tutaj, w swoim pokoju, ze swoimi książkami i modelami, ach, ten Paul, tak wielki sprawia nam zawód pod pewnymi względami. Ale teraz Melze wróciła i uśmiechnęła się do niego...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekł – chciałbym przejść dalej.

Mały Paul przez chwilę patrzył na niego bez wyrazu, po czym wrzucił ramionami.

– W porządku, jeśli myślisz, że podolasz. Mnie to rybka.

– Dzięki – odparł Paul. Jeszcze zanim to słowo wyszło z jego ust, słaba poświata za oknem wdarła się do środka i zalała cały pokój. Paul zamknął! oczy jak ktoś, kto przez nieostrożność spojrzył prosto na palnik acetylenowy. Kiedy otworzył je znowu...

Biuro. Przepiękne, bardzo kosztowne biuro. Nawet ściany były wyłożone wykładziną, w której włosie wpleciony był monogram JWW o literach splątanych jak walczące węże. Gdzieś dzwonił telefon i Paul zwrócił uwagę na to, że sygnałem było przeciągłe mruczenie w amerykańskim stylu, zamiast płaczliwego brytyjskiego „bip-bip”. Za oknem widział płaskie dachy niższych drapaczy chmur, a za nimi skaliste zbocze wzgórza ozdobione wielkimi białymi literami.

O nie, pomyślał.

Dziewczynka w T-shircie z napisem „Friends Forever” wstała z eleganckiego skórzanego fotela w kącie i dygnęła ironicznie, wskazując coś na drugim końcu pokoju. Tam, na identycznych krzesłach po przeciwnych stronach niskiego, szerokiego szklanego stolika, siedzieli szczupły, opalony na brąz młody mężczyzna w typie surfera i chuda brunetka. On pił mrożoną herbatę przez słomkę. Ona w zamyśleniu dłubała małym palcem w uchu. Paul znał tylko jedną osobę na całym świecie, która tak robiła.

– Witaj w Hollywood – zgryźliwie szepnęło dziecko w koszulce „Friends Forever”.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Monika, ale Paul ją zignorował. Kiedy był cicho i się nie ruszał, z trudem, bo z trudem, ale mógł dosłyszeć rozmowę surfera z chudą dziewczyną...

– A jak już z nim zerwałam... – powiedziała chuda dziewczyna.

Paul obejrzał się, wypatrując dziecka, lecz mała zniknęła. Niechętnie odwrócił się z powrotem. Surfer śmiał się z czegoś najwidoczniej niezwykle śmiesznego.

– Gość musiał być totalną oferumą. Wybacz, ale twój gust do facetów...

Chuda dziewczyna uśmiechnęła się ponuro.

– Och, to jeszcze nie wszystko. Następny był Paul. Boże mój!

– Aż tak źle? – spytał surfer.

– Gorzej. Dużo, dużo gorzej.

– Jezu.

– No właśnie. Pewnie słyszałaś o Piotrusiu Panie, chłopcu, który nie chciał dorosnąć. – Surfer posepnie kiwał głową jak plastikowy Arystoteles zabawka. – Jeśli chodzi o dojrzałość, Paul był jak *beaujolais nouveau*. A rozmowa z nim była jak zonglerka budyniem.

Surfer zacisnął usta.

– Bał się zaangażowania, co?

Chuda dziewczyna westchnęła i pokręciła głową (a Paul pomyślał: Włosy nigdy jej tak nie falowały, kiedy była ze mną...).

– Do dziś nie wiem, jak ja z nim tyle czasu wytrzymałam. To tak jak w tej historii o

pewnym oficerze, którą gdzieś czytałam; ktoś napisał o nim w raporcie: „Podkomendni poszliby za nim wszędzie, ale tylko z ciekawości?”. Myślę, że na tej zasadzie tak długo znosiłam Paula. Obserwowałam go z jakąś chorobliwą fascynacją. I bądźmy szczerzy, było w tym też trochę mojej winy. – Skrzywiła się. – Był taki eliksir miłości... długa historia. I z jakiegoś durnego powodu pomyślałam, że jeśli pokocham go dość mocno, może zdołam go zmienić.

– Ach, tak. – Surfer uśmiechnął się szeroko. – Słynny eliksir miłości JWW. Ale wydawało mi się, że on działa, no wiesz, na zawsze...

– Tak jest napisane na etykiecie – odparła chuda dziewczyna.

– Czytałam, że nigdy dotąd nie zawiódł. Ale nigdy nie miał do czynienia z Paułem Carpenterem. – Zaśmiała się. – Powinni go zabutelkować i sprzedawać jako antidotum. Właściwie kto wie, może właśnie dlatego go zatrudnili. Jakiś powód mieć musieli.

Chichot surfera był głęboki i, jak dla Paula, nad wyraz niesmaczny.

– Wygląda na to, że raczej się nie zejdziecie. Lecz może coś mi umknęło. Skoro gość jest taką ofermą, po co wypijaś eliksir miłości?

Posłała mu smutny i wstydlivy uśmiech.

– Chyba jestem żalosna i tyle. To znaczy, dopiero co zerwałam z tym innym palantem... nie, moment, tracę rachubę. To było po tym, jak jeszcze inny palant okazał się goblinem w przebraniu.

– Przykre – szepnął surfer.

Skinęła głową.

– Właściwie to był takim jakby dalekim krewnym pana Tannera, naszego dyrektora do spraw praw górniczych; przebrał się za człowieka i cóż... – Jej uszy i czubek nosa się zaróżowiły. – Uwiódł mnie, powiedzmy. I nawet nie dlatego, że wpadłam mu w oko, chodziło tylko o jakieś biurowe rozgrywki. Jak sobie pewnie wyobrażasz, nie podniosło to mojej samooceny. No i... cóż, pojawił się Paul, łąził za mną jak żalosne, zbłąkane szczenię; pomyślałam sobie więc, a do licha z tym, bądźmy praktyczni. Wiedziałam, że Paul się we mnie zadurzył; czyli gdybym napiła się tego eliksiru, cóż, problem rozwiązany. Kochałabym go do grobowej deski, mogłabym wykreślić znalezienie prawdziwej miłości z listy spraw do załatwienia, ubyłoby mi jedno zmartwienie... – Pokręciła ze smutkiem głową. – To przez moich rodziców, przynajmniej częściowo. Prawdopodobnie mnie kochają, tak sądzę, ale ciągle patrzyli na mnie ze smutkiem, wiesz, jak to jest... Córciu, kiedy się ustatkujesz, kiedy znajdziesz sobie miłego narzeczonego? I tak dzień w dzień. To takie upierdliwe. Dlatego eliksir miłości uznałam za dobry wynalazek. To jak aranżowane małżeństwo, tyle że oprócz wygody i braku zawracania głowy, ma się jeszcze prawdziwe uczucie. W każdym razie dlatego to zrobiłam i pewnie nie byłby to zły pomysł, gdyby podziałało. A ja musiałam sobie wybrać jedyne go faceta we wszechświecie, który jest tak

kolosalnie beznadziejny i niewydarzony, że nawet po wypiciu eliksiru miłości nie da się z nim wytrzymać. No to rzuciłam go i przyjechałam tutaj.

Paul odwrócił wzrok. Przede wszystkim czuł zimno, jakby godzinę przeleżał w śniegu.

– Hej, ty tam – powiedział cicho. – Elfie.

Dziewczynka natychmiast wyrosła obok niego.

– Nie jesteśmy byle elfami – burknęła ze złością. – Jesteśmy elfami z Magicznego Ludu. Zapamiętaj to sobie, jeśli lubisz oddychać.

Paul rozchylił wargi w nieudolnej imitacji uśmiechu.

– Och, przymknij się – powiedział. – Chciałem cię tylko spytać, czy jest jakiś powód, dla którego musimy tu zostać, czy też możemy już przejść dalej? Bo jest tyle innych rzeczy, które mógłbym robić...

Sądząc po minie dziewczynki, autentycznie jej zaimponował.

– Chcesz przejść dalej? – upewniła się. – Po tym, co tu usłyszałeś?

Wzruszył ramionami.

– Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z powodem, dla którego tu jestem.

– Głupi jesteś czy jak? – Dziecko uniosło brwi, . – Słuchaj, może ty nie rozumiesz. Widziałeś, co możemy ci zrobić, jeśli tylko zechcemy, a mimo to chcesz to dalej ciągnąć. Albo jesteś naprawdę, naprawdę odważny, albo...

Uśmiechnął się ponuro.

– Wiem, jaki jestem. Dokopując mi w ten sposób... cóż, przyjemnie mi na pewno nie jest, ale tak mnie nie powstrzymacie. Tak naprawdę pokazujecie mi tylko, jaki jestem żalony i beznadziejny, a to już wiedziałem.

– Och. – Dziecko jakby się stropiło. – Czyli powiedziała ci, tak? O tym, że wypła eliksir?

Paul potrząsnął głową.

– Sam się domyśliłem, że tak musiało być. To znaczy, podejrzewałem, że wypła to cholerstwo, myślałem, że przypadkowo, ale widać nie. Jeden czort. To co, możemy już przejść dalej?

– Niezły z ciebie numer – powiedziała dziewczynka. – No dobrze. Ale jeśli myślisz, że tutaj jest kiepsko...

– Powinniście byli pozostać przy smokach i innych takich – wtrącił Paul. – Przed smokami uciekłbym prawie na pewno. To wszystko... – machnął ręką mniej więcej w stronę kąta, w którym siedziała chuda dziewczyna – ... to moja codzienność.

– Bardzo jesteś odważny – stwierdziła dziewczuszka drwiąco. – Ale wiesz, mam w domu słownik, w którym podają, że „odważny” to po prostu inne określenie kogoś zbyt głupiego, by odsunąć się na bok.

Paul nie miał ochoty odpowiadać. To wszystko i tak nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, dlaczego Sophie go zostawiła, gdy tylko zobaczył jej list. Jeśli tych elfów, czy jak im tam, nie stać na nic lepszego...

Znów ta historia ze światłem. Otworzył oczy, zamknął je i otworzył znowu. Nic się nie zmieniło. Albo było tu bardzo ciemno, albo oślepl.

– Halo? – wymamrotał.

– Paul? To ty? – usłyszał głos Benny'ego, lecz wyjątkowo przygaszony. – Tutaj.

Próbował przejść w miejsce, z którego dobiegł głos, ale coś złapało go za nogę i niezdarnie upadł na kolana.

– Benny! – zawołał. – Czy tu jest tak ciemno, czy... ?

– Tak. Zostań, gdzie jesteś, nie warto próbować się ruszać. Co tu w ogóle robisz, u licha? Tylko nie mów, że próbujesz mnie uratować.

– Cóż, owszem.

– Szlag by to! Co za idiota na to wpadł?

Paul nie odpowiedział.

– Co się dzieje? – spytał. – Gdzie jesteśmy?

– W lochach – rzekł Benny ponuro. – I to właściwie wszystko, co wiem. Zadałem ci pytanie. Kto cię przysłał?

– To był mój pomysł.

– Kłamiesz. Kto? Ricky Wurmtoter? Udało mu się uwolnić?

– Przykro mi. To znaczy nie, nigdzie go nie widziałem. Zaraz, coś sobie przypomniałem. Chyba miał być tutaj?

– Nie wiem – odparł Benny. – Przyszedłem go uratować, ale siedzę tu tak długo, że wszystko mi się miesza. Ty wiesz, prawda? – dodał, nagle przejęty. – Utknęliśmy tu na amen. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Paul wciąż był zbyt zdezorientowany, by cokolwiek z tego zrozumieć.

– Czemu tak mówisz? Przecież zarząd wie, że tu jesteśmy. Hrabina i...

– Czyli to ona cię przysłała.

– No dobrze, tak, ona. Czyli kiedy nie wrócę...

Urwał. Minęła chwila, zanim Benny się odezwał.

– Kiedy nie wrócisz – stwierdził – to będzie koniec. Nie zostanie nikt. Jeszcze nie rozumiałaś? Jeśli Ricky Wurmtoter nadal jest w sąsiedniej celi, to znaczy, że zamknęli tu cały cholerny dział. Nas wszystkich. Nie został nikt, kto mógłby po nas przyjść.

Jakaś mała, odizolowana częśćka Paula musiała przyznać: Cóż, no dobrze, niech wam będzie, to o wiele lepsze od smoków.

– A co z panem Tannerem? Albo profesorem van Spee czy... ?

– Ty błaznie – warknął Benny. – Oni nie są bohaterami. Nie mogliby przejść przez portal, nawet gdyby chcieli, a nie chcieliby. Jeszcze to do ciebie nie dotarło? Gdyby tę robotę mógł odwalić byle czarnoksiężnik, nie byłibyśmy potrzebni. To zajęcie dla specjalisty. Nie każdy może je wykonać. Garstka osób, to wszystko.

Długa chwila ciszy.

– Nie rozumiem – jęknął Paul.

– Dobrze. Wytlumaczę ci. – Mimo że było ciemno choć oko wykol, dało się wyczuć, że gniew narasta w Bennym błyskawicznie jak korek na autostradzie. – Do tej kretyńskiej roboty potrzeba bohatera, jasne?

Paul skinął głową, po czym przypomniał sobie, że Benny go nie widzi.

– Jasne – powiedział.

– A ty jesteś bohaterem, masz to wpisane w aktach personalnych zaraz po uwagach „nie przejawia inicjatywy, nie potrafi pracować w zespole, nastawienie pozostawia wiele do życzenia”. Czyli to jest fakt. Teraz sobie myślisz – ciągnął Benny – że to nie może być prawda, nie jesteś typem bohatera. I w tym właśnie zdradza się twój totalny i kompletny brak pojęcia o czymkolwiek.

– Ale to nie może być prawda! – Paul niemal błagał. – Przecież wiedziałbym...

– Nie wiesz nic. – Benny chyba starał się uspokoić. – Nikt nigdy nie twierdził, że jesteś wielkim bohaterem. Oczywiście, że nie. Jesteś małym, maciupeńkim bohaterkiem... no wiesz, szybszy od pędzącego listu drugiej klasy, jednym susem przeskakuje domki z klocków. Ale co tam. Pekińczyk też pies, nie?

Paul przelotnie pomyślał o małym yorku z trzema głowami.

– Nadal nie bardzo rozumiem...

– To zamknij jadaczkę i daj mi mówić. – Cisza; Benny zbierał myśli. – Twój błąd polega na tym, że nie wiesz, co czyni człowieka bohaterem. Sądzisz pewnie, że potężne mięśnie, wybitna umiejętność władania bronią i takie tam pierdółki. Cóż, nic bardziej mylnego. Bohater musi być tylko po pierwsze, dzielny, i po drugie, dobry. To wszystko.

W porównaniu z tym, pomyślał Paul, walenie głową w mur byłoby jednocześnie produktywnie i przyjemne.

– Ale ja nie jestem ani taki, ani taki – jęknął.

– Chrzań się, Carpenter, jak mówię, że jesteś dobry i dzielny, to jesteś dobry i dzielny. Mam ci to wytłumaczyć czy nie?

– Przepraszam.

– I bardzo słusznie. No dobrze, o czym to ja... ? Dobry i dzielny. Cóż, dzielność pewnie jesteś w stanie zrozumieć, ale co z dobrocią? Masz jakieś pojęcie o tym, co znaczy „dobry”?

– Kiedyś tak sądziłem – mruknął Paul.

– Cóż, nie masz. Teraz chcę, żebyś o czymś pomyślał. Czy dobry człowiek rozmyślnie zrobiłby coś, co sprawiłoby dotkliwy, trwały ból tym, którzy najbardziej go kochają?

– Hm. Nie.

– Dziękuję, nareszcie do czegoś dochodzimy. A co z dzielnością? Możesz mi powiedzieć, co to znaczy być dzielnym?

Paul skinął głową.

– Stawiać czoło niebezpieczeństwu.

– Dobrze. No, prawie. Być dzielnym to znaczy stawiać czoło czemuś, o czym wiesz, że jest niebezpieczne, bo oczywiście jeśli nie wiesz, że jest niebezpieczne, to się nie liczy. Czyli dzielny człowiek to ktoś, kto coś robi, choć wie, że może przy tym zginąć, zgadza się?

– Chyba tak.

– W porządku. – Paul jeszcze nigdy nie słyszał Benny’ego mówiącego tak ostrym tonem, nawet w jego wcieleniu nadpobudliwego instruktora musztry. – Czyli jesteś dzielnym człowiekiem, stawiasz czoło straszliwemu niebezpieczeństwu i giniesz. Co wtedy z ludźmi, którzy cię kochają? Rodziną, dziećmi, żonami, panienkami? W tej kwestii oczywiście będziesz musiał wysilić wyobraźnię, Carpenter, ale jak według ciebie zareagują na wieść, że tym razem ci się nie powiodło? Ze wyruszyłeś walczyć ze złem wbrew wszelkim przeciwnościom, w pełni świadom, że nie masz najmniejszych szans, w pełni świadom, że gdzieś tam są ci biedni idioci, którzy cię kochają, i dałeś się zabić? Jaki człowiek tak postępuje?

Paul zastanawiał się przez chwilę.

– Bydlak – stwierdził.

– No właśnie. W ten sposób zadałeś dotkliwy, trwały ból tym, którzy kochają cię najbardziej. Ocalenie świata przed jakimś tajemniczym czarnym charakterem, który zapewne był tak szurnięty albo głupi, że w końcu sam by się wysadził w powietrze, stawiałeś ponad uczucia ludzi, którym najwięcej zawdzięczasz, bo cię kochają. Ważniejsze było dla ciebie to, by uratować biednego zbłąkanego kiciusia, który utknął na rozchwianym drzewie, niż to, że wprowadzisz w rozpacz wszystkich, którzy powinni najwięcej dla ciebie znaczyć. Czy jesteś dobrym człowiekiem, czy bezmyślnym gnojkiem? Pytanie retoryczne, bo odpowiedź może być tylko jedna. I właśnie dlatego Kazik Susłowicz nie przyjdzie nam z pomocą, bo ma na utrzymaniu niepełnosprawną siostrę; Theo van Spee ma dzieci i wnuki, a hrabina Judy całe stado byłych mężów, którzy ulegliby samodestrukcji, gdyby coś jej się stało. Nawet Dennis Tanner ma matkę. Ale nas trzech... – Nagle Benny parsknął śmiechem. – Trzy żalosne palanty. Ricky Wurmtoter jest sierotą i możesz sobie wyobrazić, dlaczego ma kłopoty z wchodzeniem w trwałe związki. Ja przeżyłem wszystkich krewnych, którzy się do mnie odzywali, o dwa stulecia. A ty... cóż, wiesz to i beze mnie. Na

rozmowie kwalifikacyjnej, ledwie cię zobaczyli, już wiedzieli. Bo kto, do licha, by się przejął, gdybyś pewnego dnia zniknął?

Paul ciekaw był, czy dziecko jest gdzieś w tej celi razem z nimi, niewidoczne w ciemnościach, uśmiecha się okrutnie i mówi bezgłośnie: „A nie mówiłam?”. Szkoda, gdyby jej tu nie było. Ominęłoby ją najlepsze.

– No dobrze – powiedział cicho. – Chyba wiem, do czego pijesz. Ale się mylisz.

– Naprawdę? Tak sądzisz?

– Tak – odparł Paul zdecydowanym tonem. – Niech będzie, Sophie mnie rzuciła i tak naprawdę nigdy jej na mnie nie zależało. A moja mama i tata wyjechali na Florydę i nigdy nie mieli dla mnie czasu, i... Ale to nie znaczy, że mnie nie kochają, czy raczej że nie kochają mnie wcale. Bądź co bądź jestem ich synem. I gdyby coś mi się stało...

Był ciekaw, czy powiedział coś zabawnego, jakiś niezamierzony żart słowny; może „syn” to po krasnoludzką rzepa czy coś.

– Przepraszam – rzekł Benny – nie chciałem tak ryczeć ze śmiechu, to pewnie ze stresu. Ale ty oczywiście nie wiesz, prawda?

Paul westchnął. Znowu to samo.

– Wychodzi na to, że nie. Co tym razem?

– Och, na... cóż, już bardziej ci to pewnie nie zaszkodzi. W końcu i tak nigdy się stąd nie wydostaniemy i wkrótce będziemy mieli na głowie większe zmartwienia od...

Paul czekał, aż Benny uporządkuje myśli.

– Chodzi mi o to, że gdyby był choć cień szansy, że uciekniemy i będziemy żyć długo i szczęśliwie, nie powiedziałbym ci tego, bo to skrzywiłoby cię na zawsze. Ale skoro tak czy tak mamy przerażane, równie dobrze możesz to usłyszeć. Mówiąc krótko...

Paul go jednak nie słuchał.

– Cicho bądź! – burknął. – Proszę – dodał, przypominając sobie o dobrych manierach. – O, słyszysz?

– Co mam słyszeć?

– Takie jakby dyszenie, sapanie.

– Aha. Myślałem, że to ty.

Szkoda było czasu na złośliwą odpowiedź.

– To ten pies – wyjaśnił Paul. – Mały pies w obroży przeciwpczelnej w szkocką kratę. – Czuł, jak uśmiech rozlewa się po jego twarzy. – Wypuszczają nas....

– Wątpię – stwierdził Benny, ale Paul już był na czworakach i macał wokół w ciemnościach. Nie bardzo wiedział, jak to miałoby się odbyć: czy pies otworzy im drzwi, czy poprowadzi ich do wyjścia, czy miał go trzymać, czy co? Mimo to nadzieja, to jedno jedyne

uczucie, o którym myślał, że już go nigdy nie dozna, beltła się w nim jak hektolitry lemoniady. Gdyby tylko znalazł tego psa...

Coś wymacał, ale był raczej pewien, że to nie pies. Potem dostał od kogoś w twarz, bardzo mocno.

– Och – powiedział. – Przepraszam.

Ktoś nazwał go czymś po niemiecku. Nie musiał być poliglotą, by zrozumieć ogólne znaczenie.

– Monika? To ty?

– *Ja*. I jak zaraz nie zabierzesz tej ręki, to...

– Och. – Schował rękę za plecy, gdzie, miał głęboką nadzieję, nie będzie nikomu przeszkadzać. – Monika, dzięki Bogu! Przyszłaś nas stąd wyciągnąć?

Cisza.

– Aha – powiedział Paul.

– Zamierzałam was uratować – wyjaśniła Monika zimno. – Chyba się nie udało. Zdaje się, że mnie też zamknęli.

Nie pomogło to, że Benny zaczął ryczeć ze śmiechu. Było za ciemno, żeby go wypatrzeć i celnie kopnąć, więc Paul mógł tylko syknąć „zamknij się!” w, miał nadzieję, właściwym kierunku.

– Przepraszam – rzekł, teraz już całkowicie zdezorientowany co do tego, gdzie kto się znajduje. – W każdym razie miło z twojej strony, że spróbowałaś.

– To nic takiego – odparła Monika. – To był mój obowiązek. Nawaliłam. – I wtedy znów zaczęło się to niby-sapanie i Paul uświadomił sobie, że to nie był pies; to chlipała Monika.

Cudownie, pomyślał.

– Dobrze jej tak – odezwał się Benny. – Kolejna wada miłości. Nie dość, że to boli, kiedy nieodpowiedzialny dureń lezie gdzieś i daje się zabić, to jeszcze człowiek zaczyna robić głupie, niebezpieczne rzeczy, takie jak próba ocalenia tego, kogo się kocha, z lochów Magicznego Ludu. A nic głupszego być nie może – dodał drapieźnie – oprócz kampanii wyborczej.

Przez chwilę Paul nic z tego nie rozumiał. To nie miało sensu. Po pierwsze, Monika była samochodem.

– To znaczy – powiedział lekko drżącym głosem – że przyszłaś tylko po to, by spróbować uratować...

– *Ja*. Co innego mogłam zrobić? – Pociągnięcie nosem, jęk. – Nie mogłam go tak tu zostawić.

– Monika... – zaczął Paul i wtedy użyty przez nią dziwny zaimbek uderzył go jak meteor. Chyba że, oczywiście, mówiła do Benny'ego, a wówczas... Chrzanić ciemność, pomyślał gorzko, przez nią wszystko tak się komplikuje.

– A teraz – ciągnęła Monika – okazuje się, że nawet go tu nie ma. Zgadza się, prawda? – dodała.

– Hm... Kogo masz na myśli?

Prychnięcie w oddali.

– Ricky’ego Wurmtotera, ty błaznie – rzekł Benny. – Chyba nie sądzisz, że przeszła taki kawał tylko po to, żeby dotrzymać ci towarzystwa, co?

No... nie, pomyślał Paul, chyba nie. Przynajmniej nie w tej części mojego umysłu, która zajmuje się rzeczywistością i takimi tam.

– Pan Wurmtoter jest twoim chłopakiem.

Okrzyk oburzenia, z mocnym niemieckim akcentem.

– Nie jest moim chłopakiem! Jest moim bratem!

Cholera, pomyślał Paul. Żałował, że nie ma pod ręką kogoś, na kogo mógłby zrzucić winę, bo zanosilo się na to, że będzie musiał spędzić całą wieczność w małej, mrocznej celi z kimś, kogo śmiertelnie uraził. Jedynym możliwym kozłem ofiarnym, jakiego znalazł na poczekaniu, był Ricky Wurmtoter – bo czemu nic nie powiedział. Jednak chcąc nie chcąc, Paul musiał przyznać, że informacje tego rodzaju na ogół raczej nie wychodzą w towarzyskiej rozmowie: „Aha, a propos, moja siostra jest dwudrzwiowym hatchbackiem”. Nerwy miał już tak dokumentnie stargane, że nie mógł nawet przeprosić, a mówienie „przepraszam” było dla niego odrobinę bardziej naturalne od oddychania.

– Nie wiedziałem – wymamrotał.

– Nic się nie stało – odparła Monika tonem zawierającym pokłady nieszczerości, w których można by wykuć drugą Mount Rushmore. – Nie mówi o tym. Wstydzi się. To zrozumiałe.

Paul jednak jej nie słuchał. Było w tym coś, co go zaniepokoiło, jakiś szczegół, który nie pasował do całości. Nie mógł dojść, o co właściwie chodzi, ale strasznie go to drażniło, niby pestka wątpliwości pod protezą dentystyczną umysłu.

– Może lepiej stąd chodźmy – powiedziała Monika.

Tym razem Paul był pewien, że Benny coś sobie robi, tak ryczał ze śmiechu.

– O właśnie – wyrzeźił między kolejnymi salwami – chodźmy. Czemu ja na to nie wpadłem? Taki doskonały pomysł...

– Panie Shumway – powiedziała Monika surowo – pańskie zachowanie jest wysoce niestosowne. Nie wypada tak rechotać, a poza tym nie rozumiem, co pana tak bawi. To poważna sprawa.

Tego już dla Benny’ego było za wiele. Łomotał butami w ścianę, kiedy tarzał się po ziemi.

– Panu Shumwayowi chyba się pogorszyło – powiedziała Monika, podnosząc głos, żeby było ją słychać. – Może to przez stres. Myślę, że to my dwoje powinniśmy zająć się rozwiązaniem

naszego problemu.

Paul sam zaczynał dostrzegać komizm sytuacji.

– W porządku. Masz jakiś pomysł?

Pauza.

– Liczyłam raczej na ciebie – odparła z zakłopotaniem. – W końcu jesteś wykwalifikowany *Urbemensch*. Zapewne mówili ci na szkoleniu o takich sytuacjach jak ta.

– Nie bardzo. Głównie było o zabijaniu i tak dalej. A ty jak? – dodał z nadzieją. – To znaczy, ktoś mi mówił, że byłaś prawdziwą czarodziejką, zanim cię... zanim, hm, dostałaś pracę w firmie. Czym się zajmowałaś?

– Jaką miałam specjalizację, o to pytasz? Ziolarstwo i magia ekologiczna. W Niemczech byłam czołowym ekspertem w dziedzinie przerabiania nieczynnych zakładów przemysłowych na kwieciste łąki.

– Aha... To znaczy super i założę się, że byłaś w tym dobra. Ale czy wcześniej musiałaś zaliczyć staże w różnych działach?

– *Ja*. Przeszłam szkolenia z transformacji alchemicznej, uzdrawiania dla średnio zaawansowanych oraz konserwacji i naprawy urządzeń elektrycznych i mechanicznych. Mam też międzynarodowy licencjat w...

– Dobrze – przerwał jej Paul. – Czyli nic, co mogłoby nam pomóc. W takim razie mamy przerabane.

– Mogę zrobić światło – dodała Monika z nadzieją.

– Co? No, to już coś.

– Chcesz, żebym zrobiła światło?

– Tak.

Usłyszał, jak coś wymamrotała, po czym od nagłego rozbłysku złocistożółtego światła zakręciło mu się w głowie i musiał zamknąć oczy. Kiedy je otworzył, został już tylko słabutki blask, jakby zapalonej zapalki.

– To wszystko?

Przynajmniej teraz mógł zobaczyć, że Monika pokiwała głową.

– Ciemność w tym pomieszczeniu jest bardzo *dicht*. Bardzo gęsta – poprawiła się – a może ciasna, nie wiem, które słowo lepiej pasuje. Trzeba wielkiego wysiłku... – Pisnęła, jakby wyobrażona zapalka poparzyła ją w palce, i światło zgasło. – Przykro mi.

– Nic się nie stało. Dobrze się spisałaś, naprawdę.

– Może za godzinę będę mogła spróbować znowu...

– Nie, nie trzeba. – To i tak nie miało sensu; mały krąg światła nie pokazał mu nic oprócz jej twarzy, bladej, ściągniętej i niepokojąco zmartwionej. Odkąd znalazł się w tej celi, nabrał

podejrzeń, że ciemność to coś więcej niż tylko prosty brak światła. Wręcz czuł, jak go uciska ze wszystkich stron. – Mamy przerąbane – powtórzył.

Pauza.

– Nie wiesz, co robić?

– Nie. – Zaśmiał się. – Cóż, właściwie to kłamię, wiem doskonale. Wystarczyłoby, żebym wymacał ścianę, wyjął przenośne drzwi, rozłożył je, a wtedy moglibyśmy po prostu wyjść przez nie na St Mary Axe 70. Tylko że już ich nie mam.

Cisza,

– To niedobrze – powiedziała Monika.

– Tak – odparł Paul.

– Te drzwi... wiesz, gdzie są?

– Poniekąd. Pożyczyłem je... – Urwał. „Pożyczyłem je twojemu bratu”; bratu, który wciąż pozostaje zaginiony i prawdopodobnie jest uwięziony. Widać nie na wiele mu się te drzwi zdały. – W każdym razie nie możemy z nich skorzystać. – Wzbierał w nim paniczny strach. – Benny, jakieś pomysły?

– Nie – odparł Benny i zachichotał. – No dobrze, jeden. Możemy tu zostać, aż umrzemy ze starości, chyba że postanowią nas nie karmić. Wówczas już za tydzień nas tu nie będzie.

Paul nie załapał.

– To znaczy, schudniemy na tyle, żeby przecisnąć się przez kraty czy coś?

– Chodziło mi raczej o to, że umrzemy z głodu. Ale karmić nas będą, a może rzucili jakiś urok, który sprawi, że nie będziemy potrzebowali jedzenia. Jak dla nich, pozwolić nam umrzeć z głodu byłoby czynem wręcz humanitarnym. Które to słowo, nawiasem mówiąc, dość dobrze ich opisuje.

– Naprawdę?

– O tak. Magiczny Lud to gorący zwolennicy humanitaryzmu. Bo wiesz, kto je warzywa, praktykuje wegetarianizm. Natomiast kto je...

– Panie Carpenter – wtrąciła się Monika. – Paul. Komu pożyczyłeś przenośne drzwi?

Atak paniki.

– Hm, tak na gorąco nie mogę sobie przypomnieć. Komuś z biura...

– Mojemu bratu, tak?

A niech to, pomyślał Paul.

– Tak.

– Aha. Czyli wszystko w porządku. Jeśli Dietrich ma drzwi, na pewno stąd uciekł, co tłumaczy, dlaczego go tu nie ma. Kiedy się dowie, że tu jesteśmy, wróci po nas. Czyli nie ma się czym martwić. – Mówiła z tak niezmałym spokojem, jakby trzymała w ręku umowę podpisaną

przez Boga. – Zaczekamy na Dietricha i wszystko będzie dobrze.

Na te słowa Benny Shumway zaczął wyc jak wilk.

– Nie zważaj na niego – powiedział Paul, zgrzytając zębami (nigdy dotąd nie zgrzytał zębami; okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczał). – Na pewno masz rację. Wcześniej czy później...

– Oho – przerwała mu Monika. – To on.

Benny urwał w połowie skowytu. Rzeczywiście, coś się działo. Wszyscy słyszeli bardzo ciche brzęczenie, wysokie, lekkie, metaliczne, jakby elfickiego wiertła dentystycznego na drugim końcu długiego korytarza.

– Co to, do licha? – mruknął Benny.

Paul i Monika uciszyli go jednocześnie. Dźwięk był coraz głośniejszy i teraz dołączył do niego drugi: stłumione ujadanie małego, rozwścieczonego psa.

– Dietrich – powiedziała Monika z zadowoleniem.

A Paul pomyślał: Nie, to niemożliwe, przenośne drzwi nie wydają dźwięku, ja przynajmniej sobie takiego nie przypominam. Z drugiej strony – nigdy nie był w miejscu, na które drzwi się otwierały, zawsze to on przez nie przechodził. Może więc...

Dźwięk stał się bardzo głośny; prawdę mówiąc, boleśnie głośny, choć czy w głowie wirowało mu od jego natężenia, czy od tonacji, Paul nie był pewien i nic go to nie obchodziło. Zaczął cofać się na tyłku od ściany. Po kilku sekundach się okazało, że dobrze zrobił, ściana bowiem uległa implozji.

Coś trafiło go w czubek lewego łokcia, i to solidnie. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że to była cegła albo kawał kamienia. Nie słyszał własnego krzyku przez rumor i huk walącego się muru, ale był prawie pewien, że krzyczał, bo i czemu nie? Gdyby Bóg nie chciał, żebyśmy krzyczeli, nie zadawałby nam straszliwego bólu.

Potem hałas ustał i zapadła głęboka, niesamowita cisza. Wciąż było ciemno jak w worku, mimo że ściana runęła. Paul nie widział zupełnie nic prócz pary jarzących się czerwonych oczu...

– Dietrich? – powiedziała Monika z lękiem. – *Bist du da?*

Czerwone oczy, pomyślał Paul. I wtedy ktoś złośliwie zachichotał.

Gdyby Paul dostawał funciaka za każdym razem, kiedy słyszał ten chichot, mógłby rzucić pracę i pojechać do rodziców na słoneczną Florydę. W przeszłości zawsze niezmiernie irytujący i na ogół wymierzony w niego, tym razem był najcudowniejszym dźwiękiem, jaki mógł sobie wyobrazić.

– Pani Ta... Rosie?! To ty?!

Znów ten chichot – niczym chór aniołów opowiadających świńskie dowcipy za niebiańskim tabernakulum.

– Nie ten mięczak Ricky Wurmtoter, to na pewno – powiedziała mama pana Tannera. – Eh, bohaterowie! – rzuciła z pogardą. – Nie wydostaliby się z klatki dla królików, gdyby dać im dynamit i młoty pneumatyczne.

Paul przez chwilę myślał, że Monika będzie się chciała bić (i pewnie po to, stwierdził, mama pana Tannera to powiedziała). Ona jednak poprzestała na pytaniu:

– Nie ma z tobą Dietricha?

– Pewnie że nie. Hej, czy któreś z was mogłoby wziąć ode mnie tego psa? Właśnie oszczał mi rękę.

Paul poczuł, że coś wierzącego się i mokrego kopie go w pierś. Na szczęście przewyciężył instynkt i wziął to. Ugryzło go. Trzy razy, jednocześnie.

– Jak to... ?! – krzyknął, kiedy tuman białego światła spowił go i porwał ze sobą.



Paul otworzył oczy. Potem ktoś dał mu w twarz.

Powoli się do tego przyzwyczajał, więc nieszczególnie się przejął. Poza tym napastnik wyrwał mu też z ramion psa, a to bardzo dobrze. Światło sprawiało większy ból niż policzek czy ugryzienia. Tymczasem ktoś brzydtko się o nim wyrażał.

– Czy ten okropny człowiek zrobił coś synciowi mamuni? – mówiła jakaś kobieta. – Wstręciuch jeden!

Podniósł głowę i zobaczył właścicielkę domu z portalem. Patrzyła na niego bykiem i trzymała małego trzygłowego yorka, który wiercił się i wrywał z jej objęć, najwyraźniej pragnąc rzucić się na Paula i jeszcze go trochę pogryźć.

O w mordę, pomyślał Paul. Uciekłem. Udało mi się...

Zły zaimek. Nie mi, nam. Gdzie zostali?

– Przepraszam, widziała pani może moich przyjaciół? Taki niski koleś i...

Kobieta nie słuchała. Paul rozejrzał się po pokoju, który był mniej więcej w takim stanie, w jakim go zostawił; stolik z koła od wozu, słomiany osioł, krzesło ze stali i płótna, nawet pusty kubek, z którego pił (tylko że napis na nim zmienił się z „Najlepszy dziadek na świecie” na „Nienawidzący psów bydłak”). Ale nie było tu nikogo oprócz niego, kobiety i psa.

Cholera, pomyślał Paul.

– Przepraszam bardzo – powiedział przez gardłowe warczenie psa – ale muszę tam wrócić. Chodzi o moich przyjaciół, rozumie pani. Powinni byli...

Starsza pani potrząsnęła głową.

– Portal zamknięty – burknęła. – Otwieramy dopiero jutro o dziewiątej rano. A ty po tym, co zrobiłeś Iskierce, więcej z niego nie skorzystasz.

Wyglądało na to, że nie ma sensu się spierać. Nawet gdyby narobił szumu albo (co nie do pomyślenia) spróbował użyć siły, nie wiedział, jak to diabelstwo działa, więc kradzież nie wchodziła w grę, a gospodyni nie sprawiała wrażenia skłonnej ugiąć się przed żelazną logiką ani żalonym błaganiem. Poza tym miał już serdecznie dosyć tej baby i jej okropnego psa. Nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść rano do biura i mieć nadzieję, że ktoś będzie wiedział, co robić. Fatalnie się z tym czuł, ale przynajmniej porażka to coś, co rozumiał. Wstał, wymamrotał jeszcze jedno zignorowane „przepraszam” i wyszedł.

Na zewnątrz, zgodnie z jego przewidywaniami i obawami, nie było śladu rdzawoczerwonego volkswagena polo. Chwilę stał wpatrzony w puste miejsce po samochodzie, po czym ruszył pieszo. Oczywiście, nie znał drogi – miał zwichrowany zmysł orientacji, a kiedy tu jechał, to Monika czytała mapę. Wiedział, że w High Wycombe jest stacja kolejowa, ale nie miał pojęcia, gdzie jest High Wycombe. Taksówki w tych stronach zapewne się nie zdarzały. Ale z niego bohater.

– Podwieźć?

Jeszcze przed chwilą jej tam nie było. Tym razem, dla odmiany, była oszałamiającą rudowłosą pięknoscią (nie blondynką czy brunetką jak zwykle) i siedziała za kierownicą ogniście czerwonego kabrioletu porsche. Pomimo to Paul uradował się na jej widok.

– Nic ci nie jest! – krzyknął. – A myślałem...

Wyszczrzyła radośnie zęby. Choć jej oczy miały czarowny szmaragdowy kolor, Paul uprzytomnił sobie, że zdecydowanie wolał, gdy były czerwone.

– Za często ci się to zdarza – powiedziała. – Masz szczęście, że zawsze zjawiam się w porę, żeby uratować ci tyłek. To jak, podwieźć cię czy nie?

Nie ruszał się z miejsca.

– Benny i Monika. Co się stało? Gdzie są?

Jej oczy nieco ochłodziły.

– Zgaduj, do trzech razy sztuka. Nielicho się natrudziłam, żeby przenieść cię przez wszystkie zabezpieczenia, a mam tylko jedną parę szponów. I uprzedzając twoje pytanie, nie, nie wrócę tam.

– Musisz.

– Takiego wała. Niczego nie muszę, jestem goblinem, a my jesteśmy mało ruchliwe i egoistyczne. A poza tym – dodała – nie jesteśmy zafajdanymi bohaterami. – Nadała temu słowu lekko nieprzyzwoity wydźwięk. – Ty masz w ogóle pojęcie, gdzie byłeś?

Paul wciąż stał nieruchomo.

– Nie możemy ich tak zostawić – powiedział.

Zmarszczyła groźnie brwi i piękna dziewczyna przeistoczyła się w goblina. Nawet porsche zmieniło się w ładę, lecz była to łada kabriolet.

– Ty niewdzięczny gnojku! Najchętniej pozwoliłabym ci tam wrócić, ale portal jest zamknięty, więc to odpada. Miejsce, w którym byłeś... – Zielona skóra mamy pana Tannera zbladła i przybrała odcień khaki. – Nawet nie chcę o nim myśleć, a jestem goblinicą, do cholery. A teraz wsiadaj albo wracaj do domu pieszo. Mnie tam bez różnicy.

Paula tknęło, że faktycznie zachowuje się podle.

– Przepraszam. I, tego, dziękuję. To było naprawdę...

– Miło z mojej strony? – Wyszczrzyła się do niego oblesnie. – Zrobiłam to we własnym dobrze pojmowanym interesie. Bo pewnego dnia...

Zdołał ukryć wzdrygnięcie i otworzył drzwi samochodu. Zerknął na wskaźnik poziomu paliwa. Stara sztuczka ze skończeniem się paliwa w szczerym polu była mało subtelna, ale to samo mógł powiedzieć o mamie pana Tannera.

– Mimo wszystko dzięki – rzucił. Pora zmienić temat. – Czyli gdzie właściwie byłem?

Mama pana Tannera zapaliła silnik i ruszyła.

– To w pewnym sensie zaszczyt. Tylko nielicznym dane jest trafić do lochów zamku ciotki Grendela. I jeszcze nikt nigdy z nich nie wyszedł. Oprócz ciebie.

– Ciotki... ?

Skinęła głową i zmieniła się w platynową blondynkę; pewnie przez roztargnienie, choć Paul wiedział, że nigdy nie dawała za wygraną.

– Tego z „Beowulfa”, zgadza się. To siostra mamy Grendela, jedyny żyjący członek rodziny, nie licząc paru dalekich kuzynów gdzieś w Kanadzie. Prawdopodobnie ma jakieś imię, ale wszyscy mówią na nią po prostu ciotka Grendela. To wkurzające.

Fakt, stwierdził Paul w duchu. Zupełnie jak bycie postrzeganą jako mama pana Tannera.

– Ale co ona ma z tym wspólnego? Czemu Ricky Wurmtoter... ?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie odstawiał jakieś bohaterskie czyny. Mnie nie pytaj. Może ma to związek z tą durną wojną domową wśród Magicznego Ludu, może to tylko interesy. Nikt mi nic nie mówi, a mnie szkoda zdrowia na to, żeby wypytywać. To co, zatrzymamy się gdzieś na kolację? Znam taki uroczy pub pod Beaconsfield...

– Nie! – zaprotestował Paul pospiesznie. – Dzięki – dodał – ale naprawdę chciałbym wrócić do domu, jeśli nie masz nic przeciwko. Jestem padnięty i...

– I zaraz rozboli cię głowa – powiedziała mama pana Tannera. – Akurat. Czemu mam

wrażenie, że mi po prostu nie ufasz?

– Bo ci nie ufam – odparł Paul. – Przykro mi.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Wiesz, sam robisz z siebie głupca. Ale nic to. W moim wieku nic tak nie nakreca jak wyzwanie. A pewnie przydałoby się, żebyś wcześniej poszedł spać. W końcu rano będziesz musiał wytłumaczyć mojemu Dennisowi, jak to się stało, że zgubiłeś samochód służbowy.

– Hm. – Paul nie wziął pod uwagę tego aspektu sprawy.

– Chyba zrozumie, co? W porównaniu z utratą Benny'ego i...

Potrząsnęła głową.

– Kiedy w grę wchodzi pieniądze firmy, mój Dennis nie rozumie i już. Jeśli dopisze ci szczęście, potrąci ci z pensji; wtedy może będzie cię stać na filiżankę herbaty gdzieś po 2040 roku. A może się zezłości, z moim Dennisem nigdy nic nie wiadomo. Ale nawet to lepsze niż siedzieć w tych lochach. – Zawahała się. – Uhm, ogólnie biorąc, to musi być lepsze. Przynajmniej nie jest ciasno.

Tylko żartowała. Paul miał głęboką nadzieję, że tylko żartowała. Prawda, że tylko żartowała?

– Będzie dobrze – powiedział stanowczo. – Jak już uratują Monikę i Benny'ego...

– Marzenie ściętej głowy. Wiesz, jesteś beznadziejny. Pewnie dlatego cię lubię. – Jakby nigdy nic ominęła ręką dźwignię zmiany biegów i złapała go za kolano. Paul pisnął i puściła go. – Romantyk, chyba tak się na takich mówi. To po łacinie „idiota”. Nic dziwnego, że uznali, że nadajesz się na bohatera.

Paul wyrzwał przez szybę.

– Benny mówił co innego. Tłumaczył, że wybrali mnie, bo bohaterem może być tylko ktoś, po kim nikt nie będzie płakał.

– Tak powiedział? – Mama pana Tannera wzruszyła ramionami. – Może i coś w tym jest. Ja tam zawsze uważałam, że prawdziwy bohater to ktoś, kto podejmuje ryzyko, wymachuje mieczem i rzuca wyzwanie śmierci, bo to lubi. Po części romantyk jak ty, po części psychopata. Tylko że psychopata pełną gębą lubi zabijać, bo kręci go widok krwi, krzyki czy co tam jeszcze, natomiast większość bohaterów, których poznałam, tak nie ma; a poznałam ich wielu, wierz mi. Nie mają w sobie złej woli, gniewu ani niczego takiego. Po prostu lubią rozwiane peleryny, białe rumaki i miecze o wysadzanej klejnotami rękojeści,

– Aha, czyli żeby być bohaterem, trzeba obudzić w sobie Zorro?

Westchnęła.

– Jak chcesz wracać do Londynu na piechotę, to gadaj tak dalej. Ja mówię poważnie.

– Przepraszam.

– Próbowałam wytłumaczyć – ciągnęła – dlaczego moim zdaniem nie nadajesz się na bohatera. To znaczy, profesjonalnego bohatera. Ale myślę, że gdybyś nie miał innego wyjścia, mógłbyś zdobyć się na bohaterstwo. Tylko nie na zasadzie „z zimną krwią, od dziewiątej do wpół do szóstej, trzy urlopy rocznie”. Właściwie to żałuję, że w ogóle poruszyłam ten temat.

Paul chwilę milczał.

– Benny mówił też, że wie coś okropnego – rzekł wreszcie. – Chyba o moich rodzicach. Ale nie zdążył mi powiedzieć.

Mama pana Tannera się zasepiła.

– To się ciesz.

– Ale jeśli to było coś, co powinienem wiedzieć...

Skrzywiła się.

– Ja wiem coś złego o twoich rodzicach. Wydali na świat kretyna. Cholera jasna, czemu ktokolwiek miałby chcieć coś takiego usłyszeć?

– To i tak czysto akademickie rozważania – odparł Paul. – Jeśli Benny utknął tam na dobre, pewnie nigdy się nie dowiem, o co chodziło.

– Niewiedza rzecz słodka – powiedziała sentencjonalnie mama pana Tannera. – Prawdę mówiąc, znam wiele słodkich rzeczy i niewiedza nie łapie się nawet do pierwszej setki, ba, nawet do pierwszej setki na liście nieuwzględniającej żywych zwierząt i dżemu malinowego. Zmierzam do tego, że możesz być pewien, że lepiej ci tego nie wiedzieć. Zaufaj mi.

I znowu to słowo.

– Ta wojna domowa – rzucił tak niedbale, jak tylko mógł. – Nie wiesz, o co w niej chodzi?

Zaśmiała się.

– To Magiczny Lud, a im nie potrzeba powodu. Na twoim miejscu trzymałabym się od nich z dala. Zostań przy goblinach; no dobrze, może od czasu do czasu zdarza nam się zabić człowieka czy dwóch i przerobić ich czaszki na nocniki. To tylko tak dla zabawy. Co innego elfy. Robią wszystko z czystej złośliwości. Zawistne bydlaki, nie tylko zazdroszczą wszystkim wokół tego, co ich zdaniem im się należy. Ktoś kiedyś powiedział, że według nich nie wystarczy komuś dokopać, trzeba go jeszcze zgnoić, jedno bez drugiego to jak frytki bez soli, niepełny zestaw. Przerażają mnie, jeśli chcesz wiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – Nieważne. Jeśli skurkowańce chcą się naparzać między sobą, powodzenia. Mam nadzieję, że się w cholere powyrzynają.

– Czyli nie przepadasz za nimi.

– Nie za bardzo. Ale są gorsze rzeczy.

Paul mógł w to uwierzyć, choć nie była to budująca myśl.

– Chciałbym tylko – powiedział zmęczonym głosem – nie musieć się w to mieszać. I bez tego mam dość problemów. Nie trzeba mi dodatkowych zmartwień.

– Tchórz – zadrwiła mama pana Tannera. – Nawet nie wiesz, jaki z ciebie szczęściarz. Większość facetów w twoim wieku ma na głowie naprawdę straszne problemy: hipoteki, odkładanie na emeryturę, związki i tupot małych nóżek. Ty musisz się martwić tylko smokami i Magicznym Ludem.

Wysadziła Paula na ulicy przed jego domem i udało mu się ją przekonać bez użycia przemocy, by nie wchodziła z nim do środka, a to już pewien postęp. Dopiero kiedy zszedł buty i zwałił się na sofę, zaczął myśleć o tym, co widział i słyszał tego wieczoru. Brak Sophie z jakiegoś powodu doskwierał mu jeszcze bardziej niż zwykle; chciał na nią nakrzyczeć za to, co o nim mówiła, albo wybuchnąć płaczem i pokwękać, ale nie mógł. Kiedy wgramolił się do łóżka i zgasił światło, przez chwilę czuł się, jakby znowu był zamknięty w lochu, tylko że tym razem sam. Wytrzymał najdłużej jak mógł, po czym znowu włączył światło i rozejrzał się za jakąś książką. Niestety, jedyną, po którą mógł sięgnąć, nie wstając z łóżka, był pożyczony od Benny’ego „Beowulf”, a na taką lekturę nie miał nastroju. Wstał i zaparzył sobie herbatę; cukier się skończył, a w mleku coś pływało. Ale z niego bohater.

Po drugiej w nocy zasnął na sofie i śnił niespokojne sny
o trzygłowych psach i rdzawoczerwonych volkswagenach, a także
o oddziale szpitalnym pełnym śpiących dzieci, które nie mogły się obudzić.

Rozdział 7

– Panie Carpenter – powiedziała hrabina Judy.

Podkreślone stosownie przeszywającym spojrzeniem i miazdzącą modulacją głosu, te słowa powinny były zmrozić go jak paczkę kukurydzy cukrowej. Stało się jasne, dlaczego elfy z Magicznego Ludu musiały toczyć wojny między sobą – żaden wróg zewnętrzny nie ośmieliłby się stanąć z nimi do walki. Była boginią w jej potrójnym aspekcie: Dyrektorki Szkoły, Nieprzystępnej Królowej Śniegu i Ciotki. Ale to nie poskutkowało.

– Przecież nie może pani ich tak zostawić – zaprotestował Paul tak głośno, że pewnie usłyszeli go na korytarzu. – Nawet nie ma pani pojęcia, jak tam jest...

– Prawdę mówiąc, mam pojęcie. Byłam tam.

To wstrząsnęło nim na tyle, że zamilkł.

– Och – powiedział, jak już przestał ze wstydu kulić palce u nóg; po czym zebrał się w sobie i kontynuował: – W takim razie wie pani, jak straszne to miejsce.

– W rzeczy samej. – Nie licząc jej ust, hrabina w ogóle się nie ruszała. Jak o tym pomyśleć, Paul nie przypominał sobie, by widział, jak mrugała oczami. Ani razu. Jakby patrzył na obraz.

– Dlatego właśnie wysłałam pana na ratunek panu Shumwayowi. A teraz – ciągnęła, spokojna jak morze rtęci – mówi mi pan, że dał się schwytać i ledwo zdołał uciec. Ponieważ jest pan jedynym pozostającym na wolności pracownikiem działu zwalczania szkodników, wygląda na to, że nasze możliwości działania się wyczerpały. Zakładam, że nie zgłasza się pan na ochotnika, by ponowić próbę.

Tu go miała – uprzytomnił sobie z ukłuciem wstydu, nic na świecie nie skłoniłoby go, by tam wrócić. Dotarło to do niego w pełni dopiero tego ranka po przebudzeniu. Było ciemno i przez ułamek sekundy, kiedy otworzył oczy i nic nie widział, myślał, że jego ocalenie tylko mu się przyśniło i że tak naprawdę wciąż jest w lochu. Z przerażenia przez jakieś piętnaście sekund nie mógł się ruszyć.

– Cóż, to nie do mnie powinno należeć. – Paul zaczął tłumaczyć się jak dziecko, które wie, że jest w błędzie. – Jestem tylko stażystą, nie mam bladego pojęcia o tym, jak się ucieka z magicznych lochów. Za to pani, pan Susłowicz, profesor van Spee...

Hrabina Judy ani drgnęła. W każdej innej sytuacji samo to by wystarczyło, żeby Paula przerazić.

– Teraz już powinien pan wiedzieć, że bohaterstwo jest cechą właściwą tylko określonym gatunkom. Ludzie mogą być bohaterami, podobnie, w pewnych okolicznościach, krasnoludy, jak

pan Shumway. Za to dla olbrzymów, goblinów i Magicznego Ludu jest to całkowicie nieosiągalne. Z uwagi na to – dodała z cieniem uśmiechu – że oficjalnie zaklasyfikowane są jako siły ciemności, innymi słowy wróg. Tym samym pan Susłowicz, pan Tanner i ja odpadamy, a profesor van Spee ma czterysta sześćdziesiąt dwa lata i cierpi na chroniczną astmę. Zatem albo pan, albo nikt, panie Carpenter. Przykro mi, ale nic na to nie poradzimy. Pan Shumway znał ryzyko, pan Wurmtoter także, choć zauważyłam, że pan o nim nie wspomniał. Na wszelki wypadek przypominam, że on też zaginął. Co do pani Wurmtoter... pańskiego samochodu... przed swoją przemianą była wysoko wykwalifikowaną specjalistką i bez wątplenia w pełni zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństw wybranego przez siebie zawodu. Profesjonaliści, panie Carpenter, cała trójka. Powinniśmy uszanować ich ofiarę i pracować dalej.

Ku bezbrzeżnemu zaskoczeniu Paula jego gniew się nie skurczył, jak stałoby się w normalnych okolicznościach. Skryzalizował się w zimną, twardą determinację, którą dało się ukryć w najgłębszym zakamarku umysłu, gdzie nawet hrabina nie mogła jej dostrzec.

– W porządku. Rozumiem. Dobrze. Przepraszam, że tak tu wpadłem...

Bardzo lekkie wzruszenie ramion, może półtora milimetra w górę i w dół.

– Nic się nie stało, panie Carpenter. Pańska reakcja była w pełni zrozumiała i dowodzi godnej pochwały troski o los współpracowników. My w JWW szcycimy się duchem współpracy panującym w firmie. A teraz muszę pana poprosić, by zostawił pan swoje niedawne doświadczenia za sobą. Jest oczywiste, że utrata działu zwalczania szkodników i kasjera stawia nas w bardzo niekorzystnej sytuacji. Oczywiście, niezwłocznie zamieścimy w prasie branżowej ogłoszenia o poszukiwaniu nowych pracowników na ich miejsce. Tymczasem mam szczerą nadzieję, że zechce pan, jak to się mówi, przypilnować interesu.

Minęło parę sekund, zanim to do niego dotarło.

– Ja? Robić za bohatera i być kasjerem? Przecież nie dam rady. Nie wiem, jak...

Hrabina Judy uniosła dłoń.

– Moi współpracownicy i ja mamy do pana pełne zaufanie. Pan Shumway był zdania, że posiada pan wystarczające umiejętności, by zostać specjalistą od zwalczania szkodników, w przeciwnym razie nie zdecydowałby się zakończyć pańskiego szkolenia przed terminem. Oczywiście, dział nie będzie realizował żadnych poważnych nowych zleceń, dopóki nie znajdziemy kogoś na stałe. Oczekuję jednak od pana, by do tego czasu wypełniał pan wszystkie już zawarte kontrakty i w razie nagłej potrzeby był do dyspozycji naszych stałych klientów. Co do funkcji kasjera, zdaję sobie sprawę, że będzie pan potrzebował kogoś do pomocy. Pomyślałam, że nasza nowa recepcjonistka, pani Horrocks, byłaby odpowiednia. Z jej CV wynika, że jest świetnie obeznana z zasadami organizacji pracy w biurze, i jestem pewna, że matka pana Tannera będzie gotowa zastąpić ją w recepcji. Mam świadomość, że oficjalnie pozostaje na urlopie macierzyńskim, ale

jeśli jest w dostatecznie dobrej formie, by włamać się do lochów Traumburga, to powinna dać radę tydzień czy dwa posiedzieć za biurkiem.

Kategoryczna odmowa zamarła mu na ustach jak ślimak w mikrofalówce. Pracować z Melze, on i ona razem... Przyznaj to, nakazał sam sobie, byłoby fajnie. Byłoby... cóż, jak za dawnych czasów, kiedy dzielił gabinet z Sophie i to wystarczało, by rano miał chęć wstać i pójść do pracy, mimo że wiedział, iż tam czekały na niego dziwne zjawiska, gobliny, dezorientacja i strach. A z Sophie – aż się wzdrygnął, kiedy przyznał to przed sobą – z Sophie nie czuł się nawet w połowie tak dobrze jak z Melze, bo nigdy nie była jego przyjaciółką... Z drugiej strony nawet on nie był na tyle naiwny, by uwierzyć, że hrabina Judy mogłaby zaproponować mu coś, co mu się podobało, bez jakiegoś okropnego, chytrego, ukrytego motywu. Z trzeciej strony (wkrótce jego tok myślenia będzie miał więcej stron niż „Władca pierścieni”, ale co tam) czy to miało znaczenie? A skąd.

– W porządku. Tak, myślę, że to znakomity pomysł. W końcu – dodał – to tylko na tydzień czy dwa.

– Może trochę dłużej – uściśliła hrabina Judy łagodnym tonem. – Oczywiście nie będziemy działać pochopnie, musimy dobrać odpowiednich ludzi. Nie można podejmować na chybcika naprawdę ważnych decyzji, takich jak ta, z kim się będzie blisko współpracowało w dającej się przewidzieć przyszłości.

Paul podniósł wzrok i spojrzał na nią, po czym odwrócił się zmieszany. Słowo „blisko” nabierało w jej ustach brzmienia, które sprawiało, że czuł się jak dwunastolatek uwięziony w przymierzalni z trzydziestoma niezwykle wysokimi striptizerkami.

– Hm, tak, ma pani absolutną rację. Tak zrobimy. Zgoda.

Jej uśmiech miał w sobie triumf i złośliwość; to nie lada osiągnięcie, sprawić, by coś tak małego zawierało tak wiele.

– Może byłby pan tak dobry i spytał panią Horrocks, co ona o tym sądzi? Choć jestem pewna, że nie będzie miała obiekcji.

No tak, pomyślał Paul, kiedy spieszył korytarzem w stronę recepcji. Owszem, dałem się wrobić w dwa niewdzięczne, paskudne zajęcia bez żadnego wzrostu wynagrodzenia. I tak, w ogóle się z tym nie kryła, że wykorzystuje Melze jako łapówkę dla mnie. Fajnie.

(A Benny? A Monika i nawet Ricky Wurmtoter, który, choć znikowany jak stado kolibrów w mikserze, zawsze był dla niego poniekąd miły? Przegonił tę myśl packą fatalizmu. Jeśli hrabina Judy uważała, że nie da się dla nich nic zrobić, kto jak kto, ale ona powinna to wiedzieć. Będą musieli tam zostać, zamknięci wraz z Sophie w najgłębszych lochach jego pamięci, w których przetrzymywał wszystkie irytujące wyrzuty sumienia. Nie mogę uwierzyć, że to robię, powiedział sam do siebie; ale cóż, kiedy jego „ja” wspominało ostatni lunch z Melze, to, jak

zlizywała okruszki z kącika ust, i nie miało ochoty go słuchać).

Gdy zszedł na dół, właśnie odbierała telefon. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, po czym dalej tłumaczyła komuś, że pana Tannera w tej chwili nie ma w biurze, ale że do tego kogoś (a może czegoś, zważywszy, że chodziło o pana Tannera i, być może, sprawę osobistą) oddzwoni, jak tylko pan Tanner wróci. Paul wiercił się, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. I kiedy tak czekał, nagle przyszło mu do głowy, że może Melze nie będzie cała w skowronkach na myśl, że miałyby cały dzień siedzieć w kasie czy (blisko) z nim współpracować. Nie uwzględnił takiej możliwości, zresztą, skoro już o tym mowa, hrabina Judy też nie. Istniało jednak takie zagrożenie, realne zagrożenie...

– Cześć – powiedziała Melze, kiedy słuchawka ze szczęknięciem wróciła na widełki. – Całe lata ze sobą nie rozmawialiśmy.

Uśmiechała się i ciepło w jej oczach uderzyło Paula jak czekoladowy pocisk. Widział już takie uśmiechy (głównie skierowane do innych ludzi, do niego zwykle tylko wtedy, kiedy spał), ale ten był tak blisko, że można by na nim opiekać muffiny.

– Byłem zajęty – wymamrotał. – Od cholery roboty, rozumiesz. Co u ciebie?

Wzruszyła ramionami.

– W sumie w porządku. Wszyscy są bardzo sympatyczni, nie jestem zabiegana ani zestresowana, wszystko gra. Ale... cóż, czasem jest trochę nudno. Nie narzekam, tyle że byłoby miło, gdyby chodziło w tym o coś więcej, rozumiesz?

Paul gapił się na nią co najmniej dwie sekundy, zanim przypomniał sobie, jak działa jego głos.

– Dziwnie się składa, że o tym wspominasz – wymamrotał. – Co powiesz na to, żeby pomóc mi w kasie?

Pisnęła.

– Super! Chętnie. – Potem leciuteńko zmarszczyła brwi. – Ale co ty tam właściwie robisz? Wydawało mi się, że miałeś uczyć się rzucania uroków i tak dalej.

– Zmiana planów – wychrypiął. – Benny Shumway... wyjechał na urlop, więc go zastępuje, a hrabina Judy uważa, że przyda mi się ktoś do pomocy, i ma całkowitą rację...

Oczy Melze rozblęły. Mówiły mu: „Dziękuję, że mnie wybrałeś”, a on oczywiście nie mógł sprostować, że było inaczej, bo wyszedłby na niewdzięcznego gbura.

– To fantastycznie – powiedziała. – Kto mnie zastąpi w recepcji? Och, niech zgadnę. – Zmarszczyła nos. – Czerwonooka wraca.

Mama pana Tannera, która wyciągnęła Paula z lochów Magicznego Ludu – naprawdę nie powinien się z niej chichrać za jej plecami. Zachichrał się.

– To chyba dobrze, nie?

– Zdecydowanie – stwierdziła Melze. – Lepiej, żeby padło na nią niż na mnie. Kiedy zaczynam?

*

W dodatku Melze była w tym dobra, choć Paula nieszczerólnie to zaskoczyło. Wiedziała, do którego pudełka wkładać podstemplowane różowe formularze zamówienia, jak sprawdzić zgodność zielonych przekazów wewnątrzbiurowych z dziennymi raportami kasowymi i na których formularzach zamieszczać dane o niewykorzystanych znaczkach na listy drugiej klasy, pozostałych na końcu kwartału rozliczeniowego. Na jego pytanie, skąd ona to wszystko, do licha, wie, tylko uśmiechnęła się szeroko i powiedziała: „To czary”.

Cały poranek przesiedział w kasie. Usprawiedliwiał się przed sobą tym, że się ukrywa na wypadek, gdyby na dole zjawił się klient, który zażyczyłby sobie zabicia smoka albo przekłucia serca wampira osinowym kołkiem, ale nigdy nie potrafił dobrze kłamać, zwłaszcza samemu sobie. Samo to, że spędzał czas z Melze, sprawiało, że czuł się tak cudownie, jak nigdy w towarzystwie Sophie. Był wyluzowany, odprężony, szczęśliwy. Niemalże mógł być sobą i nie mieć przy tym bolesnego kompleksu niższości.

Za pięć pierwsza Melze zamknęła księgę, którą rzekomo jej objaśniał (choć kierunek przepływu informacji był dokładnie odwrotny), i powiedziała stanowczo:

– Lunch. Nie w tym włoskim barze kanapkowym. Ja stawiam.

– Dobrze. Co proponujesz?

Lekko odęła wargi.

– Zdaje się, że wspominałeś o jakiejś świetnej knajpce uzbeckiej za rogiem? Tej, w której byłeś z panem Wurmtoterem.

– Tak, ale... – Tak, ale jest potwornie droga i zatłoczona, nie masz szans dostać stolika, jeśli twój dziadek nie zarezerwował ci go w dniu narodzin twojego ojca, a zresztą tak na gorąco nie pamiętam, gdzie ona jest...

– Lubię kuchnię uzbecką – powiedziała z werwą. – Chodźmy.

Paul prowadził ją mgliście pamiętaną drogą, aż w końcu Melze złapała go za rękaw i pociągnęła w dokładnie przeciwnym kierunku, jak się okazało – właściwym. Zgodnie z jego przewidywaniami kolejka wychodziła prawie na ulicę, ale ona ją ominęła i poszła prosto do stolika w kącie, gdzie czekał już szef sali.

Zamówiła dwie porcje *behili palov* z plackiem *kalindii* i dzbankiem taszkienckiej czarnej

herbaty. Gdy czekali, aż wszystko przyniosą, opowiedziała Paulowi historię swojego życia. Składały się na nią głównie nudne posady i beznadziejni faceci. Paul był zaskoczony, że komuś, kto ma tyle zalet co ona, tak fatalnie się układało. Przecież jeśli ktoś jest piękny, inteligentny i do tego jest świetnym kompanem, to chyba świat powinien spełniać każdą jego zachciankę jak dobrze wytresowany pies? Zawsze było to dla niego niewzruszonym dogmatem; jego własne życie było niekończącym się pasmem katastrof, bo on sam był do niczego i gdyby tylko był przystojniejszy/mądrzejszy/fajniejszy/bardziej opalony/lepiej ubrany, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Właściwie nie miał nic przeciwko tej prawidłowości, jak już ją rozgryzł. Wręcz przeciwnie, świadomość, że tak czy owak nie ma żadnych szans, przyniosła mu ulgę, stała się wymówką, by nawet nie próbować. Ale jeśli taka prawidłowość nie istniała, jeśli taki stan rzeczy nie był regułą, wszystko nagle stawało się niepokojąco arbitralne, a co za tym idzie, jeśli nie zdołał zdobyć tego, na czym mu zależało, winę za to musiał wziąć na siebie, zamiast obciążać rodziców i bardziej odległych przodków odpowiedzialnością za to, że sprezentowali mu zestaw genów i pozycję społeczną, które czyniły wszelkie aspiracje bezprzedmiotowymi... Podczas gdy te głębokie rozważania kotłowały mu się w głowie niby w jakichś szaleńczych ruchach Browna, potakiwał i wydawał ciche współczujące pomruki, kiedy Melze snuła opowieść o kolejnej porażce życiowej. Najwyraźniej robił to, jak należy, bo mówiąc, patrzyła na niego ciepłym, zadumanym spojrzeniem, jakby drapieżnego anioła.

– I to właściwie tyle – powiedziała, a Paul, podnosząc głowę z ustami pełnymi *behili palov*, skonstatował, że briefing dobiegł końca. – Znasz już wszystkie drastyczne szczegóły. Twoja kolej.

Wzruszył ramionami i przełknął ryż.

– Och, tak naprawdę nie ma o czym mówić. Jak już ci wspominałem, pracuję tu jakieś dziewięć miesięcy i chyba powoli się do tego przyzwyczajam. Niedługo przed tym, jak się zjawiłaś, rozstałem się z dziewczyną... Uznała, że nie może już na mnie patrzeć i chyba jej się nie dziwię. To wszystko.

Melze się skrzywiła.

– Będziesz musiał się lepiej postarać. Na przykład: jakie masz plany na przyszłość, dokąd twoim zdaniem zmierzasz i tak dalej. I nie mów, że nie wiesz, bo ci nie uwierzę. Już ja cię znam, niby cichy, a w środku aż buzuje. Nie wierzę, że czystym przypadkiem wszedłeś w cały ten magiczny interes, a potem ni z tego, ni z owego odkryłeś, że masz dar czy jak to nazwać. Żeby tak to się ułożyło, musiałeś od samego początku wiedzieć, że jesteś inny, wyjątkowy.

Prawidłowa odpowiedź, oczywiście, brzmiała „nie”. Nie takiej jednak Paul udzielił. Złapał się na tym, że operuje niedopowiedzeniami, aluzjami, sugestiami. Prawdę mówiąc, robił z siebie strasznie enigmatycznego i fascynującego gościa. Magia skuteczna, skwitował cichy głosik gdzieś w tyle jego głowy; widzisz, też to potrafisz, jeśli chcesz. W każdym razie mówił jej to, co chciała

usłyszeć, a to chyba dobrze.

Aż wreszcie oboje zamilkli. Jego dłoń była na stoliku, nie bardzo wiedział, skąd się tam wzięła, a Melze powoli, zdecydowanym ruchem, wysunęła ku niej rękę. Zauważył to i spojrzał jej w oczy. Patrzyła... nie, wpatrywała się w niego, i znieruchomiał pod jej wzrokiem jak królik w snopach świateł reflektorów samochodowych.

Poczuł ból przeszywający rękę od nadgarstka po łokieć, a stamtąd po ramię, taki sam jak różnego rodzaju bóle, których dotąd doświadczył i które tylko sobie wyobrażał – ból zęba, miażdżenie, cięcie, oparzenie, przypiekanie, porażenie prądem, rozrywanie, klucie. Stracił dech i serce na chwilę przestało mu bić, aż zadziałał odruch, który kazał mu cofnąć rękę. Ból natychmiast ustąpił, ale szok pozostał. Ręka przez parę sekund była zdrętwiała, po czym zaczęła mrowić.

– Co się stało? – zapytała Melze lekko spłoszona. – Wszystko w porządku?

– Tak – warknął Paul. – Nie... Przepraszam, trochę ręka mnie boli, tak strzyka. – Cichy głos w jego głowie zaprotestował, że jeśli to jest strzykanie, pierwsza wojna światowa była drobnym nieporozumieniem. – Skurcz, nic więcej.

– Aha. – Zaśmiała się; zabrzmiało to jak odgłos kamienia wpadającego do studni. – Czyli nic się nie stało. Myślałam, że... no, zdenerwowałam cię czy coś takiego.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że dotknęła jego dłoni. Cholera, pomyślał, też miałem jak zareagować. Czysty romantyzm, normalnie.

– Nie, nie, nie, nie, skądże – zamęczał – jak mówiłem, to tylko skurcz. Czasem mi się tak zdarza. Naprawdę – dodał na wypadek, gdyby pozostały jakieś wątpliwości.

– To okropne – powiedziała ze współczuciem. – Może to chroniczne przeciążenie czy jak to się nazywa. Powinieneś pójść do lekarza.

Wzruszył ramionami gestem męczennika, któremu szkoda czasu na takie błahostki.

– Aż tak źle nie jest.

– Wyglądało to dość paskudnie – odparła Melze, patrząc na niego z lekkiego ukosa. – Jeśli to chroniczne przeciążenie, skierują cię na fizjoterapię albo dadzą ci do noszenia taki aparat ortopedyczny. Moja ciotka go miała i raz-dwa się wyleczyła.

– Aha, w takim razie będę to musiał wypróbować. – Był boleśnie świadom, że poczerwieniał jak burak. – Naprawdę mi przykro, jeśli cię wystraszyłem.

– Nic się nie stało. – Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. – Kurczę, już za dziesięć drugą, trzeba wracać. – Podniosła głowę i obok natychmiast zmaterializował się kelner, jak krążownik Romulan wyłączający maskowanie, i wręczył jej rachunek. Wyczarowała skądś kartę i kelner sobie poszedł. – Strasznie ci dziękuję za wszystkie rady, których mi rano udzieliłeś.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dzięki za lunch.

Skinęła głową.

– Musimy jeszcze kiedyś tu przyjść.

Kelner wrócił z kartą i rachunkiem dla niej do podpisu. Chwilę później wyszli. Paulowi wciąż jeszcze mocno drżały kolana, ale je ignorował.

Doszedł z nią aż do drzwi kasy, po czym wymamrotał coś o jakichś drobiazgach, które musi załatwić.

– Do zobaczenia później! – zawołała za nim. Przystanął, ale się nie odwrócił. – Idziemy razem do banku, pamiętaj.

– Ano tak. To na razie.

Zapomniał o tej drobnostce. Wcale się na nią nie cieszył; niezbyt romantycznie się zapowiadała. Nawet on nie mógł sobie wyobrazić, jak trzymając się za ręce, idą z Melze przez mroczne pustkowie Królestwa Umarłych. Mimo to...

Zauważył, że z niewiadomego powodu zatrzymał się przed drzwiami archiwum. Nawet w najlepszych okolicznościach było to dość straszne miejsce, a od dziwnego incydentu z rowerem omijał je szerokim łukiem. Teraz jednak czuł niezrozumiałą pokusę, by pchnąć drzwi i wejść do środka. Zwalczył ją, ale kiedy odchodził, ogarnęło go uczucie znajome i niespodziewane jednocześnie – wyrzuty sumienia, jakby właśnie odwrócił się plecami do przyjaciela w potrzebie.

Z braku lepszego pomysłu poszedł do swojego gabinetu. Drzwi były otwarte. Hrabina Judy siedziała za biurkiem, na starym krześle Sophie.

– No, jest pan – powiedziała, lekko zasepiona.

– Przepraszam – rzekł machinalnie. – Hm, czy pani czekała... ?

Dała znać lekkim ruchem głowy, że to nieistotne.

– Domyślam się, że instruował pan panią Horrocks, jak prowadzić kasę.

Skinął głową.

– To dobrze, prawda? Sama pani mówiła...

– Bardzo dobrze. Dziękuję. Jednak jeśli ma pan chwilę...

Szlag by to, pomyślał.

– Ale nie chodzi o smoki? – upewnił się pospiesznie. – Bo chyba coś sobie zrobiłem w rękę i...

Potrząsnęła głową.

– Nie o smoki – odparła z bladym uśmiechem. – Nic z tych rzeczy. Christine chce, żeby ktoś jej pomógł przestawić szafkę, to wszystko.

– Aha. – Dowodem tego, jak wielki Paul miał mętlik w głowie, było to, że minęła chwila, zanim przypomniał sobie, kto to jest Christine: sekretarka pana Tannera, kompetentna, dużo gada.

– Żaden kłopot. Zaraz się tym zajmę.

– To znakomicie. – Hrabina Judy wstała. – A kiedy pan skończy, radzę poświęcić kilka

minut na przejrzanie rozdziału regulaminu organizacji pracy o łapaniu chimer na przynętę. Rano dostaliśmy faks od klienta z pytaniem, jak sobie z nimi radzić. I proszę nie zapomnieć o wizycie w banku.

Dobrze, mam, pomyślał Paul i poszedł do pokoju Christine.

*

– Uważaj na farbę – powtórzyła Christine po raz siódmy.

Paul skinął głową, zbyt skonany, by przeprosić. Szafka była ciężka, on nie nawykł do pracy fizycznej, a pokój tak czy owak był w cholere za mały.

– Nie, tak raczej się nie zmieści – uznała Christine. – Spróbuj tak jak za pierwszym razem.

Myślał, że pójdzie jak z płatka, bo przecież teraz już mógł stosować magię; ale, jak się okazało, nie w tej sytuacji. Szafka była cała w czarach segregacyjnych, które powodowały, że wystarczyło wrzucić kartkę do pierwszej lepszej szuflady, by potem znaleźć ją we właściwej teczce, starannie szepioną z resztą pliku ułożonego w kolejności alfabetycznej. Czary te oczywiście nie działały; żadna siła na ziemi, naturalna czy nie, nie może przeszkodzić przechowywanym papierom w powrocie do stanu chaosu. Kiedy jednak już się te zaklęcia rzuciło, nie można było ich potem zdjąć, a nie komponowały się dobrze – i odmawiały współpracy – z innymi rodzajami magii. Próba przeniesienia zaczarowanej szafki za pomocą telekinezy niewątpliwie miałyby najprzeróżniejsze mrozące krew w żyłach skutki uboczne. A więc wynikła potrzeba użycia banalnej siły ludzkich mięśni.

– No dobrze, tak musi zostać – stwierdziła wreszcie Christine. – Dzięki, idź już do banku. Nie chcemy, żeby pan Tanner się zdenerwował, co?

A żebyś, kurde, wiedziała, pomyślał Paul i smyrnął schodami do kasy.

W czasie gdy on bawił się meblami biurowymi, Melze uporządkowała zawaaloną papierami tackę na korespondencję przychodzącą, załatwiła uzgodnienia bankowe, wprowadziła sumy do komputera, posprzątała na parapecie i zrobiła coś subtelnego, ale skutecznego z włosami. Paul nie znał się na tym, ale ogólny efekt sprawił, że zapomniał, co miał powiedzieć, i wpadł na biurko.

– To już? – Melze spojrzała na niego i zobaczył w jej oczach cień lęku. – Pewnie wyjdę na strachajło, ale wcale nie mam na to ochoty.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ja też nie. Chociaż to wcale nie tak straszne, jak się wydaje. Po prostu... cóż, rób to co ja i nie rozglądaj się. Aha, i nie rozmawiaj z nikim oprócz pana Dao, kasjera. I za nic w świecie nie

pozwól, żeby podali ci herbatę. To naprawdę ważne. W porządku?

Skinęła głową.

– Chyba tak.

– Gotowa?

– O tyle, o ile.

– Dobrze. – Paul zaczął odciągać rygle i przekręcać klucze.

– Szybko się w tym połapiesz – powiedział głuchym głosem. – No dobra, na trzy. Raz, dwa...

Wziął długi, głęboki wdech, sprawdził, czy ma w kieszeni baseballówkę, i przekroczył próg. Po drugiej stronie był ten sam zupełny brak światła i koloru, który tak wyraźnie pamiętał – dziwne, że istota nicości tak mocno wryła się w jego pamięć. Tym razem jednak było wyraźnie zimniej. Bolały go kłykcie i stawy palców u nóg, czuł, jakby coś ścisnęło mu głowę. Nie śmiał zawołać „Tędy” ani „Szybciej”, a co dopiero odwrócić się, by sprawdzić, czy Melze jest za nim. Miał wyrzuty sumienia z tego powodu, bo przecież jego obowiązkiem było ją chronić. Jednak, tłumaczył sam sobie, jeśli złamie zasady i zostanie tu uwięziony na zawsze, żadnemu z nich nic z tego nie przyjdzie.

Przynajmniej umarli wyraźnie się ucieszyli na jego widok. Dalecy kuzyni i sędziwi przyjaciele rodziny, którzy na świecie doczesnym nigdy nie mieli dla niego miłego słowa, wyłaniali się tłumnie z ciemności, by go powitać. Łatwo było ich ignorować, jako że nawet za ich życia nigdy nie miał im nic do powiedzenia. Po jakimś czasie dali za wygraną i rozplynęli się w niebyt. Wolał nie myśleć, przez co przechodzi Melze; kto wie, może straciła ludzi autentycznie jej bliskich, a jeśli tak, bardzo trudno jej będzie się do nich nie odezwać.

Dzisiejsza ofiara z krwi była standardowa: królik z kapelusza. Paul przez cały dzień usilnie starał się o tym nie myśleć, a to tylko pogorszyło sytuację. Nawet nie sprawdził, czy w ogóle potrafi zrobić tę sztuczkę, bo wówczas musiałby przyznać sam przed sobą, że w którymś momencie będzie musiał dopuścić się tego strasznego czynu. W głębi ducha miał szczerą nadzieję, że kiedy rozłoży baseballówkę i włoży do niej rękę, nie znajdzie tam nic, a wtedy – oby – będzie mógł się po prostu odwrócić i wyjść. Gdy tylko jednak wsunął palce do czapki, poczuł pod nimi miękkie, gładkie futerko. A niech to, pomyślał. Owszem, nie będzie to pierwsze zabite przez niego stworzenie, wcześniej usiadł na wiwernie, więc miał już krew na rękach, a w każdym razie na pewnej części ciała. Mimo to...

Chwycił coś, co, ku jego obrzydzeniu, strasznie przypominało łapkę pluszowego misia, i pociągnął to w górę. Wyłonił się piszczący i wrywający się królik. Jak się okazało, Paul złapał go za tylną nogę. Klnąc na siebie, królika i ogólnie cały świat, zaczął szukać w kieszeni noża. Był tam, ale jakimś cudem utkwiał pod pękiem kluczy, a klucze przebiły się przez podszewkę kieszeni.

Nie teraz, pomyślał z goryczą, szarpiąc za nóż, proszę, nie teraz, to nie jest dobry moment. I wtedy coś mu przywaliło w nos.

Odchylił się do tyłu, ale nie dość daleko, wolna tylna noga królika kopnęła znowu i tym razem drasnęła go w górną wargę. Mimo woli puścił zwierzaka, który wygiął grzbiet w łuk i rozpaczliwie wierzgając, spadł na cztery łapy, po czym czmychnął w dal. Paul otworzył usta, by zakląć, ale zmienił zdanie. Wtedy poczuł metaliczny smak w ustach. Rozpoznał krew. Krew z nosa.

– Dzień dobry. – Pan Dao stał obok niego. – Dziękuję. – Ukłonił się szarmancko. – Rzadka przyjemność. Jesteśmy głęboko wdzięczni.

Paul patrzył na niego z przerażeniem. Kropla krwi ściekła mu po podbródku i spadała.

– Nie chciałem... – wymamrotał. – To wypadek. Królik...

– Nie wątpię. – W głębokich oczach pana Dao pojawił się błysk rozbawienia. – O ile wiem, po pańskiej stronie granicy jest takie powiedzenie: „Nigdy nie pracuj z dziećmi i zwierzętami”. Jak widać, jest pan odważnym człowiekiem. – Obliznął usta jak kot. – Przejdźmy do interesów. Jakież czeki do zdeponowania?

– Tak. – Paul zadrżał i sięgnął za plecy. Ktoś, prawdopodobnie Melze, wcisnął mu do ręki plik papierów, a on podał dalej. Pan Dao wziął je od niego i znów się ukłonił.

Patrzył na coś za plecami Paula.

– Pańska asystentka, jak sądzę? Może zechce pan nas sobie przedstawić?

Przeklinając swą nieostrożność, Paul mruknął:

– Demelza Horrocks, zastępuje Benny’ego Shumwaya. Ja tylko, hm, pokazuję jej co i jak.

– Bardzo mi miło – powiedział pan Dao. – Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wielką radość sprawia nam widok nowych twarzy, zwłaszcza – dodał z dostojnym uśmiechem – gdy jest to twarz tak urocza. Czy pani Horrocks nie zechciałaby napić się... ?

– Nie – warknął Paul. – Przestrzegłem ją, więc...

Pan Dao wzruszył ramionami.

– Naturalnie. Proszę wybaczyć tę chwilę słabości. Czy ma pan jeszcze do mnie jakieś sprawy?

Paul potrząsnął głową i pan Dao raptownie zniknął, nie pozostawiając żadnego śladu swojej obecności. Paul chwilę stał nieruchomo. Strasznie chciało mu się wymiotować, ale uznał, że i tak już nazbyt hojnie szafował swoimi płynami ustrojowymi. Parę razy przełknął ślinę, po czym odwrócił się powoli. Mdłości przeszły mu dopiero w chwili, kiedy zasunął ostatni rygiel i przekręcił ostatni klucz.

– Przepraszam cię – powiedział, gdy wreszcie ośmielił się sprawdzić, czy jest z nim Melze.

– Zwykle nie jest aż tak źle. Moja wina, niepotrzebnie...

– A co w tym było złego? – spytała zdumiona.

Paul otworzył usta, lecz nie wyszły z nich żadne słowa.

– No dobrze – ciągnęła – to uciążliwy obowiązek, ale co tam, przynajmniej jest pretekst, żeby wyskoczyć z biura. Co tak na mnie patrzysz? – Była zdezorientowana, jakby coś jej umknęło.

– Zaraz, co tam widziałaś?

To pytanie wyraźniej zdziwiło.

– Cóż, przeszliśmy przez próg i znaleźliśmy się w długim korytarzu, z dywanem, drzwiami po bokach, gaśnicami na ścianach i tak dalej. Potem był dziedziniec, a na jego drugim końcu drzwi, do których zapukałeś i otworzył miły stary Chińczyk. Dałeś mu czeki, a on spytał, czy nie napiłbyś się herbaty. Powiedziałaś, że nie... i w sumie słusznie, mamy robotę, nie możemy cały dzień siedzieć i pić herbatę. A potem wróciliśmy. To wszystko.

– Aha. To... to dobrze. Tylko, hm, na długich, wąskich korytarzach dostają klaustrofobii. Myślałem, że może ty też.

Potrząsnęła głową.

– To miło, że jesteś taki troskliwy, ale z tym nie mam kłopotu. Za to źle znoszę wysokość, więc dobrze, że nie było tam schodów ani niczego takiego.

– Czyli nie widziałaś żadnych królików ani nic takiego?

Jej mina była studium zdumienia.

– Królików?

Skinął głową.

– Białych.

– Ach, rozumiem. – Melze zaśmiała się cicho. – Chodzi ci o takie wielkie, w kamizelkach z zegarkami kieszonkowymi, mówiące: „Ach, na me uszy i wąsy”. Trochę to tak wyglądało, prawda? Te wszystkie drzwi i tak dalej.

Paul pewnie mógłby znaleźć jakiś pretekst, żeby jeszcze trochę posiedzieć w kasie; sądząc po wyrazie oczu Melze, kiedy przeprosił ją i wyszedł, niewykluczone, że na to liczyła. Ale chciał wydostać się stamtąd jak najszybciej.

Było – tak sobie mówił, kiedy powoli włókł się schodami na dół – oczywiste wytłumaczenie, szkoda tylko, że jestem za głupi, by je znaleźć. Najwyraźniej nie widziała tego co ja. Może wiązało się to jakoś z magią. Może trzeba mieć do niej smykałkę, żeby zobaczyć nicość i krew i usłyszeć nieżyjących krewnych. Melze jej nie ma, więc może widziała tylko jakiś międzywymiarowy wygaszacz ekranu, zainstalowany tam, by niepełnosprawni paranormalnie nie wiedzieli, gdzie są, i nie wpadali w' panikę. To na pewno ma sens...

(Paul znieruchomiał. Coś zwróciło jego uwagę. Rozejrzał się, ale wszystko wyglądało nie bardziej nienormalnie niż zwykle. Paranoja, powiedział sobie; doskonała wymówka, ale kiepski

styl życia).

Oczywiście, że to miało sens. To miało sens pod wieloma względami. Przez ostatnie godziny usilnie starał się nie myśleć o nagłym i gwałtownym bólu, który poczuł, kiedy Melze dotknęła jego dłoni – bo były pewne granice tego, ile zdumiewających zjawisk mógł znieść naraz, i instynkt mu podpowiadał, by ignorować te najbardziej niepokojące. Ale przypuśćmy, że jest tak, że ludzie, którzy mają umiejętności magiczne, skazani są, jeśli chodzi o, jak nazywają to w telewizji, relacje międzyludzkie, na towarzystwo podobnych sobie. Bądź co bądź, nie pierwszy raz w życiu dotknął dziewczyny, ale Sophie była Jedną z Nas, a Melze nie. To by wiele wyjaśniało. Czy nie byłoby ciekawie – i dogodnie – zrzucić winę za swoje żalosne dokonania na niwie prawdziwej miłości na ten mały, podstępny gen magii? Może w swoim genetycznym... jak to tam zwą miał wbudowany jakiś mechanizm obronny niepozwalający mu wchodzić w związki z ludźmi, którzy nie potrafią czarować? I mógł wytłumaczyć, dlaczego u Melze mechanizm ten zawiódł na tyle, że posunęła się do postawienia mu lunchu: całymi dniami przebywała w środowisku o wysokim stężeniu magii i pewnie przesiąkła nią na tyle, że ci uprzykrzeni genetyczni strażnicy stracili czujność. To dopiero teoria, co?

Podczas gdy rozwijał i szlifował swoją nową, wspaniałą hipotezę, przyszło mu do głowy, że praktycznie wszystkie tego rodzaju uzasadnienia wydarzeń, z którymi miał do czynienia w JWW, okazały się beznadziejnie mylne. Mimo to w którymś momencie musiał trafić w dziesiątkę. Pytanie tylko, czy chciał, by stało się tak akurat tym razem. Jeśli się okaże, że nie może dotknąć Melze, nie czując się przy tym, jakby wsadził palce w młynek do kawy, czy to dobrze, czy źle?

Dobre pytanie.

Zszedł głównymi schodami i już miał skrócić w lewo, na korytarz prowadzący do jego gabinetu, ale coś było nie tak.

Nie było to znowu aż tak niezwykle ani straszne, jak mogłoby się wydawać. Paul wiedział, choć nigdy nie potwierdził tego naukowo, że liczba stopni głównych schodów się zmieniała; czasem było ich więcej, czasem mniej. To mu nie przeszkadzało. Topografia budynku przy St Mary Axe 70 była urzekająco elastyczna. Pokoje pojawiały się i znikaly, bywało też, że zwracały się jak słoneczniki ku słońcu (co skutkowało oszczędnościami w kosztach zużycia prądu, które bez wątplenia radowały pana Tannera). Paul słyszał, że Humphrey Wells, skompromitowany były członek zarządu, który obecnie pracował na rzecz firmy w charakterze kserokopiarki, miał zwyczaj skracać korytarze, kiedy groziło mu, że spóźni się na spotkanie, i niekiedy zapominał przywrócić je do pierwotnego stanu. Logicznie biorąc, ilekroć pokoje pojawiały się albo znikaly, klatki schodowe musiały dostosować się do nowego stanu rzeczy, inaczej bowiem byłyby albo za długie, albo za krótkie. Krążyły też plotki, że kiedy hrabina Judy oraz dział rozrywki i mediów odbywali spotkanie ze swoimi odpowiednikami z innych firm bądź organizacji, powodowało to znaczny

wzrost stężenia uroku przegrzanego, który miał paskudną tendencję do wyciekania do otoczenia, co skutkowało zmianą barw i faktury zasłon, dywanów, tapet i innych urokoczułych elementów wyposażenia, a także spontanicznym powstawaniem reprodukcji Constable'a i płożących się paproci adiantum. Nauczył się przyjmować tego typu zjawiska ze spokojem albo je po prostu ignorować, podobnie jak nie musiał już pamiętać, by trzymać ręce i koniec krawata w odległości co najmniej trzydziestu centymetrów od zębów włączonej niszczarki, jeśli przez parę dni była nieużywana. To, co zwróciło jego uwagę, kiedy schodził po schodach, i teraz, kiedy stał u ich podnóża, było inne. I zapewne dobrze nie wróżyło.

Oparty o ścianę, z wyrazem całkowitej niewinności na siodełku, stał rower, ten sam, który zaczepiał go w archiwum. Paulowi przypomniało się, że widywał go w budynku, jeszcze zanim został przez niego zagadnięty, ale wtedy oczywiście zakładał, że to po prostu czyjś rower, przyjazna środowisku alternatywa dla metra i taksówek. Chwilę pomyślał, po czym zwrócił się do niego z pytaniem:

– Śledzisz mnie?

Cisza. To niedorzeczne, powiedział sobie w duchu. Rozmawiam z rowerem.

– No, słucham – naciskał.

– Tak – odparł rower.

Rower był stary i poobijany, ale za to marki Raleigh; dobra, klasyczna brytyjska marka, wypadało mu więc wierzyć na słowo.

– Dlaczego?

– Musisz ją wypuścić, rozumiesz? Musisz. Tak nie można.

Paul zmarszczył brwi.

– To samo mówiłeś mi ostatnio, zgadza się?

– Tak.

– Aha. Dzięki, że jesteś konsekwentny.

– Nie rób sobie z nas żartów. Wypuść ją, bo cię zabijemy. Obiecuję.

– Och, na litość boską – westchnął Paul. – Czy ktoś mógłby mi choć raz dla odmiany cokolwiek wyjaśnić? Kogo mam wypuścić? Powiedz mi. Proszę.

– Dobrze wiesz – odparł rower ponuro. – Nie udawaj, że nie, to cię nie uratuje.

Paula nagle ogarnęło wielkie zmęczenie.

– Zrób mi przyjemność. Jeśli zależy ci na tym kimś na tyle, żeby mnie zabić, chyba to dla ciebie żaden kłopot powiedzieć, jak jej na imię. Mam rację?

Cisza. Czasem można poznać wymowę ciszy po tym, jak długo trwa. W tym przypadku oznaczała wstyd.

– Nie możemy – powiedział rower.

– Przepraszam, czego nie możecie?

– Mówić imion – odparł rower zakłopotany. – Nie możemy i już. Ale wiesz, o kogo nam chodzi.

– Ni cholery nie wiem – jęknął Paul. – Nie bądź taki, daj choć jakąś wskazówkę. Może podam parę imion, a ty mów „tak” albo „nie”?

– Żadnych imion – burknął rower. Czyżby był wystraszony? – Nie uznajemy ich. A poza tym przecież ty...

– Wiem, o kogo chodzi, jasne. Tylko że wcale nie wiem. Dobra, to może podam rysopis? No wiesz. Stara, młoda, wzrost, kolor włosów, okulary, bez okularów...

Teraz już rower był wyczuwalnie zmieszany.

– To by nie pomogło. Nie rozumiemy... wyglądu. Dla nas liczą się tylko cechy podstawowe. Nie widzimy – zakończył z żalem.

– Och, przykro mi. – Moment, pomyślał Paul, przecież on mi groził. Gdzie w regulaminie jest napisane, że jako ofiara muszę stosować zasadę równouprawnienia? – Musi być jakieś wyjście. Mnie rozpoznajesz, prawda? Po czym?

– Po cechach podstawowych – rzekł rower, jakby to było coś najnormalniejszego na świecie. – Poznalibyśmy cię wszędzie, o każdej porze, w każdym przebraniu. I jeśli jej nie wypuścisz, dopadniemy cię...

– Tak, dobrze – warknął Paul. – Spróbujmy dogadać się po twojemu, zgoda? Jakie są, hm, cechy podstawowe tej osoby, którą mam wypuścić?

Pauza. Rower chyba zbierał myśli.

– Wodospady. Nagłość. Im szersza percepcja, tym mniejszy pośpiech, ale złoto mięknie pod młotem. Środa u kresu długiej alei ciemności. Jej włosy jak lilie wodne. Ostra krawędź jest krucha. Po trzykroć użyta chusteczka wsadzona w rękaw, a potem na zawsze.

Paul policzył do pięciu, po czym powiedział:

– Że jak?

– Słyszałeś – burknął rower. – Musisz ją natychmiast wypuścić, bo inaczej umrzecie, i ty, i ona. Zabijemy cię, bo nie będziesz chciał dalej żyć. Poprosisz nas, żebyśmy cię zabili, a my prośbę spełnimy.

– Naprawdę?

– Tak.

– To świetnie. – Paul odetchnął głęboko, po czym się uśmiechnął. – Jones – powiedział.

Rower zakolebał się lekko.

– Nie próbuj...

– Parkinson. Sinclair. Cohen. Ivanovitch. Rashid. Banerji.

– Zdrajco! Nie lękamy się ciebie!

Paul westchnął.

– Lennon. McCartney. Harrison. Starr. – Uśmiechnął się szeroko. – Rumpelstiltskin.

Rower oderwał się z krzykiem od ściany i stanął na tylnym kole. Przez ułamek sekundy Paul był przekonany, że jednoślad go zaatakuje, on jednak opadł na oba koła, gwałtownie zakręcił pedałami do tyłu i w popłochu odjechał tyłem w głąb korytarza, który na ogół prowadził do schowka z materiałami biurowymi.

Paul był zbyt zmęczony, by zrobić coś bardziej energicznego od wzruszenia ramion. Stwierdził, że na takie sprawy trzeba patrzeć z szerszej perspektywy; pogrożki ślepego roweru, który na dźwięk nazwisk Beatlesów zmyka gdzie pieprz rośnie, prawdopodobnie były najmniejszym z jego zmartwień.

Mimo to... „Musisz ją natychmiast wypuścić, bo inaczej ona umrze”. Naprawdę nie chciał się tym przejmować, ale coś mu mówiło, że nie miał innego wyjścia. Uświadomił sobie, że jedyne, co ustalił, to że osoba, którą ma wypuścić, jest płci żeńskiej.

Wypuścić ją. Ale jak kogokolwiek wypuścić, skoro nikogo nie więzę?

Czy aby na pewno?

Myślał o tym, kiedy siedział za biurkiem i czekał na wpół do szóstej. Czy kogoś przetrzymuję? – zastanawiał się. Nie w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale w jakiś inny sposób? Z jaką kobietą jestem związany?

Na szczęście informacja o płci rzekomo więzionej osoby ułatwiła mu zadanie; z rozmaitych przyczyn znał mało kobiet. Zobaczmy, pomyślał. Jest Melze; i Sophie, tyle że mnie zostawiła, czy to się liczy jako wypuszczenie? Jest jeszcze mama, ale ona jest na Florydzie. Hrabina Judy? A co z mamą pana Tannera? I z Moniką? Ona faktycznie jest uwięziona, kombinował, i to w miejscu, w którym grozi jej śmierć, ale na to nie mogę zupełnie nic poradzić. Kto jeszcze? Christine? „Po trzykroć użyta chusteczka wsadzona w rękaw, a potem na zawsze”. Cóż, to oczywiście mogło się odnosić do każdej z nich. Chyba że ta po trzykroć użyta chusteczka to jakaś subtelna, zagadkowa metafora. Pomyślał o tym. Obrzydlistwo. Przypomniał sobie, że miał poczytać o chimerach, i ani się obejrzał, a już było dwadzieścia pięć po piątej.

Ciężki dzień. Kiedy wróci do domu, weźmie relaksującą kąpiel i wcześniej położy się spać, bo... bo raptem wczoraj był uwięziony w lochach Magicznego Ludu z dwojgiem ludzi, których, z czym się już poniekąd pogodził, więcej zapewne nie zobaczy. Zastanowił się. Może to i dobrze, powiedział sobie w duchu, to pewnie taki talent albo instynkt samozachowawczy. Żołnierze na wojnie muszą jakoś sobie radzić, kiedy ich przyjaciele nagle giną w bitwie.

A gdybym odszedł z pracy? Cóż jeszcze gorszego mógłby mi pan Tanner zrobić? Zmieni mnie w coś okropnego i nieludzkiego? Na razie sam sobie doskonale z tym radzę.

Zdał sobie sprawę, że trzyma dłoń w kieszeni marynarki i że wymacał pudełko zapalek. Zaczął się zastanawiać, skąd ono się tam wzięło, po czym sobie przypomniał. Wydawało się, że to było tak dawno temu, kiedy usiadł na tym śmiesznym małym smoku i mama pana Tannera wydlubiła z mózgu pechowego potworka mały czerwony klejnot. „Pokazuje rzeczy, których normalnie byś nie widział – powiedziała mu. – Jak trochę poćwiczysz, może nawet zobaczysz coś użytecznego. A jak nie, po prostu pokaże ci twoją prawdziwą miłość, więc dla ciebie to żadna korzyść”.

Prawie wpół do szóstej, powinien się ruszyć. Zamiast tego jednak otworzył pudełko i wyjął kamyk. Trzecie oko wiwerny leżało na jego dłoni i słabo świeciło, najpierw na czerwono, potem na zielono, jak grudka żwiru z planety Krypton. Jak trochę poćwiczę, powiedział sobie, nauczę się widzieć użyteczne rzeczy. A jak nie...

Oko wiwerny patrzyło na niego; chytra sztuczka, jak na kamyk, który nie ma oczu. Przeszukiwało jego pamięć, ściągało jego myśli niczym plik z Internetu, podjęło decyzję...

Dokąd chcesz się dziś udać?

Paul nieco się wyprostował.

– Chciałbym zobaczyć coś użytecznego – powiedział.

Kamień urósł, najpierw był jak drobinka żwiru, potem jak piłka do koszykówki, by wreszcie zmienić się w głaz, który wypełnił całą przestrzeń od podłogi po sufit, tak że Paul nie mógł go objąć spojrzeniem. Zielony blask był ciepły i dobywały się z niego ciche trzaski.

Proszę czekać.

Chciałbym zobaczyć coś użytecznego, pomyślał. Chciałbym zobaczyć, czy Monice i Benny'emu nic się nie stało. Chciałbym zobaczyć, dlaczego dotyk Melze tak boli. Chciałbym zobaczyć, kim się stałem i dlaczego ten cholerny rower chce mnie zabić. Chciałbym zobaczyć, dlaczego rodzice pojechali na Florydę beze mnie, a jeśli przypadkiem wiesz, jakie jutro padną numery w totku, to też byłoby całkiem użyteczne.

Zielone światło poczerniało. Paul przez chwilę myślał, że znów jest w lochach. Zanim jednak mógł wpaść w porządną panikę, zza krawędzi wsączyło się światło, które białymi strużkami i zawijasami popelzło i pociurkało ku środkowi, aż jedynymi czarnymi elementami pozostały litery na kartce papieru.

Chimery dla opornych, głosily. Rozdział pierwszy. Wielkie, straszne potwory z zębami i dlatego czasem lepiej ich unikać.

– Serdeczne dzięki – mruknął Paul i objął kamień dłonią. Pismo zniknęło, powróciła rzeczywistość, a on schował klejnot do pudełka po zapalkach i wsunął szufladkę.

Rozdział 8

Ludzie od chimery przyszli piętnaście po dziewiątej – dwaj korpulentni, siwi jegomoście o podwójnych podbródkach i chuda, elegancka kobieta. Chcieli wiedzieć, jak zablokować tym mitycznym skrzydlatym stworom dostęp do szybów wentylacyjnych ich nowego kompleksu rekreacyjnego. Paul uśmiechnął się i starając się sprawiać wrażenie, że wie, co to jest chimera, powiedział: „Drucianą siatką”. To wyraźnie zadowoliło klientów, którzy podziękowali mu i poszli. Łatwizna.

I to wszystko, nic więcej do roboty aż do lunchu. Nic, tylko siedzieć za biurkiem i czekać, aż coś się wydarzy.

Dość szybko zdał sobie sprawę, że niesprawiedliwie oceniał uciekanie przed goblinami, tortury z rąk Magicznego Ludu, pogrożki rowerów i wyprawy w zaświaty w celu uzupełnienia funduszu na drobne wydatki. Żadne z tych doświadczeń nie było przyjemne, bynajmniej, ale wszystkie były na głowę śmiertelną nudę. Nie śmiał wyjść z biura, czytać gazety ani wyjąć talii kart i postawić pasjansa, bo bał się, że ktoś wejdzie i go przyłapie. Gdyby poszedł do Christine albo Julie i wyznał, że nie ma nic do roboty, ani chybi doniosłyby o tym panu Tannerowi, który niezawodnie znalazłby mu jakieś okropne zajęcie. Oczywiście, gdyby była tu Sophie, mogliby odbyć jedną ze swoich szorstkich, rwanych rozmów, ale jej nie było. Mógł skorzystać z telefonu, lecz nie przychodził mu do głowy nikt, kto chciałby z nim rozmawiać.

To głupie, powiedział sobie w duchu. Oto moje życie, coś, czego drugi raz nie dostanę, trwonione tak, jakby było nic niewarte.

W rozpaczy ściągnął z półki regulamin organizacji pracy w biurze i otworzył na chybił trafił...

Gór, przenoszenie: Obowiązkiem wykonawcy, nie firmy, jest sprawdzić, czy uzyskano wszelkie pozwolenia budowlane wymagane do przeniesienia góry zgodnie z życzeniem klienta. Przed rozpoczęciem prac szczególną uwagę należy zwrócić na dopełnienie wszelkich prawnie wymaganych formalności (dojazd, wymogi dotyczące ochrony środowiska, kwestie związane z kształtowaniem krajobrazu). Klient powinien z wyprzedzeniem zobowiązać się do pokrycia wszelkich kosztów wynikających z kłatw, porachunków rodzinnych i skutków przeniesienia wraz z górą kolonii trolli i goblinów. Wszelkie zakopane kosztowności, porzucone smocze skarby, zaginione miasta krasnoludzkie, złoża ropy naftowej, gazu ziemnego i innych minerałów odkryte w trakcie procesu przenoszenia pozostają własnością JWW, nie wykonawcy zlecenia. W sytuacji gdy

przeniesienie góry spowoduje przebudzenie bezimiennego zła uśpionego w trzewiach ziemi, obowiązkiem pracownika jest przy pierwszej sposobności powiadomić o tym ubezpieczycieli firmy.

Do licha z tym, pomyślał Paul. Jeśli mnie zwolnią, tym lepiej. Jeśli pan Tanner zmieni mnie w skorka, będzie mi lepiej niż teraz. Skorki nie muszą zawracać sobie głowy takimi...

– Panie Carpenter...

Nie usłyszał, kiedy weszła. Upuścił książkę na biurko, zamknęła się z hukiem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała hrabina Judy.

Pokręcił głową i uśmiechnął się blado.

– Nie, skądże. Hm, w czym mogę pomóc?

Jak zwykle wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Dziś była wysoka i niemal chorobliwie wychudzona, włosy miała jasnosrebrzyste, pod kolor oczu, spływające po ramionach jak lawa z lodowego wulkanu. Na jej palcach lśniło osiem pierścieni, każdy srebrny i wysadzany jasnymi kamieniami.

– Pytał pan wczoraj o możliwość podjęcia działań na rzecz uwolnienia pana Shumwaya i pańskiego samochodu. Powiedziałam wówczas, że nie możemy nic zrobić. Po namyśle uznałam, że jest pewna procedura, którą warto wypróbować.

To już coś nowego. Paul usiadł prosto. Swędziały go dłonie i czuł, jak wali mu serce.

– Co mam zrobić?

Hrabina lekko się zachmurzyła.

– Doceniam pańską gorliwość, panie Carpenter, ale w tej sytuacji uważam, że pańskie osobiste zaangażowanie nie jest wskazane. Mój plan przewiduje skorzystanie z usług pośredników, którzy wynegocjowaliby stosowny układ z dysydentami.

– Aha. – Jeszcze lepiej, pomyślał. Ktoś inny będzie musiał tam pójść, nie ja. Normalnie rewelka. – Ma pani całkowitą rację – dodał.

– Doskonały pomysł.

– Jednakowoż – ciągnęła hrabina – zważywszy na wyrażone przez pana życzenie, by osobiście w tym uczestniczyć, pomyślałam, że mógłby pan pomóc w ogólnej koordynacji całego przedsięwzięcia. Chyba że – dodała, zerkając przelotnie na zamkniętą książkę na biurku Paula – ma pan inne zajęcia.

– Nic, co nie mogłoby poczekać – odparł lakonicznie. – To znaczy, rano widziałem się z tymi ludźmi od chimery, więc to już odfajkowane, a Me... pani Horrocks poradzi sobie z finansami sama, jeśli nie wrócę dość wcześnie, żeby jej pomóc.

– Wspaniale. – Hrabina Judy wstała, a Paul nie mógł nie zauważyć, że obramowana futryną

drzwi wyglądała jak na idealnie skomponowanym portrecie. Z tym się pewnie trzeba urodzić. – W takim razie pozwolę sobie poprosić pana, by zechciał się umówić z pośrednikami na wstępne spotkanie. Adres i dane kontaktowe są w teczce.

Jakiej teczce? Aha, olśniło Paula, w tej teczce, tej na biurku, której jeszcze przed dziesięcioma sekundami tam nie było.

– Proszę zgłosić się do mnie, jak tylko nawiąże pan kontakt. – I hrabina wyszła.

Paul wyjął z teczki plik papierów starannie zszytych sznurkiem. Na wierzchu była czysta kartka z nagłówkiem; umorusana, wymięta i pieczołowicie wygładzona.

AGENCJA EKD

... a dalej adres w Bermondsey. Na pierwszy rzut oka fabryka albo magazyn. Był też numer telefonu. Paul zebrał się w sobie, podniósł słuchawkę i wybrał numer. Nikt nie odebrał.

Następna w pliku była odręcznie napisana notatka; bardzo małe, ściśnięte, spiczaste pismo, skreślona piórem z niezwykle cienką stalówką. Głównie daty i liczby, ale z kilkoma zdaniami na dole. Paul musiał długo mrużyć oczy i wreszcie, kiedy już czuł początki isticie gigantycznego bólu głowy, udało mu się odczytać:

Nie dzwonić, wizyta osobista nieodzowna. Pytać o szefa, którego nie będzie. Niezwykle podejrzliwy, skryty, nerwowy i irytujący. Tak czy owak, na ogół kłamie. Środa.

Poza tym w pliku były głównie stare faktury JWW z dopiskiem „Opłacono”: za usługi, różne sprawy, porady prawne i finansowe, na dopłatę nadzwyczajną 25 procent, przelew na konto przejściowe, do wglądu Dereka. I, na samym dole, leżący luzem srebrny wiktoriański medalion na łańcuszku.

Bermondsey, pomyślał Paul. Wizyta osobista nieodzowna. Cóż, czemu nie? Wszystko, byle wyjść z biura.

Właśnie wychodził drzwiami frontowymi na ulicę, kiedy ktoś go zawołał.

– O nie – powiedział. – Tylko nie ty. Przecież masz dyżur, nie wolno ci opuszczać recepcji.

Mama pana Tannera wyszczerzyła się do niego radośnie. Dziś była brunetką o ogromnych oczach i najśłodszych różanych usteczkach, jakie można... Paul odwrócił się, czerwony jak autobus.

– To ty tak uważasz, kochanieńki – odparła. – Velma mnie zastąpi. Prawda, moja droga?

Paul zajrzał za jej plecy, do holu. Identyczna brunetka o sarnich oczach i różanych ustach machała do niego z recepcji.

– Liczy na to, że znów zjawi się ten miły młody kurier motocyklowy – wyjaśniła mama

pana Tannera. – Ma słabość do mężczyzn w kaskach. Widzisz, w porównaniu z nią jestem praktycznie normalna. Chodź. Dokąd idziemy?

– W porządku – syknął Paul. – Ale nigdzie z tobą nie pójdę, jeśli będziesz tak wyglądać.

Mama pana Tannera zerknęła w dół.

– Co, chodzi ci o te poziome paski? Każdy mówi, że mi w nich do twarzy, ale jeśli wolisz...

– Nie mówię o ubraniu – warknął Paul. – Doskonale wiesz...

– No dobrze, niech ci będzie. Jak chcesz, przebiorę się w coś niegustownego, banalnego i w ogóle ble. Tego sobie życzysz?

– Tak.

Obdarzyła go szerokim uśmiechem, po czym zmieniła się w idealną kopię Melze.

– Zadowolony?

Paul jęknął.

– Słuchaj, co ty z tego masz, że tak się na mnie wyżywasz? Nie możesz dla odmiany poznać się nad kimś innym?

Teraz patrzyła na niego z dołu łagodnymi błękitnymi oczami Melze.

– Tak mi się odwdzięczasz za to, że uratowałam cię z lochów? Urocze. Nie zaskakujące, ale urocze. – W kąciку jej oka zalśniła łza. Gdyby nie pojawiła się jak na zawołanie, Paul mógłby przysiąc, że była prawdziwa.

– Przepraszam – warknął. – Dobrze, niech ci będzie, wyglądaj, jak chcesz. I jestem ci wdzięczny, naprawdę. Po prostu chodzi o to, że czasem potrafisz być taka...

– Jaka?

Właśnie taka, pomyślał Paul. Byleby tylko przestała być Melze, bo to obrzydliwe, poza tym niech sobie robi, co jej się podoba. I niepotrzebnie mówiłem to o znęcaniu się.

– Nieważne – westchnął. – Chodźmy już, dobrze?

Mama pana Tannera uśmiechnęła się promiennie i na powrót zmieniła się w brunetkę o różanych ustach.

– Wiesz, jesteś trochę dziwny – powiedziała, kiedy pospiesznie ruszył ulicą; zauważył, że choć miał dużo dłuższe nogi, bez trudu dotrzymywała mu kroku. Był ciekaw, czy gdyby uważnie się przyjrzał, zobaczyłby, że jej stopy w ogóle nie dotykają ziemi. Jednak uważne przyglądanie się nie byłoby rozsądne. – Każdy normalny chłopak w twoim wieku piałby ze szczęścia, że ludzie widzą go z takim zjawiskiem jak ja.

– Takim zjawiskiem – powtórzył Paul. – To chyba wszystko wyjaśnia, nie sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Aha, ciebie kręcą ludzie – powiedziała. – Ja mam umysł otwarty: mnie też. No dobrze – dodała, kiedy przewrócił oczami – przestanę i będę grzeczna. Nie powiedziałaś, dokąd idziemy.

– Do Bermondsey – odparł Paul. – Mam tu napisane Blok 5, Skivers Walk, więc to pewnie fabryka albo...

– Magazyn. Świetnie. Lubię ich, są słodcy.

– Czyli wiesz, co tam jest?

Skinęła głową.

– Teraz jesteś zadowolony, że z tobą poszłam, co? Nie martw się, nie ma się czego bać, kiedy ja jestem z tobą.

Co ty powiesz, pomyślał Paul.

– Według rozkładu, jeśli złapiemy autobus 37A do...

Żartobliwie trzepnęła go w ramię. Był dumny, że udało mu się zdusić wrzask bólu.

– Żadnych autobusów, kiedy jesteś ze mną, głuptasie – powiedziała. – Nigdy nie jeżdżę autobusami. Zero prywatności. – Gwizdnęła i podniosła rękę. Od razu zjawiała się taksówka.

Paul nie był pewien, ale miał wrażenie, że kiedy wsiadał, na przednim siedzeniu mignęła para okrągłych czerwonych ślepi. Przesunął się w bok, żeby być jak najdalej od nóg mamy pana Tannera, które zdawały się zajmować całą wolną przestrzeń.

– Nie zimno ci w takim stroju? – spytał cierpkim tonem.

– Mnie? Gdzie tam. Zastanów się. Jestem porośnięta od stóp do głów gęstym czarnym futrem, tylko nie widać go pod przebraniem.

Paul ostentacyjnie wyjrzał przez szybę.

– Właśnie chciałem o to spytać... jak ty to robisz – dodał pośpiesznie, zanim mogła go opacznie zrozumieć. – Czy to ta magia skuteczna? Taka, jaką stosuje hrabina?

Zaśmiała się.

– Coś ty! To tylko dla Magicznego Ludu. My tego nie tolerujemy. Uważamy, że to nieetyczne.

– Nieetyczne? – Paul omal się nie zakrztusił. – Czy to nie śmieszne, że właśnie ty... ?

– Nie bądź złośliwy – przerwała mu mama pana Tannera. – Tak się składa, że mamy bogatą, wysoko rozwiniętą tradycję filozofii moralnej. Może ci się wydaje, że etyka to dla nas okrzyk wydawany po nakręceniu zegarka, co mówi więcej o tobie niż o nas. Ale to nic. Nie możesz tego wiedzieć, więc ci wybaczam. – Paul poczuł na kolanie dotyk czegoś, co niepokojąco przypominało dłoń, i poruszył się nerwowo. – A odpowiadając na twoje pytanie – ciągnęła – nie, nie stosujemy magii skutecznej. Kiedy zmieniamy kształty, to zmieniamy kształty, nie jest to tylko... jak to nazywa Judy? ... *trompe Tceil*. Gdybyś mnie teraz rozkroił nożem, przekonałbyś się, że jestem małpopochodna do szpiku kości. Tylko trochę bardziej kudłata niż norma przewiduje.

Paul nie zdawał sobie sprawy, że Bermondsey jest tak daleko od City, choć niewykluczone, że coś podobnego do magii skutecznej zakłócało jego percepcję czasu. W każdym razie ogromnie

mu ulżyło, kiedy taksówka wreszcie stanęła.

Na Skivers Walk powitały go brudne brązowe mury, zakurzone okna i odłóżąca farba; kiepski kamuflaż, pomyślał mimo woli. Jeśli chce się ukryć aktywność paranormalną we współczesnym Londynie, lepiej nadaje się do tego beton, stal i przydymione szkło. Może ci tutaj byli miłośnikami epoki wiktoriańskiej, a może po prostu ta dzielnica podobała im się taka, jaka była.

– To tu? – spytał.

Mama pana Tannera skinęła głową.

– Szukaj numeru piętego. To z boku, w takim krótkim niby-zaułku. Ciągłe im powtarzam, że to tak trąci Harrym Potterem, że aż wstyd, ale nie chcą słuchać. Uwierzysz, że mają na drzwiach tabliczkę „Żadnych gości”? Równie dobrze mogliby sobie zamontować migający zielony neon „Podejrzany budynek, zapraszamy”. Z drugiej strony nikt nigdy nie twierdził, że te kurduple są lotne.

Paul zapukał i czekał. Po jakimś czasie mama pana Tannera odepchnęła go na bok i zapukała, i czekali razem. Potem zapukali oboje, a mama pana Tannera wyjęła spod sukienki tomahawk ze szpicem i odrąbała dużą drzazgę z drzwi. I znów czekali.

– Nie przejmuj się – powiedziała mu – tacy już są. Nieśmiali. – Mocno kopnęła w drzwi bokiem buta, aż zadrżały.

– Mogłabyś to schować z łaski swojej? – mruknął Paul, patrząc na tomahawk w jej dłoni. – Zanim ktoś zauważy.

– Maruda. – Tomahawk zniknął spomiędzy jej palców. – Mógłbyś tu zdetonować bombę i nikt by nic nie zauważył. Urok, proszę ciebie. Pewnie dzięki niemu ten kretyński wystrój uchodzi im na sucho.

Zaczęła wściekle walić w drzwi pięściami, po czym odchyliła głowę do tyłu i zawyla jak wilk. Po dziesięciu sekundach drzwi się uchylily, ale pozostały zamknięte na łańcuch.

– A, to ty – powiedział głos.

Mama pana Tannera spojrzała groźnie na szczelinę między drzwiami a futryną.

– Wpuść nas, ośle, bo przedstawię cię mojemu obecnemu tu przyjacielowi. Chcesz tego?

Drzwi otworzyły się na oścież, jakby wypchnięte siłą wybuchu.

– Wchodźcie – warknął głos. – I proszę, nie strasz mnie więcej. Wiesz, że źle to znoszę.

Paul szybko wszedł do środka, zanim głos mógł zmienić zdanie. Wnętrze budynku wyglądało mgliście znajomo, choć wiedział na pewno, że nigdy tu nie był. Po chwili zrozumiał, skąd to wrażenie. Było tu dokładnie tak jak w owych magazynach, które z lubością wykorzystywano w serialach kryminalnych z lat siedemdziesiątych jako miejsca strzelanin między dzielnymi policjantami a niecnymi zamaskowanymi oprychami. Wszystko się tu znalazło, od

płatów białej pleśni na nagich murach po zardzewiałe łańcuchy zwisające z rozchwierutanych pomostów pod sufitem. I dlatego oczywiście wyglądało to zupełnie nieprzekonująco.

– Ciii – ostrzegł otwierający drzwi. – Wszyscy śpią.

Był niski, w średnim wieku, w okularach, łysiejący na czubku głowy, ubrany w brązowy fartuch magazyniera z długopisami w kieszeni na piersi. Jedynym jako tako wiarygodnym elementem jego wyglądu była mina wyrażająca strach i wstręt.

– Przepraszam – zaczął Paul – jestem z J. W. Wells. Przyszedłem spytać, czy nie zechciałby pan nam pomóc w pewnej sprawie...

Mężczyzna patrzył na niego przez centymetrowej grubości szkła.

– Czyli nie chcesz nic kupić.

– Nie. Przykro mi.

Z twarzy mężczyzny wyraźnie zeszło napięcie.

– To dobrze, choć mogłeś tak od razu powiedzieć. Już się bałem.

Paul chwilę pomyślał.

– Nie chce pan, żeby ludzie u pana kupowali?

Mężczyzna się wzdrygnął. Nad jego ramieniem, w rozległym, mrocznym wnętrzu magazynu, Paul widział niezliczone rzędy drewnianych skrzyń ułożonych po dwanaście jedna na drugiej.

– A żebyś wiedział – powiedział mężczyzna.

– Aha. W takim razie po co... ?

– Dranie – wciął się mężczyzna z furją. – Przyłążą bez pytania, dobijają się, nie chcą sobie pójść, a potem jeszcze kupować by chcieli. W dodatku dzwonią – dodał z goryczą – i przysyłają faksy. Gdyby to ode mnie zależało, wszystkich bym powywieszał.

Jak na zawołanie, gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Mężczyzna obrócił się na pięcie, wrzasnął na całe gardło: „Zamknij się!”, i nerwowo wytarł ręce w fartuch.

– Czasem dzwoni i dzwoni bez końca – powiedział – całymi minutami, normalnie. Jakby nie mieli, kurczę, nic lepszego do roboty. – Otrząsnął się jak pies i odszedł żwawym krokiem. – No chodźcie, jak chcecie. Tylko cicho, na litość boską. Nie będą zadowoleni, jeśli ich obudzicie.

Dziesięciocentymetrowe szpilki mamy pana Tannera hałasowały jak Fred i Ginger trenujący na rozkołysanym żelaznym moście, ale to Paul został uciszony, kiedy potknął się o tekturowe pudło na podłodze.

– Kim są ci „oni”? – syknął do mamy pana Tannera, kiedy mężczyzna otworzył jakieś drzwi i wszedł do środka.

– To znaczy, że ty... ? Myślałam, że Judy ci powiedziała.

– Nie, nic a nic. Kim są... ?

– Ciii.

– Już ty nie zaczynaj.

W pomieszczeniu, do którego ich zaprowadzono, było ciemno, dość ciemno, by obudzić w Paulu bolesne wspomnienia. Na szczęście mężczyzna włączył światło.

– Tu powinno być dobrze – powiedział. – To biuro, nikt tu nie przychodzi.

Paul mógł zrozumieć dlaczego. Gdzieś pod tymi wszystkimi papierami pewnie było biurko; nie byłby zaskoczony, gdyby zalegały tam też złoża węgla kamiennego. Podłoga ginęła pod warstwą starych kopert, zmiętych gazet i starych brązowych papierowych toreb upstrzonych mysimi bobkami. Było też krzesło, na którym nikt nie chciałby usiąść bez względu na okoliczności.

– Na pewno nie chcesz nic kupić? – zapytał mężczyzna.

– Na sto procent – odparł Paul z mocą.

Mężczyzna zerknął na niego, zasepił się i postanowił uwierzyć mu na słowo.

– Musiałem się upewnić – wyjaśnił. – Parę tygodni temu przyszło takich czterech. Jeden z nich – dodał i przeszył go dreszcz, który zaczął się w palcach u nóg – pytał o katalog. Dobrze, że wtedy ja miałem dyżur... mnie to tak bardzo nie rusza. A w ogóle to co ona tu robi?

– Przyszłam dla towarzystwa – powiedziała mama pana Tannera.

Mężczyzna wybełkotał coś i uciekł z oczami. Paul odetchnął głęboko.

– Rzecz w tym – zaczął – że dwoje... nie, troje naszych ludzi jest tak jakby uwięzionych w lochu. – Mężczyzna skinął głową; jego nastawienie zmieniło się z chwilą, gdy Paul użył słów „uwięzionych” i „w lochu”, jakby okropny dziwny przerywnik dobiegł końca i wrócili do prawdziwego świata. – Podobno ma to coś wspólnego z Magicznym Ludem...

Mężczyzna spochmurniał, jakby Paul go w jakiś sposób obraził.

– Ach tak?

– Tak mi powiedziano. Ciotka Grendela, jeśli coś to panu...

– Ach tak. – Teraz znów był nieurażony, rzeczowy, współczujący. – I chcesz ich stamtąd wyciągnąć.

– No... tak. To znaczy, jeśli to nie będzie kłopot.

– Oczywiście, że nie. – Mężczyzna wyjął z kieszeni na piersi długopis i ściągnął zębami skuwkę. Jednocześnie drugą ręką sięgnął po kartkę. – Proszę dalej.

– Tak naprawdę to wszystko, co wiem. Przez jakiś czas byłem tam z nimi, ale nie zdążyłem się rozejrzeć ani nic takiego.

Mężczyzna poderwał głowę.

– Byłeś w lochu i uciekłeś?

– Ja go wyciągnęłam – wtrąciła mama pana Tannera.

– Aha. – Mężczyzna jakby stracił zainteresowanie. – Cóż, zobaczymy, co się da zrobić.

Proszę o szczegóły.

Paul skinął głową.

– Może najlepiej będzie, jak na początek podam parę nazwisk...

Mężczyzna skrzywił się, jakby Paul go oparzył.

– Cholerny świat! – warknął na mamę pana Tannera. – Nie powiedziałaś mu? Było to zrobić, zanim go tu przyprowadziłaś.

Przybrała skruszoną minę.

– Przepraszam. Jak się rozgada, trudno go uciszyć. Żadnych nazwisk – zwróciła się do Paula tonem srogiej nauczycielki. – Nie lubią ich, tak nie wolno i już. Może lepiej zostaw to mnie.

Paul ją zignorował.

– Chwileczkę! Dlaczego nie wolno podawać nazwisk?

– Alergia – wymamrotał mężczyzna. – Ucisz go, co? Na litość...

– Czy ostatnio groził mi pan śmiercią?

– Czy groziłem? – Mężczyzna patrzył na niego tępo. – Za kogo ty mnie masz?

– Niech pan odpowie na pytanie.

– Zarzucasz mi coś czy jak?

Paul wypuścił powietrze nosem.

– Niech pan odpowie na pytanie – powtórzył. – Zdaniem oznajmującym – dodał. – Proszę.

Mężczyzna zerknął niespokojnie na mamę pana Tannera.

– Nie – powiedział wreszcie. – Zadowolony?

Wcale, pomyślał Paul, ale zastraszanie innych nie było w jego stylu na tej samej zasadzie, na jakiej małe myszki rzadko kładą na łopatki dorosłe słonie.

– Przepraszam – wymamrotał. – Tylko że niedawno rozmawiałem z kimś, kto też coś wspominał o alergii na imiona. Stąd moja ciekawość.

Mężczyzna otworzył usta, ale mama pana Tannera go uprzedziła.

– Nieważne – rzekła stanowczo. – Zaufaj mi, dobrze? To nic takiego.

To było niepokojące, delikatnie mówiąc, bo Paul uświadomił sobie, że we wszystkich sprawach niezwiązanych ze sferą uczuciową i zdejmowaniem ubrań rzeczywiście jej ufa. Nie miał pojęcia dlaczego.

– Dobrze – powiedział. – W takim razie co pan chce wiedzieć?

Mężczyzna wciąż lekko drżał, ale mówił w miarę składnie.

– Twierdzisz, że są trzy osoby, które trzeba uwolnić z lochów. To ludzie?

– Oczywiście... – Paul się zastanowił. – No, nie całkiem – przyznał. – Jedna z nich jest krasnoludem, a druga samochodem. To znaczy teraz, kiedyś była człowiekiem.

Mężczyzny wcale to nie zdziwiło.

– W porządku. – Robił notatki na odwrocie koperty. – Jeden człowiek, jeden krasnolud, jeden... – Podniósł głowę i nagle uśmiechnął się szeroko. – Jeden samochód po przeróbkach. Jak długo tam siedzą, wiesz może?

Paul zerknął na zegarek i wyliczył czas z dokładnością do półgodziny.

– Bóg jeden wie, w jakim stanie są teraz – dodał. – Ja spędziłem tam raptem kilka minut i mało nie zwariowałem.

– Nie martw się – powiedział mężczyzna z nieudawanym współczuciem. – Nie ty pierwszy, nie ostatni. Zobaczmy, co się da zrobić w sprawie twoich przyjaciół. Zaznaczam, że niczego nie obiecuję, ale spróbujemy coś wykombinować.

Paul skinął głową. Nie poczuł się pewniej ani lepiej, ale przynajmniej coś zostało zrobione. Albo miało wkrótce zostać zrobione. Albo mogło zostać zrobione w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– Coś jeszcze? – spytał. Nagle zapragnął znaleźć się z powrotem w swoim przytulnym, bezpiecznym gabinecie.

– Mogę zaparzyć herbatę – zaproponował mężczyzna, ale mama pana Tannera łypnęła na niego groźnie. – Próbuję być uprzejmy – burknął – to wszystko.

– Lepiej już wracajmy – rzucił Paul i skinął głową na mamę pana Tannera. – Twoja koleżanka pewnie nie chce cały dzień siedzieć w recepcji.

– Nie koleżanka, tylko cioteczna babka, i owszem, chce. Są dni, kiedy trzeba ją stamtąd łomem wyciągać.

Wyszli na palcach tą samą drogą, którą weszli. Mężczyzna wsadził głowę w drzwi i rozejrzał się na boki, zanim wpuścił ich do głównego pomieszczenia magazynu.

– Będziemy w kontakcie – powiedział, wyganijając ich na ulicę.

– Tylko proszę, nie dzwońcie. – Potem mocno zatrzasnął drzwi i przez jakieś pół minuty stali wsłuchani w odgłos zasuwanego rygli i zgrzyt zamków.

– Właściwie są w porządku, jak się ich lepiej pozna – stwierdziła mama pana Tannera, zatrzymując taksówkę. – Jeśli nauczysz się radzić sobie z nami, to oni są niewiele gorsi.

Dopiero kiedy taksówka ruszyła, a Paul przesunął się w bok, poza zasięg błąkającej się niedbale dłoni, przypomniało mu się coś, co zobaczył kątem oka, oparte o ścianę magazynu. Rozklekotany, sfatygowany, zakurzony, stary rower marki Raleigh.

*

Kiedy wrócił do domu, na wycieraczkę czekał na niego list. Jasne, dostawał listy. Kilka spółek użyteczności publicznej i urzędów państwowych pisało do niego co najmniej cztery razy w roku, a bank był wręcz żalosny w swoim zapale do podtrzymywania z nim kontaktu. Za to listy od ludzi, o, to już była rzadkość. Ten rzucał się w oczy dzięki amerykańskiemu znaczkowi i charakterowi pisma, jakim sporządzony był adres.

Kochany Paulu, tak się zaczynał.

Pogodę mamy piękną i dobrze się z ojcem bawimy. Sąsiedzi są mili, w okolicy jest kilka dobrych sklepów. Kupiliśmy dużą przyczepę mieszkalną, żeby jesienią zrobić sobie wycieczkę. Jednak nadal mam kłopoty ze stopami. Przykro mi Cię o tym powiadamiać, ale w zeszłym tygodniu umarł Twój wujek Emie. Zapewne nawet go nie pamiętasz, kiedy ostatnim razem nas odwiedził, byłeś jeszcze mały. Pogrzeb odbędzie się w Irlandii. Pewnie w pracy nie dadzą Ci wolnego, żebyś tam pojechał.

Prawnicy wujka napisali do nas, że mają w kancelarii pudło z jego rzeczami. My z tatą praktycznie nic z tego nie chcemy, więc jeśli je odbierzesz, możesz sobie wziąć wszystko, co Ci się przyda, proszę Cię bardzo. Kancelaria jest niedaleko Twojego miejsca pracy, na Grays Inn Road. Możesz zajrzeć tam w przerwie na lunch. Załączam ich wizytówkę, tata napisał na jej odwrocie, że możesz sobie to pudło wziąć.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze.

Mama

Paul wziął wizytówkę. Z jednej strony nazwa kancelarii, Swindall, Frettenham & Shark, z drugiej kulfony ojca: *Paul Carpenter to mój syn, może sobie wziąć graty Erniego, bo ja ich nie chcę. D. Carpenter.*

Chryste, pomyślał.

Stwierdził, że pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się coś odziedziczyć, a ponieważ wujek Ernie liczył się dla niego tylko z uwagi na cień szansy, że mógł być Ernestem Carpenterem, współautorem jednego z rozdziałów regulaminu organizacji pracy w biurze, jego śmierć nie była wydarzeniem szczególnie wstrząsającym. Co innego fakt, że otrzymał ten niespodziewany dar właśnie teraz – to już było tak najeżone możliwymi podtekstami jak stado tulących się do siebie jeżozwierzy. Ale przecież jego rodzice nie mogli być w żaden sposób związani z JWW, prawda? I nie okłamałoby go ani nic takiego.

Nie, stwierdził Paul, mógł być prawie pewien, że w normalnych okolicznościach nigdy by tego nie zrobili. Bo żeby kłamać, trzeba się najpierw komunikować. Chwilę pomyślał. Raz już dostał list od rodziców – razem z notką dla banku wstrzymującą mu kieszonkowe z chwilą, kiedy dostał pracę. Był w miarę uprzejmy, ale przy tym lakoniczny, wręcz oschły, bez osobistych wynurzeń, w jakie obfitował ten, który przyszedł dzisiaj. Paul nie mógł też nie zauważyć, że styl

pisania jego mamy dość mocno się zmienił. Niektóre zwroty w ogóle do niej nie pasowały. Próbował dokładnie przeanalizować, na czym polegają różnice, ale jedyną, którą mógł wskazać od ręki, była ta, że w latach jego dzieciństwa prawie wszystkie jej zdania zaczynały się od „nie wolno”. To, przyznał, mogło wynikać z kontekstu. Schował wizytówkę do portfela i zostawił list na półce w przedpokoju, prawie w całości zasłonięty książką z biblioteki, ale z wystającym jednym rogiem.

*

Kobieta, która przyszła po Paula do poczekalni, przedstawiła się nazwiskiem Leary. Była inteligentna, energiczna i względnie przyjazna, co stanowiło przyjemną odmianę po całym poranku spędzonym na przestawianiu kolejnych szafek Christine.

– Muszę wyznać, że nigdy nie poznałam pańskiego... wujka, dobrze pamiętam? – powiedziała przez ramię, kiedy Paul szedł za nią przez sawannę puszystego beżowego dywanu z monogramem.

– Stryjecznego dziadka – uściślił. – Chyba. Rodzice mówili o nim dość niejasno. Każdy był wujkiem albo ciocią, rozumie pani. Tak czy inaczej nie byliśmy sobie bliscy ani nic takiego.

Pani Leary zaprowadziła go do małego pokoju z prostym biurkiem i ścianą obwieszoną rycinami przedstawiającymi Największych Sędziów Dziewiętnastego Wieku; wyglądały, jakby trafiły tam, bo nie dało się ich wyrzucić nigdzie indziej. Pudło z rzeczami wujka Erniego leżało na biurku. Dawno, dawno temu zawierało puszkowane południowoafrykańskie brzoskwinie.

– To wszystko – stwierdziła pani Leary. – A to rachunek za nasze usługi – dodała i wręczyła mu budzącą lęk kopertę. – Na razie niech pan sobie tym nie zawraca głowy, możemy to uregulować w przyszłym tygodniu.

Paul spojrział na pudełko.

– Byliście państwo prawnikami wujka Erniego. Może mi pani coś o nim powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo, przykro mi. Byliśmy wykonawcami testamentu i prawdę mówiąc, zostało tylko dość pieniędzy, by pokryć koszty pogrzebu i nasze wydatki. Dom opieki pozbył się ubrań i wszystkich drobiazgów poza tymi. To zdjęcia i różne pamiątki... woleli nie wyrzucać ich bez pytania.

Paul się zawahał. Z niewiadomego powodu nie miał ochoty przeglądać zawartości pudła w domu czy nawet w biurze.

– Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebym posiedział tu kilka minut i obejrzał te rzeczy? – spytał. – Jeśli to państwu nie przeszkadza?

Pani Leary się uśmiechnęła.

– Proszę bardzo. Jeśli pan pozwoli, zostawię pana samego. Jestem w pokoju obok, więc kiedy pan skończy, wystarczy zapukać i zaprowadzę pana do recepcji. Niestety, nasze biuro trochę przypomina labirynt.

W porównaniu z budynkiem przy St Mary Axe 70 to była droga rzymska przez pustynię, ale Paul podziękował i pani Leary poszła. Usiadł, zebrał się w sobie i zajrzał do pudełka.

Ktoś zadał sobie trud, by napisać na maszynie listę, i karta biblioteczna i odznaka harcerza wodniaka i pióro i zegarek (zepsuty) i śrubokręt i opakowanie kolorowej kredy 3 albumy ze zdjęciami

Wszystko się zgadzało, trzeba im to przyznać. Otworzył opakowanie kredy, zamknął je i schował z powrotem; potrząsnął zegarkiem, tak na wszelki wypadek; wypróbował pióro – nie pisało; przewertował dwa albumy, które okazały się pełne czarno-białych fotografii nieznanymi mu ludzi. Potem otworzył kopertę i dowiedział się, że wisi kancelarii Swindall, Frettenham & Shark sto funtów plus VAT. Taki to był dzień.

– Już? – zaświergotała pani Leary, kiedy poprosił, żeby go wypuściła. – Znalazł pan coś ciekawego?

Paul uśmiechnął się kwaśno i dał jej czek. Bardzo uprzejmie podziękowała i kiedy wychodził, przytrzymała mu drzwi, bo ręce miał zajęte tekturowym pudłem. Padało, a on oczywiście nie wziął płaszcza.

– Jest tam coś dla mnie? – zaszczębiotała mama pana Tannera, kiedy włókł się przez recepcję. Zatrzymał się i uśmiechnął do niej.

– Jasne. Masz wybór. Co wolisz, kolorową kredę czy śrubokręt?

Jej twarz się wygładziła; charakterystyczny złośliwy uśmiezek zniknął bez śladu.

– Pokaż.

– Nie wygłupiaj się. Tylko żartowałem. To jakieś graty po wujku, którego nawet nie widziałem, odkąd...

– Pokaż – powtórzyła tak srogim i władczym tonem, że Paul przez chwilę współczuł panu Tannerowi jego dzieciństwa. – Może nie jestem najpotężniejszą runą w zakłęciu, ale węch mam, a to pudło śmierdzi.

Minęła sekunda, zanim załapał.

– Aha, potrafisz wyczuć magię i takie tam.

Mama pana Tannera westchnęła ze zniecierpliwieniem, po czym na chwilę zamarła jak obrócona w kamień. Paul już miał wpaść w panikę i zacząć wzywać pomocy, kiedy eksplodowała

kichnięciem, od którego zatrzesły się szyby. Najwyraźniej i jej nie ominął katar biurowy.

– Można i tak to ująć. Cały dzień mogłabym to tłumaczyć, a i tak byś tego nie ogarnął, czułbyś się jak krasnolud, któremu każą skakać wzwyż. Pokaż to.

Wzruszył ramionami i postawił pudło na biurku.

– Jeśli o mnie chodzi, wszystko możesz sobie wziąć. Po pierwsze, wybuliłem za to sto funtów, których nie mam... – Urwał, kiedy mama pana Tannera pisnęła z bólu. Odznaka harcerza wodniaka stuknęła o biurko. – Co się stało?

– To – odparła, ssąc palce. – Cholerstwo. Mało nie zrobiło mi krzywdy.

– Ukląłś się w palec?

Zmroziła go spojrzeniem i pokazała mu swoją dłoń. Skóra na opuszkach kciuka i palca wskazującego dosłownie się stopiła i już zaczynały rosnać bąble.

– Tarcza. Czym zajmował się ten twój wstrętny wujek?

– Nie mam pojęcia. Cóż...

– Ta tarcza – ciągnęła mama pana Tannera – to wyjątkowo paskudny, bardzo rzadki i drogi element specjalistycznego rynsztunku. Co więcej – dodała, popychając ją ku niemu czubkiem ołówka przez biurko – prawie na pewno jest nielegalna, a przynajmniej powinna być, do jasnej cholery. – Urwała, znów kichnęła. – Chroni ludzi przed siłami ciemności. – Spojrzała na niego bykiem. – Czyli między innymi przede mną.

Paul poczuł, że czerwienieją mu policzki.

– Strasznie cię przepraszam. Pojęcia nie miałem...

– Teraz już masz. Zabierz to, dobrze? Od samego patrzenia dostaję migreny.

Ostrożnie podniósł odznakę, ale nie poczuł nic niezwykłego. Wrzucił ją do kieszeni i opuścił klapkę.

– To ją wyczułaś, prawda?

Mama pana Tannera stęknęła.

– Pamiętam, jak mi kiedyś mówiłaś, że twoja rodzina to banda drani. Powinnam cię była posłuchać. Zobaczmy, co jeszcze tam masz, zanim niechcący zabijesz całe biuro.

– Jasne – powiedział Paul. – Słuchaj, może wolisz, żebym ja ci wszystko pokazywał? Bo może jest tam jeszcze coś niebezpiecznego?

Skinęła głową i wyjął opakowanie kredy. Mama pana Tannera otworzyła szeroko oczy, po czym wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– A niech mnie! Dawno tego nie widziałam.

– Czego?

Pokręciła głową. Pewnie nadal była zła o tę odznakę.

– Schowaj to w bezpieczne miejsce i zapomnij o tym – powiedziała. – Te kawałki kredy

kiedyś ci się przydadzą, ale lepiej się nimi nie baw. Coś jeszcze?

Faul pokazał jej pióro, zepsuty zegarek i śrubokręt. Tym razem mama pana Tannera gwizdnęła cicho.

– I cały ten szajs należał do twojego wujka?

– Stryjecznego dziadka. Chyba. Szczerze mówiąc, tak naprawdę nigdy go nie znałem.

– To się ciesz. – Mama pana Tannera wytarła nos chusteczką. – No dobrze, dam ci parę podpowiedzi. Ten zegarek... pewnie zauważyłeś, że nie chodzi.

– Fakt. Przynajmniej tak zakładam. Próbowałem go nakręcić...

Otworzyła szeroko oczy.

– Chyba nie przestawiałeś wskazówek?

– Nie. A dlaczego?

Uśmiechnęła się.

– To następny przeokropny gadżet. Nie chodzi, bo ma nie chodzić. Wprost przeciwnie. Jeśli wyciągniesz to małe pokrętło, przestawisz wskazówki, a potem nakręcisz go, aż zacznie cykać, to zatrzymasz czas. Okropne toto i aspołeczne. Wyobraź sobie: wyrzucasz go, ktoś go znajduje i próbuje sprawdzić, czy chodzi...

Paul się wzdrygnął.

– Co sugerujesz?

– Skarbiec – odparła. – W zaplombowanej skrzyni z napisem „nie dotykać”. Jeśli wolisz, ja go schowam.

– Dzięki – powiedział Paul z przekonaniem. – To już wszystko?

Mama pana Tannera potrząsnęła głową.

– Pióro i śrubokręt nie są takie groźne, ale też nie należy zostawiać ich na wierzchu. Lepiej od razu schowam wszystko. Te kawałki kredy też – dodała, może odrobinę zbyt pospiesznie. – Dobrze?

– Oczywiście. Naprawdę nie miałem najmniejszego pojęcia. Jak twoja ręka?

– Boli. Czekać no, co tam masz na dnie? Książki?

– Albumy ze zdjęciami. Może rzucisz na nie okiem? No wiesz, na wszelki wypadek.

Zawahała się.

– No dobra, niech będzie – mruknęła. – Dawaj je tu, po jednym.

Paul położył je na biurku. Przewracała kartki ołówkiem.

– I jak? – spytał Paul.

– Nic, mnóstwo nudnych zdjęć brzydkich ludzi. Pewnie to twoja rodzina. – Opuściła głowę i powąchała. – Niczego nie wyczuwam, więc sądzę, że są bezpieczne. Skąd to wszystko masz?

– Przecież ci powiedziałem, dostałem w spadku. To znaczy nie ja, tylko moi rodzice, ale

oni tego nie chcieli.

Patrzyła na niego bardzo dziwnie.

– Czyli ten twój wujek umarł.

– Podobno. To znaczy, nie widziałem ciała ani nic... – Miało to zabrzmieć sarkastycznie, ale jej mina go wystraszyła. – Co? Uważasz, że coś jest nie tak.

Po jej oczach znać było, że rozgorzał w niej wewnętrzny spór. Paul nie mógł stwierdzić, która strona wygrała, w każdym razie mama pana Tannera zniżyła głos i lekko wychyliła się do przodu.

– Dam ci dobrą radę. Żeby nie wiadomo co, nie pozwól, by hrabina Judy się o tym dowiedziała.

– Dlaczego?

Oczy jej rozblęły.

– Bo ja tak mówię. No dobrze, bierz te albumy, ja zajmę się resztą. Idź już – dodała, zanim mógł cokolwiek powiedzieć. – Spływaj. A sio!

To też było dziwne – normalnie Paul musiał się niełicho napocić, żeby od niej uciec. Mimo to nie narzekał. Raz jeszcze jej podziękował i wrócił do swojego gabinetu. Na biurku leżała notka napisana wysokim, pochyłym charakterem pisma hrabiny Judy. Rzucił albumy na półkę i podniósł kartkę.

14. 30 u mnie. J. di C. – B.

– Jak pech, to pech – mruknął pod nosem i spojrzął na zegarek. Miał dziesięć minut do zabicia, nic do roboty i tak na gorąco nie był pewien, jaki właściwie jest dzień. Wyjął z kieszeni odznakę harcerza wodniaka. Zamierzał schować ją do biurka razem z wypisanymi długopisami i papierkami po miętusach. Leżała na jego dłoni nieszkodliwa jak spinacz.

Wujek Ernie, pomyślał. Moja spuścizna.

Ot, durna odznaka... a jednak coś nie pozwalało mu ani trzymać jej w ręku, ani jej odłożyć. Pod wpływem impulsu płynącego z tej części mózgu, z której rzadko korzystał, wpiął odznakę w podszewkę marynarki. A potem musiał iść na spotkanie.

Hrabina Judy wydawała się starsza i chudsza niż rano, jakby miała za dużo spraw na głowie, by tracić czas na zadbanie o wygląd. Kiedy wszedł, unikała jego spojrzenia, co było bardzo niezwykle. Jeszcze nigdy nie widział jej wyglądającej tak prawdziwie.

– Z pewnością ucieszy pana wieść – powiedziała – że negocjacje zakończyły się powodzeniem.

To pewnie dlatego, że głowę wciąż zalewały mu myśli o kolorowej kredzie i utracie stu funtów, minęła chwila, zanim Paul skojarzył, o co jej chodzi.

– To fantastycznie – rzekł.

– Są pewne aspekty tej sprawy, których pan nie zna – tłumaczyła niejasno. – Mogę pana zapewnić, że negocjacje były długie, zawile i kosztowały naszą firmę duże pieniądze. Najważniejsze jednak, że pan Wurmtofer i pan Shumway, a także pański samochód, są wolni. Pański wkład w to... – Podniosła na niego oczy, po czym szybko odwróciła wzrok. – Ma pan u mnie dług wdzięczności, panie Carpenter – powiedziała chłodno. – Dziękuję.

Tego Paul się nie spodziewał.

– Poza tym... – Hrabina podała mu prostokątny świstek. – Zwrot poniesionych przez pana kosztów.

Wziął świstek. Czek na sto funtów.

– Dziękuję. – Po namyśle dodał: – Dlaczego?

Praktycznie się wierciła.

– Oj, panie Carpenter, wie pan, co się mówi o darowanych koniach. Chce pan te pieniądze czy nie?

Jeszcze raz spojrział na czek – wystawiony na normalny bank, nie Bank Umarłych. Sto funtów.

– Ależ nie musi pani – rzekł powoli. – Za co to?

– Przecież mówiłam – warknęła. – Tyle musiał pan zapłacić, żeby odebrać to pudło z kancelarii. A może nagle odziedziczył pan wielkie pieniądze i sto funtów to dla pana tyle, co splunąć?

Podpis był zwykłym gryzmołem. Szkoda. Paul był ciekaw, kto z zarządu go złożył.

– Ale to moje rzeczy – powiedział cicho. – Firma nie musi płacić za to, że odbieram coś, co należy do mnie. To bardzo miło z pani strony i w ogóle, ale nie mogę tego przyjąć.

– Na litość boską... – Mina hrabiny Judy była przerażająca. – Niech pan bierze ten przeklęty czek i się stąd wynosi.

Paul potrząsnął głową i położył czek na biurku.

– Nie. Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Naprawdę.

Przez chwilę myślał, że hrabina go uderzy. Wstała, ale potem jakby ktoś niewidzialny pchnął ją z powrotem na krzesło.

– Dobrze więc – powiedziała lodowatym tonem. – Pańska sprawa. Gdzieżbym mogła prawić panu kazania o wdzięczności. Zakładam, że teraz, kiedy ma pan własny majątek, zaplanowana na koniec miesiąca podwyżka pańskiej pensji staje się bezprzedmiotowa. A teraz proszę wybaczyć, ale mam dużo pracy.

Spojrzała na papiery rozłożone na biurku. Paul czuł, że usiłowała zmusić go siłą woli, by wyszedł; czuł też, że zupełnie jej się to nie udawało. Nie mógł znaleźć do powiedzenia nic, co nie pogorszyłoby sytuacji. Wreszcie ruszył do drzwi.

– Aha, panie Carpenter. – Zatrzymał się, ale nie obejrzał. – Jeśli nie ma pan nic innego do roboty, zawsze są mortenseny. Dawno pan się nimi nie zajmował, więc pewnie powstały spore zaległości. Julie je panu przyniesie, jeśli pan poprosi.

Dlaczego właściwie to tak okropnie Paula rozzłościło, nie był pewien, ale tak właśnie się stało. Powoli odwrócił się twarzą do niej.

– Jasne. Nie omieszka. Ale to niesprawiedliwe, że nie daje mi pani podwyżki. – Zdawał sobie sprawę, jak niedorzecznie to zabrzmiało; w końcu był beznadziejny w swoim fachu, więc sprawiedliwość nie miała tu nic do rzeczy. Czekał, aż hrabina zwróci mu na to uwagę, ale milczała. – Tylko dlatego, że nie chciałem pani czekać. To wszystko.

Oczy hrabiny Judy nabrały wyrazu, którego nie potrafił zidentyfikować. W każdym razie jakby już mniej się bała na niego patrzeć.

– Być może pańska pryncypialność przynosi panu chlubę, panie Carpenter. Jednakowoż ten pokaz niezłomności charakteru wypadłby w moich oczach nieco bardziej przekonująco, gdybym nie wiedziała, że rzeczywiście ostatnio się pan wzbogacił. A to, ma się rozumieć, wiele zmienia.

Że jak? – pomyślał Paul.

– Przepraszam, nie bardzo...

– Oj, niech pan nie udaje – ciągnęła... chytrze, o właśnie: wyglądała chytrze. – Od niedawna... dorabia pan sobie na boku, tak to nazwijmy, i dlatego nie potrzebuje pan pieniędzy. To właśnie kryło się za przedstawieniem, które urządził pan przed chwilą. Musi pan mieć bardzo niskie mniemanie o naszej inteligencji, panie Carpenter.

– Naprawdę nie mam najmniejszego...

– Doprawdy? Polecono panu usunąć wiwerne na zlecenie klienta. Jak mi wiadomo, potwora pan unicestwił, ale w dokumentach nie ma ani słowa o tym, że zdał pan jego trzecie oko. Czy po prostu wyleciało to panu z głowy, panie Carpenter? A może nie wiedział pan, ile jest warte? Ale przecież musiał pan zdawać sobie z tego sprawę, bo inaczej po co taki delikatniś jak pan miałby zadać sobie trud, by je wydłubać? Jest oczywiste, że stąd wziął się pański nowo zdobyty majątek i muszę stwierdzić, że nie takiej postawy oczekujemy od naszych pracowników. Sprawił mi pan zawód. Jednak w świetle pańskiego wkładu w uwolnienie pana Wurmtotera gotowi jesteśmy tym razem przymknąć na to oko. Radzę jednak, by na przyszłość nie okazywał nam pan pogardy, wymachując nam przed nosem naszymi własnymi pieniędzmi. To brak taktu, panie Carpenter. Powinien pan być mądrzejszy.

Może to i lepiej, że Paulowi wyłączyło fonię. Zamiast cokolwiek odpowiedzieć, wyciągnął pudełko po zapalkach, w którym trzymał kamień (gest ten pewnie wypadłby bardziej imponująco, gdyby wcześniej nie musiał wywrócić do góry dnem obu kieszeni marynarki), i rzucił je na biurko. Judy di Castel' Bianco błyskawicznie nakryła pudełko dłonią.

– Tak już lepiej – powiedziała cicho. – A teraz wydruki z mortensenów.

– Co?

– Wydruki z mortensenów – powtórzyła. – Niech pan się nimi zajmie z łaski swojej.

Paul nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, skinął tylko głową i wyszedł. Zaczął drzeć dopiero w połowie drogi do swojego gabinetu, który i tak był w przeciwnym kierunku niż gabinet Julie.

Krówsko, pomyślał. Okropne, podłe, mające całkowitą rację krówsko. Nie żebym w ogóle to cholerstwo chciał mieć, ale żeby zaliczyć taką wpadkę... Wziął się w garść. Stwierdził, że nie on pierwszy poznał okrutną prawdę, że nasi wrogowie nigdy nie są bardziej podli niż wtedy, kiedy mają słuszość.

W tym właśnie cała rzecz. Niejasne podejrzenie, które tak długo w sobie nosił, wreszcie wsunęło się do właściwej przegródki i teraz już wiedział: hrabina Judy była, w taki czy inny sposób, wrogiem. Nagle przypomniał sobie o wpiętej w podszewkę odznace harcerza wodniaka. To dlatego... cóż, praktycznie się go bała. Siły ciemności i tak dalej. Był ciekaw, czy odznaka poparzyłaby ją jak mamę pana Tannera. Różnica polegała na tym, że mama pana Tannera, przy wszystkich jej wadach, nie była wrogiem.

Wydruki już czekały. Całe sterty przewiązane czerwoną tasiemką.

– To powinno cię na jakiś czas zająć – powiedziała Julie, kiedy dźwignął ciężar i ruszył chwiejnym krokiem do drzwi. – Jak skończysz te, przyniosę następne.

Popołudnie spędzone na układaniu wydruków w porządku chronologicznym okazało się właśnie tym, czego Paulowi było trzeba – bezmyślną, monotonną robotą, która dała zajęcie jego rąkom i bezużytecznym obszarom mózgu, podczas gdy reszta jego umysłu niespiesznie przetrawiała ostatnie wydarzenia. Kiedy wreszcie nadeszła pora fajrantu i wyruszył do swojego mieszkania, stwierdził, że podjął decyzję (i to bez najmniejszego wysiłku).

Uwierzył hrabinie Judy, kiedy powiedziała, że więźniowie wracają do domu. W porządku. Nie wiedzieć czemu – pewnie przez swoją głupotę – doszedł do wniosku, że w jakimś stopniu jest za nich odpowiedzialny. Jednak to już było i minęło, więc cokolwiek jeszcze się działo wokół niego – wojny domowe w łonie Magicznego Ludu, niejasne groźby rowerów z kompleksem Mojżesza, dziwaczne i potężne magiczne przedmioty, które szczęśliwym trafem wpadają mu w ręce akurat wtedy, kiedy trzeba (Paul wierzył w zbiegi okoliczności, ale niemal do swoich jedenastych urodzin wierzył też w Świętego Mikołaja, więc można było bezpiecznie przyjąć, że wszystko, w co wierzy, z definicji jest nieprawdą) – o cokolwiek w tym chodziło, ktokolwiek maczał w tym palce, nie jego to sprawa, a już na pewno nie jego wina. Nie jego bałagan do uprzątnięcia, nie jego naczynia do pozmywania, nie jego zlew do przepchania, nie jego skarpetki do dopasowania w pary. Chrzanić ich wszystkich.

Ponieważ nie wolno mu było odejść z firmy, będzie siedział cicho i sortował wydruki z liczników Mortensena do emerytury lub śmierci swojej bądź członków zarządu. Doskonały plan kampanii (powiedział sobie w duchu, kiedy nastawił budzik i zgasił światło). To się uda. Musi się udać.

Spał kilka godzin – wiedział to, bo mrowiła go lewa ręka, na której leżał – kiedy coś go obudziło i usiadł prosto. W pierwszej chwili pomyślał, że zasnął przy włączonej lampce, ale to nie było to, w pamięci miał ostry jak brzytwa obraz samego siebie wciskającego pstryczek. A w takim razie skąd brała się ta jasność?

Odpowiedź siedziała w nogach jego łóżka. Była to, obiektywnie rzecz biorąc, bardzo zgrabna odpowiedź. Najzgrabniejsza ludzka postać, jaka kiedykolwiek nawiedziła jego sypialnię, bez względu na kontekst. Trudno było powiedzieć, gdzie kończą się jej krótkie lniane włosy, a zaczyna błądy blask, ale to, jak odbijał się od jej złocistej skóry, było prawdziwie...

– Rosie? – mruknął. – Cholerny świat, nie możesz sobie znaleźć innego nieszczęsnego frajera... ?

Lekko poruszyła głową i jej spojrzenie było jak mur wyrastający nieoczekiwanie w poprzek torów kolejowych.

– Nie jesteś Rosie – powiedział Paul, któremu nagle zaschło w gardle. – To znaczy, matką pana Tannera. Jesteś kimś innym.

Jej idealny podbródek poruszył się w górę i w dół, może o dwa centymetry.

– W ogóle nie jesteś goblinem, prawda?

Pokręciła głową, ale blask nie poruszał się razem z nią. Teraz zdawał się wypływać tuż zza jej pleców, co dawało absurdalne wrażenie, że miała parę pięknych, śnieżnobiałych skrzydeł. Ale to było bez sensu, bo gdyby miała skrzydła, oznaczałoby to, że jest aniołem...

– Czyli... ktoś ty?

Znów potrząsnęła głową. Cała ta historia z niepodawaniem imion zaczyna być denerwująca, pomyślał Paul. Tyle że dziewczyna nie skrzywiła się ani nie drgnęła, kiedy mówił „Rosie” i „mama pana Tannera”.

– Mogę ci powiedzieć, kim jestem, jak chcesz – odparła.

(Jej głos był jak wiele rzeczy: czekolada, mleko, stukot deszczu o dach, jesienne słońce i cichy szum fal na kamienistej plaży, dom, bezpieczeństwo, dziewięcioletnia Melze i mnóstwo innych doznań, które sobie wyobrażał, ale których nie udawało mu się doświadczyć).

– Byłoby miło – wychrypiał.

Wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Jestem dziewczyną twoich snów. Nie poznajesz mnie?

Rozdział 9

– Że jak? – zapytał Paul.

– Dziewczyną twoich snów – powtórzyła. – Oj, Paul, weźże się w garść. Odwiedzam cię, odkąd skończyłeś trzynaście lat, chyba już powinieneś mnie poznawać.

Usiadł prosto, próbując lepiej się przyjrzeć jej twarzy, ale poruszyła się lekko i blask go oślepił.

– Wybacz – rzekł z zakłopotaniem – ale nie wyglądasz znajomo. A raczej pamiętałbym, gdybym cię wcześniej widział.

Zachichotała.

– Głuptas! Cały ty. Zapominasz sny zaraz po przebudzeniu. Szkoda – dodała tonem, który nie bardzo potrafił zinterpretować, ale od którego włosy zjeżyły mu się na karku. – Niektóre były bardzo... miłe. Powinieneś częściej śnić.

Powiedziała „Paul”, pomyślał – mogła mówić imiona i nie zachowywać się przy tym jak posolony ślimak.

– Nadal nie rozumiem – powiedział. – Jeśli jesteś, no, powracającym snem, jakim cudem widzę cię teraz, na jawie? A to jest jawa – stwierdził, głównie do siebie. – Czuję, że mrowi mnie ręka. Au – dorzucił na potwierdzenie.

– Oczywiście, że to jawa. Dlatego mnie nie poznałeś. Nawiasem mówiąc, ładna piżama. Niewielu facetów dobrze wygląda w czerwonym w tureckie wzory. Co się stało z tą w zielono-brązową kratę? Zawsze ci było w niej do twarzy.

– Przetarła się, wyrzuciłem... – Urwał w pół zdania. – Do licha, skąd wiesz, jakie ja noszę piżamy? Przecież nie... istniejesz, co?

Uniosła brew. Paul powoli spurpurowiał i podciągnął koc po szyję.

– W każdym razie – ciągnęła – skoro zamierzasz pominąć standardowe uprzejmości typu „czemu zawdzięczam tę przyjemność” i tak dalej, lepiej od razu sama ci to powiem. Słuchasz?

Skinał głową.

– Doskonale. No to zaczynamy. – Odęła wargi i wzięła głęboki wdech. – Chcesz wiedzieć, co ja tu robię, prawda? Otóż nie mogliśmy nie usłyszeć... z zasady nie podsłuchujemy, ale w tym wypadku naprawdę nie dało się tego uniknąć... usłyszeć twoich myśli, że czemu masz się mieszać w to, co się dzieje, to nie twój interes i tak dalej. Nic bardziej mylnego, poważnie. To... och, to takie denerwujące, chcę powiedzieć, że po wszystkim, co razem przeżyliśmy, powinieneś mi ufać, ale oczywiście nie pamiętasz, więc to na nic. A naprawdę musisz się wmieszać, bo to w dużym

stopniu dotyczy ciebie... – Zawahała się i zmarszczyła brwi. – I mnie też, bo nie tylko w ciebie wbili szpony, ale i we mnie. W nas. W nas wszystkie. A tak być nie może, bo....

– Chwila – wtrącił Paul ponuro. – Co to znaczy „nas wszystkie”? Czyli nie jesteś...

Jej złośliwy uśmiezek był wyraźnie widoczny nawet pośród oślepiającego blasku.

– Nie jestem jedyna, tak.

– Ile was jest?

– Tajemnica. Och, nie dąsaj się. Kilka, dobrze?

– Nie, to nie w porządku – jęknął Paul. – Mówisz o tym, jakby to był jakiś... harem.

Zachichotała.

– Czasem potrafisz być bardzo słodki, wiesz? No dobrze, co najmniej trzy. Wystarczy? Robimy, co możemy, ale tamtych jest dużo więcej i bywa, że po prostu grają nie fair, a kiedy my odejdziemy... cóż, odejdziemy na zawsze i wołałabym o tym nie mówić. Nie powinnam musieć tego tłumaczyć. To wina twojego wujka, bo nie powiedział ci wszystkiego, kiedy byłeś mały. Ale musisz być ostrożny, Paul, musisz zachować czujność, to najważniejsze. Ja cię znam, najchętniej machnąłbyś na wszystko ręką, dalej robił te durne mortenseny czy jak im tam i nawet nie odczuł, że brak ci kogoś. – Zawiesiła głos, jakby oczekiwała, że Paul jakoś zareaguje. Nie zareagował. – Zapewne teraz myślisz sobie, że jestem tylko skutkiem ubocznym mocnego kanadyjskiego cheddara po długim, ciężkim tygodniu, i oczywiście masz całkowitą rację, lecz to, że boli cię ręka, nie jest złudzeniem, to mogę ci powiedzieć gratis. Wiem, że wszystko nagle zważyło ci się na głowę jak książki z przewróconej biblioteczki, ale przecież to nie bez powodu. Ludzie tacy jak twój wujek nie umierają ot tak sobie. Wiem, mówi się „ze względów podatkowych” i wszyscy myślą, że wiedzą, co to znaczy, lecz kryje się za tym dużo więcej, wierz mi na słowo. Trwa wojna, Paul. Jeśli nie ruszysz tyłka i nie weźmiesz się do roboty, wszyscy będziemy mieli przechlapane. I co wtedy stanie się z tobą? Już zawsze będziesz sypiał samotnie, ot co, a to będzie najmniejszy z twoich problemów. Rozumiesz?

– Nie – odparł Paul z absolutną szczerością. – Ale jedno ci przyznam. Wolę ciebie niż ten sen, w którym nago wręczam nagrody w konkursie retoryki. Tyle że ogólnie wołałabym się wyspać.

– Ech, ty. – Założyła ramiona na piersi i spojrzała na niego spode łba. – Będziesz musiał po prostu wziąć się w garść, zdecydować, co jest dla ciebie ważne i z której strony wieje wiatr. W przeciwnym razie zrobi się z tego jeden wielki okropny bajzel i będzie to tylko i wyłącznie twoja wina. Rozumiesz? – Wychyliła się do przodu i przez chwilę miał wrażenie, że ją poznaje... ale przecież nie mogła być dwiema osobami jednocześnie, prawda? – Ona na ciebie liczy – powiedziała srogim tonem – i ty jeden możesz jej pomóc. Trzeba ci wiedzieć, że wszyscy zadaliśmy sobie wiele trudu. Twój wujek nawet umarł. Masz wszystko, czego ci potrzeba... oczywiście oprócz drzwi, ale na to nic się nie poradzi, a na razie tak czy owak obejdiesz się bez

nich. Jesteś gotowy. Czas, żebyś przestał kwękać i uzalać się nad sobą, a zaczął walczyć. Bo inaczej następnym razem w powietrze wyleci nie jakiś goblin, tylko ty.

Z tymi słowy zgasła jak przepalona żarówka. Paul poczuł między palcami pstryczek i lampka nocna się włączyła.

Chwilę pomyślał.

– Ała – powiedział.

A jednak to tylko zły sen (to wiele mówiło o skutkach nazbyt częstych kontaktów z mamą pana Tannera, że w jego koszmarach występowały śliczne blondynki). Paul odprężył się nieco. Nie wiedzieć czemu, strasznie zaschło mu w ustach. Sięgnął po szklanę z wodą. Kiedy ją podniósł, potrącił coś na stoliku.

Nie bacząc na to, napił się wody. Dopiero kiedy odstawił szklanę, uprzytomnił sobie, co potrącił. Między budzikiem a jego zegarkiem leżała gumka recepturka.

Szarpnął się gwałtownie, wylewając resztkę wody, potem pochwycił gumkę i obejrzał ją pod światło. Bez sensu. Zwyczajna brązowa gumka, jaką listonosz upuszcza pod drzwiami. Tak właśnie ten konkretny egzemplarz trafił w jego ręce – Sophie znalazła ją tam pewnego ranka. Pochyliła się, żeby ją podnieść, i włosy opadły jej na twarz. To zawsze ją denerwowało, więc związała je recepturką, a potem zapomniała wymienić ją na normalną gumkę do włosów. Z niewiadomego powodu Paul skomentował to, żartował, że w recepturce jej do twarzy, i od tej pory (aż do wyjazdu) nosiła ją co wieczór i w każdy weekend, mimo że twierdziła, że ciągnie jej włosy i jest niewygodna. Przed wyjazdem albo ją wyrzuciła, albo zabrała ze sobą, bo w mieszkaniu jej nie było. Paul, jak na sentymentalnego błazna przystało, szukał jej, sprawdzał nawet na czworakach, czy nie spadła gdzieś na podłogę.

Usiadł prosto na łóżku, z gumką rozciągniętą na czterech palcach, wpatrzony w nią. To nie mogła być ta sama, tę musiał w roztargnieniu zabrać z biura i schować do kieszeni, a w domu wyjąć razem z kluczami i chusteczką. Właśnie że nie. Wiedział, że nie, a potwierdzeniem ostatecznym jak cios osinowym kołkiem w serce wampira było to, że na gumce zachował się pojedynczy czarny włos. Tego koloru co włosy Sophie, tej długości co włosy Sophie.

No dobrze, Paul usłyszał swoje myśli. Ale dziewczyna, która dopiero co tu była, miała włosy blond.

Zaniepokoiło go, że w takiej chwili wziął się do rozwikływania zagadki niby Hercules Poirot w bibliotece, zamiast wpaść w panikę i wrzeszczeć, aż po niego przyjdą.

Gumki przedtem nie było, a teraz była. Stąd wniosek, że ktoś ją musiał przynieść – na razie omińmy szerokim łukiem zagadkę, skąd ten ktoś ją miał – a w takim razie ktoś musiał tu być albo wcześniej tego dnia, albo... Boże broń... przed chwilą. Ale nawet jeśli; czemu miałby zostawić właśnie to? Czy to groźba? Żądanie okupu? Jeśli ktoś się chce z nim skontaktować, czemu, do

licha, nie napisze listu, zamiast go zarzucać tajemniczymi przedmiotami?

Jego spojrzenie padło na zegar. Obliczenie w pamięci: jeśli w Anglii jest trzecia w nocy, która jest, powiedzmy, w Los Angeles?

W informacji międzynarodowej dostał numer, po czym radosny głos mówiący z hiszpańskim akcentem powiedział mu, że tu JWW Associates i w czym mogę pomóc? Poprosił do telefonu panią Pettingell. Pani Pettingell w tej chwili nie było w biurze, hiszpańskiemu akcentowi jest bardzo przykro, ale z miłą chęcią (a nawet dziką radością, sądząc z tonu głosu) przekaże jej wiadomość.

– Nie trzeba, dzięki – mruknął Paul. – Zadzwoń później.

Może to i lepiej. Nie dzwoni się do bylejakiej dziewczyny na drugi koniec świata, pewnie wyciągając ją przy okazji ze spotkania z ludźmi DiCaprio, Julii Roberts i specami od finansów z Foksa, po to tylko, żeby spytać, czy nie pamięta, co się stało ze starą sparciałą gumką. Paul i tak wiedział, co by powiedziała: jego imię, skute ilością lodu, w której można by zakonserwować wszystkie mamuty na Syberii. Praktycznie słyszał, jak je wypowiada, jej głos brzmiał głośno i wyraźnie w jego głowie...

Paul. Pomocy.

Wyskoczył z łóżka, przemknął przez pokój z szybkością, jakiej nie powstydziliby się chart, i zatrzymał się tylko dlatego, że próbował przebiec przez drzwi sypialni, zapomniawszy je uprzednio otworzyć. Kiedy podniósł rękę, by potrzeć obolały nos, zauważył, że na palcach wciąż ma gumkę. Gorączkowo usiłował ją strząsnąć, jakby była pająkiem, ale nie chciała go opuścić. Super, pomyślał, nie dość, że w końcu kompletnie mi odbiło, to jeszcze spędzę resztę życia z gumką na ręce. I jak ja teraz będę pił herbatę i smarował grzanki masłem? Wtedy wpadł na genialny pomysł, żeby lewą ręką zdjąć gumkę z prawej. To sprawdziło się doskonale i upuścił przerażającą recepturkę na podłogę.

Byłoby naprawdę miło, naszła go refleksja, gdyby miał jakichś przyjaciół. Dzwon o każdej porze dnia i nocy, a zawsze cię wysłuchają. Przepraszam, że przeszkadzam, Philip/Chris/Justin, ale mógłbym przysiąc, że właśnie słyszałem Sophie. Wołała mnie. Serio? Fascynujące. Powiedziała coś jeszcze? A wiesz, owszem, powiedziała „Pomocy”. O rany, Paul, może wpadnij, to o tym pogadamy. Albo jeszcze lepiej, zostań tam, za dziesięć minut jestem u ciebie. Tak, pomyślał, to byłoby bardzo miłe. Ale muszę radzić sobie sam. Jak palec. Bez choćby jednego przyjaciela.

Przesiedział resztę nocy w fotelu, przy włączonych światłach, telewizorze, radiu i odtwarzaczu płyt kompaktowych. W sumie równie dobrze mógłby to wszystko powylaczać z sieci, bo i tak słyszał tylko jej głos. *Paul. Pomocy.* Nie było to arcydzieło sztuki oratorskiej w porównaniu z, powiedzmy, mową gettysburską czy Churchillowskim „będziemy walczyć na plażach”. Mimo to zapadało w pamięć. I to jak.

Za piętnaście szósta ubrał się, o szóstej piętnaście zjadł grzanekę i wypił czarną kawę rozpuszczalną, a potem siedział pod drzwiami i czekał, aż nastanie pora wyjścia do pracy. To przerażające, ale wolał być tam niż we własnym mieszkaniu, które teraz, kiedy Sophie do niego wróciła, przestało być bezpieczne. (*Paul. Pomocy.* Dobrze, już dobrze, słyszałem cię za pierwszym razem). W końcu za dwadzieścia dziewięć stanął przed drzwiami budynku na St Mary Axe 70. Były zamknięte na głucho, jak zwykle o tej porze. Wspomnienie jej głosu trochę przybladło; teraz słyszał go tylko, kiedy o nim myślał, ale to wołanie było jak rozchwiany ząb, przy którym człowiek ciągle dłubie, żeby sprawdzić, czy nadal go ma. Jednak to pomagało zabić czas, bo ani się obejrzał, a już wyrósł przy nim pan Tanner, który huknął:

– No, no, trochę jesteście nadgorliwi, co?

Po takim doświadczeniu nie od razu dochodzi się do siebie.

– Przepraszam – wymamrotał Paul. – Nie mogłem spać.

– Dlatego przyszedłeś tutaj.

– Tak.

– Zamiast, powiedzmy, liczyć barany. – Ten Tannerowski uśmiech! Jaka matka, taki syn. – Cóż, wydruki z mortensenów powinny pomóc, a jeśli nie, przyjdź do mnie, mam protokoły zebrzań, które uspiłyby oszalałego słonia. – Pan Tanner przekreślił klucz w zamku i przestąpił próg. – W sumie możesz wejść, w końcu całą menażerię już znasz. Aha, i nie wiem, czy ci o tym wspominałem, ale jeśli w jakikolwiek sposób będziesz mi bałamucił matkę, łeb ci urwę, a czaszkę przerobię na bardzo mały sedes.

Gobliny wciąż jeszcze dokazywały w najlepsze, biegały po recepcji w pełnych zbrojach, wskakiwały na stół na korespondencję i zeskakiwały, zżerały papier do faksu i wkłady z tonerem. Paul zdobył się na błądy uśmiech i pomachał im słabo, a one (co zauważył z niejakim wzruszeniem) skwapliwie odpowiedziały tym samym gestem. I pomyśleć, że nie tak dawno temu coś tak sympatycznego i swojskiego jak widok goblinów demolujących recepcję wystarczało, by chodził zalękniony przez wiele dni. Jak bardzo się przez ten czas zmienił.

Pan Tanner przeglądał pocztę; co ciekawe, robił to przy użyciu żelaznych kowalskich szczypiec.

– A zatem skąd ta bezsenność? – spytał, nie podnosząc głowy.

– Przez niestrawność? Śledź był nieświeży?

– Ja... – Nie mam żadnego, ale to żadnego powodu, pomyślał Paul, by właśnie panu Tannerowi powiedzieć o tym, co wydaje mi się, że widziałem w nocy. Pan Tanner nie jest moim przyjacielem. Pan Tanner jest półgoblinem i w dodatku moim szefem.

– Miałem bardzo dziwny sen – powiedział jednak.

– Mnie też się zdarza – stwierdził pan Tanner – ale nie przywiązuję do tego wagi, bo to

tylko biochemia i tak dalej. Co tobie się śni? – rzucił to takim tonem, jakby porównywali, z czym mają kanapki.

– Dziewczyny – odparł Paul, zanim zdążył się przygotować.

– No tak – westchnął pan Tanner. – Mam za swoje, że pytałem.

– Nie, nie w tym sensie. – Weź się zamknij, Carpenter, powiedział sobie Paul w duchu. Śmierć ze wstydu to strasznie obciachowa metoda samobójstwa, nie wspominając o tym, że karygodnie nietaktowna. – To była... cóż, jedna znajoma dziewczyna. Wołała mnie i mówiła „pomocy”.

– Znajoma dziewczyna – powtórzył pan Tanner. – Popraw mnie, jeśli się mylę, ale ty nie znasz żadnych dziewczyn. – Zmarszczył brwi i wysunął szczypcę w stronę brązowej koperty z okienkiem i nadrukiem „Urząd Skarbowy”. – Przynajmniej już nie. Rzuciła cię, prawda? Ta chuda.

– Sophie.

– Mniejsza o to, ale tak. – Pan Tanner odłożył szczypcę na biurko. – Ją słyszałeś?

Paul skinął głową ze znużeniem.

– Tak.

– Czyli... – Pan Tanner urwał, wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął wielką krwistoczerwoną chusteczkę i kichnął siarczyście. – Cholerny katar biurowy – mruknął. – Przeszedłeś go już? Klasyk, spodoba ci się. Czyli miałaś sen, w którym pani Pettingell wołała cię i błagała o pomoc?

Właściwie to nie błagała. Wrzeszczała z irytacją.

– Tak – powiedział Paul. – To znaczy, nie, nie całkiem, bo to było, już jak sen się skończył. Kiedy się obudziłem.

Pan Tanner patrzył na niego jak ktoś, kto wstał rano i nie jest do końca zadowolony z tego, co Pan Bóg mu dał.

– Czyli to nie mógł być sen, mam rację? Sny ma się tylko, kiedy się śpi, to jedna z cech charakterystycznych snu. Słyszałeś głosy.

– Można tak powiedzieć – wymamrotał Paul.

– Jak Joanna d’Arc.

– Cóż...

– No dobrze, nie całkiem jak Joanna d’Arc. Przyjmuję, że Sophie nie nakłaniała cię, żebyś przepędził Petera Mayle’a z Prowansji. Ale słyszałeś jej głos i byłeś rozbudzony.

– Tak.

– Rozumiem. Tak z ciekawości, czemu nosisz na palcach gumkę?

Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której Paul miał duże kłopoty z oddychaniem. Potem kilka razy powtórzył „to”. Pan Tanner, o dziwo, kiwał głową.

– Jej – stwierdził. – Zgadza się?

– Tak.

– Daj to. Nie – dodał pospiesznie – zaczekaj sekundę. – Wziął szczypce, chwycił nimi gumkę i delikatnie zsunął ją z dłoni Paula niczym detektyw pobierający próbkę włókna z miejsca zbrodni. Wrzucił ją do pustej koperty, zalepił taśmą klejącą i wetknął do wewnętrznej kieszeni. – Przechowam ci to parę dni. Wcześniej czy później musisz trochę pospać, bo inaczej będziesz kompletnie do niczego. – Zmarszczył brwi, po czym szczypcami odchylił klapę marynarki Paula. – Ta odznaka...

Paul zupełnie zapomniał o odznace harcerza wodniaka i jej bolesnym działaniu na goblina.

– Przepraszam – pokajał się. – Nawet nie wiedziałem, że nadal ją mam. Schowam ją...

– Nie, nie rób tego. – Pan Tanner odsunął szczypce i cofnął się, jakby po to, by znaleźć się poza polem rażenia. – Na razie ją zatrzymaj, nigdy nic nie wiadomo. – Zawiesił głos. Coś nie dawało mu spokoju, jak ość w gardle. – Przykro mi, że tak się to wszystko ułożyło. Wiem, że ci się u nas nie podoba i że najchętniej rzuciłbyś tę robotę. Niestety – ciągnął, wpatrzony w matową szybę okna od ulicy – w tej chwili to niemożliwe. Ale pomyślałem sobie, że powiem ci, że to nie... Cóż, mniejsza z tym.

Paul bardzo chciałby w tym momencie coś powiedzieć, ale nie wymyślił nic, dla czego warto by się wysilać.

– Tak, nieważne – rzekł pan Tanner. – Bierz się do mortensenów i daj Julie znać, jak skończysz. To wszystko.

Przez całe przedpołudnie Paul próbował zasnąć, skulony w miękkim gniazdku z wydruków komputerowych, ale wyraźnie stracił tę umiejętność. (Czy można zapomnieć, jak się zasypia? – zastanawiał się. Czy trzeba zapisać się na jakieś specjalne kursy spania, na których instruktorzy czytają na głos rozkłady jazdy kolei i podręczniki krytyki literackiej?). Nie mógł nawet przekonać swojego umysłu, by zaczął błędzić; ku swojemu bezbrzeżnemu zdumieniu był w pełni skupiony na swojej pracy, do tego stopnia, że przegapiłby lunch, gdyby nie pukanie do drzwi, które sprawiło, że czar prysł.

– Cześć – powiedziała Melze, wsadzając głowę do środka. – Idziesz na lunch?

A diabła tam, pomyślał Paul, dlaczego nie? Ostatniej nocy, podczas długiego czuwania, nade wszystko marzył o tym, by mieć przyjaciela, kogoś, z kim mógłby porozmawiać o tym, co przeszedł ostatnio. Głupiec z niego, zapomniał o swojej najstarszej przyjaciółce... owszem, sprawę trochę komplikowało to, że ona była dziewczyną, a on (nie ponad wszelką wątpliwość, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa) się w niej kochał. Takie rzeczy mogą zapchać szare komórki jak ziarenka ryżu i zimny makaron zmywarę.

Nie poszli do włoskiego baru kanapkowego ani małej knajpki uzbeckiej. Wylądowali w Burger Kingu. Paul miał dziwne wrażenie, że jest to doświadczenie typowe dla wczesnej młodości,

jakiej sam nigdy nie zaznał: siedzenie na plastikowym krześle i sączenie shake'a przez słomkę w towarzystwie koleżanki z klasy (choć właściwie, żeby zachować pełną zgodność z kanonem, powinni byli jeszcze urwać się z matmy). Przypominało mu to te takie listy, które zawieruszają się na poczcie i ostatecznie docierają do adresata z trzydziestoletnim poślizgiem.

– Coś cię dręczy. – Melze patrzyła na niego z głową przechyloną na bok. – Masz taką zagubioną minę jak dawniej, kiedy odkrywałeś, że zapomniałeś stroju na WF.

– Aż tak to widać?

Uśmiechnęła się.

– To nadzwyczajne, jak mało się zmieniłeś. Prawie jak Piotruś Pan. Przy tobie czuję się, jakbyśmy raptem kilka miesięcy temu skończyli podstawówkę.

Paul pomyślał o tym.

– Dziwne, ja miałem wrażenie, że to ty się nie zmieniłaś. To znaczy, zmieniłaś się, oczywiście – dodał pośpiesznie – ale pomyślałem tak, bo... no wiesz, dobrze się dogadujemy, jakbyśmy ot tak wrócili do rozmowy przerwanej jedenaście lat temu. Sądziłem, że ludzie tak nie potrafią.

– Zależy, którzy ludzie. Ale nie zmieniaj tematu. Coś cię dręczy, prawda?

Paul odetchnął głęboko.

– Naprawdę chcesz tego słuchać? To długa i dość dziwna historia.

– Ciekawie się zapowiada.

– Nie. – Pokręcił głową. – Bo ja w niej występuję. Ale mówię poważnie. Mogę ci o tym opowiedzieć? Rzecz w tym – dodał, zanim zdążyła zareagować – że ty jesteś, cóż, normalna. Tak naprawdę jesteś jedyną normalną osobą, jaką znam...

– Co znaczy, że poniekąd jestem wyjątkowa, prawda? Przepraszam, kontynuuj.

– Serio?

– No mów, na litość boską!

Paul chwilę milczał, zajęty robieniem porządku w zagraconej szufladzie swoich myśli.

– Cóż – odezwał się wreszcie – nie zacznę od samego początku, od tego, jak dostałem tę robotę i tak dalej, bo nie ma czasu, a poza tym nie przepadam za dźwiękiem swojego głosu. Wydaje mi się, że ta konkretna fala nieszczęść zaczęła się, kiedy rozeszliśmy się z Sophie.

– Ach, o takich nieszczęściach mowa. To moja specjalność.

Paul potrząsnął głową.

– To było okropne i straszne bez dwóch zdań, ale nie było dziwne. Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu wiedziałem, że na to się zanosí. No, właściwie od samego początku. Nie byłem dla niej dość dobry, koniec, kropka.

Melze patrzyła na niego w skupieniu. Traktuje mnie poważnie, uprzytomnił sobie z lekkim

zaskoczeniem i przyjemnością zarazem. Normalnie szok. A więc tak to jest.

– W każdym razie – ciągnął – to nie było dziwne. Ona wyjeżdża do Kalifornii, a ja ni z tego, ni z owego, przestaję być biurowym chłopcem na posyłki i zostaję terminującym zabójcą smoków.

Pokiwała głową z poważną miną.

– Zaczynam rozumieć, co w tym wszystkim dziwnego. Powiedz, czy gdyby Sophie nie przenieśli do Los Angeles, to też trafiłaby na staż do działu zabijania smoków?

Paul lekko skłonił głowę w uznaniu dla celności pytania.

– Nie wiem. Założenie jest takie, że stażyści mają przepracować trzy miesiące w każdym dziale, by się przekonać, w czym są dobrzy. Ale Benny... pan Shumway, kasjer, krasnolud i bohater na pół etatu... twierdzi, że bohaterem trzeba się urodzić. Zasunął mi przy okazji rzewną gadkę o naturze miłości, ale ogólna wymowa chyba była taka, że bohater musi być na tyle żalosaną ofermą, by, jeśli przypadnie bez śladu, nikt za nim nie tęsknił.

– Jakże dogodnie – powiedziała Melze w zamyśleniu. – Dziewczyna cię rzuca i okazuje się nagle, że spełniasz kryteria. Czy ona chciała wyjechać do Kalifornii?

Paul skinął głową.

– Tak. Zdaje się, że głównie po to, by ode mnie uciec.

– No cóż. – Melze wzruszyła ramionami. – Kolejna misternie utkana teoria spisku legła w gruzach. Czyli stanęło na tym, że zacząłeś się uczyć na Conana Barbarzyńcę.

– Nie całkiem – powiedział Paul ze słabym uśmiechem. – Głównie było to połączenie pracy w biurze planowania i służby w obronie cywilnej. Potworna nuda, od czasu do czasu jakieś upierdliwe zlecenie.

– Nie spodobało ci się?

– Powiedzmy, że to nie dla mnie. Czuję się jak ślimak w paczce czipsów. Zupełnie nie moje klimaty, pomijając robotę papierkową, wypełnianie formularzy i takie tam. To było nudne, ale przynajmniej jakoś sobie z tym radziłem.

Melze uniosła brwi.

– Ale przecież zabiłeś prawdziwego smoka?

– Och, daj spokój. Był mniej więcej taki. – Rozłożył dłonie na długość nogawki spodni. – A zabiłem go, bo niechcący na nim usiadłem. Jeśli święty Jerzy wylądował na bezrobociu, to nie przeze mnie.

– Skąd wiesz, może zrobił to tak samo, tylko potem trochę ubarwili całą historię, żeby dobrze wyglądała na obrazach. Jak dla mnie, zabity smok to zabity smok. Ja bym tak nie potrafiła.

– Właśnie że tak. No, pewnie poszłoby ci oczko w rajstopach, ale to wszystko. W każdym razie ledwie mniej więcej załapałem, o co chodzi z całym tym bohaterzeniem, a już znowu mnie

przenieśli. Nie po trzech miesiącach. Minęło raptem kilka dni.

Melze potarła nos palcami – przez mały otwór w czasoprzestrzeni Paul zobaczył ją robiącą dokładnie to samo na placu zabaw, tyle że krótszymi palcami i na bardziej piegowatym nosie.

– To dziwne – przyznała – ale nie aż tak bardzo. Myślałam, że zaczniesz mi opowiadać o magii, potworach i łyżeczkach zginających się bez wyraźnego powodu, nie o przechodzeniu ze stanowiska na stanowisko.

Paul westchnął.

– Chcesz usłyszeć coś dziwnego, to się przygotuj, bo teraz się zacznie. Najpierw zaczepia mnie gadający rower i grozi mi: „Uwolnij więźniów, bo zginiesz”. Potem się dowiaduję, że mój stryjeczny dziadek Ernie był czarodziejem jak członkowie zarządu firmy, w dodatku tak dobrym, że zlecieli mu napisanie jednego z rozdziałów regulaminu organizacji pracy w biurze. To tylko domysły, ale chyba nie poprosiliby go o to, gdyby nie był ekspertem. Potem w mojej własnej sypialni budzą mnie potwory, które mówią zagadkami, których nic a nic nie rozumiem, a w końcu dowiaduję się, że ktoś podłożył mi bombę w szafce i całe biuro zostało zdemolowane. I wtedy – dodał Paul gorzko – cała zabawa się zaczyna. Okazuje się, że ten, kto podłożył bombę, uprowadził Benny’ego Shumwaya i Ricky’ego Wurmtotera, a w biurze ja jeden mam odpowiednie kwalifikacje, żeby ich uratować. Jadę więc do High Wycombe...

– Przepraszam – wtrąciła Melze. – Czy powiedziałaś... ?

Pokiwał głową ponuro.

– Jak się okazuje, to portal między naszym światem a królestwem tych cholernych elfów. W każdym razie jadę do Wycombe nie sam, tylko z Moniką.

– Z kim?

– Monika to mój samochód. Siostra pana Wurmtotera, ale jednocześnie mój samochód. Przechodzimy do królestwa elfów i w końcu trafiamy do straszego lochu, gdzie jest Benny. I kiedy już dochodzę do smutnego wniosku, że teraz to już ani chybi mam przerąbane na amen, ni stąd, ni zowąd zjawia się mama pana Tannera i wyciąga mnie stamtąd. Zwracam uwagę: nie Benny’ego, nie Monikę, nie Ricky’ego Wurmtotera. Mnie.

– Moment – przerwała mu Melze. – Siostra pana Wurmtotera jest samochodem?

– Tak. W każdym razie teraz. Przedtem była wysoką brunetką. Jednak ją przemienili... taki zawód, rozumiesz... i zgaduję, że jeszcze nie wymyślili, jak ją przywrócić do pierwotnego stanu. A może sama tak woli, nie mam pojęcia. Jest niezłym samochodem, to jej muszą przyznać. Pali osiem litrów na setkę, a jej spaliny...

– Dobrze – powiedziała Melze stanowczym tonem. – Choć chcę zauważyć, że łamiesz naczelną zasadę przetrwania w biurze: nie zadawać się z siostrą szefa. Ale wróćmy do rzeczy. Matka pana Tannera...

– Uratowała mnie. – Paul lekko odwrócił głowę. – Chyba ci mówiłem, że ma do mnie słabość, Bóg jeden wie dlaczego. To trochę chore, bo przecież jest goblinicą i tak dalej. Ale niewątpliwie ma swoje zalety. Pomogła mi z tym durnym małym smokiem, wyciągnęła mnie z lochu... naprawdę, już myślałem, że po mnie.

Melze skinęła głową.

– Ale pozostałych nie uratowała.

– Nie. Podobno mogła wyciągnąć tylko jedno z nas. Domyślam się, że Benny będzie śmiertelnie wkurzony na nas oboje, kiedy wróci.

– Czyli sądzisz, że go uratują?

– Podobno już jest wolny. Firma wynegocjowała jakiś układ za pośrednictwem bandy dziwaków ze starego magazynu w Bermondsey.

– Aha. – Melze wyglądała na zaskoczoną bardziej niż wtedy, kiedy Paul opowiadał jej o tym, jak zostali schwytani. – Cóż, to dobrze. A co z panem Wurmtoterem i jego siostrą?

– Oni też, jak słyszałem. Jedno mnie dziwi: gdy wróciłem z Wycombe, od razu wpadłem do hrabiny i zacząłem wypytywać, co zrobią w sprawie Benny'ego i Moniki, a ona mi na to, że nic.

Tu nikt nic nie poradzi, powiedziała. A teraz nagle zostali uwolnieni... podobno są już w drodze do domu.

Melze chwilę pomyślała. Myślała niezwykle uroczo – lekko zasepione czoło, zmarszczka na nosie.

– To wcale nie takie znowu dziwne – stwierdziła. – Przecież te paskudy, które cię uwięziły, to zbuntowana frakcja elfów, zgadza się? A czy hrabina nie jest prawowitą Królową Elfów? Może kiedy powiedziała, że nie da się nic zrobić, miała na myśli, no wiesz, rozwiązanie zbrojne, akcję komandosów a la SAS, którzy uwolniliby zakładników przy użyciu siły. Potem przemyślała to na spokojnie, a może buntownicy przekazali jej swoje żądania. Ona zgodziła się negocjować, dała im to, czego chcieli, a przynajmniej część, no i dobili targu.

Paul skinął głową.

– To ma sens. Boże, choć raz dla odmiany. Przywykłem do tego, że wszystko jest dziwaczne i niewytłumaczalne, i chyba po prostu przestałem szukać racjonalnych wyjaśnień.

– Trudno mieć do ciebie o to pretensje. Słuchać, jak o tym opowiadasz, to jedno, ale kiedy to spotyka cię naprawdę, to musi być zupełnie inna sprawa.

– Na przykład znów pojawił się ten cholerny rower. Całe szczęście, że już wiem, jak go odstraszyć. Okazuje się, że ma alergię na imiona.

– Alergię?

– To jest tak, jakby dźwięk imienia sprawiał mu ból, więc wystarczy wymienić ich kilka... John, Fred, Clive, Rachel... i on ucieka. Co ciekawe – dodał Paul – tak samo mają te czubki z

Bermondsey, o których ci mówiłem. I zdaje się, że widziałem ten agresywny rower w ich magazynie, kiedy tam byłem. Albo – dodał – może to był po prostu, no wiesz, zwykły rower.

– Nieagresywny?

– To chyba bardziej prawdopodobne, nie? Aha, a do tego jeszcze dochodzą rzeczy po moim wujku Erniem. Jak się okazało, umarł...

Melze znów zmarszczyła czoło.

– Chyba raz go spotkałam, kiedy byliśmy dziećmi?

– Wątpię. Ja go w ogóle nie pamiętam.

Rozpromieniła się.

– Już wiem! Kiedy byliśmy jeszcze bardzo mali, przyszedłam do ciebie na podwieczorek. Nie tylko ja, zdaje się, że zaprosiłeś całą klasę na urodziny. O właśnie, to były twoje urodziny, a ja strasznie ci zazdrościłam, bo miałeś prawdziwego magika. A ty mi powiedziałeś, że to nie tak, nie płacimy mu ani nic takiego, tak naprawdę to twój wujek. Wujek Ernie.

Paul wyteżył pamięć. Teraz, kiedy Melze o tym wspomniała, uświadomił sobie, że faktycznie było takie przyjęcie z okazji jego dziewiątych urodzin, i mgliście kojarzył, że był na nim magik, choć nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy ani żadnych innych szczegółów.

– To był on?

– Na pewno. Wysoki, strasznie chudy, łysy, z wielkim nosem i krzaczastymi brwiami. Z początku mnie przerażał, bo groźnie wyglądał, trochę jak prawdziwy czarodziej, ale potem zaczął się uśmiechać i opowiadać dowcipy, no i przestałam się bać.

– Aha. Chciałbym mieć pamięć, bardzo by się przydała. Czyli istniał naprawdę. Zaczynałem się zastanawiać, czy ludzie nie wymyślili go po to, żeby zrobić mnie w trąbę.

Melze wzruszyła ramionami.

– Umarł, powiadasz. Musiał być już wiekowy, bo kiedy byliśmy dziećmi, wyglądał na jakieś sto dziesięć lat. Inna sprawa, że w oczach dziecka wszyscy dorośli wyglądają staro, więc może tak naprawdę miał sześćdziesiąt. W każdym razie to smutna wiadomość. Wiesz, był naprawdę dobrym magikiem.

– Może oszukiwał – rzekł Paul ze śmiechem. – No wiesz, używał prawdziwej magii zamiast iluzjonistycznych sztuczek. Tak czy inaczej dostałem list od rodziców z wiadomością, że jego rzeczy są w jednej kancelarii prawniczej. Oni nic z tego nie chcieli, więc stwierdzili, że jeśli pójde to odebrać, będę mógł sobie wszystko zatrzymać. No to tak zrobiłem. Prawnicy stówę ze mnie zdarli, bydlaki jedne... A kiedy wróciłem do biura, okazało się, że to jakiś potężny magiczny ryszunek, amulety przeciw goblinom i mnóstwo rzeczy, które według mamy pana Tannera są zbyt niebezpieczne, żeby walały się na widoku, więc wzięła to wszystko i schowała do skarbcza.

W oczach Melze pojawiło się zaciekawienie.

– Naprawdę? Po co?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tam te przedmioty będą bezpieczne. Nie spowodują wypadków ani niczego takiego.

– Jesteś pewien, że nie chciała ich dla siebie? Skoro są takie potężne...

Ta myśl nawet nie przyszła Paulowi do głowy.

– Wątpię. Nie mogła dotknąć tej harcerskiej odznaki... mówiła, że parzy.

– A może tylko udawała, żebyś jej później nie podejrzewał, jak odznaka zniknie? Sprawdziłeś, czy wszystko jest?

– Szczerze mówiąc, nie. Jak dla mnie, niech sobie to zabiera. Ostatnie, czego mi trzeba, to następne dziwne rzeczy.

– Może są cenne – powiedziała Melze. – Jeśli to rzadki magiczny rynsztunek, może być dużo wart.

Paul zastanawiał się chwilę.

– Nie sądzę, żeby goblinom zależało na pieniądzach. Ktoś mi kiedyś mówił, że i tak są nieprzyzwoicie bogate dzięki prawom górniczym i Bóg wie czemu jeszcze. Mógłbym uwierzyć, że gwizdnęła to, by coś zbroić, ale nie że chce to opchnąć dla kasy.

– Cóż. – Melze się zasepiła. Uroczo się zasepiała... dobry Boże, pomyślał Paul, co też mi po łbie chodzi. Jak można się uroczo zasepiać? – Wiem, to nie wypada i pewnie nie powinnam nawet tak myśleć, a co dopiero mówić, ale nie lubię goblinów. Wszystkich bez wyjątku. Uważam, że są wstrętne, zdziczałe i ohydne. Żebyś ty widział ślady pazurów w recepcji w niektóre poranki! Kiedy jest dużo korespondencji do posortowania, pan Tanner czasem niezbyt starannie je usuwa tymi swoimi czarami. To przerażające!

Paul uśmiechnął się szeroko.

– Opowiadałem ci, jak kiedyś dałem radę całej bandzie uzbrojonych goblinów, choć nie miałem nic oprócz zszywacza? Nawiasem mówiąc, właśnie wtedy poznałem mamę pana Tannera. Widzisz, uprowadziły... – Zawahał się. Ten wieczór, kiedy gobliny porwały Sophie, a on rzucił się w pościg i pokonał je, mimo że miały dzidy, miecze i topory, a on tylko gniew i lęk, że ją utraci... jakoś niestosownie wydawało się opowiadać o tym Melze, czy była jego najlepszą przyjaciółką, czy nie. – Uprowadziły jednego z pracowników, a ja im się postawiłem, to znaczy, właściwie tylko krzyknąłem „Puu!” i pouciekały. Naprawdę, wystarczy trochę ostrożności i nie ma się co ich bać.

– Hm.

– Serio. Dużo bardziej boję się tych od hrabiny Judy, tych elfów czy jak im tam. Naprawdę przyprawiają mnie o ciarki.

– Och. – Melze spojrzała na niego uważnie, po czym wzruszyła ramionami. – No cóż.

Boże, już tak późno? Musimy wracać.

Kiedy Paul wszedł do swojego gabinetu, okazało się, że sterta wydruków z liczników Mortensena urosła czterokrotnie. Aż bał się o biurko, na którym spoczywały.

– Cholerny świat – jęknął, po czym zobaczył na wierzchu sterty odręcznie napisany liścik:

PAC, IDCB chce, żebyś skończył to wszystko, zanim wyjdiesz. Jeśli nie wyrobisz się do 17.30, nie przejmuj się; będzie pracowała do późna i otworzy ci drzwi.

Julie

JDCB? Musiał chwilę pomyśleć, zanim to rozgryzł: Judy di Castel’Bianco. Mściwe krówsko, pomyślał. Nie ma mowy, by zdołał przebrnąć przez całą tę makulaturę w jedno popołudnie. Zanosilo się na to, że będzie tu siedział co najmniej do północy. Tak czy owak, nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia. Jeśli chciała posadzić go w kozie, żeby pokazać mu jego miejsce w szyku, miała do tego prawo. Szlag by to.

O wpół do szóstej rozproszyło go skrobanie w drzwi. Gobliny przywykły, że po zaryglowaniu drzwi frontowych miały cały budynek dla siebie. Światło w gabinecie pewnie je nielecho wkurzało. Zasepił się, wyjął odznakę harcerza wodniaka i otworzył drzwi szarpnięciem. Rzeczywiście, za progiem były trzy gobliny. Kucaly, usiłując zajrzeć do środka przez dziurkę od klucza.

– Przykro mi, chłopaki – powiedział surowo. – Dziś macie zakaz wstępu.

Najbliższy goblin uniósł łeb i warknął. Paul wyciągnął rękę, w której trzymał odznakę, i powoli rozłożył palce. Skutek był natychmiastowy i dość przyjemny dla oka. Wiele razy słytał zwrot „uciekali, potykając się o własne nogi”, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak zabawny to widok. Z szerokim uśmiechem zamknął drzwi.

Szósta. Wpół do siódmej. Siódma. Był zmęczony, głodny i straszliwie, straszliwie znudzony, a odwalił dopiero połowę roboty. Poczul, że wzbiera w nim ziewnięcie, niczym bąbel lawy pnący się z warstwy magmy do gardzieli wulkanu. Nie mogę zasnąć, powiedział sobie w duchu, nie mogę zasnąć, muszę skończyć robotę, bo inaczej będę tu siedział całą noc...

Trzeba przyznać, że całkiem wygodnie było złożyć głowę na stercie wydruków. Niezliczone warstwy tworzyły cudowną laminowaną poduszkę. Ktoś cwany mógłby sporo zarobić, gdyby opatentował...

Paul widział gabinet bardzo wyraźnie, co było dziwne, bo miał zamknięte oczy. Widział samego siebie, posapującego smacznie. Spał tak błogo, że uznał, iż zbrodnią byłoby siebie samego obudzić.

Otworzyły się drzwi – ale nie te banalne, używane na co dzień, obramowane futryną. Te pojawiły się nagle na ścianie i wyglądały dość znajomo. Widziałem już te drzwi, pomyślał, rozpoznałbym je wszędzie. Drzwi, które nagle otwierają się w ścianie. Kiedy drzwi nie są drzwiami? To proste...

Ale to też było dziwne, bo przenośne drzwi, ten wspinały, tajny gadżet ratujący go z najgorszych tarapatów, pożyczył Ricky'emu Wurmtoterowi, a Ricky dał się schwytać. Może teraz wracał z Bennym i Moniką.

Wcale nie. Drzwi otworzyły się szeroko, do gabinetu wsunęła się ręka i przyblokowała je grubą, ciężką księgą, w której Paul rozpoznał regulamin organizacji pracy w biurze. Ręka nie wyglądała szczególnie przerażająco, nie była zielona, pokryta łuskami, ani poszarzała, z pomarszczoną skórą oblepiającą kości. Co więcej, okrywał ją liliowy rękaw ozdobiony wzorami ze srebrnego brokatu. To była ręka dziecka.

Dziecko ukazało się po chwili. Paul nie bardzo potrafił odróżnić dzieci jedno od drugiego, ale akurat to rozpoznał. Imię wyleciało mu z głowy, lecz pamiętał, że świetnie władała kluczami nasadowym i dynamometrycznym. Za nią weszło z sześcioro maluchów, tych samych, które widział w warsztacie na odludziu, a za nimi jeszcze co najmniej trzydzieścioro dzieci, których nie rozpoznał. Wycieczka szkolna, stwierdził, albo przyjęcie urodzinowe. Tyle że bez choćby jednego dorosłego. E tam, to tylko sen, więc chrzanić to.

Widział, jak dzieci łypały na niego niepewnie, żeby się upewnić, że naprawdę twardo śpi, po czym przemykały obok na paluszkach, omijając róg biurka i kierując się do drzwi. Najbardziej uderzyło go to, że wyglądały zupełnie nie jak dzieci, mimo okrągłych różowych buź, nieproporcjonalnie dużych głów i poobcieranych kolan. Żadne dziecko w tym wieku nie żyło dość długo, by nauczyć się poruszać tak cicho, tak ostrożnie, z takim zdecydowaniem. To było tak, jakby obserwować komandosów czy SAS, nie sznur wagarujących dziesięciolatek. Nie, to nie dzieci; coś innego, coś, co udawało dzieci. Faj, pomyślał, okropność. Dobrze, że śpię i nie muszę na to patrzeć.

Policzył je. Czterdzieści osiem.

Kiedy ostatnie weszło do gabinetu, przenośne drzwi zwinęły się ładnie w rulon, spadły na podłogę i zniknęły. Tymczasem dzieci już wymykały się na zewnątrz. Ostatnie cicho zamknęło drzwi za sobą. Wtedy Paul się obudził.

Na jego zegarku była już prawie dziewiąta. Szlag by to, pomyślał, hrabina Judy pewnie już się ewakuowała i teraz nie wyjdę stąd do rana. Jedno było raczej pewne – nie miał szans przekopać się przez tę stertę wydruków. Gdyby spróbował, za pięć minut zasnąłby znowu. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to żeby pójść prosto do hrabiny Judy i, jeśli ją zastanie, przyznać się do porażki i poprosić, żeby wypuściła go z budynku. Jeśli jej nie będzie... Dotąd lekceważył zagrożenie ze

strony goblinów, może dlatego, że podświadomie wiedział, że ma odznakę harcerza wodniaka. Jednak czy odznaka, w połączeniu z jego budzącą lęk reputacją stracha na gobliny, wystarczy, by zapewnić, że nikt nie poderżnie mu gardła we śnie? Dobre pytanie, na które naprawdę nie chciał poznać odpowiedzi.

Ogromnie mu ulżyło, kiedy zobaczył smugę światła pod drzwiami hrabiny. Odetchnął głęboko i zapukał.

Żadnej odpowiedzi. Zaczekał, policzył do pięćdziesięciu, zapukał znowu. Tym razem usłyszał warknięcie hrabiny „wejść” i nacisnął klamkę.

Judy di Castel Bianco wyglądała srogo i onieśmielająco jak nigdy; jej kości policzkowe były ostre jak lemiesz, oczy miała zimne i srebrzystoszare. Bardziej jednak zainteresowało go coś, co zauważył kątem oka.

– Bardzo przepraszam – powiedział – ale nie dałem rady skończyć mortensenów, które mi pani podesłała. Obiecuję, że jutro zostanę do późna...

– Tak, zostanie pan. A teraz, jak sędzę, mam pana wypuścić. Proszę za mną.

Kiedy Paul opuszczał gabinet, nie oparł się pokusie, by ukradkiem zerknąć przez ramię, szybko jak błyskawica. Wchodząc do środka, zauważył, jak szuflada szafki hrabiny – tej samej szafki, którą przed kilkoma dniami taszczył po całym budynku – drgnęła i zamknęła się cicho sama z siebie. Teraz, gdy wychodził, przyłapał ją na tym, jak bardzo powoli i ostrożnie się wysunęła. Co więcej, ogarnęło go silne przeczucie, że nie miał tego zobaczyć.

W autobusie oczy same mu się zamykały, jednak ledwie otworzył drzwi mieszkania, natychmiast oprzytomniał. Przez całą noc sen wymykał mu się jak ostatnia niesparowana skarpeta w szufladzie. Liczenie baranów było bezcelowe, ba, przynosiło efekt odwrotny od zamierzonego. Kiedy zamykał oczy, widział gromadkę dzieci przechodzących na paluszkach przez otwór w ścianie jego gabinetu. Włączył telewizor, bo co jak co, ale telewizja na ogół skutecznie go usypiała. Tym razem nawet wykłady w telewizji edukacyjnej, programy o sztuce i powtórki „Stanu wyjątkowego” nie podziałały. Koło piątej rano zasnął na kilka minut, ale obudził go donośny huk. Nie wiedzieć czemu pomyślał, że ktoś trzasnął drzwiami, okazało się jednak, że to tylko jakieś stereotypowe arabskie czarne charaktery wysadzają coś w powietrze w jakimś niezrozumiałym thrillerze. W rozpaczy zwłókł się z łóżka i przez półtorej godziny prasował, a potem napuścił sobie wody do wanny, żeby na pocieszenie się wykąpać.

*

Ten tydzień okazał się najbardziej ponurym w jego życiu. Rano w biurze góra mortensenów była co najmniej dwa razy wyższa, a na jego krześle leżał szorstki w tonie liścik od hrabiny Judy z przypomnieniem, że obiecał uporać się z tym wszystkim, zanim wyjdzie z budynku. Niestety, jego tempo pracy, dotąd żalosne, stało się wręcz śmiechu warte, ponieważ sen, który unikał go przez całą noc, teraz zwałił się na niego gniewną falą. Paul próbował wszystkiego – poczwórnej czarnej kawy z automatu, szczypania się po rękach, klucia się nożyczkami w dłonie – ale kiedy tylko skupiał wzrok na stercie mortensenów, jego oczy ani myślały pozostać otwarte. Stwierdził, że musi to być coś w rodzaju autohipnozy. Mądry wniosek, który jednak, jak się go już wysnuło, w niczym nie pomógł. Przed przerwą na lunch Julie trzy razy przyłapała Paula na drzemce i za każdym razem dowiadywał się o tym w ten sam sposób: cichy trzask drzwi i oto stała nad nim z pogardliwą miną i następnymi cholernymi wydrukami.

– Nie za dobrze ci idzie, co? – powiedziała za czwartym razem.

Nawet kiedy Paul budził się, jak Bozia przykazuje, tylko raz dziennie, było mu ciężko, bo nie należał do rannych ptaszków. Być wrywanym z objęć Morfeusza raz po raz w ciągu kilku godzin...

– Nie – wymamrotał. – Nie wiem, z czego to się bierze.

Julie cmoknęła językiem; zabrzmiało to jak trzaśnięcie obcasów pruskiego oficera na placu apelowym.

– Z tego, że się baluje po nocach i jest się niezdatnym do normalnej pracy – warknęła. – Uważaj tylko, żeby pan Tanner cię nie przyłapał. Wtedy jeszcze w tym tygodniu musiałbyś poszukać sobie nowej pracy.

Proszę, pomyślał Paul, ślicznie proszę. Ślicznie, prześlicznie, z różowym lukrem i wstążką.

– W nocy nie mogłem spać – tłumaczył się nieprzekonująco. – To pewnie z przemęczenia. A może coś złapałem.

Julie nie raczyła nawet odpowiedzieć, a Paul nie mógł jej się dziwić. Gdyby kilka razy z rzędu wszedł do gabinetu i przy każdej okazji zastawał w środku delikwenta pochrapującego z głową na biurku, też by z miejsca uznał, że go tak zmógł nadmiar nie obowiązków, lecz rozpusty.

Kiedy wreszcie przywlokła się przerwa na lunch, koczyło go, by wyskoczyć i zaczerpnąć świeżego powietrza, ale przerażająca myśl o tym, czego musiałby się nasłuchać, gdyby pod jego nieobecność wpadła hrabina Judy i zobaczyła, że ośnieżone wierzchołki Gór Mortensena są niestrzeżone, była nie do zniesienia. Pozostał na swoim stanowisku, walczył z sennością, spał. Od czasu do czasu wychwytywał urywki snów (to było tak jakby włączać ostatnie pięć minut filmu). To widział dzieci wkradające się przez drzwi, to był w głównej sali konferencyjnej (tej z blatem stołu służącym za zwierciadło prawdy) ze starym panem Wellsem, starszym wspólnikiem, któremu próbował wytłumaczyć, o co w całym tym bajzlu chodzi, ale pozostawał niezrozumiany, bo złapał

katar biurowy i raz po raz przerywał sam sobie salwami kichnięć jak z armaty. W jednym ze snów był w krainie umarłych. Jak zwykle poszedł załatwić sprawy w banku, ale Melze odłączyła się od niego i wylądowała w lochach ciotki Grendela, on zaś poleciał po pomoc i kompletnie zablądził, a teraz po asfodelowych łąkach gonilo go stado jego krewnych (z wujkiem Erniem na czele), wszyscy wyjący jak psy i dopytujący się, dlaczego nie odpisywał na listy.

– Nie, tak dalej być nie może – powiedziała hrabina Judy o ósmej tego wieczoru, kiedy Paul znowu przyznał się do porażki. – Niech pan wraca do domu, idzie prosto do łóżka, prześpi się i jutro zrobi wszystko, żeby skończyć. Więcej nic nie mam do powiedzenia.

Ale ta noc była tak fatalna, jak poprzednia i kolejna – ani chwili snu, tylko bolesna, nieznośna nuda. Następnego dnia Paul wypróbował metodę z zaczerpnięciem świeżego powietrza w przerwie na lunch i chodził dziarsko po City, aż dostał pęcherzy na piętach, ale jedyny skutek był taki, że popadł w jeszcze głębsze przygnębienie i jeszcze czarniejszą rozpacz; ilekroć mijał na ulicy dziecko albo grupę dzieci (albo za dnia było ich strasznie dużo, albo zwracał na nie większą uwagę niż zwykle), mógłby przysiąc na wszystko, co mu drogie, że rozpoznawał ich złośliwie uśmiechnięte twarze ze swoich urywanych snów. Nie musiał być lekarzem, by domyślić się, co się za tym kryje: niewyspanie i stres doprawione szczyptą nienawiści i przerażenia. Jak dotąd nie był to najlepszy tydzień w jego życiu.

Zła passa zakończyła się w piątek wieczorem. Dostał ostatnią szansę: miał pracować cały weekend i nadrobić zaległości (które już narosły do tego stopnia, że lada moment by osiągnęły masę krytyczną i zwichrowały orbitę ziemską), bo jak nie, to... i tak dalej. Pogodziwszy się z tym, że znów nie zaśnie, dla zabicia czasu postanowił pomalować sufit w salonie. Przykrył meble starymi płachtami, ustawił drabinę i zanurzył mały gąbczasty wałek w białej emulsji, gdy nagle oczy mu się zamknęły i nijak nie mógł ich na powrót otworzyć. Doszedł po omacku do przykrytej narzutą sofy – po drodze potknął się o tackę z emulsją i ją wywrócił, ale nie mógł nic na to poradzić – i runął jak długi, z wałkiem w rękę. Kiedy w końcu otworzył oczy, pokój był pełen światła, a zegarek pokazywał 9. 15.

Paul ledwo zdążył na St Mary Axe na dziesiątą, kiedy to kazano mu się tam stawić. Wciąż miał na sobie piątkowe ubranie, stylowo, choć ekscentrycznie przyozdobione wielkim białym prostokątem na lewym kolanie spodni. Hrabina Judy tylko przelotnie obrzuciła go wzrokiem, po czym przytrzymała mu drzwi i odeszła bez słowa. Nawet gobliny omijały go z daleka; ich małe grupki i całe bandy, które napotykał na korytarzach i schodach, natychmiast milkły i wycofywały się pospiesznie, co uznał za lekką przesadę. Nie trzeba dodawać, że i później żaden się do niego nie zbliżył.

Jednak za piętnaście jedenasta tego wieczoru Paul starannie odłożył ostatni wydruk na ostatni stos, z przesadną dbałością układając arkusz równo z poprzednim. Czuł, jak mózg, gotujący

się i kipiący z nudy, wyłazi mu oczami i uszami, ale co tam, ważne, że zrobił swoje i ani razu nie zasnął. Mimo wszystko nie mógł nie czuć... tak, do licha, autentycznej dumy. Podjął się czegoś absurdalnie bezcelowego i głupiego, i tego dokonał. Przechodniu, powiedz Sparcie, i tak dalej.

Wstał – jego nogi zapomniały, jak to się robi, i potrzebowały chwili, żeby sobie przypomnieć – i przez następne dwie minuty tylko wpatrywał się w rozciągający się przed nim las równych, porządných stosów papieru. Dzięki Bogu, pomyślał, że nie mam w gabinecie okna, bo w każdej komedii właśnie w tym momencie nagły podmuch wiatru rozrzuca...

Wiatr niejasne; co innego gobliny. Goblino, które panoszą się tu do woli, dziesiątki czy nawet setki złośliwych rozdokazywanych niełudzi, którzy nade wszystko chcą się dobrze bawić, najlepiej niszcząc i rozrzucając wszystko, co się da. Ta wizja była nie do zniesienia. Kiedy jednak Paul już godził się z myślą, że będzie musiał stać na czatach do poniedziałku rano, przyszło natchnienie. Wziął odznakę harcerza wodniaka, szybko wytarł ją w klapę marynarki i położył na stosie najbliższym drzwi.

Co za radość, pomyślał. Radość to co innego niż mi się wydawało przez ostatnie dwadzieścia kilka lat. To nie Boże Narodzenie, prawdziwa miłość, lody czekoladowe czy nawet wydostanie się z lochów Magicznego Ludu. Radość to ukończenie tej roboty. Coś tak prostego, a przy tym tak niewymownie cudownego.

Już miał zgasić światło, ale zawahał się, podszedł do długiej pustej ściany naprzeciwko swojego krzesła i obejrzał ją dokładnie, centymetr po centymetrze. Oczywiście nic. Żadnych zadrapań pazurami goblinów, żadnych odrobinę cieplejszych miejsc, żadnych lekko lepiących śladów po czymś, co było tam przyczepione, żadnych słabo widocznych linii ani rys wskazujących przemyślnie ukryte łączenie. Jeszcze jeden aspekt tej przemożnej radości: już w poniedziałek będzie zdrowy – nie będzie widział drzwi w nagich ścianach ani nie będzie przekonany, że zna twarz każdego żującego gumę gówniarza mijanego na ulicy. Pozostanie mu tylko radzić sobie z gadającymi rowerami, zdzierstwem prawników, Bankiem Umarłych, własnymi niedostatkami i mamą pana Tannera. No i miał wolną niedzielę.

Co za radość!

Pokręcił głową, delikatnie zamknął drzwi, żeby nie wywołać podmuchu powietrza, i poszedł do domu.

Rozdział 10

Niedziela rozplynęła się w pozbawiony snów sen. Żadnych dzieci, dziewczyn, mówiących rowerów, szarogęszących się samochodów ani w ogóle jakichkolwiek gadatliwych środków transportu. Kiedy w poniedziałek rano zadzwonił budzik, Paul wyskoczył z łóżka i stwierdził, że tak rześki i pełen energii nie był od niepamiętnych czasów. Miał wrażenie, że coś straszego dobiegło końca i nie będzie musiał więcej do tego wracać.

Stery mortensenów zniknęły z jego biurka. Na pustym blacie leżała wyrwana z małego zeszytu kartka, na której było kilka słów skreślonych modliszkopodobnym charakterem pisma hrabiny Judy.

PAC

Wyniki pracy zadowolające. U Christine dostanie Pan nowe zadanie z zakresu administracji biurowej.

JDCB

No dobrze, pomyślał Paul. Wiedział, co w JWW rozumie się pod hasłem „administracja biurowa”: przesuwanie mebli, pomoc w kserowaniu albo wymianę zapłonników w świetlówkach. Jako że każda z tych czynności była zdecydowanie lepsza od sortowania wydruków z mortensenów, praktycznie pogalopował schodami na górę, żeby się dowiedzieć, co ma robić.

– Ta szafka – wyjaśniła Christine.

Paul skinął głową.

– Jest u hrabiny di Castel’Bianco, prawda?

Christine zmarszczyła brwi.

– Tak – odparła. – Kto by pomyślał, że to wiesz. Trzeba ją stamtąd zabrać i przenieść do kasy. Tyle że na schodach sam sobie nie poradzisz.

– Mogę spróbować – rzekł, starając się przybrać ton niedożywionego chucherka.

– Żebyś zdrapał całą farbę na klatce schodowej? Nie, zadzwonię do pana Susłowicza, może będzie miał parę minut.

Ku wielkiej uldze Paula, nie zastała go. Rozmawiał z nim tylko kilka razy i przy każdej okazji pan Susłowicz wydawał się niepokojąco uprzejmy jak na członka zarządu, co jednak nie zmieniało faktu, że był szefem, a w dodatku olbrzymem (choć dość niskim).

– Cholera – powiedziała Christine – zwykle z takimi sprawami zwracam się do Benny'ego

Shumwaya. Sama bym ci pomogła, ale w zeszłym tygodniu załatwiłam sobie plecy na aerobiku, a to magiczna szafka, więc nie można jej przenieść za pomocą czarów, bo pewnie cały budynek wyleciałby w powietrze. – Przez chwilę cmokała z dezaprobatą. – Fatalna sprawa... hrabina kazała mi ją przenieść jeszcze dziś rano, mówiła, że to priorytet.

Jeśli Paula zdziwiło, dlaczego przeniesienie do kasy szafki na dokumenty jest tak istotne dla wysokiego rangą członka zarządu, to szybko przestał zaprzętać sobie tym głowę.

– Może poprosić mamę pana... to znaczy Rosie – poprawił się pospiesznie. – Przecież jest tą, no... A one chyba są dość silne, prawda?

Christine uniosła brew, ale obróciła się na krzesło w stronę telefonu i wystukała numer. Po jakiejś minucie drzwi się otworzyły i weszła niska, szczuplutka chińska piękność w jasnoniebieskiej jedwabnej sukience i dziesięciocentymetrowych szpilkach. Christine spojrzała na nią i cmoknęła językiem.

– Dzięki za pomoc – powiedziała oschle – ale raczej się przebierz. Nie chcemy, żebyś coś sobie nadwreżyła.

Śmiech mamy pana Tannera był jak odległy brzęk srebrnych dzwonek w nieruchomym powietrzu poranka.

– Wypchaj się, Chris. Takie maleństwo to ja mogę na nosie przenieść.

Paul przesunął się nieco w bok.

– W takim razie – mruknął – może w ogóle nie będę potrzebny. To ja już lepiej...

– O nie, kochanieńki – zaszczebotała mama pana Tannera. – Zawsze byłam ciekawa, jak wyglądasz cały spocony. A skoro już o tym mowa, czy jakiś dowcipniś przykręcił ogrzewanie? Wczoraj przez cały dzień było tu jak w lodówce.

Christine wzruszyła ramionami; nie jej sprawa.

– Zostawię was samych. Załatwcie to teraz, dopóki hrabina jest w sali konferencyjnej na dole z klientami... tak nie będziecie jej musieli przeszkadzać.

Myśl o wizycie w gabinecie hrabiny Judy niepokoiła Paula, ale przecież nie mógł nic powiedzieć; co gorsza, przez całą drogę po schodach i w labiryncie korytarzy musiał znosić lubieżne spojrzenie mamy pana Tannera, dość lubieżne, by wywołać co najmniej jeden atak chichotu u przechodzącej sekretarki.

– Musisz tak robić? – mruknął, kiedy oblizwała wargi po raz trzeci w ciągu tyłuż minut.

– Na litość boską, Paul, jestem goblinem – warknęła. – To jak z kotami i kawałkiem sznurka, to nie jest świadoma decyzja ani nic takiego. Myślisz, że nie mam serdecznie dosyć uganiania się za tobą? – Westchnęła. – To praktycznie obowiązek. Im szybciej się z tobą uwinę, tym prędzej będę się mogła zająć czymś innym. Jak w tych grach komputerowych, gdzie trzeba przejść śmiertelnie nudny poziom, żeby móc grać na tych ciekawych.

Nawet przez zamknięte drzwi Paul mógł poznać, że hrabiny Judy nie ma w gabinecie. To było jak różnica między zapaloną a zgaszoną żarówką. Mimo to zapukał i policzył do trzydziestu, zanim ostrożnie nacisnął klamkę.

– Szlag by to – rzekł. – To właściwy gabinet?

Mama pana Tannera zaśmiała się za jego plecami.

– Zastanów się – powiedziała.

Nagie ściany, proste deski podłogowe, stare, sfatygowane biurko ze sklejki, plastikowe krzesło i szafka na dokumenty. Paul bezwiednie stanął na progu i wybałuszył oczy.

– Ale to wyglądało zupełnie inaczej, kiedy...

– Zastanów się – powtórzyła mama pana Tannera. – Jak mówi stare przysłowie Magicznego Ludu: po co karoca, kiedy ma się dynię? Kiedy jest tu ona, gabinet wygląda jak Wersal albo... buduar kurtyzany, zależnie od gustu – miękkie meble, dawni mistrzowie na ścianach i co tam jeszcze. A kiedy jej nie ma, po co miałyby sobie zawracać tym głowę? To jak ten stary paradoks ze światłem w lodówce; w gruncie rzeczy to mówi wszystko o Magicznym Ludzie.

Paul skinął głową. To miało sens; tyle że szafka na dokumenty wyglądała identycznie jak tamtego wieczoru, kiedy ją zauważył. Liche przydziałowe biurko było wówczas bezcennym meblem w stylu Ludwika XV.

– Moglibyśmy nie zostawać tu ani chwili dłużej niż to konieczne? – powiedział. – Wiem, to brzmi idiotycznie, ale...

Urwał. Mama pana Tannera choć raz dla odmiany nie szczyrzyła się, nie patrzyła lubieżnie ani nie trzepotała nawet jedną rzęsą.

– Są dni, kiedy nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Bierz z tamtej strony i chodźmy stąd, zanim się porzygam.

Paul chwycił brzeg szafki i, na „trzy” mamy pana Tannera, usiłował ją dźwignąć.

– Cholerny świat – zaklął i wyprostował się obolały. – Ciężkie skubaństwo. Co ona w tym trzyma, na litość boską?

Mama pana Tannera spojrzała na niego spode łba.

– Są też dni, kiedy zardzewiała piła to przy tobie miecz samurajski. W takim miejscu nie zadaje się takich pytań.

Paul był zbity z tropu.

– Zardzewiała piła?

– Czyli tępa, rozumiesz?

– Aha. W takim razie nie sądzisz, że powinniśmy najpierw powyjmować szuflady, żeby łatwiej się niosło?

– Nie.

Cokolwiek mówić o mamie pana Tannera, była silna. Jak już chwyciła szafkę ze swojej strony, Paul właściwie musiał tylko pomóc nią pokierować i, kiedy dotarli na miejsce, otworzyć wolną ręką drzwi kasy.

– O, super – zaszczębiotała Melze, kiedy wnieśli szafkę tyłem. – Właśnie na to czekałam. Możecie postawić ją tam, w kącie, obok regału z książkami? Dzięki.

Chwila, pomyślał Paul.

– Czekaaś na nią? – spytał.

– Pewnie. Nie cierpię, jak sterty papierów walają się po podłodze.

Paul się wyprostował, usiłując zignorować chór protestów w jego plecach.

– Będziesz w niej wszystko trzymać?

Melze spojrzała na niego zdziwiona.

– Paul, to szafka na dokumenty. Wkłada się do niej papiery, nie uczy się jej gry na flecie ani nie zabiera się jej na wędrówki szlakiem starych, ciekawych kościołów.

– Przecież jest pełna.

Melze zaśmiała się i wysunęła szufladę.

– Wcale nie. Zobacz, pusto. Tylko martwe pająki.

Paul spojrzał na pustą szufladę, a potem na mamę pana Tannera, która leciuteńko wzruszyła ramionami.

– Cóż – mruknął Paul – proszę cię bardzo. Mam nadzieję, że będziecie razem szczęśliwe.

– Właściwie jest nie tylko dla mnie, trzy górne szuflady są na te mortenseny. Słyszałam, że świetnie się bawiłeś przy ich układaniu.

– Tak, ale za nic się nie zmieszczą w raptem trzech szufladach. Były ich całe góry...

Urwał. Melze włożyła naręcza znajomo wyglądających papierów do górnej szuflady szafki.

– Proszę, zrobione. Chyba że masz jeszcze kilka, które zostawiłeś sobie na czarną godzinę.

– Tak po prostu? – wyszeptał, ale Melze tylko wzruszyła ramionami.

– Ile włożysz, tyle wejdzie – powiedziała (i, ku zaskoczeniu Paula, mama pana Tannera nie skomentowała tego nawet jednym słowem). – To co, idziemy dziś na lunch? – dodała, może trochę zbyt niedbale.

Paul już miał coś powiedzieć – prawdopodobnie „tak” – kiedy mama pana Tannera wpełchnęła się przed niego i stanęła między nim a Melze.

– Przykro mi, ale jest zajęty. Poszukaj sobie innego.

– Na litość boską! – rzucił Paul. Na tym jednak skończył, bo w tej chwili mama pana Tannera walnęła go łokciem, bardzo subtelnie i bardzo skutecznie, w splot słoneczny. Zrobił parę kroków do tyłu i chwilę pomyślał o życiu, podczas gdy Melze i mama pana Tannera wpatrywały się w siebie jak dwie korporacje międzynarodowe bawiące się we wrogie przejęcie. Melze

pierwsza odwróciła wzrok.

– Dobrze – wymamrotała. – Może jutro.

Szczęka mamy pana Tannera, dotąd przypominająca Mount Rushmore, teraz rozluźniła się i ułożyła w klasyczny szeroki uśmiech.

– Jak ci się przyśni. – Nie wiedzieć czemu, to zdeprymowało Melze, która odwróciła się do nich obojga plecami i mruknęła coś o tym, że ma dużo pracy. Mama pana Tannera chwyciła łokieć Paula dłonią jak szczyptę samozaciskowe i wyprowadziła go za drzwi.

– Nic nie mów – nakazała głosem, którym można by ostrzyć stal węglową. – Ani słowa, jasne?

Paul wciąż był zbyt głęboko zainteresowany tym, kiedy przestanie boleć, więc się z nią nie spierał. Wytłumaczę to wszystko Melze później, stwierdził, jak już czerwone i zielone światełka nie będą mi mrugać pod powiekami.

Nie odzywali się do siebie, kiedy mama pana Tannera prowadziła go schodami na dół. Jeszcze powinniśmy mieć płaszcze przewieszane przez ręce, pomyślał Paul. Na parterze puściła jego łokieć.

– No dobrze – mruknęła – może nie powinnam była wałnąć tak mocno. Ostatnio trochę straciłam wyczucie, jeśli chodzi o siłę ciosów. Ale musisz mi coś obiecać. Ten jeden raz, tylko przez następnych kilka dni, postaraj się myśleć swoim mózgiem, a nie...

I kto to mówił! Tego już było dla Paula zdecydowanie za wiele.

– Proszę – powiedział z (miał nadzieję) lodowatą uprzejmością – zostaw mnie w spokoju. Na zawsze.

Patrzyła na niego, kręcąc głową.

– Sama nie wiem. Dlaczego ja zawsze muszę wybierać żalodne niedojdy?

Poszła, zanim znalazł odpowiedź.

*

Reszta tygodnia była wręcz podejrzenie spokojna. Z pozostałych działów przyszła seria zapytań o sprawy związane ze zwalczaniem szkodników; Kazik Susłowicz przysłał notatkę z prośbą o radę, jak przegonić przynoszącego pecha smoka z placu budowy wartego wiele miliardów dolarów centrum handlowego w Singapurze (odpowiedzią, o dziwo, było otoczenie terenu szpagatem ogrodniczym unurzonym w kreozocie, którego zapachu przynoszące pecha smoki nie znoszą); pan Tanner wysłał do Paula Christine z aktami klienta i poleceniem, by znalazł tani

sposób zwalczania plagi nimf wodnych w basenie obozu młodzieżowego na północnym wybrzeżu hrabstwa Lincolnshire (Paul trzy godziny na próżno szukał informacji o nimfach wodnych w regulaminie organizacji pracy w biurze; w końcu, sfrustrowany, nagryzmolił na okładce teczki „Rekiny?” i poszedł na lunch; kiedy wrócił, teczka zniknęła, a na jej miejscu leżała odręczna notka od pana Tannera treści „Dobra myśl, dzięki”); wreszcie nie kto inny, jak profesor van Spee we własnej osobie wezwał Paula do siebie i poprosił o pomoc w napisaniu listu do klienta zainteresowanego tym, które odmiany czosnku najlepiej odstraszą poszczególne gatunki wampirów. Na szczęście Paul pamiętał, że widział w szufladzie biurka Benny’ego Shumwaya katalog ogrodniczy, z którego wystawały żółte karteczki samoprzylepne. Zaczekał, aż Melze wyjdzie (sam nie wiedział czemu), wkradł się do środka i zabrał go. Tak jak na to liczył, Benny nagryzmolił obszerne notatki na marginesach. Dzięki temu Paul mógł powiadomić klienta profesora, że odmiany Fleur de Lys i White Pearl działają tak samo skutecznie przeciwko zwyczajnym wampirom żerującym nocą, za to Mersley White i Sultop są preferowane na obszarach występowania rzadszych, słońcoodpornych gatunków.

– Doskonale – pochwalił go profesor, kiedy przeczytał mu brudnopis listu. – Wygląda na to, że w krótkim czasie opanował pan dyscyplinę powszechnie uważaną za trudną, co dowodzi, że ma pan do tego wrodzony talent. Radzę, aby po zakończeniu praktyk w pozostałych działach rozważył pan wyspecjalizowanie się w zwalczaniu szkodników.

Ta nieoczekiwana pochwała uderzyła Paula mocniej niż łokieć mamy pana Tannera. Uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

– Wolałbym nie – wymamrotał. – Chociaż dziękuję. Jak dla mnie za dużo... no, zabijania i tak dalej. Ze śmiertelnym niebezpieczeństwem też pewnie bym sobie nie radził za dobrze.

– Tak pan sądzi? – Profesor wydawał się niemal rozbawiony. – Ja mam wrażenie, że przez ostatnie kilka tygodni radził pan sobie z nim wprost znakomicie.

– Cóż, tak naprawdę przeszkadza mi głównie zabijanie, więc... – zaczął Paul, gdy nagle w pełni dotarło do niego znaczenie słów profesora van Spee. Urwał i jego usta rozdziawiły się jak tylna kłapa ciężarówki, z której wypadają fajne rzeczy. – Słucham?

Profesor uniósł brew.

– Ależ panie Carpenter, doskonale pan wie, co mam na myśli. I muszę przyznać, że... – dodał, podsuwając okulary w górę i przecierając oczy – nie jestem pewien, czy na pańskim miejscu byłbym w stanie wykazać się takim hartem ducha. Może pan wątpi w swoją odwagę, ale ja nie. Miłego dnia.

Nie wiedzieć czemu, jak już się zostało odprawionym przez profesora, nie dało się zostać w jego gabinecie; równie dobrze można by próbować się oprzeć sile grawitacji. Paul w oszołomieniu powlókł się do swojej kanciapy i przez resztę popołudnia wpatrywał się w drzwi, rozpaczliwie

usiłując nie myśleć o tym, co właśnie usłyszał.

Oczywiście, pomyślał gorzko, akurat dziś musi być cholerny piątek. Teraz będę miał cały weekend na to, żeby chować się w domu i trząść gaciami. Fajnie będzie, co? Przynajmniej kiedy jestem tutaj, mogę się zająć pracą czy czym tam jeszcze i może, gdyby mnie napadnięto i zacząłbym drzeć się na całe gardło, ktoś przyszedłby mi z pomocą. Za to w domu...

Szybko zaciągnął hamulec ręczny swojego umysłu. Nie bądź głupi, powiedział sobie, ten problem jest rozwiązany... dzięki drogiemu, zacnemu, dzielnemu, mądrymu, troskliwemu wujkowi Erniemu, który zadał sobie wiele trudu, by przekazać mi w spadku tę nadzwyczaj użyteczną odznakę harcerza wodniaka. Jeśli jakieś paskudztwa przyleżą w środku nocy, wystarczy pomachać im nią przed nosami (o ile mają nosy, rzecz jasna) i pierzchną jak szczury po rynnie. Tylko pomyśleć: ja tu nerwy tracę ze strachu, a przez cały czas mam rozwiązanie pod ręką, w kieszeni.

Właśnie że nie.

Krótki atak paniki, a po nim szczegółowe przeszukanie kieszeni, podłogi, szuflad biurka, jeszcze raz kieszeni. Właśnie obmacywał podszewkę marynarki na wypadek, gdyby odznaka wpadła pod nią przez jakąś małą dziurę, kiedy przypomniał sobie, gdzie widział ją ostatnio: na stosie wydruków z mortensenów, gdzie ją położył, żeby odstraszała gobliny. To było tydzień temu i od tej chwili nie miał jej w ręku ani nawet o niej nie myślał.

Był cień szansy, że spadła na podłogę i przypadkiem kopnięta wylądowała pod biurkiem, ale szybko wyzbył się tej nadziei. A zatem oczywisty wniosek był taki, że ktoś ją zabrał – albo ot tak, z czystej kleptomanii, albo dlatego, że chciał ją zatrzymać, albo po to, by nie miał jej Paul. Nie przewidziano nagród za odgadnięcie, ku której hipotezie się skłaniał.

Droga do domu tego wieczoru była, bez ryzyka przesady, przerażająca. Co rusz ktoś stawał mu za plecami; w sumie to nic niezwykłego w Londynie w godzinach szczytu, ale Paul nie miał jak stwierdzić, czy któryś z lemingów drepczących chodnikiem obok niego lub napierających nań w autobusie nie był aby goblinem w przebraniu, zmiennokształtnym zabójcą z Magicznego Ludu czy choćby wyrośniętym krasnoludem. A jakby tego wszystkiego było mało, przepaliła się żarówka na klatce schodowej i musiał skradać się do swojego mieszkania w ciemności tak gęstej i groźnej jak nic, z czym miał do czynienia w trakcie wpłacania utargu do Banku Umarłych. Kiedy w końcu udało mu się zamknąć drzwi na świat zewnętrzny i przeprowadził drobiazgowo przeszukanie swojego mieszkania, z latarką w jednej ręce i jego najbardziej śmiertcionośną bronią (czyli nożem do sera, którego rodzice nie zabrali na Florydę) ściśniętą w drugiej, zamknął drzwi na zamek i łańcuch, po czym rymnął jak długi na sofę.

Dziesięć minut później przestał się trząść i poczuł się trochę głupio. Dotąd do głowy mu nie przyszło, że profesor van Spee mógł po prostu z niego zażartować. Owszem, nie wyglądał, jakby miał poczucie humoru, na tej samej zasadzie, na jakiej lwy nie wyglądają, jakby miały różowe

skrzydła, ale czy to nie bardziej prawdopodobne niż to, że komuś chciałoby się zadać sobie trud zabicia jego skromnej osoby? Niby kto miałby to zrobić? Po co zabijać kogoś, kto w całym swoim życiu nic nie znaczył, zwyczajnego sortowacza mortensenów i pólciatowego asystenta przesuwacza szafki na dokumenty? No właśnie. Żadnego motywu. Przejął się nieudanym żartem i własnym żalnym tchórzostwem. Zmęczony, powlókł się do kuchni i zamienił nóż do sera (teraz, kiedy uczynił z niego swoją broń, powinien nadać mu stosowną nazwę; może Pogromca Edamskiego albo Postrach Cheddar) na otwieracz do puszek i przyrządził sobie dość bezpłciową porcję grzanki z fasolą w sosie pomidorowym. Potem usiadł, żeby obejrzeć wiadomości.

Same zwyczajne, codzienne sprawy. Banalne skandaliki, standardowe przestępstwa, krzepiąco znajome kłamstwa polityków. Nic o wojnie domowej wśród Magicznego Ludu, wilkołakach w Surrey czy uwolnieniu zakładników z lochów ciotki Grendela. Nic ciekawego...

Okno salonu eksplodowało zamiecią odłamków szkła. Coś dużego i ciężkiego wpadło do środka; coś żywego, zaplątanego w zasłonę jak ofiara na arenie w sieć gladiatora. Szyna i karnisz wyleciały ze ściany i szamoczący się tłumok runął na względnie nowy stolik z Ikei, roztrzaskując go w drobny mak. Paul zaczął się wycofywać, aż drogę zagroziła mu przekłeta ściana. Istota podskakiwała na podłodze jak nieudolny sztukmistrz usiłujący uwolnić się z więzów, walczyła z zasłoną i osiągała tylko tyle, że zaplątywała się jeszcze bardziej. W końcu znieruchomiała na całe półtorej sekundy – dość czasu, by uciec, pod warunkiem że nogi nie odmawiają posłuszeństwa, a Paulowi akurat odmówiły. Nastąpił odgłos darcia i cięcia i przez zasłonę przebił się jasny stalowy język niby dziób kurczaka wykluwającego się z jaja. Paul patrzył z przerażeniem, ale i fascynacją, jak ostry szpic rozcina tłumok. Oglądał masę filmów science fiction, w których potwór z innej planety wydobywa się z oślizłego kokonu, po czym zrywa się na równe nogi, czujny, gigantyczny i gotowy siać zniszczenie. Pojęcia nie miał, że to tak naprawdę były filmy przyrodnicze.

Jednak tym, co z wysiłkiem wygramoliło się z poczwarki z materiału, nie była wielooka poczwara z czarnym pancerzem. To był Ricky Wurmtoter, ubrany w nienaganny strój wieczorowy, choć bez butów ani skarpet, z mieczem w ręku. Podźwignął się na kolana, podniósł głowę i na widok Paula uśmiechnął się szeroko.

– Dzięki Bogu! – wysapał. – Nie pamiętałem, czy mieszkasz pod trzydziestym szóstym czy trzydziestym ósmym. – Potem zamknął oczy i powoli przewrócił się na bok, przy okazji demolując podnózek.

– Pan Wurmtoter? – szepnął Paul.

– Proszę, mów mi Ricky. – Pan Wurmtoter wyciągnął lewą rękę i po omacku szukał upuszczonego miecza. – Co słychać? Dawnośmy się nie...

– Dobrze się czujesz?

Ricky Wurmtoter odpowiedział dopiero po chwili.

– Właściwie nie. Mam guza na głowie, pewnie ze dwa złamane żebra, parę dziur w miejscach, gdzie raczej być ich nie powinno, i widzę cię w trzech postaciach, wirujących jak wiatrak. Ogólnie czuję się fatalnie jak diabli. A ty?

– Dziękuję, dobrze – odparł Paul automatycznie. – Może wezwać lekarza? To znaczy, nie, przepraszam. Nie ruszaj się, zadzwonię po...

Ricky pokręcił głową.

– Proszę, nie. Nie lubię szpitali. – Uniósł głowę i Paul zobaczył, że jego policzek przecina pięć poszarpanych, równoległych linii zakrzepłej krwi. – Boję się igieł. Będzie dobrze, jak tylko wytrzasnę skądś apteczkę. Nie masz jakiejś pod ręką, co?

– Przykro mi, mam tylko aspirynę i plastry. W szafce w łazience był kiedyś syrop, ale chyba należał do Sophie, bo zabrała go, kiedy mnie zostawiła. Kurczę, znowu plotę bzdury.

Ricky się zaśmiał, wyciągając z dłoni okruchy szkła.

– Nieważne – powiedział z lekko histeryczną nutą w głosie, która przeraziła Paula. – Tak naprawdę potrzeba mi kilku litrów naprawdę mocnej czarnej kawy. – Zawiesił głos i w jego oczach zagościł autentyczny strach. – Chyba masz kawę, co?

– Tak mi się zdaje...

– Prawdziwą, nie bezkofeinową?

– Hm – mruknął Paul. Miał już do czynienia z kawoszami snobami, takimi, co to patrzą na człowieka jak na krowi placek tylko dlatego, że nie ma Lavazzy Double Espresso czy Jamaican Red Mountain hodowanej na południowym zboczu wzgórza zwróconym w stronę morza. – Tylko rozpuszczalną. Nescafe – wyznał cichutkim głosem.

– Doskonale! – Pan Wurmtofer wyraźnie się odprężył. – Wiesz co? Pokaż, gdzie co jest, a sam ją sobie zrobię.

Przepis Ricky'ego na porządną kawę wyglądał następująco: wsypać pół kubka sproszkowanej kawy i dodać tylko tyle zimnej wody, żeby powstał syrop.

– Dzięki – westchnął po trzeciej porcji. – Od razu lepiej.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział Paul. – Hm, miło znów cię widzieć.

Ricky oparł się o blat kuchenny, po czym powoli osunął się na podłogę.

– Zrób coś dla mnie. Przynieś mój miecz, co? Bo na razie jakoś nie bardzo mi się chce wstawać.

Racjonalne wytłumaczenie, pomyślał sobie Paul, kiedy podniósł miecz kciukiem i palcem wskazującym, jakby wyjmował niedopałek z mleka. Gość w stroju wieczorowym wpada przez okno, tnie się na strzępy, ale zdaje się nie czuć bólu, upada i żąda bardzo mocnej czarnej kawy. Sherlock, Hercules i cała reszta nie musieliby długo się nad tym głowić: pan Wurmtofer oblewał swoje uwolnienie napojami powszechnie uważanymi za wysokokowe i nie czuje się dobrze. Ale

Paul widział w życiu tylu wesołych pijaków, że starczyłoby ich na obsadę niejednych juwenaliów, i Ricky nie był pijany.

Miecz wyglądał zupełnie jak miecz-czysta stal, umazana jakąś czerwonawoczną mazią, z kilkoma dużymi szczerbami na klindze. Trzymając go na odległość ramienia, Paul wrócił do kuchni.

– Pewnie ciekawi cię – wymamrotał Ricky – skąd ten wieczorowy strój.

Faktycznie, Paul właśnie nad tym się zastanawiał.

– Dokądś się wybierałeś?

Ricky skinął głową.

– Parę tygodni temu? Nie pamiętam, ile czasu minęło. Traci się rachubę, to normalne. Miałem iść na jakąś durną uroczystość rozdania nagród... jak się pewnie domyślasz, w branży bohaterskiej jest ich od groma, co rusz jakiś upierdliwiec w smokingu lata za tobą z nagrodą pisma „Która zbroja?” za całokształt dokonań w dziedzinie zwalczania mantykor czy innym badziewiem. W każdym razie wysiadam sobie z limuzyny, szczerzę się do kamer i w ogóle, a tu nagle bierze mnie straszna senność. Kurde, myślę sobie, znowu się zaczyna. Budzę się w mroku, wokół nic, tylko szuranie szcurów, kapanie wody, znasz klimat. – Zaśmiał się piskliwie. – Nie cierpię takich sytuacji, czuję się wtedy jak idiota, wiesz? Tak czy owak, pomyślałem o tym, miałem od groma czasu na myślenie, i doszedłem do wniosku, że ktoś z biura musiał mi dosypać czegoś do herbaty. Pytanie kto. Mogły to być tylko dwie osoby, a nie wyobrażam sobie, by którakolwiek z nich... – Zmarszczył brwi i potrząsnął głową, jakby po to, żeby oprzytomnieć. – Ale ogólnie biorąc – ciągnął – z dwóch mało, ale to bardzo mało prawdopodobnych kandydatów ty jesteś trochę bardziej wiarygodny, ot, ociupinkę. – I z taką szybkością, że Paul nic nie zauważył, Ricky zerwał się na nogi i przyłożył szpic miecza do jego podbródka. Zakłuło. – Ty to zrobiłeś?

Paul chciał odpowiedzieć: „Oczywiście że nie, nie gadaj głupot”, ale wyszło z tego: „Piiii”. Miał wielką nadzieję, że pan Wurmtofer biegle zna nieartykułowane dźwięki.

Minęły dwie, może trzy sekundy, po czym Ricky opuścił miecz i runął z powrotem na podłogę jak wór kości.

– To nie mogłeś być ty – rzekł cicho. – W takim razie... – Miecz wysunął się z jego dłoni i brzęknął o płytki ceramiczne. – W takim razie niczego mi nie dosypał. Nie mogę uwierzyć, że posunąłby się do tego... – Oczy mu się zamykały, głowa opadała na bok. – Proszę – szepnął – nie daj mi zasnąć. To bardzo ważne, naprawdę.

– Jasne – wymamrotał Paul. – Ale, hm, jak?

– Zimna woda. Lej. Proszę.

Paul napełnił rondel wodą z kranu, myśląc: Cóż, jak często się zdarza, że szef chce, żebyś go polał zimną wodą? Chlusnął.

– Dzięki. – Ricky otrząsał się jak mokry pies. – Dużo lepiej. Bardzo mi pomogłeś. Jak tak dalej pójdzie, nominują cię do przyszłorocznego Parsia dla Najlepszego Giermka.

– O rany – powiedział Paul matowym głosem. – Hm, Ricky, mógłbyś mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? Bo właśnie... – Zawahał się, niezdolnie zaintrygowany. – Parsia?

– To nazwa nagrody, skrót od Parsifal – wyjaśnił Ricky. – Przyznają ją na Festiwalu Bohaterów w Scunthorpe. W branży uchodzą za dobry prognostyk przed nagrodami Freddie, aleja w tym cyrku nie uczestniczę, chyba że mnie nominują.

– Jasne – mruknął Paul.

Ricky Wurmtoter ziewnął.

– Mógłbyś zrobić mi jeszcze kawy? Tym razem proszę trochę mocniejszą. Poprzednia chyba przestaje działać.

Kawy zostało już tylko na cztery kubki, ale Ricky stwierdził, że to powinno wystarczyć do czasu otwarcia Starbucksa.

– Bo widzisz, nie wolno mi znowu zasnąć. To niezmiernie ważne. Sprawa życia i śmierci.

Aha, dobrze, pomyślał Paul; tylko że...

– Jesteś pewien, że to wskazane? – powiedział. – Czy kofeina nie szkodzi na wstrząs mózgu?

Ricky spojrział na niego, jakby nie miał pojęcia, o czym Paul mówi; aż w końcu parsknął śmiechem.

– Wierz mi, wstrząs mózgu to w tej chwili najmniejsze z moich zmartwień. Nie, zasnąć nie mogę dlatego, że nie wolno mi snić. Nigdy więcej snów, nigdy, przenigdy. Wszystko zrobię, żeby ich nie mieć. Starczy mi ich do końca życia. – Podniósł głowę. – Słyszałeś o snach, mam nadzieję? O snach, Magicznym Ludzie i całym tym kramie?

Przychodzi taki moment, kiedy człowiek daje za wygraną i uznaje, że nie ma co dłużej być dzielnym.

– O snach – powtórzył Paul. – Tych takich, które się ma, kiedy się śpi?

– Oczywiście – odparł Ricky z zachmurzonym czołem. – Cholerny świat, nikt cię nie uprzedził, kiedy cię przyjęli do firmy? Chcesz mi powiedzieć – ciągnął ze stopniowo narastającym wzburzeniem – że przez cały ten czas radośnie kładłeś się do łóżka, zasypiałeś i śniłeś, jakby nie było się czym przejmować, i nawet nie znasz podstawowych środków bezpieczeństwa?

Paul myślał chwilę.

– A jest się czym przejmować?

– Żarty sobie stroisz? To sny, na litość boską! To tak jakbyś powiedział: „Co złego się stanie, jeśli wskoczę do basenu pełnego nitrogliceryny z zapaloną laską dynamitu w rękę?”. Sam nie wiem, ze wszystkich durnych, nieodpowiedzialnych...

– Och, daj spokój – zachnął się Paul. – Owszem, ostatnio miewam dziwne sny, ale przecież nie mogą mi chyba zaszkodzić, co? Przecież to tylko obrazy odtwarzane w podświadomości, mam rację? Jak człowiekowi, który sobie spokojnie śpi, może się stać coś złego?

Ricky nie mógł wydobyć z siebie głosu. Kiedy wreszcie się odezwał, był zatrzęsająco spokojny.

– Jak umiera większość ludzi?

To nie zapowiadało się dobrze.

– Ze starości? – zaryzykował Paul. – Od chorób?

– Większość ludzi – odparł cicho Ricky – umiera we śnie. – Na chwilę odwrócił twarz, po czym znów spojrzał na niego. – Sen jest trochę jak woda, nic ci nie grozi, dopóki nie spróbujesz nim oddychać. Słuchaj, jestem raczej odważny. Nie musisz wierzyć mi na słowo, na dowód mam cały regał gongów i innych takich, od nagrody dla najdzielniejszego nowicjusza 1987 roku w oczach czytelników „Miesięcznika Bohatera” po nagrodę Freddie dla najlepszego śmiałka 2003 roku. – Zawiesił głos, wdzięcząc się tylko odrobinę. – Ale wiesz, jest coś, co przeraża mnie tak straszliwie, że nawet nie mogę o tym myśleć. Boję się, że umrę we własnym łóżku, z zamkniętymi oczami, we śnie. Znam Magiczny Lud i ufam im mniej więcej tak jak odbezpieczonemu granatowi. Teraz rozumiesz?

– Nie.

– Och, na litość... – Ricky opanował się z wysiłkiem. – No dobrze, po kolei. Słyszałeś o Magicznym Ludzie, prawda? Czym są. Skąd pochodzą.

Paul pomyślał.

– Nie.

– Dobrze. – Ricky oparł się wygodniej o boczną krawędź drzwi lodówki. – Magiczny Lud to sny, Paul. Budzą się do życia, kiedy osoba rzeczywiście istniejąca widzi ich we śnie. I w normalnych okolicznościach tylko tam mogą żyć, w naszych snach. Pod pewnymi względami jest im tam dobrze. Nie muszą jeść, spać ani pracować, nie starzeją się, nie chorują, nie muszą zaprzętać sobie głowy związkami, intrygami biurowymi, wyrzutami sumienia czy nawet śmiertelną nudą. Jak już ich stworzymy, ogólnie biorąc, mogą we śnie być, kim tylko zechcą. Nie są jednak w stanie żyć poza tym komiksowym dymkiem, który powstaje nad nami, kiedy śpimy. I muszą mieć kogoś, kto będzie ich śnił, śnił nieustannie, bo inaczej zrobią „pyk!” i znikną. W pewnym sensie są jak umarli, którzy istnieją tylko dopóty, dopóki ktoś o nich pamięta. Tyle że Magiczny Lud nigdy tak naprawdę nie istniał, nie byli materialni ani rzeczywisti, są tylko obrazami w czyimś umyśle. Dlatego są tacy rozgoryczeni, a przez to niebezpieczni.

– Aha – powiedział Paul. Wydawało się to jedynym stosownym komentarzem w tych okolicznościach.

– Niebezpieczni – powtórzył Ricky. Teraz chyba już mówił głównie do siebie. – Co nie miałyby znaczenia, gdyby nie to, że są tak cholernie sprytni i zaradni. Dawno odkryli, że kiedy jeden z nas umiera, śniąc sen, to powstaje szczelina, przez którą, jeśli się pospieszą, mogą się prześliznąć i zamienić miejscami z umierającym. Oni stają się poniekąd rzeczywistości, a umierający zostaje uwięziony w ich królestwie. Nie spodobałoby ci się tam, Paul. Ja tam byłem. Nieprzyjemne miejsce. – Wziął dwa głębokie wdechy. – Wiesz, dlaczego moi przodkowie, wikingowie, tak rwali się do tego, żeby ginąć na polu bitwy? We śnie nie można walczyć. Dużo bezpieczniej dać sobie rozplatać łeb toporem.

– Rozumiem – skłamał Paul. – Dlatego niebezpiecznie jest zasypiać.

– Między innymi. To jeszcze nie wszystko. Powiedziałem, że jeśli się tu wkradną, kiedy ktoś umiera, poniekąd mogą istnieć. Bardzo poniekąd. Nadal potrzebny jest im ktoś, kto by ich śnił. Dopóki są śnieni, mogą chodzić, rozmawiać i funkcjonować tutaj, w świecie rzeczywistym. Co znaczy, że nie mogą pozwolić, by ten, kto ich śni, się obudził, bo wtedy wróciliby tam, skąd przyszli, i więcej nie mieliby szans się stamtąd wydostać. Dlatego ci, którzy uciekli, nie znają skrpułów. Nie zawahają się przed niczym, byle tylko nie dać się odesłać do swojego świata. A jeśli to oznacza dorwanie jakiegoś nieboraka i uśpienie go do końca życia... to jak śpiączka, można powiedzieć, tyle że jeszcze gorsze, bo przez cały czas czujesz, co się z tobą dzieje... cóż, im to bez różnicy. Taki właśnie jest Magiczny Lud, Paul. Elfy to pasożyty, drapieżcy i jeśli cię dopadną, to dużo, dużo gorsze od śmierci, wierz mi.

– Ale to... – Paul pokręcił głową. – To okropne. Chociaż... zaraz. Hrabina jest jedną z nich, prawda?

– Więcej. Jest ich szefem, królową. Tak jest napisane w nagłówku na papierze firmowym, jeśli tego nie zauważyłeś.

– Cholerny świat! Ale jeśli jest taka zła, taka niebezpieczna, dlaczego, do licha, czegoś z tym nie zrobicie? Nie przebijecie jej serca kołkiem czy coś.

Ricky uśmiechnął się blado.

– Z kilku powodów. Główny chyba jest taki, że rocznie przynosi nam jakieś siedem i ćwierć miliona dolarów. Koniec końców prowadzimy interes, a koszty ciągle rosną. Weźmy choćby taki podatek od nieruchomości...

Paul wydał zduszony odgłos, po czym zmusił się do zachowania spokoju.

– W porządku, teraz już wiem, czym jest ten cholerny Magiczny Lud. Ale to nie tłumaczy, czemu tak niebezpiecznie jest zasypiać. Dlaczego mieliby polować właśnie na mnie?

– Potrafisz śnić. Co więcej, wychodzi ci to całkiem nieźle. Domyślam się, że dlatego Judy tak zależało na tym, żeby cię zatrudnić, kiedy przyszedłeś na rozmowę kwalifikacyjną. Potrafi wyczuć dobrego śniącego ze stu kilometrów pod wiatr. Są pewne sposoby, żeby się zabezpieczyć,

zaklęcia, talizmany i tak dalej, ale wygląda na to, że nikt ci o tym nie powiedział. To mnie martwi, wiesz?

– Martwi cię – powtórzył Paul jak echo.

Ricky skinął głową.

– Nawiasem mówiąc, nie myśl sobie, że są w stu procentach pewne – dodał. – Nie są, w przeciwnym razie nie musiałbym wypić ci całej kawy. Ale działają jak alarm przeciwwłamaniowy. Na ogół wystarczają, by przekonać Magiczny Lud, że szkoda na ciebie zachodu, i skłonić ich, by sobie poszli i czepiali się kogoś innego. Ale jeśli się na ciebie uwezma, trudno się przed nimi obronić. To tak jakby zamykać drzwi na łańcuch przed intruzami, którzy mają taran. – Znów ziewnął, tym razem tak potężnie, że mógłby połknąć prom pasażerski. – Muszę już iść. Dopóki tu jestem, grozi ci niebezpieczeństwo... choć kiedy sobie pójdę, nie będziesz dużo bardziej bezpieczny, ale zawsze warto zwiększyć swoje szanse o te kilka punktów procentowych... no i muszę załatwić sporo spraw, zanim w poniedziałek przyjdę do pracy. – Zmarszczył brwi i na jego twarzy odbił się wysiłek, jakiego wymagało od niego skupienie uwagi. – A propos, jak ci poszło z tą wiwerną w bankomacie?

– Usiadłem na niej.

– Brawo – powiedział Ricky z roztargnieniem. – Nie kijem go, to pałką, a jak pałki nie ma, to wszystko jedno czym, byle skutecznie. Są tu tylne drzwi albo wyjście przeciwpożarowe?

– Nie, to znaczy, nie sędzę. Nigdy takiego nie widziałem, ale...

– Mniejsza o to. Masz jakiś sznur?

Ostatecznie Paul związał pasek od swojego szlafroka z zapasowym paskiem do spodni i przedłużaczem od suszarki Sophie (wzięła suszarkę, przedłużacza nie) i trzymał ile sił, Ricky zaś zsunął się po tym prowizorycznym sznurze z okna łazienki na płaski dach w dół. Machnął ręką na pożegnanie i zniknął w ciemności. I tyle go widziano.

Jezu! – pomyślał Paul. Ponieważ kawa mu się skończyła, zaparzył sobie herbatę. To, co powiedział mu Ricky, wystarczyło, by po piętnastokroć wystraszyć go na śmierć. Dlatego rozsądek nakazywał pomyśleć o czymś innym. Poza tym, żeby nie wiadomo co, do końca życia nie wolno mu było zasnąć. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Zamknięcie oczu nawet na ułamek sekundy nie wchodziło w grę. Strefa zakazu spania. Powiedz „nie” i już.

Chrrr...

Śniło mu się, że siedział przy stole kuchennym, z głową złożoną na ramionach, i twardo spał, z nietkniętym kubkiem mocnej słodkiej herbaty kilkanaście centymetrów od jego lewego łokcia. Śniło mu się, że podczas gdy spał, przez wybite okno weszła hrabina Judy di Castel’Bianco, a za nią kilkanaścioro bardzo wysokich, bardzo jasnowłosych dzieci w pelerynach i kapturach, niosących dziwne przedmioty, których nie rozpoznał, ale z których każdy, wiedział to

na pewno, był taką czy inną bronią. Byłoby miło, gdybym mógł się teraz obudzić, pomyślał, kiedy hrabina Judy stanęła nad nim, złapała go za włosy i podniosła jego głowę. Jak ja, do licha, mogę spać w trakcie tego wszystkiego? – zastanawiał się. Takie ciągnięcie za włosy musi boleć jak cholera, powinienem obudzić się z wrzaskiem. Ale nic z tego, patrzył, jak Judy przechyliła jego głowę, odsłaniając szyję, i wyciągnęła drugą rękę w bok. Jedno z dzieci bez słowa podało jej długi, cienki nóż. Co Ricky mówił o umieraniu we śnie? Judy ułożyła jego głowę dokładnie tak, jak jej pasowało, z wprawą, która musiała wymagać długich, zmuśnych ćwiczeń. Szukała... tej, jak jej tam... jako że głowę miał pełną snów, Paul nie mógł znaleźć właściwego słowa – że... zu... rzeżuchy? Nie, to taka roślina, chodziło o co innego, że... ży... żyły, o właśnie, szukała żyły szyjnej. Dużo czasu jej to nie zajęło. Nóż wyglądał na bardzo ostry. To dobrze, prawda? *Niczego nie poczujesz. Obiecuję.*

Szkoda, pomyślał. Moje życie było jak wypożyczona z biblioteki książka, do której lektury człowiek zabiera się dopiero tuż przed terminem oddania, i za parę sekundę będzie po wszystkim. Nie żebym kiedykolwiek miał coś z nim zrobić, coś, co nadałoby mu sens i zmieniło świat na lepsze. To było po prostu życie, na ogół nudne albo straszne. Mimo to jeszcze nie skończyłem, a kelner już przyszedł uprzątnąć brudne talerze. Żałosne, naprawdę. I oto jej dłoń już była na jego ramieniu, ścisnęła jak zwornica, potrząsała nim...

– Obudź się! – krzyknął mu nad uchem Ricky Wurmtoter. – Wstawaj, do jasnej... No, już lepiej. A teraz spójrz na mnie.

Paul otworzył oczy.

– Umarłem? – spytał.

– Tylko od szyi w górę. Cholerny świat, Paul, co ci mówiłem o zasypianiu?

– To była... Przepraszam. – Paul podźwignął się nieporadnie jak nowo narodzone źrebie i na rozjeżdżających się nogach pognał do łazienki, gdzie zwymiotował ze spektakularnym wigorem, choć do celności można było mieć zastrzeżenia. – Ona tu była – mruknął, wycierając rącznikiem twarz i szyję. – Chciała mnie...

– Daruj sobie szczegóły – powiedział Ricky, krzywiąc się. – Dobrze się złożyło, że zapomniałem tego i musiałem wrócić – dodał, pokazując Paulowi miecz. – Aha, i po drodze kupiłem ci to w nocnym. – Ostrożnie postawił na blacie stołu wielki słój granulek kawy Douwe Egberts. – Jako że od tej pory w zasadzie tylko tym będziesz się żywił, pomyślałem, że powinienes mieć kawę, która nie smakuje jak bitumin rozpuszczony w szczynach. Ja na twoim miejscu sprawiłbym sobie porządną kafetierę i Whittard Mocha. Nie na wszystkim warto oszczędzać.

Paul skinął głową.

– Dzięki. Teraz... teraz ci wierzę. Ale dlaczego miałyby chcieć mnie zabić? Nigdy nie zrobiłem jej nic złego.

Ricky patrzył na niego dziwnie.

– Jesteś pewien? Może jest zupełnie odwrotnie. Może oddałeś jej wielką przysługę, zrobiłeś coś dla niej korzystnego. Co znaczyłoby – myślał na głos – że jesteś jej współnikiem.

Paul zdębiał.

– Jak to?

– Współpracowałeś z nią, o to mi chodzi. A przynajmniej coś widziałeś. Magiczny Lud przywiązuje piekielnie wielką wagę do szczegółów. Robiłeś coś dla niej ostatnio w biurze?

– Tak się składa, że owszem. Na jej polecenie prawie cały tydzień sortowałem wydruki z mortensenów.

– Wydruki z mortensenów – powtórzył Ricky. – To bez sensu. Po co miałyby cię zabijać, skoro zajmowałeś się tylko przekładaniem papierów? Cóż, widać cię po prostu nie lubi. – Ziewnął jak lew u dentysty. – Teraz już nie powinno ci nic grozić. Skoro pokrzyżowaliśmy jej szyki, pewnie dziś więcej się tu nie pojawi, ale jeśli chcesz mieć pewność, kilka litrów kawy nie zaszkodzi. Oczywiście, tak naprawdę potrzeba ci czegoś w rodzaju tarczy siódmego poziomu. Mam w domu zapasową, mógłbym ci pożyczyć, ale wybieram się tam dopiero za parę tygodni.

– Chwileczkę – powiedział Paul. – Jak wygląda ta tarcza któregoś tam poziomu?

– To może być wszystko – odparł Ricky ze wzruszeniem ramion.

– Ołówek, pasek od zegarka, stara wymięta książką. Zwykle jest to taka czy inna odznaka, coś niepozornego, co można przypiąć do podszewki marynarki.

– Odstrasza gobliny?

Ricky się zaśmiał.

– Czy je odstrasza? Jak znajdują się w jednym pomieszczeniu z nią, mózdzki im się usmażą. Gdyby jej dotknęły, poparzyłyby się. Czemu pytasz?

– Chyba już taką mam – odparł Paul w zamyśleniu. – A raczej miałem, bo zostawiłem ją na biurku w pracy i teraz nie mogę jej znaleźć.

Ricky był pod wrażeniem.

– Skąd ją... nie, na razie mi nie mów, naprawdę muszę już lecieć, połatwiać sprawy, wypełnić obowiązki. Jeśli w poniedziałek obaj będziemy żywi i przytomni, wtedy mi powiesz. – Zmarszczył brwi. – Daleki jestem od tego, żeby ci mówić, jak masz żyć, ale na twoim miejscu naprawiłbym to okno, zanim znów przelezie przez nie coś paskudnego. Niewielu o tym wie, lecz Magiczny Lud ma wielkie trudności, żeby wejść gdzieś, gdzie drzwi i okna są pozamykane. Pozamykane jak należy. Jeśli są choć odrobinę uchylone, to im wystarcza.

Paul przez chwilę nie miał pojęcia, o co mu chodzi.

– Łatwo powiedzieć – stwierdził z goryczą – ale skąd ja wytrzasnę szybę w środku nocy? Nie wspominając o kicie i... – Urwał.

– Aha – powiedział. – Rozumiem. Zapomniałem, że umiem takie rzeczy.

– Spróbuj – Ricky uśmiechnął się szeroko.

Oczywiście, Paul nie umiał stosować magii, tak jak nikt nie umie latać, za to spadanie z samolotu każdemu przychodzi naturalnie.

– Od czego zacząć? – spytał niespokojnie. – Mam coś powiedzieć czy... ?

Cokolwiek mówić o Rickym, był imponująco cierpliwy.

– Pomyśl i tyle. Pomyśl o tym, jak wyglądało okno, zanim zostało rozbite. Rozważ to, że rozbite okno jest z natury czymś złym, że w świecie idealnym okno byłoby całe.

– Tak, ale... – zaczął Paul, lecz Ricky go uciszył i wskazał okno. Paul zobaczył odbicie ich obu w nieskazitelnie czystej szybie.

– Ty to zrobiłeś, prawda? – spytał.

Ricky potrząsnął głową.

– Tak naprawdę trzeba ci tylko pewności siebie. Masz podstawowe umiejętności, musisz jeszcze się przekonać, że potrafisz z nich korzystać. A teraz pamiętaj: drzwi i okna pozamykane, zasłony zaciągnięte i, co też niezmiernie ważne, kłapa sedesu opuszczona. Pewnie możesz zaryzykować i przespać tę noc, czy raczej to, co z niej zostało, ale jeśli chcesz być całkowicie bezpieczny, najlepsze rozwiązanie to parę garści czerstwych okruchów w łóżku i morze kawy. No, naprawdę muszę już lecieć. – Z mieczem w dłoni, Ricky uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Powodzenia – dodał, wysliznął się i zamknął drzwi za sobą.

W tym samym momencie do Paula dotarło, co przed chwilą usłyszał, i zawołał: „Ja?! Ja mam podstawowe umiejętności?!”, ale odpowiedział mu tylko szczęk zatrząsku Yale.



Dawno, dawno temu, przypomniał sobie Paul, czekając na otwarcie drzwi budynku przy St Mary Axe 70, czas w weekendy leciał tak szybko, że wywołany jego pędem podmuch powietrza porwał nieuważnych przechodniów. Ledwie człowiek zwłókł się z łóżka w sobotę rano, a już był niedzielny wieczór i trzeba było się kłaść spać, żeby wczesnym rankiem wstać do pracy. Pamiętał, że wspominał o tym zjawisku Benny’emu Shumwayowi, który potwierdził, że w okolicach szóstego i siódmego dnia tygodnia czas dziwnie się zachowuje, i opowiedział o wykorzystującym tę prawidłowość prototypie wehikułu czasu, skonstruowanym przez JWW pod koniec dziewiętnastego wieku – projektanci uznali, że poprzez nałożenie na siebie szeregu sztucznie wygenerowanych weekendów powinno dać się wysłać podróżnika kilka lat w przyszłość. Projekt

zakończył się niepowodzeniem tylko dlatego, że mechanizm powrotny, oparty na głębokiej nostalgii wywołanej oglądaniem starych zdjęć szkolnych kolegów, był zbyt niepewny, skutkiem czego gdzieś w okolicach roku 2007 firma musiała wypłacić równowartość stu dziewięciu lat zaległych pensji szeregowemu pracownikowi, który zasiadł za sterami pierwszego wehikułu.

Tymczasem dwa poprzednie dni wlokły się jak ślimaki, którym płacą od godziny. Nuda, wyczerpanie i zatrucie kofeiną sprawiły, że Paul praktycznie chodził na rękach. Tylko myśl o tym, co powie hrabinie Judy mniej więcej dwie minuty po dziewiątej rano w poniedziałek, pozwoliła mu znieść te męki. Miał dość czasu, by przygotować stosowną mowę; ostatecznie skrócił ją do dwóch słów (przy czym jedno było zaimkiem). Nie cieszył się na to spotkanie, ale ten jeden raz był zdeterminowany, by wcielić swój zamiar w życie.

Te dwa słowa to „Rzucam to”; i wydobył je z siebie, nie chichocząc nerwowo, nie jękając się ani nie mamrocząc.

– Słucham?

– Powiedziałem, że rzucam to – powtórzył Paul.

– Co pan rzuca? Palenie?

– Nie chcę tu dłużej pracować. Składam wymówienie. Odchodzę.

– Och. – Miała czelność udawać zaskoczoną. – Poważnie? Dlaczego?

Paul mocno już przekroczył budżet, jeśli idzie o słowa, ale uznał, że nie pora na skąpstwo.

– Dobrze wiesz, dlaczego – wycedził.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak.

– Właśnie że nie.

– Właśnie że tak, do cholery! – Paul uderzył zaciśniętą pięścią w biurko hrabiny. – Au – dodał, kiedy zszywacz przeleciał przez gabinet, pozostawiając jedną zszywkę wbitą w kant jego dłoni.

– Próbowalaś mnie zabić.

– Poważnie? Kiedy?

– Doskonale wiesz... w piątek wieczorem, kiedy zasnąłem przy stole kuchennym. Dostałaś się do mojego snu i chciałaś mnie zabić, tylko że Ri... tylko że ktoś mnie obudził – poprawił się nieudolnie. – Miałaś wielgachny nóż i chciałaś mnie zadźgać albo pociąć.

– Aha, to. Ale przecież włos panu z głowy nie spadł. I znalazłam kogoś innego, innego dawcę, więc nic już panu nie grozi. Widzi pan, nie ma się czym martwić.

Może to i dobrze, że Paul nie był większy i silniejszy, bo wówczas pewnie dałby hrabinie w zęby.

– Włos mi z głowy nie spadł – powtórzył. – Chciałaś mnie... moment! Znalazłaś innego

dawcę. Zabiłaś kogoś innego.

Wzruszyła ramionami.

– Gdzie tam zabiłam. Udało mi się znaleźć dawcę, który był nieuleczalnie chory; co więcej, zjawiliśmy się w chwili, kiedy umierał. Czyli to była akcja ratowania mienia, nie zabójstwo. Mamy pewne zasady.

Paul z wściekłości ledwo mógł mówić.

– Ale ja nie umierałem, do jasnej cholery! – wycedził. – Wszystko było ze mną w porządku.

W jasnych, srebrzystych oczach hrabiny zapłonął dziwny blask, jakiego Paul jeszcze u niej nie widział, a przynajmniej sobie tego nie przypominał. Jego dzika furia w ciągu jakiejś piętnastej części sekundy przeszła w trwogę.

– W pańskim przypadku – powiedziała hrabina Judy – występują szczególne okoliczności. Mogę pana zapewnić, że nigdy nie poważylabym się odebrać życia, do którego nie miałabym prawa.

Ciekawa rzecz, że niektórzy mają ten dar, a niektórzy nie. Paul miał nadzieję, że jego dwa słowa załatwią sprawę i pozwolą mu odzyskać wolność – oczywiście po zmianie nazwiska, zapuszczeniu brody i osiedleniu się w Nowej Szkocji. Tymczasem okazały się kompletnie niewystarczające. Za to dwa słowa hrabiny Judy były nadciągającą rozpędzoną ciężarówką, a on jeżem na środku drogi.

– Słucham? – powiedział. – Miałś prawo?

Zdawkowo przytaknęła.

– Musimy ściśle przestrzegać przepisów – dodała. – W naszej sytuacji nieautoryzowane pobranie mogłoby wywołać wysoce niepożądane skutki. Jednak w pańskim przypadku nie ma takiego zagrożenia, bo posiadamy wyraźny, nieobciążony tytuł prawny.

To było jak pływanie w budynku pełnym rekinów.

– Moment – wymamrotał Paul. – Tylko dlatego, że podpisałem tę waszą cholerną umowę, kiedy zaczynałem...

Teraz hrabina Judy autentycznie się śmiała, choć, przyznać należy, był to śmiech, który nie miał nic wspólnego z dobrym humorem.

– Ależ nie! Pańska umowa o warunkach zatrudnienia dotyczy wyłącznie pańskich obowiązków zawodowych. Ja miałam na myśli nasze prawo do pańskiego życia.

– Mojego życia. – Następne dwa słowa przygniatające jak tonowy ciężar. – Moje życie należy do was?

– Owszem.

– Naprawdę? Jak to?

Tym razem otworzyła szeroko oczy, okazując zaskoczenie.

– Kupiliśmy pana.

I znowu dwa słowa. Paul cofnął się o krok, ale to nie było rozsądne. Nogi jakoś nie za dobrze mu funkcjonowały.

– Kupiliście... Od kogo, do licha?

– Od pańskich rodziców, naturalnie. Tylko proszę mi nie wmawiać, panie Carpenter, że nic pan o tym nie wiedział. Posiada pan pewne ograniczone zasoby inteligencji, choć często sprawia pan wrażenie, jakby usilnie starał się to ukryć. Naprawdę wierzy pan, że pańscy rodzice mogli przenieść się na Florydę za oszczędności pańskiego ojca?

Rozdział 11

W którymś momencie, jakiś czas później, Paul musiał być w swoim gabinecie, bo weszła Melze. Spytała, gdzie przechowywane są takie czy inne formularze, choć co kazało jej przypuszczać, że mógł to wiedzieć, nie miał pojęcia. Nie odpowiedział. Wyczerpał mu się zasób słów.

Powtórzyła pytanie jeszcze dwa razy, po czym powiedziała:

– Paul, dobrze się czujesz?

– Co?

– Pytam, czy się dobrze czujesz.

Szczerocść popłaca; czy nie to zawsze mówiła mu mama? Dobry żart.

– Nie – odparł.

Melze wyglądała na zatroskaną. Poczciwości duszyczka.

– Fatalnie wyglądasz. Co się stało, na litość boską?

Szeroki uśmiech, jak na zawołanie.

– Och, właśnie się czegoś dowiedziałem. O mnie, moim życiu i w ogóle o świecie. Nic wielkiego.

To wyraźnie jej nie zadowoliło. Przeciwnie, usiadła z miną mówiącą „porozmawiajmy o tym”.

– Bardzo dziwnie się zachowujesz, Paul. O co chodzi?

Jeszcze szerszy uśmiech.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Inaczej bym nie pytała.

– W porządku. – Paul złożył dłonie na biurku i usiadł prosto.

– Spotkałaś parę razy moich rodziców, prawda?

– Tak, oczywiście. – Zaniepokoiła się. – Nic im się nie stało, mam nadzieję? Są zdrowi?

Zabawne.

– Och, zdrowi są. Jak cholerne konie. Po prostu coś mi o nich powiedziano, to wszystko.

Drobny cień zniecierpliwienia pośród całej tej przeserdecznej troski.

– Co?

Paul na chwilę odął usta. Z takimi oświadczeniami nie ma się co spieszyć.

– Wiesz, że przenieśli się na Florydę?

Skinęła głową.

- Cóż – ciągnął Paul – właśnie dowiedziałem się, skąd wzięli na to pieniądze.
- Aha. – Chwilę odczekała, po czym ponagliła go: – To coś złego?
- Można tak powiedzieć. Coś sprzedali.
- Sprzedali coś? Co?
- Mnie.

Melze patrzyła na niego, jakby wyrwał się z niesmacznym żartem w śmiertelnie poważnej chwili, na przykład na chrzcinach czy pogrzebie.

- Nie rozumiem – powiedziała.
- Nie? To bardzo proste. Wzięli pieniądze za mnie. Za moje życie.
- Przecież to niemożliwe. W tych czasach to zabronione... podobno zdarza się to w Indiach i innych dalekich krajach, ale nie tutaj. To nielegalne.

– Jak wiele innych rzeczy – odparł Paul z niezmaconym spokojem. – Na przykład morderstwa i takie tam. A mimo to zdarzają się na co dzień.

– Ale... – Spojrzała na niego bykiem. – Oj, przestań mnie wkurzać, Paul. Starczy tego dramatyzowania. Powiedz, co się stało.

– Właśnie powiedziałem. – Westchnął i odchylił się na oparcie krzesła. – Sprzedali mnie firmie. Tej firmie, J. W. Wells and Co. Za czterysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów amerykańskich. – Zmarszczył brwi. – Pewnie trzeba odliczyć VAT. Nie pytałem o to. Nie wiem, czy na ludzi obowiązuje stawka zerowa.

- Ale... – Melze jakoś nagle polubiła to słowo. – Ale dlaczego, na litość boską?
- Dlaczego mnie sprzedali, czy dlaczego JWW mnie kupiło?
- Jedno i drugie.

Paul wzruszył ramionami.

– Odpowiedź na pierwsze pytanie: bo są skończonymi bydlakami i chcieli zarobić. Odpowiedź na drugie pytanie jest trochę bardziej skomplikowana, a nie chcę cię zanudzić.

– Paul.

– Och, proszę, nie mów „Paul” tym tonem, przypominasz mi moją mamę, a to nietakt. No dobrze, jedziemy. Mój wujek Ernie, no nie?

– Ten, co umarł.

– Zgadza się, ten, co umarł. Okazuje się, że był jednym z nich. Jednym z nas. Dobry w magii, silny Mocą i tak dalej. Podobno był w tym naprawdę świetny, a według hrabiny Judy te magiczne hocki-klocki, na których znał się najlepiej, prawie zawsze są dziedziczne. Wyjaśniła mi to, ale praktycznie jej nie słuchałem. Zdaje się, że są jakieś tabele, wykresy i inne takie, dzięki którym można bardzo dokładnie ustalić, kto w rodzinie ma największe szanse, żeby odziedziczyć ten dar, jeśli to właściwe słowo. W każdym razie hrabina Judy z resztą zarządu wyliczyli to i uznali

mnie za dobrą inwestycję. Odwiedzili więc moją mamę i tatę i złożyli im propozycję nie do odrzucenia. – Paul uśmiechnął się niepokojąco szeroko. – Nie żeby musieli się zbytnio wysilać. Hrabina Judy powiedziała, że odnieśli wrażenie, że moi starszycy zgodziliby się na dużo mniejszą sumę, na przykład piątaka plus torbę ciasteczek dla psa, ale, jak stwierdziła, obowiązują pewne zasady etyki zawodowej, więc musieli przedstawić uczciwą ofertę. Tłumaczyła mi, jak wyliczyli sumę, którą zaproponowali, zdaje się, że to trzydzieści procent dochodu, jaki oczekiwali, że im zapewnię, pomnożone przez dwie trzecie liczby lat do mojej emerytury. Jestem pewien, że mówiła prawdę. Ma szczerą twarz, wśród wielu innych.

Melze bardzo długo milczała.

– Paul – powiedziała wreszcie – nie zmyślasz, prawda?

– Nie. Bądź rozsądna. Czyja kiedyś miałem tyle wyobraźni?

Melze wyglądała jak ktoś, kto właśnie dostał wielkim okoniem morskim w twarz.

– Ale przecież nie mogą wymagać od ciebie dotrzymania takiej umowy. Nie mogą.

Paul pokręcił głową.

– Nie łudź się. Słuchaj, mówiłem ci, jak Dennis Tanner zrobił ze mnie i Sophie marionetki, kiedy próbowaliśmy odejść, a to było tylko na mocy umowy o pracę. Kiedy cię wykupią, jest dużo, dużo gorzej. Między innymi mogą mnie ot, tak sobie zabić.

– Przecież policja...

– Nie może ich aresztować za zabójstwo kogoś, kto umiera z przyczyn całkowicie naturalnych, jak atak serca czy skrzep w mózgu. Moje ciało nie jest już moje, zrobi wszystko, czego od niego zażądata. Nie żeby mieli mnie zabić tylko za chęć odejścia... za dużo kosztowałem. Wystarczy, że powiedzą mojemu ciału, że ma co rano stawiać się w pracy, a ono tak robi, czy mi się to będzie podobało, czy nie. Fajnie, co? To tyle o mnie. A co u ciebie?

– Ale...

– Proszę cię – przerwał jej Paul. – Wiem, że próbujesz być miła, ale wolałbym, żebyś sobie darowała. Chyba na jakiś czas przestałem wierzyć w rzeczy miłe i jeśli tu zostaniesz, powiem coś naprawdę okropnego. Nie będę tego mówił serio, ale musiałabyś to przyjąć na wiarę. Poza tym musisz znaleźć ten durny formularz.

Melze nie ruszyła się z miejsca.

– Jesteś pewien, że hrabina Judy cię nie podpuszcza? Nie wygląda na taką, ale nigdy nic nie wiadomo. Czy... no, ma jakieś dowody czy coś?

Paul stłumił ziewnięcie.

– Cóż, pokazała mi akt kupna-sprzedaży, z podpisami stron i świadków. Nawiasem mówiąc, na świadka wzięli starą panią Bath-Patterson z domu obok. Mam nadzieję, że jej nie powiedzieli, co to za dokument... chyba z wrażenia by padła.

– Ale... – Melze się starała, widział to po niej. Szukała jakiejś furtki, czegoś, co dałoby mu choć łut nadziei. Powinien być wzruszony i rozczulony, a czuł tylko irytację. – Mówiłeś, że zobaczyłeś ogłoszenie o tę pracę w gazecie i poszedłeś na rozmowę kwalifikacyjną.

– Fakt, lecz pytania, które mi zadali, to był jeden wielki bełkot. Według hrabiny Judy chodziło o to, żeby sprawdzić, czy łatwo zbić mnie z tropu. Ale nie, ja po prostu uznałem, że jestem za głupi, by zrozumieć, do czego zmierzali. Wszystko było starannie ukartowane. Zobaczyłem to ogłoszenie dlatego, że mama i tata powiedzieli mi, że najlepiej szukać ofert pracy w tej konkretnej gazecie. Cała rozmowa kwalifikacyjna to był pic.

– Przecież to niemożliwe. Tego samego dnia zatrudnili jeszcze kogoś. Tę dziewczynę. Chloe.

– Sophie. Ją też pewnie wrobili. – Dotąd nie przyszło mu to do głowy. A przecież mówiła mu, że jej mama zakreśliła ogłoszenie w gazecie żółtym markerem. – Słuchaj, naprawdę nie chcę już o tym mówić. Dziś w nocy... – Zmarszczył brwi. – Dziś w nocy hrabina Judy próbowała mnie zabić. I pewnie by zabiła, gdyby nie przeszkodził jej Ricky Wurmtoter.

– Zabić cię? Dlaczego? – pytała Melze. Paul tylko wzruszył ramionami, więc pytała dalej: – Spróbuje znowu? Paul, na litość boską...

– Odpowiedź jest taka – stwierdził – że nie wiem. I nie masz co mnie pytać o cokolwiek. Naprawdę myślę, że lepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

– Ale...

– Wyjdź.

Wyszła. Paul długo siedział nieruchomo, z głową na biegu jałowym. Usiłował przypomnieć sobie coś, co wcześniej przeszło mu przez myśl – ano tak, Ricky Wurmtoter rzekomo ocalił mu życie, ale przecież był w zarządzie firmy, uczestniczył w rozmowie kwalifikacyjnej, więc musiał znać całą prawdę od samego początku. Kolejna radosna myśl.

Jak mogli mi to zrobić? Rodzonemu synowi?

Nie żeby to miało znaczenie. Perfidni, niewysłowienie perfidni dranie, jak wszystkie inne żywe istoty na ziemi. Czteryście dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Ile to będzie w przeliczeniu na angielskie pieniądze? Wydawało się, że dużo, ale czy nie znalazł panu Tannerowi wielu ukrytych złóż boksytów, patrząc tylko na zdjęcia nagiej pustyni? Może już odpracował to, co za niego zapłacili? W takim razie nic dziwnego, że hrabina Judy uważała go za nieważną podręczną duszę, w sam raz na przekąskę, gdyby zgłodniała w środku nocy.

Był straszliwie zmęczony. Może przekimać się choć dziesięć minut? Nawet gdyby zasnął i już się nie obudził, jakie to teraz miałoby znaczenie? Pomyślał o bajkach, które tak bardzo go przerażały, kiedy był dzieckiem: historiach o młodzieńcach zwabionych do baśniowego zamku, którzy po przebudzeniu odkrywają, że upłynęło sto lat i wszyscy ich bliscy i przyjaciele nie żyją.

Co mówił Ricky o ludziach, którzy umierają we śnie? Nie żeby Paul był w stanie wierzyć w choć jedno jego słowo.

Ricky Wurmtoter. Ufałem temu bydlakowi. Oddałem mu resztkę kawy (a ta niby wykwinna, którą mi kupił, to paskudztwo). Powinienem być strasznie wkurzony z tego powodu. To dołujące, że nie jestem.

(Gdybym pojechał na Florydę i zabił oboje, udusił ich gołymi rękami, odziedziczyłbym te czterysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, o ile jeszcze ich nie przeputali na rearanżację ogródka i meble. To byłaby zwyczajna sprawiedliwość, bo w ten sposób dostałbym pieniądze zapłacone za mnie. Nie żeby na cokolwiek mi się przydały. Poza tym, żeby ich zabić, musiałbym znaleźć się z nimi w jednym pomieszczeniu, a nie wiem, czy mógłbym się na to zdobyć. i musiałbym poprosić pana Tannera o urlop, a on pewnie daje pracownikom wolne dopiero, jak umrą).

I ten Ricky Wurmtoter...

Drzwi się otworzyły i wszedł Ricky. Dziś był wymuskany i elegancki jak Pierce Brosnan w reklamie Armaniego, włosy starannie przylizane, żadnych blizn ani sińców. Pod pachą niósł duże czarne pudło na dokumenty. Paulowi nieczęsto zdarzało się odczuć pokusę użycia słowa „gogusiowaty”, w tej chwili jednak uznał, że powstało właśnie po to, by znaleźć zastosowanie w tej sytuacji.

– Cześć – powiedział Ricky z uśmiechem.

– Cześć – odparł Paul.

– Jak się czujesz?

– Zmęczony jestem.

– Cóż, to zrozumiałe. – Głos Ricky’ego ociekał taką ilością współczucia, że można by nią polać naleśniki. – Ale nieproszony gość nie wrócił?

– Nie.

Ricky zmarszczył brwi tak nieznacznie, że większość urządzeń pomiarowych nie byłaby dość czuła, by to odnotować.

– To dobrze. Mówiłem, że nie spróbuje znowu tak od razu. Zapewne znaczy to, że mamy trochę czasu...

– Wyjaśniła mi – stwierdził Paul ponuro. – Jak się okazuje, znalazła sobie inną ofiarę, więc na razie da mi spokój. Pewnie jesteś z tego zadowolony. Bądź co bądź, to też twoje pieniądze, prawda? Siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Ricky wyglądał na autentycznie zaskoczonego.

– Jakie siedemdziesiąt tysięcy dolarów?

– Sześciu współników. Czterysta dwadzieścia pięć tysięcy na sześć to siedemdziesiąt tysięcy pięćset.

– Osiemset trzydzieści trzy, ściśle mówiąc. – Ricky zrobił smutną minę. – Czyli powiedziała ci o tym.

Spokój, tylko spokój.

– Tak. Powiedziała mi.

– Aha. – Ricky zamilkł, po czym wzruszył ramionami. – Jak sądzę, analogia z opłatą transferową w futbolu pewnie do ciebie nie trafi.

– Raczej nie.

– Tak myślałem. I zapewne ci to nie pochlebia.

– Nie.

Ricky wyszczerzył się radośnie.

– A powinno. I nie wiem, czy to cię pocieszy, ale to dobry znak... z punktu widzenia twoich perspektyw zawodowych. – Położył pudło na biurku i usiadł na krześle; krzesło Sophie, oczywiście.

– To pokazuje, jak wysoko firma cię ceni i tak dalej.

– Mam to głęboko w...

– Za mnie zapłacili tylko dwadzieścia pięć tysięcy.

Paul zapomniał, co miał powiedzieć, choć był już w połowie zdania. Zamarł z rozdziawionymi ustami.

– Inna sprawa – ciągnął Ricky – że to było w czasach, kiedy dwadzieścia pięć patoli było coś warte... musimy cofnąć się o tych kilka lat do epoki, kiedy pieniądze można było przetopić na biżuterię. Mimo to, nawet uwzględniając inflację i ogólne trendy w przemyśle jako całości, w twoim wieku byłem od ciebie tańszy. i nie wątpię, że jesteś dość bystry, by wiedzieć, że masz nikomu nie powtórzyć tego, co ci powiedziałem. To jedna z tych tajemnic męskiej szatni, których nie zdradza się nawet najlepszemu przyjacielowi.

Paul zdał sobie sprawę, że jego usta odzyskały sprawność.

– Ty też jesteś ich własnością?

– Nie ich – rzekł Ricky ze smutnym uśmiechem. – Naszą. Jak sam jakże przenikliwie zauważyłeś, jestem jednym z nich, co znaczy, że posiadam szóstą część samego siebie. No, właściwie dwunastą, jeśli liczyć udziały banku, ale nawet dwunasta część siebie jest lepsza niż... – Pokręcił głową. – Za dwunastą część samego siebie pracuję siedem dni w tygodniu, pięćset czterdzieści siedem dni w roku...

– Pięćset czterdzieści... ?

Ricky uśmiechnął się niewesoło.

– W środowisku magicznym termin „godziny nadliczbowa” zawiera w sobie niuansy, jakich nawet sobie nie wyobrażasz. W każdym razie chodzi o to, że przetrwałem i nadal tu jestem,

pomimo smoków, wampirów, ożywionych szkieletów i intryg biurowych. Jeśli ja dałem radę, ty też możesz. Jest ciężko, ale taki już urok tego biznesu. Chociaż przyznam, Judy posunęła się za daleko, próbując cię zaszlachtować. Klauzula piętnasta umowy spółki stwierdza jasno: wspólnicy nie mogą wykorzystywać w ten sposób aktywów firmy bez formalnej zgody uzyskanej na prawidłowo zwołanym zebraniu zarządu. – Zerknął na zegarek i wstał. Tym razem chyba posunęła się wystarczająco za daleko, jeśli wiesz, co mam na myśli. A w takim razie mamy ją. Dzięki tobie – dodał łaskawie. – Oczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy mieli jakiś namacalny dowód, nie tylko twoje słowa. Choć na początek dobre i to.

Paul pokręcił głową.

– Czyli tylko to cię interesuje. Żeby wykopać ją ze spółki i samemu wskoczyć miejsce wyżej na nagłówku papieru firmowego. O to chodzi?

– Częściowo. Prawdę mówiąc, głównie. Jest jeszcze ten drobiazg, że od stu szesnastu lat próbuje mnie zabić, ale pochlebiam sobie, że mam dość klasy, by przymknąć na to oko. – Zatrzymał się z dłonią na kłamce. – Aha, jeszcze jedno. Chyba jestem ci winien przeprosiny.

A żebyś wiedział, pomyślał Paul. I stosując tę samą skalę wartości, atak na Pearl Harbor był trochę nie na miejscu.

– No co ty – powiedział.

– Uhm. Twoje przenośne drzwi. Pamiętasz, pożyczyłeś mi je tuż przed tym, jak... Cóż, w każdym razie już ich nie mam. Zabrano mi je, kiedy byłem w lochach. Wszystko poza tym mi oddali, kiedy mnie wypuścili, ale tego nie. Przykro mi. Gdybym mógł, dałbym ci w zamian nowe, ale czegoś takiego raczej nie dostanie się w Ikei.

Dopiero jakiś czas później Paul zauważył, że Ricky zostawił na biurku pudło na dokumenty. Podniósł je i spod wieka wypadła notatka napisana na maszynie.

Paul, dzięki, że pilnowałeś interesu pod moją nieobecność. W sumie poradziłeś sobie przyzwoicie. Jednak trochę zaległości się uzbierało i byłbym wdzięczny (jako że nadal oficjalnie jesteś w moim zespole), gdybyś załatwił dla mnie kilka drobiazgów – głównie to rutynowa robota papierkowa. Podrzucę JDCB notatkę z wyjaśnieniem, że przez kilka najbliższych dni będziesz pracował u mnie, bo w tej chwili to ona nominalnie jest Twoją przełożoną.

Ricky

– i poniżej, odręcznie:

PS Zupełnie zapomniałem, ale dziś są moje urodziny. Może nikt Ci nie powiedział, że w firmie mamy zwyczaj w swoje urodziny fundować wszystkim ciastka. Wiem, że lubisz kuchnię uzbecką, więc Twoje to bakława z miodem i orzechami po taszkiencku. Smacznego.

I rzeczywiście, w pudle, wraz z kilkoma grubymi brązowymi kopertami pełnymi papierów, była biała papierowa torba, częściowo przezroczysta od tłuszczu i miodu, a w niej coś lepkiego i

ciastkopodobnego, czymś posypane. Paul nie widział powodu, dla którego to coś miałoby być zatrute, a poza tym ominęło go śniadanie, więc zjadł to, ale z nastawieniem, którego w żadnym razie nie można było uznać za gotowość do wybaczenia. Ale smakowało całkiem, całkiem.

Praca... Cóż, czemu nie? – pomyślał. Otworzył pierwszą kopertę z wierzchu. Gruby plik formularzy, których większość rozpoznał – formularz JX755, wniosek o specjalną licencję na odstrzał szyszymor na obszarze chronionym; formularz JK981 (B), wniosek o zdjęcie statusu pomnika przyrody z niesubordynowanego enta; formularz JG663, specjalna zgoda na spalenie zwłok nieumarłego w strefie zakazu używania paliw dymnych. Paul westchnął, sięgnął po długopis i ziewnął potężnie.

A zatem Ricky stracił przenośne drzwi. Szkoda; fajna była zabawka, przynajmniej na początku. Można było w przerwach na lunch wyskakiwać na tydzień w egzotyczne miejsca i mimo to skończyć robotę, zanim znowu otworzą recepcję. W pewnym momencie Paul szczerze wierzył, że dzięki nim zdobył Prawdziwą Miłość, choć w strasznie pogmatwany i niechlujny sposób. Przydałyby się w jego obecnej, potwornie kłopotliwej sytuacji. Uciekałby przez nie od hrabiny Judy i Magicznego Ludu, kiedy następnym razem po niego przyjdą. Ale nie, to niemożliwe, tych drzwi używać można było tylko na jawie. W sumie więc niewielka strata. Nauczył się już, że główną i fatalną w skutkach wadą drzwi jest to, że przechodząc przez nie, nieuchronnie zabiera się ze sobą samego siebie. Ze wzruszeniem ramion dopisał je w duchu do listy magicznych przedmiotów, które ostatnio przeszły przez jego ręce, wraz z odznaką harcerza wodniaka, kamieniem wylupionym z mózgu wiwerny i dziwną kolekcją wujka Erniego, którą mama pana Tannera zabrała mu pod pretekstem troski o globalne bezpieczeństwo. Akurat. Jak o tym pomyśleć, stracił, oddał albo zapodział dość niszczycielskiej broni, by wyposażyć małą, lecz bardzo wredną armię.

Gdyby przyjął, że prawdopodobnie nie był to zbieg okoliczności, czy to by oznaczało, że niniejszym można go oficjalnie uznać za paranoika? Ogólnie biorąc, niekoniecznie.

Paul skończył jeden plik formularzy i w drugiej kopercie znalazł następny (JJ409, wniosek o przedłużenie licencji na hełm niewidzialności; JF006, oficjalne powiadomienie o zamiarze zniszczenia Pierścienia Władzy na obszarze przyrodniczo wrażliwym). Wypełniając je, stopniowo zapadał się w głąb Strefy Księgowości, owej mętnej ziemi niczyjej między snem a jawą, w której nie liczy się nic oprócz wpisywania odpowiedzi na kretyńskie pytania do małych, ciasnych rubryk. I choć jego umysł spowijała coraz gęstsza mgła, mimo woli zaczął się zastanawiać, czy Magiczny Lud może działać na tym spornym pograniczu, i w pewnym sensie mu ulżyło, kiedy dzwonek telefonu wyrwał go z otępienia.

Już samo to, że zadzwonił, było pewną nowością.

– Słucham? – wymamrotał Paul.

– Telefon z miasta do ciebie. – Rozpoznał głos mamy pana Tannera, chwilę zastanawiał się rozkojarzony, co ona robi w recepcji, po czym przypomniał sobie, że Melze teraz jest kasjerką, choć Benny pewnie też już odzyskał wolność... – Mówił ci ktoś, że nie wolno prowadzić prywatnych rozmów w godzinach pracy?

– Że co? – spytał Paul, ale usłyszał tylko trzask, a potem ktoś powiedział:

– Halo, Paul?

– Halo? – Znał ten głos. Słyszał go prawie co dzień.

– Paul, to ja, Demelza Horrocks. Melze. – Pauza. – Nie pamiętasz mnie. He?

– Oczywiście, że cię pamiętam, Melze. Co... ?

– Och, nie ma sprawy. – Chichot. – Wiem, to trochę dziwne, że po tylu latach dzwonię ni z tego, ni z owego, ale w zeszłym tygodniu przypadkiem spotkałam Jenny Wheeler i powiedziała, że słyszała od Neville'a Connelly'ego, że pracujesz w firmie w City, no i byłam pod takim wrażeniem, że nie mogłam oprzeć się pokusie, by zadzwonić i spytać, jak się miewasz. To jak, co u ciebie?

– Melze? To ty?

Pauza.

– Och, bardzo śmieszne. Nic się nie zmieniło. No, kupę lat. Słyszałeś, że wyszłam za męża? Tak, zgadza się. Pamiętasz Damiena Turnbulla? Jego siostra chodziła z Seanem, potem ze sobą zerwali i przypadkiem spotkałam go na imprezie, no i...

Bez sensu było próbować słuchać, chłonać informacje i czuć, jak świat wali się w gruzy, wszystko naraz. Paul się wyłączył. To był głos Melze. Prawdę mówiąc, jego rozmówczyni dużo bardziej przypominała Melze niż sama Melze, powoływała się na właściwych ludzi, kolegów ze szkoły, znajomych znajomych ich wspólnych znajomych. Ale Melze była raptem jedną klatkę schodową i kilka metrów korytarza od niego, więc po kiego dzwoniła z odległej przeszłości?

– Melze – przerwał jej – gdzie teraz mieszkasz?

– W Saffron Walden – odparła natychmiast. – Jak tylko urodził się Kevin, uznaliśmy, że czas wyprowadzić się z Londynu, a potem Seana przenieśli...

– Saffron Walden – powtórzył Paul. – Słuchaj, wybacz, zadam bardzo dziwne pytanie, ale co cię skłoniło, żeby do mnie zadzwonić właśnie teraz?

– Przecież ci tłumaczę, nie? Spotkałam Jenny Wheeler, która powiedziała mi, że Neville Connelly...

– Właśnie teraz – powtórzył Paul stanowczym tonem. – A nie w zeszły piątek czy w przyszłym tygodniu. Czy... – Choć był już zaprawiony w bojach i duszę miał stwardniałą na zimny głaz, i tak się wzdrygnął, zadając to pytanie. – Czy ci się przyśniłem?

Pauza.

– To absolutnie niesamowite; tak. To nie był dziwny sen ani jeden z tych snów, wiesz jakich, po prostu tak się złożyło, że w nim byłeś, i kiedy się obudziłam, pomyślałam sobie, ciekawe, co się dzieje z Paulem Carpenterem, a potem spotkałam Jenny Wheeler w aptece Superdrug i powiedziała, że Neville Connelly...

– To świetnie, Melze – przerwał jej Paul. – Oddzwonię do ciebie. Cześć.

Osunął się na oparcie krzesła i rzucił słuchawkę na widełki. Potem zerknął na zegarek. Piętnaście po trzeciej – okazuje się, że pracował przez całą przerwę na lunch. W tej chwili Melze... musiał wyzbyć się tego nawyku, fałszywa Melze powinna być w banku i wpłacać czeki. To dobrze, pomyślał, mam akurat dość czasu.

Kiedy wstał, czuł się dziwnie ożywiony. Cóż, pomyślał, przynajmniej już wiem, co tu się dzieje. Fakt, że nie mogę nic na to poradzić, to zupełnie inna sprawa.



W skarbcu było zimno i trochę wilgotno, dokładnie tak jak wtedy, kiedy Paul i Sophie inwentaryzowali jego zawartość jakieś trzy miesiące czy tysiąc lat temu. Większa część katalogu sporządzona była jej kanciastym, trudnym do odczytania, dziecięcym charakterem pisma i strasznie to Paula rozpraszało; a naprawdę musiał się skoncentrować.

Zgodnie z jego przypuszczeniami hrabina Judy nie wpisała do rejestru odebranego mu trzeciego oka wiwerny; nie położyła go też na żadnej z półek, na którą trafiały skatalogowane przedmioty. Jednak Paul był moralnie pewny, że musiała je gdzieś tu schować. Skąd brała się ta pewność, nie miał pojęcia. Logicznie biorąc, mogła je zostawić we własnym gabinecie i obłożyć czarem niewidzialności albo umieścić gdzieś w postrelatywistycznym bezmiarze archiwum czy jednej z kryjówek, których w budynku przy St Mary Axe 70 bez wątpienia było bez liku. Mogła też zdecydować się na rozwiązanie najbardziej pewne i trzymać oko wiwerny pod bluzką, jak burdelmama z westernu. Logika jednak jakoś ani razu nie stanęła po jego stronie, odkąd przestąpił próg tej piekielnej nory. Zastanawiał się, czy Wolkanin wytrzymałby w tym budynku więcej niż piątą część sekundy, zanim zielony mózg wykypiałby mu przez spiczaste uszy. Prawie na pewno nie. To cholera gdzieś tu było, wiedział to. Ale gdzie?

Kiedy szuka się przysłowiowych igieł w przysłowiowych stogach siana, zawsze można się uciec do rozwiązania drastycznego: podpalić siano, potem przeszukać popioły wykrywaczem metalu. Takie podejście raczej nie zaskarbi Paulowi sympatii szefostwa, ale nieszczególnie się tym przejmował. Jeśli za karę postanowią go zwolnić, hurra – ale tego nie zrobią, bo wtedy byłiby

czterysta dwadzieścia pięć tysięcy dolców w plecy. Tak czy owak, swoje życie cenił nieco wyżej od swojej posady, a poza tym fajnie będzie wkurzyć pana Tannera. Zamknął za sobą drzwi skarbcza i poszedł do recepcji.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział do urzędującej tam blond seksbomby o lodowatoniebieskich oczach – ale mam do ciebie wielką prośbę.

Mama pana Tannera łypnęła na niego spode łba.

– Masz tupet.

– Nie, to moje własne włosy. To jak?

Wzruszyła ramionami.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałbym na kilka minut pożyczyć kilku twoich krewnych i znajomych.

– Nie bądź dureń – odparła mama pana Tannera i już miała przypomnieć Paulowi o obowiązującej umowie, na której mocy gobliny w godzinach roboczych pozostają w ukryciu, w zamian za co po wyjściu wszystkich pracowników mają cały budynek dla siebie (czy raczej dla swoich kłów i pazurów), lecz ją uciszył.

– To pilne. Potrzeba mi co najmniej dwudziestu goblinów na może dziesięć minut. Czy to aż tak wielki problem?

Zawahała się – pewnie tylko na pokaz.

– Po co? – spytała nieufnie.

– W celach badawczych.

– Niech ci będzie. Gdzie mają być?

Okazało się, że z tymi dziesięcioma minutami potężnie przesadził. Siostry, kuzyni i ciotki pana Tannera uwinęli się ze skarbcem w cztery minuty, pozostawiając po sobie burzę fruujących papierów, strzępów kopert i brutalnie zmasakrowanych fiszek. Sortowanie i sprzątanie będzie robotą, na myśl o której wszystkie króla konie i żołnierze zamkną się w koszarach i ogłoszą strajk ostrzegawczy. Nie moje zmartwienie, stwierdził Paul z zadowoleniem, tuląc w ramionach pudełko po zapalkach.

– To wszystko? – spytał szef goblinów.

– Tak, dzięki.

– Och, szkoda! Jak chcesz, możemy to samo zrobić na górze, żaden kłopot. Pięć minut i...

Paul pokręcił głową.

– To wystarczy.

– No i jest jeszcze archiwum – naciskał goblin z nadzieją. – Nie wolno nam tam wchodzić, chyba żeby wpuścił nas jeden z was, dryblasów. Na pewno nie posiałeś tam czegoś? Spinacza, dwupensówki?

– Nie, naprawdę – powiedział Paul stanowczo. – Ale wielkie dzięki za dobre chęci.

Goblin mruknął coś pod nosem, po czym gwizdnął na swoich kumpli. Wszyscy na ułamek sekundy rozjarzyli się jaskrawoniebieskim blaskiem i zniknęli. Paul dał sobie chwilę na to, by podziwiać majestatyczny widok. Według rodziców jego pokój był bezapelacyjnie najbardziej zabałaganionym miejscem na ziemi. Do dziś. Koneser pięknych katastrof byłby zachwycony. Jakaś mała częśćka Paula miała nadzieję, że czar sprzątający, który członkowie zarządu rzucali co rano, by usunąć ślady nocnych brewerii goblinów, upora się z tym bajzlem. Jego pozostałe części miały to gdzieś.

Po powrocie do gabinetu ostrożnie otworzył pudełko. Kamień wciąż był niesamowicie podobny do tego takiego kolorowego szkiełka, jakie widzi się w kominku elektrycznym z efektem płomienia. Paul objął go dłonią, po czym zawahał się i wysunął szufladę biurka. Była w niej przyklepiona taśmą do ścianki lista telefonów wewnętrznych. Odszukał numer kasy i wybrał go. Nikt nie odebrał. Nie-Melze nadal była w banku. To dobrze.

W drodze do kasy Paul zajrzał do archiwum i ruszył w stronę regałów, na których Benny trzymał ciężki sprzęt do zwalczania szkodników. Ponieważ ostatnio miał dobrą passę w robieniu bezmyślnej demolki, korciło go, by skorzystać z obfitego wyboru ładunków wybuchowych, lecz ostatecznie poprzestał na łomie, młotku, dwóch deskach oraz worku gwoździ. I tak dużo tego było, zważywszy, że musiał to wnieść dwa piętra wyżej (trzy, jeśli w nazwie miesiąca występowała litera R; tak na gorąco nie pamiętał), i to w miarę cicho, by nie budzić niepożądanego zainteresowania. Przemknęło mu przez myśl, żeby sprawdzić, czy Ricky Wurmtoter jest u siebie, lecz postanowił tego nie robić. Nadal miał co do niego mieszane uczucia. Prawda, ogólnie wydawał się w porządku, ale faktem pozostawało, że należał do zarządu. Paul uznał, że lepiej będzie działać na własną rękę.

Pierwsza część jego planu okazała się względnie prosta, choć stolarka nigdy nie była jego mocnym punktem i boleśnie walnął się młotkiem w kciuk. Teraz miał dość czasu, by przejść do najtrudniejszego. Na początek musiał włamać się do szafki na dokumenty.

Natrudniejsze: dobrze powiedziane. Kiedy łom złamał się na pół jak łydyga selera, Paul zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zejść do recepcji i nie poprosić o użyczenie jeszcze kilkudziesięciu goblinów. Odrzucił ten pomysł. Członkowie zarządu na pewno zabezpieczyli wszystkie meble w biurze przed goblinami, więc nawet niewyczerpane zasoby energii i wyobraźni dalekich krewnych pana Tannera niewiele tu pomogą. Zawsze pozostawały materiały wybuchowe, ale Paul miał paskudne przeczucie, że rozwaliby cały budynek, a zamek szafki pozostałby nienaruszony. Walenie młotkiem nie przyniosłoby żadnej korzyści oprócz tego, że mógłby chwilowo dać upust swojej frustracji. Czyli jednak najwyraźniej miał przerąbane.

Chyba że...

Nie, niemożliwe. Ale co tam, nie zaszkodzi spróbować. Otworzył górną szufladę biurka i zajrzał do środka. I rzeczywiście, wraz z przewidzianymi ustawą złamanymi ołówkami, węzowiskiem splątanych gumek, porozrzucanymi jak leci spinaczami i zawijasami papierków po miętusach, znalazł tam mały chromowany klucz. Tak dla hecy spróbował otworzyć nim zamek szafki. Obrócił klucz, coś szczyknęło i szuflada wysunęła tak gładko, jak gładko kłamie polityk.

No dobrze, pomyślał Paul i odetchnął głęboko. A teraz to, co naprawdę najtrudniejsze.

Napiął mięśnie, zacisnął zęby i zajrzał do środka.

Jego pierwszą reakcją było: O kurde! Nic dziwnego, że to cholerstwo było takie ciężkie.

Spiralne kamienne schody, jakie zwykle widzi się w kościelnej wieży czy donżonie średniowiecznego zamku, prowadziły z krawędzi szuflady do wielkiej, posepnej sali, słabo oświetlonej lampkami oliwnymi. Paul wahał się może pięć sekund; potem, odsuwając na bok przekładkę do akt oznakowaną A-C, wgramolił się do szuflady i zaczął schodzić na dół. Klucz miał w kieszeni (mógł się przydać w razie, gdyby ktoś przyszedł i zamknął szufladę), wziął też młotek i połówkę złamanego łomu. Gdyby został tu uwięziony, czy komukolwiek przyszłoby do głowy go poszukać? Może i tak. W końcu jego nazwisko zaczynało się na C, a wszystkie biura na świecie funkcjonują w oparciu o porządek alfabetyczny.

Było ciemno. Paul nie znosił spiralnych schodów. Prawie na pewno były tu szczury, o pająkach nie wspominając. Po raz pierwszy poczuł się jak prawdziwy terminujący bohater. Nie żeby to go podniosło na duchu. Przeciwnie – bycie bohaterem zajmowało miejsce na samym ośnieżonym wierzchołku listy rzeczy, których za wszelką cenę chciał uniknąć. Mimo to ten jeden jedyny raz miał plan – najprawdopodobniej nie za dobry, ale plan to plan. Wszyscy terminujący bohaterowie mają plany, tak jak nastolatki pryszczce. Szedł w dół, aż zabrakło mu schodów, i wtedy się zatrzymał. Ktoś na niego patrzył – czuł to.

– Znowu ty – usłyszał mgliście znajomy głos.

– Halo? – W tej konkretnej chwili nie mógł znieść dźwięku własnego głosu: był słaby, piskliwy i nieopisanie głupkowaty. – Gdzie jesteś? Nie widzę...

– Ano tak. W takim razie...

Zielone światło wsączyło się ze wszystkich stron, ukazując Paulowi obraz, który rozpoznał od razu. Zielony ogień ciągnął się przez całą długość przestronnej, ozdobionej malowidłami i złoceniami komnaty w stylu hollywoodzkiego średniowiecza, wyłożonej dębina, z dachem podpartym słupkami. Wokół paleniska stały wypolerowane stoły i rzeźbione ławy, a ściany przesłaniało mnóstwo bogato ubarwionych gobelinów, które ukazywały groteskową mieszankę kwiatów, dzikiej zwierzyny, scen dworskich i bitew. Na drugim końcu był ustawiony w poprzek wysoki stół. Paul obrócił się na pięcie, ale schody oczywiście zniknęły.

– Idiota – mruknął do siebie – idiota, idiota, idiota.

– Teraz już wiesz, gdzie jesteś – powiedziała dziewczynka, która weszła ukrytymi bocznymi drzwiami. – Nie liczyłam, że znowu cię tu zobaczę. Ostatnio nie mogłeś się doczekać, żeby stąd wyjść.

Za nią była reszta paczki, którą po raz pierwszy spotkał w całodobowym warsztacie w Forest of Dean; to samo koszmarnie połączenie rozczulającego z przerażającym, jakby odcinek „Pełnej chaty” ze scenariuszem poprawionym przez Stephena Kinga. Doskonały plan, pomyślał Paul. I co teraz?

– Przepraszam – mruknął – pomyliłem szuflady. Szukałem od P do R. Moglibyście z łaski swojej wskazać mi drogę... ?

Piegowaty chłopczyk wyszczerzył się do niego radośnie.

– P jak Podziemia? Jasne, możemy cię tam zabrać, jeśli chcesz.

– Dzięki, ale mnie chodziło raczej o R jak Ratunek.

– To masz pecha. Proszę, porzuć wszelką nadzieję w przeznaczonych do tego celu pojemnikach. – Chłopczyk zrobił krok naprzód. – A jeśli myślisz, że twoja okropna szponiasta przyjaciółka z małymi okrągłymi czerwonymi ślepiami znów tu wpadnie i cię uratuje, wybij to sobie z głowy. Od czasu twojej ostatniej wizyty ulepszyliśmy zabezpieczenia.

Wskazał coś nad głową Paula. Paul wyciągnął szyję i zobaczył mały, metaliczny przedmiot rzucający bladozielone błyski, przybity do belki pod sufitem. Odznaka harcerza wodniaka.

Nie było sensu pytać, skąd się tam wzięła. Mimo to Paul stwierdził, że pokazując mu ją, ten wredny gnojek popełnił taktyczny błąd. Nie licząc tego jednego kroku naprzód, cała czereda stała nieruchomo. Był gotów iść o zakład (nie żeby miał wybór), że dopóki będzie stał pod odznaką, nie zechcą podejść bliżej. Jednak w najlepszym razie oznaczało to pat.

– Nie żeby to miało znaczenie – powiedziała dziewczynka – ale co cię, u licha, skłoniło, żeby tu wrócić? – Zachichotała. – Możemy coś dla ciebie zrobić?

Paul zmusił się do uśmiechu.

– Tak się składa, że owszem. Możecie odpowiedzieć na kilka pytań i oddać mi coś, co do mnie należy. Pasuje?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

– To zależy. Od tego, czy masz się czym targować. Naszym zdaniem, nie. I nie myśl sobie, że będziesz mógł bez końca bezpiecznie stać pod tą durną odznaką. Wcześniej czy później zasłabniesz z głodu albo uśniesz na stojąco. My jesteśmy cierpliwi.

Paul wzruszył ramionami.

– W porządku. A skoro i tak musimy czekać, jeśli odpowiecie na moje pytania, czas szybciej zleci.

– Ale jaki to ma sens? Bądźmy szczerzy, jak już spędzisz tu kilka dni, miesięcy czy stuleci,

to, co teraz zaprzęta ci główkę, straci wszelkie znaczenie. Sądysz, że będzie cię obchodziło, kto podłożył bombę czy kto z JWW jest zdrajcą, kiedy będziesz w stanie myśleć tylko o tym, jak cudownie byłoby umrzeć?

– Zrób mi tę przyjemność – powiedział Paul.

Dziewczynka przewróciła oczami.

– Jak sobie chcesz. Wal. W końcu nie musimy odpowiadać, jeśli nie będziemy chcieli. Ale w zamian – dodała chytrze – będziesz musiał coś dla nas zrobić. Coś, do czego nie możemy cię zmusić. Zgoda?

– Są rzeczy, do których nie możecie mnie zmusić?

– Kilka. Niewiele. Jakie jest pierwsze pytanie?

Minęła chwila, zanim Paul sobie przypomniał. Może w tym, co mówiła ta mała żmijka, było trochę prawdy. Już teraz wydawało się to jakoś mało ważne.

– Kim jest ciotka Grendela? – spytał.

Wszystkie dzieci oprócz dziewczynki parsknęły śmiechem. Ona tylko spojrzała na niego jak na głupka.

– Nie wiesz?

– Nie.

– Nadzwyczajne. No dobrze. Ciotka Grendela jest królową.

– Co, was wszystkich? To hrabina Judy?

– Hrabina Judith di Castel’Bianco – powiedziała dziewczynka uroczyście. – Jak się już zapewne domyśliłeś, używanie tytułu hrabiny to dla niej coś jak zejście między lud, tak jakby Bóg przebrał się za papieża. Ale owszem, kiedy pierwszy raz przedostała się na waszą stronę granicy, wyszła za jakiegoś operetkowego arystokratę. Musiała mieć przykrywkę, a tytuły i cała ta pompa robią na was wielkie wrażenie. Uznała, że tak będzie bardziej wiarygodna. Przedtem była tylko... jak się na takie mówi? Ktoś, kto śpiewa w teatrze razem z wieloma innymi kobietami.

– Chórzystką?

– Mniejsza z tym. Ale odpowiadając na twoje pytanie, to ona jest ciotką Grendela, a to jej dom i kwatery główna. Lochy też do niej należą, oczywiście.

– Dzięki. Kto więc podszywa się pod Melze Horrocks? Jedno z was?

Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Siostrzenica królowej Judy. Księżniczka Suzie. Tak z ciekawości, jak się dowiedziałeś? Wszystkim nam się wydawało, że świetnie sobie radziła.

– Tak było. Ale ni z tego, ni z owego zadzwoniła do mnie prawdziwa Melze. Inaczej pewnie do dziś bym nic nie podejrzewał.

– Ciekawe – mruknęła z twarzą pokerzysty. – To rodzi pewne podejrzenia, które będziemy

musieli wnikliwie sprawdzić. Ale to nasza sprawa, nie twoja. Jeszcze jedno pytanie i koniec.

Jeszcze jedno pytanie. I nie musieli odpowiadać, jeśli nie chcieli.

– Ta wojna domowa. O co w niej właściwie chodzi? Są jakieś prawdziwe powody, czy po prostu za sobą nie przepadacie?

– Po trosze jedno i drugie. Owszem, dwie trzecie z nas nie znosi pozostałej jednej trzeciej i vice versa. Ale wszystko zaczęło się od wielkiego sporu o kolonizację. Większość jest za tym, żeby przejść na waszą stronę i tam się osiedlić, jak u was Europejczycy w Ameryce. Ale grupka bujających w obłokach naiwniaków nie popiera kradzieży terytorium i tępienia lokalnej fauny. Jest ich za mało, by stanowili zagrożenie, i są zbyt niewydarzeni, by być skuteczni. Jedynym powodem, dla którego jeszcze nie przeprowadziliśmy inwazji, było to, że mogliśmy przedostawać się na waszą stronę tylko raz na jakiś czas, i to pojedynczo, co sprzyja rozbudowie siatki szpiegowskiej, ale nie przrzucaniu dużych jednostek wojska. Ale wtedy zjawili się ty i zdobyliśmy ten wspaniały wynalazek, przenośne drzwi, więc wreszcie możemy przystąpić do inwazji na pełną skalę. Wszystko dzięki tobie i, w pewnym stopniu, temu błaznowi Ricky'emu Wurmtoterowi. Cała ironia w tym – ciągnęła – że pożyczył od ciebie drzwi tylko dlatego, że był przekonany, że w twoich rękach nie będą bezpieczne. Ze jak tylko się odwróci, dopadniemy cię i wyrwiemy je z twoich zimnych, martwych palców. No to je zabrał i pomyślał, że na jakiś czas przyczai się gdzieś, gdzie go nie znajdziemy. W zasadzie niegłupi pomysł, pod warunkiem że nie ma się w swoich szeregach kreta. Już na niego czekaliśmy. Arogancki głupek, myślał, że może się z nami mierzyć. Kiedy tylko wrzuciliśmy go do lochu, nie minęło pięć minut, a już praktycznie błagał nas, żebyśmy zabrali sobie te drzwi, bylebyśmy go tylko uwolnili. Zgodziliśmy się. Oczywiście, kłamaliśmy. – Dziewczynka się uśmiechnęła. – A to było twoje trzecie pytanie i mam nadzieję, że teraz, kiedy znasz odpowiedzi, czujesz się dużo lepiej. Choć akurat w tej chwili jesteś strasznie, strasznie śpiący.

Wkurzające było to, że miała całkowitą rację.



Po przebudzeniu Paul w pierwszym odruchu przewrócił się na bok i sięgnął do włącznika światła. Nie było go jednak; i wtedy sobie przypomniał. Nie leżał w swoim łóżku, był w twierdzy Judy di Castel' Bianco, Królowej Elfów. Znowu.

Już miał wrzasnąć ze strachu i gniewu, kiedy przypomniał sobie coś jeszcze. Tak, miał przerabane; ale miał plan.

Czyli wszystko w porządku, o ile tylko sobie przypomni, na czym ten plan polega.

A nie pamiętał.

Fatalnie jest mieć pamięć jak saszetka herbaty, z tysiącami małych dziurek, przez które wyciekają informacje. Żył z tą przypadłością tak długo, że nauczył się sobie z nią radzić – robił notatki na świstkach papieru, wiązał supły na chusteczce, żeby przypominały mu o supłach związanych na innych chusteczkach, naklejał na drzwi i monitory żółte karteczki samoprzylepne, na których notował sobie, że ma spojrzeć na chusteczkę. Jednak zapomnienie o czymś tak wielkim i ważnym jak Plan było poważną gafą, nawet jak na niego. O ile faktycznie zapomniał o tym sam, bez udziału kogoś, kto wpakował mu się do głowy i poddał jego pamięć obróbce.

Słuszne spostrzeżenie. Sądząc z zachowania tych dzieci w wielkiej komnacie, został uśpiony, a nie po prostu padł z wyczerpania i niedoboru kofeiny. Jeśli zaś go uśpiły, to na pewno nie dla jego zdrowia. Mógł się założyć o każdą sumę, że kiedy spał, miał sny; a podczas gdy przemykały mu przez głowę, co za sztuka przy okazji wymazać takie czy inne wspomnienie?

Cholera, pomyślał. Ale szybko wziął się w garść. Nie miał pojęcia, na czym polegał Plan, ale skoro w ogóle go uknuł, nie mogło to być nic szczególnie sprytnego ani skomplikowanego. Jeśli raz go wymyślił, na pewno mógł zrobić to znowu, od zera, jeśli trzeba. Bułka z...

Chyba że, oczywiście, powodzenie Planu zależało od jakiegoś konkretnego elementu wyposażenia, który przytaskał ze sobą w pocie czoła po to tylko, by elfy mu go zabrały, kiedy spał. Tego nie można było zbyć wzruszeniem ramion. Sprawdził zawartość kieszeni: klucze, zmięte rachunki z karty płatniczej, skuwka bez długopisu, chusteczki (z supłami), trzydzieści siedem pensów drobnymi, portfel, kłębek postrzępionego sznurka, sfatygowany stary scyzoryk (z oficjalnego ekwipunku harcerki, prezent na dwunaste urodziny od cioci Chris), jedna nierozpakowana i okropnie umorusana pastylka owocowa, jeden mały kawałek czegoś, co wyglądało jak szkło z kominka elektrycznego z efektem płomienia. Na wiele mu się to nie...

Teraz Paulowi się przypomniało, że zadał sobie wiele trudu, by zdobyć ten mały kawałek czegoś, co wyglądało jak szkło. To było, oczywiście (głupiec z niego!), trzecie oko wiwerny rasy suffolk round spot, wydłubane z czaszki tego nieszczęsnego martwego stworzenia przez mamę pana Tannera, skonfiskowane przez hrabinę Judy, odzyskane dzięki pomocy, jakkolwiek niewiarygodne to się mogło wydawać, dwudziestu kilku goblinów harcerzy. Skoro tyle się napocił, żeby wróciło w jego ręce, było pewne jak dwa i dwa cztery, że grało istotną rolę w Planie. Ale jaką? Tak naprawdę nadawało się tylko do zbierania informacji, wyszukiwania mało ważnych faktów o chimerach. Spójrz w nie, powiedziała mu mama pana Tannera, a może zobaczysz coś użytecznego.

No dobrze, pomyślał Paul. Co w tym momencie byłoby użyteczne? Uśmiechnął się kwaśno. W tej chwili najważniejsze dla niego było to, by poznać szczegóły Planu, bo a nuż, o

dziwo, udało mu się znaleźć sposób na...

Kamyk urósł, najpierw był jak drobinka żwiru, potem jak piłka do koszykówki, wreszcie wypełnił całą przestrzeń od podłogi po sufit. Paul nie mógł go objąć spojrzeniem. Deja vu, pomyślał i na chwilę wezbrała w nim szalona nadzieja. Fajnie. Zielony blask był ciepły i dobywały się z niego ciche trzaski.

Proszę czekać.

Tak jak poprzednio, blask rozpląnął się w połyskującą, nierzeczywistą tablicę, na której zaczęły się ukazywać słowa niczym kryształki szronu na szybie.

Plan.

Paul zorientował się, że od jakiegoś czasu nie oddycha; ściśle, od chwili, kiedy kamień się włączył. Nieważne, potem będzie pod dostatkiem czasu na oddychanie.

Uwaga: jako że jest prawdopodobne, a nawet pewne, że zostanę schwytany i moja pamięć zostanie wymazana, zabieram ze sobą maty kawałek tego, co wygląda jak szkło z kominka elektrycznego z efektem płomienia. Przy odrobinie szczęścia nie zauważą go wśród reszty gratów w moich kieszeniach. Potem, kiedy będę uwięziony w lochu, wystarczy, że zajrzę w ten przedmiot, i jeśli do tego czasu szczęście mnie nie opuści, zobaczę kopię Planu i wszystko będzie w porządku. Mam nadzieję. Trzymam kciuki.

Dobrze, pomyślał Paul. A to ci ze mnie sprytna bestia. A teraz co do samego Planu...

Proszę czekać.

Durny kamień! Paul usilnie starał się nie tracić cierpliwości, ale było ciężko. Pomijając fakt, że Plan był jego jedyną szansą na to, by nie spędzić wieczności w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu z samym sobą za całe towarzystwo, nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, jak bardzo był przebiegły.

Wspomnienie, którego szukasz, jest obecnie niedostępne. Albo wystąpiły usterki techniczne w twojej korze mózgowej, albo musisz dokonać zmian w swoim otoczeniu. Ponów próbę później.

Ałaaa, pomyślał Paul. Chodzi o Plan, przez duże P...

Plan.

(Dzięki, wielkie dzięki, do jasnej cholery).

Przeczytał cienkie białe litery raz, potem drugi, trzeci na szczęście, i czwarty, bo a nuż był tępy i przeoczył coś aż nazbyt oczywistego, co wszystko mu wyjaśni. Potem wzruszył ramionami. Ze wszystkich ludzi na świecie dlaczego muszę ślepo zaufać właśnie sobie? – zastanawiał się. Przecież nie wierzę sam sobie, nawet kiedy podaję sobie godzinę.

Mimo to... Nie przyszło mu do głowy nic lepszego ani nawet nic gorszego; w głowie miał całkowitą pustkę, prawdopodobnie wskutek tego, co mu zrobiono, kiedy spał. Pomyślał o tym chwilę i stwierdził: Zaryzykujemy. Owszem, to cholernie głupi pomysł, bez najmniejszych szans

powodzenia, i prawie na pewno wszystko jeszcze bardziej pogorszy, ale to nie znaczy, że nie powinienem go zrealizować. Bądź co bądź, tak rządy stanowią prawo.

Krok pierwszy.

Podczas przygotowań do pierwszego kroku, usiłował sobie przypomnieć – tak żeby zająć czymś myśli – po co w ogóle tu przylazł. Nie najłatwiejsza to zagadka, ale w ogólnym rozrachunku musiał przyznać, że cały jego trud nie był daremny. Dowiedział się, kim jest ciotka Grendela, potwierdził swoje podejrzenie, że fałszywa Melze pracuje dla wrogów, odkrył, co knuje Magiczny Lud – i jak chce tego dokonać: przy użyciu jego przenośnych drzwi. Byłoby miło, gdyby mógł po prostu spytać o to kogoś z pracy albo wyczytać to na jakiejś stronie internetowej, ale najwyraźniej za takie informacje jak ta trzeba słono zapłacić. No i teraz już przynajmniej miał jakie takie pojęcie, co się dzieje. Jakaż przyjemna odmiana.

Krok drugi. Paul słyszał, że krok drugi nie boli, choć nie bardzo mógł zrozumieć, skąd ktokolwiek może to wiedzieć. Miał wielką nadzieję, że choć ten jeden raz plotki okażą się zgodne z prawdą, bo dawno pogodził się z faktem, że ma nie tyle próg, ile podproże odporności na ból. Nieważne.

Paznokciem kciuka rozłożył największe ostrze harcerskiego scyzoryka. Zawsze ciężko wychodziło i jak zwykle złamał sobie na nim paznokieć. Potem położył lewą dłoń na kolanie, nadgarstkiem do góry, i mocno schwycił kawałek sznurka, którym wcześniej obwiązał sobie łokieć. W ostatniej chwili zamknął oczy i wymacał – miał taką głęboką nadzieję – właściwą żyłę. To cholernie głupi pomysł, pomyślał, ale... Ale co? Prawdopodobnie było jakieś ale, w przeciwnym razie nie byłby to Plan przez duże P. Ożeż w mordę, pomyślał Paul, jak ja nie cierpię musieć być sobą.

Potem, uśmiechając się szeroko na ironię zawartą w tej ostatniej myśli, podciął sobie żyły.

Rozdział 12

Śmierć nie była taka zła. Prawdę mówiąc, w porównaniu z przejażdżką na rozklekotanej karuzeli czy lotem liniami Virgin Atlantic była względnie odprężająca i bezstresowa. Pewnie pomogło to, że Paul był w ciemnej celi, bo nie zdawał sobie sprawy, że będzie aż tak strasznie krwawił, a widok krwi zawsze przyprawiał go o niemiłosierne mdłości.

Nie musiał otwierać oczu ani wstawać. Kiedy minął pierwszy atak paniki, wręcz przyjemnie było uwolnić się od ciała – to jakby wyjść z domu, w którym przesiedziało się wiele dni. Tak czy owak, nigdy za tym ciałem nie przepadał. Zawsze miało nie te wymiary, nie ten kształt, nie tę długość, nie tę szerokość. O twarzy nie był najlepszego zdania, kolor włosów nigdy mu nie odpowiadał, ręce i nogi były za chude, stopy za duże, a organizm ciągle doznawał a to bólu głowy, a to przeziębienia. W razie gdyby Plan nawalił i Paul nie odzyskał swojej karoserii, może nie byłoby to takim złym rozwiązaniem. Człowiek może naprawdę być sobą, kiedy nie ciąży mu to durne cielsko...

Paul nie czuł nic. Dzięki tym wszystkim wyjściom do Banku Umarłych wiedział, że jest tu podłoże, na tyle solidne, że kiedy po nim szedł, utrzymywało jego ciężar. Teraz zniknęło. Stwierdził, że zapewne podobnie czują się astronauty unoszący się w kosmosie na końcu linki. Jedyna różnica była taka, że on tej linki nie miał.

Pomocy! ...

Paul zmusił się, by zachować spokój. Wszystko będzie dobrze. Lada chwila załatwi to, po co przyszedł, a potem będzie mógł wrócić do domu. Przecież nie zostanie tu na stałe. Przestań panikować, powiedział sobie.

Żadnej linki. I żadnego wrażenia ruchu. W ogóle żadnego wrażenia. Zaczynał się zastanawiać, czy to aby na pewno był taki dobry pomysł...

– Paul?

Nie musiał się odwracać, żeby ją zobaczyć; była tuż przy nim, tak blisko, że mógłby jej dotknąć, gdyby miał czym. Przez chwilę miał też wrażenie, że coś poczuł. Coś niezbyt miłego, przeciwnie, koszmarny, palący ból, jakby podszedł za blisko do huczącego ognia. Uprzytomnił sobie, że to ciepłota jej ciała. Jak tylko to zrozumiał, ból ustał.

– Paul – powtórzyła – co ty tu robisz, u licha? I co się stało z drzwiami? Nie mogę wrócić do kasy, utknęłam tutaj. – Zamilkła. Widział strach w jej oczach. Mimo wszystko współczuł jej. Jeśli ktoś wciąż żywy tu ugrzązł, bo drzwi kasy nie chciały się otworzyć... na tę myśl prawie pożałował, że zabił je deskami. – Paul – powtórzyła – wszystko w porządku? Wyglądasz... inaczej.

O kurde, Melze, dzięki, nie zauważyłaś. Jestem martwy. Żadnego dźwięku, żadnego głosu; sformułował odpowiedź i przesłał ją myślami. Najwyraźniej musiała ją w jakiś sposób odebrać, bo spytała:

– Martwy? Niemożliwe! Co się stało?

Ona jest wrogiem, pamiętasz? Nie wiem. Stało się nagle. Spałem, śniłem. Teraz jestem tutaj. To sen, prawda?

Była wrogiem, ustalił to ponad wszelką wątpliwość, skąd więc to przerażenie na jej twarzy?

– Paul, ja... – Usta jej drżały, z szeroko otwartych oczu wyzierał ten stary dobry arystotelesowski dublet, litość i trwoga. – Nie... nie sądzę. Myślę, że ty... Och, Paul, tak bardzo, bardzo mi przykro.

Dlaczego? To nie twoja wina, prawda? Nie, mówię serio. To tylko sen. Zaraz się obudzę. Prawda ?

– Paul... – Zawahała się. Może coś jej przyszło do głowy, na przykład: A co będzie, jeśli już nigdy stąd nie wyjdę? Łatwo

o poczucie winy, trwogę i litość, kiedy ma się bilet powrotny bezpiecznie schowany w kieszeni na piersi. – Nie mogę stąd wyjść, Paul. Co się stało? Dlaczego drzwi się nie otwierają?

Gdyby miał się czym uśmiechać, wyszczerzyłby się radośnie jak pies. *Mnie nie pytaj, ja podobno umarłem. Na razie, ty, jak ci tam.*

– Melze – powiedziała, jakby próbowała sama siebie o tym przekonać, a może zapisać to sobie w pamięci. – Jestem Melze Horrocks. Razem chodziliśmy do szkoły...

Kłamczucha. Miłego dnia.

Paul wycofał się z otaczającego ją słabego kręgu światła; nie odszedł, bo nie było dokąd ani skąd odejść, ale już jej przy nim nie było. Wspominając ich rozmowę, stwierdził, że niepotrzebnie strugał chojraka. Jeśli Plan się nie powiedzie albo w ogóle okaże się, że od początku był do niczego, on sam był dużo bardziej niż ona narażony na to, że utknie tu na amen. Ile czasu minie, zanim ktoś zajrzy do kasy, zauważy zabite deskami drzwi i je wyłamie? Nie, zaraz. Co zauważiliby najpierw, zabite deskami drzwi czy szeroko otwartą szufladę szafki na dokumenty? Zależy, kto by to był. Na przykład hrabinę Judy zapewne bardziej zainteresowałaby szuflada, a uwagę Ricky'ego Wurmtoera zwróciłyby przede wszystkim drzwi. W każdym razie wcześniej czy później ktoś coś zauważy, bo przecież trzeba załatwić sprawy finansowe, zająć się czekami, formularzami transferu telegraficznego i wnioskami o wypłatę środków z kasy podręcznej. Paul nie miał pojęcia, jak długo można tu wytrzymać, zanim człowiek dostosuje się do panujących warunków, ale wydawało się dość oczywiste, że ona jest pod tym względem w lepszej sytuacji niż on. A w takim razie chrzanić współczucie.

Miał robotę. Początkowo się bał, że zapomniał drogę do banku. Głupstwo; to tak jakby bać

się śmierci z pragnienia, kiedy człowieka przypadkiem zmienia w rybę. Tu nie było żadnych miejsc, więc nie było dróg, które można zapomnieć. Był w banku.

– Panie Carpenter. – Pan Dao, kulturalny, uprzejmy bankowiec, wydawał się autentycznie zatroskany. – Nie zdawałem sobie sprawy, że pan się do nas wybiera. Gdybym wiedział, wysłałbym kogoś po pana, na znak szacunku dla cenionego klienta. Ufam, że przeprawa nie była nadmiernie stresująca.

Dziękuję, nie.

– Dziękuję, nie. – Paul się zawahał. – Ano tak, mogę z panem rozmawiać. Czy to dlatego, że... ?

Pan Dao skinął głową, rozwiewając nędzne resztki wątpliwości.

– Dlatego że ja też jestem martwy. Mogę rozmawiać na głos z żywymi i umarłymi; to jeden z drobnych przywilejów mojego zawodu. W każdym razie cieszę się, że pańskie przybycie nastąpiło względnie bezboleśnie. Był pan już w recepcji? Są pewne formalności...

– Nie, jeszcze nie. Prawdę mówiąc – powiedział Paul na tyle swobodnie, na ile potrafił – zanim się zamelduję, może oddałby mi pan drobną przysługę? Przez wzgląd na starą znajomość, rozumie pan.

Pan Dao poważnie pokiwał głową.

– Jeśli będę mógł. W czym zatem mogę pomóc?

Trudno było przekonująco zachowywać się jakby nigdy nic w chwili, od której zależała cała jego przyszła egzystencja bądź brak tejże. Pocięszał się, że przynajmniej nie musi się obawiać o to, że zdradzi się mową ciała.

– Mój wujek – powiedział. – Ernest Carpenter. Zdaje się... macie tu skarbiec, prawda? Skarbiec, w którym klienci mogą przechowywać cenne rzeczy.

Ku ogromnej uldze Paula pan Dao skinął głową. Paul się domyślał, że taką usługę oferują, ale dotąd nie miał na to żadnych konkretnych dowodów.

– Oczywiście. I bardzo dobrze znam pańskiego znamienitego wuja.

– To świetnie. Cóż, tak się składa, że jestem, ten, jego prawowitym spadkobiercą. Pomyślałem sobie więc, że zanim się zamelduję, kiedy to, jak zgaduję, stanę się oficjalnie, a nie tylko faktycznie martwy, może mógłbym zajrzeć do skarbcza, żeby zobaczyć, czy wujek Ernie oddał tam coś na przechowanie? Tak tylko z ciekawości, ale cała rodzina była mocno zaskoczona, że zostało po nim jedynie tekturowe pudło pełne starych gratów. Pewnie liczyli na pieniądze, papiery wartościowe, obligacje i tak dalej. Domyślałem się, że wujek wszystko spalił, żeby trafiło tutaj. To w jego stylu, na pewno nie spodobała mu się zasada, że takich rzeczy nie można zabrać ze sobą do grobu, i postanowił ją obejść.

Pan Dao długo milczał. Słaby blask w głębi jego oczu zdawał się wskazywać, że przejrzał

kłamstwa Paula, a jednak, kiedy Paul już porzucił wszelką nadzieję, bankier uprzejmie skłonił głowę.

– Tak. Mogę potwierdzić, że pański wuj ma u nas pokaźne saldo kredytowe, jak również sejf w naszym skarbcu. Ponieważ jest pan jego najbliższym krewnym... ufam, że nie muszę tego sprawdzać i mogę panu wierzyć na słowo... nie widzę w tym przypadku żadnych przeciwwskazań. Proszę za mną.

Spryciarz ze mnie! – pomyślał Paul. Nie tylko wydedukowałem istnienie skarbcza banku, ale i domyśliłem się, że wujek Ernie coś w nim trzymał, szkoda tylko, że nie mogę sobie przypomnieć, jak doszedłem do tych rewelacyjnych wniosków. Z drugiej strony, jeśli okaże się, że w sejfie nie ma nic prócz sterty świerszczyków i fortuny w dolarach Skonfederowanych Stanów Ameryki, wyjdę na durnia, nie? Pewnie tak będę zrywał boki ze śmiechu, że będą mnie musieli zabrać do domu.

W banku... Tam, gdzie jest bank, nie ma żadnych pomieszczeń. Ale są drzwi, duże, grube czarne drzwi z hartowanej stali z kolosalnymi zamkami dźwigniowymi, wielkimi ryglami, gigantycznymi kłódkami w przeogromnych skoblach, zamkami, które otwierają się tylko po przeskanowaniu siatkówki oka, pobraniu próbki DNA, wprowadzeniu 108-bitowego kodu bądź na ładny uśmiech i grzeczne „proszę”. Nie ma ścian, w których te drzwi mogłyby tkwić, ale to bez znaczenia. Ścianę można wyburzyć buldożerem albo wysadzić dynamitem. Kiedy drzwi otoczone są całkowitą pustką, bezpieczeństwo jest absolutne. Jedne drzwi po drugich, jak lustra ustawione naprzeciw siebie, i za każdym razem pan Dao przekręcał klucz albo wprowadzał kod, po czym uprzejmie usuwał się na bok i puszczał Paula przodem. Za setnymi, może tysięcznymi drzwiami Paul uznał, że grzeczność nakazuje wspomnieć, jak imponująco to wszystko wygląda. Pan Dao przyjął komplement z lekkim ukłonem.

– Dziękuję. Kiedy jednak uzna pan, że ma dosyć, proszę dać znać. Wyznam, że te zabiegi mnie męczą.

– Och – zdziwił się Paul. – Myślałem, że...

Pan Dao się uśmiechnął.

– Im więcej drzwi spodziewa się pan zobaczyć, tym więcej ich jest. Złodziej przez całą wieczność napotykałby coraz to nowe. Mimo to...

– Już wystarczy – rzekł Paul pospiesznie, kiedy otworzyły się następne drzwi.

Za nimi była zasłona z koralików, taka w stylu lat siedemdziesiątych, za nią regał, a na półkach rzędy pudełek po butach. Paul spiął się w sobie jak nurek przed skokiem do zimnej wody i zmusił się, by przejść przez zasłonę. Ogromnie mu ulżyło, kiedy rozsunęła się przed nim i znalazł się po drugiej stronie; co miłe, znów był materialny.

– Druga półka, trzecie od lewej – powiedział pan Dao. – Będę tu, na zewnątrz, gdyby pan

czegoś potrzebował.

Wyszedł przez zasłonę z koralików, zostawiając Paula samego.

No dobrze, pomyślał Paul, to jedziemy. Musiał wspiąć się na palce, żeby przeczytać nazwiska nagryzmołone czarnym markerem na pudełkach. I rzeczywiście, na drugiej półce, między „Drakę, sir F. ” a „Presley, E. A. ” zobaczył „Carpenter, dr E. ”. Sięgnął do góry i ostrożnie wysunął pudełko, o mało go nie upuszczając. Miło było znów mieć ręce, ale dziwnie się czuł, kiedy nimi poruszał, jakby były nie w jego rozmiarze. Położył pudełko na brzegu dolnej półki, uniósł wieczko i zajrzał do środka.

– Cześć, Paul.

Wujek Ernie wyłonił się z pudełka jak para buchająca z wanny. Minęła chwila, zanim przyobkleł się w konkretne kształty. Niewiele się zmienił, odkąd Paul widział go ostatnio – wysoki, żylasty mężczyzna z wielką głową i ogromnymi, kościstymi kłykciami. Uśmiechał się.

– Cześć, wujku Ernie – odparł Paul.

– Nawiasem mówiąc, dobra robota – powiedział wujek Ernie. – Trzeba tęgiej głowy, żeby tak dojść po nitce do kłębka. Niedaleko pada jabłko od jabłoni i tak dalej.

Paul uśmiechnął się blado.

– Dzięki. Sęk w tym, że zapomniałem, co właściwie ustaliłem. Czy raczej ktoś zapomniał to za mnie, jeśli wiesz, o czym mówię.

Wujek Ernie pokiwał głową z mądrą miną.

– Tak sędzę – powiedział. – Jak się miewa hrabina Judy?

– Próbowala mnie zabić – odparł Paul. – We śnie.

– I, rzecz jasna, dlatego tu jesteś. – Wujek Ernie wzruszył ramionami. – Musisz zrozumieć, to nie dlatego, że cię nie lubi czy przez coś, co zrobiłeś. Ci z Magicznego Ludu są inni, to wszystko. I niebezpieczni. Bardzo niebezpieczni, pocziwiny, choć zabawy jest z nimi co niemiara, jak już się ich dobrze pozna. Na przykład świetnie grają w karty.

Paul skinął głową. Naprawdę to nie chciał słuchać o tym, jakie te elfy w rzeczywistości są sympatyczne.

– Mogę cię o coś spytać, wujku?

– Oczywiście.

– Dzięki. – Zaczekał chwilę, żeby wziąć się w garść. – Czy ty naprawdę nie żyjesz?

– O tak. – Wujek Ernie uśmiechnął się szeroko. – Już bardziej martwy być nie mogę. Należycie o to zadbałem. Inaczej nie mógłbym się tu dostać. A to jedyne miejsce, w którym jestem bezpieczny.

– Tak myślałem. Umarłeś i kazałeś się umieścić w skarbcu banku, żeby uciec przed Magicznym Ludem.

– Nie chwając się, jeden z moich lepszych pomysłów. Trochę nudno tak tkwić w tekturowym pudełku, ale w porównaniu z alternatywą, tym, co by było, gdyby mnie dopadli, nie jest aż tak źle. No i oczywiście – dodał wujek Ernie łagodnym tonem – mam jeszcze jednego asa w rękawie. – Urwał i zaczął węszyć jak pies gończy.

– Zresztą ty też, spryciarzu. Sam na to wpadłeś?

Paul pokręcił głową.

– Tak naprawdę to był czysty przypadek. Przyszedłem rozliczyć się z bankiem... bo JWW ma tu konto, rozumiesz...

– Wiem. Mów dalej.

– Cóż, więc przyszedłem tu w interesach i przypadkiem poleciała mi krew z nosa. Czyli kiedy wróciłem na Zewnątrz, zostawiłem tu trochę mojej krwi. Co znaczy, jeśli się nie mylę...

– W rzeczy samej – rzekł wujek Ernie ze sporą dozą dumy w głosie. – Świetnie się spisałeś. Zostawiłeś tu kroplę swojej krwi, akurat tyle, ile trzeba, żebyś mógł żywy dojść do drzwi kasy. Ja zrobiłem to samo, z tą różnicą, że ukłułem się w palec igłą. O, zobacz, tu ją trzymam, w pudełku. – Wskazał buteleczkę z małą czerwoną plamką w środku. – Pan Dao da ci swoją, kiedy go poprosisz. Wspaniały człowiek, znałem go, zanim umarł. Dobrze jest wiedzieć, że masz kogoś, na kim możesz polegać.

Paul się zastanowił.

– Nie chciałbym nikogo urazić, ale jak pan Dao zdobył moją krew? Wydawało mi się, że kapnęła na ziemię.

– Bo tak było. I tam leżała, mniej więcej tak długo, jak leżałby banknot pięćdziesięciofuntowy upuszczony na stacji Oxford Circus w godzinach szczytu. Najpewniej znalazł ją jeden z umarłych... pewnie węchem, a może wyczuł jej ciepło... znalazł ją, wysiorbał, zanim ktoś go uprzedził, i cały szczęśliwy poleciał do banku. Widzisz, krew jest tu walutą, dlatego trzeba złożyć z niej ofiarę, zanim można wpłacić albo wypłacić pieniądze.

Paul musiał chwilę o tym pomyśleć.

– Czyli to taka opłata bankowa.

– W zasadzie tak. I kiedy jeden z uwięzionych dorwie choćby najmniejszą kropelkę krwi, wpłacają na swoje konto. Jeśli zaoszczędzą wystarczająco dużo, mogą wykupić całą sekundę życia. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy dla kogoś, kto trochę tu pobył. A bank, rzecz jasna, jest jedynym miejscem dość bezpiecznym, by przechowywać coś tak nieopisanie cennego. – Ernie uśmiechnął się zniechęca. – Można to nazwać ich oszczędnościami życia.

Nie reaguj, powiedział Paul sobie w duchu, to ich tylko rozzuchwala.

– Ale dlaczego uważasz, że pan Dao mi ją odda?

– To pewne. Bo to twoja krew, rozumiesz. Nawet kropelka wystarczy, by utrzymać cię przy

życiu dotąd, aż wrócisz na swoją stronę granicy. A kiedy już tam dotrzesz, będziesz ogromnie wdzięczny i prześlesz mu prezent. Bardzo lubi prezenty. I nic cię to nie będzie kosztować.

– Nie?

Wujek Ernie się uśmiechnął.

– Całe życie byłem beznadziejnym kucharzem, przypalałem nawet grzanki. Zeskrobałem dość węgla z przypalonego chleba, by wytopić tonę rudy żelaza. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy trafiłem tutaj i dowiedziałem się, że na koncie mam przeszło jedenaście tysięcy kromek chleba. Tu czyni mnie to kimś w rodzaju Mohammeda Al Fayeda. Chwila nieuwagi przy pieczeniu kiełbasy czy plastra bekonu będzie aż nadto wystarczającym wynagrodzeniem dla pana Dao za jego pomoc.

– Aha. – Paul był lekko oszołomiony. – No dobrze, w porządku. Kamień z serca. Ale...

– Ale nie zadałeś sobie tyle trudu, żeby się tu dostać, po to tylko, by wymyślić... nawiasem mówiąc, bardzo sprytnie... jak stąd wyjść. Przyszedłeś się ze mną zobaczyć, bo potrzebujesz mojej pomocy. Mam rację?

– Tak.

– Doskonale. I potrzebujesz mojej pomocy, bo za życia należałem do garstki ludzi, którzy wiedzieli o magii skutecznej prawie tyle co Magiczny Lud, i dlatego że jestem twoim wujkiem.

– Po części tak – stwierdził Paul ponuro.

– Po części?

– Uhm. Głównie jednak dlatego, że to ty mnie wpakowałeś w cały ten burdel.

Wujek Ernie wydawał się zaskoczony. Potem jego twarz rozluźniła się i przybrała lekko zafrasowany wyraz.

– Spostrzegawczy jesteś, to na pewno. Bardziej niż przypuszczałem. A może ktoś ci o tym powiedział?

– Hrabina Judy.

– Ach. – Wujek Ernie wydał wargi. – To do niej podobne. Nadzwyczajna kobieta, wybitnie utalentowana, ale niestety, ma tendencje do złośliwości, a okrucieństwo to dla niej cel sam w sobie.

Jakby to miało cokolwiek do rzeczy. Paul przeszył go wzrokiem.

– Czyli to prawda. Rodzice sprzedali mnie firmie.

– Tak.

– I to ty powiedziałeś o mnie wspólnikom, przez co w ogóle złożyli taką propozycję.

Wujek Ernie wzruszył ramionami.

– Czysta genetyka. Gdybyś chciał, mógłbyś to wyliczyć na palcach. No i oczywiście, byłeś mi potrzebny. Wy oboje – dodał, na chwilę odwracając wzrok. – Widzisz, Magiczny Lud trzeba powstrzymać, zanim naprawdę narobią szkód. Jak tylko zrozumiałem, że w gruncie rzeczy jestem

sam... nawet w JWW był zdrajca... wiedziałem, że muszę działać na własną rękę. Musiałem na jakiś czas gdzieś się zaszyć i potrzebny był mi ktoś, kto by kontynuował moje dzieło podczas mojej... niedyspozycji. Dlatego po dość długich rozterkach i bojach z własnym sumieniem włączyłem w to ciebie. A potem odszedłem.

– Umarłeś.

– Skoro tak mówisz. Musisz zrozumieć, byłem w sytuacji bez wyjścia. Ortodoksyjne elfy, pod wodzą hrabiny Judy, z pewnością zabiłyby mnie lada moment. Ruch dysydencki, który zapoczątkowałem wśród bardziej umiarkowanych elfów, załamał się. Nie były skłonne dłużej mnie słuchać i wcale im się nie dziwię. Nie chwaląc się, jestem w miarę utalentowanym czarodziejem, ale brak mi cechy niezbędnej charyzmatycznemu przywódcy: odwagi. Jestem tchórzem, przyznaję się bez bicia. Na pewno nie bohaterem. Za to ty...

Wytrzymałość każdego ma swój kres.

– Co wam wszystkim do łbów strzeliło?! Najpierw jestem urodzonym czarodziejem, potem żywym wykrywaczem boksytów, a teraz jeszcze mam być ostatnią nadzieją ludzkości w walce z elfami? Przypuśćmy, że to prawda. Ale ostatni raz powtarzam... – Teraz Paul już prawie krzyczał. – Ostatni raz, do cholery, powtarzam, nie... jestem... bohaterem. Nie zrobiłem nic oprócz tego, że wypełniłem kupę formularzy i usiadłem na jednym nędznym, małym smoku. Nie znam się na tej robocie i jej nie chcę. Tak trudno to zrozumieć?

– Za to ty – ciągnął wujek Ernie niewzruszony – jesteś podręcznikowym archetypem. Gdybym nadal uczył, zabierałbym cię na wykłady, pokazywał studentom i kazał robić notatki. Jesteś bohaterem z przypadku, uroczym kurdupelkiem z kosmatymi stopami i okularami na nosie, który prześlizguje się przez szparę w płocie za małą, by mogli przez nią przeleźć muskularni zbrojni. I tak miało być. Po to cię wyhodowałem.

Kiedy człowiekowi się wydaje, że już nic go nie zadziwi...

– Ty mnie co?

– Wyhodowałem. – Wujek Ernie pokiwał głową z głębokim spokojem. – Kawał roboty. Nasza rodzina ze strony twojego ojca ma umiejętności magiczne, ale nie ma jaj; za to przodkowie twojej matki mieli serca lwów i mózgi planktonu. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile się musiałem napocić, żeby ją przekonać, by raczyła się choć spotkać z twoim ojcem, a co dopiero za niego wyjść. Dzięki Bogu za eliksir miłości JWW, tyle powiem, a i tak nie było lekko. W końcu wlałem go w nich tyle, aż dziw, że nie płynęli do ołtarza jak misie-patysie. Ale nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać, zgadza się?

Przez dwie i ćwierć minuty Paul nie mógł wydobyć z siebie głosu. Za dużo się tego wszystkiego nabierało jak na jego siły. Rozpaczliwie pragnął nie uwierzyć w ani jedno słowo, oddałby wszystko za krztynę sceptycyzmu, cień wątpliwości. Niestety, w głębi ducha czuł się tak,

jakby wreszcie przypomniał sobie coś, co cały dzień miał na końcu języka – nazwisko albo brakujący fragment tekstu piosenki, jakby to wszystko w jakiś sposób wiedział i dawno temu zapomniał. Był pewien, że to prawda, choć skąd brała się ta pewność, to już zupełnie inna historia.

– Ty draniu – rzekł wreszcie. – Skończony draniu. Jak mogłeś?!

Wujek Ernie spojrzał na niego i uniósł brew.

– Zdradzę ci małą tajemnicę. Coś, o czym wie tylko garstka ludzi, ale co jest bardzo ważne i może ci się niezwykle przydać w dalszym życiu, o ile takie cię czeka. W całej historii ludzkości wystąpiły tylko dwa udokumentowane i potwierdzone przypadki prawdziwego zbiegu okoliczności. Większość specjalistów jest zdania, że jeden z nich był sfingowany. A więc ilekroć masz do czynienia z czymś, co z pozoru wydaje się zbiegiem okoliczności, pierwsze pytanie, jakie powinieneś sobie zadać, brzmi: Kto tym razem robi mnie w jajo i dlaczego? Proszę bardzo – dodał – właśnie podarowałem ci coś wartością przewyższającego rubiny, a ty tylko gapisz się na mnie z rozdziawioną gębą, jak źle wychowany karp koi. Nadal nie powiedziałaś mi, czego chcesz, a czas ucieka. Owszem, czasu tu nam nie brakuje, trzeba przyznać, pod tym względem różnica między tym światem a światem na Zewnątrz jest taka, jak między Pacyfikiem a brodzikiem. Mimo to na twoim miejscu nie ociągałbym się za długo. Fatalnie by się stało, gdyby Judy się domyśliła, co wykombinowałeś, zanim wrócisz do życia. – Posłał Paulowi krzywy uśmiech przypominający rozdarcie w płótnie portretu uśmiechniętego człowieka. – Bo chyba chcesz wrócić, prawda?

– Tak sędzę – odparł Paul słabym głosem – choć nie jest to tak oczywiste, jak byłoby jeszcze kilka dni temu. W porządku, wygląda na to, że muszę zrobić to, czego ode mnie żadasz. Ale... – Gdyby słuchał samego siebie w tej chwili, byłby pod wrażeniem albo uznałby, że to mówi ktoś inny. Ktoś dzielny, stanowczy i energiczny, ktoś, komu nikt nie podskoczy, może nawet bohater. – Ale jeśli odwalę tę cholerną robotę, na tym koniec, zgoda? Dość robienia ze mnie marionetki, dość gadania o tajemnym przeznaczeniu, dość dziwacznych zadań, które mogę przyplacić życiem, a których nie może wykonać nikt inny. Reszta mojego życia należy tylko i wyłącznie do mnie. Zrozumiano?

Wujek Ernie zaśmiał się głośno.

– Przypominasz mi twojego ojca, kiedy był młody, tylko bez jego bezdennej głupoty i kompletnego braku uroku. Tak, zrozumiano. Kiedy to się skończy, wszelkie kłopoty, w jakie się wpakujesz, będą tylko i wyłącznie twoim dziełem. Może być?

Paul po chwili namysłu skinął głową.

– Dobrze, to mi wystarczy. Co więc mam zrobić?

Krótką, krępującą chwila ciszy.

– Czemu mnie pytasz? – zdziwił się wujek Ernie.

– Hę?

– Czemu mnie pytasz? Przecież nie wiem, co się dzieje na Zewnątrz, prawda? Nie żyję od wielu miesięcy. To ty przyszedłeś tutaj, żeby zasięgnąć mojej rady.

– No tak, ale myślałem...

– Miałeś mieć Plan – dorzucił wujek Ernie srogim tonem.

– Hm. – I niech to szlag trafi, dodał w duchu Paul. – Cóż, jakiś plan miałem, ale gdzieś mi się zawieruszył. Albo twoja przyjaciółka Judy wykasowała mi go z umysłu, kiedy spałem.

Wujek Ernie przez chwilę wpatrywał się w niego jak w skrzydlatą frytkę znaną obok dorsza w cieście.

– Chcesz powiedzieć, że zadałeś sobie tyle trudu, umarłeś, na litość boską, i zapomniałeś, o co właściwie miałeś mnie zapytać?

– Tak. – Gdyby Paul był naprawdę bohaterskim bohaterem, pewnie zasepiłby się złowrogo i spytał wujka, czy ma jakieś obiekcje. Ale tego nie zrobił.

– Doskonale. Normalnie rewelacja, do cholery. – Wujek Ernie przewrócił oczami. – W takim razie, mój młody uczniu, mam paskudne przeczucie, że już po nas.

Nie to Paul chciał usłyszeć.

– Zaraz – powiedział z rozpaczą. – A gdybym jeszcze raz zajął do tego kamienia... ?

– Jak? – warknął wujek Ernie. – Czym? Umarłeś. Nie widzisz, to raz, nie możesz go tu przenieść, to dwa. Cofam to, co przed chwilą powiedziałem, jesteś dokładnie taki jak ojciec, tylko chyba mniej lotny. Dobry Boże, jak można być tak beznadziejnie... ?

– Dobrze już. – Znów ten głos bohatera. – Tylko mi się tu nie rozklejaj, bo tego nie zniosę. Będziemy musieli poradzić sobie najlepiej, jak się da, to wszystko.

W innych okolicznościach ciekawie byłoby patrzeć, jak wujek Ernie zbiera się do kupy. Praktycznie słychać było zgrzyt dokręcanych śrub i nakrętek.

– No dobrze, spróbujmy – rzekł ze słabym westchnieniem. – Zacznijmy od początku. Masz moje pudło.

– Pudło?

– Pudło. – Wujkowi Erniemu udało się nie wpaść w histerię, ale balansował na krawędzi. – Tekturowe pudło. Zostawiłem je u prawników. Chyba trafiło do ciebie, co?

– Tak.

Widoczna ulga.

– Dzięki Bogu.

– Mieli czelność zażądać ode mnie stu...

– Cicho! – krzyknął wujek Ernie i Paul miał dość przyzwoitości, by się zamknąć. – W pudle powinieneś być znaleźć moją osobistą tarczę.

Paul skinął głową.

- Odznaka harcerza wodniaka.
- Otóż to. Sytuacja wygląda tak: dopóki ją masz, nie masz się czego obawiać, bo...
- Mają ją oni.
- Co?!

Paul przygryzł wargę.

- Wrogowie. Teraz to oni ją mają. Bo, hm, zostawiłem ją na biurku i...

Wujek Ernie zamknął oczy.

- Coraz lepiej – mruknął. – Ale masz całą resztę. Powiedz, że masz całą resztę.

– Nie. To znaczy, tak jakby – dodał Paul pospiesznie. – Dałem to komuś na przechowanie, ale wszystko gra, ufam jej. – Usłyszał końcówkę swojej wypowiedzi i odtworzył ją w pamięci. Ufam mamie pana Tannera? Gotów jestem powierzyć swoje życie i przyszłość mojego gatunku goblinicy nimfomance? Cholerny świat, już to zrobiłem. Nic dodać, nic ująć. – Mogę to wszystko odzyskać w każdej chwili.

Wujek Ernie westchnął.

– Obyś miał rację, bo jeśli to wpadnie w ręce Judy, jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie zostać tutaj i poprosić pana Dao, żeby zamknął nas w pudłach i wyrzucił nóż do tektury. Ale niech żywi nie tracą nadziei. Kreda... znalazłeś ją?

- Kolorowa. Tak – powiedział Paul.

– Spal wszystkie kawałki – polecił wujek Ernie. – W porządnym, silnym ogniu, takim jak na przykład w piecu albo w kotle parowym. Powinieneś też mieć mój zegarek, pióro i śrubokręt, zgadza się?

Paul sięgnął pamięcią wstecz.

- Tak. Zegarek robi coś dziwnego z kontinuum czasoprzestrzennym, dobrze kojarzę?

– Można tak powiedzieć – odparł wujek Ernie cierpkim tonem. – Zatrzymuje bieg czasu. Trzeba jednak uważać, jest stary i delikatny, jeśli zepsujesz mechanizm nakręcający, to klops. Na twoim miejscu nie bawiłbym się nim.

- Nie zamierzałem... – Paul się opanował. – Rozumiem. Co z piórem i śrubokrętem?

– Prosta sprawa. Pióro pisze tylko prawdę. Sprytne urządzenie, ale całkowicie nielegalne od czasu, kiedy nasz przodek pożyczył jedno ówczesnemu premierowi Gladstone'owi, żeby mógł dokończyć pisanie ważnego przemówienia. Śrubokręt pewnie okaże się najbardziej przydatny. Można nim...

Zasłona z koralików zafalowała gwałtownie i wszedł pan Dao.

– Proszę wybaczyć – powiedział do Paula wzburzonym głosem – ale jeśli chce pan wyjść, musi pan to zrobić już, teraz. – Wyjął z rękawa małą buteleczkę. – Właśnie doniesiono mi, że przyszli audytorzy i czekają w moim gabinecie. To wbrew przyjętemu zwyczajowi. Owszem, mają

prawo składać niezapowiedziane wizyty, ale skorzystali z niego po raz pierwszy od dwunastu tysięcy lat. Podejrzewam, że stoi za tym ktoś nieprzychylnie nastawiony do któregoś z was. Pan... – ciągnął, wskazując ruchem głowy Paula – ... jeszcze się nie zameldował, więc nie mogą pana tu znaleźć. Postawiłoby mnie to w kłopotliwym położeniu, a pan oczywiście już nigdy nie mógłby stąd wyjść, mimo zawartości tej buteleczki. Co się tyczy pana... – popatrzył na wujka Erniego – sugeruję, by wrócił pan do pudełka i siedział cicho, dopóki sobie nie pójdą. Zawartość skrytek teoretycznie jest objęta tajemnicą. W praktyce, gdyby chcieli którąś otworzyć, nie bardzo wiem, jak miałbym ich powstrzymać. A teraz... – Wyciągnął rękę do rękawa Paula, lecz nagle ją zatrzymał, jakby coś sobie w ostatniej chwili przypomniał. – Niech pan wypije krew i idzie. Drzwi powinny otwierać się przed panem automatycznie, ale na wszelki wypadek niech pan się postara ich sobie nie wyobrazać. Im mniej ich pan sobie zwizualizuje, tym lepiej.

Paul skinął głową, po czym się odwrócił, by pożegnać się z wujkiem, on jednak już zniknął, a jego pudełko wróciło na swoje miejsce na półce.

– Co mam zrobić?

– Wypić krew. Oddać mi buteleczkę. Uciekać.

Strasznie dziwne uczucie – znowu mieć ciało. To tak jakby włożyć na siebie najstarsze, najbardziej prześmierdłe ubranie, jakie można sobie wyobrazić, coś, co nawet strach na wróble oddałby do szmateksu. Paul jednak nigdy bardziej się nie cieszył ze swoich dotąd znienawidzonych nóg. Może były chude, rachityczne i podobne do nóg indyka, ale przynajmniej działały. Co więcej, był pod wrażeniem prędkości, jaką zdołał z nich wycisnąć, kiedy gnał przez pustkę w stronę (taką miał żarliwą nadzieję) drzwi kasy.

Omam nie popłakał się z radości, kiedy je zobaczył: słaby zarys pośród mroku, obrzeżony wręcz niewiarygodnie wyglądającym szarawym blaskiem. Z głębokim westchnieniem ulgi chwycił klamkę, nacisnął ją, pchnął drzwi...

I nic. Wtedy sobie przypomniał. Oczywiście, że się nie otworzą. Sam zabił je deskami, żeby fałszywa Melze nie przyłapała go na potajemnym przeszukaniu jej szafki na dokumenty.

Kopał je, usiłował wyważyć barkiem (au!), napierał na nie plecami, wykorzystywał mięśnie nóg (podejście naukowe; klapa), wymyślał im i ładnie prosił. Próbował zastosować modlitwę, łzy i wołanie mamusi. Próbował je przekupić. Złamał ostrze scyzoryka, usiłując je wyłamać drzazga po drzazdze. Właśnie miał sprawdzić, czy kucnięcie przy nich i histeryczny szloch coś dadzą, kiedy ktoś zwrócił się do niego po imieniu.

Podniósł głowę.

– Och, to znowu ty.

– Paul? – Fałszywa Melze stała nad nim z zatroskaną, cokolwiek matczyną miną. – To ty?

– Tak.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz... Paul, kiedy widziałam cię ostatnio, myślałam, że nie żyjesz.

Skinął głową.

– Bo nie żyłem. I pewnie nadal nie żyję. Długa historia.

– Aha. – Zmarszczyła brwi. – Co miałeś na myśli wcześniej, kiedy nazwałeś mnie kłamczuchą?

– To co mówiłem. Nie jesteś prawdziwą Demelzą Horrocks. Chyba nawet nie jesteś człowiekiem. – Zaklął i kopnął z furją w drzwi, uszkadzając sobie w ten sposób drugą nogę. – Zobacz, co sobie przez ciebie zrobiłem.

– Paul, nie wiem...

– Jesteś jedną z nich, zgadza się? Tych istot ze snu, bandy hrabiny Judy. – Podniósł wzrok na nią; jej oczy były głębokie i pełne bólu. Dlaczego? Bo... – Zmusiła cię do tego, mam rację?

Fałszywa Melze powoli pokiwała głową.

– Tak. Ktoś ci powiedział, prawda?

– Nie, ten jeden raz dla odmiany sam to wykombinowałem. A raczej z pewną pomocą; zadzwoniła do mnie prawdziwa ty. Podobno mieszka w Saffron Walden, gdziekolwiek to jest. Ale powinienem był wiedzieć, nie? Od samego początku. A przynajmniej odkąd zaczęłaś... – Zawahał się, nie chcąc użyć tego słowa. – Odkąd mnie polubiłaś. Miałaś mnie tylko zwabić w pułapkę albo odwrócić moją uwagę.

Wydała stłumiony szloch, po czym nagle rozryczała się na całego – łzy, smarkanie, czkawka, wszystko naraz.

– To nie moja wina – szlochała. – Nie mogłam nic na to poradzić. Taką mnie stworzono. Ja naprawdę cię...

– Cicho – warknął Paul. – Nie chcę tego słyszeć. Ty nie istniejesz naprawdę.

– Właśnie że istnieję naprawdę – załkała z wściekłością – i naprawdę cię kocham.

Poczucie winy i gniew nie za dobrze komponują się ze sobą. Połączone sprawiały, że Paul jedną ręką chciał wybić jej zęby, a drugą ją przytulić.

– Trudno – rzekł. – To nie zmienia faktu, że tak naprawdę jesteś tylko ulepszoną pułapką na myszy. I stoisz po stronie Judy. Co, nie mam racji?

Parę razy pociągnęła nosem.

– Zmusiła mnie. Nic na to nie poradzę. To niesprawiedliwe – dodała i dwie wielkie łzy spłynęły po jej policzkach na podbródek. – Muszę robić, co mi każe, nie mam żadnego wyboru, ale mimo to czuję... To jest prawdziwe, przysięgam.

– Och, na... – Paul urwał, schwycił ją za ramiona; próbowała go odepchnąć, ale nie za mocno. – Musimy się stąd wydostać.

– Wiem – wymamrotała. – Ale coś jest nie tak z drzwiami, nie wiem co.

– Hm. – Paul ją puścił. – Są zabite deskami. Od zewnątrz. Ściśle, dwiema listwami przybitymi sześciocalowymi gwoździami do framugi. Ja to zrobiłem.

– Ty? Ale... To jak się tu dostałeś?

– Umarłem. A teraz utknąłem na amen i to wszystko twoja wina.

– Moja... ?

– Zrobiłem to tylko po to, żebyś nie weszła do kasy, kiedy będę zaglądał do twojej szafki. Bo jesteś po ich stronie. Ja... – Spojrzał na swoje buty. – Chyba nie do końca to przemyślałem. Tak naprawdę to wszystko moja wina.

– Nic się nie stało – powiedziała odruchowo. – Muszę tak mówić – dorzuciła ze słabym uśmiechem. – Nie mogę być zła ani myśleć „Jezu, ależ z niego oferma”, choć bardzo bym chciała. Muszę ci wybaczać, wspierać cię i mówić, że nic się nie stało, nie mogłeś wszystkiego przewidzieć.

Paul spojrzał na nią.

– To okropne. Przykro mi.

– No cóż. – Rumieniła się, a może po prostu twarz jej poczerwieniała od łez. – Musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Może spróbujemy wyważyć je razem?

Spróbowali. Nic z tego.

– Au! – jęknęła, rozcierając ramię. – Nie wiedziałam, że masz taką smykałkę do majsterkowania.

– Czasem sam siebie zaskakuję – odparł Paul kwaśno. – Ostatnimi czasy kolejka chętnych do tego, żeby zostać moim największym wrogiem, ciągnie się przez pół korytarza, ale i tak ja nadal stoję na jej czele. Ty pewnie nic nie możesz zrobić?

– Gdybym mogła, myślisz, że tak bym tu sterczała? – Fałszywa Melze zmarszczyła brwi. – Ale wszystko będzie dobrze – powiedziała bez przekonania. – To znaczy, wcześniej czy później ktoś zauważy, co zrobiłeś z drzwiami. Albo ktoś zda sobie sprawę, że zniknęliśmy, i pójdzie nas szukać. No i w końcu ktoś będzie się tu musiał zjawić, bo przecież trzeba załatwić sprawy finansowe.

– Oczywiście – powiedział Paul. – Pytanie kiedy. Zrobiłaś już wszystko, co było na dziś do zrobienia. Nie chcę krakać, ale naprawdę myślisz, że wytrzymamy tu do jutra? Może ty, nie wiem, ile dziwnych zjawisk ty i tobie podobni jesteście w stanie znieść. Ja na pewno nie. Moje chwile już teraz są policzone. Dosłownie – dodał z odrobiną obłąkanym uśmiechem. – Nie mogę zdradzić szczegółów, ale jeśli zaraz się stąd nie wydostanę, utknę tu na dobre. I uprzedzając twoje pytanie, nie, nie mam żadnych pomysłów. Ani planu.

– To... – Odwróciła głowę w bok. – To niedobrze. Widzisz, wydaje mi się, że jeśli

umrzesz... umrzesz na amen, nie tak jak to zrobiłeś teraz... to i ja wtedy tak jakby przestanę istnieć. Nikt mi nigdy nic nie mówi, a o takie sprawy raczej się nie pyta, zwłaszcza hrabiny Judy, lecz mam wrażenie, że... no, że powstają w twojej głowie, jak sen, tylko że śniony na jawie. Ze jestem jakby marzeniem. Stąd wiem, jak być dokładnie taka, jaka chcesz, żebym była – stwierdziła z goryczą. – Podświadomie mówisz mi, co robić, czego ode mnie chcesz. Jeśli umrzesz... – Wzruszyła ramionami. – Chociaż właściwie mała strata, to i tak było marne życie. Nie obraż się, ale być twoim wyobrażeniem o ideale kobiety to tak, jakby... – Nagle uśmiechnęła się szeroko. – Przyznaj to, Paul. Wiesz o kobietach tyle co szympanś o mechanice kwantowej. I dlatego, mimo najszczerzych chęci, nie było mi łatwo.

– O Boże. – Paul osunął się na drzwi i ukrył twarz w dłoniach. – Przepraszam. Słuchaj, czy dałoby to coś, gdybym zmienił zdanie, uznał, że tak naprawdę lubię silne, asertywne kobiety, które mają gdzieś, co ja myślę?

Falszywa Melze zachichotała.

– Nie bardzo. Za to gdybyś nagle odkrył w sobie obsesję na punkcie enerdowskich sztangistek, to już byłoby coś. Wtedy pewnie wyważyłabym te drzwi kichnięciem.

Paul się skrzywił.

– Przykro mi. Nie dałbym rady, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Widzę. – Westchnęła i usiadła obok niego. – Wiesz, wszystko się mogło dobrze ułożyć. Mogliśmy... nie wiem, ustatkować się, wziąć ślub, kupić gdzieś mieszkanie i spędzać weekendy na dobieraniu zasłon i montowaniu karniszy. Tak postępują ludzie? Nigdy nie byłam człowiekiem.

– A ja owszem – odparł Paul – w pewnym sensie. Właściwie to Sophie i ja głównie się kłóciliśmy albo dąsaliśmy.

– Wiem. Och, nie patrz tak na mnie. Pewnie wiem o was więcej niż wy sami. W połowie jestem jej wierną kopią, w połowie stanowią jej dokładne przeciwieństwo. Muszę przyznać, że Bóg jeden wie, coś ty w niej widział.

Paul spojrzał na nią zdumiony.

– Co w niej widziałem?

– No właśnie. Jak dla mnie to ponure, zapatrzone w siebie krówsko. Choć w sumie nie jestem obiektywna. Tak to jest, jak ci każą być w połowie kimś innym.

Paul chwilę się nad tym zastanowił.

– Lepiej skupmy się na tym, jak otworzyć te drzwi – powiedział. – Potem będziemy mogli rozszarpać się na strzępy, jak znajdziemy wolną chwilę.

Skinęła głową.

– Twoja czerwonoooka przyjaciółka z długimi pazurami pewnie nam nie przyjdzie z pomocą, co?

Wzruszył ramionami.

– Nie sądzę. Jest nieobliczalna, delikatnie mówiąc. Poza tym do wpół do szóstej ma dyżur w recepcji i nie wie, że zaginęliśmy.

– A pan Wurmtoter? Wie, że Judy coś knuje, może zauważy, że nie ma cię w twoim gabinecie.

– Może. Ale ma dużo roboty na głowie, ciągle gdzieś lata i zarzyna wielkie jaszczury. Myślę, że raczej nie możemy na nim polegać, ani na nikim innym, nawiasem mówiąc. Chyba jesteśmy zdani... Na co tak patrzysz? Nie widzę...

Fałszywa Melze wskazała palcem. Po chwili Paul też to zobaczył. Poprzez ciemność, z bardzo cichym skrzypieniem nienaoliwionych łożysk i niedokręconych zębatek, nadjeżdżał stary, kolebiący się, bezański rower. Zatrzymał się jakieś pół metra od nich.

– Wstydzilibyś się – rzekł.

Po chwili dodał:

– Może byś tak wyjaśnił, co cię tak bawi. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nam nie jest do śmiechu.

Paul z trudem się opanował.

– Przepraszam – powiedział. – Chodzi o to, że... no nie. Nie wiem, kim albo czym, do cholery, jesteś ani dlaczego się na mnie uwziąłeś, ale słowo daję, ty to zawsze potrafisz wybrać właściwy moment.

– Idiota – odparł rower. – Niewydarzony, nieodpowiedzialny błazen. Bóg jeden wie, co ci do łba strzeliło, żeby się zabić, kiedy ona na ciebie liczy. Kompletna bezmyślność. A teraz zadekowałeś się tu wygodnie z tą... tą istotą, a wszystko przez durne drzwi, które uznałeś za stosowne zabić dechami. I ty masz być ostatnią nadzieją? – dorzucił rower zjadliwie, po czym cofnął się o jakieś dziesięć metrów i pomknął ku drzwiom jak strzała.

Stal jest dużo twardsza od ołowiu. Mimo to miękki ołowiany nabój lecący z odpowiednio dużą prędkością przebija się przez stalową płytę, choć niewiele z niego zostanie, kiedy wyjdzie z drugiej strony. Ta sama zasada odnosi się do rowerów i grubych sosnowych drzwi. Ogólnie biorąc, drzwi zniosły to nie najgorzej; wciąż były w jednym kawałku i trzymały się na zawiasach. Za to rower wyraźnie osiągnął kres swojego długiego, barwnego żywota. Przednie koło wygięło się niemal w ósemkę, zgrabny, elegancki układ szprych splątał się jak nogi rozdeptanej komarnicy, widełki, rama i kierownica dokumentnie się powyginały, jeden pedał się urwał, drugi sterczał pod niepokojąco ostrym kątem. Kiedy rower się odezwał, jego głos był cichy i chrapliwy.

– Zamknij te pieprzone drzwi, zanim wejdą tamci.

Paul tylko stał i się gapił; tak długo go tu nie było, że pomieszczenie kasy wydawało się nieprawdopodobnie nierzeczywiste, niby obraz ze snu. Na szczęście fałszywa Melze zachowała

zimną krew; zatrzasnęła drzwi i przyblokowała je krzesłem.

– Dzięki – powiedział Paul.

– Za co? Och, to nic takiego – odparła fałszywa Melze.

Ale Paul nie do niej mówił. Klęczał przy konającym rowerze i z jakiegoś dziwnego powodu miał łzy w oczach.

– Dzięki – powtórzył. – Jak się czujesz?

– Zgadnij – słabo westchnął rower.

– Nic ci nie będzie. – Paul odruchowo wyciągnął rękę, po czym się zawahał. – Naprostujemy cię, zespawamy i co tam jeszcze...

Szorstki śmiech roweru przeszedł w atak kaszlu.

– Nie bądź dureń. Zamknij się i słuchaj, mam mało czasu. I nie myśl, że cię uratowałem, bo jestem szlachetny i odważny, albo dlatego że cię lubię. Wcale nie. Uważam, że jesteś samolubnym gnojkiem.

Paul wzruszył ramionami.

– Pewnie masz rację.

– Wiem, że mam. Jesteś nędznym gadem o mentalności dwunastolatka i Bóg jeden wie, co ona w tobie widzi. Ale cię kocha, więc nie miałem wyboru. Co znaczy, że ty jesteś bezpieczny, a ja umieram. To ma być sprawiedliwość? Śmiechu warte.

– Czekaj no – powiedział Paul. – Kto mnie kocha?

Rower jęknął.

– Nie pomagasz. Jak cię słucham, to wcale nie czuję się dumny, że oddałem za ciebie życie. Nie dość, że jesteś żalonym niedojdą, to jeszcze musisz być bezdennie głupi? Doskonale wiesz, kto cię kocha, kretynie, a jeśli nie, no, to naprawdę dałeś ciała. Zgaduj, masz trzy próby. I nie mów, że twoja mama, bo słowo daję, stanę na tylnym kole i cię w cholerę rozjadę.

To była w sposób oczywisty czcza groźba; tylne koło roweru było w niewiele lepszym stanie od przedniego.

– Nie wiem – jęknął Paul. – Ta tutaj nie, nawet nie jest prawdziwa, więc się nie liczy. A Sophie... – Rower zadygotał; Paul zapomniał o jego ostrej alergii na imiona. – Ona mnie nie kocha, bo inaczej nie dałaby dyla do Ka... do Nowego Świata – poprawił się rozpaczliwie. Na szczęście to określenie najwyraźniej nie liczyło się jako imię. Albo rower tak cierpiał, że nie zwrócił na nie uwagi.

– Kto więc pozostaje?

– Gdzie dała dyla, co ty bredzisz? – Rower głosem żalśnie słabym wciąż potrafił wyrazić głęboką pogardę. – Nigdzie nie wyjechała. Nadal tu jest.

Paul pokręcił głową.

– Nie, wcale nie. Przenieśli ją do Hol... do filii w tym mieście, gdzie kręcą filmy. Bo chciała ode mnie uciec.

– Nie. – Przedśmiertnym rżeniem roweru był słaby zgrzyt przekładni. – Nigdzie nie wyjechała. Jest tutaj. Teraz wszystko w twoich rękach, musisz znaleźć... – Rower lekko zadrżał i osunął się na podłogę. Tylne koło wykonało dwa wolne obroty i znieruchomiało.

– Nie żyje – powiedziała fałszywa Melze, raczej niepotrzebnie. – Biedak.

Paul się odwrócił. Nie widział dobrze, bo miał mokre oczy.

– Nie... – zaczął, po czym uświadomił sobie, że właściwie nie jest pewien, czego chce jej zabronić. Prawdopodobnie wszystkiego, ostatecznie była wrogiem, prawda? – Nie udawaj, że jest ci przykro. Po prostu nie, dobrze? Prawdę mówiąc, najlepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz.

– Nie mogę. – Mówiła chłodnym, wręcz oficjalnym tonem. – Nie mogę – powtórzyła. – To mój gabinet. Mam pracę, którą powinnam się zająć.

– Nie gadaj bzdur – warknął Paul. – Nie możesz tu zostać, jakby nic się nie stało, już nie. Na litość boską, nawet nie jesteś człowiekiem.

– Może i nie. – Jej głos był jak małe kawałki lodu odłupane od wielkiej, niebezpiecznej góry lodowej. – Ale zobaczmy. Poczynając od członków zarządu, mamy goblina, olbrzyma i Królową Elfów. Dalej jest pan Shumway, krasnolud. A ty jesteś Świnia, więc wygląda na to, że człowieczeństwo nie jest wymagane, mam rację? Pewnie przyjęli paru ludzi dla świętego spokoju, żeby ci od równouprawnienia się nie czepiali. Jeśli chcesz się mnie pozbyć, lepiej się postaraj.

– Szkoda mi czasu – odparował Paul; jego myśli, płynące wolno, ale niepowstrzymanie jak ruch na autostradzie M25 w piątkowy wieczór, skupiały się na czymś, co rower powiedział przed śmiercią. – Dlaczego mówił, że Sophie wcale nie wyjechała? Wydawał się tak pewny siebie. Musiał coś wiedzieć.

– Nie mam bladego pojęcia – powiedziała fałszywa Melze.

– E tam nie. Założę się, że znasz odpowiedź. Czy Sophie jest w Hollywood?

– Skąd mam wiedzieć? Nawet jej nie znam.

Paul nie mógłby określić, co go o tym przekonało – może coś w jej głosie albo w oczach, jej ledwo wyczuwalna nerwowość czy jakiś zbyt wiele zdradzający gest – ale wiedział, że kłamała.

– To nieprawda, zgadza się? Wiesz, gdzie ona jest.

– Wcale nie. – Leciuteńko drżał jej głos. – Słuchaj, jeśli to nagle stało się takie ważne, czemu nie zadzwonisz do filii w Hollywood i ich nie spytasz?

– Różnica czasu – wyjaśnił Paul cicho. – U nich jest środek nocy, wszyscy śpią. – I nagle doznał olśnienia. – Wszyscy twardo śpią i śnią słodkie sny. I właśnie dlatego – ciągnął, patrząc jej prosto w oczy – to najlepsza pora, żeby do nich zadzwonić, prawda? Właśnie teraz, nie potem, za dnia, kiedy wszyscy będą rozbudzeni.

– O czym ty mówisz? – Cofnęła się o krok. – Naprawdę powinieneś już iść. A jeśli przyjdzie hrabina Judy? Nie powinieneś być tutaj. I spójrz na swoją rękę – dodała pospiesznie. – Lepiej idź z tym do lekarza, paskudnie wygląda.

Paul mimo woli spojrział w dół – na swoje nadgarstki pokryte zakrzepłą krwią w miejscach, gdzie podciął sobie żyły harcerskim scyzorykiem. Wtedy, kiedy to zrobił, nie zauważył, ile krwi wyciekło z rany; stan rękawów marynarki i spodni nie był wówczas dla niego najważniejszy. Fałszywa Melze miała trochę racji. Wyglądał okropnie. A jeśli rany się nie zagoiły? Straszna myśl; co będzie, jeśli najlżejszy ruch spowoduje, że znów się otworzą? Teraz, kiedy już zdecydowanie miał po co żyć, niedobrze by się stało, gdyby przez nieostrożność wykrwawił się na śmierć.

– Może i masz rację – powiedział. – Która godzina? Wcześniej zdjąłem zegarek, z oczywistych powodów.

Zerknęła na zegar na ścianie tuż nad jego głową.

– Dziesięć po piątej. Chodźmy już. Nie powinieneś się kręcić w pobliżu goblinów, kiedy pachniesz świeżą krwią. Są oswojone tylko do pewnego stopnia, rozumiesz.

Kolejne rozsądne spostrzeżenie. Skinął głową.

– Będziesz tu jutro? – zapytał.

Fałszywa Melze odwróciła wzrok.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co teraz ze mną będzie. Oczywiście spartoliłam moje najważniejsze zadanie, ale nadal potrzebują kasjerki.

To też była na swój sposób bardzo znacząca uwaga, ale Paul zanotował ją sobie w pamięci do późniejszego rozważenia.

– Bylebyś trzymała się ode mnie z dala, jasne? – powiedział. – Jeśli będę chciał z tobą rozmawiać, znajdę cię. W przeciwnym razie...

– Rozumiem – odparła pustym głosem. – Wiem, że to nic nie zmieni, ale naprawdę cię kocham. I wiem, że to się nie liczy, ale taka jest prawda.

Paul spojrział na nią. Była niezwykle piękna i przypominała Melze w stopniu nieosiągalnym dla prawdziwej Melze; bo prawdziwa Melze byłaby dla niego obcą osobą, gdy ta tutaj została zmontowana z fragmentów jego własnych wyobrażeń niby conceptualna szafa z Ikei.

– Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie – rzekł zimno i wyszedł.

Rozdział 13

Paul nie wiedział, gdzie jest najbliższy szpital, i niezbyt cieszył się na myśl o tym, że będzie musiał tłumaczyć, jak to się stało, że podciął sobie żyły. Pozostawał więc Ricky Wurmtoter, ten to musi sporo wiedzieć o opatrywaniu ran. Poza tym Paul miał mu to i owo do zameldowania, choć nie był do końca pewien, co powiedzieć, a co przemilczeć. Ale jeśli mógł się gdzieś schronić przed grasującą hrabinią Judy, to tylko u Ricky'ego. W końcu Ricky jest bohaterem. Prawdziwym.

Tak był zaprzątnięty myślami, że ostro skręcił za róg korytarza, nie patrząc, gdzie idzie, i zderzył się z jakąś formą życia. Nie zauważył, na kogo wpadł, ale ucisk czubka głowy wpijającego się w jego podbródek powiedział mu, kim jest jego ofiara. Pan Tanner. Ożeż cholera.

– Fełafam – wybełkotał Paul. Nie mógł normalnie mówić z przyblokowanymi od dołu ustami.

Pan Tanner cofnął się o krok i zmarszczył brwi. Okulary miał leciuteńko przekrzywione, co upodabniało go do małego, roztrzepanego brzdąca. W każdej innej sytuacji Paul dostałby ataku śmiechu na ten widok.

– Idiota – powiedział pan Tanner. – Czego nie patrzysz, jak... ?

Urwał w pół zdania i Paul się domyślił, że pan Tanner zauważył zakrzepłą krew. Za późno, by schować ręce za plecami.

– Coś ty robił, do licha? – spytał pan Tanner.

Umysł Paula opróżnił się jak dom towarowy po ogłoszeniu alarmu bombowego.

– Skaleczyłem się – wymamrotał.

– Może cię zaskoczę, ale sam się tego domyśliłem. Czym? I jeśli mi powiesz, że papierem, zmienię cię w szczura i wypuszczę na pokazie psów.

Paul myślał szybko. Było to równie bezcelowe jak długie, wnikliwe rozważania, ale zajmowało mniej czasu.

– Szufladą biurka. Szyna się trochę wygięła i wystaje taka ostra krawędź. Ale nic się nie stało, to tylko zadrapanie.

Pan Tanner przewiercił go wzrokiem na wylot.

– Dam ci dobrą radę. Nigdy nie próbuj zostać politykiem ani prawnikiem. Owszem, jesteś wystarczająco głupi, ale kłamiesz tak nieudolnie, że tylko byś się skompromitował. – Uśmiechnął się szeroko. – Jeśli nie chcesz powiedzieć, w porządku. Ja tylko się o ciebie martwię.

– Raczej chroni pan inwestycję – wypalił Paul, zanim zdążył się powstrzymać.

O dziwo, jego słowa zrobiły na panu Tannerze wrażenie, a może go rozbawiły. Albo jedno i

drugie. W każdym razie uniósł obie brwi i nie wyszczerzył się radośnie, tylko się uśmiechnął.

– Doskonale – stwierdził. – Sam się domyśliłeś, czy ktoś ci powiedział?

– Nietrudno to było ustalić. Wiedziałem, że musiał być jakiś powód, dla którego nie chciał pan dać nam odejść.

– Doprawdy? Jakiś ty bystry. A skoro już o tym mowa... – dodał pan Tanner, powracając do swojego normalnego, szerokiego uśmiechu. – Boksyty. Zdaje się, że wpadliśmy na trop względnie bogatych złóż w Malawi, ale nie możemy ich precyzyjnie zlokalizować. Drzewa zasłaniają widok czy coś takiego. Przyślę do ciebie Christine ze zdjęciami satelitarnymi. Postaraj się ich nie zakrwawić.

Paul chwilę się zastanawiał, czy gdyby powiedział panu Tannerowi, gdzie może sobie wsadzić te swoje boksyty, zyskałby jeszcze więcej w jego oczach. Rozważył wszystkie za i przeciw i postanowił tego nie robić.

– W porządku, ale najpierw muszę się zobaczyć z panem Wurmtoterem.

– Co? Ach tak, zapomniałem, że pod jego nieobecność pilnowałeś mu interesu. – Pan Tanner pokręcił głową. – Wiesz, bohaterstwo dobra rzecz, ale dla mnie najważniejszy jest ogólny bilans, a w porównaniu z minerałami, bohaterowie przynoszą minimalne zyski w stosunku do wkładu pracy. Tak naprawdę działamy w tym sektorze tylko na prośbę naszych ważniejszych klientów. Kiedy przyjdzie czas dokonać wyboru, na twoim miejscu odpuściłbym sobie szkodniki. To, że coś potrafisz, nie znaczy, że musisz to robić.

I poszedł, pozostawiając za plecami wpatrzonego weń Paula. Czy to możliwe, by pan Tanner nie wiedział, co się dzieje? Czy też po prostu był po swojemu wredny? Paul chwilę o tym pomyślał, po czym uznał, że to nieważne? Zwłaszcza w porównaniu z, powiedzmy, kwestią, czy dożyje końca tego tygodnia.

Jak należało oczekiwać, Ricky'ego Wurmtotera nie było w jego gabinecie. Paul zaklął, po czym powlókł się do recepcji, pamiętając, by trzymać ręce w kieszeniach.

– Wiesz, dokąd poszedł pan Wurmtoter? – spytał oszalamiającą rudowłosą piękność za biurkiem i w ostatniej chwili przypomniał sobie, kim ona jest.

– Nie mam pojęcia – powiedziała mama pana Tannera i cmoknęła językiem. – Cały dzień do niego wydzwaniała. – Pokazała mu gruby plik karteczek z notatkami. – Tak w ogóle to co ci się stało? Zaciąłeś się przy goleniu czy to keczup z przeciekającego hamburgera?

Paul westchnął.

– Nie twoja sprawa – warknął. Potem przypomniał sobie coś jeszcze. – Skoro już tu jestem – dodał tak niedbale, jak tylko mógł – pamiętasz to pudło pełne gratów po moim wujku? Mówiłaś, że przechowasz je dla mnie.

Jej oczy otworzyły się trochę szerzej. Dziś były szmaragdowozielone, wielkie i głębokie.

– Mgliście. A co?

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym je odebrać.

– Dlaczego? – Lekko zacisnęła usta. – Chyba ci mówiłam, to same paskudne rzeczy, nie do zabawy.

– Och, chciałem tylko na nie zerknąć. Tak sobie, bez powodu. Jeśli tyle dla ciebie znaczą, oddam ci je, jak tylko skończę.

Pociągnęła nosem.

– No, no, nie strzelaj focha. To dla twojego dobra, gadzie niewdzięczny. Nie masz pojęcia, jak się obchodzić z takimi rzeczami, a ja za cholerę nie zamierzam cię ratować, jak się wpakujesz na Minę Prawdopodobieństwa albo do Anomalii Butterfielda.

Hm, pomyślał Paul.

– To chyba mało prawdopodobne, co?

Zachichotała złośliwie.

– Z takim sprzętem nie ma żartów – powiedziała. – Brak ci kwalifikacji. To tak jakby dać dziesięciolatkowi do ręki piłę łańcuchową.

– Nie zamierzam tego używać – zapewnił Paul i udało mu się powstrzymać od dodania „słowo honoru”. – Chciałem tylko coś sprawdzić, to wszystko.

– Proszę cię bardzo. – Otworzyła usta, włożyła palec do środka i wydłubała coś, co wyglądało jak kawałek gumy do żucia. – Tylko żeby potem nie było na mnie – dodała, położyła to coś na dłoni i delikatnie na to chuchnęła. Niby-kawałek gumy zaczął powoli rosnać i mama pana Tannera przeniosła go na biurko. Pół minuty później zmienił się w znajome tekturowe pudło, lekko wilgotne i lepkie od śliny.

– Dzięki – mruknął Paul, szukając suchego miejsca, za które mógłby chwycić. – Naprawdę, jestem wdzięczny, że je przechowałeś. Mam nadzieję, że, hm, nie było zbyt niesmaczne.

Mama pana Tannera wyszczerzyła się radośnie.

– W smaku przypominało kurczaka. Żartuję. Tak naprawdę bardziej mi się kojarzyło z truskawkami. Nie znoszę truskawek. Od większości owoców dostaję zgagi. Natura mięsożercy, rozumiesz.

Zmiana planu. Zamiast kontynuować poszukiwania pana Wurmtotera, Paul wrócił z pudłem do swojego gabinetu. Na miejscu czekały już na niego zdjęcia z lotu ptaka, którymi go straszono: ciągnące się kilometrami czarno-białe czubki drzew, jak impresjonistyczna martwa natura przedstawiająca kłębek waty stalowej. Ostrożnie odsunął fotografie na bok, żeby oślinione pudelko nie zostawiło na nich śladów.

W środku, w takim stanie, w jakim ją zostawił, była kolekcja magicznych gratów wujka Erniego: zepsuty zegarek, śrubokręt, karta biblioteczna, pióro i opakowanie kredy. Spal to, mówił

mu wujek Ernie. Chyba chodziło o kredę, prawda? Paul wyjął opakowanie i zsunął wieczko. Obejrzał kawałki kredy, powąchał je i dotknął; z pozoru niczym nie różniły się od zwyczajnej szkolnej kredy. Tak w ogóle to jak się spala kredę? Pokręcił głową i schował wszystkie kawałki, razem z resztą szmelcu, do kieszeni marynarki. Robiąc to, znalazł mały szklisty kamień.

Dziwne, pomyślał; choć teraz już wydawało się to nieistotne. Odłożył go na chwilę na biurko, po czym rzucił pudło na podłogę w kącie, żeby nie plątało się pod nogami. Kiedy odwrócił się z powrotem, zauważył, że kamień leży na wierzchu sterty zdjęć i słabo świeci.

Podniósł go, trochę zaciekawiony. Kamień był ciepawy w dotyku, ale blask w jego wnętrzu szybko przygasał. Paul położył go z powrotem na zdjęciu, ale światelko zamigotało i zgasło. Tak dla hecy przesunął kamieniem po błyszczącej powierzchni odbitki, systematycznie, z góry na dół, niby skanerem. Przy czwartym ruchu światelko znów rozbłysło i Paul poczuł znajome mrowienie, które oznaczało, że znalazł złożę boksytów. Machinalnie wyjął z szuflady marker i zakreślił to miejsce. Potem długo, uważnie przyglądał się kamieniowi.

Po chwili miał wrażenie, jakby patrzył przez teleskop... nie, raczej przez teleobiektyw, bo widział, jak czubki drzew zbliżają się ku niemu, aż zobaczył najpierw konary, potem mniejsze gałązki i wreszcie pojedyncze liście. Teraz był już pod koronami drzew i opadał ku zarośłom, paprociom, ziemi; teraz był pod ziemią, przemykał obok kamieni i korzeni, aż dotarł do warstwy gliny i skał pod nią. Najwyraźniej na tym pokaz się kończył. Nic, tylko skały...

Paul usiadł prosto. Nie byle skały. Boksyty. Rzecz jasna, nie poznałby boksytów, nawet gdyby dostał je w kanapce z cebulą i piklami; mimo to wiedział, że to one, bo wiedział to kamień i kamień wiedział też, że tego Paul szuka. Coś użytecznego, powiedziała mama pana Tannera, a boksyty były użyteczne, to na pewno, inaczej po co ludzie wykopywaliby je spod ziemi?

Cóż, pomyślał, chytra sztuczka, ale kamień mi do niej niepotrzebny, przecież mam cudowny dar, który pozwala mi zarabiać masę pieniędzy dla innych ludzi. Usiadł prosto i zauważył stertę zapleśniałych albumów ze zdjęciami, które rzucił na regał – były w pudle wujka Erniego razem z resztą zabawek.

Ciekawe, pomyślał Paul. Nie zaszkodzi obejrzeć.

Zdjął pierwszy lepszy album i otworzył. Zdał sobie sprawę, że dotąd nawet do nich nie zaglądał. Mama pana Tannera zrobiła to za niego, żeby sprawdzić, czy nie są niebezpieczne i czy nie ma w nich bomb. Orzekła, że nie stanowią zagrożenia, ot, kupa zdjęć brzydkich ludzi, prawdopodobnie z jego rodziny. To wystarczyło, by Paul stracił ochotę na ich oglądanie. Prawie wszystkie najgorsze godziny swojego życia w epoce przed JWW spędził w domu takiej czy innej okropnej krewnej, która koniecznie chciała pokazać mu zdjęcia. Doszło do tego, że na sam widok dowolnego albumu z charakterystyczną wzorzystą okładką i lśnącymi stronicami automatycznie się wyłączał. To działało jak kocimiętka na odwyrtekę. Do głowy mu nie przyszło, że w

którymkolwiek albumie może być coś, czemu warto poświęcić czas. Ale to samo powiedziałby o śrubokręcie i zepsutym zegarku...

Wcisnął kamyk w prawy oczodół jak lupę jubilerską. Obejrzał pierwsze zdjęcie.

Kiedy miał oboje oczu otwarte, widział grupę ponurych ludzi stojących wokół małej plastikowej choinki. Sądząc po ich wyglądzie – Paul nie znał się na kobiecych modach, ale męskie spodnie dzwony, szerokie krawaty, obszerne klapy i imponujące bokobrody były aż nadto wyraźnym znamięm bestii – fotografia pochodziła sprzed trzydziestu kilku lat. Nie rozpoznał żadnej z twarzy.

Kiedy jednak zamknął lewe oko, stało się coś bardzo dziwnego. To było podobne wrażenie jak przy oglądaniu zdjęcia z boksytami – opadał z wielkiej wysokości ku stolikowi w kącie pokoju, z dala od choinki i sceny zbiorowej. I kiedy od zawrotów głowy zaczynało mu się robić ciemno przed oczami, naraz wszystko znieruchomiało i zdał sobie sprawę, że patrzy na świstek papieru na blacie stolika. Świstek bardzo powoli się powiększał, aż Paul zobaczył, że coś na nim jest napisane. Jeszcze trochę i mógł przeczytać...

Cześć.

Cóż, robiło to w miarę przyjazne wrażenie. To był tylko świstek papieru na fotografii, może notka „Wysłałam, obiad jest w piekarniku”, albo, biorąc pod uwagę ogólny kontekst, liścik od dziecka z podziękowaniami za prezent. Paul czytał dalej:

Niestety, nie znam Twojego imienia, głównie dlatego, że jeszcze się nie urodziłeś. Nie wiem nawet, czy jesteś moim stryjecznym wnukiem czy wnuczką. Bardzo możliwe, że ani jednym, ani drugim – a w takim razie, Judy, szkoda, że nikt Ci nie powiedział, że nie wypada czytać cudzych listów.

Ale zakładając, że Donny i Lynn – to oni stoją po prawej stronie zdjęcia – pobiorą się i wydadzą Cię na świat, witaj w rodzinie. Szczerze wątpię, by rodzice powiedzieli Ci o Twoim pochodzeniu – sami nic o nim jeszcze nie wiedzą, a ja ciągle się waham, czy im wszystko wyjawić. Mój bratanek Donny, trzeba przyznać, ma wiele wspaniałych zalet. Na przykład jest prawie całkowicie wodoszczelny, dobrze mu rosną paznokcie i przyzwoicie gra w kanastę. Ale jest też hałaśliwy, arogancki, głupi, wybuchowy i zapatrzony w siebie jak wół w malowane wrota. Lynn nie znam dobrze, ale podejrzewam, że to typ kobiety, z której najwięcej pożytku jest wtedy, kiedy jej nie ma, i najlepsze, co można o niej powiedzieć, to że umie posługiwać się nożem i widelcem, nie wydłubując przy tym nikomu oczu. Tak to już jest, nie możesz wybrać sobie rodziców (ja wybrałem ich za Ciebie; patrz niżej) i może koniec końców mimo wszystko wyrośniesz na porządnego człowieka, odważnego, mądrego, zaradnego, troskliwego i gotowego do poświęceń, jak ja. Nie takie cuda się zdarzały.

Do rzeczy. Nasza rodzina, Carpenterowie, wykazuje wrodzone zdolności nadprzyrodzone

od co najmniej trzydziestu pokoleń – to mniej więcej tysiąc lat – a pewnie nawet dłużej. Co prawda daliśmy światu tylko jednego prawdziwie wybitnego mistrza sztuk tajemnych (czyli mnie), ale w co drugim pokoleniu mamy kompetentnych czarnoksiężników i czarodziejów, a wydaje się, że ogólna tendencja jest taka, iż z biegiem czasu nasza moc rośnie. Pomyśl tylko – jeśli to prawda, możesz okazać się lepszemu/lepsza w te klocki ode mnie.

Jedno muszę mu przyznać, pomyślał Paul, na pewno ma dryg do upychania długich listów na małych świstkach papieru. Pomijając to, wstrzymam się z oceną.

A propos, pozwól, że się przedstawię. Moje pełne nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny to profesor Ernest James Carpenter MT FRCMS Z WG (Stuttgart) CSMI bla-bla i tak dalej; oprócz tego, że jestem wizytującym profesorem magii w Cambridge i starszym wykładowcą uroków i czarów na uniwersytecie w Chicopee Falls w Idaho, pracuję też jako starszy konsultant wJ. W. Wells and Co. na St Mary Axe 70 w Londynie. W praktyce oznacza to, że jeśli zechcę, mogę Cię tak omotać, że uwierzysz, że stara wypacykowana makolągwa to Elisabeth Taylor, a Ty sam jesteś ulicznym pacholkiem. Prawdziwa bomba, jak się domyślasz.

Tuioja matka – o ile w stosownym czasie zostanie Twoją matką – wywodzi się z długiego (acz regularnie okrajanego) rodu bohaterów; początek jednej jego gałęzi dał Beowulf, a drugiej Brian Boru. Jak to możliwe, by bohaterowie tworzyli długi ród, nie mam pojęcia; bądź co bądź, najlepsi są w umieraniu młodo – choć z dmgiej strony trzeba przyznać, że dobrzy są też w mnożeniu się jak króliki. W każdym razie w żyłach Twojej mamy płynie krew półtora tysiąclecia niezrównanych szermierzy, mężnych zabójców smoków, obrońców uciemienionych i podobnych darmozjadów. To znaczy

– mam szczerą nadzieję – że wyrośniesz na bohatera i czarodzieja, że będziesz odważny oraz mądry, choć są poważne podstawy do tego, by twierdzić, że te dwie cechy wzajemnie się wykluczają.

Mój plan wobec Ciebie jest taki, że w młodym wieku zatrudnisz się w JWW, śmigniesz po szczeblach kariery jak szczur po rynnie, przed trzydziestką dostaniesz się do zarządu i będziesz w pełni wyszkolony, uzbrojony i gotowy na nadejście chwili, kiedy ja umrę, zniknę albo tak z niedołęźnieją, że nie będę mógł sam sobie nosa wysmarkać i ktoś będzie mnie musiał zastąpić w roli przywódcy ludzi w tajnej wojnie między nami i tymi skończonymi draniami z Magicznego Ludu. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, choć skazałem Cię na życie obfitujące w niebezpieczeństwa, trudności i dziwy wszelakie, nie dając Ci nawet złudzenia wyboru. Rzecz jasna, robię to z najszlachetniejszych pobudek. W końcu ktoś musi ocalić ludzkość, a skoro ten uciążliwy obowiązek spadł na mnie, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym podzielić się tym brzemieniem z kimś innym. Oczywiście, Ty możesz tak tego nie postrzegać, jeśli masz w sobie więcej z matki. Czy już wspomniałem, że mentalność bohatera zawsze była dla mnie wielką,

niedocieczoną zagadką ?

Przejdźmy do spraw praktycznych. Oczywiście nie mogę przewidzieć, jak wojna potoczy się przez najbliższe trzydziestolecie, więc nie mogę udzielić Ci żadnych konkretnych, użytecznych rad. Powinieneś/powinnaś już wiedzieć, że Judy di CastelBianco to niezłe ziółko i można mieć do niej tyle zaufania co do odbezpieczonego granatu; co za tym idzie, aby wygrać tę wojnę, trzeba się jej raz na zawsze pozbyć. Jak tego dokonać, nie mam bladego pojęcia. Nie można jej fizycznie zabić (próbowałem; nic z tego), uwięzić ani okaleczyć w stopniu uniemożliwiającym norrtmlne funkcjonowanie, a próbować zniszczyć jej umysł i zrobić z niej bełkoczącego pomyleńca, to jakby topić rybę w wodzie. Jedyna możliwość, jaka mi przychodzi do głowy, jest taka, by odnaleźć i wyeliminować jej Źródło – jak zapewne wiesz, każdy elf z Magicznego Ludu jest ni mniej, ni więcej, tylko snem śnionym przez człowieka. Kiedy odnajdujesz śniącego – Źródło, tak ich nazywamy – i budzisz jego albo ją, sen pierzcha, a elf natychmiast zostaje odesłany do swojego świata. Na ogół to niewiele daje; kiedy Źródło zasypia ponownie, elf powraca. Jednak ci stosunkowo nieliczni osobnicy, którym udało się osiedlić na stałe po naszej stronie granicy – na przykład Judy – muszą być śnieni nieustannie, bez chwili przerwy. Jeśli ich Źródła choć raz się obudzą, to koniec, zostają wygnani na zawsze. To niby optymistyczne, ale, co w pełni zrozumiałe, Magiczny Lud dokłada wszelkich starań, by chronić Źródła swoich stałych osadników. Utrzymują śniących w stanie trwałego uśpienia, w miejscu tak dobrze zabezpieczonym, że nie znalazł go żaden człowiek. Nawet gdyby Tobie się to udało, nie wyobrażam sobie, byś mógł po prostu wdrapać się tam po rynnice i wyłamać okno łazienki. Zgaduję, że w porównaniu z tym miejscem Fort Knox to przystanek autobusowy.

No ale tak to już jest. Nikt nie twierdzi, że życie ma być łatwe i sprawiedliwe, czy nawet że ma mieć gwarantowaną minimalną długość. W każdym razie życzę Ci powodzenia. A propos, jeśli chodzi Ci po głowie jakieś romantyczne dyrdymały typu „nie chcę mieć z tym nic wspólnego, pojedę, gdzie mnie oczy poniosą, i będę zarabiał na skromne, ale uczciwe życie, naprawiając maszyny do pisania w Bhutanie”, od razu uprzedzam, zapomnij o tym. Po pierwsze, zamierzam tak wszystko urządzić, żebyś nie miał takiej możliwości; po drugie, nawet gdyby Ci się udało, Judy prawie na pewno wytropiłaby Cię i zarznęła jak indyka na Boże Narodzenie tylko dlatego, że jesteś spokrewniony ze mną. A tak, jeśli będziesz siedział cicho i robił, co Ci każą, istnieje cień szansy, że zamiast Cię od razu zabić, spróbuje przerobić Cię na własne kopyto i wykorzystać, co może przedłużyć Twój żywot o nawet pięć lat.

Udanych łowów!

Kochający przyszły stryjeczny dziadek

Ernest Carpenter

Czyż nie byłoby wspaniale, pomyślał Paul, czyż nie byłoby, do cholery, cudownie, gdyby

życie wytrzymało pięć minut bez zwałania mi z wysoka na łeb kolejnych, coraz to okropniejszych kup gówna? Zatrzasnął album. Po czym, wiedziony podszytym poczuciem winy kaprysem, otworzył go znowu na chybił trafił. W rogu pierwszej fotki, która rzuciła mu się w oczy, melancholijnego studium małego, tłustego dziecka zajadającego się lodami na parkowej ławce, zobaczył zmiętą gazetę wystającą z kosza na śmieci. Natychmiast powtórzyła się ta historia z robieniem zbliżenia i po chwili już czytał artykuł w dziale sportowym o treści:

PS W razie gdybym zapomniał Ci o tym przypomnieć, zanim umrę albo zanim to przeczytasz: nie baw się zegarkiem i PAMIĘTAJ, ŻEBY SPALIĆ WSZYSTKIE KAWAŁKI KREDY. Pozdrawiam, EJC

Paul westchnął. Dobrze, już dobrze, spali te durne kawałki kredy. Tylko jak się do tego zabrać? Oblać je benzyną? Potraktować lampą lutowniczą? A może wystarczy włożyć je do opiekacza i udawać, że są kielbaskami? Oczywiście, gdyby miał przenośne drzwi, mógłby po prostu zrobić skok w bok na stoki Etny czy Góry Waszyngtona i cisnąć kawałki kredy do krateru. Tyle że pożyczył to diabelstwo Ricky'emu Wurmtoterowi, któremu zabrały je elfy. Paul nagle przypomniał sobie, ileż to razy zasypiał, kiedy na polecenie hrabiny Judy z mozołem zmagał się z serdecznie znienawidzonymi wydrukami z mortensenów; i że za każdym razem śnił mu się portal w ścianie, przez który na ten świat przechodziły całe plutony szkrabów z piekła rodem. Wszystko jasne: Judy miała przenośne drzwi i dała mu najbardziej nudną robotę, żeby zasnął właśnie tu, w swoim gabinecie, i śniąc, wpuścił straż przednią jej starannie wyselekcjonowanych oddziałów szturmowych.

Nagle Paula zalała zimna, zajadła furia. Sprawił to nie tyle obrzydliwy, pasożytniczy sposób, w jaki hrabina go wykorzystwała, jak mucha składająca jaja w otwartej ranie, ani nawet nie to, jak nim manipulowała, czy mrożąca krew w żyłach myśl o setkach złośliwie uśmiechniętych dzieci, które bezpiecznie przekroczyły granicę i były gotowe przystąpić do unicestwienia rodzaju ludzkiego. Nie. Wkurzył go nie na żarty fakt, że zmuszono go do segregowania i sortowania niezliczonych tysięcy obmierzłych wydruków – i to w weekend, kiedy powinien mieć wolne – tylko dla kamuflażu, odwrócenia uwagi, fortelu. To była kropla, która przelała czarę.

No dobrze, pomyślał. W porządku. Jeśli od urodzenia pisane mi było uczestniczyć w tej kretyńskiej wojnie, niech tak będzie. Ale do diabła z wujkiem Erniem, ocaleniem świata i gadaniem, że ktoś musi odwalić tę paskudną robotę. Hrabina Judy zapłaci mi za to, że przez nią naharowałem się za nic. Zapłaci tyle, że wyjdzie jej uszami i innymi użytecznymi do tego celu otworami. Złożył sobie w duchu uroczystą przysięgę, że ją dorwie, choćby (co wysoce prawdopodobne) miało go to kosztować życie.

Co teraz? Znajdź Źródło, polecił wujek Ernie. Dowiedz się, kto śni hrabinę Judy i resztę intruzów i gdzie śniący są przetrzymywani. A potem ich obudź. Prosta sprawa.

Paul schował kamień do kieszeni, zanim go zgubił, i przy okazji znalazł końcówkę paczki miętusów Polo (nie pamiętał, że ją tam miał, choć powszechnie wiadomo, że końcówki paczek miętusów Polo najlepiej rozmnażają się w ciepłych, ciemnych, pełnych kłaczek miejscach), wstał i rzucił albumy ze zdjęciami z powrotem na półkę. Och, pomyślał, żeby tak mieć przenośne drzwi. Wystarczyłoby rozłożyć je na ścianie, kazać przenieść się w miejsce, gdzie Judy trzyma swoją trzodę, i szlus. Ale drzwi już nie miał, dzięki cholernemu Ricky'emu Wurmtoterowi...

Ricky. Paskudne podejrzenie utkwilo Paulowi w głowie jak ość w gardle. Czy wujek Ernie nie mówił czegoś o zdrajcy w JWW? Paul wtedy nie przywiązał do tego wagi; miał niejasne wrażenie, że chodziło o hrabinę Judy, ale przecież to byłoby bez sensu. Zdrajca to ukryty wróg, nie ktoś, kto paraduje po korytarzach w odblaskowej bluzie z napisem WRÓG po obu stronach. Za to Ricky... Ricky wyłudził przenośne drzwi, tajną broń, która pozwoliła Judy sprowadzać żołnierzy swoich oddziałów szturmowych setkami, nie jednego po drugim, z długimi przerwami, jak to robiła dotychczas. Jeśli Ricky był... Była w tym pewna makabryczna logika. Przenośne drzwi pozostawały zaginione albo schowane dotąd, aż przypadkiem Paul natknął się na nie przed mniej więcej trzema miesiącami. Może wujek Ernie albo ktoś jemu podobny specjalnie je ukrył... właśnie, ukrył do czasu, aż zgłosi się po nie ten, komu pisane jest zbawić ludzkość (ja, do jasnej cholery!). I kiedy tylko to się stało, zjawił się zdrajca, pod byle pretekstem położył łapę na drzwiach i zniknął. To by wiele wyjaśniało – dlaczego Ricky'ego nie było w celi z Paulem i Moniką; dlaczego Paul trafił do działu Ricky'ego na naukę zawodu; dlaczego Ricky zawsze był dla niego taki miły, postawił mu lunch pierwszego dnia i w ogóle. To Ricky był zdrajcą! I cała ta szopka z rzekomym uratowaniem Paulowi życia tamtej nocy, kiedy wpadł do jego mieszkania przez okno – to zupełna lipa, podstęp mający skłonić Paula, by mu zaufał. Drań. Od początku nie powinienem być wierzyć człowiekowi o falujących blond włosach. Każdy blondyn z falującymi włosami to bydlę.

No dobrze. Trzeba będzie coś z tym zrobić. Jeśli Ricky był zdrajcą, czy to znaczyło, że nadal ma drzwi? Wątpliwe, Judy na pewno je sobie przywłaszczyła. Nieważne; Paul wciąż miał resztę magicznego ekwipunku wujka Erniego, przedmioty obdarzone tak wielką mocą, że mama pana Tannera zbladła na ich widok. Prawda, w tej chwili najbardziej chciałby dysponować jakąś niezwykle potężną, ale prostą w obsłudze bronią, a żaden z gratów Erniego nie pasował do tego opisu – no, może odznaka harcerza wodniaka, lecz udało mu się ją stracić na samym początku. Ale została cała reszta: śrubokręt, zegarek, kawałki kredy (do zapamiętania: muszę je spalić. Tylko jak?). Co się zaś tyczy broni, mógł po drodze wziąć jakąś łyżkę do opon czy inną gazzurkę. W sprawach podstawowych najprostsze rozwiązania są najlepsze. Był, Boże uchowaj, bohaterem, czy mu się to podobało, czy nie; po to przyszedł na świat i został przeszkolony. Według JWW termin ukończył i stosowne kwalifikacje zdobył. Dobrze. Chcą bohatera, będą go mieli, i to najlepszego,

jakiego można sobie zażyczyć. Na wskroś rozeźlonego, wkurzonego, żadnego zemsty bohatera. Ich czujkę.

Poklepał kieszeń marynarki, w której miał zegarek, kawałki kredy i śrubokręt, zjadł zmalretowanego miętusa na szczęście i sięgnął do klamki. Zanim wyszedł, zawahał się, po czym zdjął z półki album, który dopiero co oglądał. Otworzył na zdjęciu grubego dzieciaka z lodami. Paul jeszcze raz je obejrzał, z kamieniem wiwerny w oku i bez. Coś w tej fotografii przykuło jego uwagę, ale nie mógł stwierdzić co.

Zdjęcie było kiepskie – trochę za ciemne i lekko rozmazane, fotografowane dziecko wyglądało, jakby miało śmiertelne zatwardzenie, twarz napięta, wybałuszone oczy czerwone od błysku flesza; a fotograf, zwolennik szkoły kompozycji inspirowanej dokonaniem Boudikki, obciął mu nogi od kostek w dół. Paul ciekaw był, co to za bachor, i trzecie oko wiwerny natychmiast wyświetliło stosowny podpis: *Derek Carpenter, 10 lat, Richmond Park*. Przeszperał swoje wspomnienia okropnych podwieczorków z gośćmi rodziców i wygrzebał wujka Dereka, który tak naprawdę nie był wujkiem, tylko kuzynem czy kimś takim. Przeanalizował dostępne dane i stwierdził, że o cokolwiek tu chodzi, on jeszcze do tego nie doszedł. Do diabła z tym. Rzucił album z powrotem na półkę i wyruszył na wojnę.

Łatwo powiedzieć. Ledwie wyszedł na korytarz, uświadomił sobie z żalem, że nie ma pojęcia, co teraz zrobić. Jego plan działania zaczynał się i kończył na postanowieniu, by odnaleźć więzienie Magicznego Ludu i obudzić śniących, ale to było tak, jakby wpisać „Zaprowadzić pokój na świecie” na pierwszym miejscu listy spraw do załatwienia przyklejonej magnesem do drzwi lodówki – w zasadzie słuszne, ale w praktyce cokolwiek niejasne.

Krok pierwszy, spalić kawałki kredy. Nawet to było sporym wyzwaniem. Nie można powiedzieć, by centrum londyńskiego City służyło z obfitości niestrzeżonych palenisk. Ostatecznie stwierdził – bardzo niechętnie – że jedyną osobą, która może wiedzieć, gdzie w pobliżu jest źródło ognia, jest mama pana Tannera. Obrął kurs na recepcję.

– Ogień – powtórzyła mama pana Tannera ze zmarszczonym czołem. – Po kiego ci ogień?

– Żeby coś spalić – odparł Paul.

– No nie mów. – Mama pana Tannera przymrużyła oczy. – Cóż, w laboratorium jest parę tych, jak im tam, palników Bunsena. Mogą się nadać, zależy, co chcesz sfajczyć.

Paul spojrzał na nią.

– W budynku jest laboratorium?

– Tak na to mówią, ale to przerobiona łazienka na drugim piętrze. Theo van Spee i kilku innych chodzą tam bawić się chemikaliami, kiedy warzą eliksir miłości i takie tam. Kiedyś mieli wielki kocioł propanowy, żeby móc stopić Pierścienie Władzy, nie wychodząc z biura, ale musieli go wyrzucić. Przepisy przeciwpożarowe czy coś.

– Palniki Bunsena powinny wystarczyć – powiedział Paul. – Na drugim piętrze? Gdzie dokładnie?

W końcu tam trafił. Pomieszczenie bardziej przypominało kuchnię niż laboratorium: blat wzdłuż dwóch ścian, trzecia zastawiona kupionymi chyba w Ikei szafkami z melaminy imitującej drzewo sosny, lodówką i zlewem z nierdzewnej stali. Nie było jednak kuchenki, a w kącie obok zlewu stały dwa palniki Bunsena, częściowo schowane za stertą naczyń z pleksiglasu, na której leżało trochę zgniecione pudełko zapalek. Ku zadowoleniu Paula drzwi zamykały się na zasuwę od wewnątrz. Coś mu mówiło, że dyskrecja była nieodzowna.

Kawałki kredy łatwo się spaliły, kiedy tylko ustawił pierścienie palników Bunsena na najsilniejszy żar. Miał wrażenie, że prawdziwa kreda nie buchnęłaby aż tak jasnym płomieniem, co wskazywało, że wujek Ernie w jakiś sposób zmodyfikował te kawałki, by służyły do czegoś więcej niż tylko pisania po tablicach czy notowania wyników na zawodach gry w rzutki. Kiedy jednak ostatni z nich rozłożył się na dym i popiół, Paul nadal był w punkcie wyjścia: bez planu, pojęcia ani wsparcia. Z braku lepszych pomysłów przysiadł na stołku i zaczął obracać w dłoni puste pudełko po kredzie. Idź, znajdź Źródło hrabiny Judy. Pikuś.

Cóż, gdzieś być musiało, no nie? Niestety, świat składa się z miliardów przylegających do siebie gdziesiów i każdy z nich może być w dowolnym miejscu. A zważywszy na podstępłą naturę Magicznego Ludu, ten konkretny gdzieś równie dobrze mógł być w Montanie czy Burkina Faso, jak w Anglii, przez co dostać się tam będzie równie trudno, jak go znaleźć. Chyba żeby, rzecz jasna, miał przenośne drzwi lub coś bardzo podobnego.

Akurat, powiedział sobie w duchu. Śnij dalej.

Śnij...

Kiedy był dzieckiem, widział plakat ze zdjęciem opalonej kobiety na złocistej plaży i podpisem „Śnij o Tunezji”. Dziwne, że pamiętał to po tylu latach, ale przesłanie pozostawało aktualne. We śnie człowiek może się udać, dokąd zechce. Niestety, sny jako środek transportu mają tę samą wadę co Ryanair i linie kolejowe – nie ma się kontroli nad tym, dokąd się ostatecznie trafi i w jakim stanie się tam dotrze. Paul dotąd przyjmował za pewnik, że to dlatego, że sny to tylko niestrawność umysłowa, oderwane myśli z całego dnia wynurzające się z odmętów świadomości jak bąble gazu z bagna. Teraz, oczywiście, wiedział lepiej. Jeśli śniło mu się Blackpool, to dlatego że jakiś nieużyty elf zapragnął się tam wybrać. Próba dostania się w konkretne miejsce za pomocą snów miała mniej więcej takie szanse na powodzenie jak przebranie się za samolot i czekanie na pasie startowym, aż ktoś przyjdzie i polecą tobie właśnie tam, dokąd chcesz.

Chyba że...

Cóż, nie zaszkodzi spróbować. Zresztą nie miał innego wyjścia. A jeśli to nie wypali,

najgorsze, co może go spotkać... nie, zły tok rozumowania, najgorsze, co mogło go spotkać, to że umrze we śnie, upolowany przez hrabinę Judy i jej przerażających pomagierów. Już lepiej skupić się na braku innych możliwości, a jeśli i to zawiedzie, wspomóc się solidną dawką na poły histerycznych modłów.

Usiadł w kącie, z głową opartą o drzwi szafki, i próbował wyobrazić ją sobie taką, jaka była, kiedy widział ją ostatnio. Było trudno; jej twarz wymykała się przez oczka sieci jego umysłu niczym szprotki z sieci na dorsze, zmieniała się w inne twarze, bliższe mu, ale mniej pomocne. Wreszcie kiedy uznał, że lepszego obrazu już nie przywoła, otworzył drzwi szafki obok i poszukał w środku czegoś odpowiedniego. Ostatecznie musiał się zadowolić dużym, nieporęcznym, mosiężnym mikroskopem starego typu. Wolałby coś trochę lżejszego, ale trudno. Wziął czystą kartkę papieru do ksero ze stosu leżącego obok zlewu i położył ją na blacie, tak że jeden róg lekko wystawał poza krawędź. Postawił na kartce mikroskop i usiadł na podłodze bezpośrednio pod nim.

No to jazda, powiedział sobie i pociągnął kartkę z całej siły.

Kartka wysunęła się, przewracając mikroskop, który spadł z blatu prosto mu na głowę. Paul pamiętał, że w ostatnim ułamku sekundy pomyślał „au”, a po chwili leżał już na podłodze, krwawił obficie z długiej, ale powierzchownej rany na czubku głowy i twardo spał.

Kiedy już wiedział, że śpi, rozejrzał się gorączkowo. *Halo!* – zawołał bezgłośnie. *Jesteś tu?*

Po bardzo długiej i niepokojącej pauzie nagle pojawiła się ona. Tak jak poprzednio, zamazana, mglista złocista poświata okrywała ją jak futerko na różowych puszystych kapciach. Trudno było powiedzieć, gdzie kończą się jej krótkie lniane włosy, a zaczyna bładny blask, ale to, jak odbijał się od jej złocistej skóry, było prawdziwie... Paul wziął się w garść. Nie czas na to.

– Dziwny jesteś – odezwała się Dziewczyna Jego Snów. – Przyzwałeś mnie, żebym mogła zobaczyć, jak ogłuszasz się przedpotopowym sprzętem laboratoryjnym?

– To ty, prawda? Dziewczyna moich snów.

– Jakiś ty słodki.

– Tak, ale to ty, nie mylę się? Jakiś tydzień temu przyszedłeś pastwić się... porozmawiać ze mną. Mówiłaś, żebym się sprężył, zaczął działać i tak dalej.

Skinęła głową.

– Miałeś na sobie czerwoną pizamę w tureckie wzory – powiedziała z bardzo słabym uśmiechem.

– To ty – stwierdził Paul z westchnieniem ulgi. – No dobrze, a teraz słuchaj uważnie, bo musimy się dobrze zrozumieć...

– My? Ja też mam w tym uczestniczyć? Co będziemy robić? Czy będzie tak jak wtedy, kiedy wypiliśmy na czczo trzy lampki wina i potem miałeś ten sen, w którym leżeliśmy na tygryziej skórze na wyspie Mustique...

– Nie – powiedział Paul lekko drżącym głosem (i pomyślał: Fajnie byłoby pamiętać niektóre sny). – Słuchaj, jesteś elfem, prawda? Dobrym elfem.

Zmarszczyła brwi.

– Zależy, co rozumiesz przez „dobry”. Jeśli coś jak „dobra katoliczka”, to nie, raczej nie.

Paul potrząsnął głową. Dobrze, że to tylko sen, bo jego prawdziwa głowa bolałaby go jak diabli.

– W tej wojnie domowej walczą dwie strony, tak? Dobre i złe elfy...

– No tak. – Uśmiechnęła się. – Czyli przez „dobre” rozumiesz „te, które stoją na straconej pozycji”. Tak – dodała, zanim mógł coś wtrącić. – Jestem elfem z Magicznego Ludu i jestem po naszej stronie. I co z tego?

– W takim razie mogłabyś mnie gdzieś podrzucić?

Zmarszczyła brwi.

– Zależy. Gdzie?

– Nie wiem. – Nie najlepsza odpowiedź. – To znaczy, muszę się gdzieś dostać, ale nie wiem, jak znaleźć to miejsce ani jak tam trafić. Nie jestem nawet pewien, czy można tam wejść na jawie. Pomożesz mi?

Jej marsowa mina wywróciła się na lewą stronę i przeszła w uśmiech.

– Odbiło ci do reszty, wiesz? Naprawdę chcesz wrócić do zamku hrabiny Judy?

– Oczywiście, że nie chcę – burknął Paul – ale raczej nie ma innego wyjścia. Muszę się dowiedzieć, gdzie trzyma swoje Źródło... no wiesz, tego biedaka, który ją śni.

– Znaleźć go, dobrze. I co potem?

– Potem obudzić go.

Dziewczyna Jego Snów gwizdnęła cicho.

– Co cię nagle opętało? – spytała z zaciekawieniem. – Odkąd cię znam, byłeś tchórzliwym mięczakiem, a teraz nagle chcesz się wdrzeć do twierdzy wroga i zabić królową. Byłeś na weekendowym kursie asertywności czy jak?

Paul potrząsnął głową.

– Ona albo ja, tak wygląda sytuacja. Jeśli nie zabiję jej pierwszy, ona zabije mnie. Słuchaj, jeśli wyjdę z tego bajzlu w jednym kawałku, obiecuję, że znów stanę się chodzącą galaretą, jeśli tego chcesz...

– Nie, skądże. Poza tym pewnie ci to nie przyszło do głowy, ale jeśli ciebie załatwią, ja umrę razem z tobą. Dlatego chyba jest w moim interesie, żeby ci pomóc.

– To dobrze. Super. Możesz to zrobić? Zabrać mnie tam?

– Och, pewnie, że mogę. To łatwe. Większym wyzwaniem będzie utrzymać cię przy życiu dłużej niż dwie sekundy, jak już się tam dostaniemy, zwłaszcza teraz, kiedy zrobiłeś się taki

dzielny, zdecydowany i w ogóle. Nie uznajesz półśrodków, co? Najpierw boisz się własnego cienia, a potem chcesz dusić lwy gołymi rękami.

Paul spojrzął jej prosto w oczy.

– Proszę.

– Oj, niech ci będzie. Tylko ten jeden raz... robię to wbrew zdrowemu rozsądkowi i wiem, że po wszystkim będzie płacz i zgrzytanie zębów, ale czemużby nie? – Uniosła prawą rękę w eleganckim, dramatycznym geście, po czym znieruchomiała. – Jedna sprawa. Chyba jesteś świadom, że kiedy tam będziemy, twoje fizyczne ciało zostanie tutaj?

Wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, nie. To coś zmienia?

– Zastanów się – odparła bez cienia złości. – Po pierwsze, załóżmy, że znajdziesz to Źródło. Jak tego kogoś obudzisz?

– Hm – powiedział Paul.

– To wszystko? „Hm”?

– Dobrze, więc inaczej: ojej, nic z tego nie będzie, przepraszam, że zawracałem ci głowę. Lepiej?

– No i czego się dąsasz? To nie ja tu ciągle wyskakuję z nieprzemyślanymi planami. Trzeba ci – ciągnęła ciut protekcyjnym tonem – teleskopu snów.

– Tele... co?

Paulowi przerwał silny cios w krocze. Wrzasnął.

– Jak dziecko – powiedziała Dziewczyna Jego Snów drwiąco. – No już, spójrz.

Przyczyną jego ogromnego dyskomfortu okazała się długa mosiężna tuba ze szkiełkami na obu końcach.

– To do oglądania gwiazd – wyjaśniła dziewczyna. – Kiedy będziemy na miejscu, poszukaj Wielkiej Niedźwiedzicy. Trzecia od prawej. To zwykle skutkuje.

Paul wiedział, że znów ma kompletnie zbaraniałą minę, ale nie mógł nic na to poradzić.

– Słucham?

– Idiota – rzuciła. – Kiedy pomyślisz życzenie, patrząc na gwiazdę, ono się spełni, prawda? Przynajmniej w pewnym stopniu. I proszę, obchodź się z teleskopem ostrożnie; to stary, delikatny instrument i musiałam pokwitować jego wypożyczenie w magazynie. Domyślam się, że potrafisz znaleźć Wielką Niedźwiedzicę?

– Tak sędzę.

– Tak sędzi. No dobrze, po prostu odchył głowę do tyłu najdalej jak się da i szukaj czegoś, co wygląda jak kultywator obrotowy w wyobrażeniu L. S. Lowry'ego.

– Trzecia od prawej?

– I prosto, aż do poranka. Przepraszam, zapomnij, że to powiedziałam, to ci tylko namiesza w głowie. Gotów?

– Mam lepszy pomysł – powiedział Paul, kiedy znowu podniosła rękę. – Może byś tak po prostu narysowała mi mapę, a ja...

Otoczająca ją poświata buchnęła jasnym, wszechogarniającym blaskiem. W tej samej chwili Paul poczuł, że spada, ale do góry, jak Australijczyk w stanie nieważkości. Świat i wszystko eksplodowało, po czym zacisnęło się wokół jego głowy niczym plastikowa torba.

– ... pojedę tam autobusem.

Zachwiał się, zamachał rękami, ratując się przed upadkiem i odzyskał równowagę. Był w całkowitej ciemności, prawdopodobnie sam. W lewej dłoni wciąż miał teleskop.

Odchył głowę do tyłu, powtórzył w myślach, najdalej jak się da. Zrobił to i powoli podniósł teleskop do oka. Zobaczył porozrzucane białe punkciki niczym łupież na kołnierzu Boga. Z początku wydawały się rozsiane bez ładu i składu, ale koncentrował się dotąd, aż z tego chaosu wyłonił się kształt Wielkiej Niedźwiedzicy. Policzył: pierwsza, druga, trzecia z prawej.

– Życzenie – powiedział – życzenie, życzenie, życzenie...

Coś walnęło go w krzyż tak mocno, że upadł na kolana. Dopiero kiedy światła nagle się zapaliły, zorientował się, że to jego własne ciało dogoniło go i rzuciło mu się na szyję jak wielki, przyjazny pies.

Niepokojące było to, że rozpoznał to miejsce. Już tu był, w snach. Najbardziej przypominało oddział szpitalny, wielki, z rzędami łóżek ciągnącymi się w nieskończoność we wszystkie strony; każde łóżko z zawieszoną w nogach kartą choroby i plakietką z nazwiskiem, i uśpionym człowiekiem zagrzebanym w zimnej, świeżej białej pościeli. Jednak nasunęły mu się też inne skojarzenia: kostnica, przemysłowa ferma kurza, magazyn na zapleczu sklepu z obuwem. Skąpe umeblowanie, czystość, cisza, porządek – atmosfera jak w zakładzie produkcyjnym. Ktoś wykorzystywał to miejsce jako skład cennych dóbr i nie oszczędzał na kosztach utrzymania.

Przynajmniej nie włączył się alarm, a w każdym razie Paul takowego nie usłyszał, ale po co Magicznemu Ludowi elektronika? Nie ulegało wątpliwości, że obserwowali Paula i ani chybi zjawią się lada moment, żeby zabrać go do lochów ciotki Grendela – tym razem tych prawdziwych, nie upiększonej imitacji, w której znalazł się poprzednio. Przy odrobinie szczęścia miał może pół minuty na to, by zidentyfikować śniącego Judy di Castel’Bianco, znaleźć go i obudzić. Przebiegł wzrokiem po rzędach łóżek. Rachmistrzem zawsze był kiepskim; potrafił w myśli policzyć do sześciu, dalej było już tylko „dużo”. Na oko jednak spało tu od trzydziestu tysięcy do tryliarda nieszczęśników. Nawet gdyby każdy miał nazwisko pasożyta, który na nim żerował, wypisane na tabliczce w nogach łóżka, pół minuty raczej nie wystarczy, nie?

Idiota.

No cóż. Skoro już tu był, w sumie mógł coś zrobić. Jeśli obudzi choć jednego ze śpiących, jeden z kolonistów Magicznego Ludu zostanie na zawsze odłączony od zasilania. Paul wątpił, czy przebudzonemu Źródłu to coś pomoże, ale nie można mieć na tym cholernym świecie wszystkiego, czego człowiek sobie zażyczy.

No dobrze. Obudźmy pierwszego lepszego śpiącego. Wybranego na chybi! trafił z nich wszystkich. Hm.

Większość z nich, zauważył Paul mimochodem, stanowiły kobiety, głównie młode kobiety, co miało sens, zważywszy, że cechą najwyżej cenioną u potencjalnego Źródła musi być trwałość. Kobiety żyją dłużej niż mężczyźni i w im młodszy wiek się je schwyta, tym dłużej będą mogły służyć. Gdyby był tu w celach naukowych, możliwe, że zastanowiłby się, czy mężczyzna może śnić tylko elfy płci męskiej, czy też nie ma to najmniejszego znaczenia. A tak rozwiązał swój problem z podjęciem decyzji w ten sposób, że zamknął oczy i wskazał palcem.

Padło na chucherko: ciemne, szorstkie włosy, spiczasta twarz, cienkie usta, które poruszały się, kiedy oddychała – dokładnie tak jak usta Sophie. Właściwie podobieństwo było wręcz uderzające, tyle że Sophie, choć wątpła jak wymówka polityka, nie była aż tak wychudzona. Wyglądałaby tak, gdyby przez tydzień nic nie jadła...

Chryste, pomyślał Paul. Nie mógł ruszyć ręką ani nogą, choć każde uderzenie serca, które wstrząsało jego ciałem, przypominało mu, że maleją zasoby tego boleśnie nietrwałego dobra, jakim jest czas. Kiedy wyrwał się z odrętwienia, podszedł bliżej i spojrzał na dziewczynę. Zdecydowanie ona, ale wygłodzona tak, że przykro było na nią patrzeć. Zauważył kroplówkę podłączoną do jej ramienia. Zapewne dawali jej tylko tyle, żeby utrzymać ją przy życiu, ale jednocześnie by była zbyt słaba, żeby się obudzić. Magiczny Lud był skrupulatny i bardzo metodyczny.

– Sophie! – Jego głos odbił się koszmarnym echem, jak pierdnięcie w katedrze. – Sophie, to ja. Na litość boską, obudź się! Proszę cię. Już, teraz.

Cichutki pomruk, jak chrząknięcie odległej świni, potem poruszyła się lekko i przewróciła na bok. Leżała na lewej ręce. Często tak robiła i budziła się z mrowiącą ręką i humorem popsutym na resztę dnia. No i sama się prosiła o zespół cieśni nadgarstka. W końcu po co ją stąd wyciągać, ratować przed losem gorszym od śmierci, jeśli miałyby to przypłacić trwałym skurczem małego palca?

– Sophie – powtórzył, starając się mówić głośno, ale głos mu odmawiał współpracy. Wszystkie jego wrodzone instynkty stanowczo protestowały (*Paul, siedź cicho! Paul, jeszcze słowo i wracasz do domu*). – Proszę – dodał na wypadek, gdyby ignorowała go, bo się szarogęsił, ośmielał jej rozkazywać. – Cholerny świat, Sophie, co oni ci zrobili? Proszę, obudź się, zaraz tu będą, nie mam czasu...

I wtedy tknęła go myśl: Czyim Źródłem była? Kto przebywał teraz w jej snach, kto ściągał

z niej życie jak piwo z beczki? Nie żeby to miało znaczenie, ale...

– Panie Carpenter! – usłyszał. Obrócił się tak gwałtownie, że omal nie fiknął, kiedy jego nogi straciły przyczepność na twardej posadzce. – Proszę natychmiast odsunąć się od łóżka.

– Ty! – Tylko to mu przyszło do głowy, choć było to mało oryginalne, nie wspominając o tym, że nie wypadało zwracać się w ten sposób do członka zarządu, i to prosto w twarz. – Ty jej to zrobiłaś.

Hrabina Judy skinęła głową. Twarz miała poważną, nieruchomą.

– Pani Pettingell została skierowana do mojego działu. Poza tym jest, podobnie jak pan, własnością firmy. I moją osobistą asystentką. A w tej kwestii nie ma pan nic do gadania. Proszę odsunąć się od łóżka.

– Ona cię śni. Jest twoim Źródłem.

– W rzeczy samej. – Hrabina Judy postąpiła krok naprzód i zerknęła na uśpioną dziewczynę. – Wydaje się taka krucha, prawda? Ot, bezbronna, zabiedzona sierotka, niemal piękna w ten trudno uchwytny, inspirujący prerafaELITÓW sposób. Szkoda, że ma taki paskudny charakter.

– To chyba dobrze – odparł ponuro. – Słodkie z kwaśnym, idealne połączenie.

Chyba nie powinien był tego mówić.

– Jeśli nie odsunie się pan w tej chwili – warknęła Judy – nie pozostanie mi nic innego, jak tylko wezwać ochronę i kazać pana obezwładnić.

– Ale dlaczego? – Głupie pytanie. – To znaczy, na co ci była potrzebna? Musiałaś już wcześniej mieć śniącego, inaczej jak mogłabyś być w firmie, kiedy do niej przyszliśmy?

Hrabina Judy cmoknęła językiem na znak, że tym razem daruje mu jego głupotę.

– Moje poprzednie Źródło umarło. Trudno się dziwić, miała sto sześć lat. Na szczęście, chorobę, która ją zabiła, rozpoznano wystarczająco wcześnie, bym mogła kogoś znaleźć. Pani Pettingell powinna zapewnić mi co najmniej osiemdziesiąt lat życia, zanim znów będę musiała spełnić ten przykry obowiązek. Daję panu jeszcze jedną, ostatnią szansę, panie Carpenter. Potem...

Ale Paul potrząsnął głową.

– Nie ośmielisz się. Gdybyś mogła mnie dotknąć, już byś to zrobiła. Ale nie możesz... boisz się, że ona się obudzi. Mam rację, prawda?

– To absurd – odparła hrabina Judy, ale jej głos podniósł się może o pół tonu. – Po prostu chcę panu oszczędzić skutków pańskiej głupoty. Nie rozumie pan sytuacji. A nawet gdyby udało się panu obudzić panią Pettingell, gorzko by pan tego pożałował. – Pokręciła głową, jakby zawiedziona. – Widzę, że nawet nie przeszło panu przez myśl, że ona może nie chcieć się obudzić. Dla człowieka czysta rozkosz śnienia jednego z nas jest... cóż, nie do oddania słowami. Zniszczyłby ją pan, panie Carpenter, i siebie razem z nią.

– Bzdura! To ty umrzesz, kiedy ona się obudzi. – Nie odrywając od hrabiny oczu, Paul

sięgnął po omacku na łóżko, aż coś wymacał... sądząc po kształcie, nos Sophie. Mocno ścisnął go palcami i po chwili lekko rozluźnił chwyt. – Kiedy śpi, oddycha przez nos – powiedział (i nawet jeśli miał nie więcej niż pięćdziesiąt procent szans na to, że się co do tego nie mylił – bo tak naprawdę nigdy nie zwrócił na to uwagi – to gotów był się założyć, że Judy tego nie wiedziała). – Jeśli będę tak robił, obudzi się.

– Raczej się udusi. – Judy lekko ziewnęła. – Tego pan chce? Jest pan gotów ją zabić, żeby mi zaszkodzić?

– Tak. – Pomyśl tylko, co ty pleciesz, to zwyczajne kłamstwo przecież; ale czy widziała to w jego twarzy albo słyszała w głosie? – Jestem bohaterem, pamiętasz? Kazałaś twojemu szpiclowi mnie wyszkolić, zapomniałaś? Właśnie takie rzeczy robią bohaterowie. Potem przez resztę życia cierpią z tego powodu, ale wtedy jest już za późno.

– Mojemu szpiclowi. – Judy uśmiechnęła się cierpko. – Ma pan nie lada talent do melodramatyzowania, panie Carpenter. To, co pan niewątpliwie uważa za zdradę, dla niego oznaczało wyłącznie wykonywanie własnego zawodu, nic ponadto. W końcu wszyscy pracujemy w jednej firmie, prawda? A żeby robić, co do mnie należy, i dalej zapewniać okazałe wpływy z honorariów, muszę pozostać przy życiu. Pozostali członkowie zarządu oczywiście wyrazili na to zgodę. Nigdy nie zrobiłabym niczego bez wiedzy i aprobaty moich współników.

– Jakby to coś zmieniało – burknął Paul.

– Panie Carpenter. – Jej spojrzenie było jak lodowaty wiatr. – Nie wezwałam dotąd ochrony, bo jeśli to zrobię, wyprowadzą stąd pana, zrobią panu sieczkę z mózgu, a potem zabiją. Ponieważ pan także jest własnością firmy, i to własnością, w którą zainwestowano niebagatelne środki, wolałabym załatwić tę sprawę inaczej. Jednak muszę nalegać, by natychmiast wykonał pan moje polecenie. W przeciwnym razie nie odpowiadam za konsekwencje.

– Spadaj – próbował powiedzieć Paul, ale z jego ust wyszło tylko „spffff”. Przynął się bliżej łóżka, złapał Sophie za ramię i zaczął nią potrząsać z całej siły. Przewalała się po łóżku, niepokojąco bezwładna. Kroplówka wyrwała się z jej ręki i to przeraziło go jeszcze bardziej. Ale Sophie się nie ocknęła.

– Nie obudzi się bez odpowiednich leków – stwierdziła hrabina Judy. – A jeśli dalej pan będzie tak robił, wyrządzi jej pan krzywdę. Przykro mi – dodała – ale ostrzegałam.

Czy wyszli z cienia, czy byli tam przez cały czas, Paul nie miał pojęcia, ale było ich mnóstwo. Srebrzystoszarzy jak śnieżne chmury, trudni do zauważenia i jeszcze trudniejsi do obserwowania, zlewali się bowiem w jedno z szarymi ścianami. Jednak ich twarze były gładkie i surowe, a oczy zimne, niby oczy zamrożonych dzieci, i wydawało się raczej pewne, że otaczali go nie po to, by uścisnąć mu dłoń czy nauczyć go karcianych sztuczek. Wbił paznokcie w ramię Sophie, błagał: „Proszę, obudź się”, jej głowa jednak wciąż leżała bezwładnie na poduszce, a

jedynym wydawanym przez nią dźwiękiem było bardzo ciche chrapanie. Najbliższy z szarych cieni był już prawie na wyciągnięcie ręki. Kiedy wysunął dłoń do Paula, rękaw szaty opadł, ukazując szerokie, ogryzione paznokcie...

(Dziwne, pomyślał Paul mimo woli w jakimś zabitym dechami zakątku swojego umysłu, który nawet w takiej chwili nie miał nic lepszego do roboty. Ogryzione paznokcie. Czemu sen miałby ogryzać paznokcie?).

... które, o zgrozo, wbiły się w płatek jego ucha i mocno go wykręciły. Paul zawył z bólu i uchylił się, na co szary kształt zachwiał się i nagle jakby złamał się wpół na wysokości bioder. Górna połowa przechyliła się do przodu, puściła ucho Paula i runęła na ziemię, przy okazji wysuwając się z szaty.

– Idiota – powiedziała. – Błazen – dodała, kiedy szczudła, na których stała, stuknęły o podłogę.

– Benny! – wrzasnęła hrabina Judy z czystą furią. – Co ci do głowy strzeliło?!

Rozdział 14

Benny? Benny Shumway?

To tłumaczyło, skąd te szczudła; Benny był krasnoludem. Ale co robił tutaj, przebrany za pacholka Królowej Elfów? Zdaje się, że wykupiliśmy go z niewoli, pomyślał Paul. I dlaczego, nie żeby to miało wielkie znaczenie, hrabina Judy mówiła mu po imieniu?

Paul nigdy jeszcze nie słyszał, by zwracała się do kogokolwiek per „ty ...

– Przykro mi – powiedział Benny i podźwignął się na nogi, stając między Paulem i szarymi kształtami. – Miło było, Judy, ale się skończyło. Rzucam to.

Rozwścieczona mina hrabiny Judy była czymś nadzwyczajnym; nie tylko dlatego, że zawierała w sobie tak wielki ładunek agresji, ale że w ogóle się pojawiła na jej twarzy. Poza tym co on miał na myśli, mówiąc: „Rzucam to”? Chyba nie pora, by się martwić, czy po powrocie do JWW nadal będzie miał pracę.

– Draniu! – warknęła Judy. – Ty żaloszny, podstępny, podły draniu!

Wykonała gest dłońmi i szare kształty zrobiły krok naprzód. Równocześnie, jak żołnierze na defiladzie. Benny zawarczał jak pies, po czym wyciągnął coś z kieszeni i podsunął to pod nos najbliższemu, który zatoczył się do tyłu, jakby prysnięto mu czymś w oczy. Pozostałe zawahały się i Benny zakreślił trzymanym przedmiotem szeroki krąg wokół siebie; szare zjawy skuliły się i cofnęły ze strachu, parę potknęło się o własne nogi lub rąbki szat towarzyszy. Judy wrzeszczała, na nich albo na Benny’ego. Kiedy ręka krasnoluda wracała do punktu wyjścia, Paul zobaczył błysk światła odbitego od tajemniczego przedmiotu w jego dłoni i rozpoznał odznakę harcerza wodniaka, którą ostatnio widział przybitą do ściany w wielkiej sali wewnątrz górnej szuflady szafki Melze...

– Benny? – powiedział, ale Benny miał inne sprawy na głowie.

Co, nawiasem mówiąc, było bardzo korzystne, bo odznaka harcerza wodniaka nie podobała się szarym kształtom ani trochę. Judy mogła wymyślać i wrzeszczeć na nie do woli, bardziej bały się odznaki i powoli zaczynały ustępować. Pytanie tylko, jak długo Benny będzie w stanie kręcić się w kółko z odznaką w ręku. Na pewno nie bez końca. I rzeczywiście Benny przechylił głowę najdalej jak mógł, nie odrywając oczu od nieprzyjaciela, i syknął:

– Spadaj, Paul, na litość boską!

Dobra rada, nienagannie logiczne rozumowanie, tyle że Paul nie mógł zostawić Sophie. W takim razie będzie ją musiał ze sobą zabrać, co z kolei wymagało wzięcia jej na ręce i wyniesienia, a jak dźwignąć całkowicie bezwładne ciało? Strażaków uczą, jak to się robi, tancerzy baletowych i aktorów zapewne też, ale jeśli on miał to w szkole, to pewnie tego dnia, kiedy akurat był chory.

– Paul, ty tłu! – wrzasnął Benny, wymachując rękami jak mały wiatrak. – Wynoś się, już!

No dobrze. Szybkim, gwałtownym ruchem człowieka, który zanurza rękę we wrzątku, Paul odrzucił pościel. Pochylił się nad Sophie, niewprawnie wsunął jedną dłoń pod jej plecy, drugą pod kolana i spróbował ją podnieść. Rozmaite części jego kręgosłupa i barków obrzuciły go obelgami i przez chwilę zanosilo się na to, że zaraz się wywali, ale jej ciężar ułożył się w jego ramionach, Paul wyprostował plecy i tylko zatoczył się do tyłu. Miał ją. Teraz, jeśli jej nie upuści i znajdzie drogę do wyjścia...

– Och, żalony jesteś – warknęła Judy. – Z drogi. – Roztrąciła łokciami szare postacie i wyjęła skądś nóż o cienkim, mocno zakrzywionym ostrzu. – Odlóż to, Benny, bo, słowo daję...

Jeden z szarych kształtów nagle pisnął; Judy niechcący cięła go przez udo szpicem noża. Paul niezbyt wyraźnie widział nad czubkiem głowy Sophie, co się dzieje (co rusz uderzał weń podbródkiem i przygryzał sobie język, a jej włosy łaskotały go w nos, przez co chciało mu się kichać), ale ten drobny wypadek dał Benny'emu okazję do strategicznego odwrotu; zwinny jak fryga, krasnolud rzucił się pod sąsiednie łóżko, śmignął pod nim jak spłoszony pajak, wyprostował się i zerwał do biegu. Trzy szare kształty rzuciły się w pościg, wpadły na siebie i łokieć jednego wbił się w splot słoneczny wrzeszczącej Judy. W innych okolicznościach miło byłoby zostać jeszcze chwilę, żeby nacieszyć uszy tym dźwiękiem.

– Idziesz czy nie? – rzucił zdyszany Benny i wolną ręką złapał Paula za łokieć. – Tędy będzie najszybciej, ale uważaj, żeby jej w cholerę nie upuścić. Rusz się, co?

– Przepraszam – wymamrotał Paul; Benny był już kilka metrów przed nim i błyskawicznie powiększał przewagę, podczas gdy z tyłu nadciągały szare cienie. Szlag by to, pomyślał Paul. Miał wrażenie, że zaraz mu odpadną ręce. Jak, u licha, miał biec obarczony takim ciężarem? Cóż, także i tym razem nie miał wyboru. Pobiegł.

Benny znieruchomiał w pół kroku, zacisnął lewą pięść i rąbnął nią w ścianę. Natychmiast otworzyło się ukryte dotąd wejście do tunelu albo jaskini.

– Pręde! – ryknął.

Paul wpadł obok niego do środka. Coś zasunęło się ze zgrzytem i zgasły światła.

– Zaryglowałem drzwi, to powinno ich na jakiś czas powstrzymać – usłyszał w ciemności głos Benny'ego. – Ale nie na długo, to tylko drzwi, nie brama z hartowanej stali. Idź prosto przed siebie. Ja będę za tobą, z tarczą. Idź korytarzem i uważaj, gdzie stawiasz nogi. Nie wolno ci jej upuścić, rozumiesz?

– Nie miałem takiego zamiaru... – Paul potknął się o coś, Sophie wysliznęła mu się z rąk, ale w porę ją złapał. – Trochę wolniej, dobrze? – mruknął. – Nie jest mi lekko, wiesz?

Benny cmoknął językiem. Ten dźwięk odbił się echem od stropu i ścian jak strzał z

karabinu.

– Boże, ale z ciebie wymoczek! Nic z tego nie będzie, daj mi ją.

Dobrze, pomyślał Paul, lecz zaraz zmienił zdanie.

– Wiesz co – wydyszał z wysiłkiem – nie. Dam sobie radę, nie trzeba.

– E tam dasz... – Coś waliło w drzwi za ich plecami. Może to zagłuszyło dalszą część wypowiedzi Benny'ego, a może postanowił jej nie kończyć. – Niech ci będzie, ale uważaj. Jeśli się obudzi...

– Tak? – zainteresował się Paul. – Co się stanie, jeśli się obudzi?

Benny nie odpowiedział i przez długą chwilę Paul nie słyszał nic oprócz swojego rozpaczliwego zipania i łomotu własnego serca.

W końcu doszli do rozwidlenia, którego w życiu by nie zauważył, gdyby Benny go wcześniej nie uprzedził. Paula przestała już dziwić jego znakomita orientacja w terenie.

– W lewo – rzekł Benny. – Jakies trzysta metrów prosto, potem w prawo. Znajdziemy się u szczytu schodów. Dalej poniosę ją ja, ty nie dasz rady. Wierz mi.

– Jasne – zapewnił Paul. – Wierzę.

Potem miał wiele spraw do przemyślenia, pomijając te praktyczne typu: jak się nie przewrócić i nie zemdlec ze zmęczenia. To były myśli, które nie przystoją komuś, kto dopiero co został uratowany, ale nie chciały zaczekać na bardziej odpowiedni moment, zaparły się nóżkami i warczały na niego, kiedy próbował je przegnać.

Jak się okazało, Benny wskazał właściwy kierunek. Kiedy krzyknął „stój!”, Paul wykonał polecenie i poczuł słaby podmuch z dołu, jakby płynący z klatki schodowej.

– Dobrze znasz drogę, co?

– To ta, jak jej tam, pamięć ejdetyczna – burknął Benny. – No, dawaj ją.

Paul się zawahał, ale nawet jeśli jego podejrzenia były słuszne, nie miał powodu, by tego nie zrobić. Po chwili jego biedne, umęczone ręce i barki poczuły ulgę.

– Trzymasz ją?

– Żaden kłopot – odparł Benny. – Uważaj na schodach, są trochę śliskie i nie ma poręczy ani żadnych innych behapowskich pierdoł dla mięczaków.

– A ile jest stopni?

– Sto siedemdziesiąt trzy.

Oczywiście, że to wiesz, pomyślał Paul. Schodząc w dół, liczył je, bardziej po to, żeby mieć zajęcie, niż dla sprawdzenia.

– Pomyliłeś się o jeden – rzekł, kiedy znów stanął na równym gruncie. – Sto siedemdziesiąt cztery.

– Nikt nie jest doskonały. Teraz sto pięćdziesiąt metrów prosto, potem w lewo i

powinniśmy znaleźć się bezpośrednio pod pokrywą studzienki.

Paul milczał. Tak nakazywał rozsądek. Bądź co bądź, bez Benny'ego by zabłądził; więcej, gdyby Benny nie zjawił się niespodziewanie...

Ale...

Benny musiał mu oddać Sophie, po czym wdrapał się po krótkiej drabinie i otworzył pokrywę studzienki. Słońce wdarło się do środka jak woda zalewająca okręt podwodny. Benny zszedł z powrotem na dół, przewiesił Sophie przez ramię, jakby była futerałem na aparat fotograficzny, i śmignął na górę. Nawet podał Paulowi rękę, żeby pomóc mu wyjść.

– Gdzie jesteśmy? – Paul zobaczył wysoką, spiczastą górę o nagim wierzchołku, wyrastającą pośród czarnej, kamienistej równiny. Popiół wulkaniczny? Powinien był uważać na geografii, zamiast rysować krążowniki Klingonów na ostatniej stronie okładki zeszytu.

Benny podał jakąś nazwę, która nie Paulowi nie powiedziała.

– Chodziło mi o to, w jakim kraju.

– W Islandii. Zupełne odludzie, rozumiesz. Na pustkowiu nikt nie usłyszy twojego krzyku. Chodź, do helikoptera jest kawał drogi.

Co do tego Benny się nie pomylił, ale nie wyglądał, jakby obawiał się pościgu, a kto jak kto, ale on nie przymknąłby oka na takie zagrożenie. To przynajmniej było pocieszające.

– Benny – powiedział Paul po jakiejś godzinie.

– Hm?

– Chyba wiem, dlaczego nie chcesz, żeby Sophie się obudziła.

Przydługa chwila ciszy. Paul widział tylko połowę tyłu głowy Benny'ego, resztę zasłaniały włosy Sophie.

– Cóż, nie jesteś głupi – rzekł Benny. – Prawdę mówiąc, dziwię się, że wpadłeś na to dopiero teraz.

– Czyli... czyli to ty jesteś... ?

Paul nie mógł wydobyć z siebie tego słowa. Benny wyręczył go ze śmiechem.

– Zdrajcą? Tak, to ja.

– I nie chcesz, żeby Sophie się obudziła, bo to byłby koniec hrabiny Judy.

Połowa tyłu głowy Benny'ego poruszyła się lekko w górę i w dół.

– Otóż to.

– A ty... hm... ty ją kochasz.

Milczenie Benny'ego wyrażało raczej zadumę niż cokolwiek innego.

– Sam już nie wiem – odezwał się wreszcie. – Kiedyś tak. Bardzo. Inaczej bym się z nią nie ożenił.

– Ożenił?

– Uhm. Była moją trzecią... nie, wróć... czwartą żoną. Ciągłe zapominam o Tanyi, bo byłem z nią tylko tydzień. Zgadza się, Judy była czwarta, po Tanyi, ale przed Heidi. Chyba – dodał po chwili. – W każdym razie, tak, byliśmy małżeństwem. Zostawiła mnie, oczywiście, lecz nie dla innego faceta, co chyba powinno być pewnym pocieszeniem. Prawdę mówiąc, nie jest, ale kogo to obchodzi?

Paul skinął głową, choć Benny oczywiście nie mógł tego zobaczyć.

– Czyli elfy tak naprawdę wcale cię nie porwały. Byłeś, hm, przynętą.

– Uhm.

– Na Ricky’ego?

– Nie żartuj. Na ciebie.

To było tak, jakby Benny nagle przeszedł z angielskiego na wymarły dialekt portugalskiego.

– Na mnie? – powtórzył Paul.

– Naturalnie. Musiała się ciebie pozbyć.

– Mnie? Dlaczego, na litość boską?!

Benny westchnął.

– Bo byłeś chłopakiem tej... jak jej tam... no wiesz, tej tutaj. Mam imię na końcu języka.

– Sophie. Ale to jakaś pomyłka, przecież ze mną zerwała.

– Tak sądzisz.

– Tak – warknął Paul – trudno było mieć co do tego wątpliwości. Napisała do mnie list i... – Zająknął się. – Napisała do mnie list – wymamrotał.

Śmiech Benny’ego zabrzmiał jak gromkie prychnięcie.

– Możliwe, że dostałeś list, możliwe, że sporządzony jej charakterem pisma, ale założę się o moje przednie zęby w prostej platynowej oprawie, że napisała go Judy, a z powodów tak oczywistych, że widać je z orbity okołozemskiej. Całe to gadanie o przeniesieniu do filii w Los Angeles... uwierzyłeś?

– Hm, tak, szczerze mówiąc.

– Dobry Boże! W każdym razie dlatego Judy chciała cię zabić, ale kiedy poprosiła pozostałych o zgodę, bo w końcu jesteś własnością firmy i w ogóle, zabronili jej i kazali znaleźć kogoś tańszego. Musiała więc poszukać innego rozwiązania. Naturalnie, pierwszym krokiem było skierowanie cię do działu bohaterstwa, bo uznała, że tak beznadziejny łamaga jak ty przetrwa tam nie dłużej niż dwie minuty. – Benny westchnął. – Ale coś poszło nie tak.

– Naprawdę?

– Tak – powoli rzekł Benny. – Wtedy uznaliśmy, że się świetnie składa, bo Ricky właśnie wybył, żeby za pomocą tych twoich drzwi znaleźć miejsce, w którym teraz jesteśmy; to znaczyło,

że przydzielą cię do mnie, a ja będę mógł bez trudu postarać się o to, żeby spotkał cię przykry wypadek. Tylko że... – Benny pokręcił głową, jakby nadal nie mógł w to uwierzyć. – Nie mogłem. Nie wiem dlaczego. No spójrz na siebie, co tu można lubić? Ale nie mogłem i już. Musiałem więc sam zająć się walką z potworami, przebijaniem serc wampirom, dość roboty dla dwóch pełnoetatowych pracowników, a tobie kazałem obijać się w biurze i wypełniać te kretyńskie formularze. Raz po raz zadawałem sobie pytanie, dlaczego to robię. Poza wszystkim, ilekroć musiałem iść złożyć Judy raport, czułem się coraz bardziej niezręcznie. Nie, jeszcze nie umarł, wciąż żyje, kiedy ostatnio sprawdzałem, jeszcze dychał, przepraszam, następnym razem lepiej się postaram. Musiałem jej wmówić, że jesteś urodzonym superbohaterem, jeden rzut oka na ciebie i wszystkie smoki, chimery, a nawet ogromne ślimaki ludojady kładą się pokotem i umierają ze strachu.

– Ojej – powiedział Paul.

– A żebyś, kurde, wiedział. – Benny nieco przyspieszył kroku. – Ponieważ to wyraźnie nie skutkowało, trochę się zaniepokoiła. I kazała mi podłożyć bombę w twoim gabinecie.

Paul omal się nie zakrztusił.

– Ty!

– Ja. Och, daj spokój – dodał Benny z niesmakiem. – Mało mnie nie przyłapałeś, pamiętasz? Tamtego wieczoru praktycznie musiałem cię wyrzucić za drzwi. Nie wiem, czy przyłożyłem się do tego należycie – mruknął w zamyśleniu – to znaczy, zmontowałem świetny mechanizm uzbrajający i tak dalej, w końcu jestem krasnoludem, mechanika to nasza specjalność. Mimo to uważam, że gdybym naprawdę chciał cię sprzątnąć, nie powiedziałbym pierwszemu napotkanemu goblinowi, że masz w szafce półtora kilo surowej wątróbki. Łakome toto, że aż obrzydzenie bierze. Ani się waż tego kraść, narobisz sobie kłopotów. I co, posłuchał? Takiego wała.

– Rozumiem. – Paul jeszcze nie skończył wymawiać tego słowa, a już zdał sobie sprawę, że to spore niedomówienie.

– Judy sakramencko się wkurzyła – ciągnął Benny. – Pozostali nie są głupi, doskonale wiedzieli, że musiała maczać w tym palce, ale oczywiście nie mogli nic powiedzieć komuś, kto co roku zarabia dla firmy tyle co ona. Dlatego zwała wszystko na mnie... chyba nawet wtedy się nie domyśliła, że zrobiłem to celowo, po prostu uznała, że jestem do niczego. Nigdy mnie nie doceniała. Stwierdziła więc, że skoro nie chcesz dać się zabić po dobroci, trzeba spróbować innej metody. Dlatego wyśniła sobie... przepraszam, niezamierzony żart... wymyśliła historyjkę z ratowaniem zakładników, wysłała mnie do lochów, a tobie kazała mnie stamtąd wyciągnąć. Szczerze mówiąc, to naprawdę powinno było się powieść. I powiodłoby się, gdyby nie ta cholerna goblinica. Widzisz, nie mogłem się zmusić do tego, żeby cię zabić, ale bez trudu wmówiłem sobie,

że jeśli zamkną cię w lochach, to w sumie wszystko będzie w porządku. Judy wcześniej czy później by uznała, że nie stanowisz zagrożenia, może z czasem udałoby mi się ją przekonać, by cię wypuściła. W głębi ducha wiedziałem, że wciskam sobie kit, bo jeśli trafisz do lochu, zostaniesz tam, aż zgnijesz. Ale przynajmniej nie wykończyłbym cię własnymi rękami, więc mógłbym mieć czyste sumienie. Byłem wściekły jak diabli, kiedy wparowała Rosie i cię zabrała. O, tam jest helikopter, zobacz. I jeśli cię to ciekawi, nie, nie zamierzam wrzucić cię do oceanu na środku Atlantyku ani nic takiego. To byłoby bez sensu, i tak nie mam już u Judy żadnych szans. W sumie to nawet lepiej. Niesamowite nogi, ale wredny charakter.

Paul się zawahał. Widział śmigłowiec w dole, w małym zagłębieniu terenu. Nie był do końca przekonany, że chce do niego wsiąść.

– Zabierzemy Sophie, prawda? – zapytał.

Benny wzruszył ramionami.

– Cóż, zakładałem, że bez niej nie wsiądziesz.

– I słusznie. Dlatego jeśli naumyślnie rozbijesz helikopter o jakąś górę czy coś, Sophie też zginie. Umrze we śnie.

Paul przez chwilę nie był pewien, czy Benny złapał aluzję.

– Wiesz co – powiedział krasnolud – nie wpadłem na to. Sprytne. Ale nie bój się, nie jestem z tych, co gotowi są oddać życie dla sprawy. Zresztą nie spodobałoby się to mojej narzeczonej.

– Twojej...

– Och, nie wspominałem o tym? Jestem zaręczony. Znowu – dodał Benny, cokolwiek niepotrzebnie. – Jak o tym pomyśleć, chyba właśnie dlatego postanowiłem odpuścić sobie Judy i cię uratować. Widzisz, moja narzeczona bardzo cię lubi, tak po matczynemu. Między innymi o tym rozmawialiśmy, kiedy siedzieliśmy razem w tych fałszywych lochach i czekaliśmy, aż przyjdzie Judy i nas wypuści. Miła dziewczyna, gołębiego serca... a poza tym zawsze opłaca się mieć za żonę siostrę szefa.

Yy... ? – pomyślał Paul; po czym zrozumiał.

– Monika? – wyszeptał. – Żenisz się z moim samochodem?

Benny pocmokał z dezaprobatą.

– Nie twoim, tylko firmy. Będziesz jeździł autobusem czy pociągiem, to taniej wychodzi. Możesz mi wierzyć. Jestem kasjerem, pamiętasz?

– Ale... – Paul nie wiedział, jak to dyplomatycznie wyrazić. Dał za wygraną. – Ona jest samochodem, do cholery! Czy to nie sprawi pewnych, hm, trudności?

Benny wzruszył ramionami.

– Lubię wyzwania. Na pewno da się ją jakoś przywrócić do pierwotnego stanu, to ci gwarantuję. A do tego czasu przynajmniej wiem, że mam kogoś, komu mogę bezgranicznie ufać.

Była taka reklama... Czemu nie na wszystkim w życiu można polegać jak na volkswagenie?

Zaczął padać śnieg. Benny otworzył drzwi helikoptera (musiał stanąć na palcach, żeby dosięgnąć klamki) i wrzucił Sophie do środka jak torbę zakupów.

– Możesz wsiąść z nią na tył. I na litość boską, pilnuj, żeby nie przewalała się po kabinie, nie uderzyła się w głowę ani nic takiego.

– Wcześniej czy później się obudzi – powiedział Paul. – Nie zostawię jej w takim stanie.

– Potem będziemy się tym martwić – odparł Benny. – A teraz wsiądźże z łaski swojej. Pomijając fakt, że z każdą sekundą rośnie zagrożenie, że dorwą nas ludzie Judy, to przy otwartych drzwiach jest pieruński ziąb. – Kichnął jak z armaty.

Paul wgramolił się do środka.

– Dokąd lecimy?

– Do domu – odparł Benny ze słabym westchnieniem. – Mam dużo spraw do załatwienia. Jak ta tępa niunia od Judy radziła sobie z moją robotą? Jeśli narobiła mi bajzlu w dokumentacji, urwę jej ten niematerialny łeb.

– Na oko szło jej przyzwoicie – powiedział Paul łagodnie.

– A skoro już o tym mowa, do czego właściwie była potrzebna?

– To plan B – wyjaśnił Benny. – Gdybyś zakochał się w swojej miłości z lat dzieciennych, nie przejmowałbyś się za bardzo losem swojej poprzedniej laski. Szczerze mówiąc, ten pomysł niespecjalnie przypadł mi do gustu. To znaczy, była zbyt idealna, zbyt doskonale skrojona, nawet taki beznadziejny półgłówek jak ty musiał to zauważyć. I co, tak się stało?

– No, po części – przyznał Paul. – Poza tym ni z tego, ni z owego zadzwoniła do mnie jej oryginalna wersja, czy raczej ktoś dostał się do jej snów i sprawił, że postanowiła to zrobić. I... – Paul uśmiechnął się szeroko, choć Benny nie mógł tego widzieć; był zajęty sterami. – Okazało się, że wcale nie była dziewczyną moich snów.

– Oddała ci serce, oddała ci ciało, a ty odchodzisz i mówisz, że mało?

– Ponekąd. – Paul wzruszył ramionami, wpatrzony w nieruchomą, bladą twarz Sophie. – Jak o tym pomyśleć, to Dziewczyna Moich Snów też nie jest dziewczyną moich snów.

– Nie rozumiem – rzekł Benny. – I nie mam ochoty próbować. Dobra, trzymaj się mocno. Pilotem jestem pierwszorzędnym, ale pedały są strasznie nisko.

Paul pociągnął nosem. Wyglądało na to, że zaraził się od Benny'ego katarą, zapewne tym samym, który krążył po biurze od wielu tygodni. A może nie, bo Benny'ego nie było dość długo, by do tej pory wyzdrowiał z kataru biurowego. Czy elfy z Magicznego Ludu są podatne na przeziębienie? Jakby to było istotne...

Rzadko miał okazję latać i nie zdawał sobie sprawy, jak usypiające może to być doświadczenie. Oprzytomniał w ostatniej chwili, kiedy już zamykał oczy; nie mógł sobie na to

pozwolić, gdy ściagała go Królowa Elfów, a on przebywał w ciasnym, zamkniętym pomieszczeniu z jej byłym mężem, do którego w najlepszym razie żywiła mieszane uczucia. Wbił sobie paznokcie w rękę, gwałtownie zamrugał oczami, ostentacyjnie ignorował stado baranów, które ukazywało się na obrzeżach jego pola widzenia i ustawiało w napis POLICZ NAS! Sen napierał na jego powieki od wewnątrz niczym morze, które stopniowo podmywa mur, nieustannie szuka choćby najmniejszej szczeliny, by się wedrzeć. Dawno już nie miał okazji się porządnie wyspać, a jego zapasy adrenaliny praktycznie się wyczerpały. Wcześniej czy później...

Zaklął w myślach. Przecież zamknąłem oczy tylko na ułamek sekundy, żeby dać im odpocząć. Muszę się obudzić, natychmiast. Naprawdę muszę. Policzę do trzech, a potem się obudzę. Smark. Cholerny katar.

Chrrrrr.

Paul był w gabinecie hrabiny Judy, siedział naprzeciwko niej, po drugiej stronie biurka. Czytała jakiś wielgachny, gruby dokument i wiedział, że nie jest wystarczająco ważną osobą, żeby jej przeszkodzić, dopóki nie skończy. Na biurku przed nim leżała kolekcja dziwnych przedmiotów: śrubokręt, pióro, staromodny nakręcany zegarek, który pamiętał lepsze czasy, odznaka harcerza wodniaka i kawałek szkła z rozwalonego elektrycznego kominka z efektem płomienia. Był też album ze zdjęciami i ponieważ Paulowi się nudziło, a hrabina Judy wyglądała na nieświadomą jego obecności, postanowił go przejrzeć. Wziął album do ręki, ale strony były rozmazane, niewyraźne, jakby oglądał je bez okularów do czytania. No tak, oczywiście, ależ z niego głupiec. Sięgnął po bryłkę kolorowego szkła i ostrożnie wcisnął ją w oczodół. Zakłócenia ustały i zdjęcia stały się tak wyraźne, że bardziej już nie można.

Pierwsze: zrobione gdzieś na wsi w mroźny, słoneczny dzień. Sophie w czerwonej czapce z pomponem i dzierganych rękawiczkach siedzi na furcie. Paul stoi obok, trzyma ją za rękę i patrzy jej w oczy, zamiast w obiektyw. Oboje się śmieją i śmiech wychodził z ich ust chmurką białej pary. Wiedział, że to zdjęcie nie jest autentyczne. Takiego dnia nigdy nie było, nigdy nie mieli czasu na romantyczne spacerunki w dzianinach w radosnych barwach podstawowych i gotów był się założyć o prawdziwe pieniądze, że Sophie nigdy w życiu nie miała czerwonej czapki z pomponem. Ładny obrazek, ale wierutne kłamstwo. Przewrócił kartkę.

Drugie: Paul poznał, że jego scenerią jest nabrzeże obok mostu Rialto w Wenecji, bo często wyskakiwał tam przez przenośne drzwi w czasie samotnie spędzanych przerw na lunch, zanim jeszcze zaczął spotykać się z Sophie. Na zdjęciu świecił księżyc; ona siedziała z Paulem przy kawiarnianym stoliku, ze stromym przesłaniem mostu Rialto w tle i nieco rozmazaną gondolą nad jego prawym ramieniem. Ubrana była w jakiś wieczorny ciuch (Paul miał tylko mgliste pojęcie o fachowej terminologii), który sprawiał, że jej odsłonięte ramiona wyglądały, jakby były smukłe, nie kościste. Zdawały się spijać blask księżycowy i nim świecić. A na nogach miała szklane

pantofelki na wysokim obcasie. Podróbka, falsyfikat, lipa, zupełnie jak pierwsze zdjęcie. Fe.

Trzecie nie powinno znaleźć się w albumie, który mógł wpaść w ręce dzieci albo osób o słabych nerwach. Tło stanowiła bujna zielona trawa usiana dużymi białymi stokrotkami. Prawdopodobnie był środek ciepłego lata, bo żadne z nich nie miało nawet śladu gęsiej skórki. To też się nie wydarzyło. Paul by pamiętał.

Czwarte było jeszcze bardziej dziwaczne. W tle wiejski domek nakryty złocistą strzechą, drzwi giną za nieprzebytym gąszczem różanych pnączy. Na krzesłach ogrodowych, po przeciwnych stronach palisandrowego stolika, siedzi dwoje przystojnych, dobrze zakonserwowanych staruszków. Obserwują jak ich wnuczki grają w tenisa na pełnowymiarowym korcie obok padoku dla kucyków. Paul musiał dwa razy spojrzeć, zanim zrozumiał, że centralnymi postaciami fotografii byli Sophie i on sam.

Wtedy się zorientował, że hrabina Judy patrzy na niego, i to już od dłuższego czasu. Zatrzasnął album i przeprosił półgębkiem, ale zbyła to machnięciem ręki.

– Chce pan go zatrzymać? – spytała.

Pokręcił głową.

– Dzięki, ale nie jest prawdziwy. Nic z tego się nie wydarzyło ani się nie wydarzy. – Kichnął. Na szczęście we śnie miał w kieszeni chusteczkę. I to taką z jego inicjałami wyszytymi w rogu.

– Można temu zaradzić – powiedziała hrabina. Z cienia za jej krzesłem wyłoniła się młoda kobieta. Sophie, ale z pustą, obojętną twarzą. – Nie twierdzą, że nie zauważyłby pan różnicy – powiedziała Judy. – Przeciwnie, byłaby aż nadto widoczna. To – wskazała ruchem kciuka dziewczynę u swojego boku – ta młoda kobieta na zdjęciach. Nigdy nie będzie pana krytykować ani poniżać, przy niej nigdy nie poczuje się pan głupio czy niezręcznie, nigdy pana nie zdradzi, nie znudzi się panem, nie będzie od pana niczego żądać ani nie przeszkodzi panu żyć tak, jak pan to uzna za stosowne. Zawsze będzie u pańskiego boku, nie będzie narzekać, skarżyć się, czynić wyrzutów ani doznawać niezrozumiałych wahań nastroju; nie będzie oczekiwać od pana zdolności telepatycznych ani kazać panu coś zrobić, by potem nawrzeszczyć na pana za to, że pan to zrobił; będzie pana doceniać, podziwiać, kochać do grobowej deski. Będzie dziewczyną pańskich snów, ale z twarzą, głosem, nawykami i wszystkim tym, po czym poznaje pan jej oryginał. – Głos Judy był szemrzący jak strumyk, łagodny i kojący. Taki powinien być głos matki, ale głos matki Paula taki nigdy nie był. – Proszę wybaczyć, że próbowałam panu wcisnąć tę pospolitą Demelzę Horrocks. Nie doceniłam pana, wyszłam z założenia, że jest pan płytki, niewrażliwy, niedojrzały. Myślałam, że jeśli tylko będzie pan miał dziewczynę gotową pana kochać, będzie pan szczęśliwy. Jakże byłam głupia. Ale teraz mogę to panu wynagrodzić. Dać panu ideał.

Paul zmarszczył brwi.

– Nie, dzięki – powiedział.

Judy zaśmiała się i fałszywa Sophie zniknęła.

– Oczywiście. Mimo wszystko warto było spróbować, ale wiedziałam, że nie zadowolili się pan chodzącą, mówiącą, żywą lalką. Mniejsza z tym. – Hrabina złożyła dłonie na biurku. – Proponuję panu układ, panie Carpenter. Proszę dać mi dziesięć minut na uporządkowanie moich spraw. Znalazłam już źródło zastępcze, więc muszę tylko opuścić panią Pettingell i się przeprowadzić. Ufam, że nie żywi pan do mnie urazy.

Paul otarł ciekący nos.

– Wygrałem?

– To nic nadzwyczajnego. – Wzruszyła ramionami. – Nieraz już się przeprowadzałam, potrzeba dnia lub dwóch, żeby się przestawić, ale to tylko drobna niedogodność, nic ponadto. Dużo ważniejsze jest to, żeby zrobić ze wszystkim porządek, zanim ten absurdalny spór jeszcze bardziej popsuje mi szyki.

– Przecież próbowałaś mnie zabić – zauważył Paul.

– To prawda. – Judy westchnęła. – Ale za trudno pana zabić, panie Carpenter. Straciłam mnóstwo czasu i energii, próbując się pana pozbyć, i przez to mam zaległości w tym, co robić powinnam. Moja wina. Kiedy załatwiłam panu przeniesienie do działu bohaterstwa, przez własną głupotę nie zauważyłam, że jest pan w istocie bohaterem, a bohaterów nie wykańcza się tak łatwo jak straż pałacową w filmach płaszczą i szpadą. Dużo dogodniej i taniej dla mnie jest poddać się i przyznać do porażki. Niech pan weźmie sobie swoją dziewczynę, panie Carpenter, i życie długo i szczęśliwie. Jako miejsce zamieszkania nie jest warta zachodu.

Obok biurka pojawiło się łóżko szpitalne na kółkach. Leżała w nim Sophie, w takim samym stanie, w jakim była w sali sypialnej Judy. Kiedy Paul patrzył na nią swędzącymi oczami (ale to tylko od kataru, zapewnił sam siebie), mruknęła coś i poruszyła się niespokojnie przez sen, tak jak to zwykle robiła tuż przed przebudzeniem. Bardzo ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jej, jakby chciał się upewnić, że jest prawdziwa.

Trzepnęło go. To było to samo uczucie co wtedy, kiedy fałszywa Melze próbowała wziąć go za rękę.

– Nie, dzięki – powtórzył. – Myślę, że pozostanę przy tej naprawdę prawdziwej Sophie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

O dziwo, hrabina Judy roześmiała się i nawet klasnęła w dłonie.

– Brawo, panie Carpenter! – wykrzyknęła wesoło. – Wie pan, raz na jakiś czas widzę, że jednak ma pan w sobie coś z pańskiego stryjecznego dziadka. Muszę wyznać – dodała, kiedy zniknęło łóżko z najnowszą fałszywą Sophie – że na tę sztuczkę nabrałyby się większość ludzi w branży. Czyli chyba teraz już się rozumiemy, prawda?

Ajaj, pomyślał Paul.

– Tak?

– Tak mi się zdaje. – Hrabina Judy odchyliła się na oparcie i oparła podbródek na czubkach palców. *Molto elegante*, jak Sophia Loren w późniejszych latach, tylko bez tej lekko krowiej szczęki. – Ona jest w pańskich rękach, ale kochany Benny nie pozwoli panu jej obudzić. Co ważniejsze, może i pan ją ma, ale ja mam pana, ponieważ brak panu siły woli niezbędnej do tego, by nie zasnąć. – Kiedy to mówiła, Paul poczuł, że na jego rękach zaciskają się stalowe klamry, przykuwając go do krzesła. – Przepraszam za to – powiedziała Judy. – Trochę za bardzo a la James Bond jak na mój gust, ale szkoda mi czasu na subtelność.

Paul jednak pokręcił głową.

– Jest jakiś powód, dla którego nie możesz mnie zabić, prawda? W przeciwnym razie już byś to zrobiła, zaraz po tym, jak zasnąłem. Nie możesz mnie też zamknąć w swoich lochach. A te gadżety... – Podniósł ręce, które przeszły przez klamry, jakby ich nie było, bo rzecz jasna ich nie było. – Coś mi się widzi, że ta twoja magia skuteczna to poniekąd sprzeczność sama w sobie. Na mnie już nie działa, mam rację?

Judy znów zaklaskała, tym razem jednak powoli, i już się nie uśmiechała.

– Tylko pewne bardzo podstawowe procedury, głównie te, które nie boją. Jeśli pan chce, możemy wypróbować te bolesne, sprawdzić, czy nadal działają.

Paul natychmiast poczuł się tak, jakby borowano mu wszystkie zęby naraz bez znieczulenia.

– Trzeba panu wiedzieć, że ból – mówiła Judy – to magia skuteczna w najczystszej postaci. Coś takiego jak ból nie istnieje, zawsze jest to tylko wytwór umysłu i tak ma być. Żeby go usunąć, wystarczy kilka kropelek określonej cieczy bądź mała dawka gazu. Jednak bez tych kropelek i bez gazu człowiek może wiedzieć z niewzruszoną pewnością, że to, co czuje, to tylko elektryczne impulsy w nerwach, a mimo to ból będzie wystarczająco silny, by zatrzymać akcję serca bądź spowodować wylew krwi do mózgu. Jeśli kiedyś znajdę czas, napiszę książkę o pięknie i bólu. Są do siebie podobne pod wieloma względami. Ani jedno, ani drugie tak naprawdę nie istnieje, ale oba mają wystarczającą moc, by pokonać najtęższy ludzki umysł, zmienić najmądrzejszych i najdzielniejszych z nas w błazny. Ktoś, kto mógłby panować nad pięknem i bólem... cóż, miałby, że tak powiem, wszystkie atuty w ręku. Zgodzi się pan?

Tylko drobny fragment umysłu Paula pozostawał wynurzony ponad bezmiar bólu, niczym góra Ararat w Biblii.

– Nie. To bzdura. A ty nie możesz mnie zabić ani zamknąć w tej twojej cholernej piwniczce na węgiel, więc wal się.

Ból ustał, a Judy podskoczyła na krześle, jakby dostała w twarz.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! – wykrzyknęła, ale Paul stwierdził, że wyraźnie nie miała do tego serca, choć inna sprawa, że serca nie miała w ogóle.

– Co planowałaś zrobić? – spytał słodko. – Wylać mnie? – Zaśmiał się. – Myślę, że teraz się obudzę, jeśli nie masz nic przeciwko. A potem obudzę Sophie. I wtedy będziesz skończona. Na zawsze. Dlatego jeśli ktoś tu ma wylecieć z roboty...

Tym razem ból przeszył jego pierś i lewą rękę, prawdopodobnie w symulowanym ataku serca. Był straszliwy, ale tak naprawdę wcale go nie było. Była tylko reprojekcja bólu, tak sztuczna jak polistyrenowe skały w starym „Star Treku”.

– Daruj sobie – powiedział Paul. – Tracisz czas, a mało ci go zostało. Wiesz – dodał w zamyśleniu – pomijając tego małego smoka czy jak go tam zwał... a usiadłem na nim przypadkiem, więc to się tak naprawdę nie liczy... będziesz pierwszą żywą istotą, którą mniej lub bardziej umyślnie zabiję. Nie będzie mi z tym dobrze, ale mogłoby być dużo gorzej. Na przykład gdybym przypadkiem rozdeptał mrówkę czy coś.

– Ty idioto! – Gniew i strach z domieszką pogardy. – On nie zawsze będzie przy tobie, żeby cię chronić, a jeśli mnie zabijesz, moi ludzie dopadną cię i umrzesz we śnie, a wtedy zobaczymy. My zawsze jesteśmy tam, gdzie gasną światła, zawsze pojawiajemy się, kiedy tylko człowieka zaczynają śwędzić powieki. Przemysł to, dobrze ci radzę. Wydaje ci się, że teraz jesteś zmęczony, poczekaj, co będzie, kiedy będziesz umierał z wyczerpania, bo to lepsze od tego, co się stanie, jeśli zamkniesz oczy choć na sekundę. A kiedy ta chwila nadejdzie...

– Och, spadaj na szczaw – powiedział Paul ze znużeniem i otworzył oczy.

Był w helikopterze, na jawie, w świecie rzeczywistym, i leciał w nieprzeniknionej ciemności przez sztorm nad lodowato zimnym Oceanem Atlantyckim, ze zdrajcą krasnoludem u sterów i jedyną dziewczyną, którą kiedykolwiek naprawdę kochał, pogrążoną w śpiączce u jego boku. Czyli wszystko było w porządku.

– Benny! – zawołał.

– Co?

– Daleko jeszcze?

– Pojęcia nie mam. Zgubiłem się.

Paul uśmiechnął się szeroko. Zabłądzili w ciemności nad lodowato zimnym Oceanem Atlantyckim.

– Żaden problem! – zawołał wesoło. – Obudź mnie, jak będziemy na miejscu, zdrzemnę się.

Co też uczynił. Śniło mu się, że jest w szkole i każą mu recytować na środku klasy wiersz, którego się nie nauczył, i cała klasa się z niego chichra. I tyle: żadnych dziewczyn, żadnych lochów, żadnych szarych zjaw, nic, tylko upokorzenie, kompleks niższości i takie tam zwyczajne

drobiazgi. Czuł się, jakby wrócił do domu z wojny.

Kiedy znów się obudził, radosny i wypoczęty (co samo w sobie było dziwne; zwykle po przebudzeniu czuł się tak, jakby właśnie się wygramolił ze sporadycznie tylko czyszczonego sedesu), wciąż lecieli, ale był biały dzień i za oknem rozciągał się bezkresny błękitnoszary kobierzec zasłany białymi kłaczkami.

– Benny!

– Wszystko gra, wiem, gdzie jesteśmy! – odkrzyknął Benny.

– Nie tam, gdzie powinniśmy, ale nie szkodzi. Gdyby nikt nigdy nie błędził, nie odkrylibyśmy Ameryki.

– Wisi mi to! – zawołał Paul wesoło; po czym kichnął. Wyglądało na to, że nadal ma katar; ale to nie rzutowało znacząco na jego ogólną euforię. – W sumie i tak nie miałem na dziś żadnych planów. Chciałem zapytać o coś innego. Co zrobimy? Z Judy, rzecz jasna.

Cisza. Potem Benny westchnął.

– Całą noc o tym myślałem. I masz rację, nie możemy pozwolić, żeby twoja cizia przespała resztę życia... będziemy ją musieli obudzić. Ale najpierw coś wypróbujemy. Masz ten zegarek?

Zegarek? A tak, zegarek.

– Słyszałeś o nim?

– Pewnie. Myślisz, że jestem głupi czy coś? Moja propozycja jest taka, żeby za pomocą tego zegarka zatrzymać jedną sekundę na całą wieczność, a potem uwięzić w niej Judy. Będzie jej nudno jak diabli, ale lepsze to, niż zabić sukę.

Paul chwilę się nad tym zastanawiał.

– Da się tak zrobić?

– Nie wiem – odparł Benny. – Nikt jeszcze tego nie próbował i pojęcia nie mam, jak się do tego zabrać. Może zna się na tym Theo van Spee albo pan Wells senior, John Wellington, tylko że Bóg jeden wie, gdzie go znowu poniosło. Ktoś na pewno będzie miał o tym jakieś pojęcie. To jak, zgoda?

Paul skinął głową.

– Wszystko mi jedno. Jeśli tylko nie zagrozi to Sophie, możesz robić, co ci się podoba.

– Jakiś wesoły jesteś – burknął Benny. – Co cię opętało?

– Wyspałem się. Sen czyni cuda. Sam spróbuj, przekonasz się.

– Bardzo śmieszne. – Jednak Benny wcale nie wydawał się rozbawiony. – Nie kładę się spać od tysiąc dziewięćset... w którym roku Eddie „Orzeł” startował w olimpiadzie zimowej? W każdym razie od wtedy.

Paul się zaśmiał, uznając jego słowa za żart. Ucichł, kiedy zorientował się, że Benny mówił serio.

– Przecież to niemożliwe! Żaden człowiek nie może...

– Nie jestem człowiekiem, zapomniałeś? I chwała Bogu – dodał Benny z przejęciem. – Może i nie sięgamy za wysoko na osi y, ale możemy was, dryblasy, niejednego nauczyć o niezasypianiu. Nie, tamtego roku... to było na początku lat osiemdziesiątych, dobrze kojarzę? ... Judy mnie rzuciła i odniosłem nieodparte wrażenie, że tym samym mam bezterminowy zakaz wstępu do Krainy Snów. Mogę się mylić, ale w tej dziedzinie nikt rozsądny nie zastosuje metody prób i błędów.

– Ale jeśli obudzę Sophie, to się skończy, prawda? – zapytał Paul cicho. – Wreszcie będziesz mógł się przespać. Nie byłoby warto?

Benny chwilę pomyślał.

– Nie. Pozostając przy motywach olimpijskich, miłość w krasnoludzim sercu jest jak płomień olimpijski, nie gaśnie. Załatwimy to po mojemu albo wcale. Jasne?

– Jasne – odparł Paul i zrosił tył siedzenia Benny'ego kropelkami, które trysnęły mu z nosa.

– Nie miej do mnie pretensji – dodał, sięgnął do kieszeni i stwierdził, że chusteczkę miał tam tylko we śnie. – Zaraziłem się od ciebie.

– Krasnoludy nie chorują na katar – rzekł Benny wyniośle. – A teraz się zamknij, bo muszę spróbować wylądować tym gratem.

– Aha, dobrze. A co, są turbulencje czy coś takiego?

– Nie, po prostu nigdy jeszcze tego nie robiłem.

– Ała – powiedział Paul. – Przecież musiałeś. Nie ma nauki latania bez nauki lądowania.

– Kto powiedział, że umiem latać? – odparł Benny. – Hm, ciekawe, do czego jest to pokrętko.

*

Nie widać go z ulicy ani, jak o tym pomyśleć, z powietrza, chyba że się wie, czego wypatrywać. Bogiem a prawdą, jest tam tylko wtedy, kiedy wypowie się magiczne słowa we właściwej kolejności i zna aktualny kod zabezpieczający. Tak czy owak, na dachu budynku przy St Mary Axe 70 znajduje się lądowisko dla helikopterów i Benny opadł na nie z gracją jętki siadającej na płatkach róży. Co znaczyło, że albo żartował, albo miał ogromne szczęście.

– Wszystko w porządku! – zawołał przez ramię, gasząc silnik.

– Nic ci nie grozi, możesz wyjść.

Paul przestał się kulić.

– Na pewno?

– Cykor. – Benny wychylił się w bok i otworzył drzwi pasażera.

– No, teraz zaczynają się schody. Musimy dostać się do naszych gabinetów tak, żeby Dennis Tanner nas nie zauważył. Nie wolno opuszczać biura bez powiadomienia recepcji. Czasem strasznie się o to pieni.

Zaprowadził Paula przez dach do wjazdu. Schwycił żelazny pierścień i pociągnął. Bezskutecznie.

– Zaryglowany – mruknął z odrazą.

Paul rozejrzał się wokoło. Nie widział żadnego innego zejścia z dachu.

– To co robimy? – zapytał.

– A podobno jesteś terminującym czarodziejem. Bez magii ani rusz. Patrz i podziwiaj.

Benny cofnął się o piętnaście kroków, wziął rozbieg, podskoczył i wylądował obiema nogami na władzie. Wład zawalił się i Benny zniknęła. Po ułamku sekundy Paul usłyszał głuchy łoskot.

– Nic ci się nie stało?! – zawołał w głąb otworu.

– Nie – odparł nieco zboląły głos. – Taką magię to ja rozumiem... nauczyli mnie tego kumple z klubu rugby, w którym kiedyś grałem. Czekać, przyniosę drabinę.

Ze zniesieniem Sophie na dół było sporo kłopotów. Paul panicznie się bał, że ją upuści, Benny troszczył się głównie o to, by jej nie obudzić, i w końcu zjechała na plecach po ostatnich kilku szczeblach, aż Benny ją złapał. Na szczęście cichutkie chrapanie przekonało ich, że nic jej się nie stało.

– Pytanie, co z nią zrobić, dopóki nie wymyślimy, jak dokonać zamiany – powiedział Benny, przerzucając ją sobie przez ramię. – Nie damy jej do twojego gabinetu, tam Judy zajrzy najpierw. Do mojego też nie, z tego samego powodu. Skarbiec odpada, piekielnie tam zimno, jeszcze by się obudziła. Może ją zostawić u Ricky'ego? Ale ten to już na pewno by ją obudził. Czyli zostaje archiwum i damska toaleta, a tam moja noga nie postanie.

– Dlaczego?

– Bo się krępuję – odparł Benny krótko. – Czyli do archiwum z nią. Dobra kryjówka, wchodzi tam tylko durnie, szaleńcy, potencjalni samobójcy i desperaci, którzy naprawdę potrzebują jakichś starych akt. Włóżmy ją do schowka na broń. Drzwi ze zbrojonej stali, są tylko dwa klucze, jeden mam ja, drugi Ricky.

To trochę Paula uspokoiło, choć miał pewne wątpliwości, czy jakiegokolwiek drzwi są w stanie przeszkodzić hrabinie Judy i jej poplecznikom. Poprosił Benny'ego, żeby zdjął szarą szatę istoty z Magicznego Ludu, po czym zwinął ją i podłożył Sophie pod głowę („Och, jakie to słodkie”, zagruchał Benny i udał, że wsadza sobie palec w gardło), i patrzył, jak drzwi się

zamykają.

– No dobrze – powiedział. – A teraz daj mi klucz, proszę.

Benny przez chwilę patrzył na niego, jakby się zastanawiał, jak najlepiej go będzie zaszlachtować. Wreszcie bez słowa oddał mu klucz.

– Co teraz? – spytał Paul.

– Ja pójdę i zamienię słówko z Theo van Spee, jeśli go zastanę. Nawet jeśli nie będzie mógł nic zrobić, może choć wie, gdzie się podział stary pan Wells. Co do ciebie... Prawdę mówiąc, nie wiem, co ci poradzić. Spływaj, nie wychylaj się i nie rozmawiaj z obcymi kobietami. Możesz nawet – dodał Benny z szerokim uśmiechem – trochę popracować. No wiesz, zająć się tym, za co ci płacą.

– Zamiast dać się zabić i pożreć – odparł Paul posępnie – w którym to celu mnie kupili. Wiesz, zaczynam się zastanawiać, czy nie byłoby dla mnie lepiej, gdybym studiował prawo, jak chciała mama.

Benny chwilę o tym pomyślał.

– E tam. Może ta robota to nic nadzwyczajnego, ale przynajmniej pozwala zachować szacunek dla samego siebie.

Trochę popracować, pomyślał Paul. W sumie czemu nie? Jak pamiętał, całe dwa dni wcześniej pan Tanner rzucił na jego biurko gruby plik zdjęć i burknął coś o tym, że to pilne. Bardzo to była odległa perspektywa, ale gdyby doszło do sytuacji, w której przydałaby się pomoc sprzymierzeńców, może zdołałby przeciągnąć na swoją stronę Dennisa Tannera, gdyby odnalazł największe złoża boksytów w ostatnim stuleciu. To dość szalone, by mogło się udać, stwierdził i poszedł do swojego gabinetu.

Szczerze mówiąc, szukanie złóż minerałów okazało się nadzwyczaj relaksujące; siedział sobie na względnie wygodnym krześle, z nogami na biurku, nikt go nie gonił, nie obdarzał urzekającym uśmiechem ciemnoniebieskich oczu ani nie zmuszał do ucieczki przez podziemne korytarze przed depczącą po piętach hordą Nazguli dla ubogich. Gdyby tylko mógł się jakoś wypłatać z tego przekłętą bajzlu z Magicznym Ludem w jednym kawałku (i ocalić Sophie, rzecz jasna; tak naprawdę głównie to się liczyło, prawda?), z chęcią złożyłby potrójne śluby ubóstwa, nudy i posłuszeństwa i do emerytury siedział tu i opukiwał czubkiem palca fotografie. Ostatecznie nic z tego wszystkiego nie stało się z jego wyboru, a te brednie o dziedziczeniu i byciu wybrańcem, który na zawsze przepędzi Magiczny Lud ze świata rzeczywistego, już zamazywały się w pamięci jak... cóż, jak sen. Paul spojrzął na swoje nadgarstki. Wcześniej zdjął marynarkę, a większość krwi wsiąkła w jej rękawy. Widział teraz dwie bardzo cienkie czerwonoróżowe blizny i kilka czarnych plam zakrzepłej krwi. Na pewno byłoby tego dużo więcej, gdyby mu się rzeczywiście powiodło i podciął sobie żyły dość skutecznie, by umrzeć.

Kichnął i w zamyśleniu wytarł nos rogiem chusteczki. Czy ja umarłem? Naprawdę? Wątpliwe. Przebiegł myślą wszystkie nieprawdopodobne przygody, które go spotkały, odkąd Ricky Wurmtoter wpadł do jego mieszkania przez okno. Czy nie byłoby bardziej logicznie przyjąć, że sam wybił tę szybę – to okno często się zacinało, może za mocno nim trzasnął, kiedy próbował je zamknąć, i odłamki szkła pokaleczyły mu ręce. Potem zemdleł, zszokowany widokiem krwi, i wszystko, co działo się potem, to tylko halucynacje i sny. W porządku, tylko że gdyby rzeczywiście tak było, Sophie nie znajdowałaby się piętro niżej, zamknięta w stalowej szafie pancерnej pełnej wyrzutni rakiet, lecz naprawdę rzuciłaby go i wyjechała do Kalifornii. To też wydawało się bardziej prawdopodobne od wersji alternatywnej, ale są chwile, kiedy człowiek nie chce być niewolnikiem statystyki.

Melze, pomyślał, kiedy poczuł lekkie mrowienie dłoni, wskazujące obecność nieprzebranych złóż boksytów. Znowu kichnął. Czy naprawdę był o włos od tego, żeby zakochać się w tym czymś? Toż wolałby dać się poderwać mamie pana Tannera – owszem, miała małe okrągłe czerwone ślepie i zęby, którymi można by otworzyć konserwę, w razie gdyby ułamał się ten taki kluczyk, ale przynajmniej była prawdziwa pod wierzchnim okryciem w postaci takiej czy innej hożej dziewoi. Wspomnienia, sny, iluzje, zwidy... tknęło go, że może tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak autentyczne lochy Magicznego Ludu, zbudowane z kamienia, żelaza i betonu. Skłonny był w to uwierzyć, bo i czemu one miałyby służyć? Każda istota ludzka, zwłaszcza taka jak Paul Carpenter, jest zdolna wznieść dla samej siebie dużo lepiej strzeżone więzienie we własnej głowie.

– Witam.

Paul zamarł z palcem między zdjęciami. Znowu lało mu się z nosa, ale zwalczył pokusę, by kichnąć. Nie chciał podnieść głowy, bo bał się, co zobaczy.

– A zatem wróciłeś – ciągnęła hrabina Judy, przeszła przez gabinet i stanęła nad Paulem. Jej cień okrywał go jak sieć gladiatora. – W głowie mi się nie mieściło, że mógłbyś być aż tak głupi, ale musiałam sprawdzić.

– Nie możesz mi nic zrobić – rzekł ponuro. – Już to wałkowaliśmy. Z jakiegoś nieznanego mi powodu nie możesz mnie dotknąć, więc idź sobie, proszę.

Zaśmiała się.

– Tak było tam, a teraz jesteśmy tutaj. I owszem, nie mogę rzucić na ciebie złego uroku, skrać ci duszy, kiedy będziesz spał, ani zatrzymać akcji twojego serca jednym uśmiechem. Ale nie muszę. Jak zawsze powtarzam, niech żyją najprostsze technologie.

To sprawiło, że zmienił zdanie i podniósł głowę. Judy di Castel’Bianco uśmiechała się szeroko – to było coś, czego jeszcze nie widział w jej wykonaniu – a w dłoni trzymała duży nóż z szerokim ostrzem.

– Nie ośmieliłabyś się – powiedział.

– Zakład?

Próbował wstać, ale nóż był nieporównanie bardziej przerażający niż szare zjawy czy lochy ciotki Grendela. Kolana mu się ugięły i gruchnął z powrotem na krzesło.

– Twój wybór – stwierdziła hrabina. – Oddaj mi małą Pettingell, bo wytnę ci serce, zjem je, a potem pójdę z tym samym żądaniem do Benny’ego. Nigdy nie potrafił mi odmówić, biedaczek. Nawiasem mówiąc, gdzie się podział? W gabinecie go nie ma.

– Nie wiem – odparł Paul. – Słuchaj, nie możesz mnie zabić, naprawdę. Nie uszłoby ci to na sucho.

Zachichotała.

– Co, myślisz, że ktoś zauważy, że cię nie ma? A nawet jeśli zauważy, że się tym przejmie? Tak czy owak, dość już ostatnio straciłam czasu na rozmowy z tobą. Liczę do pięciu. Raz.

Paul zamknął oczy.

– No dobrze. Jest w...

I na tym skończył; bo drzwi otworzyły się na oścież i na progu stanął Ricky Wurmtoter, wciąż w swoim dość obszarpanym smokingu, z dużą stalową kuszą w rękach.

– Nie teraz, Ricky, zajęta jestem – powiedziała Judy, nawet się nie odwracając. – Dwa.

– Opuść sobie, Judy – rzekł Ricky. – Wiem o Bennym. Więcej ci nie będzie pomagał. Odłóż ten nóż, zanim zrobisz komuś krzywdę.

Nadal się nie odwracała.

– Jasne. A jak tego nie zrobię, zapewne mnie zastrzelisz. Jakbym miała to nawet zauważyć.

– O nie. – Ricky zrobił krok w prawo. – Wiem, że to by nic nie dało, strzały przechodzą przez ciebie na wylot, nie rozmazałbym ci nawet błyszczyka na ustach. Nie. Jak mówiłem, na Benny’ego już nie masz co liczyć, więc tylko Paul może ci powiedzieć, gdzie jest dziewczyna. I dlatego – mówił, odciągając na kuszy jakiś zamek czy coś – jeśli nie odłożysz tego noża i nie wrócisz natychmiast do swojego gabinetu, zastrzelę jego.

– Co? – powiedział Paul i jego głos brzmiał identycznie jak głos Judy, pewnie dlatego, że powiedziała to samo w dokładnie tym samym momencie. – Nie, proszę – dodał. – Nic nie powiem, obiecuję.

– Wszystko gra. Nie pękaj. Wiem, co i jak. – Ricky wskazał ostentacyjnym ruchem głowy albumy ze zdjęciami na półce. – Pan Dao powiedział mi o tej krwi z nosa. Jak już tam trafisz, spytaj o niego, on się tobą zajmie. Kiedy tylko będzie bezpiecznie, przyjdę po ciebie osobiście, obiecuję. – Podniósł kuszę i spojrzał na niego zmrużonymi oczami nad drzewcem strzały, w pełni skoncentrowany, jak na fachowca przystało. – Wiem, co robię. Nie ma się czego obawiać, wierz mi.

– Właśnie że jest! – krzyknął Paul. – Jeśli mnie zastrzelisz, umrę. Naprawdę!

– Och, nie bądź dziecko! I nie ruszaj się, co? To cholerstwo i tak jest trudne w obsłudze, a ty mi się tu jeszcze wijesz jak tancerka egzotyczna.

– Nie! – pisnął Paul. – Nie rozumiesz, jej już...

Ale zanim dokończył, Judy rzuciła się na Ricky'ego z nożem. A Ricky, szybki jak kot, usunął się, ponownie wymierzył kuszę i nacisnął spust.

– ... tam nie ma – powiedział Paul, kiedy strzała przeszła jego serce i go zabiła.

Rozdział 15

– To ty? Znowu? – powiedział głos w sercu.

Paul otworzył oczy, zobaczył ciemność i poznał, gdzie jest. Tym razem jednak...

– Kiedy mnie wezwali – mówił głos – uznałem, że stary Jacky Dao żarty sobie ze mnie stroi, bo cóż, miejscowi nie mają zbyt wyrafinowanego poczucia humoru. Pomyślałem sobie, nie no, nabierają mnie, przecież raptem parę dni temu sprawdziłem terminarz i stało w nim jak wół, że młody Paul ma tu wrócić dopiero za kupę lat. A tu proszę, jesteś – ciągnął wujek Ernie głosem ściśniętym jak dokręcone imadło. – We własnej osobie, do gruntu martwy i tak przedwcześnie, że to aż nieeleganckie. Do licha, co ty wyprawiasz, ośle patentowany? Nabijasz sobie punkty dla często umierających?

– Zostałem zastrzelony – powiedział Paul. – Strzałą – dodał, żeby dobitnie uzmysłwić wujkowi, jak wielka niesprawiedliwość go spotkała. – Ricky Wurmtoter mnie zabił, no i umarłem.

– Bredzisz – warknął wujek Ernie. – Znałem Ricky’ego Wurmtotera, kiedy dzieckiem w kolebce łby hydrom urywał. Głowę ma raczej tylko od parady, ale świetny z niego strzelec. Nie załatwiłby cię niechcący.

– To nie było niechcący.

– Zabił cię celowo? Czemu? Czym go sprowokowałaś?

– Niczym – jęknął Paul. – Myślał, że w ten sposób uratuje mnie albo świat, czy coś w tym stylu. Wiedział o tej krwi z mojego nosa, ale nie o tym, że już raz umarłem i ją zużyłem.

– To dlaczego, na miły Bóg, mu nie powiedziałeś?! – wybuchnął wujek Ernie. – Już chyba nic głupszego...

– Próbowałem – zaskamlał Paul – ale nie chciał mnie słuchać. Powtarzał tylko „wszystko gra, zaufaj mi”, a potem mnie zabił.

– Ty błaznie! Chyba zdajesz sobie sprawę, że przez twoją lekkomyślność i nieostrożność cały cholerny plan diabli wzięli. Dzieło mojego życia. Przyszłość rodzaju ludzkiego. Wszystko stracone. Dlatego że nie raczyłeś podnieść słuchawki telefonu czy napisać notatki. – Jako że nie miał języka, cmoknięcie nim musiał zsyntetyzować ze szczątkowych wspomnień i iluzji. – A tak się wszystko fajnie układało. Odzyskałeś dziewczynę... powinienem był się domyślić, że zawinił Benny Shumway, ale przynajmniej kiedy przyszło co do czego, zrobił to, co słuszne, więc może w sumie dobrze się stało. Gdybyś tylko ruszył głową i obudził ją, jak tylko wydostaliście się z zamku, wszystko byłoby dobrze. Ale nie, nie umiesz wykonać błahego, prostego zadania tak, żeby niczego nie schrzanić. I założę się, że zapomniałeś spalić kredę. No jak, spaliłeś?

Paul był zbyt wzburzony i rozgniewany, żeby cokolwiek powiedzieć, ale skinął głową. To jakby uspokoiło wujka Ernego, ale tylko odrobinę. Coś mruknął i oto stali przed zasłoną z koralików, która służyła za drzwi do skarbcza.

– Zostań tu, nie ruszaj się, niczego nie dotykaj – warknął Ernie i zniknął za zasłoną (przeszedł przez nią, ale koraliki nawet nie drgnęły). – To już coś – kontynuował, kiedy wrócił z widmowym zarysem pudełka z kredą. – Trochę się pokruszyły, spaliłeś je w zbyt silnym ogniu, ale powinny działać. – Zamilkł i zasepił się. – Nie wiesz, do czego służą, zgadza się?

Paul pokręcił głową.

– No ja nie mogę – powiedział Ernie z niesmakiem. – Najpierw byłeś największym osłem pod słońcem, teraz jesteś największym osłem w próżni między wymiarami. Te kawałki kredy – ciągnął zmęczonym głosem – służą do przekazywania wiadomości na drugą stronę granicy. Piszesz coś tutaj, a oni mogą to przeczytać w swoim świecie, tym, z którego właśnie przybyłeś. Tyle że – dodał z furią – do kogo mielibyśmy napisać? Nie do Bennyego Shumwaya, bo nie możemy mu ufać; nie do Ricky’ego Wurmtotera, bo jak znam Judy, to Ricky zaraz do nas dołączy, a poza tym nie jestem w stu procentach pewien, czy umie czytać. Masz jakieś sugestie? Bo ja żadnych.

Nie żeby to Paula specjalnie obchodziło. Po raz pierwszy naprawdę czuł, że nie żyje; sprawy ludzi żywych wydawały się odległe, niesmaczne i cokolwiek śmieszne, jak polityka amerykańska. Wiedział, że już wkrótce będzie się musiał mocno wysilić, by przypomnieć sobie jakieś szczegóły swojego życia doczesnego – a po śmierci raczej trudno się zmobilizować do choćby najlżejszego wysiłku. I co z tego, że Magiczny Lud zmiecie ludzkość z powierzchni ziemi? Tutaj niczego to nie zmieni, zresztą ludzie sami są sobie winni. To już nie jego problem. Prawdę mówiąc, właściwie nie był pewien, o czym wujek mówi...

– Niech ci będzie – warknął Ernie. – Chcesz, to się poddaj. Rozpłyn się, zniknij, mnie to obojętne. Czemu miałoby cię obchodzić, że dla mnie nie ma powrotu, że utknąłem tu na zawsze, jak ty? Co z tego? To tylko dwadzieścia lat mojego życia, które spuściłem z wodą.

– Powrotu? – powtórzył Paul półprzyciennie. – Ano tak, zapomniałem. Przecież masz w skrytce trochę swojej krwi, nie? Czyli wszystko w porządku.

– Nie, do cholery! – warknął Ernie. – Bo kiedy Magiczny Lud obejmie władzę, to żeby nie wiadomo co, nie pokażę się na Zewnątrz. Powinieneś już wiedzieć, że oni mogą ci zrobić kuku, w porównaniu z którym być uwięzionym tutaj to impreza plażowa z tortem i kolorowymi balonikami. Równie dobrze mogę tę kredę wyrzucić albo oddać Jackiemu Dao za wirtualnego snickersa. Jakby to w ogóle miało znaczenie – dodał ostrym tonem – wobec nieuniknionej zagłady rodzaju ludzkiego. Choć nie wiem, czemu się tym przejmuję. Przecież nie na mnie cała populacja Ziemi będzie wkurzona, kiedy zaczną się tu zwałać miliardami. – Z jakiegoś schowka w powietrzu wyjął garść popiołu i rozrzucił go ruchem ręki jak przy trzepaniu obrusa. Popiół zmienił się w biały

arkusz papieru, na którym Ernie zaczął pisać. – Właściwie jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy, jest Kazik Susłowicz, a on nawet nie jest człowiekiem, tylko, kurka, olbrzymem. Mam u niego spory dług wdzięczności, może zgodzi się pomóc. Musi tylko znaleźć śpiącą kobietę i wsadzić jej głowę pod strumień zimnej wody czy coś. – Przystał pisać i podniósł głowę. – Gdzie dokładnie ją zadekowałeś? Obserwowałem cię aż do drzwi archiwum, ale wewnątrz jest osłonięte, tam już nic nie widziałem.

– Benny chyba nazwał to schowkiem na broń.

– Cholera! – Wujek Ernie skrzywił się jak oparzony, po czym wyrzucił kredę w ciemność. – I niech zgadnę: Ricky ma jeden klucz, ty miałeś drugi. Och, dość tego, poddaję się. Bez klucza nikt ani nic się tam nie dostanie, to praktycznie najbezpieczniejsze miejsce we wszechświecie. – Kucnął na wymyślnym podłożu i skulił się w rozpacz. – Tyle trudu, tyle pracy, tyle nerwów, żeby skłonić twoich wstrętnych rodziców, by się w sobie zakochali, i co z tego mam? Ciebie. W dodatku martwego – dodał zjadliwie. – Co znaczy, że jestem na ciebie skazany, na wieki wieków amen. Och, gdyby to nie było tak cholernie przygnębiające, zrywałbym boki ze śmiechu.

W tym momencie Paul uznał, że ma dość. Przeważenie i rozpacz przeszły mu jakiś czas wcześniej, zaraz potem ustąpił gniew, trudniej było otrząsnąć się z obojętności i ogólnego zniechęcenia, ale nawet one w końcu pokruszyły się i zostały zmiecione przez potężną falę narastającej irytacji. Stwierdził, że czas już, by zapanował nad sytuacją, zanim stanie się zbyt pochrzaniona jak na jego siły. Jak tego dokonać, nie miał pojęcia, ale wiedział, że znajdzie jakiś sposób, bo...

Bo?

Bo, uprzytomnił sobie w oślepiającym błysku olśnienia niby Szaweł na czasowo dwukierunkowej drodze do Damaszku, nie jestem taki, jak mówi. Nie jestem głupi, nie jestem do niczego, to nie moja wina, to niesprawiedliwe i nie zamierzam dłużej tego tolerować. No.

– Wujku – powiedział.

Ernie spojrzał na niego tak, jakby właśnie znalazł go przyklejonego do podeszwy swojego buta.

– Co?

– Chcę stąd wyjść. Już.

Wujek Ernie wpił się w niego wzrokiem, po czym pokręcił głową; jego mina zdawała się mówić: „Jakby tego wszystkiego było mało, teraz mi tu jeszcze bredzić zaczyna”.

– Nie żartuję – ciągnął Paul. – Jeśli wrócę, może zdążę nie dopuścić, by Judy znalazła kryjówkę. Mam klucz, zrobię, co trzeba, żeby Sophie obudzić, i sprawa będzie załatwiona. Prawda?

Ernie tylko parsknął śmiechem.

– Skoro tak twierdzisz, synu – mruknął znużonym głosem – skoro tak twierdzisz. Rób, co ci się podoba. Ja sobie jeszcze trochę pobędę martwy, jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Proszę cię bardzo. Tylko jak mogę znaleźć pana Dao?

Wujek Ernie nie odpowiedział; nie musiał. Pan Dao stał przed zasłoną z koralików, zgięty w lekkim ukłonie.

– Dobry wieczór – rzekł. – Cóż za miła niespodzianka.

Po twarzy Paula przemknął nieznaczny, kwaśny uśmiech.

– Szczerze mówiąc, nastąpiło pewne nieporozumienie. Ktoś mnie zabił w przekonaniu, że nadal mam w banku własną krew. Tak naprawdę nie powinno mnie tu być.

Pan Dao westchnął cicho.

– A to pech!

– No właśnie – przytaknął Paul. – Ale tak sobie pomyślałem, że może da się temu, hm, zaradzić.

– Z wielką ciekawością wysłucham pańskich propozycji – uprzejmie powiedział pan Dao. – Choć wyznam, w tej sytuacji nie zalecałbym optymizmu.

– Krew wujka Erniego. Ta buteleczka, którą trzyma w swoim pudełku. Czy... – Paul przerwał, żeby nabrać tchu, po czym uświadomił sobie, że nie może tego zrobić. – Czy mógłbym z niej skorzystać? Ponieważ ja i wujek jesteśmy ze sobą spokrewnieni... – ciągnął, a pan Dao odął usta niby mechanik, który zamierza oznajmić, że trzeba będzie wymienić całą skrzynię biegów – ... to znaczy, że w naszych żyłach płynie ta sama, a przynajmniej praktycznie ta sama, czy choćby bardzo podobna krew. Krew Carpenterów. W przypadku przeszczepu szpiku to się sprawdza – dodał z nadzieją, kiedy początkowe przekonanie o genialności pomysłu zaczęło szybko przygasać jak zachód słońca zimą. – Bo widzi pan, ja naprawdę muszę wrócić i uratować moją dziewczynę. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie ośmieliłbym się...

– Hej! – Wujek Ernie najwyraźniej wyrwał się z kokonu przygnębienia. – Mówisz o mojej krwi, złodziejaszku parszywy. To moje życie...

– Tak, wujku – powiedział Paul uprzejmie – ale jak sam dopiero co mówiłeś, tobie już na nic się nie zda, prawda? Gdy Judy przejmie władzę, co jest nieuniknione, jeśli zaraz tam nie wrócę, tak czy owak nie będziesz mógł z tej krwi skorzystać, więc się zmarnuje, a ty nic na tym nie zyskasz. Rozumiesz, prawda?

– Tak, ale... – Wujek Ernie zasepił się, jakby usiłował rozgnieść brwiami niewidzialny orzech. – Ale jeśli mi ją zabierzesz, będę martwy. Na amen.

Pan Dao odchrząknął dyskretnie.

– Jeśli wolno mi zauważyć, Erneście, to...

– Cicho bądź! Nie, Paul, słuchaj, ta krew jest mi potrzebna, nie mogę tu zostać. Wiesz,

nigdy nie zamierzałem wylądować tu na stałe, to było tylko coś, co musiałem zrobić dla dobra operacji. Dlatego dopilnowałem, żeby mieć możliwość wyjścia. Inaczej nigdy bym...

Paul patrzył na Erniego spokojnie, z głęboką i krzepiącą pogardą.

– Tak, wierzę ci. Ale sytuacja się zmieniła i masz wybór: pozostać martwy albo pozostać martwy i przy okazji ocalić kilka ludzkich istnień. Decyzja należy do ciebie. Nie naciskam.

Ernie spojrział na Paula, a potem w zimne, poważne oczy pana Dao.

– Dranie z was. Ten tu bierze i wszystko chrzani, a ja przez to muszę umrzeć. To takie...

Pan Dao kaszlnął cicho.

– Życie było niesprawiedliwe, Erneście – powiedział. – Naprawdę się spodziewałeś, że śmierć będzie inna?

– Och, odwal się! Nie możecie mnie do tego zmusić. Nie jestem bohaterem. Takich rzeczy się nie robi. To byłoby zabójstwo.

Z przejrzystych ust pana Dao wyszło najłżejsze westchnienie.

– Nie, co najwyżej kreatywna księgowość. Na przykład ośmielę się zauważyć, że masz u nas konto od prawie stu ziemskich lat, a w tym czasie nie wniosłeś żadnych opłat bankowych.

– Co takiego? Przecież to...

– Do tego należy doliczyć opłaty administracyjne, koszt wynajmu skrytki, opłatę manipulacyjną plus odsetki i kary. Bank ma pełne prawo w dowolnym momencie zażądać uregulowania zaległych należności. – Pan Dao uniósł zaciśniętą lewą dłoń, po czym lekko rozchylił palce. Między nimi Paul zobaczył małą szklaną buteleczkę z odrobiną czegoś czerwonego na dnie. – Albo – powiedział pan Dao – bank może rozważyć możliwość rezygnacji z należnych zobowiązań w uznaniu dla twojej wyjątkowej odwagi i poświęcenia dla bliźnich. Jako pełniący obowiązki asystenta zastępcy dyrektora generalnego jestem władny wydać taką dyspozycję. Ale nie – dodał z werwą – jeśli będziesz kwękał i mi wymyślał. Rozumiemy się?

Zapadła cisza, która zdawała się trwać całą wieczność.

– No dobrze – nagle warknął Ernie. – Niech wam będzie. Ale to i tak strata czasu. Nic z tego nie wyjdzie. Wystarczy spojrzeć na tego mojego pożałuj Boże stryjecznego wnuka. On miałby ocalić świat? Korka od butelki by nie ocalił.

Pan Dao powoli wyciągnął lewą rękę w stronę Paula. Szklana buteleczka okazała się gorąca w dotyku, wręcz parzyła – pewnie dlatego, że w krwi zachowała się jeszcze odrobina ciepła.

– Dzięki – powiedział Paul. – To było...

– Dla dobra banku – przerwał mu pan Dao. – Koniec rodzaju ludzkiego oznaczałby, że nie będzie więcej umarłych ani żywych, którzy przysyłałoby pieniądze i kosztowności. Miałoby to katastrofalne skutki dla naszych finansów. Czysty interes, rozumie pan.

Paul skinął głową.

– Oczywiście. Proszę życzyć mi szczęścia.

Twarz pana Dao skurczyła się i przybrała wyraz bezdennego smutku.

– Przykro mi, że właśnie ja muszę to panu powiedzieć, panie Carpenter, ale nie ma czegoś takiego jak szczęście. Są zbiegi okoliczności, a ludzie, jak to ludzie, doszukują się śladów prawidłowości w przypadkowo następujących po sobie zdarzeniach, ponieważ nie mogą pogodzić się z przygnębiającym faktem, że nic nie jest z góry przesądzone, nie ma żadnego planu, żadnego nadrzędnego celu, żadnego...

– Panie Dao – przerwał mu Paul – proszę życzyć mi szczęścia.

– Życzę szczęścia, chłopcze. – Pan Dao wyjął zatyczkę z buteleczki w dłoni Paula.



Doszło do tego, że powrót z Banku Umarłych do kasy stał się praktycznie rutyną, co samo w sobie było niepokojące. Jeszcze kilka razy, powiedział sobie Paul, i można to będzie uznać za regularne dojazdy do pracy. Ciekawa myśl, przy cenach nieruchomości w Londynie, taka otwarta, pusta przestrzeń...

Nie musiał szukać drzwi. Wiedział, gdzie są, na tej samej zasadzie, na jakiej człowiek potrafi odnaleźć budzik w zupełnej ciemności. Oczywiście były zamknięte, ale to przewidywał. Jeśli nie pomylił się w obliczeniach (najgorszy z matmy od pierwszej klasy podstawówki do ostatniej liceum włącznie), kasjer lada moment powinien wyruszyć do banku. Teraz Paul już znał JWW dość dobrze, by wiedzieć, że cokolwiek się wydarzy – morderstwo, zdrada, wojna domowa, zagłada rodzaju ludzkiego – ktoś przyjdzie wpłacić utarg i wziąć чеки na jutro, nawet gdyby musiał to zrobić Dennis Tanner czy Theo van Spee. Usiadł przy drzwiach, odpędził paru swoich prapradziadków zwabionych zapachem krwi Carpenterów i czekał.

Na terenie Banku Umarłych czas mija inaczej; cały wiek może upłynąć w ciągu minuty, sekunda może wydawać się tysiącem lat. Nawet biorąc na to poprawkę, Paul stwierdził, że czeka dość długo. Naszła go paskudna myśl, że może ten, kto miał dzisiaj iść do banku, załatwił to wcześniej niż zwykle. Wtedy drzwi otworzą się za dwadzieścia cztery godziny, a do tego czasu jego skąpy zapas krwi się wyczerpie.

Kreda, pomyślał. Kawalki kredy, które kazał mi spalić wujek Ernie, te, którymi można przekazywać wiadomości na drugą stronę granicy. Mógł wrócić, pożyczyc je i napisać po swojej stronie drzwi POMOCY! czy coś równie zwięzłego. Co jednak, jeśli ten, kto dziś robił za kasjera, wybierze się do banku właśnie w tym czasie, kiedy on pójdzie sępić kredę? No dobrze, stwierdził

Paul, posiedzę tu do wpół do szóstej, wtedy będę wiedział na pewno, że sprawy z bankiem już załatwili, i wrócę po kredę. Tyle że po wpół do szóstej w budynku nie będzie nikogo oprócz goblinów, a wcale nie był przekonany, że byłyby skłonne czy zdolne otworzyć drzwi.

– Przepraszam – usłyszał nagle.

Nie odwrócił się.

– Idź sobie – powiedział.

– Przepraszam.

– Spadaj. Za mało mam krwi, żeby się z tobą dzielić. Przykro mi. Żegnam.

– Przepraszam.

Nie teraz, pomyślał Paul, proszę, nie teraz. Obejrzał się. Stał nad nim wiekowy goblin, tak mały, pomarszczony i zabawnie wyglądający, że nie budził najmniejszego niepokoju, choć lepiej, by nie było go obok butelki z sosem, gdyby akurat jadło się śniadanie na ciepło.

– Tak? – westchnął Paul. – W czym mogę pomóc?

– Chciałem się tylko przywitać – odparł goblin. – Nigdy dotąd cię nie widziałem, rozumiesz. Inne pokolenie.

– Cóż... – Paul odruchowo wzruszył ramionami. Wtedy przyszło olśnienie. – Zaraz, skoro przyszedłeś się ze mną zobaczyć i możemy ze sobą rozmawiać i w ogóle... czy to znaczy, że jesteśmy spokrewnieni?

Goblin jakby go nie usłyszał.

– Zawsze staram się witać każdego z naszych, który się tu zjawia. Tak z dobrego serca, rozumiesz. Myślę sobie, że to miło, kiedy ktoś cię wita w nowym dla ciebie miejscu.

– Przepraszam, ale czy jesteś goblinem?

– W rzeczy samej. Cóż, miło było cię poznać. Lepiej już pójdę. Mam nadzieję, że się tu zdomowisz. Aha, i pozdrów naszego Dennisa, jak się z nim zobaczysz.

I zniknął. Paul myślał o tym, co wynikało z jego słów, dość długo, by uznać, że naprawdę nie chce tego wiedzieć, po czym ponownie skupił się na tym, co zrobić, by nie pozostać martwym. Właśnie postanowił mimo wszystko zaryzykować i wrócić po kredę, kiedy przez futrynę drzwi wdarło się cienkie, ogniste ostrze. Dawno nie widział nic podobnego, więc zorientował się dopiero po chwili, że to światło, blask stuwatowej żarówki w kasie wpadający przez uchylone drzwi.

Zerwał się na równe nogi jak pies na zapowiedź spaceru.

– Cześć... – zaczął i urwał w pół zdania.

– Cześć – odparł pan Tanner. – Niech zgadnę, drzwi się zatrzęsnęły i nie mogłeś wyjść. – Uśmiechnął się szeroko, po czym uśmiech ześliznął się z jego twarzy i przeszedł w marsową minę. – Co ty tu robisz? Miałeś być w swoim gabinecie i szukać na zdjęciach złóż boksytów. Mówiłem, że są mi potrzebne na jutro.

– Przepraszam, coś mi, hm, przeszkodziło. A ściśle... umarłem. Ricky... pan Wurmtofer mnie zabił.

Pan Tanner wzruszył ramionami.

– Zawsze był ciamajdą. Czekaj no! Nie mogłeś umrzeć, przecież żyjesz.

Paul uśmiechnął się blado.

– Prawdę mówiąc, to dość długa historia. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, może ja szybciotko wyjdę, a pan skoczy do banku? Wtedy nie będzie się pan musiał spieszyć, ja nie przedłużę nadmiernie mojego pobytu tutaj i, jeśli będzie pan chciał, wszystko opowiem, jak pan wróci.

– Daruj sobie – powiedział pan Tanner. – Bylebym jutro o dziesiątej miał na biurku zdjęcia z wyraźnie zaznaczonymi złożami boksytów, reszta mnie nie obchodzi. No już, wylaż.

Przepełniony wdzięcznością Paul przemknął obok niego i wrócił na świat. Nagle coś go tknęło, jakby przygryzł sobie chory ząb.

– Panie Tanner! – zawołał. – Mógłby pan chwilkę poczekać?

– Co znowu?

– Chodzi tylko o t o . – To zabrzmiało idiotycznie, pomyślał, nigdy więcej nie będę w stanie spojrzeć mu w twarz. – Czy my... jesteśmy ze sobą spokrewnieni?

Po raz pierwszy, odkąd go poznał, pan Tanner wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie.

– Cóż – odezwał się w końcu – tak jakby. Bardzo daleko. Przez moją matkę – dodał, jakby to miało być pocieszające. – Jak się o tym dowiedziałeś, u licha?

Paul odwrócił wzrok.

– Spotkałem tam, po drugiej stronie, martwego goblina, który mi powiedział, że jest z mojej rodziny. I wtedy przypomniało mi się zdjęcie, które widziałem w starym albumie. Był na nim mój wujek Derek, choć tak naprawdę to wcale nie wujek, tylko kuzyn. I właściwie nie wyglądał jak goblin, ale miał czerwone oczy. Wtedy pomyślałem, że to od flesza. Ale to zdjęcie było zrobione na dworze.

Pan Tanner się zasepił.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego uznałeś, że jesteśmy spokrewnieni.

– Osoba na zdjęciu wydała mi się do kogoś podobna – wymamrotał Paul. – Dopiero teraz skojarzyłem, do kogo.

– Aha, rozumiem. Do mojej matki?

– Nie. Raczej do pana.

– No cóż. – Pan Tanner bawił się rączką teczki. – Tylko nie rób wokół tego szumu, dobrze? Właściwie najlepiej zachowaj to dla siebie i nic nikomu nie mów, nigdy, pod żadnym pozorem. Zgoda?

Paul skinął głową.

– Przepraszam, że w ogóle poruszyłem ten temat. Ale jeszcze jedna, ostatnia już sprawa. Czy właśnie dlatego pańska matka ciągle ratuje mnie od pewnej śmierci i tak dalej?

Pan Tanner swoją miną ściałby całe mleko na wyspie Jersey.

– Nie – warknął i szybko odszedł.

Paulowi udało się dojść do krzesła za biurkiem; starego krzesła Benny’ego, z nogami krótszymi niż norma przewiduje. Zwalił się na nie, lekko uszkadzając sobie plecy, i poczuł, jak ulatniają się z niego nędzne resztki energii. To były dość stresujące dwa dni – dwa razy umarł, dowiedział się, że został starannie wyhodowany, jak koń wyścigowy albo Świnia obwożona po pokazach trzody, i że dzieli część swojej spuścizny genetycznej z panem Tannerem i wszystkimi tymi strasznymi czerwookimi, dziobatymi, szponiastymi, nieludzkimi istotami, które zajmowały biuro zaraz po zamknięciu drzwi wejściowych. Ta ostatnia myśl, uświadomił sobie, była go niegodna. Jedną z nielicznych osób, którym mógł ufać trochę bardziej niż obietnicom polityków, była mama pana Tannera, prawdziwy goblin, Goblin przez duże G, kwintesencja gobliności. Była też, oczywiście, jego daleką kuzynką. A niech to diabli porwą! Teraz musiał pójść obudzić dziewczynę, którą kochał, i tym samym zabić inną czującą żywą istotę, na zimno, z premedytacją, bo nie miał innego wyboru, jeśli nie chciał, by zmierzch rodzaju ludzkiego ciążył mu na sumieniu do rychłego końca życia. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że trochę tego wszystkiego za wiele, zwłaszcza na czczo. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł, golił się, kąpał czy choćby zmienił majtki. Fe, pomyślał.

Mimo to... Nie ma co siedzieć beczynnie, kiedy jest robota do wykonania. (Co mu przypomniało: jak już uratuje Sophie, zabije hrabinę Judy i dopilnuje, by homo sapiens miał przyszłość, będzie musiał znaleźć czas, by przejrzeć te przeklęte zdjęcia z boksytami, bo inaczej z samego rana ściągnie na siebie gniew pana Tannera. Praca bohatera nigdy się nie kończy, stwierdził Paul, a do eposów trafia tylko to, co w niej najłatwiejsze).

Zanim zdołał sięgnąć do klamki, drzwi rozwarły się na oścież i wszedł Ricky Wurmtofer. Przynajmniej znalazł czas, żeby zdjąć ten obszarpany smoking i się przebrać (a oprócz tego uczesać się, ogolić, przyciąć paznokcie, wypastować buty, schlapać się chyba z litrem cuchnącej wody po goleniu, wyczyścić zęby nicią dentystyczną i pewnie złożyć autografy na kilkudziesięciu swoich fotkach przewidzianych na nagrody w następnym losowaniu dla członków jego fanklubu). Nie miał już też kuszy.

– Cześć – powiedział Paul. – Liczyłem na to, że cię spotkam. – Po czym wspiął się na palce, by dosięgnąć celu, i z całej siły zdzielił Ricky’ego w zęby.

Nie spodziewał się, że Ricky fiknie; przeciwnie, myślał, że cios ześliznie się po jego twarzy albo że on sam połamie sobie palce, a Ricky nawet nic nie poczuje. Nic z tych rzeczy. Ricky

zatonął się o parę kroków do tyłu, wsadził nogę do kosza na śmieci, stracił równowagę i przewrócił się w sposób, który można opisać tylko słowami „wywinał orła”. Wstyd przyznać, ale był to niezwykle satysfakcjonujący widok.

– Cholerny świat – wymamrotał Ricky, usiadł prosto i potarł szczękę. – A to z jakiej okazji?

Paul spojrzał na niego z góry.

– Och, tylko obudziłem w sobie goblina – powiedział. Po czym dodał: – TY DRANIU, ZASTRZELIŁEŚ MNIE, DO CHOLERY! – głosem, którego nie rozpoznał, ale który musiał należeć do niego.

– Przecież ci mówiłem, że wszystko będzie dobrze, i jest, bo inaczej byś tu nie stał... Nie, proszę, odstaw to krzesło, nie bij!

Paul poświęcił chwilę na to, żeby nacieszyć oczy tym obrazkiem: Ricky Wurmtofer, wytrawny zabójca smoków, nieustraszony łowca wampirów, podpułkownik Jeźdźców Rohanu (w stanie spoczynku), skulony na podłodze i osłaniający głowę rękami. Jam ci to uczynił, pomyślał Paul, czule gładząc swoje otarte kłykcie. Nieźle mu przywaliłem, nie żebym się chwalił.

– W porządku – rzekł uprzejmie – już mi lepiej. Przez chwilę byłem trochę zdenerwowany, to wszystko.

Ricky spojrzał na niego przez kratkę z palców.

– Jesteś pewien?

– Czuję się dobrze, naprawdę.

– Chyba obruszyłeś mi ząb.

– Serio? – I pomyśleć, że przez te wszystkie lata Paul był przekonany, że nie wybiłby pięścią dziury w mokrej papierowej torbie. – To znaczy, przepraszam. Nic ci nie będzie. Możesz wyleczyć go czarami czy coś.

Ricky wymamrotał coś o tym, że magia nie działa na zęby, ale wstał i spojrzał nieufnie na Paula.

– Jesteś pewien, że ci przeszło, cokolwiek to było?

– Zdecydowanie. Trochę to wkurzające, jak człowieka zabijają. I to dwa razy, nawiasem mówiąc, tylko że za pierwszym razem to było w pewnym sensie samobójstwo, więc...

– Zabiłeś się? – Ricky najwyraźniej ochłonął ze strachu. – Co cię do tego skłoniło, na litość boską?

– Cóż, pomyślałem, że przydałoby się pogadać z moim wujkiem Erniem, ale on nie żyje. A wiedziałem, że zostawiłem tam krew z nosa, więc...

Ricky powiedział coś po niemiecku – zabrzmiało to jak wyrazy uznania dla szalonej odwagi Paula, nieco ostudzonego przez głębokie wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego.

– I dało to coś?

– Nie bardzo. Owszem, dostałem parę dobrych rad, ale prawda jest taka, że na wujku Erniem raczej nie można polegać. No, ale jesteśmy tutaj, to najważniejsze. I byłem u hrabiny Judy i uratowałem Sophie, więc wszystko gra.

– Uratowałeś Sophie – powtórzył Ricky.

Paul skinął głową.

– A potem Benny Shumway uratował mnie. Wiem, że był zdrajcą i w ogóle, ale chyba już mu przeszło, teraz, kiedy zaręczył się z twoją siostrą...

– Kiedy co... ?!

Ups!

– Zapomnij, że to powiedziałem – rzucił Paul pospiesznie. – Szczerze mówiąc, mogłem go źle zrozumieć, słuchałem jednym uchem.

– Ten wredny, zapluty gnojek dobiera się do...

Paul zmarszczył brwi.

– Oj, nie marudź! – Słowa wyszły z jego ust, zanim uprzytomnił sobie, że mówi do członka zarządu firmy, swojego szefa. Ale co z tego? To nie miało znaczenia, przecież dopiero co znokautował gościa prawym sierpowym. – Benny jest w porządku. Jak mówiłem, urato...

– Obłeśny zbereźnik, podstępny pokurcz! Zedrę z niego skórę i na irchę przerobię! On i Monika...

– Słuchaj. – Paul nie mógł się powstrzymać. To pełne wyrzutu spojrzenie i ten kiwający palec nie miały z nim nic wspólnego, nie panował nad nimi. – Benny to porządny gość. Raz po raz nadstawiał karku, żeby nie pozwolić hrabinie Judy mnie zabić. I przynajmniej zależy mu na twojej siostrze na tyle, żeby chcieć ją przywrócić do pierwotnego stanu.

– Jest krasnoludem, na litość boską! Wszyscy wiedzą, że im tylko jedno w głowie.

Paul słyszał o tym, owszem, ale odniósł wrażenie, że tym „jednym” było złoto. No cóż.

– Benny nie jest taki – zaprotestował. – Jest wrażliwy, ma uczucia.

– Mam nadzieję, że ma ich od groma w tyłku, bo przegonię go na kopach stąd do Burkina Faso.

– Ma uczucia – powtórzył Paul surowym tonem. – I jest oczywiste, że uroda nie jest dla niego najważniejsza. Myślisz, że gdyby tak było, zakochałby się w twojej siostrze? Mimo że jest samochodem, o to mi chodzi. Oczywiście, że nie. Wie, że prawdziwe piękno to nie to, co widać z wierzchu, tylko coś ukrytego głębiej, pod lakierem.

– Niech diabli porwą Benny’ego Shumwaya – warknął Ricky.

– Naprawdę nie chcę teraz o tym myśleć. Zróbmy, co mamy do zrobienia, zajmę się nim później.

Paul wzruszył ramionami.

– Jeśli źle go potraktujesz, pogniewam się.

O dziwo, Ricky przestał robić miny i jakby trochę się uspokoił.

– W porządku – rzucił. – No dobra, gdzie ukryłeś dziewczynę?

Paul już miał odpowiedzieć, ale się zawahał.

– Skąd mogę wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz? Możesz być zmiennokształtny czy coś.

– Nie gadaj głupot! Jestem sobą... zobacz. A teraz mów: gdzie Sophie?

Ale Paul pokręcił głową.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziemy razem do sali posiedzeń zarządu, gdzie macie ten taki sprytnie działający stół... wiesz, ten, w którego blacie każdy może zobaczyć swoje prawdziwe oblicze. Co ty na to?

– Strata czasu – powiedział Ricky. Coś w jego głosie sprawiło, że Paul zaczął się zastanawiać, czy jego prawy sierpowy i nowa dynamiczna osobowość rzeczywiście są tak imponujące, jak mu się wydawało. I jak to możliwe, że Ricky tak szybko się przebrał i doprowadził do porządku? – Musimy się pospieszyć – ciągnął Ricky – zanim dopadnie nas Judy.

Paul skinął głową.

– To prawda. A propos, jak ci się udało przed nią uciec? Wiesz, po tym, jak mnie zastrzeliłeś i umarłem.

– Och, nie boję się Judy – odparł Ricky z nieco piskliwym śmiechem. – Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem. Ale...

Paul wsunął dłoń do kieszeni marynarki. Nie miał żadnego planu działania. Jeśli jego rozmówca to rzeczywiście nie Ricky Wurmtoter, był prawie pewien, że jest w nielichych tarapatkach; a oczywiście nie miał broni ani niczego podobnie użytecznego, tylko magiczny śrubokręt i magiczny zegarek zatrzymujący czas. Ale może wróg – o ile ten ktoś był wrogiem – o tym nie wiedział.

– Co ty robisz? – zapytał Ricky.

– Bez obaw – odparł Paul, ściskając w dłoni uchwyt śrubokrętu. – Ale lojalnie uprzedzam. Albo wrócisz do swojej normalnej postaci i sobie pójdiesz, albo będę musiał coś z tym fantem zrobić.

– Wszystko ci się pomieszało. Jestem Ricky Wurmtoter. Naprawdę.

– Świetnie. W takim razie chodźmy do sali posiedzeń zarządu. Tam będziesz mógł się przejrzeć w blacie stołu. Spodoba ci się, zobaczysz.

– Zaczynasz mi działać na nerwy.

Paul puścił jego słowa mimo uszu.

– To ty, prawda? – Zrobił krok do przodu. – To jedyne wyjaśnienie, bo wiesz, o czym mówiliśmy, kiedy zostałem zastrzelony, a tylko ty i Ricky byliście tam ze mną.

Ricky przez chwilę zdawał się drgać i migotać jak źle nagrane wideo, po czym zmienił się w hrabinę Judy. Nie wyglądała jednak tak samo jak w gabinecie Paula. Była niższa, chudsza i... czyżby miała wielki czerwony placek na policzku?

– Nie doceniałam cię – powiedziała. – Zamiast być trochę uciążliwy, jesteś bardzo uciążliwy. Gratuluję awansu.

Paul nawet nie drgnął.

– Przede wszystkim pragnę podziękować mojemu agentowi – rzekł. – Wiesz, już się ciebie nie boję.

– Nie? – Hrabina Judy wyglądała na zdumioną. – Jesteś pewien? Boja na twoim miejscu bałabym się okrutnie.

– A ja na twoim miejscu przypudrowałbym policzek. Nie mogłaś mi nic zrobić wtedy, nie możesz teraz.

– Ha! – Nagle jej twarz rozplynęła się w szerokim uśmiechu. – Przedtem miałeś katar. Teraz wygląda na to, że wyzdrowiałeś. A w takim razie kark ci, bydlaku, przekręcę.

Z tymi słowy skoczyła naprzód i próbowała go złapać. Paul zwinnie usunął się na bok; nie zdołała go schwycić, lecz paznokciami rozorała mu policzek, prawie, ale nie całkiem do krwi.

– Powiedz, gdzie jest ta durna dziewczyna! – krzyknęła. – To moja ostatnia propozycja. Nie przyjmiesz jej, to umrzesz.

– Jak to, przedtem miałem katar?

– Doskonale wiesz... – Znow próbowała go złapać, ale stwierdził, że wcale nie tak trudno jej się wymykać; musiał ją tylko obserwować i przestawiać nogi. – Lecz jego już nie ma, prawda? Zostałeś sam.

– Mówisz o Bennym Shumwayu?

– Nie udawaj głupka – warknęła, ciut zdyszana. – Wiem o wszystkim, co tu się dzieje, pamiętasz?

– Czyli chodzi o Ricky'ego Wurmtotera.

– Stój bez ruchu! – Paul jakoś nie palił się do tego, żeby jej usłuchać. Judy próbowała zapędzić go w kąt, ale zwinny unik w bok rozwiązał ten problem. – Jeśli mi nie powiesz, rozbiorę tę rudere cegła po cegle. Zajmie mi to jakieś dziesięć minut.

– Proszę cię bardzo – odparł Paul, zrobił dwa kroki w tył i jeden w lewo. – Choć pan Tanner, profesor van Spee i pan Susłowicz mogą mieć pewne obiekcje.

– Chrzanić ich. – Teraz już na pewno była zasapana, a jej twarz dziwnie wyglądała; była niemal rozmyta, jakby filmowana przez zamazany obiektyw. – Tak w ogóle czemu to dla ciebie

takie ważne? Zerwała z tobą, pamiętasz? Dała ci kosza.

– Nieprawda – rzekł spokojnie. – Może chwilę odpoczniesz, co? W twoim wieku niezdrowo się przemęczać.

Judy rzuciła się na niego z wrzaskiem, a kiedy usunął się w bok, całym impetem wpadła na róg biurka. Zawyla, kiedy ostry kant wbił się w jej kolano.

– Słabiesz – zauważył Paul. – Może ona zaczyna się budzić, już tylko drzemie, zamiast być w pełnym REM. Domyślam się, że w kroplówce był jakiś środek usypiający, który teraz powoli przestaje działać. Jestem blisko?

Judy nagle podniosła się z kucek i zatoczyła do tyłu, aż wpadła plecami na szafkę na dokumenty.

– Tego chcesz? Przyjemnie ci patrzeć, jak umieram? Tak, masz rację. Ta chuda suka zaczyna się budzić, a ja nie mam dość siły, żeby otworzyć puszkę coli. Jeśli jej nie uspię w ciągu najbliższych pięciu minut, umrę. – Teraz stała w zupełnym bezruchu, jak posąg albo obraz. Jej oczy były wielkie i okrągłe, włosy unosiły się w powietrzu jak mgła, a skóra była miękka i promieniejąca. – Uważasz, że jestem tak zła, że zasługuję na śmierć, Paulu Carpenter? Czy wyglądam na kogoś tak niebezpiecznego, że trzeba go uspić jak dzikie zwierzę? Spójrz na mnie.

– Patrzę. I, skoro już o to pytasz, tak.

Judy rozchyliła usta.

– Błagam cię – powiedziała i Paulowi aż dech zapało. – Proszę, nie zabijaj mnie. Dam ci wszystko, czego zechcesz, o co poprosisz, będzie twoje. Kiedy składamy obietnicę, musimy jej dotrzymać, jeśli złamiemy dane słowo, umieramy. Powiedz tylko, czego chcesz, a przysięgam, że to dostaniesz. Trzy życzenia. Trzy życzenia spełnione przez Królową Elfów we własnej osobie. Można sobie wymarzyć lepszą propozycję?

Nagle, bez zaproszenia, umysł Paula wypełniła oszałamiająca obfitość obrazów, obszerny, rozbuchany, tętniący życiem multimedialny czterowymiarowy katalog z syntezą ludzkich pragnień i dążeń. Przyszło mu do głowy, że dysponując trzema życzeniami przyobiecanyymi przez najpotężniejszą moc na Ziemi, dobry człowiek mógłby zmienić świat, wyeliminować głód, wojny i choroby, załatwić wszystko, czego ludziom tak bardzo potrzeba, ale czego jakoś sami nie mogą sobie zapewnić. Nie ulegało kwestii, że tego właśnie chciałaby Sophie. Co więcej, gdyby odrzucił tę niebывałą szansę, jak mogłaby go kochać czy w ogóle znosić jego towarzystwo? A jeśli on rzeczywiście Sophie kocha, zdobędzie się na to poświęcenie, bo nie można naprawdę kochać jednej osoby, nie kochając przy tym całego świata. Rozumiał to doskonale, to było w pełni logiczne, dziw, że był tak głupi, że nie wiedział tego od samego początku...

– Wszystko, czego zechcę?

Energicznie pokiwała głową.

- Wszystko.
- Obiecujesz? Dajesz słowo?
- Przysięgam na własne życie.
- Trzy rzeczy, których pragnę najbardziej na świecie?
- Tak.

– Dobra. Po pierwsze, chcę, żeby Sophie się obudziła. Po drugie, żebyś ty spierniczyła na swoją stronę granicy i nigdy, przenigdy nie wróciła. Nie jestem pewien trzeciego życzenia; waham się między pokojem na świecie a kanapką z pieczeniową wołową i dużą porcją chrzanu.

Hrabina Judy wrzasnęła i zanim Paul zdołał się ruszyć, już złapała go za szyję i wbiła paznokcie w jego skórę tuż nad kołnierzem koszuli.

- Gadaj – wychrypiła mu nad uchem – gdzieś ją schował, bo cię zabiję!

Miażdżyła mu gardło, nie mógł oddychać. Lada chwila szkody staną się nieodwracalne, a on naprawdę nie chciał trzeci raz oglądać miny pana Dao. Może gdyby wcześniej tam nie był, mógłby być dzielny i szlachetny, snuć wizje Walhalli czy zgaśnięcia wszystkich światła. Ale on już tam był, wiedział, jak to wygląda, i nie chciał tam wrócić.

- W archiwum – szepnął. – W schowku z bronią. Nie mam klucza.

Judy puściła go i Paul gruchnął na ziemię. Wiedział, że dokonał słusznego wyboru, bo życie jest zbyt piękne, a nie ma nic, za co warto umierać.

– W takim razie kto go wziął? – zapytała Judy, łapiąc powietrze jak ryba wyjęta z wody. – Benny? Wurmtofer?

– Obaj wzięli po jednym – mruknął Paul. – A masz za mało czasu, żeby ich odszukać. W tym budynku trzeba minimum dwudziestu minut, żeby kogokolwiek znaleźć. A nawet gdybyś dopadła któregoś z nich odpowiednio wcześniej, musiałabyś jeszcze odstawić cały ten cyrk, groźby, błagania, rzucanie czarów i tak dalej. Ile ci zostało? Dwie minuty? Pewnie mniej, zważywszy, ile już zużyłaś energii.

Próbowała kopnąć go w głowę, ale kolana się pod nią ugięły i upadła na kant biurka. Na jej twarzy rysowało się czyste niedowierzanie. Nigdy, w najczarniejszych snach nie wyobrażała sobie, że tak to się skończy. Paul patrzył na nią, kiedy zbierała się w sobie, żeby wstać, po czym uprzytomniła sobie, że jest za słaba.

– Jest za późno, prawda? – powiedział cicho. – Nie ma szans, żebyśmy zdążyli ją z powrotem uśpić, nawet gdybym wziął cię na ręce i pobiegł. Wiem, że to dla ciebie żadna pociecha, ale przykro mi. Gdyby było inne wyjście, jak sądził Benny, i gdybym je znał, wypróbowałbym je. Ale nic innego nie wymyśliłem, a i tak podjąłem wielkie ryzyko.

- Wal się – szepnęła Judy i oczy jej się zamknęły.

Zasypiała. Kiedy zrozumiała, co się z nią dzieje, wstrząsnął ją spazm czystego

przerażenia, wiedziała bowiem jak nikt, co może spotkać ludzi, którzy umierają we śnie, i jak bardzo jej własny lud nie znosi marnotrawstwa. Nie mogła jednak nic na to poradzić; jej oczy były zamknięte, oddech robił się coraz wolniejszy i coraz bardziej miarowy, mięśnie się rozluźniały. Słodkich snów, pomyślał Paul – ale kogo on chciał oszukać?

Wtedy kichnął.

Nie najlepszy to moment na kichnięcie, kiedy ma się przed sobą konającego w męczarniach śmiertelnego wroga. To niegrzeczne i niestosowne, nie sposób w takiej sytuacji nie poczuć się głupio. Przeprosiny już cisnęły się Paulowi na usta, kiedy uprzytomnił sobie, że nie tylko kichnął, ale i coś wykichnął.

Fuj!

Coś dużego, dużego i rosnącego w oczach, coś, z czego wyrastały ręce, nogi i głowa, a do tego zdecydowanie staromodny niebieskoszary garnitur w prążki, eleganckie półbuty, krawat, małe okulary z okrągłymi szklami, cienki wąsik, lśniąca łysina i... przecież wiem, to stary pan Wells, starszy wspólnik, co tu się, na Boga, dzieje?

Nawet Judy chyba go zauważyła, jej rzęsy zatrzepotały słabo jak otrute motyle, otworzyła oczy i próbowała coś powiedzieć. Tymczasem pan Wells podnosił się z podłogi, ocierał twarz dużą czerwoną chusteczką w kropki (zapewne jedyną na świecie, którą wciąż można zobaczyć poza muzeum włókienniczym) i przyglądał przerzedzoną grzywkę, która przycupnęła na stokach jego czaszki jak wioska pod kraterem czynnego wulkanu.

– *Gesundheit* – mruknął. Potem odwrócił się do Judy, kiwnął głową i pstryknął palcami.

Wyglądał jak człowiek w okienku na poczcie, do którego lepiej się nie ustawiać w kolejce, bo jest strasznie długa i lodowce śmigają obok niej jak motorówki. Ale gdy pstryknął palcami, pomieszczenie napełniło się światłem, a Judy usiadła prosto i szeroko otworzyła oczy.

– Zostań – zakomenderował pan Wells.

Sięgnął do kieszeni marynarki Paula, wyjął zepsuty zegarek wujka Erniego, nastawił go i założył na nieruchomy nadgarstek Judy. Potem z własnej wewnętrznej kieszeni wyciągnął bardzo znajomo wyglądający przedmiot, zwiniętą w rulon plastikową płachtę wielkości dużej maty stołowej, która rozrosła się, kiedy rozłożył ją na ścianie, aż zmieniła się w drzwi. Nie odrapane drzwi z płyty pilśniowej, jakimi musiał się zadowalać Paul, ilekroć z tego wynalazku korzystał, tylko eleganckie, płycinowe, w stylu georgiańskim, z ozdobną klamką i kunsztownie rzeźbionymi listwami. Kiedy pan Wells uniósł dłoń, otworzyły się same z siebie i Judy powoli popłynęła ku niemu, sunąc parę centymetrów nad dywanem, nie poruszając nogami. Jej twarz była nieruchoma i dziwnie poważna, nie piękna, nie przerażająca, w ogóle nijaka, i Paul uzmysłowił sobie lekko zszokowany, że to jej własne oblicze, że tak hrabina wygląda naprawdę. Drzwi otworzyły się szeroko i przeleciała przez nie. Jeśli powiedziała coś, zanim zamknęły się za nią, a następnie

zmieniły na powrót w plastikową płachtę i spadły na podłogę, Paul tego nie usłyszał.

– Panie Carpenter – powiedział stary pan Wells. – To chyba pańskie.

Wsunął przenośne drzwi do tekturowej tubki, w której mieszkały, i podał mu ją.

– No, śmiało – powiedział z werwą – nie ugryzą. Chyba że już ich pan nie chce?

To, oczywiście, było bardzo dobre pytanie.

– Ja... nie wiem – przyznał Paul. – To znaczy, tak naprawdę nie są moje, znalazłem je w szufladzie. Szczerze mówiąc, myślałem, że są własnością kogoś innego... wie pan, z biura.

Pan Wells uniósł brew.

– A mimo to je pan zachował – stwierdził.

Paul zwiesił głowę.

– Szczęśliwym trafem – ciągnął pan Wells – rzeczywiście należą do pana. Dawniej były własnością pańskiego stryjecznego dziadka. Pożyczył mi je wiele lat temu i wstyd przyznać, ale niedługo się nimi cieszyłem.

– Zdarza się – wymamrotał Paul. – Ja ciągle coś gubię.

– Przegrałem je w kanastę – uściślił pan Wells – na rzecz matki pana Tannera i jej znajomych. Podejrzewam, że nie była to całkowicie uczciwa gra. Tak czy owak, wkrótce potem wbrew mojej woli przemieniono mnie w zszywacz, jak pan zapewne pamięta, i nie mogłem podjąć żadnych działań zmierzających do ich odzyskania lub zwrócenia pańskiemu stryjeczemu dziadkowi. To, że w jakiś sposób znalazły się w pańskim posiadaniu, wskazuje, że są panu przeznaczone, i nie widzę powodu, by w to ingerować. Niech pan je zatrzyma, proszę bardzo; i następnym razem proszę bardziej uważać, komu je pan pożyczka. – Pokręcił głową. – Dietrich Wurmtoter jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem, na swój sposób genialnym, ale pod innymi względami cokolwiek nieudolnym. Gdybym wówczas mógł to zrobić, poradziłbym panu, by nie dawał mu pan drzwi. Narobiły dużo kłopotów, odkąd wpadły w ręce Magicznego Ludu.

Dużo kłopotów; można i tak to ująć, pomyślał Paul.

Skinął głową i odetchnął głęboko.

– Panie Wells – powiedział najbardziej uprzejmie, jak potrafił – co pan robił w moim nosie?

Twarz panu Wellsowi drgnęła. To był prawie, ale nie całkiem, uśmiech.

– Przez ostatnich kilka tygodni, odkąd rozpoczął się ten godny pożałowania kryzys, działałem, że posłużę się współczesnym sformułowaniem, pod przykryciem. Zważywszy na delikatność mojej pozycji względem złożonej sieci sprzecznych interesów, w jakiej się znalazłem, uznałem, że najkorzystniej będzie odizolować się od wszystkich stron konfliktu, jednocześnie pozostając blisko centrum wydarzeń. Dlatego przebrałem się za katar.

Jest coś takiego jak ogólna dziwność otoczenia – te wszystkie codzienne osobliwości, do

których można się przyzwyczaić, jak stoły, w których ukazuje się prawdziwe oblicze zmiennokształtnych, pomieszczenia, które w ciągu miesiąca obracają się o dziewięćdziesiąt stopni, sedesy, w których wodę spuszcza się prosto do próżni między wymiarami, czeki, na których nad kodem bankowym widnieje wypisana małutkimi literami nazwa „Bank Umarłych”, samochody, które okazują się siostrą szefa, i gobliny, które okazują się matką szefa, smoki w bankomatach i drzwi, które można zwinąć w rulon i schować do tubki po papierze toaletowym; są też rzeczy dziwne kwitowane słowami „chyba się przesłyszałem”, sytuacje, gdy dwie kartki Księgi Żywota skleją się ze sobą, a wsypany do herbaty cukier okazuje się solą.

– Słucham? – zapytał Paul. – Za co?

Pan Wells lekko się nachmurzył.

– Katar – powtórzył. – Nie chwaląc się, niezły pomysł. Pewnie zauważył pan, że katar krąży po biurze, wszyscy go łapią i zarażają następnych. Niepowtarzalna okazja, by bacznie obserwować kluczowe postacie, samemu pozostając niedostrzeżonym. Nikt nawet nie podejrzewał, że jestem w pobliżu, bo moje przebranie było tak pospolite. Przyznam, nie było lekko. Przeciętny katar składa się z przeszło piętnastu miliardów zarazków, panie Carpenter, i trzeba nie lada wysiłku i koncentracji, żeby być nimi wszystkimi naraz. Ale ogólnie się opłaciło.

Paul skinął głową. W sumie nie było sensu się odzywać.

– Cóż. – Pan Wells patrzył na zegarek. – Według moich wyliczeń pani Pettingell się obudzi za mniej więcej trzy minuty i siedemnaście sekund. Powinniśmy zdążyć.

Paul wyszedł za nim z gabinetu z myślą: Trzy minuty do archiwum, nawet gdybyśmy biegli, trudno będzie zdążyć. Niepotrzebnie się martwił. Korytarze budynku przy St Mary Axe 70 wiedziały, co mają robić, kiedy starszemu wspólnikowi się spieszy. Skróciły się. Liczba stopni na każdej klatce schodowej się zmniejszyła. Paul powiedział sobie, że trzeba się z tym pogodzić i być wdzięcznym, i więcej o tym nie myślał.

– Przepraszam, ale co się stało z hrabiną di Castel’Bianco? – spytał, kiedy skręcili za róg w miejscu, gdzie zwykle były drzwi przeciwpożarowe. – Czy ona...

Pan Wells nie zatrzymał się ani nie odwrócił, ale tył jego głowy poruszył się z boku na bok.

– Bynajmniej. Dzięki temu, że interweniowałem w tym akurat momencie... oczywiście najważniejsze było, by wyczuć ten właściwy... mogłem ocalić fundamentalną istotę jej jestestwa: wspomnienia, doświadczenia, wiedzę, osobowość. Została na zawsze usunięta z tego świata i nikomu więcej nie zrobi krzywdy, ale przetrwa. Odeszła na zaklętą wyspę Avalon, gdzie jej podobne istoty mogą wieść swoistą, hybrydową egzystencję. Żyją, ale poza naszą rzeczywistością. Tam jej piękno nigdy nie zagaśnie ani nie przywiednie, a ona sama przez całą wieczność będzie się przechadzać brzegiem wód srebrzystych, pośród srebrzystej mgły. Przy okazji będzie mogła wykonywać dla nas pewne zlecenia w charakterze konsultantki, co bardzo pomoże w obsłudze

naszych długoletnich klientów ze świata polityki i rozrywki. Warto też zauważyć, że skoro faktycznie nie umrze, pozostali wspólnicy nie będą zobowiązani do wniesienia do jej majątku kwoty równej wartości jej udziałów.

– Rozumiem – powiedział Paul. – Czyli wszystko jest w porządku.

– W rzeczy samej – odparł pan Wells, który dziś wyraźnie nie wyczuwał sarkazmu. – To najkorzystniejsze rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych, zważywszy na ogólną powagę sytuacji. Ponieważ hrabina faktycznie wciąż żyje, nie można wybrać jej następcy na tronie Magicznego Ludu, ona sama zaś nie może wydawać rozkazów, kształtować polityki ani prowadzić żadnych działań. Gdyby umarła, lada dzień znów stanęlibyśmy wobec tego samego zagrożenia. A tak, mogę z radością zapewnić, że nieczne plany istot ze snu zostały skutecznie pokrzyżowane. W dużej mierze – dodał – dzięki panu. No i zegarkowi pańskiego stryjecznego dziadka. Zakładam, że w tym właśnie celu Ernie Carpenter dopilnował, by trafił on w pańskie ręce.

Paul przygryzł wargę.

– Pewnie tak.

– W każdym razie znalazł się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie i czy stało się to przypadkiem, czy celowo, tylko to się liczy. Firma, oczywiście, pokryje panu koszt utraconego mienia.

– Dzięki, ale nie, dzięki. To byłoby jakoś nie w porządku. Poza tym...

– Jak pan sobie życzy. A teraz, jeśli byłby pan tak miły, proszę dać mi klucz.

– Klucz?

Pan Wells pchnął drzwi archiwum. Paul złożył to na karb swojej wybudującej wyobraźni, ale odniósł wrażenie, że wszystkie teczki i szare koperty z pozaginanymi rogami stanęły na baczność.

– Klucz do schowka z bronią. Proszę się pospieszyć, mamy mało czasu.

– Och, proszę wybaczyć. – Paul sięgnął do kieszeni. Klucza nie było. Była za to dziura.

– Szybciej! – ponaglił pan Wells. – Klucz!

– Hm, chyba go zgubiłem – wymamrotał Paul. – Widzi pan, mam dziurawą kieszeń, musiał gdzieś wypaść...

– Aha. – Pan Wells zmarszczył czoło w wyrazie irytacji. – Obawiam się, że nie ma czasu go szukać. Nieważne. Jeśli byłby pan łaskaw pożyczyć mi śrubokręt pańskiego stryjecznego dziadka...

Paul oddał wkrętak bez słowa, zadowolony, że wreszcie się go pozbył. Jedno dotknięcie końcówką i z zawiasów drzwi schowka powypadały śruby. Chwilę potem same drzwi runęły z hukiem na podłogę.

Sophie wyglądała, jakby przez cały ten czas nawet nie drgnęła; jej głowa wciąż spoczywała na zwiniętej szacie Benny'ego, oczy skrywały się pod powiekami. Nadal była też trupio blada,

nawet usta miała białe.

– Jak dla mnie, nie wygląda dobrze – stwierdził Paul. – Nie jak ktoś, kto lada moment się obudzi. A jeśli coś poszło nie tak i ona... tak już zostanie?

Pan Wells pokręcił głową.

– Dopiero co wynurzyła się z cienia. Była daleko stąd. Minie trochę czasu, zanim wróci.

– Nadal uważam, że marnie wygląda.

– Cóż, nigdy nie była jak z obrazka.

Wtem Sophie się poruszyła, powieki jej drgnęły, wargi też, głowę lekko osunęła na ramię. Mruknęła. To był jeden z najcudowniejszych dźwięków, jakie Paul kiedykolwiek słyszał, nawet jeśli trochę mu przypominał odgłos guźca jedzącego rzepę, bo taki właśnie dźwięk zwykle wydawała tuż przed przebudzeniem.

– Sophie? Sophie, słyszysz mnie?

Prychnęła cicho, ale oczy i usta znów miała nieruchome i mocno zaciśnięte. Zapadała się z powrotem w mrok i Paul mógł tylko patrzeć. A może nie? Pewnie że nie, był jeszcze większym matolem niż zwykle. Oczywiście! Doskonale wiedział, co się robi w takiej sytuacji, od czasu kiedy był w wózekczku i mama czytała mu bajki. Dość niepewnie, skrepowany tym, że pan Wells stał obok niego z uniesioną lewą brwią, ukląkł obok Sophie i delikatnie, czule pocałował ją w usta.

– Won – wymamrotała i dała mu w zęby.

To przynajmniej rozwiało resztki wątpliwości co do tego, czy była prawdziwą Sophie, czy też kopią utkaną przez Magiczny Lud z mgły i cienia. Prawdziwa Sophie, jak Paul sobie przypominał, pocierając rozciętą wargę, nie lubiła, żeby jej przeszkadzać, kiedy się budziła. Zazwyczaj reagowała gwałtownymi, spazmatycznymi (lecz zwykle doskonale wymierzonymi) ruchami. Najczęściej trafiała go w oko, nie w usta, ale nie było jasno ustalonych reguł.

– Pani Pettingell. – Głos pana Wellsa był głęboki i uroczysty. Takim Gandalf czytałby prognozę pogody dla statków. – Musi się pani obudzić. Sen się skończył. Nie będzie pani nic z niego pamiętać. Został wymazany z pani pamięci. A teraz proszę z łaski swojej otworzyć oczy.

Sophie zatrzepotała rzęsami i uniosła powieki. Parę razy zamrugła, chwilę się wierciła i wreszcie podniosła się na lewym łokciu.

– Paul – powiedziała z wyrzutem – czemu, do licha, leżę tutaj, otoczona durnymi mieczami i innymi takimi?

– To... – Chciał wyjaśnić, że to długa historia, lecz zabrakło mu słów. – Potem ci opowiem. Ale wszystko jest w porządku. Potem opowiem – powtórzył.

– Ale czy to nie... ? – Zmarszczyła brwi. – I co on tu robi? Mów, co tu się dzieje, bo...

– Pani Pettingell – rzekł pan Wells. – Jest pani w biurze, w archiwum. Przespała pani kilka tygodni i w tym czasie była więźniem Magicznego Ludu. Teraz już nic pani nie grozi i wszystko

jest pod kontrolą. – Znowż zerknął na zegarek. – Proponuję, by teraz wróciła pani do domu z panem Carpenterem, i zważywszy na okoliczności... – po jego twarzy przemknął cień uśmiechu – myślę, że rano możecie zrobić sobie wolne. Będę jednak wdzięczny, jeśli oboje punktualnie o drugiej stawicie się w moim gabinecie.

Paul wypuścił powietrze z ust, czego od pewnego czasu nie robił.

– Dzięki, przyjdziemy na pewno. Hm, panie Wells, a co z panem Wurmtoterem i panem Shumwayem? I będzie nam potrzebna nowa recepcjonistka, bo ta nie była prawdziwą...

– Zajmę się tym – odparł pan Wells stanowczym tonem. – No, zmykajcie. Jest już dobrze po wpół do szóstej i gobliny na pewno kręcą się po korytarzach, więc uważajcie w drodze do wyjścia.

Paul wyciągnął rękę do Sophie, by pomóc jej wstać. Zignorowała go (była zdeklarowaną przeciwniczką wszelkich konwenansów trącających protekcjonalnością i stereotypowym pojmowaniem ról płci) i chwilę się chwiała, zanim nogi przypomniały sobie, jak utrzymać jej ciężar.

– Paul, czy to, co on mówił, to prawda? – spytała. – Więzili mnie całymi tygodniami i dostajemy tylko jeden nędzny wolny poranek? Zawsze mówiłam, że ta firma to...

Paul uśmiechnął się blado do pana Wellsa, położył dłoń na ramieniu Sophie i wypchnął ją za drzwi.

Rozdział 16

Następnego dnia Paul i Sophie przyszedli razem do biura i od razu się rozdzielili. Sophie nie powiedziała, dokąd idzie, a Paul ruszył do swojego gabinetu, gdzie wziął się do przeglądania zdjęć potencjalnych złóż boksytów, żeby nadrobić spore już zaległości. Kiedy przesuwał palcem po gładkiej powierzchni kolejnych fotografii, usilnie starał się nie błądzić myślami, ale zapanować nad nimi było tak trudno jak nad wielkim, rozbrykanym psem, który spędził deszczowy tydzień w mieszkaniu.

Przez całą drogę do domu Sophie nie odezwała się ani słowem. To było tego rodzaju milczenie, w którym wszelkie czynione w najlepszej wierze próby nawiązania rozmowy toną i znikają bez śladu, więc nawet ich nie podejmował. Siedział obok niej w autobusie, wpatrzony w tył siedzenia przed nim, i usiłował znaleźć odpowiedzi na kilka pytań, tych banalnych i tych istotnych. Nie posunął się daleko w swoich rozważaniach. Nie mógł się skupić.

Kiedy wrócili do domu, zaproponował jej kawę. Powiedziała obojętnym tonem „Dobrze”, więc czmychnął do kuchni i zrobił najlepszą kawę, jaką mógł zmajstrować, wykorzystując wszystkie swoje umiejętności, całe doświadczenie i talent. Zaniósł ją do pokoju i postawił na stole. Sophie nawet nie sięgnęła po kubek.

Tym samym Paul wypstrykał się z pomysłów, usiadł więc na sofie z rękami złożonymi na kolanach. W zasadzie powinien być wykończony – przemoc, brak snu, strach, to, że przechytrył Królową Elfów i praktycznie ją zabił, jego własna śmierć, nie zapominajmy o tym, a kiedy właściwie ostatnio cokolwiek jadł? Tymczasem czuł się tylko odrętwiały jak usta po wyrwaniu zęba, kiedy zastrzyk jeszcze nie przestał działać – człowiek wie, że ból na razie jest stłumiony przez znieczulenie, ale wkrótce się pojawi, a jak już się rozszałeje, będzie niewesoło. Mógł pójść spać, naprawdę zamknąć oczy i przestać odpędzać stado drapieżnych baranów, które warowały u bram, odkąd sięgał pamięcią, ale nie czuł się senny. W ogóle na nic nie miał ochoty.

– Paul – powiedziała wreszcie.

– Tak?

Nie patrzyła na niego.

– Stary pan Wells się mylił, że nie będę nic z tych snów pamiętała.

– Aha.

– Pamiętam wszystko. Od samego początku.

– To... – No właśnie, Paul, jakie? Podsumuj jednym trafnie dobranym słowem wszystko, przez co przeszła Sophie. Albo się zamknij.

– Wszystko – powtórzyła. – To, jak przez cały ten czas byłam nią... tym potworem. Jak byłam kimś innym, kimś, kto chciał zabić ciebie i wszystkich wokół, całą ludzkość.

Gdzieś w tyle głowy Paula zatliła się maleńka iskierka irytacji. No dobra, powiedziała, chyba rozumiem, ale co ja, u licha, mam na to poradzić?

– To musiało być... okropne – wymamrotał.

– Okropne? Tak, można to tak nazwać. Prawdę mówiąc, całe to cholerne doświadczenie było okropne. Czulałam się tak, jakby wyciekały ze mnie wielkie kawały mnie samej, i nie mogłam temu zapobiec. Widzisz, ona cały czas jakby we mnie rosła, nabierała sił, nie wiem, jak to nazwać, ale za każdym razem, kiedy się rozrastała, wypierała jakąś część mnie i części te już nie wróca. Przepadły na zawsze. Wspomnienia, uczucia, to, co lubiłam i czego nie znosiłam. Na przykład kiedy byłam dzieckiem, jeździliśmy nad morze i wiem, że jednym z moich najcieplejszych wspomnień było to, jak taplaliśmy się w sadzawkach wśród skał i zbieraliśmy takie małe ślimaki z błyszczącymi muszlami. Ale tego nie pamiętam, Paul, jest tylko dziura, jak pusta teczka, z której wyjęto akta.

– Rozumiem – powiedział Paul.

– Dopóki była we mnie ona, właściwie tego nie zauważałam, bo wszystkie luki i dziury wypełnione były jej wspomnieniami i uczuciami. Teraz, kiedy odeszła, zostały tylko puste teczki. Nie wiem, może z czasem znowu się zapełnią, ale tego, co utraciłam, nie da się odzyskać. Przepadło.

Paul wiedział, do czego Sophie zmierza.

– Pij kawę – rzekł. – Stygnie.

– Jedną z rzeczy, które utraciłam – ciągnęła Sophie, zimno i precyzyjnie, jakby składała zeznania – byliśmy my. Zdaje się, że specjalnie usunęła to na samym początku, bo to było coś, czego mogłabym się trzymać, coś, dzięki czemu może nawet mogłabym jej się przeciwstawić. Ale ona tak jakby to ze mnie wypłukała, to uleciało jak sen po przebudzeniu. Wiem, w taki zupełnie abstrakcyjny sposób, że coś do ciebie czulałam, zanim pojawiła się ona, ale to tylko fakt historyczny, który znam na tej samej zasadzie, na jakiej wiem, kim był Edward III. Nie mogę odnaleźć tych uczuć. One nie wróca.

– Jasne – powiedział Paul. – Rozumiem. Czyli to koniec.

Sophie skinęła głową.

– Tak.

– Nie sądzisz, że... gdybyśmy się naprawdę postarali...

– Nie. – Odwróciła głowę, tak że nie widział jej twarzy. – Przykro mi.

– Nie twoja wina – stwierdził Paul.

– Było nie było, uratowałeś mnie – powiedziała cicho. – Poniekąd. Wyciągnąłeś mnie z

tego miejsca, w które mnie zabrała. Wiem, że to pan Shumway sam jeden walczył ze wszystkimi i miał plan i w ogóle, ale przynajmniej próbowałeś na tyle, na ile cię stać. Dlatego chyba zawdzięczam ci życie.

– Nie ma sprawy. Jestem do usług.

Sophie pokręciła głową.

– Nie, to ważne, bo przyszedłeś mi z pomocą dlatego, że myślałeś, że nadal jesteśmy, cóż, razem. Nie można po prostu powiedzieć „bardzo mi przykro, ale to wszystko było oparte na fałszywych przesłankach”. Muszę to naprawić, bo inaczej ona wygra.

Paul zamknął oczy.

– Ale przecież nie możesz nic zrobić, prawda?

– Pewnie nie. To koniec, nie mogę udawać ani nic takiego. Przykro mi, Paul. Naprawdę cię kochałam i myślałam sobie, że może teraz, kiedy już jej nie ma, będę mogła znowu się w tobie zakochać, od zera. Ale kiedy na ciebie patrzę, czuję tylko wyrzuty sumienia.

Sophie nalegała, by Paul zajął łóżko. Przypomniała mu, że ostatnio wyspała się do woli i miała ochotę trochę pobyć na jawie, a sofa doskonale się do tego nadawała. Dlatego leżał w pościeli, z dłońmi pod głową, wpatrzony w nieco jaśniejszą ciemność w miejscu, gdzie był pomalowany na biało sufit, i błagał, by przyszedł sen i wybawił go od tego koszmaru. O siódmej dał za wygraną i powędrował do kuchni. Mleko w lodówce zmieniło się w półpłynny ser, a samotny pomidor, który stanowił cały jego zapas żywności, obrósł białym meshkiem.

Pół godziny później weszła ona i zrobiła sobie coś do picia.

– Inna kawa niż zwykle – zauważyła.

– Fakt. Ricky Wurmtoter wypił całą nescafe i w zamian kupił mi ten syf. Powiedział, że lepiej odpędza senność.

– I miał rację?

– Tak, ale smakuje ohydnie.

Sophie skinęła głową i wylała kawę do zlewu.

– Co zamierzasz robić rano? – zapytała. – Przypominam, że mamy wolne pół dnia.

Wzruszył ramionami.

– Chyba tak czy owak pójdę do pracy. Pan Tanner kazał mi przejrzeć całą masę zdjęć... no wiesz, szukać minerałów... i dotąd się do tego nie zabrałem.

– Pójdę z tobą. Nie chce mi się tu samej siedzieć. Poza tym muszę sprawdzić parę rzeczy, zanim pójdziemy do pana Wellsa.

I tak to się stało, że Paul teraz siedział tutaj, za swoim biurkiem, i wodził palcem po dwuwymiarowych wycinkach takiej czy innej części Afryki. Boksyty były tego dnia wyjątkowo nieuchwytny – albo stracił dar do ich wykrywania, co pewnie bardziej zasmuciłoby pana Tannera

niż jego samego. Może nie da się znaleźć boksytów, gdy ma się złamane serce. Pewnie coś w tym stylu.

Julie przyszła jeszcze przed południem.

– Miało cię nie być – powiedziała.

– Święta prawda – odparł Paul. – Cały czas tak myślę, a mimo to tu jestem.

Nie zamierzała tak tego zostawić.

– Pan Wells dał ci wolny poranek. Czemu nie odpoczniesz w domu?

– Cóż, pan Tanner mówił, że musi mieć te zdjęcia dziś rano. Pomyślałem więc, że przyjdę i poodpoczywam tutaj. Tę stertę już przejrzałem, ale zostały jeszcze te. Przepróż go w moim imieniu, przyniosę je, jak tylko skończę.

– Mogę to zrobić, jak chcesz, ale dziś go nie ma. Musiał pojechać na spotkanie do Bloemfontein, wróci dopiero jutro. Czyli nie ma pośpiechu. Mogłeś mimo wszystko zostać w domu.

Uśmiech Paula był jak matematyczna definicja odcinka, najkrótsza odległość w dwu wymiarach między kącikami ust.

– To dopiero ironia losu, co? Nieważne.

Julie wzruszyła ramionami.

– Rób, jak chcesz. Przyszłam tylko po to, by ci powiedzieć, że pan Susłowicz jutro ma urodziny, więc daj piątaka.

– Hę?

– Na tort. Zawsze kupujemy mu tort na urodziny.

– Każdy daje pięć funtów? Cholernie duży tort.

– Jest olbrzymem. Mogę przyjść po lunchu.

Paul westchnął i wypłacił jej pięć funtów. Zamierzał kupić za to lunch, ale co tam, i tak nie był głodny.

– Każdy z nas dostanie kawałek tortu?

– Nie.

– Logiczne. Zabierzesz od razu te zdjęcia czy nie?

Julie pokręciła głową.

– Przyjdę, jak skończysz, żeby nie musieć dwa razy kursować.

Paul wyczuł boksyty na przedostatnim zdjęciu, zakreślił właściwe miejsce niebieskim markerem i spojrział na zegarek. Za piętnaście druga; jeszcze piętnaście minut do spotkania z panem Wellsem. W normalnych okolicznościach perspektywa rozmowy ze starszym współnikiem sprawiłaby, że flaki stuliłyby mu się jak tulipan tuż przed kwitnięciem, teraz jednak było mu to zupełnie obojętne. Kiedy człowiek dwa razy umarł, dwa razy stracił jedyną dziewczynę, którą

będzie kiedykolwiek kochał, i zrobił wszystko co w jego mocy, by zabić Królową Elfów, chmurne spojrzenia szefa spadają o parę miejsc niżej na liście rzeczy, których należy się obawiać.

Drzwi otworzyły się i weszła Sophie. Paul rozpoznał, że to ona, po sposobie otwierania drzwi, co było tak porąbane jak drewno na opał, ale tak to już z miłością jest.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparł.

Usiadła na krześle, które do niedawna było jej krzesłem.

– Za dziesięć minut musimy być u starego pana Wellsa.

– Zgadza się.

Przez jakieś piętnaście sekund dłubała w paznokciach skuwką długopisu, po czym wyjęła z kieszeni zakietu małą szklaną buteleczkę.

– Byłam w jej gabinecie – stwierdziła; zważywszy na kontekst, nie było potrzeby pytać, w czym. – Zamknęli drzwi, ale na ten taki zamek szyfrowy, a w głowie został mi pamiętany przez nią kod.

Paul zmarszczył brwi.

– Po co w ogóle tam poszłaś?

– Po to. – Pokazała mu buteleczkę. – Pamiętałam, że trzymała zapas na czarną godzinę.

– Aha. Co to takiego?

– Dużo myślałam. Wczoraj wieczorem mówiłam ci, że moje uczucia do ciebie przepadły na zawsze, więc nie mogę cię kochać. Ale zawsze pozostaje to.

Wtedy Paul odgadł, co to takiego.

– Eliksir miłości – powiedział.

Skinęła głową.

– Inaczej to byłoby nie fair wobec ciebie. To znaczy, to nie w porządku, że już cię nie kocham. Jeśli to wypiję, to się zmieni. Będzie jak kiedyś, mniej więcej.

Paul w głowie miał wielką, zagmatwaną plątaninę myśli i uczuć, poczynając od radości i ulgi, na gniewie i wstręcie kończąc, i nie było jak stwierdzić, co w całym tym mętliku jest czym.

– Zrobiłabyś to? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko mi jedno. Tak naprawdę nie ma znaczenia, co stanie się ze mną, przynajmniej ty będziesz szczęśliwy. I ja też, w pewnym sensie. W końcu kochać kogoś, kto twoje uczucie odwzajemnia... to chyba najważniejsze, prawda? Podobno tego właśnie powinniśmy pragnąć najbardziej na świecie.

Plątanina rozwikłała się w mgnieniu oka i przeszła w twarz Melze, fałszywej Melze, tej, która kochała go całą syntetyczną sobą i której uczucie odwzajemniał do czasu, kiedy się

przekonał, że tak naprawdę nie istniała. Ciekawe, co się z nią stało, pomyślał i zdał sobie sprawę, że jest mu to doskonale obojętne.

– Ale to nie byłoby prawdziwe – powiedział. – To byłaby iluzja, coś takiego, co robiła ona... magia skuteczna.

– I co z tego? – Sophie lekko, subtelnie wzruszyła chudymi ramionami. – To lepsze niż nic, nie sądzisz? Poza tym w zasadzie byłoby prawdziwe, bo przecież naprawdę cię kochałam, i to bardzo. Co innego, gdybym cię wcześniej nie znosiła, ale tak to jest tylko, cóż, coś w rodzaju odbudowy zniszczonego domu. To jak? Mam to zrobić czy nie? Mnie tam bez różnicy.

– Nie.

– Jak sobie chcesz. – Sophie postawiła buteleczkę na biurku. – Proponowałam, więc nie rób mi teraz tragicznych, żalonych min. Jak widać, wcale mnie tak bardzo nie kochasz.

Spojrzał na nią.

– Wydawało mi się, że to oczywiste, że cię kocham. I dlatego byłoby nie w porządku korzystać z tego eliksiru.

Ziewnęła.

– Wszystko jedno. Skoro nagle zrobiłeś się taki wybredny, zapomnij o tym. – Wyciągnęła rękę po buteleczkę, ale zrezygnowała i złożyła dłonie na podolku. – Które z nas zostanie w mieszkaniu? Ja w sumie mogę się przenieść do rodziców.

– Ty zdecyduj – odparł Paul. – I tak nie chcę już tam mieszkać.

– Po tym, jak odejdę, o to ci chodzi. Nie mógłbyś zostać sam ze wspomnieniami.

– Nie mów o tym w ten sposób.

Sophie pokręciła głową.

– Szkoda, że nie możesz zobaczyć, jakie ja mam wspomnienia. Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócę do domu. W tej chwili wolę nie być sama.

Paul spojrzał na ścianę.

– Jeśli jesteś pewna – powiedział.

– Tak będzie lepiej. Zabiorę rzeczy w weekend. Jeśli chcesz, będę płacić połowę komornego, dopóki nie znajdziesz sobie kogoś, z kim podzieliłbyś się kosztami.

Uśmiechnął się ponuro.

– Nie lubię się dzielić. Poszukam czegoś mniejszego. Tak czy owak, wszystko, co jest większe od pudełka po butach, przyprawia mnie o agorafobię.

– Nieprawda.

– Fakt. To istotne?

– Nie.

Sophie wciąż patrzyła na niego.

– Paul, co się z nią stało?

Pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć.

– To znaczy?

– Pamiętam, jak mnie opuściła, i nic ponadto. Czy ona...

Paul wzruszył ramionami.

– Nie wiem, taka jest szczerza odpowiedź. Pan Wells coś jej zrobił, wysłał ją dokądś przez przenośne drzwi. Wspominał o wyspie Avalon, jeśli to ci coś mówi.

Sophie się zasepiła.

– To w Somerset, prawda? Tam organizują ten wielki festiwal rockowy.

– Tak? Chyba nie to miał na myśli. Wydawało mi się, że Avalon to miejsce, gdzie trafił król Artur, pewnie Elvis też i księżniczka Diana, prezydent Kennedy i cała reszta. – Chwilę się nad tym zastanowił. – Będzie jej tam dobrze. Towarzystwo w sam raz dla niej.

– Być może. – W jej czole wryły się bruzdy. – Chodzi mi o to, że nie może się stamtąd wydostać, mam rację? Nie zniosłabym myśli, że tu wróci.

Dobre pytanie, pomyślał Paul i przypomniał sobie, co mówił pan Wells: że hrabina Judy będzie nadal pracować dla firmy jako konsultantka. Ocalenie rodzaju ludzkiego to jedna sprawa, ale JWW działało w biznesie po to, żeby zarabiać, a akurat w tym hrabina Judy podobno była znakomita.

– Nie ma na to najmniejszej szansy.

– Ale co z tymi durnymi drzwiami? Jeśli nimi się tu dostała...

– Tak, ale mam je i nikt poza mną nie dostanie ich do ręki, obiecuję. Chyba że chcesz je sobie wziąć. Nie miałbym nic przeciwko.

Sophie spojrzała na niego i nie miał bladego pojęcia, jak zinterpretować jej minę.

– Nie, dzięki. Zachowaj je, u ciebie będą bezpieczne. Było nie było, jesteś bohaterem, no nie?

Paul, o dziwo, zdołał się roześmiać.

– Masz rację – powiedział – u mnie są mniej więcej tak bezpieczne jak inwestycja na giełdzie. Myślę jednak, że wiem, gdzie będą naprawdę bezpieczne, jeśli tylko odważę się znowu tam pójść. No dobrze – dodał – chodźmy już do Wellsa.

*

– W gruncie rzeczy – zaczął pan Wells, składając dłonie w daszek na blacie biurka –

wszystko, co wam powiedziano, jest prawdą. Firma wykupiła was od waszych rodzin i dlatego możemy was zmusić, żebyście pracowali u nas wbrew swojej woli. Co więcej, panie Carpenter, w istocie został pan... proszę wybaczyć to określenie... wyhodowany wyłącznie po to, by dokończyć działania Ernesta Carpentera przeciwko Magicznemu Ludowi i zapobiec planowanej przez nich inwazji na naszą stronę granicy. Ernest Carpenter był przez wiele lat członkiem zarządu firmy.

– Co się stało? – spytał Paul. – Przeszedł na emeryturę czy coś?

Twarz pana Wellsa zdradzała leciuteńkie zakłopotanie.

– Został zwolniony – odparł. – Kierownictwo spółki uznało, że jego nieustająca wrogość do hrabiny di Castel’Bianco szkodziła interesom firmy. W związku z tym odkupiono od niego udziały i odszedł. Resztę swojego życia, i cały swój majątek, poświęcił na kontynuowanie walki przeciwko Magicznemu Ludowi. Kiedy pieniądze się skończyły, a jego wiarygodność w branży sięgnęła dna, odebrał sobie życie, jak teraz wiemy, po to by wrócić, gdy tylko dokończy pan jego dzieło. ' To prawdziwa tragedia, kiedy obsesja przedwcześnie przerywa tak wspaniałą karierę.

– Moment – powiedział Paul. – Ocalił ludzkość, prawda?

Pan Wells lekko skinął głową na znak, że przyznaje mu rację.

– Można tak powiedzieć – stwierdził, jakby ustępował w błażej sprawie z przyczyn czysto formalnych. – Ale wróćmy do rzeczy. Przedyskutowałem to z moimi współnikami i uznaliśmy, że ponieważ żadne z was nie było, że tak powiem, dobrowolnym uczestnikiem ostatnich wydarzeń, niestosownie byłoby podejmować wobec was kroki dyscyplinarne. Uważamy, że choć swoim postępowaniem bezpośrednio przyczyniliście się do odejścia członka zarządu i związanej z tym straty dużej części dochodów firmy, działaliście de facto pod przymusem i nie można was winić za to, co się stało. Co za tym idzie, z punktu widzenia zarządu spółki sprawa jest zamknięta.

Zanim Paul mógł cokolwiek powiedzieć, Sophie zerwała się na równe nogi.

– To jakaś próba, zgadza się?

– Słucham? – zdziwił się pan Wells.

– Próba, która ma wykazać, czy ja to ja lub coś w tym stylu; bo przecież to nie może być na serio. Nie możesz nam powiedzieć: „Właśnie przeżyliście najgorsze piekło, jakie można sobie wyobrazić, i ocaliliście ludzkość, ale to nic, nie zwolnimy was”. Nawet ty...

– Pani Pettingell. – Pan Wells wydawał się urażony. – Nie rozumiem, skąd ten wybuch. Wasze działania naprawdę zaszkodziły firmie i kosztowały nas mnóstwo pieniędzy. Jednak przyjmujemy do wiadomości, że nie można was za to winić...

Sophie nazwała pana Wellsa słowem określającym część męskiej anatomii. To raczej nie pomogło, ale przynajmniej na chwilę się zamknął.

– Nie do wiary, nawet jak na takich jak wy – mówiła dalej. – Moje życie zostało doszczętnie zrujnowane, Paul mało nie umarł...

– Właściwie to umarłem – wtrącił Paul łagodnie. – Dwa razy.

– ... A tobie mimo to się roi, że ja chcę tę parszywą robotę. Cóż, mogę tylko powiedzieć, że jesteś jeszcze większym kretynem i tłustym palantem, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka, co nawiasem mówiąc, dotąd uznawałam za niemożliwe, tobie się jednak udało. Zrozumiano? Odchodzę. Żegnam.

Pomaszerowała w stronę drzwi, których już tam nie było.

– Pani Pettingell – rzekł pan Wells powoli, tonem kogoś, kto powstrzymuje złość obiema rękami i elektrycznym pastuchem.

– Kiedy wspomniałem o możliwości kroków dyscyplinarnych, nie miałem na myśli zwolnienia. Firma ostatnio straciła za dużo pieniędzy, by teraz jeszcze wyrzucić w błoto pokaźne środki zainwestowane w was oboje. Chodziło mi raczej o coś takiego.

Sophie stanęła w płomieniach.

Jak długo Paul siedział na krześle i na nią patrzył, tego nigdy nie mógł do końca ustalić. Wydawało się, że trwało to kawał czasu, ale wiedział też, że zerwał się na równe nogi i przypadł do niej, zanim zaczęła krzyczeć, co stało się niemal natychmiast. Pan Wells próbował go powstrzymać (miał nadzwyczajny refleks jak na człowieka w tym wieku i o tej budowie ciała), ale Paul przemknął obok niego, wyciągnął ręce do Sophie i usiłował zagasić nimi ogień. Jak przez mgłę czuł ból i słyszał krzyki pana Wellsa, pociemniało mu przed oczami i był w stanie myśleć tylko o nieznośnym żarze, przed którym nie mógł uciec, cokolwiek robił. Czuł, jak jego skóra kurczy się i topi, a potem nie liczyło się już nic oprócz bólu. Stracił równowagę i gruchnął na podłogę, i zastanawiał się, co pan Dao powie mu tym razem...



Ktoś powtarzał „Paul, Paul”. Paulowi mgliście się kojarzyło, że znał kogoś o tym imieniu, dawno, dawno temu, w jakimś okropnym miejscu. Był ciekaw, czemu leży na plecach z zamkniętymi oczami. Otworzył je.

– Paul – powiedział głos Benny’ego Shumwaya, co było dziwne, bo Paul widział przed sobą samochód. Jego samochód, rdzawoczerwonego volkswagena polo z rysą na przedniej szybie w miejscu, gdzie uderzyła w nią grudka żwiru, kiedy pojechał do hrabstwa Gloucestershire.

– Obudził się – rzekł samochód.

Paul przypomniał sobie, że na imię jej Monika i że jest siostrą Ricky’ego Wurmtotera. Co przypominało mu o paru innych sprawach.

– Sophie! – krzyknął i usiłował wstać, na co wielka dłoń przygniotła mu pierś, wyciskając całe powietrze z jego płuc. Prawdopodobnie dla jego dobra.

– Nic jej nie jest. – Teraz Paul widział twarz Benny’ego górującą nad nim jak brodata chmura deszczowa, a w tle nagie pobielone ściany kasy. Chwilę się zastanawiał, co w najmniejszym pomieszczeniu w budynku robi samochód, po czym stwierdził: A co tam, czary.

– Tobie też nie – ciągnął Benny. – Wszystko gra, jesteś bezpieczny.

– Ale... – Albo miał wspólne wspomnienia z tym, jak mu tam, Paulem, albo... – Ale ona się paliła. Ten bydlak Wells...

– Spokojnie – burknął Benny. – To był sztuczny ogień. Patent JWW, płomienie nieutleniające... pali się, ale nie spala. Bóg i krzew dostarczane oddzielnie. Zadziw przyjaciół, zadaj wrogom męki.

– Cicho – powiedział samochód. – Paul, tylko ci się zdawało, że ogień parzył, tak naprawdę nie robi krzywdy. Sophie też nic się nie stało.

– Aha. Rozumiem. Ale dlaczego to zrobił? Wiem, trochę ją poniosło, ale...

Benny się zaśmiał.

– Coś mi się zdaje, że widzisz w Jacku Wellsie sympatycznego człowieka. Takiego, co to choć trochę nadęty i szorstki, w gruncie rzeczy jest w porządku i zawsze można liczyć, że na koniec wszystkich uratuje i wszystko naprawi. Nic bardziej mylnego.

Paul usiadł prosto i Benny tym razem mu na to pozwolił.

– Poniekąd się tego domyśliłem. Naprawdę zrobił to Sophie tylko po to, żeby ukarać ją za nieuprzejmość?

Benny wzruszył ramionami.

– Jest staroświecki. Nie toleruje nieposłuszeństwa i wulgarności. Ani w ogóle niczego, co nie przynosi firmie dochodów. Ilekroć traci pieniądze, w zasadzie można być pewnym, że jego wkurzenie sięga poziomu kwantowego.

Paul pokręcił głową, jakby uznał, że kiedy ma się do czynienia z czymś dziwnym, najlepiej to po prostu zbagatelizować.

– Ale Sophie miała rację – powiedział. – Ocaliliśmy świat, do cholery...

– I bardzo dobrze. Bylebyście robili to po godzinach pracy, i to tak, żeby nie ucierpiało na tym budżet firmy. Ale na podziękowania nie liczy, zwłaszcza od Jacka Wellsa. Nie jest z gruntu zły, jak Władcy Ciemności i tym podobni, ale by ludzkość ocalił, pewnie tylko gdyby miał pewność, że po skompletowaniu zestawu dostanie cenną nagrodę. Rzecz w tym... – Benny się zawahał, po czym wykonał rękami gest mówiący „chrzanić to”. – Spójrzmy prawdzie w oczy, jesteś Bohaterem, przez duże B i w ogóle. Prawda, nie widać tego po tobie, ale to o niczym nie świadczy, Kazik Susłowicz nie wygląda jak olbrzym, ale powinieneś zobaczyć go przy jedzeniu. Choć może lepiej

nie – wzdrygnął się lekko. – Prawda jest taka, że byłeś bohaterem, jeszcze zanim się w cholere urodziłeś. Twój wujek Ernie zatroszczył się o to, własnoręcznie wybrał każdy gen w twoim organizmie. Masz wszystkie instynkty bohatera, włącznie z mocno okrojona wersją samozachowawczego, i przykro mi to mówić, ale to najzupełniej oczywiste, masz mózg bohatera. Nie zrozum mnie źle, nie twierdzą, że wszyscy bohaterowie są tępi jak zardzewiała piła, ale pod pewnymi względami nie grzeszą inteligencją. To normalne, inaczej nie mogliby wykonywać swojej pracy. Paul, przyjacielu, ty jesteś w stu procentach bohaterem, musisz tylko przyjąć to do wiadomości i nauczyć się z tym żyć. A każdy bohater ma to do siebie, że nie może zobaczyć ludzkości na celowniku czy damy w opałach i nie poczuć nieodpartej pokusy, by rzucić się na pomoc. Nawet kiedy to najgłupsze, co można zrobić. Nawet kiedy nikt o tę pomoc nie prosi. – Westchnął. – Ale większość ludzi taka nie jest, zwłaszcza w naszej branży. Zastanów się nad tym. Pomyśl tylko, ile dobra można by uczynić za pomocą magii, jak można by zmienić świat. Rzucasz zaklęcie, machasz różdżką i nie ma więcej głodu ani niesprawiedliwości, nastaje pokój między narodami, w morzach roi się od wielorybów, wszyscy uczą się żyć ze sobą w zgodzie i Bóg wie, co jeszcze. Tak by się przynajmniej zdawało, zwłaszcza tobie, bo jesteś bohaterem i tak dalej. Ale my, ludzie z branży, myślimy inaczej. Kombinujemy, jak wykorzystać ten wyjątkowy dar do tego, żeby zarobić nieprzyzwoite pieniądze, a przy tym pozostać niezauważonym i nie trafić do rządowego laboratorium czy wariatkowa. I wiesz co? To dobrze, że myślimy w ten sposób, bo nic w dziejach nie wyrządziło niewinnym i małuczkim tego świata większych szkód niż ludzie u władzy, którzy w najlepszej wierze usiłują zmienić tenże świat na lepsze. Dlatego właśnie wyrzucili Erniego z firmy. Próbował stworzyć potwora... o umiejętnościach magicznych i mentalności bohatera. Czyli ciebie.

– Aha – mruknął Paul. – Jasne. Cóż, dzięki, że mi powiedziałeś.

– Masz to gratis. Ale teraz rozumiesz, dlaczego Jack Wells i reszta wybulili za ciebie małą fortunę... nawiasem mówiąc, zrobili niezły interes, bo jesteś jedynym okazem wyhodowanym w niewoli. Do tego dochodzą dodatkowe zalety, jak to, że jesteś w części goblinem, co znaczy, że potrafisz znajdować złoża minerałów, tylko patrząc na zdjęcia zrobione z lotu ptaka. To czyni cię, że tak powiem, chodzącą kopalnią złota. A kiedy jesteś razem z nią...

– Wystarczy, Benny! – warknął samochód.

– Jak to, razem z nią? – spytał Paul z przejęciem, ale Benny tylko pokręcił głową.

– Nie mnie o tym mówić. Dam ci wskazówkę: jeśli ustalisz, dlaczego Judy tak zależało na tym, żeby twoja Sophie została jej nowym Źródłem, będziesz na właściwym tropie. Tyle na ten temat. I tak już za dużo powiedziałem. Pewnie jeszcze trochę mi się mąci w głowie po tym, jak Ricky dał mi w łeb i zamknął mnie w skarbcu, podczas kiedy wy dwaj zajmowaliście się Judy. – Westchnął. – I chyba słusznie postąpił, bo starałbym się was powstrzymać. Och, już się z niej wyleczyłem – dodał pospiesznie, kiedy samochód złowrogo zwiększył obroty silnika. – Bo

przecież ona odeszła, a razem z nią zniknęła jej moc, więc nie ma już nade mną władzy, dzięki tobie. Wam obu.

– Już lepiej – powiedział samochód, nieco naburmuszony. – To zła kobieta była. Powinieneś się wstydzić.

Benny uśmiechnął się szeroko.

– Wstydzę się – powiedział. – Wierz mi.

Paul pomyślał, że dobrze byłoby zmienić temat.

– Czyli – zagaił nieśmiało – wy dwoje jesteście, hm, ten, no...

Benny przytaknął.

– A skoro już o tym mowa, moim przykrym obowiązkiem jest powiadomić cię, że nie masz już samochodu służbowego. Dennis Tanner dziś rano dał mi kluczyki. – Silnik Moniki zamruczał. – Ricky strasznie jest spięty z tego powodu... zapowiedział mi, że jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie na polerowaniu i woskowaniu jej karoserii, wydlubie mi płuca widłami. Przejdzie mu – dodał wesoło. – Zawsze tak jest. Kiedy weźmie się pod uwagę, że tak bardzo chciał się jej pozbyć, że aż gotów był spróbować ją spiknąć z tobą...

Nawet jeśli Paul coś na to odpowiedział, zagłuszyło go wycie klaksonu Moniki, który zamilkł dopiero, kiedy Benny przeprosił i obiecał, że będzie grzeczny.

– Ale to prawda – ciągnął. – Jest oczywiste, że ma o tobie wysokie mniemanie. Trafił swój na swego, można powiedzieć, bo Ricky jest stuprocentowym bohaterem, od tego jego uśmiechu jak z reklamy pasty do zębów po skarpety wzmocnione włóknem węglowym. Bo byłem przekonany, że sam się tego domyśliłeś. Bo z jakiego innego powodu taki podrzędny gryzpiórek jak ty miałby dostać służbowy samochód?

Nie draż tego, powiedział sobie Paul, nie warto.

– Lepiej już pójdę – stwierdził. – Dzięki za... cóż, dzięki. Chyba.

Ale Benny jeszcze nie skończył.

– Jest pewien drobiazg, z którym mógłbyś mi pomóc. Zwykła sprawa, trzeba skoczyć do banku, wpłacić forszę i wziąć czek na jutro. Pomyślałem, że może chcesz pójść ze mną.

– Co, miałbym tam wrócić?! – Paul wzdrygnął się i robiąc to, poczuł, jak krawędź tekturowej tubki z drzwiami ociera się o jego zebra. – Czemu nie? Chciałbym zamienić słówko z panem Dao, jeśli starczy czasu.

– Dobry z ciebie chłopak. – Benny pokiwał głową z aprobatą.

– Czas ruszać. – Uśmiechnął się obrzydliwie słodko do samochodu, który w odpowiedzi mrugnął migaczem. – Na razie, skarbuniu! Może urządzimy sobie dziś cichy wieczór we dwoje, tylko ty, ja, kilka litrów oleju przekładniowego oraz instrukcja obsługi i naprawy.

Gdyby Monika wydała taki dźwięk w czasach, kiedy ją prowadził, Paul odstawiłby ją

prosto do warsztatu. Teraz przynajmniej wiedział już, co on oznacza, a to już coś. Niepokojące, że jego tata miał rovera 2000, który wydawał dokładnie ten sam odgłos, kiedy wjeżdżał pod górkę.

*

– Znowu pan – powiedział pan Dao, ale Paul znał go już dość dobrze, by zinterpretować drobną różnicę wysokości kąców jego ust jako uśmiech.

Uśmiechnął się blado.

– Znowu ja. Ale tym razem...

Pan Dao uniósł dłoń.

– W istocie. I pan Shumway. Jakże się cieszę, że znów pana widzę.

Benny burknął coś i powiedział:

– Od tej pory wszystko będzie po staremu. Domyślam się, że pan słyszał, co się działo na Zewnątrz.

– W rzeczy samej – odparł pan Dao. – Przypuszczam, że w sumie dobrze się stało. Istoty z Magicznego Ludu nigdy nie były stałymi klientami naszego banku, z oczywistych względów. Naturalnie, kiedy dochodzi do tego rodzaju niefortunnych zdarzeń, zazwyczaj sprzyjamy tym, którzy regularnie korzystają z naszych usług. Zresztą trudno nam o wystarczającą motywację, by okazać więcej niż przelotne zainteresowanie. My wszyscy tu, na dole, miłujemy pokój, panie Shumway. Taki stan rzeczy nam odpowiada. Wszelki ferment mąci nasz spokój ducha, przypomina nam, kim niegdyś byliśmy i być już nie możemy.

Benny wzruszy! ramionami.

– Można i tak na to patrzeć. W każdym razie po naszej stronie granicy wszystko już prawie wróciło do normy, więc przy odrobinie szczęścia w najbliższym czasie nie będziemy robić nic, co mogłoby was zdenerwować.

W uśmiechu pana Dao był lekki, ale głęboki smutek.

– Nas nic nie denerwuje, panie Shumway. Nie jesteśmy zdolni do tak silnych uczuć. Dobrze więc – ciągnął z werwą – oto polecenia zaplanowanych na jutro przelewów i wyciągów z rachunków oszczędnościowych. Z przykrością informuję, że czek wystawiony na Bank Handlowy w Isfahanie został tylko częściowo spalony przez dżentelmena, który zastąpił pana pod pańską nieobecność...

– Dennis Tanner – przerwał mu Benny, wyraźnie rozdrażniony. – Nigdy się nie nauczył trzymać czeku za sam róg, więc oczywiście poparzył sobie paluchy i go puścił. No ale jest z

zarządu, więc co można zrobić?

Pan Dao współczująco pokiwał głową.

– Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan się tym zająć. Prawdę mówiąc, przyjąłem ten czek, żeby nie stawiać państwa w kłopotliwym położeniu.

– Dzięki. Aha, chłopak ma coś, co chce, żeby pan przechował w bezpiecznym miejscu. Bardzo bezpiecznym, pan rozumie.

Paul nie wiedział, o co chodzi, i nie był pewien, czy mu się podoba, że się o nim mówi per „chłopak”, ale postanowił pominąć to milczeniem.

– Tylko to. – Wyjął z kieszeni tekturową tubkę. – Jeśli to możliwe, chciałbym, żeby nikt oprócz mnie nie mógł się do tego zbliżyć. Nikt – powtórzył i jeszcze nie skończył, a już skarcił sam siebie za niepotrzebny melodramatyzm.

– Oczywiście – rzekł pan Dao. – I myślę, że w tych okolicznościach bank będzie skłonny zrezygnować z opłat za wynajem skrytki, zważywszy na charakter tego przedmiotu. – Lodowaty wyraz przebiegł mu po twarzy. – Jesteśmy niezwykle dumni z faktu, że przez ostatnie dwa tysiące lat nikt nawet nie próbował obrabować banku, jest to bowiem oczywiście niemożliwe. Jednakże...

– Właściwie, Jack, to nie całkiem prawda – wtrącił Benny. – Ten gang z Brooklynu jakieś czterdzieści lat temu...

Pan Dao skinął głową.

– Formalnie tak. Ale ponieważ jedynym sposobem dostania się tutaj, jaki wymyślili, było samobójstwo, a nie zapewnili sobie możliwości powrotu, traktuję to nie tyle jako próbę kradzieży, ile jako zasłużoną karę za głupotę. A zatem pomijając ten incydent, w naszej długiej, bogatej historii nie było żadnych tego rodzaju kłopotów. Kiedy jednak dowiedziałem się o istnieniu tego – ciągnął, zerkając z niesmakiem na tekturową tubkę w swojej dłoni – przyznam, że miałem pewne obawy. Czy za pomocą tego przedmiotu można pokonać zabezpieczenia banku, nie mam pojęcia, bo nikt nigdy nie przeprowadził stosownego eksperymentu. Wolałbym, aby tak zostało, i dlatego dużo łatwiej mi będzie spoczywać w pokoju, wiedząc, że jedyne narzędzie na świecie, które mogłoby umożliwić włamanie do naszego skarbcza, jest bezpiecznie w nim schowane. Muszę jednak ostrzec, że będzie pan mógł je odebrać tylko raz. Kiedy już zostanie panu wydane, to, jak jasno stwierdzają wewnętrzne przepisy banku, przy następnym złożeniu go do depozytu pobrana zostanie standardowa opłata administracyjna.

– Aha – powiedział Paul z myślą: Cóż, to irytujące, ale tak jest w bankach. – Ile wynosi?

– Jedno życie – odparł pan Dao ze spokojem. – Albo pana, albo kogoś, kto gotów będzie dobrowolnie za pana umrzeć. Podobna opłata pobierana będzie – dodał z niemal niedostrzegalnym cieniem uśmiechu – przy każdym kolejnym udostępnieniu przechowywanego przedmiotu. Ostatecznie prowadzimy biznes, nie działalność charytatywną. – Wyciągnął rękę. – Do widzenia,

panie Carpenter. Niepokojąco było pana znać.

W drodze powrotnej do biura Benny nie był tak gadatliwy jak zwykle, co dano Paulowi okazję, by zadrećzać się tym, czy słusznie postąpił, faktycznie pozbywając się przenośnych drzwi. Chyba dobrze się stało, stwierdził. Ostatnie wydarzenia pokazały, że tego diabelstwa lepiej nie zostawiać nigdzie na wierzchu, a gdyby je schował albo nigdy nie spuszczał z oka, sam prosiłby się o uprowadzenie, tortury, morderstwo i podobne niedogodności. Możliwość wyskoczenia w porze lunchu na drinka na Copacabanie nie była tego warta; tym bardziej że nie miał już z kim się tam wybrać, więc co to za atrakcja.

Gdy wrócił do swojego gabinetu, zastał Sophie siedzącą na jej starym krześle.

– Cześć – powiedział.

Spojrzała za jego plecy.

– Proszę, daruj sobie. Udawaj, że mnie nie ma. Jestem tu tylko dlatego, że nigdzie indziej nie ma dla mnie miejsca, a ten drań Tanner podrzucił mi całą stertę tych śmieci.

Paul dopiero teraz zauważył stos wydruków na biurku przed nią.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Och, dobrze. Jak już odstawileś bohatera, Wells ugasił nas oboje. Ja od razu doszłam do siebie, ale ty straciłeś przytomność. Potem zjawił się pan Shumway i cię zabrał, a Wells kazał mi wrócić do pracy. Dlatego przyszedłam tutaj i znalazłam te papierzyska, z liścikiem.

Paul skinął głową.

– Niezbyt miłych mamy współpracowników – skwitował.

– Chyba masz rację. Wielka szkoda, że utknęliśmy tu do końca życia.

Usiadł. Widział tylko czubek głowy Sophie, resztę zasłaniały wydruki.

– Daj, pomogę ci. Nie protestuj – warknął pospiesznie. – Nie i już. Zgoda?

– Jak sobie chcesz. Jeśli to ci poprawi nastrój, proszę bardzo. Tyle że chyba musisz szukać boksytów.

– Popracuję do późna – odparł Paul. – Mnie gobliny nie będą napastować, kiedy będę wychodził, a i tak nie mam po co wracać do domu.

– Nie zaczynaj.

– Nie zaczynam, taka jest prawda. Dobra, ty bierz górną połowę, ja resztę.

Było jak za dawnych czasów; oboje przerzucali nic nieznaczące papiery w ponurej, krępującej ciszy. Paul mimo woli przypomniał sobie, kiedy ostatnio musiał odwalać tę robotę. To było wtedy, gdy hrabina Judy podstępnie posłużyła się nią, by go uspić i wykorzystać jego sny do przeprowadzenia jej sił inwazyjnych przez granicę.

Domyślał się, że elfy wciąż gdzieś tam były, co prawda odcięte od dowództwa i linii zaopatrzenia; setki, może tysiące elfów przebranych za złośliwe dzieci przebywające gdzieś na

terenie Wielkiego Londynu. Radosna myśl... ale nie musiał się tym martwić w godzinach pracy. No dobrze, powiedział sobie, skoro tak, nie będę się tym martwił. Chrzańć to. Nie mój problem. Wyrzucił tę sprawę z głowy, całkowicie skupił się na wydrukach i wkrótce zapadł w sen.

– Cześć – powiedziały potwory.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował Paul. – Przecież z tym skończyłem, nie? Hrabina Judy odeszła, czemu nie mogę znów mieć normalnych snów?

Zachichotały.

– Jesteśmy dobrymi elfami, głuptasku – powiedział ten młodszy. – Pamiętasz nas? Wpadłyśmy, żeby cię ostrzec, tego wieczoru, kiedy Ona kazała podłożyć bombę w twojej metalowej skrzynce do przechowywania starych listów. Chcemy tylko podziękować, to wszystko.

– Tak, teraz was pamiętam – przyznał Paul, mimo wszystko dziwnie wzruszony. – Cóż, miło być docenionym, nawet jeśli... – Zawahał się. Nie wypadało powiedzieć „nawet jeśli tylko przez szkaradne monstra”. – Nawet jeśli tym tutaj to, co zrobiłem, jakoś nie zaimponowało – wybrnął nieporadnie.

– Och, jesteśmy bardzo wdzięczne – rzekła starsza potwora. – Głównie dlatego, że teraz to ja jestem królową... no, pełniącą obowiązki królowej, bo teoretycznie królową pozostaje Ona. Wspomniałam, że jest moją starszą siostrą? Nigdy byś się tego nie domyślił, patrząc na mnie.

– Czy ja wiem? – odparł Paul. – Macie takie same oczy.

Wydawało się, że to potworę niezmiernie uradowało.

– Miło, że tak mówisz, choć wiem, że to tylko przez uprzejmość. Chcemy ci tylko powiedzieć, że więcej nas nie zobaczysz. Żadnego z nas. Od tej pory Magiczny Lud nie ma wstępu do twoich snów. Ani my, ani oni.

– Co znaczy – dodał młodszy potwór – że więcej cię nie odwiedzę. Ale dla ciebie może to i lepiej.

– Słucham? My się znamy?

– Głuptas. – Potwór rozplynął się i zaraz odtworzył w innej postaci. – Teraz mnie poznajesz? – powiedziała Dziewczyna Jego Snów z miłym uśmiechem. – Było fajnie, ale pora, żebyś znalazł sobie inne rozrywki. Ja już nie będę ci potrzebna.

– Nie? Ale...

Zachichotała.

– Nie martw się – przerwała mu. – Nic więcej nie mogę powiedzieć, nie przy tej chudej. Tyle czasu miała w głowie Ją, że nie zdziwiłabym się, gdyby nas słyszała. Ale w końcu wszystko się ułoży, w taki czy inny sposób. Zobaczysz.

Nagle potwory zniknęły. Paul usiadł prosto.

– Co... ?

– Zasnąłeś – odparła Sophie. – Mamrotałeś. Nie cierpię, kiedy tak robisz, ciarki mnie przechodzą.

– To był... Przepraszam. Tak czy owak, to nie powinno się więcej powtórzyć.

– No i dobrze. Słuchaj, może zajmiesz się tymi swoimi boksytami, a to zostawisz mnie? W sumie nie ma znaczenia, ile czasu mi to zajmie, bo jak tylko to skończę, znajdą mi coś innego do roboty.

Paul westchnął.

– Niech ci będzie. Słuchaj, wiem, że nie możemy być... to znaczy, rozumiem wszystko, co powiedziałaś, i jeśli tak ma być, cóż, tak będzie. Skoro jednak musimy razem pracować i na okrągło siedzieć w tej ciasnej norze, czy nie moglibyśmy choć być przyjaciółmi? Inaczej ciężko to będzie znieść, a i bez tego mam już dość zmartwień.

Sophie chwilę się zastanawiała, po czym skinęła głową.

– Cóż, na pewno nie wrogami. Może sojusznikami? My przeciwko całej reszcie.

– W porządku – przytaknął Paul. – Co dwie głowy, to niejedna i tak dalej. Jeśli będziemy współpracować, mamy większe szanse wydostać się stąd w jednym kawałku. A potem... – Uciekł z oczami. – Potem możemy pójść każde w swoją stronę i więcej się sobie nie narzucać. Co ty na to? – Mówiąc to, przypomniał sobie pana Dao: „Niepokojąco było pana znać”. I pomyślał: Gdybym nadal miał drzwi, mógłbym po prostu cofnąć się do momentu, zanim Judy na chama wprosiła się do głowy Sophie, i może znaleźlibyśmy sposób... Zmarszczył brwi. Jeszcze kilka takich pomysłów jak ten i wyjdzie na to, że oddając drzwi w niedostępne dla siebie miejsce podjął najmądrzejszą decyzję w swoim życiu.

Sophie wyszła w porze zamykania lokalu; Paul został, żeby przejrzeć ostatnie sto ileś zdjęć. Albo w miejscach, które pokazywały, nie było boksytów, albo stracił dryg do ich odnajdowania, tymczasowo lub na zawsze. Nie żeby się tym przejął; sumiennie i metodycznie przesuwając czubkiem palca po kolejnych fotografiach i odkładał je na stos „Odbębnione”. Kiedy wylądowała na nim ostatnia, odwrócona obrazem do dołu, Paul wstał i sięgnął po płaszcz.

– Strata czasu – odezwał się ktoś za jego plecami. – Sama mogłam to powiedzieć Dennisowi, ale gdzieżby mnie posłuchał.

– Na litość boską! – wykrztusił Paul, kiedy już złapał dech. – Mało zawału nie dostałem.

– Przepraszam – skłamała mama pana Tannera. – Tak bardzo byłeś zajęty, że nie słyszałeś, jak weszłam. Ależ słodko wyglądasz, kiedy miziasz zdjęcia. Jak mój Dennis, kiedy uczył się czytać.

Paul zdał sobie sprawę, że tym razem nie raczyła się zmienić w piękną dziewczynę; wyglądała normalnie, czerwone ślepią, kły, pazury i tak dalej. Z jakiegoś powodu czuł się mgliście dumny z tego, że nie od razu to spostrzegł.

– No cóż – powiedział. – Właśnie wybaczone mi to, że ocaliłem świat, a potem mnie podpalono. Nie chcę, żeby do tego doszedł jeszcze opieprz od twojego syna.

– Tak naprawdę nie jest taki zły. Chociaż nie, kłamie; pewnie ma to po mnie, bo jego tata jest do rany przyłoż. Ale nie przyszedł tu rozmawiać o Dennisie.

– To dobrze. Nie chciałbym powiedzieć czegoś, co mogłoby sprawić ci przykrość.

– Nie dałbyś rady, wierz mi. Nie, chciałam spytać o co innego. Bo wiesz, byłam dziś u lekarza i powiedział, że w przyszłym tygodniu urodzę. – Minęła chwila, zanim Paul przypomniał sobie, że była w ciąży. Po goblinach to trudno poznać. – Pip i ja nie możemy wybrać dziecku imienia. On obstaje przy Christopherze Vincencie Horatio, po jego ojcu, a ja już w zasadzie zdecydowałam się na Azoga Grishnackha Ruperta, po moim ulubionym wujku; i rozmawialiśmy o tym, i w końcu pomyśleliśmy sobie, że skoro, gdyby nie ty, nigdy byśmy się z Pipem nie zeszli, może nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy dali mu na imię Paul.

– Paul?

Skinęła głową.

– Paul Azog Christopher. To by wiele dla nas znaczyło.

Paul się zarumienił.

– Hm... tak, oczywiście, proszę bardzo. Jestem zaszczycony – dodał i ku swojemu zdumieniu mówił prawdę. – Wielkie dzięki.

Mama pana Tannera się uśmiechnęła. Kiedy nie robiła się na piękność, miała ładny uśmiech, choć trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec go pod wystającymi kłami.

– Poza tym – ciągnęła – jest u nas goblinów taka jakby tradycja, że bardzo starannie wybieramy dziecku ojca chrzestnego. Na przykład Theo van Spee trzymał do chrztu naszego Dennisa, moją matką chrzestną była babcia Kali, a mojemu tacie, niech spoczywa w pokoju, trafił się sam Władca Ciemności. Widzisz, podchodzimy do tego poważnie, to musi być ktoś, kogo się szanuje i podziwia, i ktoś, kto żyje, nie został skazany na śmierć przez obdarcie ze skóry, i jest stanu wolnego. Pomyśleliśmy więc, że poprosimy o to ciebie.

Paul nie wiedział, co powiedzieć.

– Serio?

– Tak, serio, ty błźnie. Właściwie nie będziesz miał dużo do roboty; podczas ceremonii musisz tylko udusić mantykorę gołymi rękami, ale Ricky mówił, że może załatwić taką starą, chorą, bez zębów, no i musisz kupić Paulowi Azogowi Christopherowi jego pierwszy bułat, ale nasz Snotnast ma znajomego, który ci go sprzeda po kosztach, a poza tym to dopiero za parę lat. Proszę, zgódź się, to wiele by dla nas obojga znaczyło.

– W porządku – powiedział Paul. – To znaczy, tak, chętnie. Prawdę mówiąc, to miło z twojej strony, że mnie o to prosisz.

Trochę popsuła ogólne wrażenie, klepiąc go w plecy tak, że zatrzęsała mu się połowa kości, ale jej wybaczył.

– Dzięki – rzuciła. – Powiem Pipowi, oszaleje z radości.

– Naprawdę? Super. I nie ma sprawy, choć tyle mogę dla ciebie zrobić. Bardzo mi pomogłaś, wyciągnęłaś mnie z High Wycombe i w ogóle.

– Owszem, ale miałam ukryty cel – odparła mama pana Tannera z dość niepokojącym chichotem. – I moja prośba nie znaczy, że przestałeś mi się podobać. Ale to nic – dodała pospiesznie – obiecuję, że na ceremonii będę grzeczna, nie musisz się obawiać.

– Nie wątpię – powiedział Paul słabym głosem. – Daj znać, jak tylko ustalicie termin, dobrze?

– Rozumie się. No, pora, żebyś się stąd zmył. Młodziak w twoim wieku powinien się bawić, a nie siedzieć całą noc w zatęchłym gabinecie.

– Tak, jasne – wymamrotał Paul i ruszył do drzwi. Nagle coś mu przyszło do głowy i zatrzymał się w pół kroku. – Czy to prawda, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni? Że... jestem w części goblinem?

Jej oczy otworzyły się nieco szerzej, po czym skinęła głową.

– Kto ci powiedział?

– W sumie sam do tego doszedłem – odparł nieśmiało.

– A potem pan Ta...

– Mów Dennis – wtrąciła. – Było nie było, jesteście kuzynami.

– Potwierdził to. Kuzynami? W jakim sensie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Dalekimi. Wystarczająco dalekimi, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Paul odwrócił się, dopóki nie przestała gapić się na niego pożądliwie. – Ale tak, należysz do naszej rodziny. Jesteś jednym z nas.

Jeden z nas. O dziwo, przyjemnie to było usłyszeć. Gobliny, na litość boską!... Ale owszem, to mu się podobało.

– Cóż – powiedział – na pewno nie możecie być gorsi od moich krewnych ze strony ludzkiej.

Parsknęła śmiechem.

– Domyślam się. Czasem bywamy rozbrykani i zdarza się, że robimy demolkę, bywa też, że jak impreza wymknie się spod kontroli, to pożeramy ludzi, oczywiście tylko raz na jakiś czas; ale własnymi dziećmi nie handlujemy, żeby nie wiadomo co.

– Dziwię się, że jesteście gotowi uznać mnie za swojego, mimo że jestem czarną owcą i tak dalej.

– A gdzie tam – odparła wesoło. – Akceptujemy ludzi takimi, jacy są, co najwyżej niekiedy ze szczyptą soli i octu. W każdym razie to my powinniśmy się czuć zaszczytzeni. Pierwszy raz mamy w rodzinie prawdziwego bohatera.

– Kogo?

– Bohatera. Ciebie. – Mama pana Tannera pokręciła głową. – Słowo daję, czasem, jak robisz tę minę prostaczka, to się dziwię, że nikt cię jeszcze nie wydrążył i nie przerobił na kajak. Gdy któregoś dnia nie będziesz miał co robić, powinienes do nas wpaść i poznać całe towarzystwo.

– Ja... – Paul spojrział na nią. – Chętnie. – Jeśli nie mówił tego poważnie, to chyba głównie dlatego, że tak czy owak był nieśmiały. – Ale nie na kolację – dodał pospiesznie. – To znaczy, nie chciałbym sprawiać kłopotu.

Kiedy powiedziała mu dobranoc – miał dość dobry refleks, by uchylić się od kuzynowskiego pocałunku – i usłyszał za plecami trzask zamykanego zamka, poszedł na przystanek autobusowy. Padało i czy był półmagiem, półgoblinem czy nie, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko zmoknąć. Stał tak może trzy minuty, dość długo, by ubranie mu przesiąkło, kiedy podjechał niski, smukły, czerwony samochód sportowy. Otworzyły się drzwi od strony pasażera.

– Wskakuj – powiedział Ricky Wurmtoter. – Podrzucę cię.

– Nie, dzięki, naprawdę – wymamrotał Paul. (Dlaczego? Przecież leje jak z cebra). – Musiałbyś pewnie nadłożyć kilka ładnych kilometrów.

– Gdybym jechał do domu, owszem. No już, wyluzuj. Wskakuj, zanim utopisz się na stojąco.

No dobrze, pomyślał Paul, w sumie czemu nie. Nie lubił moknąć, choć sprawą dyskusyjną było, czy mógłby przemoknąć jeszcze bardziej, nawet gdyby wskoczył do morza. Otworzył drzwi, zsunął z siedzenia topór i średnią puszkę SlayMore, i wsiadł.

Ricky był takim kierowcą, jak można się było spodziewać, więc przez większą część drogi Paul miał zamknięte oczy i wczepiał się paznokciami w pas bezpieczeństwa.

– Już – usłyszał w końcu. – Jesteśmy na miejscu, możesz wysiąść.

– Bwwł – odparł Paul. – To znaczy, hm, dzięki za podwiezienie.

Ricky uśmiechnął się szeroko.

– Nie było chyba aż tak źle, co?

– Nie, w porządku. Jeszcze trochę gazu i dotarlibyśmy na miejsce przed wyjazdem, ale...

– Jakbym słyszał moją matkę. Która godzina? Zegar w samochodzie nie działa.

Nie dziwię się, pomyślał Paul, a jeśli nie wiesz dlaczego, spytaj Einsteina.

– Pięć po siódmej.

– Jeszcze wcześniej. Chodź, napijemy się. Znam sympatyczny pub za rogiem.

Paul chwilę się wahał. Naprawdę nie był w nastroju do wysłuchiwania opowieści

Ricky'ego o polowaniach na smoki, ale chętnie wypiłby drinka, za którego nie musiałby płacić.

– Zgoda. To nie Three Tiles, co? Bo we wtorki grają tam jazz na żywo i...

– Nie Three Tiles. Za mną!

Sympatyczny pub w rozumieniu Ricky'ego miał jako wejście ukryte drzwi w bocznej ścianie nieużywanego magazynu, do których trzeba było trzy razy zapukać i spytać o Chalky'ego na co szczęknęły zamki, zaskrzypiały zawiasy i mały, chudy człowieczek w skórzanej kurtce o nabitych ostrymi ćwiekami mankietach wpuścił ich do środka. W tym momencie Paul uprzytomnił sobie, że tak naprawdę niewiele wie o panu Wurmtoterze i może byłoby dla niego lepiej, gdyby w domu napił się herbaty. Jednak podążył za Rickim w głąb długiego korytarza, przez następne małe drzwi i znalazł się w... z braku lepszego określenia...

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Ricky. – Czego się napijesz?

... wielkiej sali biesiadnej, z wysokimi krokwiemi, długimi stołami i ławami, wyłożoną sitowiem podłogą, kominkiem ciągnącym się przez całą długość pomieszczenia i dymem, w którym można by rzeźbić.

– Mały dziś ruch – skwitował Ricky.

Może to i lepiej, bo wszyscy w lokalu byli brodaci, zakuci w zbroje i uzbrojeni po zęby, i kiedy tylko Paul wszedł w światło, jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli na niego. Ricky nadawał na wszystkie strony jak stacja radiowa i większość osób, którym kiwał głową, odkłamała się, choć niektóre mamrotały coś pod nosem i odwracały się plecami. Usiedli na końcu ławy, a tęga rudowłosa kobieta postawiła przed nimi wielki dzban i dwa rogi.

– Gdzie my jesteśmy? – szepnął Paul.

– W Walhalli – odparł Ricky.

– Aha, to taki pub tematyczny, tak?

– Nie. Pij. Stali bywalcy robią się trochę nerwowi, kiedy widzą, że ktoś nie pije.

Cokolwiek było w dzbanie, smakowało ohydnie, ale trąciło alkoholem nieco słabiej niż piwo z lemoniadą.

– Myślałem, że trzeba umrzeć czy coś – powiedział Paul.

– Zgadza się. – Ricky zamasyżuje wytarł usta rękawem. – Polec na placu boju, czego ty oczywiście dokonałeś. Jak chcesz, mogę cię zgłosić jako kandydata na członka.

Paul podziękował z całą szczerością urzędującego ministra.

– Czyli ty, hm, musiałeś... ?

Ricky skinął głową.

– Z formalnego punktu widzenia włamanie do krainy cieni w celu uprowadzenia trzygłowego ogara piekieł uznawane jest za śmierć, choć musieli to skonsultować z komisją regulaminową. Uważam, że miło mieć jakieś miejsce, gdzie można uciec od ludzi, których widzi

się na co dzień.

Paul napił się jeszcze trochę tego czegoś z dzbana. Drugie wrażenie było lepsze od pierwszego.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Ricky – chciałem pogadać o paru sprawach. A przede wszystkim ci podziękować. Bardzo pomogłeś w całej tej sprawie z Judy i w ogóle.

– Nie ma za co – wymamrotał Paul, trochę speszony. – Cieszę się tylko, że ktoś uważa, że zrobiłem coś dobrego.

Ricky zmarszczył brwi.

– Przyznaję, raczej nie zyskałeś sobie sympatii w biurze. Zdaję sobie sprawę, że trudno ci to pojąć, w końcu jesteś jeszcze względnie nowy w tej branży.

– Zaczynam rozumieć – odparł Paul. – Stopniowo. Benny Shumway co nieco mi dziś wyklarował. Po prostu trzeba czasu, żeby się z tym oswoić.

– Można tak powiedzieć – stwierdził Ricky z szerokim uśmiechem. – Pracuję w tym fachu... cóż, wiele, wiele lat i nadal nie znam wszystkich reguł. Trzeba po prostu robić swoje najlepiej, jak się potrafi, i kiedy to tylko możliwe, próbować zobaczyć sytuację z ich punktu widzenia. Weź taką Judy. Właściwie to doskonały przykład. Z jednej strony koszmarny babsztyl, z drugiej – zarabia dla firmy nieprzyzwoite pieniądze. Oczywiście kiedy przychodzi co do czego, trzeba zająć jasne stanowisko. Z mojego punktu widzenia sprawa jest oczywista. Jeśli Judy postawi na swoim i Magiczny Lud zetrze ludzkość z powierzchni ziemi, na dłuższą metę poważnie odbije się to na mojej branży. Ludzie potrzebują bohaterów; elfy nie. Nie używają pieniędzy, więc banki są im zbędne. Brak banków oznacza brak miejsc gromadzenia majątku, a więc i brak smoków, a smoki to dobre czterdzieści procent moich zleceń. Jasne, zmieniając profil działalności i maksymalizując zyski, mógłbym odrobić może połowę strat na innych polach, na przykład przy zwalczaniu wampirów czy Okrutnych Tyranów, ale strata to strata i jeśli do rocznego zebrania zarządu nie osiągnę określonego dochodu, będę się musiał gęsto tłumaczyć. Czyli, krótko mówiąc, któreś z nas musiało odejść, ona albo ja. Szkoda – dodał ze smutkiem. – Miała imponujący portfel klientów ze świata polityki i rozrywki, wielu z nich stracimy, nieważne, kto ją zastąpi. Ale cóż, świat jest okrutny i gdzie różdżki strugają, tam wióry lecą, jak mawiamy w branży.

Chwila, moment! – chciał wykrzyknąć Paul. Walka z Magicznym Ludem, utrata Sophie, śmierć, wszystko to były zwyczajne rozgrywki biurowe? Bardzo chciał to powiedzieć, ale instynktownie wiedział, że Ricky by nie zrozumiał, o co robi tyle szumu.

– No cóż... – Dolał sobie z dzbana, który był tak pełny, że zawartość przelewała się przez krawędzie. Pora zmienić temat, zanim powie coś, czego nie powinien mówić. Ricky mógł się okazać nie lepszy od całej reszty tego towarzystwa, ale drań z długim wdziękiem przydaje się bardziej od drania wrogiemu, więc nie ma co zrażać do siebie jedyne go sprzymierzeńca na

nagłówku papeterii firmowej. – Spotkało mnie dziś coś dziwnego – zaczął. – Mama pana Tannera poprosiła, żebym został ojcem chrzestnym jej dziecka.

– Nie mów?! – Ricky spojrział na niego z uwagą. – Moje gratulacje. To nie lada zaszczyt. Warto trzymać z tą bandą, zwłaszcza w naszej branży.

– Serio?

– O tak. Smoków u nich oczywiście raczej nie uświadczysz, ale często mają kłopoty z innymi szkodnikami, trollami jaskiniowymi, gnomami, gremlinami i tym podobnymi. Dobrze, łatwe fuchy dla zabicia czasu, kiedy akurat nic się nie dzieje. No i miewają wojny, spory graniczne i tak dalej. Na porządnej wojnie między goblinami można nieźle zarobić, zwłaszcza jeśli druga strona też ściąga pomoc z zewnątrz. Oczywiście, Dennis ma praktycznie cały sektor gobliniński w kieszeni, w końcu to rodzina, ale zawsze warto mieć własne dojścia.

– Rozumiem – westchnął Paul. Parę stołów dalej dwaj potężni faceci zaczęli okładać się toporami. Ich broje opierały się ciosom, obaj przeciwnicy zaś się śmiali. Pewnie to taki miejscowy odpowiednik gry w rzutki. – Miło, że Benny Shumway i Mo... – Urwał w pół zdania, nie mogąc sobie przypomnieć, czy Ricky, ten prawdziwy, nie Judy w przebraniu, już o tym słyszał. Na szczęście Ricky się uśmiechnął.

– Też tak sądzę. Myślę, że będzie im ze sobą dobrze, a jeśli on znajdzie sposób, żeby przywrócić ją do pierwotnego stanu, to jeszcze lepiej. Choć czasem mam wrażenie, że szczęśliwsza jest taka, jaka jest. Była trudną nastolatką. Bardzo trudną. Przemiana w samochód dobrze jej zrobiła.

– Jasne – odparł Paul wymijająco i wstał. – Cóż, dzięki za drinka. Chyba już pójdę do domu.

Ricky skinął głową.

– Ja jeszcze trochę zostanę. Nie zaszkodzi być widzianym, rozumiesz. Aha, zanim pójdziesz, mam coś dla ciebie.

Paul po chwili wahania usiadł z powrotem.

– Serio? – Próbował okazać entuzjazm.

– Proszę. – Ricky wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni i wydobyl coś, co wyglądało jak mały srebrny nóż do papieru. Stuknął nim trzy razy w kant stołu i nóż się rozrósł, zmienił w pełnowymiarowy miecz w pochwie. – Jeśli masz dalej robić w zwalczaniu szkodników, przyda ci się, a ja, szczerze mówiąc, jakoś nigdy nie mogłem się z nim dogadać, więc go sobie weź.

– Eee... – powiedział Paul. Niepewnie wziął miecz do ręki, jakby się bał, że ugryzie. – Dzięki.

– Nazywa się Skofnung – ciągnął Ricky. – Niegdyś należał do króla Hrolfa Kraki. No, przyjrzyj mu się. Ładny wzorek, moim zdaniem.

Zawsze trzeba być uprzejmym, dlatego Paul chwycił lewą dłonią pochwę i wysunął parę centymetrów brzeszczotu. Nie zobaczył jasnego i błyszczącego ostrza; krawędzie były ciemnobrązowe, ozdobione misternymi wzorami ze srebrnych plamek i zawijasów, środkowa część zaś błękitna jak morze.

– Stał damasceńska – wyjaśnił Ricky, a przynajmniej Paul domyślił się, że to miało być wyjaśnienie. – Drugiego takiego nie znajdziesz, co oczywiście ułatwia zadanie.

No dobrze, pomyślał Paul, zapytam.

– Jakie zadanie?

Ricky zmrużył oczy.

– Odnalezienie jej, rzecz jasna. Ach, zapomniałem, przecież ty nie wiesz. To żywy miecz, rozumiesz?

– Poważnie? – Paul miał dziwne wrażenie, że mieczowi nie spodobało się, że to powiedział. – To znaczy tak, jasne. Przecież to oczywiste.

Ricky się roześmiał.

– Żywy miecz jest wyjątkowy, bo, cóż, żyje własnym życiem... a to korzystne, bo kiedy go używasz, wie, co robi, więc ty tego wiedzieć nie musisz. Znaczący to jednak, że aby się do czegoś nadawał, musisz najpierw znaleźć jego drugą połówkę, a ja... – dodał z lekkim grymasem – ... wstyd przyznać, nigdy jej nie znalazłem. Bez niej jest praktycznie bezużyteczny.

Paulowi udało się nie westchnąć, choć naprawdę miał już serdecznie dość tych klimatów.

– Drugą połówkę – powtórzył.

– Właśnie. Żywy miecz ma swój odpowiednik wśród ludzi i kiedy znajdziesz... och, przepraszam cię – powiedział nagle Ricky i Paul zauważył, że macha do nich jakiś potężny, groźnie wyglądający facet w typie wojownika, stojący przy drzwiach. – Muszę pogadać z tym gościem. Słuchaj, weź na razie miecz, wyjaśnię ci wszystko kiedy indziej. Do zobaczenia jutro w biurze. – Szybko przemierzył salę, zostawiając wielki miecz na stole.

Paul podniósł go niepewnie. Był potwornie ciężki. Niemożliwe, by służył do czegośkolwiek pożytecznego, no chyba że jako przycisk do przeogromnej sterty papierów. Może go zostawić? Nie, Ricky się obrazi... Wtem Paul sobie przypomniał; podniósł Skofnunga i stuknął nim trzy razy w kant stołu. Miecz natychmiast się skurczył – to było takie uczucie, jakby trzymać w ręku żywą rybę – aż na powrót zmniejszył się do rozmiarów nożyka do papieru. No cóż, powiedział sobie Paul w duchu, następny grat. Śrubokręty, harcerskie odznaki, kolorowe szkiełka, a teraz jeszcze to. Będę musiał sprawić sobie szopę, żeby mieć to gdzie trzymać. Ale co tam, liczą się intencje. Chyba.

Udało mu się wydostać z Walhalli i nie nadziać się na żaden miecz, po czym powoli wrócił do swojego mieszkania. W środku było ciemno, bardzo cicho i pusto. Kiedy włączył światło,

zobaczył puste miejsca po różnych rzeczach; widać była tu Sophie, zabrała, co jej, i poszła. Właściwie to nie zabrała prawie nic, ale luki wydawały się ogromne, niezbadane jak Atlantyckie przed Kolumbem.

Cóż, pomyślał Paul, oto jestem.

Znalazł stare pudełko po butach, w sam raz na magiczne pierdółki, okleił je taśmą i postawił na szafie, by nie musieć na nie patrzeć. Potem umył zęby, powiesił garnitur na wieszaku, włożył piżamę i poszedł spać.